

ALICJA
W
KRAINIE ZOMBIE

GENA SHOWALTER

Skróć ich o głowę!



Gena Showalter

Alicja w Krainie Zombi

Tłumaczenie
Jan Kabat



Od Alicji

Gdyby ktoś mi powiedział, że całe moje życie zmieni się między jednym uderzeniem serca a drugim, parsknęłabym śmiechem. Od szczęścia do tragedii, od niewinności do upadku? Żarty.

Ale tyle wystarczyło. Jedno uderzenie serca. Mgnienie oka, oddech, sekunda – i wszystko, co znałam i kochałam, zniknęło.

Nazywam się Alicja Bell i tamtej nocy, kiedy ukończyłam szesnaście lat, straciłam matkę, którą kochałam, siostrę, którą uwielbiałam, i ojca, którego nie rozumiałam do chwili, nim zrobiło się za późno. Aż do tego jednego uderzenia serca, gdy cały mój świat się zawalił, a wokół mnie powstał nowy.

Ojciec miał rację. Chodzą wśród nas potwory.

W nocy te żywe trupy, te... zombi wstają z grobów i są złaknione tego, co utraciły. Życia. Żywią się tobą. Zarażają cię. A potem zabijają. Jeśli tak się wydarzy, wstaniesz z grobu. To niekończący się cykl, jakby mysz biegła wewnątrz najeżonego drutem kolczastym diabelskiego młyna, krwawiąc i umierając; ostre szpikulce tną coraz głębiej, ona zaś nie potrafi zatrzymać się w tym śmiertelnym biegu.

Zombi nie odczuwają strachu, nie znają bólu, doznają jednak głodu. O tak, głód je prześladowuje. Jest tylko jeden sposób, by powstrzymać te potwory, ale nie mogę wam powiedzieć jaki. Musiałabym pokazać. Jedno nie ulega wątpliwości: musimy z nimi walczyć, by pozbawić je mocy. By z nimi walczyć, musimy się do nich zbliżyć. By się do nich zbliżyć, musimy wykazać się odrobiną odwagi i znacznie większym szaleństwem.

Ale wiecie co? Wolalabym, żeby świat uważał mnie za szaloną, bo zginęłam w walce, niż gdybym miała przez resztę życia uciekać przed prawdą. Zombi są realne. Istnieją.

Jeśli nie będziecie czujni, was też dopadną.

No tak. Trzeba było słuchać ojca. Ostrzegał mnie wielokrotnie, bym nigdy nie wychodziła z domu nocą i nie zapuszczała się na cmentarz, i żebym nigdy, pod żadnym pozorem, nie ufała nikomu, kto chciałby mnie namówić na jedno albo drugie. Powinien był posłuchać własnej rady: ufał mi, ja zaś go przekonałam, by zrobił obie te rzeczy.

Żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie i postąpić inaczej w wielu sprawach. Powiedziałabym siostrze: nie. Nie błagałabym matki, by porozmawiała z ojcem. Zasznurowałabym usta i przelknęła te nienawistne słowa. Albo chociaż uściskałabym siostrę, mamę i tatę po raz ostatni. Powiedziałabym im, że ich kocham.

Żałuję... tak, żałuję.

1

W głąb zombicznej nory

Sześć miesięcy temu

– Proszę, Alicjo. Proszę.

Leżałam na kocu za domem, plotąc wianek dla siostry. Na niebie świeciło słońce, a puszyste białe chmury sunęły niczym duchy po bezkresie bladego błękitu. Wdychając ciężką woń wiciokrzewu i lawendy, typową dla lata w Alabamie, dostrzegałam kilka niewyraźnych kształtów. Długą wielonogą gąsienicę. Motyla z postrzępionym skrzydłem. Tłustego białego królika, który biegł w stronę drzewa.

Wokół mnie tańczyła ośmioletnia Emma w błyszczącym różowym kostiumie baletnicy; kucyki podskakiwały jej przy każdym ruchu. Stanowiła miniaturową wersję naszej matki i całkowite przeciwieństwo mojej osoby.

Obie, moja siostra i matka, wyróżniały się długimi lśniąco czarnymi włosami i cudownymi skośnymi złotymi oczami. Mama była niska, miała niespełna sto pięćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu; wątpiłam, czy Emma w ogóle dorówna jej pod tym względem. A ja? Kręcone blond włosy, duże niebieskie oczy i nieprawdopodobnie długie nogi. Przy stu sześćdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu byłam wyższa niż większość chłopców w naszej szkole i zawsze wyróżniałam się fizycznie – dokądkolwiek bym poszła, nieodmiennie przyciągałam zdziwione spojrzenia, które mówiły: ale z ciebie żyrafa.

Chłopcy nigdy się mną nie interesowali, ale nie zliczę, ile razy widziałam, jak któryś z nich ślini się na widok mojej matki albo – co przyprawiało mnie o mdłości – gwizdże, gdy się pochylała, żeby podnieść coś z ziemi.

– A-li-cjo! – Emma pojawiła się u mego boku i przytupnęła, by zwrócić na siebie uwagę. – Słuchasz mnie w ogóle?

– Kochanie, przerabialiśmy to z tysiąc razy. Twój recital zacznie się za dnia, ale skończy po zmroku. Wiesz, że tata nigdy nie pozwoli nam wyjść z domu. A mama zgodziła się na twój udział w zajęciach pod warunkiem, że się nie zezłościś, kiedy się okaże, że mimo wszystko nie będziesz mogła wziąć udziału w... jak to się mówi? Recitalu.

Zamajaczyła nade mną, stawiając stopy w tych delikatnych różowych pantoflach tuż przy moich ramionach; jej drobne ciało rzucało dostatecznie duży cień, by osłonić mi twarz przed blaskiem słońca. Wypełniała sobą całe moje pole widzenia niczym połyskliwa złota postać. Pochyliła się nade mną błagalnie.

– Dzisiaj masz urodziny, wiem, wiem, zapomniałam o tym, rano i po południu... ale w zeszłym tygodniu pamiętałam o nich, przypominasz sobie, jak mówiłam mamie, prawda? A teraz znów sobie przypomniałam, w końcu to o czymś świadczy? Pewnie, że tak – dodała, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek. – Tata musi zrobić wszystko, o co poprosisz. Więc jeśli poprosisz, żeby pozwolił nam pójść... i... i... – w jej tonie było tyle pragnienia – ...spytasz, czy też zechce przyjść i obejrzeć mój występ, to posłucha.

Moje urodziny. Tak. Rodzice też zapomnieli. Znowu. W przeciwieństwie do Em nie przypomnieli sobie – i wiedziałam, że sobie nie przypomną. Poprzedniego roku tata był zbyt zajęty butelką whiskey i bredzeniem o potworach, które tylko on widział, a mama była zajęta sprzątaniami bałaganu, którego narobił. Jak zawsze.

W tym roku mama schowała karteczkę w szufladzie, żeby nie zapomnieć (znalazłam ją), a Em przypominała jej aluzyjnie, nim w końcu oświadczyła bez ogródek: „Zbliżają się urodziny Alicji, chyba zasługuje na przyjęcie!”, jednak kiedy się obudziłam tego ranka, wszystko było po staremu. Nic się nie zmieniło.

Nieważne. Byłam o rok starsza, wreszcie osiągnęłam słodką szesnastkę, ale moje życie wyglądało jak zawsze. Szczerze mówiąc, nie miało to większego znaczenia. Już dawno przestałam się przejmować.

Em jednak się przejmowała. Chciała tego, czego ja nigdy nie zaznałam: ich niepodzielnej uwagi.

– Ponieważ dzisiaj są moje urodziny, czy to nie ty powinnaś coś dla mnie zrobić? – spytałam, mając nadzieję, że dzięki temu zapomni o swoim pierwszym występie baletowym i roli księżniczki, do której, jak lubiła powtarzać, „została stworzona”.

Zacisnęła w piąstki dłonie wsparte na biodrach – ucieleśnienie niewinności i oburzenia. Nawet w takiej chwili pozostawała najdroższą mi istotą na całym świecie.

– To, że pozwalam ci zrobić to dla mnie, jest moim prezentem dla ciebie.

Staralam się zapanować nad uśmiechem.

– Naprawdę?

– Tak, ponieważ wiem, że chcesz zobaczyć mój występ. Nie możesz się doczekać.

Bachor. Ale trudno mi było spierać się z dziecięcą logiką. Chciałam zobaczyć siostrę na scenie.

Pamiętam tę noc, kiedy Emma się urodziła. Koszmarne połączenie strachu i radości odcisnęło w moim umyśle niezatarte piętno wspomnienia. Tak jak w moim przypadku rodzice zdecydowali się na pomoc akuszerki, aby wraz z nadejściem wielkiej chwili mama nie musiała opuszczać domu.

Ale nawet ten plan spalił na panewce.

Słońce już zaszło, kiedy zaczęły się skurcze, i ojciec nie wpuścił akuszerki, bojąc się, że wraz z nią do domu wtargną potwory.

Tak więc to tata przyjął poród, podczas gdy mama darła się wniebogłosey. Schowałam się pod kołdrą, płacząc i trzęsąc się jak osika, bo tak bardzo się bałam.

Kiedy wreszcie zapanował spokój, przekradłam się do ich sypialni, chcąc się upewnić, że wszyscy bez wyjątku przeżyli. Tata się krzątał, a mama leżała na łóżku. Zbliżyłam się ostrożnie i, szczerze powiedziawszy, aż sapnęłam z przerażenia. Mała Emma nie wyglądała zbyt ładnie. Była czerwona i pomarszczona i miała na uszach najkoszmarniejsze ciemne włoski (mogę z przyjemnością oświadczyć, że zdążyły już dawno wylineć). Mama, cała w skowronkach, powiedziała, żebym pottrzymała swoją „nową najlepszą przyjaciółkę”.

Usadowiłam się obok niej, wsparta na puchowej poduszce, a mama włożyła mi w ramiona ruchliwe zawiniątko. Z jego wnętrza spojrzwały na mnie oczy tak piękne, że mógł je stworzyć tylko sam Bóg; różane usteczka nadąsały się, a drobniutkie piąstki pomachały.

– Jakie damy jej imię? – spytała mama.

Kiedy krótkie, pulchne paluszki zacisnęły się na jednym z moich, mięciutkie i ciepłe, doszłam do wniosku, że włoski na uszach nie są aż tak brzydkie.

– Lily – odparłam. – Powinniśmy dać jej na imię Lily.

Miałam książkę o kwiatach, a lilie należały do moich ulubionych.

Usłyszałam cichy śmiech mamy.

– Podoba mi się. Może Emmaline Lily Bell, ponieważ babcia tak naprawdę ma na imię Emmaline. Byłoby miło uhonorować moją matkę, tak jak uhonorowaliśmy twojego tatę, kiedy ty się urodziłaś. Będziemy mogli nazywać nasze cudowne maleństwo zdrobniale, Emma, i dzielić we trójkę ten mały sekret. Ty jesteś moją Alicją Rose, a ona Emmą Lily; razem tworzycie mój doskonały bukiet.

Nie potrzebowałam ani chwili, by się nad tym zastanawiać.

– Okay! Załatwione!

Emma zagulgotała, a ja uznałam to za oznakę aprobaty.

– Alicjo Rose – powiedziała teraz Emma. – Znowu bujasz w obłokach, i to w chwili, kiedy jesteś mi naprawdę potrzebna.

– No dobrze, zgoda – oznajmiłam z westchnieniem. Po prostu nie umiałam się jej sprzeciwić. Zawsze tak było i wiedziałam, że zawsze tak będzie. – Ale nie porozmawiam z ojcem. Porozmawiam z mamą i poproszę, żeby z nim pogadała.

Dostrzegłam, że zapłonęła pierwsza iskierka nadziei.

– Naprawdę?

Na twarzy mojej siostry rozkwitł olśniewający uśmiech i znów zaczęła płaszać.

– Błagam, Alicjo. Musisz porozmawiać z nią od razu. Nie chcę się spóźnić, a jeśli tata się zgodzi, będziemy musiały wyjść jak najwcześniej, żebym zdążyła na rozgrzewkę z innymi dziewczynami. Błagam. Teeraz!

Usiadłam na kocu i włożyłam jej wianek na szyję.

– Wiesz, że szanse powodzenia są minimalne, prawda?

Kardynalna zasada w domu Bellów: nie wolno opuszczać domu, jeśli oznaczało to powrót po zmroku. Tu, w czterech ścianach, tata stworzył system „zabezpieczeń” przeciwko potworom, tak aby żaden z nich się nie przedostał. Kiedy się ściemniało, człowiek był, krótko mówiąc, uziemiony. Jeżeli ktoś pozostawał na zewnątrz, w wielkim i złym świecie, nie mógł liczyć na jakąkolwiek ochronę i natychmiast stawał się zwierzyną łowną.

Z powodu ojcowskiej paranoi i jego urojeń ominęło mnie mnóstwo zajęć szkolnych i imprez sportowych. Nie byłam nawet na prawdziwej randce. Owszem, mogłam się wybrać na jakąś randkę z lunchem w dzień wolny od nauki albo zafundować sobie coś równie dennego, ale mam być szczerą? Nie zależało mi na chłopaku. Nigdy nie miałam ochoty tłumaczyć, że mój tata jest stuknięty albo że czasem zamyka nas w „specjalnej” piwnicy, którą sam urządził jako dodatkowe schronienie przed nieistniejącymi straszidłami. Tak, fantastyczne.

Em zarzuciła mi ręce na szyję.

– Dasz radę, wiem, że dasz. Możesz wszystko!

Jej wiara we mnie wydawała się zatrwazająca.

– Zrobię, co w mojej mocy.

– Twoja moc... Och, fuj! – Krzywiąc się z przerażenia, odskoczyła ode mnie. – Jesteś cała brudna i mokra. I teraz ja też jestem cała brudna i mokra.

Roześmiana, rzuciłam się w jej stronę, a ona pisnęła i odskoczyła. Godzinę wcześniej polałam się wodą z węża ogrodowego, mając nadzieję na trochę ochłody. Oczywiście nie uprzedziłam o tym siostry. Typowy numer, jaki wykreca się rodzeństwu.

– Zostań tu, dobra?

Wiedziałam, że mama powie coś, co zraniłoby jej uczucia, a ja z kolei powiedziałabym coś, żeby Emma miała wyrzuty sumienia, że mnie prosiła o wstawiennictwo; pewnie by się rozplakała. Nie znosiłam, kiedy płacze.

– Jasne, jasne – zapewniła, unosząc dłonie w geście niewinności.

Miałam wrażenie, że wymuszam na niej to pospieszne zapewnienie. Zamierzała iść za mną i podsłuchiwać. Ta dziewczyna była przebiegła.

– Obiecuj mi.

– Nie mogę uwierzyć, że wątpisz w moją szczerość. – Widać było, że jest nieco oburzona. – To boli, Alicjo. Naprawdę boli.

– Po pierwsze, moje gratulacje. Zrobiłaś znaczne postępy w grze aktorskiej – oznajmiłam, klaszcząc przy tym. – Po drugie, powiedz, co trzeba, bo jak nie, to znów zacznę się opalać, bez powodzenia zresztą.

Uśmiechając się, wspięła się na palcach, wyciągnęła ramiona i obróciła się powoli na jednej nodze. Słońce rzuciło akurat bursztynowy blask, tworząc idealne oświetlenie dla idealnego piruetu.

– Okay, okay, obiecuję. Zadowolona?

– Niepomierne.

Potrafiła być przebiegła, ale nigdy nie łamała danego słowa.

– Niepomierne? Będę udawała, że rozumiem, co to znaczy.

– To znaczy... Och, mniejsza z tym. – Zwlekałam, i wiedziałam o tym doskonale. – Idę.

Z entuzjazmem godnym żołnierza wyznaczonego do plutonu egzekucyjnego wstałam i odwróciłam się w stronę jednopiętrowego domu, który tata zbudował, będąc u szczytu swych konstruktorskich możliwości – brązowa cegła u dołu i drewno w brązowo-białe paski u góry. Rodzaj pudełka, zdumiewająco przeciętnego i stuprocentowo niewartego zapamiętania. Z drugiej strony ojciec twierdził, że o to mu właśnie chodziło.

Klapki uderzały o ziemię w takt mantry, która rozbrzmiewała mi w głowie. „Nie zawal sprawy. Nie zawal sprawy”. W końcu stanęłam pod oszklonymi drzwiami do kuchni i zobaczyłam mamę; przemieszczała się w pośpiechu między zlewem a piecykiem. Obserwowałam ją, czując lekki skurcz w żołądku.

Nie bądź ofiarą. Dasz radę.

Weszłam do środka. W powietrzu unosiła się woń czosnku, masła i przecieru pomidorowego.

– Hej – rzuciłam, mając jednocześnie nadzieję, że nie kulę się ze strachu.

Mama podniosła wzrok znad parującego cedzaka z makaronem.

– Hej, dziecinko. Wróciłaś na dobre czy tylko zrobiłaś sobie przerwę?

– Zrobiłam sobie przerwę.

Z powodu przymusowego uwięzienia nocną porą każdą wolną chwilę dnia spędzałam na dworze, bez względu na to, czy się opalałam, czy nie.

– No cóż, w samą porę. Spaghetti jest prawie gotowe.

– To dobrze.

W czasie letnich miesięcy jedliśmy obiad punktualnie o piątej. W zimie o czwartej. Tym samym, bez względu na porę roku, przed zmierzchem siedziałyśmy w swoich pokojach, całe i bezpieczne.

Ściany zostały wzmocnione jakimś rodzajem stali, a drzwi i zamki były nie do sforsowania. Owszem, te wszystkie zabezpieczenia sprawiały, że nasz futurystyczny loch zwany piwnicą wydawał się czymś zbędnym, ale z wariatem nie ma dyskusji.

Zrób to. Powiedz to.

– Hm... – Przeszłowałam z nogi na nogę. – Dziś są moje urodziny.

Prawie opadła jej szczeka, policzki straciły kolor.

– Och, kochanie... Przepraszam. Nie chciałam... powinnam była pamiętać... zanotowałam to sobie nawet. Wszystkiego najlepszego – dokończyła niezgrabnie. Rozejrzała się, jakby mając nadzieję, że samą siłą woli wyczaruje dla mnie jakiś prezent. – Czuję się okropnie.

– Nie przejmuj się.

– Wynagrodzę ci to jakoś, przysięgam.

I tak zaczynają się negocjacje. Wyprostowałam się.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście.

– To dobrze, bo Emma ma dziś wieczorem występ, a ja chcę go obejrzeć.

Choć mama emanowała niekłamanym smutkiem, potrząsnęła głową, zanim zdążyłam dokończyć.

– Wiesz, że tata się nigdy nie zgodzi.

– Porozmawiaj z nim. Przekonaj go.

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo nie.

Koniec dyskusji.

Kochałam tę kobietę, naprawdę, ale potrafiła przyprawić mnie o frustrację jak mało kto.

– Dlaczego „bo nie”? – spytałam nieustępliwie. Nawet gdyby się rozplakała, nie zamierzałam sobie odpuszczać. Wolałam jej łzy od łez Emmy.

Mama obróciła się z takim samym wdziękiem jak jej młodsza córka i opróżniła zawartość cedzaka do garnka. Para, która wzbiła się w górę, upodobniła ją na chwilę do postaci ze snu.

– Emma zna zasady. Zrozumie.

Tak jak ja musiałam rozumieć, raz za razem, nim się po prostu poddałam? Poczułam przyływ gniewu.

– Dlaczego zawsze to robisz? Dlaczego zawsze się z nim zgadzasz,

skoro wiesz, że jest nienormalny?

– Nie jest...

– Jest! – Tupnęłam, zupełnie jak Emma.

– Cicho – upomniała mnie. – Jest na górze.

Tak, już pijany, mogłam się założyć.

– Nie raz o tym rozmawialiśmy, kochanie. Sądzę, że twój tata widzi coś, czego my nie potrafimy dostrzec. Ale zanim zaczniesz ciskać gromy, zajrzyj do Biblii. Kiedyś nasz Pan i Odkupiciel był prześladowany. Mnóstwo ludzi wątpiło w Jezusa.

– Tata nie jest Jezusem!

Rzadko nawet chodził z nami do kościoła.

– Wiem, i nie o to mi chodzi. Wierzę, że otaczają nas siły. Siły zła i siły dobra.

Nie mogłam wdawać się w kolejną dyskusję z matką na temat dobra i zła. Po prostu nie mogłam. Wierzyłam w Boga, tak jak wierzyłam, że istnieją anioły i demony, ale nigdy nie musieliśmy walczyć ze złem, prawda?

– Szkoda, że się z nim nie rozwiodłaś – mruknęłam i choć zaraz tego pożałowałam, nie zamierzałam przeproszać.

Pracowała w domu przez siedem dni w tygodniu jako archiwistka szpitalna; bezustannie stukała, stukała, stukała na komputerze. W weekendy, tak jak w ten piękny sobotni wieczór, pełniła też funkcję opiekunki ojca, robiąc wszystko, czego wymagał. A przecież zasługiwała na więcej. Była młoda jak na matkę i tak cholernie ładna. Wyrozumiała i żartobliwa. I zasługiwała na to, by to koło niej skakano.

– Większość dzieci chce, by rodzice byli razem – powiedziała, a w jej głosie pojawił się ostry ton.

– Nie jestem jak większość dzieci. Już o to zadbaliście – odparłam jeszcze ostrzejszym tonem niż matka.

Chciałam tylko... chciałam tylko mieć to, co inne dzieciaki. Normalne życie.

Jej gniew ulotnił się w jednej chwili. Westchnęła.

– Alicjo, kochanie, wiem, że to trudne. Wiem też, że chcesz czegoś więcej i pewnego dnia to osiągniesz. Skończysz szkołę, dostaniesz pracę, wyprowadzisz się, pójdziesz na studia, zakochasz się, będziesz podróżować i robić wszystko, czego zapragnie twoje serce. Na razie jednak to jest dom twojego ojca i to on ustala zasady. Będziesz ich przestrzegała i uznawała jego autorytet.

Tekst wyjęty żywcem z podręcznika dla rodziców, z rozdziału pod tytułem: „Co powiedzieć, kiedy nie wiesz, jak poradzić sobie z pytaniem dziecka”.

– Może też – dodała – kiedy już będziesz miała własny dom, uświadomisz sobie, że ojciec starał się nas chronić. Kocha nas, a nasze bezpieczeństwo jest dla niego najważniejsze. Nie możesz z tego powodu żywić do niego nienawiści.

Mogłam się wcześniej zorientować. To gadanie o dobru i złu zawsze krążyło wokół zagadnienia miłości i nienawiści.

– Widziałaś kiedykolwiek choćby jednego z tych jego potworów? – spytałam.

Chwila milczenia. Nerwowy śmiech.

– Odmawiałam odpowiedzi na to pytanie, choć zadawałaś je tysiące razy. Dlaczego sądzisz, że odpowiem na nie dzisiaj?

– Uznaj to za spóźniony prezent urodzinowy, skoro nie zamierzasz dać mi tego, czego naprawdę chcę.

Był to cios poniżej pasa, wiedziałam o tym. Nie przeprosiłam jednak, tak jak wcześniej.

Wzdrygnęła się.

– Nie lubię mówić o tych sprawach z wami, dziewczęta, bo nie chcę, żebyście bały się jeszcze bardziej.

– Nie boimy się – rzuciłam ze złością. – To ty się boisz! – Uspokój się, powiedziałam sobie. Głębokie oddechy... raz... dwa... Musiałam rozegrać to racjonalnie. Gdybym zaczęła świrować, odesłałaby mnie do mojego pokoju i taki byłby koniec naszej rozmowy. – W ciągu tych wszystkich lat musiałas widzieć choćby jednego potwora. Spędzałaś większość czasu z ojcem. Jesteś z nim w nocy, kiedy obchodzi dom z bronią w ręku.

Pewnego razu, kiedy odważyłam się pójść do holu po północy, żeby nalać sobie szklankę wody, ponieważ zapomniałam wziąć ją wcześniej do swojego pokoju, właśnie wtedy to zobaczyłam. Mój tata, ściskając w ręku pistolet, krążył po domu, zatrzymując się przy każdym oknie, by wyrzucić na zewnątrz.

Miałam wtedy trzynaście lat i niemal umarłam na atak serca. A może z powodu zakłopotania i wstydu, bo niewiele brakowało, żebym się złała w majtki.

– Doskonale. Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Nie, nie widziałam ich – oznajmiła, co mnie nie zaszokowało specjalnie. – Ale widziałam zniszczenia, jakie powodują. I zanim spytasz mnie, skąd wiem, że to ich sprawka, powiem ci, że widziałam rzeczy, których inaczej nie da się wyjaśnić.

– Co na przykład?

Zerknęłam przez ramię. Emma usadowiła się na huśtawce i teraz wznosiła się i opadała, nie spuszczając jednak ze mnie sokolego wzroku.

– Nie powiem ci – odparła mama. – Lepiej, żebyś o pewnych rzeczach nie wiedziała, bez względu na to, co powiesz. Nie jesteś jeszcze

gotowa. Dzieciom można dawać mleko, ale nie mięso.

Nie byłam dzieckiem, bla, bla, bla. Zauważyłam, że Emma jest wyraźnie zmartwiona. Zmusiłam się do uśmiechu, a ona natychmiast się rozchmurzyła, jakby wszystko zostało już załatwione. Jakbym nie zawiodła jej pod tym względem już tysiąc razy wcześniej.

Tak jak wtedy, gdy chciała, żebym przyszła na wystawę sztuki w jej szkole, gdzie prezentowano wykonany przez nią globus z papier mâché. Tak jak wtedy, gdy jej zastęp harcerski pojechał na obóz. Albo jak wtedy, gdy setki razy dzwoniła jej przyjaciółka Jenny i pytała, czy Emma może przyjść do niej i zostać na noc. W końcu dziewczyna dała sobie spokój.

Opanuj się... Tym razem nie wolno ci nawalić!

Spojrzałam na matkę. Wciąż stała przy piecyku, obrócona do mnie plecami. Sprawdzała widelcem giętkość makaronu, każde pasemko z osobna, jakby ta czynność była najważniejsza na świecie. Przerabiałymy to już wcześniej. Matka stosowała jak zwykle taktykę uniku i miała w tym wprawę.

– Zapomnijmy o potworach i o tym, co widziałaś i czego nie widziałaś. Dziś są moje urodziny i chcę tylko, żebyśmy poszli obejrzeć występ mojej siostry, jak normalna rodzina. To wszystko. Nic więcej. Nie proszę Bóg wie o co. Jeśli nie starcza ci odwagi, w porządku. Jeśli tacie nie starcza odwagi, też w porządku. Zadzwońię do którejś koleżanki i pójdziemy bez was. – Do miasta jechało się co najmniej pół godziny, więc nie było mowy, by dotrzeć tam na piechotę. – I wiesz co? Jeśli zmusisz mnie do takiego postępowania, to złamiesz serce Emmy, a ja ci tego nigdy nie wybaczę.

Usłyszałam, jak wzdycha głośno, i zobaczyłam, że zeszywniała. Przypuszczam, że moje słowa ją zaszokowały. To ja byłam najspokojniejsza w rodzinie. Rzadko się odgryzałam i równie rzadko wściekałam. Na ogół akceptowałam wszystko bez słowa sprzeciwu.

– Alicjo – powiedziała, a ja zacisnęłam zęby.

Wiedziałam, czego się spodziewać. Odmowy. Poczułam w oczach

piekące łzy straszliwego przygnębienia – łzy, które po chwili spłynęły mi po policzkach. Otarłam je wierzchem dłoni.

– Zapomnij o tym, że ci tego nie wybaczę. Powiem więcej. Znienawidzę cię za to.

Spojrzała na mnie z westchnieniem. Przygarbiła ramiona w geście rezygnacji.

– W porządku. Porozmawiam z nim.

*

Przez cały występ Em dosłownie emanowała blaskiem. Zdominowała scenę bez reszty, spychając innych w cień i nie przejmując się konkurencją. Na dobrą sprawę zawstydziła inne dziewczyny. I nie jest to tylko czeze gadanie dumnej siostry. To niepodważalny fakt.

Wirowała, uśmiechała się i dosłownie olśniewała; wszyscy, którzy na nią patrzyli, byli równie oczarowani jak ja. Bez dwóch zdań. Nim kurtyna opadła po dwóch godzinach, byłam taka szczęśliwa, że omal nie pękłam z dumy. W każdym razie popękały bębenki widzów siedzących przede mną. Klaskałam głośniejsz niż inni i z pewnością gwizdałam tak przeraźliwie, że ktoś mógł doznać wylewu.

Ci wszyscy ludzie musieli się z tym pogodzić. To były najlepsze urodziny w moim życiu. Ten jeden raz Bellowie brali w czymś udział niczym normalna rodzina.

Oczywiście, tata zepsuł wszystko, patrząc bezustannie na zegarek i spoglądając na drzwi, jakby oczekiwał, że lada chwila ktoś wtoczy przez nie bombę wodorową na wózku. Zanim więc publiczność zerwała się z miejsc do owacji na stojąco, byłam z powodu ojca tak spięta, że niemal czułam wibracje w kościach.

Mimo wszystko nie zamierzałam się skarżyć. Był to istny cud, że się w ogóle tu zjawiał. No dobrze, zanim do tego cudu doszło, ojciec wypił butelkę ulubionej whiskey, a potem trzeba było go wcisnąć na tylne siedzenie samochodu. Nieważne, przecież zgodził się obejrzeć występ

Emmy!

– Musimy się zbierać – oświadczył, zmierzając już w stronę wyjścia. Był wysokim mężczyzną, miał sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i górował nad wszystkimi, którzy go w tej chwili otaczali. – Idź po Em. Pospiesz się.

Pomimo jego wad i nałogu kochałam ojca, wiedząc, że nie potrafi zwalczyć tej paranoi, która go prześladowała. Leczył się, ale bez powodzenia. Próbował terapii, która mu nie pomogła, wręcz przeciwnie. Widział potwory, których nie mógł dostrzec nikt inny, i nie chciał przyjąć do wiadomości, że ich nie ma – albo że nie chcą go pożreć i zabić tych, których kochał.

Poniekąd nawet go rozumiałam. Pewnego wieczoru, mniej więcej rok wcześniej, Em płakała z powodu niesprawiedliwości, kiedy to znów nie pozwolono jej pójść na przyjęcie z nocowaniem. Ja z kolei wściekałam się na matkę, ona zaś była tak zszokowana moim nietypowym zachowaniem, że wyjaśniła mi to, co nazwała „początkiem ojcowskiej walki ze złem”.

Tata, jako dzieciak, był świadkiem brutalnego mordu dokonanego na jego ojcu. Mordu, do którego doszło nocą, na cmentarzu, kiedy nasz dziadek odwiedzał grób żony, czyli babki Alicji (to po niej mam imię). To wydarzenie było dla niego straszliwym przeżyciem. Potrafiłam go zrozumieć.

Czy dzięki temu czułam się teraz lepiej? Nie. Był dorosły. Czy nie powinien radzić sobie z problemami jak inteligentny, dojrzały człowiek? Ileż to razy słyszałam: „Zachowuj się jak dorosła osoba, Alicjo”. Albo: „Tylko dziecko by tak postąpiło, Alicjo”.

Moja opinia na ten temat? Życie zgodnie z głoszonymi przez siebie zasadami, ludzie. Ale cóż na dobrą sprawę wiedziałam? Nie byłam dorosłą osobą, która zawsze ma rację; miałam się tylko tak zachowywać. I jeszcze jedno. Piękne drzewo genealogiczne, z którego się wywodziłam. Każda jego gałąź to zbrodnia i chaos. Niezbyt sprawiedliwe.

– Pospiesz się – warknął teraz ojciec.

Mama podeszła do nas szybko i zaczęła go poklepywać pojednawczo.

– Uspokój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze.

– Nie możemy tu zostać. Musimy wracać do domu, tam jest bezpiecznie.

– Pójdę po Em – powiedziałam. Poczułam w piersi pierwsze ukłucia winy. Może żądałam od niego zbyt wiele. I od mamy, która – jak wiedziałam – będzie musiała wyciągać go z samochodu, gdy już znajdziemy się w naszym garażu, zabezpieczonym odpowiednio przed potworami. – Nie martwcie się.

Czułam, jak sukienka płącze mi się wokół nóg, kiedy przepychałam się przez tłum i wsuwałam pospiesznie za kurtynę. Wszędzie roiło się od małych dziewczynek; miały na sobie więcej makijażu, wstążek i błyskotek niż striptizerki, które widywałam w telewizji, gdy skakałam niewinnie po kanałach i natrafiałam przypadkowo na stacje, których nie wolno mi było oglądać. Matki i ojcowie obejmowali swoje córki – wychwalali je pod niebiosa, dawali kwiaty, gratulowali występu. Ja miałam co innego do roboty: chwyciłam siostrę za rękę i ruszyłam naprzód, ciągnąc ją za sobą.

– Tata? – spytała bez jakiegokolwiek zaskoczenia w głosie.

Rzuciłam jej spojrzenie przez ramię. Była blada, a jej złote oczy wydawały się zbyt dojrzałe i świadome jak na tak anielską twarzyczkę.

– Owszem.

– Coś poważnego?

– Niespecjalnie. Nie będziesz musiała się wstydzić.

– Mogę powiedzieć, że się udało.

Też tak uważałam.

Ludzie tłoczyli się i czynili w holu gwar jak stado pszczoł. Niektórzy zwlekali, inni przepychali się do wyjścia. Tam właśnie znalazłam tatę. Stał przy oszklonych drzwiach i przesuwając spojrzeniem po parkingu. Wszędzie umieszczono halogeny, które oświetlały drogę do naszego samochodu, który mama zaparkowała niezgodnie z przepisami na miejscu dla osoby niepełnosprawnej, żebyśmy mogli dostać się do niego bez trudu. Ojciec poszarzał na twarzy, a włosy mu sterczały, jakby bezustannie przeczesywał je palcami.

Mama wciąż starała się go uspokoić. Dzięki Bogu, że zdołała go rozbroić przed wyjazdem z domu. Zwykle, ilekroć zapuszczał się gdzieś dalej, nosił przy sobie broń, noże i gwiazdy ninja.

Gdy tylko się do niego zbliżyłam, odwrócił się i chwycił mnie za ramiona.

– Jeśli zauważysz coś w zaciemnionych miejscach, cokolwiek, bierz siostrę i uciekaj. Słyszysz? Chwyć ją i uciekaj z powrotem do budynku. Zamknij drzwi, schowaj się i wezwij pomoc.

Jego oczy miały barwę metalicznego błękitu i spoglądały dziko, źrenice to zwężały się, to rozszerzały. Moje poczucie winy... no cóż, nie przypominało już niewyraźnego płomyczka, tylko huczący ogień.

– Dobrze – obiecałam i poklepałam go po dłoniach. – Nie martw się o nas. Nauczyłeś mnie, jak się bronić. Pamiętasz? Przypilnuję Em. Bez względu na wszystko.

– Okay – odparł, ale nie wyglądał na usatysfakcjonowanego. – Okay.

Powiedziałam prawdę. Nie zliczę, ile godzin spędziłam z nim na podwórzu za domem, ucząc się, jak powstrzymać napastnika. Oczywiście, chodziło przede wszystkim o to, by moje główne organy życiowe nie stały się posiłkiem dla jakiejś bezrozumnej istoty, no ale samoobrona to samoobrona, prawda?

Mama jakoś zdołała go przekonać, żeby mnie puścił i pozwolił mi wyjść na zewnątrz – w przerażający świat. Przez cały czas ludzie przyglądali się nam ze zdziwieniem, a ja starałam się nie zwracać na to

uwagi. Ruszyliśmy razem, jak jedna rodzina, stawiając pospieszne kroki. Mama i tata szli przodem, ja z Emmą tuż za nimi, trzymając się za ręce; zewsząd otaczała nas muzyka świerszczy niczym niesamowita ścieżka dźwiękowa.

Rozglądałam się, próbując widzieć świat takim, jakim widział go tata. Zobaczyłam długie pasmo asfaltu – kamuflaż? Zobaczyłam morze samochodów – kryjówki? Zobaczyłam w dali las porastający wzgórza – wylęgarnia koszmarów?

Wysoko w górze widniał księżyc w pełni, cudownie przezroczysty. Po niebie wciąż płynęły chmury, pomarańczowe teraz i trochę niesamowite. Czyż to nie... Nie, chyba niemożliwe... Zamrugałam jednak i zwolniłam kroku. Tak. Nie myliłam się. Podążała za mną chmura w kształcie królika. Wyobrażacie to sobie?

– Spójrz na chmury – powiedziałam. – Dostrzegasz coś niezwykłego?

Em milczała przez chwilę.

– Królik...?

– Właśnie. Widziałam go dziś rano. Musiał uznać, że jesteśmy niesamowite.

– Bo jesteśmy.

Tata zorientował się, że zostajemy w tyle, pokonał biegiem dzielący nas dystans, chwycił mnie za nadgarstek i zaczął ciągnąć coraz szybciej, a ja z kolei ciągnęłam Emmę. Wolałam wyłamać jej bark, niż zostawić, choćby na chwilę. Tata nas kochał, ale bałam się trochę, że odjechałby bez nas, gdyby uznał to za konieczne.

Otworzył drzwi samochodu i właściwie wrzucił mnie do środka jak piłkę. Potem to samo zrobił z Emmą i gdy się już usadowiliśmy z tyłu, doszło między nami do wymiany bezgłośnych komentarzy za pomocą ruchu warg.

„Ale zabawa”.

„Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin” – odpowiedziała.

Gdy tylko tata usiadł z przodu, zablokował drzwi od wewnątrz. Za bardzo trzęsły mu się ręce, żeby mógł zapiąć pas, więc dał sobie w końcu spokój.

– Nie jedź obok cmentarza – zwrócił się do mamy. – Ale zawieź nas do domu jak najszybciej.

W pierwszą stronę też ominęliśmy cmentarz – pomimo białego dnia – co wydłużyło i tak już długą drogę.

– Nie martw się.

Zawarczał silnik i mama wrzuciła wsteczny.

– Tato – zwróciłam się do ojca, siląc się na ton rozsądku. – Jeśli wybierzemy dłuższą trasę, to będziemy posuwać się w żółtym tempie. – Mieszkaliśmy w pewnej odległości od dużego i pięknego Birmingham, gdzie ruch uliczny mógł się przerodzić w prawdziwego potwora. – Jazda potrwa o pół godziny dłużej. Nie chcesz chyba, żebyśmy stali po ciemku w korku, i to tak długo?

Wpadłby w taką panikę, że miałybyśmy ochotę zwać z samochodu.

– Kochanie? – zwróciła się do niego mama.

Wyjechała już prawie z parkingu i musiała podjąć decyzję: w lewo albo w prawo. Gdyby skręciła w lewo, nigdy nie dotarlibyśmy do domu. Poważnie. Zmuszona wysłuchiwać ojca przez ponad pół godziny, wskoczyłabym przez okno i z litości wzięłabym ze sobą Emmę. Gdyby mama skręciła w prawo, czekałaby nas krótka jazda, krótki atak niepokoju i szybki powrót do normalnego stanu.

– Pojadę tak szybko, że nawet nie zauważysz cmentarza – zapewniła.

– Nie. Zbyt ryzykowne.

– Proszę, tato – wtrąciłam, uciekając się do manipulacji. Tak jak wcześniej. – Zrób to dla mnie. W dniu moich urodzin. Nie poproszę o nic więcej, obiecuję, choć zapomnieliście i nie daliście mi żadnego prezentu.

– Ja... ja... – Rozglądał się bezustannie, wypatrując w pobliskich drzewach jakiegoś ruchu.

– Błagam. Em musi się szybko położyć do łóżka, bo jak nie, to zmieni się w Lilię z Doliny Cierni.

Tak ją ochrzciliśmy dawno temu, parafrazując tekst biblijny. Kiedy była zmęczona, potrafiła koszmarnie grymasić.

Em wydeła wargi i trzepnęła mnie w rękę. Wzruszyłam ramionami, co w uniwersalnym języku gestów oznaczało: „No cóż, to prawda”.

Tata westchnął ciężko.

– Okay, okay. Tylko... przekrocz barierę dźwięku, kochanie – powiedział, całując mamę w rękę.

– Jasne. Masz moje słowo.

Rodzice wymienili się nieznacznymi uśmiechami. Dostrzegając to, poczułam się jak podglądacz; kiedyś robili to cały czas, ale z upływem lat te uśmiechy stawały się coraz rzadsze.

– No dobrze, ruszamy.

Mama skręciła w prawo i ku mojemu zdumieniu naprawdę starała się przekroczyć barierę dźwięku: zmieniała co chwila pas ruchu, trąbiła na inne samochody, siedziała im na zderzaku.

Byłam pod wrażeniem. Podczas tych nielicznych lekcji jazdy, jakich mi udzieliła, była kłębką nerwów, co sprawiało, że i ja zachowywałam się podobnie. Nigdy nie wybrałyśmy się w dłuższą trasę i nie przekroczyłyśmy prędkości czterdziestu kilometrów na godzinę, nawet poza granicami naszego osiedla.

Cały czas trajkotała, a ja kontrolowałam zegarek w komórce. Minuty upływały, aż w końcu minęło ich dziesięć, bez jakiegokolwiek incydentu. Pozostało tylko dwadzieścia.

Tata siedział z nosem wlepionym w okno, jego niespokojny i przyspieszony oddech zostawiał na szybie ślad pary. Może podziwiał góry, doliny i bujne zielone drzewa w blasku latarni, zamiast wypatrywać potworów.

Tak. Jasne.

– I jak mi poszło? – wyszeptała Emma w moją stronę.

Ścisnęłam jej dłoń.

– Byłaś niesamowita.

Zmarszczyła czoło, ściągając ciemne brwi, a ja wiedziałam, o co chodzi. Podejrzliwość.

– Przysięgasz?

– Przysięgam. Poruszyłaś widownię do żywego. W porównaniu z tobą inne dziewczęta były do niczego.

Zakryła sobie usta, żeby stłumić chichot, a ja dorzuciłam, bo nie mogłam się powstrzymać:

– Ten chłopak, który z tobą tańczył, chciał cię chyba zepchnąć ze sceny, żeby ludzie w końcu spojrzeli i na niego. Słowo daję, wszystkie oczy były skupione na tobie.

Tym razem nie udało jej się powstrzymać wesołości.

– Uważasz więc, że kiedy się potknęłam o własne stopy, to wszyscy to zauważyli.

– Potknęłaś się? Jak to? To nie było zaplanowane?

Przybiła ze mną piątkę.

– Dobra odpowiedź.

– Kochanie – zwróciła się mama do ojca. W jej głosie wyczuwało się napięcie. – Włącz jakąś muzykę, dobrze?

Oho. Pomyślałam, że chce odwrócić uwagę taty od okna.

Wychyliłam się i spojrzałam przez przednią szybę. No tak. Zbliżaliśmy się do cmentarza. Przynajmniej nie było żadnych samochodów w pobliżu, więc nikt nie widziałby, jak ojciec doznaje załamania nerwowego. Wiedziałam, że do tego dojdzie. Niemal wyczuwałam w powietrzu napięcie.

– Żadnej muzyki – odparł. – Muszę się skoncentrować, zachować czujność. Muszę... – Zesztywniał nagle i tak mocno zacisnął dłonie na podłokietniku po swojej stronie, że zbieleły mu kostki.

Upłynęła chwila ciszy, ciężkiej i niczym niezmałconej. Słyszałam jego oddech, coraz szybszy, aż w końcu wrzasnął tak przeraźliwie, że się skuliłam:

– Są tam! Chcą nas zaatakować! – Chwycił kierownicę i szarpnął nią gwałtownie. – Nie widzisz ich? Jedziemy wprost na nich. Zawracaj! Natychmiast.

Samochodem zarzuciło, i to mocno; Emma krzyknęła. Chwyciłam ją za rękę i ścisnęłam, ale tym razem już jej nie puściłam. Serce waliło mi o żebra, skóra pokryła się kropelkami zimnego potu. Obiecałam, że będę jej strzec, i zamierzałam dotrzymać słowa.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniłam ją.

Wstrząsały nią tak silne dreszcze, że sama drżałam.

– Kochanie, posłuchaj – zwróciła się mama do taty uspokajającym tonem. – Nic nam nie grozi w samochodzie. Nikt nie może nas

skrzywdzić. Musimy...

– Nie! Jeśli nie zawrócimy, ruszą za nami do domu! – Tata dostał już całkowitego świra i nie przyjmował niczego do wiadomości. – Musimy zawrócić.

Znowu chwycił kierownicę i znowu nią szarpnął, znacznie mocniej, i tym razem nie zarzuciło nami – tym razem zaczęliśmy się obracać szaleńczo.

W kółko i w kółko, w kółko i w kółko. Ścisnęłam mocniej rękę Emmy.

– Alicja! – krzyknęła.

– W porządku, w porządku – powtarzałam jak mantrę. Świat wirował, rozmazywał się, samochód się ślizgał, tata przeklinał, mama dyszała jak po biegu, samochód przechylał się coraz bardziej na bok, przechylał...

STOP-KLATKA!

Pamiętam, że bawiłyśmy się w to z Emmą. Puszczałyśmy głośno muzykę z iPod'a – łomoczący rock – i kołysałyśmy się jak opętane. Jedna z nas wołała w pewnym momencie: „Stop-klatka!” i trzeba było natychmiast znieruchomieć, zastygnąć w miejscu, zapanować nad śmiechem, aż do chwili, gdy któraś wypowiedziała magiczne słowo, ponownie wprawiające nas w ruch: „Taniec”.

Żałowałam, że nie mogę w tym momencie zawołać: „Stop-klatka!” i zmienić całej tej scenerii i uczestników gry. Ale życie nie jest grą, prawda?

TANIEC.

Unieśliśmy się, przekręciliśmy w powietrzu i uderzyliśmy o asfalt dachem wozu, potem znów się przekręciliśmy. Uszy wypełnił mi dźwięk rozdieranego metalu, pękającego szkła i krzyków przepojonych bólem. Ciskało mną na fotelu do przodu i do tyłu, miałam wrażenie, że mózg

zamienia się w papkę, gdy ciałem wstrząsały uderzenia, pozbawiając tchu w piersiach.

Kiedy w końcu wylądowaliśmy, byłam tak oszołomiona, tak otumaniona, że zdawało mi się, jakbyśmy wciąż byli w ruchu. Przynajmniej krzyki ucichły. Słyszałam tylko dzwonięcie w uszach.

– Mamo? Tato? – Cisza. Żadnej odpowiedzi. – Em?

I znowu nic.

Zmarszczyłam czoło i rozejrzałam się wokół siebie. Wzrok miałam zamglony, czułam coś ciepłego i mokrego na powiekach, ale mimo wszystko widziałam dość dobrze.

To, co zobaczyłam, zdruzgotało mnie.

Krzyknęłam. Mama była pocięta na kawałki, jej ciało oblepiała krew. Emma spoczywała bezwładnie na swoim miejscu, głowę miała przekrzywioną pod dziwacznym kątem, policzek rozdarty. Nie. Nie, nie, nie!

– Tato, pomóż mi. Musimy wydostać je z samochodu!

Cisza.

– Tato?

Zaczęłam go szukać – i uświadomiłam sobie, że nie ma go w wozie. Przednia szyba zniknęła, on sam zaś leżał bez ruchu na kawałkach szkła kilka metrów dalej. Nad jego ciałem stało trzech ludzi widocznych w blasku reflektorów.

Nie, to nie byli ludzie, jak sobie uświadomiłam. Nie mogli być ludźmi. Odznaczeni się obwisłą, ospowatą skórą i mieli na sobie brudne, postrzępione łachmany. Włosy zwieszały się strąkami z plamiastych czaszek, a zęby wydawały się tak ostre, gdy... gdy... rzucili się na mojego ojca i zniknęli w jego wnętrzu, by unieść po chwili głowy i... i... pożerać go.

Potwory.

Walczyłam o wolność, rozpaczliwie próbując zabrać Em w bezpieczne miejsce – Em, która nie poruszała się i nie krzyczała – chcąc dotrzeć do taty, pomóc mu. Szarpiąc się, uderzyłam głową o coś twardego i ostrego. Poczułam rozdzierający ból, ale wciąż walczyłam, choć moja siła słabła, a oczy przygasały...

A potem Alicję ogarnęła nieprzenikniona noc. I nic już nie wiedziałam.

W każdym razie przez jakiś czas...

Nie żyli. Moja rodzina nie żyła. Odeszła. Wiedziałam o tym, gdy tylko ocknęłam się na szpitalnym łóżku, a pielęgniarka, która stała nade mną, unikała mojego wzroku i nie chciała mi powiedzieć, gdzie są moi bliscy.

Kiedy zjawił się lekarz, żeby przekazać wiadomości, odwróciłam się na bok i zamknęłam oczy. To był sen. Koszmarne sen, z którego miałam się obudzić. Wierzyłam, że wszystko będzie okay, kiedy się obudzę.

Nigdy się nie obudziłam.

Jak się okazało, wrak samochodu zabił moją mamę, mojego tatę i moją... moją... Nie byłam w stanie o niej myśleć. Po prostu nie byłam w stanie. Powiem więc inaczej. Wrak, który zabił moją rodzinę, nie spowodował poważniejszych obrażeń, jeśli chodzi o mnie. Wstrząśnienie mózgu, kilka pękniętych żeber, ale to wszystko. I wydawało się to takie niesprawiedliwe, wiecie? Powinnam być pocięta na kawałki, jak moja matka. Powinnam być od stóp do głów spowita w gips. Cokolwiek.

A mimo to, pomimo paru drobnych obrażeń i obolałych miejsc, tak naprawdę wyszłam z tego bez szwanku.

Bez szwanku. No właśnie.

Dziadkowie ze strony matki odwiedzili mnie kilkakrotnie, oplakując rodzinę, którą utracili. Widziałam się z nimi dwa tygodnie wcześniej, kiedy mama zabrała mnie i moją... Zadrżała mi broda, ale zacisnęłam zęby, by nad sobą zapanować. Kiedy zabrała nas ze sobą, jadąc w odwiedzinę. Spędziliśmy tam tylko kilka godzin, wystarczająco długo, by zjeść lunch i uciąć sobie beztroską, zabawną rozmowę.

Choć babcia i dziadek lubili mnie i zawsze dobrze traktowali, nigdy

nie byłam ich faworytką; sędzę, że za bardzo przypominałam ojca, który nigdy nie wydawał im się dość dobry dla ich jedyne dziecko.

Mimo wszystko nie zamierzali mnie porzucić w potrzebie, jak oznajmili. Powiedzieli, że przeniosę się do nich i że wszystkiego dopilnują.

Miałam teraz mieszkać w jednopiętrowym domu, równie niepozornym jak ten, w którym dotąd żyłam, zupełnie mi jednak obcym. I którego nie zbudował mój ojciec, i który nie został odpowiednio zabezpieczony przed potworami. Ale to nie miało większego znaczenia. Nigdy nie nocowałam u przyjaciółki, nigdy nie spałam w innym łóżku niż własne. Tak, nie miało to znaczenia.

Powinłam się przejmować, chciałam się przejmować, ale byłam wydrażona... pusta... tylko skorupa, nic więcej.

Lekarze i pielęgniarki powtarzali po tysiackroć „przykro mi” i „wszystko będzie dobrze”. Słowa w rodzaju „świetnie”. Wyrazy tak pozbawione sensu. Było im przykro? I co z tego. Nie zrobili nic, by przywrócić życie mojej rodzinie. „Będzie dobrze”? Żarty. Wiedziałam, że nigdy nie będzie dobrze.

Co zresztą wiedzieli o utracie ludzi, których kochali? Co wiedzieli o samotności? Kiedy ich dyżur dobiegał końca, szli do domu. Ściskali dzieci, zasiadali do stołu i mówili o tym, jak minął im dzień. A ja? Nie dane mi już było doświadczyć czegoś tak prostego.

Nie miałam matki.

Nie miałam ojca.

Nie miałam sios... rodziny.

Do diabła, sędzę, że utraciłam nawet normalność. Te potwory...

Zjawili się policjanci, także pracownica opieki społecznej i terapeuta. Wszyscy chcieli wiedzieć, co się wydarzyło. Policjantów interesowało zwłaszcza to, czy moich rodziców zaatakowała wataha dzikich psów.

Dzikie psy. Nie widziałam tam żadnych psów, ale coś takiego wydawało się o wiele sensowniejsze niż to, co zobaczyłam na własne oczy.

Nie powiedziałam jednak nawet słowa. Dachowaliśmy i rozbiliśmy się. Władze wiedziały tylko tyle i to wystarczało. Nigdy w życiu nie wspomniałabym o potworach; nie miałam powodu. Tę halucynację spowodował uraz głowy, bez dwóch zdań.

Nigdy nie zamierzałam wspominać o tym, że moja mama była ze mną w samochodzie, kiedy po raz pierwszy po utracie przytomności otworzyłam oczy. A gdy otworzyłam je po raz drugi? Jej ciało znajdowało się poza autem, w blasku reflektorów, tak jak wcześniej ciało ojca, podrygiwało i wiło się, gdy te istoty zanurzały się w niej, znikając na niekończące się sekundy, by wyłonić się po chwili i zaczerpnąć powietrza. Jej skóra pokrywała się bąblami, jakby się paliła i czerniała, nim została rozerwana i trysnęła krwią.

Choć starałam się ze wszystkich sił, nie mogłam się wyswobodzić i pospieszyć jej z pomocą. Pas, którym byłam przypięta, zablokował się, trzymając mnie uparcie w miejscu. I gdy potwory skupiły na mnie swoją uwagę, gdy zaczęły przewiercać mnie spojrzeniem złych oczu, gdy postąpiły krok, dwa kroki w stronę samochodu, wpadłam w panikę, starając się rozpaczliwie ochronić... drugą bliską mi osobę z rodziny.

Zanim jednak któraś z nas została zaatakowana – przez dzikie psy, jak sobie teraz wmawiałam – nadjechał inny samochód, a bestie uciekły, choć „uciekły” nie jest najtrafniejszym określeniem. Niektóre biegly, inne sunęły. Potem już niewiele pamiętam. Tylko oderwane pojedyncze obrazy. Oślepiające światło w oczach. Dźwięki, jakby zgrzyt metalu, i mężczyzn krzyczących do siebie. Potem parę silnych dłoni, które mnie podniosły, coś ostrego w ramieniu i coś, co nakładano mi na nos. A później już nic.

– Hej, ty jesteś Alicja, prawda?

Otrząsnęłam się z tych mglistych zniechęconych wspomnień i obróciłam głowę w stronę drzwi. Zobaczyłam ładną dziewczynę, mniej więcej w moim wieku, która weszła do pokoju. Miała proste ciemne włosy, duże piwne oczy okolone czarnymi rzęsami i karnację

w doskonałym odcieniu opalenizny. Była ubrana w podkoszulek z długimi rękawami i napisem „Tu mieszka geniusz”, opatrzonym strzałką skierowaną do góry, i minispódniczkę, która ledwie trzymała się jej na biodrach. Bardziej pasowałoby określenie „dół od kostiumu kąpielowego”.

Nie muszę nadmieniać, że moja cienka jak papier koszula szpitalna z nierównymi wstążkami nie mogła się równać z jej strojem.

– Jestem Ali – odparłam. Pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam od niepamiętnych, zdawało się, czasów. Drapało mnie w gardle, głos miałam chrapliwy. Nie chciałam, by znów się tak do mnie zwróciła: Alicja. Ostatnią osobą, która to zrobiła, była... mniejsza z tym. Po prostu nie chciałam i powtórzyłam: – Jestem Ali.

– Świetnie. Ja jestem Kathryn, ale wszyscy mówią mi Kat. Tylko nie mów na mnie Kot, bo cię podrapię. – Pomachała palcami. – Prawdę mówiąc, już dawno przestałam miauczeć.

Miauczeć?

– Domyślam się, że nazywanie cię Pretty Kitty nie wchodzi w rachubę. – Nie wiem, skąd wziął mi się ten nagły przyływ dobrego humoru, ale nie zamierzałam z nim walczyć. Energię i siły musiałam skupić na zwalczaniu wszystkiego innego.

Jej wargi wykrzywił grymas trochę przypominający uśmiech.

– Ha, ha. – Uniosła się na obcasach płynnym, pełnym wdzięku ruchem. – No dobrze, a teraz co do mojej wizyty. Zaczniemy na początek od informacji. Moja mama tu pracuje, wzięła mnie dzisiaj ze sobą. Powiedziała, że przyda ci się przyjaciółka albo coś równie tragicznego.

– Czuję się świetnie – wyjaśniłam pospiesznie. Znowu to głupie słowo. „Świetnie”.

– Wiem, wiem. Oznajmiłam jej to samo. – Kat podeszła, podsunęła jedyne krzesło w pokoju do łóżka i usiadła na nim. – Poza tym ludzie nie otwierają się przed obcymi. Byłoby to dziwne. No ale to moja mama, a ty najprawdopodobniej potrzebujesz ramienia, na którym mogłabyś się

wypłakać, więc co miałam zrobić? Odmówić? Nawet ja nie jestem tak okrutna.

Nie potrzebowałam jej współczucia.

– Możesz przekazać mamie, że byłam niegrzeczna i wykopałam cię z pokoju.

– Nie mówiąc już o tym – ciągnęła, jakby nie słysząc moich słów – życie jest zbyt krótkie, by pławić się bezustannie w żalu. Zresztą przekonałaś się już chyba, jak wspaniałe jest moje towarzystwo. I wiesz co? Mam miejsce na numer w komórce, wiesz, pięć ulubionych osób. Szukam kogoś, kto wylądjuje na samym szczycie. Potraktujmy tę rozmowę jako twój sprawdzian.

Nie wiem dlaczego, ale ta jej gadanina znów przywróciła mi dobry humor. Nie mogłam się powstrzymać od uwagi:

– Traktujesz to poważnie.

– Oczywiście. – Poprawiła włosy. – Nie chcę się przechwalać, ale jestem bardzo wymagająca. Emocjonalnie i w ogóle.

– Och, myślałam, że nie należy z tym przesadzać.

– Wręcz przeciwnie. Musisz to sobie zakonotować, i to dobrze. Złota zasada. – Po czym niemal natychmiast dodała: – Przekonajmy się, czy pasujemy do siebie. Zgoda?

No dobra. Trzeba było to zrobić. Iść na całego. Zobacz, jak Alicja udaje, że wszystko jest super.

– Zgoda.

– Więc... straciłaś wszystkich? – spytała.

To się nazywa walić prosto z mostu. Ale przynajmniej nie bawiła się w grzecznościowe frazesy i nie bała się poruszyć wiadomego tematu. Może dlatego odpowiedziałam gardłowym „tak”. To było więcej, niż

ktokolwiek dotąd ode mnie usłyszał.

– Koszmarna sprawa.

– Owszem.

– Będiesz to jadła? – Wskazała pojemnik z budyniem waniliowym, który ktoś mi wcześniej przyniósł.

– Nie.

– Super. Umieram z głodu. – Skonfiskowała z szerokim uśmiechem budyń i łyżeczkę, po czym znów rozsiadła się na krześle. Spróbowała szpitalnego przysmaku, co sprowokowało pomruk zadowolenia. – A teraz posłuchaj i powiedz mi, czy się zgadzasz.

– Uhm, okay.

Miałam wrażenie, że mruknię „uhm” jeszcze wiele razy, nim nasza rozmowa dobiegnie końca. Nawet siedząc w miejscu, przypominała wir energii, a ja nie miałam pojęcia, jak nad nim zapanować. Po kolejnej porcji budyniu oznajmiła:

– No dobra. Widzisz, ja i mój chłopak postanowiliśmy spędzić razem wakacje, choć musiał pojechać i odwiedzić jakąś rodzinę, Bóg wie gdzie. Tak mi przynajmniej powiedział. W każdym razie wszystko było z początku okay, no bo wiesz, rozmawialiśmy co wieczór, i nagle, bum, przestał dzwonić. No to ja zaczęłam do niego wydzwaniać i posyłać mu esemesy, jak dobra dziewczyna, i wcale go nie prześladowałam, przysięgam, bo dałam sobie spokój po jakiejś trzydziestej próbie. Mija tydzień, a on nagle do mnie dzwoni, kompletnie pijany: „Hej, dziecinko, tęsknię za tobą, co masz na sobie? ”, jakbyśmy się właśnie widzieli i jakby świata za mną nie widział.

Milczenie.

Przyglądała mi się wyczekująco, racząc się kolejną porcją budyniu. Kusilo mnie, żeby rozejrzeć się po pokoju i upewnić, że to wszystko było skierowane do mnie. Tych kilka przyjaciółek, jakie udało mi się znaleźć,

opowiadało oczywiście o swoim życiu i chłopakach, ale żadna nie robiła tego w ciągu minuty albo z takim zamięłowaniem do szczegółu.

– No? – ponagliła.

Ach, racja. Nadszedł prawdopodobnie moment, w którym oczekiwała mojego werdyktu. Zgodzić się albo się nie zgodzić.

– Mam się zgodzić?

– Właśnie! I słuchaj tego. Użył w stosunku do mnie niewłaściwego imienia. Nie podczas seksu ani nic w tym rodzaju, bo gdyby tak było, to bym go zabiła, a on byłby za bardzo martwy, żeby cokolwiek wyjaśniać, ale przez telefon, podczas naszej ostatniej rozmowy.

Potrzebowałam chwili, żeby przeanalizować wszystko, co powiedziała, i skupić się na właściwym aspekcie sprawy.

– To wkurzające? – Chciałam, by zabrzmiało to jak stwierdzenie, ale znów skończyło się na tym, że zadałam pytanie.

– Wiedziałam, że skapujesz, o co mi chodzi. Jakby nas rozdzielono zaraz po porodzie, mnie i ciebie. W każdym razie skończyliśmy właśnie rozmawiać, to znaczy ja skończyłam pierwsza, po prostu się rozłączyłam, tak jak trzeba, bez słowa, za co wciąż się podziwiam, a moja komórka znów dzwoni i on mówi cały w skowronkach: „Hej, Rina”. Od kiedy to jestem Rina? Dzwonisz do jakiejś Riny? Co to ma znaczyć? Zaczyna kręcić, ale ja już wiem. To drań i dziwkarz. Kończę z nim.

– Doskonale. – No, no. Nie mogłam się nadziwić. Byłam zdolna do wyrażenia bezwarunkowej opinii. – Oszuści to śmiecie.

– Gorzej niż śmiecie. Kiedy zaczniesz się szkoła, dam sobie spokój z tym chłopakiem, i to w sposób dla niego bardzo przykry. Obiecał mnie kochać, i tylko mnie, zawsze, przez całą wieczność, nawet dłużej, i musi zapłacić za kłamstwo. Niech oberwie za to Rina i mam nadzieję, że umrze na jakąś straszną chorobę, którą się od niego zarazi. Nie jest warta mojego cennego czasu.

Szkoła. O rany. Kolejny aspekt mojego życia, który miał się zmienić.

– Do jakiej szkoły chodzisz? – spytałam.

– Asher High. Wiesz, najlepsza pod słońcem.

– Moi rodzice tam chodzili.

Po co o nich wspominałam? Zacisnęłam palce na pościeli, żałując, że nie da się cofnąć tych słów. Mogłam udawać normalność, ale tylko pod warunkiem, że rozmowa nie będzie dotyczyła niczego osobistego.

– A ty? – spytała, nie zwracając uwagi na moją wpadkę.

Dobrze. Bardzo dobrze.

– Carver Academy.

Ale już nie. Moi dziadkowie mieszkali przecież w rejonie Asher High, jak sobie uświadomiłam. Domyśliłam się, że po wakacjach będę znacznie częściej widywać Kat. Już otworzyłam usta, żeby jej o tym powiedzieć, i równie szybko je zamknęłam. Nie było powodu rozniecać tego ognia.

– Astro Jet, co? Wasza drużyna szkolna? – upewniła się. – Skopaliśmy wam tyłki w zeszłym roku. Na boisku i na parkiecie. Górą Tygrysy! To nasi. Jestem pewna, że płakaliście rzewnymi łzami, więc teraz ostrzeżenie dotyczące tego roku. Znowu przegracie i znowu będziecie płakać. Przykro mi. Im prędzej pogodzisz się z tą myślą, tym lepiej to zniesiesz. – Dokończyła budyń, po czym wzięła bez żenady moją szklanę z wodą, odsunęła słomkę na bok i napiła się wprost z naczynia. – No więc, masz chłopaka?

– Nie.

Uniosła ciemną brew, a jej usta pokryte przezroczystym błyszczkiem wysunęły się znacząco.

– Dziewczyne?

– Nie.

– Kiepsko. Nie chodzi o dziewczynę, choć byłoby niesamowicie, bo byłabyś moją pierwszą lesbijską przyjaciółką, a ja nie musiałabym się martwić, że mi skradniesz faceta, jak ta zdzira Rina. Chodzi mi o chłopaka. Umówiłabyś mnie z którymś z jego przyjaciół, a wtedy mogłabym posłać mojemu byłemu jakieś fotki naszego udawanego, cholernie gorącego romansu. No dobra, chcesz, żebym zwędziła gdzieś wózek i zabrała cię stąd? Mogłybyśmy wybrać się do stołówki i zafundować sobie hamburgera. Nie są tu najlepsze, ale ten budyń zaostriął mi apetyt i muszę coś zjeść. Aha, tak na przyszłość, jak jestem głodna, to zaczynam świrować.

Opuścić ten pokój? Wejść w świat?

– Nie, dzięki. – Oparłam się wygodniej o stos poduszek i zmusiłam do ziewnięcia. – Jestem trochę zmęczona.

Uniosła dłonie w geście niewinności i zrozumienia, co przypomniało mi... i wstała z krzesła.

– Nie mów nic więcej. Kapuję. Spadam, żebyś mogła odpocząć. – Zbliżyła się do drzwi, ale przystanęła i spojrzała na mnie. – Wiesz, chyba cię polubię, Ali Bell. Muszę odwiedzić cię jeszcze kilka razy, żeby się upewnić, ale owszem, myślę, że będziemy nierozłączne i że zajmiesz pierwsze miejsce na mojej liście pięciu najbardziej ulubionych osób.

I wyszła.

*

Jak się okazało, spędziłam w szpitalu jeszcze tylko jedną noc. Nie widziałam się z Kat do końca lata, i chyba dobrze. Była miłą dziewczyną, a ja kiepskim towarzystwem; gdyby spędziła ze mną więcej czasu, mogłaby zmienić zdanie co do mojej przydatności. „Nierozłączne” zmieniłoby się w „proszę, proszę, proszę, nigdy się już do mnie nie zbliżaj”. Miałam wątpliwości, czy zaliczałyby mnie do Ulubionej Pięćdziesiątki.

Chyba się domyślacie, że byłam przygnębionym, neurotycznym osobnikiem.

Ku mojej konsternacji dziadkowie przejrzeni te zapewnienia w rodzaju „nic mi nie będzie” i poświęcili godziny, dni, tygodnie, żeby mnie podnieść na duchu. Byli wspaniałymi ludźmi, naprawdę, ale wiem, że przyprawiałam ich o frustrację.

Powinłam płakać, mówili. Nie zdobyłam się na to, by im powiedzieć, że moje łzy nie popłyną. Każdego dnia czułam, jak palą mnie oczy, ale nigdy nie popłynęły. Nie chciałam płakać. Gdzieś w głębi ducha zaakceptowałam, że zasługuję na cierpienie i na to, by kipieć wewnętrznym gniewem.

Prawdę mówiąc, zasługiwałam na coś gorszego.

Kiedy zaświtał dzień pogrzebu, wprawiłam wszystkich w osłupienie, włącznie ze sobą: poprosiłam, by pozwolono mi nie brać w tym udziału. Nie mogłam znieść myśli, że ujrzę miejsce, w którym moja rodzina spędzi resztę wieczności i w którym będzie gniła przez lata, nim zniknie całkowicie. I choć należało to uznać za „gorsze”, mimo wszystko chciałam ich zapamiętać takimi, jakimi byli niegdyś: żywymi i pełnymi energii ludźmi. Ale oczywiście moi dziadkowie nie chcieli o tym słyszeć.

Kiedy jechaliśmy na pogrzeb, siedziałam z tyłu. Tego dnia byli ubrani od stóp do głów w czern, tak jak ja. Kupili mi nową wspaniałą sukienkę. Naprawdę nie chciałam, by zadawali sobie tyle trudu albo narażali się na takie wydatki. Wolałabym włożyć na siebie worek po ziemniakach. Był to okropny dzień i pragnęłam, by mój strój to odzwierciedlał.

Nie chciałam jednak myśleć o sobie. Babcia związała kasztanowe i długie do ramion włosy w luźny kok, który odsłonił bladość jej policzków. Ścisnęła w drżącej dłoni chusteczkę higieniczną i bezustannie ocierała wilgotne oczy. Ona też straciła rodzinę, jak byłam zmuszona się upomnieć. Nie tylko ja cierpiałam. Powinłam jej pomóc w tej chwili ogromnej straty, zachowywać się tak, jak tego po mnie oczekiwała, ale... po prostu nie mogłam.

– Chcesz powiedzieć parę słów, by oddać cześć... hm... zmarłym? – spytał dziadek, odchrząknawszy uprzednio. Jego siwiejące włosy tak bardzo rzedły na skroniach, że tworzyły na czole wyrazisty trójkąt. Reszta wypadła i biedak paradował z łysiną. Jak bardzo moja mama lubiła sobie z niego żartować. – Ali?

Nie musiałam się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Nie, dziękuję.

Babcia odwróciła się do mnie. Powieki miała spuchnięte, skóra pod spodem była upstrzona czerwonymi plamkami, a makijaż rozmazany. Musiałam spojrzeć w inną stronę. Te złociste oczy, w których dostrzegałam ból, wydawały mi się zbyt znajome.

– Jesteś pewna? – spytała. – Wiem, że twoja matka chciałaby...

– Jestem pewna – rzuciłam pospiesznie. Myśl, że mogłabym stać przed wszystkimi i dzielić się z nimi najcenniejszymi wspomnieniami, przyprawiała mnie o zimne poty. Wykluczone. Po prostu wykluczone.

– To twoja szansa, by się z nimi pożegnać, Alicjo – powiedziała łagodnym tonem.

Pomyślałam, że zaraz dostanę mdłości.

– Mów mi Ali. Proszę. I... i nie mogę się z nimi pożegnać.

Nigdy nie zamierzałam się z nimi żegnać. Wciąż, jakąś cząstką siebie, czepiałam się myśli, że się obudzę i odkryję, że to tylko koszmar senny.

Westchnęła ze znużeniem i znów skupiła uwagę na drodze przed maską samochodu.

– W porządku. Nie wydaje mi się, by było to rozsądne, ale trudno.

– Dziękuję – odparłam, odczuwając ulgę i rozsiadając się wygodnie.

Pozostała część podróży upłynęła w milczeniu, czasem tylko ktoś pociągnął nosem. Czego bym nie dała za swojego iPod'a... Puściłabym sobie Skilleta albo Reda i udawała, że tańczę z... ze sobą. Ale nie pojechałam do domu, żeby zabrać rzeczy. Nie chciałam tam wracać. Babcia mnie wyręczyła, a że była zaprzysięgłym technofobem, nie miała prawdopodobnie pojęcia, do czego służy to małe urządzenie.

W końcu dotarliśmy na miejsce i ruszyliśmy w stronę miejsca pochówku. Nie zaplanowano nabożeństwa. Wszystko miało się odbyć tutaj. I nie było to w porządku. Matka uwielbiała chodzić do kościoła, a tata nienawidził cmentarzy i umarł w pobliżu jednego z nich – właśnie tego, dla makabrycznej ścisłości – a oni zamierzali go tu pochować? Wydawało się to koszmarnie niewłaściwe i wkurzało mnie jak diabli.

Powinno się go skremować. Ale co na dobrą sprawę wiedziałam? Byłam tylko córką, która pomogła go zabić.

Teraz, w blasku dnia – choć trudno o czymś takim mówić – przyglądałam się miejscu, które zniszczyło jego życie. Niebo pociemniało, a w powietrzu wisiała mżawka, jakby świat opłakiwał to, co utracił. Choć nie miałam nic przeciwko temu, tacie by się to nie podobało. Kochał słońce.

Ten pagórkowaty kawałek ziemi był zadrzewiony; obok niektórych nagrobków rosły nieliczne krzewy. No i były kwiaty o wszelkich barwach, jak okiem sięgnąć.

Wiedziałam, że pewnego dnia w pobliżu mogił moich bliskich też wyrosną krzewy i kwiaty, ale teraz były tylko trzy duże, puste doły, czekające na zamknięte trumny.

I znów zaczęłam wysłuchiwać tych wszystkich i zbyt licznych „przykro mi” i „wszystko będzie dobrze”. Pieprzyć to. Zamknęłam się w sobie, ignorując słowa, które padały w czasie ceremonii, i po prostu się rozglądałam.

Otoczający mnie ludzie płakali w chusteczki. Byli tam państwo Flanagan, moi dawni sąsiedzi, i ich syn Cary. Był miłym chłopcem, trochę

starszym ode mnie. Nie pamiętam, ile razy myślałam o tym, że gdybym była normalną dziewczyną z normalnym życiem, siedziałabym przy oknie i patrzyła na jego dom, wyobrażając sobie, że przychodzi do mnie i zaprasza na randkę. Ile razy wyobrażałam sobie, że idziemy na kolację, a potem odprowadza mnie pod drzwi i całuje. Mój pierwszy pocałunek. Wyobrażałam sobie, jak mówi, że mnie lubi i że nie obchodzi go, jak zwariowana jest moja rodzina.

Nigdy tak się nie stało.

Teraz posłał mi smutny uśmiech, a ja odwróciłam wzrok.

Kiedy pastor skończył swoje, a moi dziadkowie wygłosili stosowne mowy, wszyscy zebrali się w małych grupkach; rozmawiali i dzielili się opowieściami. Zbyt wielu skupiło się wokół mojej osoby, poklepywali mnie po ramionach i obejmowali. Nie potrafiłam tego docenić ani zrewanżować im się takim samym gestem. Nie miałam siły udawać, tak aby nikogo nie urazić.

Chciałam leżeć w swoim łóżku, zakopana pod kołdrą, próbując sobie wyobrazić, że moje życie wygląda jak dawniej.

– Była takim szczęśliwym dzieckiem, prawda? – powiedział ktoś obok mnie. Kobieta, której nie potrafiłam sobie skojarzyć, ale którą musiałam już wcześniej gdzieś widzieć, patrzyła na najmniejszą trumnę. Po jej policzkach ściekały łzy. – Będzie nam jej brakowało. Pamiętam, jak raz...

Gadała bez końca. Stałam tam i czułam, że brakuje mi tchu. Otworzyłam usta, chcąc jej powiedzieć, żeby się przymknęła, ale głos odmówił mi posłuszeństwa. Próbowałam odejść na bok, tkwiłam jednak uparcie w miejscu, jakby ktoś zalał cementem moje stopy.

– I raz, w szkole, kiedy pomogła...

W moich uszach rozległo się głośnie dzwonienie; nie byłam w stanie zrozumieć pojedynczych słów. Nie miało to znaczenia. Wiedziałam, o czym mówi, wiedziałam też, że jeśli nie zejdzie mi z oczu, to stracę panowanie nad sobą. Już i tak spadałam w jakąś otchłań, krzycząc

bezgłośnie.

– ...a inne dziewczęta wprost ją uwielbiały...

Boże! Coraz głębiej w otchłań, niepowstrzymanie...

Zasłużyłam na to, upomniałam się w myślach. To było moje „coś gorszego”. Słowa, które wypowiedziałam, i upór zabiły moją rodzinę, sprawiły, że trafiła do tych drewnianych skrzyń. Gdybym zachowała się inaczej, moi bliscy wciąż by żyli. Ale nie zrobiłam tego i teraz tu byłam. A oni byli tam.

– ...jej talent, jej duch były wyjątkowe i wspaniałe, i ja...

Otchłań ciskała mnie na wszystkie strony, rozcinała na kawałki, niszczyła mnie. Pomyślałam, że ta kobieta musi się zamknąć. Po prostu musi. Zamknij się. Miałam wrażenie, że moje serce utknęło między żebrami, że nie może uderzać normalnie. Przyszło mi do głowy, że jeśli ta kobieta nie zamilknie, to umrę. Wiedziałam, że umrę.

– ...mówiła mi, że chce być taka jak ty, kiedy dorośnie. Tak bardzo cię podziwiała...

Zamknij się, zamknij się, zamknij się! Ona jednak gadała jak nakręcona i opowiadała mi o mojej... siostrze...

...o Emmie...

Emma... Nie ma... mojej lilii... nie ma...

Obiecałam jej strzec. I zawiodłam.

Z mojej krtani dobył się krzyk, potem jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Przestałam dostrzegać to, co mnie otaczało, zatkałam sobie uszy, by nie słyszeć najczystszej przerażenia w swoim głosie, i osunęłam się na kolana.

Nie, nie tylko na kolana. Runęłam w dół, w dół, w dół, w głąb otchłani, w bezdenną studnię rozpacz, wciąż krzycząc i krzycząc,

pochłaniana przez żal, zalewana falą smutku.

Poczułam dotyk dłoni, ale nie uspokoił mnie. Krzyczałam tak głośno i tak długo, że w końcu załamiał mi się głos. Krztusiłam się i dławiłam, po policzkach spływały łzy, wzbierały wokół mnie niczym sadzawka nieszczęścia. Płakałam tak niepowstrzymanie, że szloch wstrząsał moim ciałem, a spuchnięte oczy nie chciały się otworzyć. Nie mogłam oddychać, nie chciałam już dłużej oddychać. Śmierć przyniosłaby ulgę.

Nie wiem, co się potem stało. Po raz drugi w życiu straciłam przytomność. I być może nie ocknęłabym się...

*

Ale, oczywiście, się ocknęłam. W dniach, które następowały po sobie, próbowałam się pocieszać, że najgorsze, co mogło mi się przytrafić, już mi się przytrafiło. Duża niespodzianka – nie pomogło. Ale w pewnym momencie przyjął wreszcie do wiadomości, że to nie żaden koszmar. To była moja nowa rzeczywistość; pomyślałam, że zrobię lepiej, jeśli nauczę się radzić z nią sobie, bo w przeciwnym razie łzy nie przestaną nigdy płynąć.

Każdego wieczoru siedziałam na parapecie okna w swoim pokoju i patrzyłam na nowe podwórze. Pół akra drzew, kwiatnych pagórków i palisadowego ogrodzenia wyznaczającego granice posiadłości. Za ogrodzeniem wznosiło się wzgórze skąpane w srebrnym blasku księżyca, ale z powodu ostrego nachylenia terenu nie mogłam dostrzec niczego z wyjątkiem masywnych i strzelistych pni.

Byłam zmęczona, ale nie chciałam spać. Ilekroć zasypiałam, śnił mi się wypadek. Wolałam spędzać czas na poszukiwaniach ojcowskich potworów, nie bardzo wiedząc, czego pragnę dowieść – że istnieją czy też nie – i wspominając te chwile, kiedy tata robił to samo.

Nosił broń, choć nigdy nie słyszałam, by jej użył. Teraz się zastanawiałam siłą rzeczy, czy pomogłaby w czymkolwiek. Potwory przenikały ludzką skórę jak duchy albo demony, co do których miałam tyle wątpliwości.

To śmieszne. Potwory nie były realne.

A jednak, kilkakrotnie od czasu wypadku, byłam pewna, że zauważyłam jednego.

Jakby na zawołanie, poruszyły się krzewy. Pochyliłam się, dotykając nosem szyby. Prawdopodobnie wiatr, pomyślałam w chwili, gdy konary drzew poruszyły się niepokojąco. Konary, nie ramiona. I liście, nie dłonie. Z pewnością.

Moją uwagę przykuł błysk bieli; przełknęłam z wysiłkiem. To nie była przygarbiona kobieta przemykająca między drzewami, lecz jeleń. To musiał być jeleń, ale...

Jelenie nie noszą ślubnych sukni.

Uderzyłam pięścią w szybę i kobieta – jeleń – umknęła, kryjąc się szybko pośród drzew. Czekałam kilka długich minut, ale ta osoba – to zwierzę – nie pojawiła się ponownie.

Zanim wzeszło słońce, moje powieki przypominały papier ścierny. Pomyślałam, że trzeba z tym skończyć, przestać się torturować. W przeciwnym razie musiałabym się poddać i przyznać, że odziedziczyłam po ojcu jego szaleństwo.

Czy nie byłoby to prawdziwą ironią?

Kiedy ta myśl przyszła mi do głowy, nie roześmiałam się gorzko, nie zapłakałam ani nie wpełzłam do łóżka. Zaczęłam planować następną wieczorną obserwację terenu.

Wakacje minęły zbyt szybko i w końcu nadszedł mój pierwszy dzień w trzeciej klasie. Asher High znajdowała się na obrzeżach Birmingham, w odległości zaledwie dziesięciu minut od domu moich dziadków. Górą Tygrysy. Autobus wydłużył ten dystans do czterdziestu minut, ale byłam z tego powodu zadowolona. Tak jak powiedziałam podczas rozmowy z Kat tamtego dnia w szpitalu, moi rodzice ukończyli Asher High, a ja myślałam tylko o tym, czy ich zdjęcia wiszą w którejś gablocie.

Nie zamierzałam ich szukać. Gdybym je zobaczyła, doznałabym prawdopodobnie załamania nerwowego, czegoś, co nie zdarzyło mi się od dnia pogrzebu. Tak, lubiłam sobie wyobrażać, że jestem teraz silniejsza, że panuję lepiej nad sobą, ale wolałam nie ryzykować.

Siedziałam z przodu, tuż za kierowcą, cały czas ze spuszczoną głową. Do nikogo się nie odzywałam i wysiadłam jako pierwsza; szłam tak szybko, że plecak się o mnie obijał.

Zatrzymałam się przed frontonem budynku. Oczy miałam szeroko otwarte i czułam ucisk w żołądku. Tłumy młodych ludzi. Niektórzy wysocy, inni niscy. Czarni i biali. Chłopcy, dziewczyny. Biedni, bogaci. Elegancy i obszarpani. Chudzi i nie tak chudzi. Ubrani, praktycznie nadzy. Każdy stał w jakiejś grupie, spragniony ponad wszystko towarzystwa. I zdawało się, że każdy kogoś obgaduje i śmieje się przy tym.

Sam budynek był dość rozległy i trochę niesamowity, ponieważ, no cóż... Tygrysy traktowały swoje barwy poważnie. Nigdy nie widziałam tyle czerni i złota w jednym miejscu. Czarna cegła na przemian ze złotą. Mnóstwo drzew, ich pnie pomalowane na czarno, a liście na złoto. Była tam cementowa ścieżka, a na niej czarno-złote odciski tygrysiich łap, które prowadziły do wejścia zaopatrzonego w wykrywacze metali. Ktoś umieścił na nich tygrysie uszy po bokach i wąsy pośrodku, co upodabniało

te detektory do twarzy.

Zakodować sobie w pamięci: nigdy nie mów nic złego o dzikich kotach żyjących w dżungli. Przypuszczam, że wylądowałabym z głową w ubikacji.

Zatrzymałam się przy sekretariacie i poprosiłam o plan budynku; osoba, do której się zwróciłam, westchnęła tylko i wskazała gruby stos papierów na kontuarze. Chwyciłam jeden egzemplarz i mruknęłam: „Dzięki”. Miałam już plan lekcji, więc musiałam tylko znaleźć drogę do odpowiedniej sali. Nigdy nie odznaczałam się dobrym zmysłem orientacji.

Kiedy się oddalałam, z gabinetu wyszła jakaś kobieta; zauważyła mnie i natychmiast ruszyła w moją stronę. Po chwili wyciągnęła do mnie dłoń o wypielęgnowanych paznokciach.

– Ty jesteś Alicja Bell.

– Ali – odparłam, ściskając mocną dłoń. Zbyt mocną.

– Jestem tu dyrektorką. Doktor Wright. I niech ci się nie wydaje, że ujdzie ci na sucho, jeśli będziesz mnie nazywać panią Wright, Wright albo panią. Zasłużyłam na swój tytuł i będziesz się nim posługiwać. Zrozumiano?

– Tak.

Przyjrzałam jej się tak dyskretnie, jak było to tylko możliwe. Ciemnokasztanowe włosy okalały ładną twarz. Miała skórę o oliwkowym odcieniu, brązowe oczy, z których dosłownie wyzierało: nie żartuję. I usta w kształcie łuku.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebować, zwróć się bez wahania do któregoś z moich zastępców – oznajmiła, już się oddalając.

– Dziękuję, na pewno...

Nie słyszała mnie, bo już jej nie było. Skręciłam w zatłoczony korytarz, oblepiony plakatami, na których widniały tygrysy; wszędzie roilo

się od dziewcząt i chłopców, parę osób rzucało sobie piłkę plażową (czarno-złotą), zewsząd dobiegał śmiech. Musiałam iść za wolno, bo kilku graczy próbowało mnie trafić.

W desperackim odruchu, który można by nazwać instynktem samozachowawczym, przywarłam do ściany z szafkami. Liczyłam na to, że tłum się wkrótce przeredzi, a ja dotrę na miejsce bez poważniejszych incydentów. Czekałam, starałam się nie myśleć o dawnej szkole i o tym, że po ostatniej lekcji nie pójdę do pobliskiej podstawówki, żeby odebrać...

Nie, nic z tego.

– Ali?

Moje spojrzenie przeniosło się błyskawicznie z podłogi na piękną brunetkę, która wyraźnie wodziła rej w stojącej obok grupie dziewcząt.

– Kat!

Byłam tak szczęśliwa, widząc znajomą twarz, że zrobiłam coś, co nie zdarzyło mi się przez całe lato: uśmiechnęłam się.

Ona też się uśmiechnęła, szczerze zadowolona na mój widok, i przywołała mnie gestem dłoni.

Zbliżyłam się. Zarzuciła mi ręce na szyję, jakbyśmy były przyjaciółkami, które nie widziały się całe wieki.

– No, no, patrzcie tylko, góra przyszła do kota. Chwytasz? Pewnie, że tak. Moje dowcipy są nieodmiennie koszarne. Ale dość tej genialnej gadki. Tak się cieszę, że tu jesteś! – Przesunęła po mnie spojrzeniem i znów się uśmiechnęła, tym razem chytrze. – Super się ubrałaś. Jezu, podoba mi się!

Kłamstwo, bez dwóch zdań. Miałam na sobie rozwalające się adidas, podarte džinsy i najstarszy podkoszulek, jaki zdołałam wygrzebać. Materiał był tak postrzępiony, że wyglądałam – okropność! – jakbym nosiła frędzle. Po prostu nie pomyślałam o tym, żeby się przyzwoicie ubrać. Nie było czego świętować.

Według terapeutki, z którą kazali mi się spotykać dziadkowie, karałam się za to, że żyłam, podczas gdy reszta mojej rodziny zginęła (gdyby powiedziała to jeszcze raz, odcięłabym sobie uszy i zostawiła je w jej gabinecie). Sama zdążyłam się już zorientować, dziękuję bardzo. Nie zmieniło to mojego samopoczucia.

– No i? – naciskała Kat. – Nie powiesz mi, jak dobrze wyglądam?

Obrzuciłam ją spojrzeniem od stóp do głów.

– Nie wyglądasz dobrze. Wyglądasz olśniewająco – dodałam, zanim zdążyła się nadąsać.

Miała na sobie lśniące buty, biodrówki i obcisły czarny top. Ciemne włosy opadały kształtnymi falami na jedno ramię.

– Złota odznaka dla Ali – oznajmiła. – No dobrze, pozwól, że cię przedstawię. Drogie panie, to jest Ali, moja wyjątkowa przyjaciółka.

Zesztywniałam, bo sądziłam, że wspomni, gdzie się poznałyśmy, ale nie zrobiła tego; miałam ochotę uściskać ją z wdzięczności.

– Ali, to jest Reeve, Poppy i Wren.

Okay. Żadnych Jane, Beth czy Kelly.

– Cześć – powiedziałam, co zabrzmiało niezgrabnie, jak zawsze w moim przypadku.

Dziewczyny były równie nieskazitelne co Kat i miały olśniewające twarze, jakie się zazwyczaj widuje tylko w magazynach mody. Nosiły godne pozazdrosczenia ciuchy, które też można znaleźć wyłącznie w magazynach.

Magazyny. Tak. Jedyne, co miało tu jakikolwiek sens. Byłam pewna, że Kat wyciągnęła każdą z tych dziewczyn z pisma pod tytułem „Bezblędne przyjaciółki na zawsze”. W porównaniu do nich czułam się niemodna i nieskończenie zdeklasowana, jakby wybrano mnie

z „Tygodnika bezdomnych psów”.

– Miło cię poznać – oświadczyła Wren, niesamowita czarnoskóra dziewczyna o najbardziej niezwykłych karmelowych oczach.

– Każda przyjaciółka Kat... – dodała Poppy, piegowata i ruda, której przeznaczeniem było poślubienie księcia czy kogoś w tym rodzaju.

– Urządzam w tym tygodniu przyjęcie. – Reeve zarzuciła sobie włosy na ramię. Odznaczała się regularnymi rysami i skórą w najpiękniejszym odcieniu słonecznego brązu. – Małe spotkanko, by uczcić przetrwanie pierwszego tygodnia w szkole. No, pierwszych trzech dni.

Dlaczego rok szkolny zaczynał się zawsze w środku tygodnia?

– Musisz przyjść – dodała.

– Ja... hm.

Nigdy nie byłam na żadnej imprezie, ale z pewnością słyszałam o tych, w których brali udział moi znajomi. Wiedziałam zatem, że po pierwsze, będę tkwiła w zatłoczonym domu z ludźmi, których ledwie znam, po drugie, z pijanymi ludźmi, których ledwie znam – na pewno dojdzie do picia; opowiadali mi o tym znajomi, a matka zmuszała mnie do oglądania tylu programów edukacyjnych o młodzieży pijącej alkohol, że mogłyby wypalić tysiąc komórek mózgowych – wreszcie po trzecie, przyjęcie odbędzie się nocą.

Kiedyś moim największym marzeniem było wyjść z domu wieczorem. Oddałabym wszystko za zwykły spacer w blasku księżyca. Rękę? Nogę? Dlaczego nie duszę?

A teraz? Sama myśl mnie przerażała.

– Z pewnością przyjdzie – oznajmiła Kat. – Już ja tego dopilnuję. A teraz zmykajcie. Muszę pogadać z Ali w cztery oczy. – Pocałowała każdą z dziewcząt w policzek i odprawiła, potem znów zwróciła się do mnie. – Dostałaś plan zajęć?

Pominałam to, że ręczyła za moją obecność na przyjęciu. Nie było powodu ranić jej uczuć wojowniczym (i dziecinny) „Nigdy w życiu mnie nie zmusisz!”.

– Tak – odparłam, a ponieważ wykułam się planu na pamięć, wyrecytowałam wszystkie lekcje, modląc się, byśmy choć jedną miały razem.

– Super! Wypadnie nam wspólny lunch i kilka zajęć. Zaplanujemy, jak opanować szkołę. Już zdecydowałam. Będziemy tu rządzić, ja i moje dziewczyny. A teraz zaprowadzę cię na pierwszą lekcję. To w innym budynku, więc czeka nas wycieczka.

– Też tam idziesz?

– Nie, mam lekcję tutaj. – Wskazała kciukiem drzwi znajdujące się zaledwie kilka kroków dalej.

Spojrzałam na zegar na drugim końcu korytarza. Do dzwonka pozostało sześć minut.

– Nie spóźnisz się na swoje zajęcia?

– Owszem, ale nie martw się. – Krzywiąc usta w tym swoim chytrym uśmiechu, wzięła mnie pod rękę. – To mój humanitarny uczynek dnia. Poza tym będziesz mi winna przysługę. Tak, nigdy nie przepuszczam okazji. Nie ma ani jednej osoby w szkole, która nie byłaby mi winna przysługi. Szczera prawda.

Choć drobna, bez trudu przeciskała się przez tłum, każąc się ludziom odsuwać albo wysuwając środkowy palec, kiedy robili albo mówili coś, co się jej nie podobało. Ani na chwilę nie przerywała tego swojego monologu, informując mnie o wszystkim, „co powinnam wiedzieć, by przeżyć”.

– Ta tutaj to zdzira. Ten to podrywacz. Całkiem miły, ale prawie przedawkował w zeszłym roku, więc nie stawiałabym na niego. A ona to dwulicowa, kłamliwa, oszukańcza wiedźma. Zgadza się, Trina, mówię

o tobie – krzyknęła. – Tak przy okazji – dodała, wyłącznie na mój użytek – Trina przeklina, co oznacza, że przeklinanie jest badziewne, a to z kolei oznacza, że moja złota zasada to nigdy nie przeklinać. Mam klasę. W przeciwieństwie do Triny, zdziwy z Birmingham.

Te ostatnie słowa też zostały wykrzyczone, ma się rozumieć.

Byłam niemal pewna, że ładna, ale nieco męska Trina rzuci się biegiem przez korytarz i walnie Kat pięścią w zęby, ale tylko się odwróciła w naszą stronę i obrzuciła rywalkę spojrzeniem, które zapowiadało niedwuznacznie zemstę.

Kolejna rzecz do zapamiętania: nigdy nie zadzierać z Triną. Jej podkoszulek był przepisowy, ale mimo wszystko nie zakrywał muskularnych ramion i tatuaży. Włosy miała obcięte tuż nad uszami i widać było blizny na karku. Przypominały ślady zębów.

Pomyślałam, że naprawdę muszę skończyć z tym rozglądaniem się na wszystkie strony, bo w przeciwnym razie nabawię się paraliżu.

– Ten tutaj to gej, ale się nie przyznaje – ciągnęła Kat, jakby nic się nie wydarzyło. – Mówię o tym w formie ostrzeżenia, żebyś z nim nie próbowała. Jego przyjaciel, ten tam, zgrywa ważniaka, ale to bezmózgowiec. Och, a ta jest tak zasmarkana, że nie da się z nią pogadać bez chusteczki higienicznej. Szczerze mówiąc, udawaj, że cała ta grupa jest zadzumiona, dobrze na tym wyjdiesz, zapewniam cię. Ta druga nie jest taka zła. A ten... cholera! – Zatrzymała się gwałtownie, zmuszając mnie, bym zrobiła to samo. – Śmieję się tak, jakbym właśnie powiedziała coś niezwykle zabawnego.

Śmiać się? Poważnie? Czy pamiętałam w ogóle, jak to się robi?

Klepnęła mnie w ramię i wyszeptała zawzięcie:

– Śmieję się!

Zmusiłam się więc do śmiechu. Muszę z zażenowaniem przyznać, że wydałam z siebie dźwięk, jakby żaba wskoczyła mi do gardła i zaczęła wygrywać na moich strunach głosowych niczym na bongo. Nawet Kat

była przerażona i rozdziawiła się tak szeroko, że mogłam dostrzec jej migdałki.

Otrząsnęła się szybko i zarzuciła sobie włosy na ramię, po czym sama parsknęła tym swoim magicznym śmiechem. Brzmiało to tak, jakby anioł siedzący na szczycie tęczy poruszał struny boskiej harfy. To takie niesprawiedliwe!

– Dlaczego to robimy? – spytałam cicho.

– Nie oglądaj się. To mój były.

Z pewnością nie jestem jedyną, która polecenie „nie oglądaj się” rozumie jako „nie ma lepszej okazji, żeby się obejrzeć”. Popatrzyłam.

– Niedobra Ali! – Kolejny klaps w ramię. – Niedobra, niedobra, niedobra Ali! Nie masz za grosz samokontroli?

– Przepraszam. – Roztarłam piekące miejsce. Czy przestałam się jednak wpatrywać? Nie. Gapiłam się po prostu.

Na prawo od nas stała grupa ośmiu chłopców. Gdybym kiedykolwiek potrzebowała wizualnej definicji pojęcia „seryjny przestępca”, to teraz miałam ją przed oczami (albo ośmiokrotnie powieloną). Byli bez wyjątku bardzo wysocy i napakowani mięśniami. Większość prezentowała z dumą tatuaże i wszelkiego rodzaju kolczyki na twarzach. Kilku nosiło stalowe łańcuchy wokół bioder, jakby paski złożone z metalowych ogniw, ale w tym przypadku mogła to być tylko broń.

Dowód: dwóch z nich miało na zabłoconych wysokich butach założone obręcze elektroniczne. Areszt domowy.

Popychali się nawzajem, śmiejąc się i waląc po ramionach. Jeden chwycił drugiego za włosy i trzymając w pasie, zmusił, żeby uklęknął, podczas gdy pozostali wskazywali go palcami i obrzucali najgorszymi wyzwiskami.

– Było ich jeszcze więcej – wyjaśniła Kat. – Dwaj zmarli w zeszłym roku na jakąś chorobę, która zamienia krew w toksyczną breję. Człowiek

na dobrą sprawę gnije od środka. Nie jest to zakaźne ani nic w tym rodzaju, w każdym razie tak twierdzą dorośli. Wszyscy uczniowie dostali broszurki, bo każdy panikował. Jednak to dziwne, że dwaj faceci zachorowali na to jednocześnie.

Dosłyszałam w jej głosie dziwną nutę.

– Znałaś ich?

– Tak, i myślałam, że nigdy nie przestanę płakać. Może to koszmarne, co powiem, ale jestem zadowolona, że odeszli jednocześnie. Byli najlepszymi przyjaciółmi, zawsze widziało się ich razem. Rany, ta nasza pogawędka zrobiła się trochę makabryczna. Przepraszam.

– Nie ma o czym mówić – odparłam, choć uważałam zupełnie inaczej. Nigdy więcej nie chciałam chociażby myśleć o śmierci i krwi, a już na pewno mówić o tym. – Który jest twój? – spytałam, wracając do tematu żyjących chłopaków.

Parsknęła z obrzydzeniem.

– Ten blondyn. Nie jest mój, tylko był. Był. Nie jest już i nigdy nie będzie.

Przesunęłam wzrokiem po tej grupie. Dwaj byli czarni, jeden miał wygoloną głowę, dwaj byli brunetami, jeden miał kruczoczarne włosy, a dwóch blond. Chciałam się przyjrzeć tym jasnowłosym, naprawdę, ale kiedy moje spojrzenie spoczęło na chłopaku, który miał włosy tak ciemne, że aż granatowe, znieruchomiałam.

Nosił jasnoczerwoną czapkę baseballową. Nad daszkiem było coś napisane, nie mogłam jednak tego odczytać. Tylko on się nie wygłupiał. Stał oparty plecami o szafki i przyglądał się ze skrzyżowanymi ramionami i leniwym rozbawieniem swoim kolegom.

Był cudowny, a ja absolutnie, bez dwóch zdań, musiałam się w tym momencie ślinić. Po krótkim i, jak miałam nadzieję, ukradkowym i niedostrzegalnym sprawdzeniu – szok, nie śliniłam się! – zaczęłam się zastanawiać, jakiego koloru ma oczy. Może kasztanowe. Albo nawet

orzechowe. Tak czy inaczej... rany, po prostu rany! Sarenka zastygła w świetle reflektorów samochodowych? Cześć, jestem Ali.

– Hej, Kitty Kat – zawołał ktoś, a ja siłą oderwałam wzrok od Czerwonej Czapki i zerknęłam na jednego z blondwłosych. – Chodź tu i przywitaj się odpowiednio. Przecież chcesz.

– Wiesz, czego chcę? Żebyś trafił do piekła! – odkrzyknęła.

– Och, odpuść sobie. Nie bądź taka, dziecinko.

Był tym wyższym z dwóch blondynów; miał zimne piwne oczy i twarz, na której widok sam diabeł skuliłby się w kącie i zaczął wołać mamusię, ssąc kciuk niczym małe dziecko. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jakim cudem zdobył Kat, ale mogłam sobie wyobrazić, jak oszukuje. Nie ulegało wątpliwości, że to jej były.

– Kochasz mnie, bo to silniejsze od ciebie – dorzucił.

– Mam nadzieję, że Rina zaraziła cię jakimś paskudztwem.

Chłopcy zaczęli chichotać, a on wciąż się uśmiechał, zamiast zamordować Kat na miejscu. Zaskoczył mnie tym.

– Ostro pogrywasz, kotku. Drażniłem się tylko z tobą, kiedy użyłem jej imienia.

– W obu przypadkach?

No tak. Jej były. A więc... Trina, ta dwulicowa, kłamliwa, oszukańcza wiedźma musiała być tą samą Rina, z którą kręcił podczas wakacji. Mam być szczerą? Zatkąło mnie. Kat była jedną z najładniejszych, najbardziej pociągających dziewcząt, jakie kiedykolwiek spotkałam, podczas gdy ta cała Trina wydawała się cholernie męska.

No, ale taki też był dawny chłopak Kat. Pomijając tę twarz seryjnego mordercy, miał wytatuowane czarne opaski na nadgarstkach i nosił kastety...

– Nie jestem stuknięta – ciągnęła Kat. – Okłamałeś mnie, a ja okłamałam ciebie. Jesteśmy kwita.

Przestał się w końcu uśmiechać.

– Kiedy kłamałaś?

Obdarzyła go promiennym uśmiechem, jakby jego wcześniejsze rozbawienie udzieliło się także jej.

– Za każdym razem, kiedy się zabawialiśmy. Wierz mi, nie byłam specjalnie zachwycona, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć.

– Trafiony, zatopiony – oznajmił jeden z jego przyjaciół.

Odsunął chłopaka na bok.

– Nie bądź taka – powiedział niby błagalnym tonem, ale mogłabym się założyć, że nie do końca żartował. W tych ciemnych oczach można było dostrzec błysk desperacji.

– Nie mów mi, co mam robić. A tak przy okazji: nie drażnię się z tobą, kiedy to robisz. – Po raz drugi pokazała mu wyprostowany palec, co u jego przyjaciół wywołało nową falę docinków.

Nie był już taki pewny siebie, ale mimo wszystko oświadczył:

– Sprawię, że zmienisz zdanie i znów będziemy razem. To tylko kwestia czasu.

– Wiesz, co jest kwestią czasu? To, kiedy nakarmię twoimi jajami mojego psa. – Tu uczyniła dygresję pod moim adresem: – Przypomnij mi, że muszę kupić sobie psa.

Ten czarnowłosy w końcu spojrzał w naszą stronę uważniej – nie, nie odwróciłam wzroku – i zapomniałam całkowicie o Kat i jej problemach. Fiolet, uświadomiłam sobie. Te jego oczy odznaczały się najbardziej zdumiewającym odcieniem fioleto. Nigdy nie widziałam tak pięknego

koloru.

To musiały być szkła kontaktowe. Prawda?

Obrzucił Kat szybkim spojrzeniem i uśmiechnął się przyjaźnie. Z trudem się powstrzymałam, by nie zacząć obgryzać paznokci, paskudny nerwowy odruch, którego się nabawiłam kilka lat wcześniej. Zadawałam sobie pytanie: czy spojrzy wprost na mnie?

Odpowiedź: tak.

Gdy tylko nasze oczy się spotkały, poczułam suchość w ustach i przestałam dostrzegać otoczenie. Widziałam tylko jego i tylko jego chciałam widzieć. W ciągu jednej sekundy przestał nas dzielić korytarz – byliśmy przytuleni do siebie, obejmował mnie, a ja jego i całowaliśmy się. Cud nad cudy, był ode mnie wyższy o ponad dziesięć centymetrów, na dobrą sprawę górował nade mną niebotycznie. Byłam zachwycona! Och, święci pańscy, byłam zachwycona tym, co robiliśmy...

Nigdy wcześniej nikt mnie nie całował, ale jego język znajdował się bez wątpienia w moich ustach, a mój bez wątpienia w jego, i na dobrą sprawę pochłanialiśmy nawzajem swoje twarze.

„Ali” – szepnął, przyciągając mnie do siebie jeszcze mocniej, obejmując jeszcze mocniej.

„Cole” – odpowiedziałam. Nie mogłam się nim wprost nasycić i nigdy nie chciałam przestać. Był taki ciepły. Tak bardzo ciepły, kiedy ja byłam tak zimna przez całe lato. Bez względu na to, ilu kocami się otulałam, marzłam. Chciałam tu zostać, w jego ramionach, na zawsze.

Moje palce zagłębiły się w jego włosach, strąciły mu czapkę. Przechylił głowę, zagłębiając się bardziej w moje usta, jeszcze mocniej.

„Cudownie smakujesz” – powiedział chrapliwie. Pachniał drzewem sandałowym i czymś owocowym, jak truskawkowy lizak odwinięty przed chwilą z celofanu.

„Będiesz mówił później. Teraz całuj...”

– ...Ali. Ali! – Kat stanęła przede mną. Marszczyła czoło i machała ręką. – Halo? Jest tam kto?

Zamrugałam i uświadomiłam sobie, że stoję w tym samym miejscu co przedtem. I coś jeszcze. Nigdy nie przeszłam przez korytarz, nigdy nie zbliżyłam się do tego chłopca – Cole’a, tak go nazwałam w myślach – i nigdy nie zanurzyłam palców w jego włosach. Nigdy go nie dotknęłam i nie pocałowałam, a jednak wargi mnie mrowiły i z trudem łapałam oddech.

– Nic ci nie jest? – spytała Kat z niekłamaną troską w głosie.

Była tak niska, że bez trudu mogłam spojrzeć ponad jej ramieniem na grupę chłopców. Niemal wszyscy inni zniknęli już z korytarza. Może dlatego, że odezwał się wcześniej opieszwały dzwonek – teraz milkł z wolna. Cholera. Cholera, cholera, cholera! Jak długo gapiłam się na tego chłopaka?

Przynajmniej on też gapił się na mnie. A może nie było to wcale takie wspaniałe. Teraz spoglądał na mnie wilkiem i był to wzrok faceta spotkanego w ciemnej uliczce, zanim wepchnie ci twarz w ziemię i zwędzi torebkę. Jeden z jego przyjaciół ciągnął go za ramię, starając się zwrócić jego uwagę.

Czerwony Kaptur kłapnął na mnie zębami i odwrócił się, żeby pójść do klasy. Pozostali ruszyli za nim, a jeden mruknął:

– Zechcesz nam powiedzieć, o co chodziło, człowieku?

Oparłam się o szafki, żeby odzyskać równowagę. Dopiero wtedy, kiedy oddaliliśmy się od siebie, a jego spojrzenie oderwało się ode mnie, mogłam swobodnie odetchnąć.

– Ten w czapce – zwróciłam się do Kat – jak ma na imię?

Jak przypuszczałam, powinnam była najpierw zapewnić ją o swojej pocztytalności, ale tak bardzo pragnęłam się czegoś o nim dowiedzieć. Czy mogłam zresztą zapewniać w tym momencie kogokolwiek o swojej

poczytalności?

Kat pochyliła się gwałtownie, jakby jej głowa zrobiła się nagle za ciężka, ale nie oderwała ode mnie przenikliwego spojrzenia.

– Dlaczego pytasz? Interesujesz się nim?

Moje usta otworzyły się i natychmiast zamknęły. Interesowało mnie przede wszystkim to, co się właśnie stało. Jak sobie wyobraziłam ten pocałunek? W jaki sposób ta wizja wydawała się tak realna, że czułam siłę tego chłopaka, jego żar? Tak realna, że moje ciało zareagowało fizycznie.

– Jestem po prostu ciekawa – odparłam w końcu, siląc się na nonszalancję. Ale moje słowa były szczerą prawdą.

Nie dała się zwięść.

– To Cole Holland. Nie chciałabyś się umówić z nim na randkę. Wierz mi.

Myślałam, że szok zwali mnie z nóg. Naprawdę miał na imię Cole? Ale... skąd to wiedziałam?

Usłyszałaś, jak ktoś tak się do niego zwraca, to wszystko. Kwestia podświadomości.

Może. Prawdopodobnie.

– Dlaczego? – wychrypiałam.

– Bo jestem totalnie godna zaufania. Hej, poznałaś mnie już chyba, no nie?

Gdybym nie była tak wzburzona, przewróciłabym oczami.

– Nie o to mi chodzi. Dlaczego nie chciałabym się umawiać z nim na randkę?

– Och. No cóż, przede wszystkim dlatego, że się go boisz.

– Nie boję się go.

Wspięła się na palce i postukała mnie po głowie.

– Skoro nie chcesz wyznać tej małej prawdy, to co powiesz na to? Jest szefem tej wściekłej grupki zwierzaków i do tego totalnie niebezpiecznym.

Niebezpiecznym. Tak, zdążyłam się już zorientować.

– Chodziłaś z jednym z jego kumpli.

Rozłożyła ręce, jakbym właśnie wyjaśniła za nią wszystko.

– Sama zobacz, jak skończyłam: oszukana i ze złamanym sercem. – W korytarzu rozbrzmiewał odgłos zamykanych drzwi. – Chodź. Dokończymy po drodze.

Teraz, kiedy korytarze opustoszały, mogłam poruszać się swobodniej i powinnam być bardziej zrelaksowana. Ale miałam wrażenie, że do czegoś mnie podłączono. Może do akumulatora. Buzowała we mnie energia. Poza tym w głowie rozbrzmiewał jakiś uporczywy szum. Nawet światła wydawały się jaśniejsze.

– Cole jest z nich wszystkich najgorszy – oznajmiła Kat. – Wystarczy, że coś powie, i każdy go słucha. Często wagarują i robią... no cóż, twój domysł pod tym względem jest równie dobry jak mój. No, prawdopodobnie nie tak dobry, ale bliski. Pewnie myślisz, że wiem na pewno, ale Szron milczał jak grób. Oczywiście. Tak czy inaczej, są zawsze nakręceni, więc potrafią się odegrać naprawdę paskudnie. Wspominałam, że trzymają gęby na kłódkę? Cole jest najgorszy, ale Szron zajmuje drugie miejsce, wierz mi.

– Szron?

– Mój były.

– Rozumiem, ale to imię...

– Przewisko. No tak. Kiedyś, w zimie, zatrzasnął niechcący drzwi domu od zewnątrz. Zanim go znaleźli, był cały pokryty lodem i niemal kompletnie odmrożony. Prawie amputowali mu wszystkie kończyny. Szczera prawda.

– Czyżby? – spytałam, bo nie zauważyłam, żeby chłopakowi czegoś brakowało, i jeśli prawie amputowali mu kończyny, to musieli obciąć kilka palców, najbardziej wrażliwe części dłoni.

– No dobra, stracił tylko palec u nogi, ale odmrożenie to nie przelewki. Jedyne dziewczyny, które towarzyszą im w ich małych przygodach, to Mackenzie Love, czyli była Cole’a, i Trina, którą miałaś pecha poznać wcześniej.

Cole wciąż zadawał się z byłą? Kiepska wiadomość, bez dwóch zdań. Co nie znaczy, by mnie to jakoś szczególnie obeszło. Albo żebym, nie wiem, chciała się wybrać z nim na randkę, wyjść za niego i urodzić mu dzieci. Chciałam tylko odpowiedzi. Naprawdę.

To, co się stało na korytarzu – czy raczej się nie stało – napędziło mi porządnie strachu. Zawsze odznaczałam się żywą wyobraźnią, czego dowodem ten potwór w sukni ślubnej, którego widziałam, o czym byłam przekonana, ale wyimaginowane obściskiwanie się z nieznanym chłopakiem, którego oficjalnie nie poznałam, przewyższało wszystko, co mi kiedykolwiek przyszło do głowy.

– Małe ostrzeżenie – powiedziała Kat. – Jeśli będziesz się z nimi zadawać, Mackenzie przycisnie cię do muru i zagrozi, że ci odbierze życie. Och, i jeszcze jedno, twoi przyjaciele cię porzucą i staniesz się znana jako wielki kłopot.

Mogłam żyć z mianem Kłopot. I znów, nie znaczyło to wcale, że miałam ochotę robić cokolwiek z Cole’em.

– Zostałaś porzucona przez przyjaciół, kiedy chodziłaś ze Szronem?

Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, bił z niej smutek. Potem zarzuciła sobie włosy na ramię i uśmiechnęła się.

– Zawsze byłam znana jako osoba, która sprawia kłopoty na całego, i choć nikt sobie jeszcze tego nie uświadomił, jestem nawet gorsza teraz, kiedy rozstałam się ze Szronem, ale zapewniam, że jeszcze docenisz tę stronę mojej osobowości.

– Już doceniam – odparłam jak najbardziej poważnie.

Dotarliśmy do czerwonych drzwi i Kat przystanąła. Wskazała jej kciukiem i oznajmiła:

– Twoja klasa.

Zajrzałam do środka przez małe okienko w drzwiach i od razu zapragnęłam uciec. Albo zwymiotować. Nie, jedno i drugie. Pełno uczniów, ani jednego wolnego miejsca. Przed nimi stał nauczyciel, który już prowadził lekcję. Z chwilą, gdybym tam weszła, zapadłaby cisza i wszyscy spojrzeliby na mnie. Może zrobiłam się na twarzy zielona albo zadrżałam, bo Kat spytała:

– Denerwujesz się?

– Tak, ale tylko trochę... bardzo. – Kłamstwo zawsze przychodziło mi z trudem. – Chcesz się urwać? – spytałam z nadzieją w głosie. Mogłybyśmy zacząć od drugiej lekcji.

– Nie, nie chcę się urwać i nie zamierzam sprawdzać, co w twoim przypadku znaczy „trochę... bardzo”. Chcę iść na swoją lekcję. Zresztą nie ma to, jak być w centrum uwagi.

Hm, nie, nic z tego. Cofnęłam się spod drzwi.

– Zaczekam na ciebie przed szkołą.

– Przeżyjesz – zapewniła bezlitośnie. – Pokochają cię. A jeśli nie, no cóż, daj mi znać, kogo będę musiała ukarać. To moja specjalność, jeśli chcesz wiedzieć. I trudna miłość. – Klepnęła mnie w tyłek. – A teraz idź i podbij ich serca, dziecinko.

– Kat, zaczekaj, ja...

– Słyszałaś, co powiedziałam o trudnej miłości? I jeszcze jedno. Za kilka miesięcy może wyrośniesz na prawdziwą tygrysicę, ale do tej pory...
– Otworzyła drzwi i wepchnęła mnie do klasy. – Musisz dorosnąć.

*

Przetrwałam pierwszą lekcję, doznawszy tylko nieznacznego upokorzenia. Nauczyciel kazał mi stanąć przed całą klasą, powiedzieć uczniom co nieco o sobie i wyjaśnić, dlaczego się spóźniłam. Najwyraźniej nie było taryfy ulgowej dla nikogo. Nie pierwszego dnia i z pewnością nie dla nowicjuszy, którzy powinni wiedzieć, jak się zorientować w planie budynków szkolnych.

Moja opinia w tej kwestii: pan Buttle – któremu od razu nadałam przezwisko Dupek – lubił się popisywać władzą, ale nie miało to znaczenia. Przetrwałam tę próbę bez poważniejszych uszczerbków, ponieważ jakiś bardzo miły chłopak o szczenięcych piwnych oczach uśmiechnął się do mnie zachęcająco, a potem, gdy tylko pan Dupek się odwrócił, uczynił uniwersalny gest, przygotowując wszystkich o paroksyzm śmiechu, dzięki czemu przestałam być głównym obiektem zainteresowania i uwagi.

Druga lekcja odbywała się w sali na tym samym korytarzu, ale trzecia w innym budynku. Mimo wszystko zdążyłam na czas, a zajęcia to była pestka. Nikt nie próbował rozmawiać ze mną prócz niskiej i krępej pani Meyers. Włosy koloru soli z pieprzem wiązała w kok. Nosiła za duże jak na jej twarz okulary, które zsuwały się bezustannie z nosa, ale nie wydawała się brzydka.

– Cieszę się niezmiernie, że będę prowadziła z wami zajęcia od samego początku – oznajmiła, klaszcząc w dłonie. – I wiem, że wy także się ucieszycie, gdy się dowiecie, co zaplanowałam! Tak przy okazji, to są zajęcia z kreatywnego pisania, na wypadek gdyby ktoś trafił tu omyłkowo. Ktokolwiek? Nie? Wspaniale. Zaczynamy!

Wsparłam głowę na dłoni, zamierzając się skupić, słowo daję, ale błędziłam myślami gdzie indziej. Chciałabym powiedzieć, że

zastanawiałam się nad przyszłością, nad tym, jak poprawić ogólny stan mojego umysłu, nad czymkolwiek użytecznym. Nic z tego. Wskoczyłam do pociągu jadącego do Colehollandville i nie zamierzałam z niego wysiadać.

Pojawiały się pytania za pytaniami. Co się zdarzyło tam, na korytarzu? Czy Cole doświadczył czegokolwiek, kiedy patrzył na mnie? Kłapnął na mnie zębami, jakbym wprawiła go w konsternację, nie mówiąc ani słowa... Może. Z drugiej strony mógł to być odruch irytacji. Na dobrą sprawę gwałciłam go wzrokiem.

A gdybym znów wpadła w ten trans (albo jakkolwiek chcielibyście to nazwać), widząc go ponownie?

Pragnęłam to ustalić za wszelką cenę, więc szukałam go po pierwszej i drugiej lekcji. Spenetrowałam liczne korytarze, klatki schodowe i, okay, przyznaję, zwołniałam nawet kroku, przechodząc obok męskiej toalety, ale nigdzie nie dostrzegłam jego śladu.

Może i lepiej. Budził we mnie lęk.

No. Przyznałam to. Był wielki, zły i z pewnością nieźle obeznany z przemocą. Miałam jej dość w swoim życiu, dzięki. Zresztą, gdyby któreś z nas odezwało się do drugiego, to istniały w takiej sytuacji tylko trzy możliwości. Pierwsza: powiedziałyby mi, żebym się odp... Druga: poinformowałyby wszystkich, że jestem pier... Trzecia: spytałby mnie, za kogo się, k..., uważam, bo jest pewien, że nigdy wcześniej mnie nie widział.

Nie znałam go, a jednak wyobrażałam sobie bez trudu, jak klnie. I to dużo. Kat nie pochwalałaby tego.

– ...myślę, że znajdziecie w jej twórczości symboliczne...

Głos pani Meyers pojawił się nagle, jakby chcąc przykuć moją uwagę, ale dręczący mnie dylemat szybko go zagłuszył. Tak bardzo chciałam porozmawiać z mamą o Cole'u i o tym, co się wydarzyło. Z powodu ojca pojmowała to, co dziwaczne, we wszystkich odcieniach i natężeniach. Nie śmiałyby się ze mnie. Nie namawiałyby na sesję

terapeutyczną. Kazałaby mi usiąść i pomogła uzyskać zadowalające wyjaśnienie.

Tak bardzo za nią tęskniłam i tak bardzo żałowałam, że nie byłam dla niej miłsza pod sam koniec.

No, no. Coś takiego. Mój umysł był zdolny zająć się czymś innym niż tylko Cole'em Hollandem.

Nie było nawet mowy, bym mogła wspominać o czymkolwiek babci i dziadkowi. Wystraszyliby się – co nie znaczy, by cokolwiek po sobie okazali. Uśmiechnęliby się i udawali, że wszystko jest dobrze, nie zdając sobie w ogóle sprawy, że raz podsłuchiłam ich szepczących w sypialni.

„Biedactwo. Terapia nie przynosi rezultatów. Otrząśnię się kiedykolwiek, jak myślisz?” „Trudno powiedzieć. Wiem tylko, że nie mogę patrzeć, jak cierpi, ale nie jestem w stanie jej pomóc. Nie pozwoli mi”. „Wiem. Nigdy jeszcze nie czułam się taka bezradna”.

Próbowali wyciągnąć mnie do kina, na lodowisko albo zakupy, proponując mi coś, co młodzi ludzie w moim wieku lubią robić, ale odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: nie. Za każdym razem całowali mnie w czoło i mówili: „Może kiedy indziej”.

Nie chcąc martwić ich jeszcze bardziej, przetykałam słowa „może nigdy”. Większość czasu spędzałam w swoim pokoju; odpowiadało mi to.

Pograżyłam się w rutynie. Rankiem czytałam sagę „Żelazny Dwór”. Wieczorem słuchałam taśm, które tata nagrał dla mamy (mieszkałam w jej dawnym pokoju i znalazłam tam stary magnetofon). Wieczorem wypatrywałam potworów. W tygodniu chodziłam do szkoły, a w weekendy do kościoła. To wszystko.

Rozbrzmiał dzwonek, przebijając się przez moje myśli jak pięść przez lustro; wyprostowałam się gwałtownie. Pani Meyers układała na swoim biurku książki. Uczniowie już wychodzili gęsiego z klasy. Pozbierałam swoje rzeczy i wstałam, by zrobić to samo.

– Alicjo Bell – zawołała pani Meyers, zanim zdążyłam wyjść z sali.

Popatrzyłyśmy sobie w oczy.

– Wolę, jak mówi się do mnie „Ali”.

Skinęła głową i uśmiechnęła się ciepło.

– Przejrzałam twoje oceny z Carver Academy i spodobało mi się to, co zobaczyłam. Biorąc pod uwagę, że miałaś same piątki, domyślam się, że nie sypiałaś na lekcjach.

Oj.

– Nie spałam, naprawdę.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, dając tym samym do zrozumienia, że nie jest urażona.

– Wiem, że czytanie i pisanie nie wszystkim odpowiada, ale daj mi jutro szansę, okay? Jeśli nie spodoba ci się to, o czym będę mówić, jeśli nie uda mi się zainteresować cię swoimi zajęciami, to trudno. Śpij albo śnij na jawie. Jakkolwiek chcesz to nazwać.

Uczciwe postawienie sprawy.

– Ma pani moje słowo.

– Doskonale. – Wskazała brodą drzwi. – Zmykaj. Jestem pewna, że masz jakieś zajęcia.

Wyszłam na korytarz – i zapragnęłam, by świat się nagle skończył. Szron i jeden z jego bardziej brutalnych przyjaciół czekali już na mnie. Bez wątpienia. Ich spojrzenia skupiły się na mnie niczym strzały trafiające w środek tarczy, po czym ruszyli przed siebie, zmniejszając dystans, który nas dzielił. Mogłam się założyć, że chcieli mnie ostrzec, bym trzymała się od Cole’a z daleka.

Jakie to ponizające! Szłam dalej, a oni dotrzymywali mi z obu stron kroku. Czulałam ich testosteron, który przysłał resztę świata.

– Się masz. Jestem Szron – oznajmił blondyn o bandyckim wyglądzie. Teraz, z bliska, zauważyłam, że jego oczy nie są właściwie piwne, lecz granatowe, z czekoladowymi cętkami.

Zaburczało mi w brzuchu. Okay, byłam głodna, i prawdopodobnie dlatego jego źrenice przypominały mi coś smakowitego. I co z tego? Apetyt to dobra rzecz, a ja nie odczuwałam go przez całe lato.

– To mój kumpel Bronx – dodał.

– Jestem Ali. – Albo nie zauważyłam Bronxa wcześniej, co było mało prawdopodobne, albo się spóźnił do szkoły. – Bronx, tak? Właśnie stamtąd pochodzisz?

– Nie – odpowiedział za niego Szron.

Bronx się nie odezwał, ale jedno było pewne: patrzył. W przypadku faceta z kolczykami w brwiach i włosami ufarbowanymi na metaliczny błękit to spojrzenie wykraczało poza kategorię „demonicznie mroczne” i zahaczało o „iście diabelskie”.

– Okay – odparłam. Co innego miałam powiedzieć?

Minęła nas grupa szkolnych sportowców. Ku mojemu zaskoczeniu przywarli płasko do szafek, żeby usunąć się z drogi towarzyszącemu mi olbrzymowi. Muskularne tępaki. Mogłam wyczuć nawet ich strach, kwaśny odór, który wypełniał dzielącą nas przestrzeń i zatykał mi nozdrza.

Cholernie dziwne.

W mojej starej szkole sportowcy rządzili, ich słowo stawało się prawem i martwili się tylko o następny mecz. Inna szkoła, inny świat, jak mi się zdaje.

– Chłopcy – usłyszałam głos pani Wright. Nim zobaczyłam ją na końcu korytarza, dotarł do mnie stukot jej obcasów: klik, klak. – Nie napastujecie panny Bell, nie myślę się? – spytała, podchodząc do nas. Nie odrywała wzroku od Szrona. – Naprawdę nie chciałabym zepsuć ci dnia

i zostawić cię po lekcjach.

– Nie ma najmniejszego powodu, doktor Wright – odparł z wojskową precyzją w tej samej chwili, w której zapewniłam: „Wszystko w porządku”.

Najwyraźniej nie była usatysfakcjonowana.

– Czego od niej chcecie?

Szron uśmiechnął się, uosobienie niewinności.

– Porozmawiać. Czego innego moglibyśmy chcieć?

– Dlaczego?

Czy wszyscy dyrektorzy byli tacy wścibscy?

– Bo jest miła? – odparł Szron, co było raczej pytaniem niż stwierdzeniem.

Gdybym padła w tej chwili na twarz, byłabym mniej zakłopotana.

Podejrzenia doktor Wright nie zostały rozwiane, sądząc po tym, jak zmrużyła oczy, ale poszła dalej, nie próbując nas zatrzymać.

– Pamiętaj, żeby zważać na to, co mówisz, bo w przeciwnym razie będę zmuszona wezwać do szkoły twoich opiekunów – rzuciła na odchodnym przez ramię.

Szron wzdrygnął się, a Bronx zasalutował z udawanym szacunkiem.

– No więc skąd znasz Kat? – zwrócił się do mnie Szron, wracając błyskawicznie do naszej poprzedniej rozmowy. Wyglądał na zdeterminowanego i nie przejmował się drobnymi incydentami.

Odprężyłam się. Nie chodziło im o Cole’a ani o to, że mogę być – albo i nie – umiarkowanie atrakcyjna.

– Spotkałyśmy się przypadkowo podczas wakacji.

Miałam nadzieję, że powiedziałam coś właściwego. Nie byłam pewna, jak należy postępować, mając do czynienia z byłym przyjaciółką.

– Gdzie? – spytał z udawaną nonszalancją, której przeczyło spojrzenie tych czekoladowych oczu.

– No, uhm... hm.

Jak miałam odpowiedzieć na to pytanie, nie zdradzając jednocześnie niczego na swój temat?

Obaj chłopcy poprowadzili mnie za najbliższy narożnik korytarza, napierając ramionami z obu boków. Chciałam pójść w przeciwną stronę, do swojej szafki. Nie przejmowałam się zbytnio. Umiałam sobie poradzić. Może i nie chciałam mieć do czynienia z przemocą, ale potrafiłam o siebie zadbać. Nawet w przypadku takich chuliganów. Już tata się o to zatroszczył.

Prawdę powiedziawszy, pokonałam go kilkakrotnie – powaliłam na ziemię, podbiłam oko, raz nawet złamałam mu nos. Ilekroć okazywałam się lepsza, uśmiechał się, niezwykle ze mnie dumny.

Pieczenie w źrenicach... drżenie brody. Do diabła z tym, musiałam się skoncentrować na chwili obecnej.

O co pytał mnie Szron? Ach, tak.

– Jeśli chcesz się dowiedzieć, gdzie poznałam Kat, to sam będziesz musiał ją o to spytać.

No. Odpowiedź, która nie jest odpowiedzią. Postanowiłam, że gdy tylko zobaczę Kat, to poproszę ją, żeby zapomniała o szczegółach naszego pierwszego spotkania.

Szron zachował się tak, jakbym walnęła go w brzuch.

– Okrutna jesteś, Ali, taka okrutna. Przynajmniej daj mi jakąś

wskazówkę. Dorzuć wisienkę do mojego tortu.

Czarujące. Nie mogłam jednak zapomnieć, że oszukiwał Kat. Myśląc szybko, odparłam:

– Okay, oto wskazówka. Było tam mnóstwo ludzi. Kilku krzyczało, kilku skręcało się na łózkach. Dochodziło do kontaktów fizycznych.

Lekarze byli bardzo kontaktowi.

W następnej chwili miałam okazję wejrzeć głębiej w osobowość Szrona – potencjalnego kryminalisty. Maską sympatyczności opadła, ujawniając twarde, ciemne oczy i wściekle zaciśnięte wargi.

– Dotykała kogoś? Ktoś jej dotykał?

Człowieku, zostawiłeś ją samą na całe lato.

– Miło się z tobą rozmawia i w ogóle, ale naprawdę muszę...

Skręciliśmy w następny korytarz, a ja wpadłam na coś twardego i straciłam koncentrację, zataczając się do tyłu.

Bronx przytrzymał mnie, pomagając zachować równowagę, a potem puścił, jakbym spowodowała u niego oparzenia trzeciego stopnia.

– Przepraszam... – zaczęłam, skupiając uwagę na osobie, na którą właśnie wpadłam.

Dziewczyna, niższa ode mnie o kilkanaście centymetrów. Jedwabiste ciemne włosy opadające kręconymi splotami aż do połowy pleców i okalające twarz, którą mógłby się posłużyć sam Bóg jako wzorcowym obliczem dla swych ulubionych aniołów. Jej makijaż był nieskazitelny. Skórę miała lekko opaloną, ale wciąż nieskazitelną. Ubranie drogie i sexy, a mimo to eleganckie – i nieskazitelne. Nosiała różowy kaszmirowy sweter i zalotną białą spódniczkę. Jawiła się jako jedyny brylant w morzu sztucznej biżuterii.

Nie pociągały mnie dziewczęta, ale... rany. Ta tutaj wzbudziłaby

pożądanie każdego bez wyjątku. Nawet Kat i jej przyjaciółki z katalogu nie mogły się z nią równać.

– To twoja nowa dupeczka? – spytała Szrona tonem, który dowodził niedwuznacznie, że ona tu rządzi. Tonem skierowanym bezpośrednio do mnie.

Może jednak nie wzbudziłaby mojego pożądania. Nie lubiłam czegoś takiego.

– Opuść sobie, Mackenzie – powiedział Szron.

Mackenzie. Mackenzie Love. Miałam przed sobą byłą dziewczynę Cole'a Hollanda?

Oczywiście, że to ona, pomyślałam od razu, chcąc się roześmiać bez krztyny humoru. Piękni chłopcy umawiali się z pięknymi dziewczynami. Tak funkcjonował świat. Według tych zasad byłam skazana na towarzystwo jakiegoś patykowatego samotnika z tragiczną przeszłością. Wspaniale.

– Cole was potrzebuje – warknęła pod adresem chłopaków – co oznacza, że wasza misjonarska wyprawa będzie musiała trochę poczekać.

Był to sygnał do odwrotu. Zdążyłam się już pożegnać, przepchnęłam się więc obok Mackenzie i weszłam do... stołówki. A więc tu mnie prowadzili. Czas na lunch. Nic dziwnego, że burczało mi w brzuchu. Zapach jedzenia w połączeniu z tysiącem innych zachcianek mógł przemienić manekina w dzikusa.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się kolejki. Nie wiedziałam, do której dołączyć, zaczęłam się rozglądać, aż dostrzegłam w przeciwległym kącie znajomą twarz.

Kat przywołała mnie ruchem ręki. Szron wołał coś za moimi plecami, chcąc przyciągnąć moją uwagę, podczas gdy Mackenzie wyzywała go od idiotów. Zignorowałam ich i ruszyłam przed siebie. Im bardziej zagłębiałam się w to pomieszczenie, tym bardziej uświadamiałam sobie, jak gęste od tłuszczu jest powietrze. Wyczułam też woń cukru,

perfum i wody kolońskiej; wszystko to tworzyło coś w rodzaju zatykającego piżma. Żegnaj, apetycie.

– Co robiłaś ze Szronem? – spytała Kat, kiedy tylko usiadłam obok niej.

Nie zauważyłam u niej nawet cienia złości. Dobrze.

– Razem z drugim chłopakiem, Bronxem, czekał na mnie po lekcji. Spytał, w jakich okolicznościach się poznałyśmy.

Jej policzki straciły momentalnie różaną barwę.

– Co mu powiedziałaś?

Powtórzyłam dokładnie, modląc się, by była to właściwa odpowiedź.

Wyczułam, że dosłownie bije z niej ulga, i zobaczyłam, że jej twarz odzyskuje normalną barwę.

– Świetnie! Sama bym lepiej tego nie zrobiła.

Jakże potrzebowałam takiego zapewnienia.

– Dzięki.

– Tylko nie mów nikomu, gdzie się tak naprawdę poznałyśmy, okay?
– poprosiła, patrząc na mnie błagalnie.

Żaden problem. Tylko dlaczego nie chciała, by ktokolwiek wiedział? Zanim zdążyłam o to spytać, zjawiła się reszta jej świty. Powitałam każdą z dziewcząt półuśmiechem, ponieważ na nic więcej nie było mnie chwilowo stać.

Kiedy dziewczęta zaczęły opowiadać ze szczegółami wszystko, czego się dowiedziały o ludziach, których w życiu nie widziałam, poczułam, jak powstają mi włoski na karku. Doznawałam tego wrażenia przez kilka minut, zanim odwróciłam się na krześle, szukając źródła swego niepokoju.

Cole siedział z gangiem kilka stolików dalej i... patrzył na mnie. Patrzył – takie łagodne określenie spojrzenia spod przymrużonych powiek, skierowanego wprost na mnie, przenikającego mnie na wskroś. Gdyby oczy mogły ciskać sztyletami, to kilka utkwiłoby mi w piersiach (co nie znaczy, że tam właśnie patrzył, pragnę zastrzec).

Zebrałam się na odwagę i utrzymałam ten kontakt wzrokowy, pełna niespokojnego wyczekiwania. Tym razem jednak nie doszło do żadnej wizji. Do żadnego mentalnego pocałunku. To, co się wydarzyło tego ranka, musiało być jednorazowe. Fuks.

Poczułam ulgę. Nie byłam rozczarowana. Poza tym wydawało się, że tak jest lepiej. Dowód: obok niego przycupnęła anielska Mackenzie, obejmując go ramieniem, podkreślając swoje roszczenia do jego osoby, ostrzegając mnie. Ona też przyglądała mi się gniewnie i jednocześnie szeptała mu coś do ucha. Nie musiałam odznaczać się umiejętnością czytania w myślach, by wiedzieć, że knuje moją śmierć towarzyską.

Żaden problem. Nie zależało mi na popularności.

– Co? – rzuciłam pod jej adresem, poruszając bezgłośnie wargami, i było to jak najbardziej uprawnione pytanie. Zrobiłam jej coś? Nie, ot co.

Przesunęła językiem po zębach, a potem warknęła do Cole'a coś, co zabrzmiało jak „Pozwól, że dam jej nauczkę. Tylko mała lekcja. Proszę”.

Nie usłyszałam jego odpowiedzi.

Kat poklepała mnie po dłoni.

– Słuchasz mnie? Bo uwagi, które padają teraz z moich ust, to prawdziwe perły. Mianowicie, jeśli chcesz dzierżyć władzę, to musisz zrzucić z piedestału panującą królową. Wszystkie chwytły dozwolone.

– Zagapiłam się, przepraszam – odparłam i poczułam, jak palą mnie policzki. – Kto więc jest panującą królową?

– Była tego faceta, którego właśnie rozbierałaś w myślach –

wyjaśniła Reeve. – I pomyśleć, że miałam cholerną szansę do chwili, gdy rozgorzała wojna między Mackenzie Love a Ali... jakąś tam.

– Bell – powiedziałam, a Kat dodała:

– Ali wygra w cuglach, ale będzie chciała, żebym to ja zasiadła na tronie. Mogę się założyć.

Zadrzałam na myśl, że mogłabym uchodzić za osobę godną naśladowania.

– Nie chcę żadnego tronu.

Kat uniosła triumfalnie brodę.

– Widzicie?

– Cole musi uważać, że jesteś warta zachodu, bo od razu zwrócił na ciebie uwagę. Wciąż to robi – zauważyła Wren, patrząc to na Cole'a, to na mnie. – Mackenzie spróbuje cię prawdopodobnie zabić jeszcze przed końcem tygodnia, ale mam być szczerą? Nie warto zawracać sobie nim głowy. Pociągnie cię tylko na dno i zrujnuje ci życie.

Poppy zaplatała na palcu kosmyk swych pięknych rudych włosów.

– Ostatnia dziewczyna, na którą tak patrzył, spędziła rok cała w gipsie.

– Jaka dziewczyna? – spytałam odruchowo.

– Nie było żadnej dziewczyny – wtrąciła Kat ze zmarszczonym czołem. – Pamiętałabym coś takiego.

Wren westchnęła ze smutkiem.

– Ma rację. Nie było takiej dziewczyny. Sprawdzaliśmy tylko twoją reakcję. Wypadłaś kiepsko, Ali. – Zwróciła się do Kat: – Opowiadałaś jej o swoim związku ze Szronem? O tym, jak o mało nie wyleciałaś przez niego ze szkoły?

Ktoś klepnął mnie w ramię. Podniosłam gwałtownie wzrok i stwierdziłam, że patrzę wprost na tego ciemnowłosego chłopaka z klasy Dupka. Tego, który wszystkich rozśmieszył, odwracając ode mnie powszechną uwagę. Przy naszym stoliku zapadła cisza.

– Nie pozwól się zastraszyć tej Mackenzie – oznajmił, dając mi tym samym do zrozumienia, że wszyscy obecni w stołówce zauważyli, jak wydała na mnie milczący wyrok. – Potrafi przywalić, ale tylko wtedy, kiedy stoi. Jeśli ją zwalisz na ziemię, wygrałaś.

Powiedziawszy to, wyprostował się i odszedł.

Zszokowana, spojrzałam na dziewczęta. Wszystkie gapiły się na mnie solidarnie. Kat, Poppy i Reeve z niekłamany podziwem. Wren z ostrością, która zbijała mnie z tropu.

Rozłożyłam ręce.

– O co chodzi?

– Cole’owi bardzo się nie spodoba, że ma konkurencję – wyjaśniła rozpromieniona Kat. – To był Justin Silverstone. Nie gada z nikim prócz swojej siostry. A ty zdecydowanie nie jesteś jego siostrą.

Poppy skinęła entuzjastycznie głową.

– Słowo daję, myślałam, że jest gejem.

Wren trzepnęła ją w ramię.

– Nie jest gejem!

Reeve wsparła łokcie o stół i nachyliła się w moją stronę.

– Jak to rozegrasz, Ali?

– Co rozegram? – spytałam szczerze zaskoczona.

– Jak przyciągniesz jego uwagę – wyjaśniła Wren tonem równie ostrym jak spojrzenie jej karmelowych oczu. – Ma najwyższe oceny, nigdy nie opuszcza lekcji i zaplanował już swoją przyszłość. Podróżuje. Do tego jest cholernym odludkiem.

Poruszyłam się niespokojnie na krześle.

– Wcale nie przyciągnęłam jego uwagi. Jedyne chłopak, z którym w ogóle rozmawiałam, to Szron, zresztą tylko dlatego, że mnie przydybał.

– Uhm – mruknęła Kat, nie kryjąc wątpliwości i rozbawienia. – No cóż, sprawdźmy, czy Cole zauważył twojego niespodziewanego gościa przy stole.

Zrobiłam wielkie oczy i sięgnęłam do jej ręki.

– Nie...

Było jednak za późno. Zdążyła się już odwrócić. Sekundę później rozwarła usta ze zdumienia.

Nie mogłam się powstrzymać i też spojrzałam. To, co zobaczyłam, wstrząsnęło mną do głębi. Nie byłam jedyna, która tego dnia skupiała na sobie wściekłe spojrzenia. Cole patrzył na Justina tak, jakby chciał zedrzeć z niego skórę, rzucić ją na ziemię i wykorzystać w charakterze planszy do gry.

– To nie ma nic wspólnego ze mną – zdołałam wykrztusić.

Żywiłam jednocześnie nadzieję, że jest odwrotnie.

Co za cholerny, cholerny nonsens!

Tej nocy siedziałam na parapecie w swoim pokoju i wpatrywałam się w ciemność. Ku mojemu zaskoczeniu Cole i Mackenzie nie próbowali mnie odszukać w szkole, nie odezwali się do mnie choćby jednym słowem, podobnie jak reszta ich przyjaciół. Justin też się nie pojawił. I jeśli ktoś powiedział komuś coś o mnie, to nic mi o tym nie było wiadomo.

Albo Mackenzie zmieniła zdanie, jeśli chodzi o „nauczenie” mnie tego, co uważała za konieczne, albo ktoś ją powstrzymał. Cole? Oznaczałoby to jednak, że go słucha, że liczy się z tym, co on mówi – i że polecił jej, by trzymała się ode mnie z daleka. Nie wydawało się to prawdopodobne. Nie przychodził mi do głowy żaden powód, dla którego Cole miałby stanąć w mojej obronie.

Wzdychając, potarłam skronie, by stłumić nadchodzącą migrenę. Wiedziałam, że jeśli nie przestanę się nad tym wszystkim zastanawiać, to nabawię się krwotoku mózgowego. Zresztą miałam inne zmartwienia. Zakończyłam dzień w towarzystwie Kat, wsiadłam do autobusu – znowu ze spuszczoną głową – i zamknęłam się w swoim pokoju. Babcia i dziadek zawołali mnie w końcu, chcąc się dowiedzieć, jak podoba mi się w nowej szkole i czy z kimś się zaprzyjaźniłam. W przypadku pierwszego pytania odpowiedziałam zdawkowym „może być”, a w przypadku drugiego: „z jedną czy dwiema osobami”. Potem zapadła niczym niezmacona cisza, oni zaś patrzyli na mnie, jakby spodziewając się szczegółów rodem z dziennika pensjonarki. Czując się nieswojo, i to po raz tysięczny tego dnia, popełniłam błąd i powiedziałam im o spóźnieniu na pierwszą lekcję i reprimendzie, jakiej udzielił mi pan B. (szczerze, zapomniałam już jego prawdziwego nazwiska, a nie chciałam mówić dziadkom, że ochrzciliam go Dupkiem).

Oczywiście, chcieli od razu wiedzieć, czy powinni zadzwonić do mojego terapeuty i powiedzieć, jak jest mi ciężko, i że nauczyciele

powinni traktować mnie wyrozumiale. Było to miłe z ich strony, ale stanowczo odmówiłam. Chyba zaskoczył ich mój opór, ale przynajmniej skapitulowali. Nie miałam najmniejszej ochoty być znana jako Pinot Grigio (tak mnie nazywali rodzice, kiedy zaczynałam marudzić. Emmę nazywali Pinot Noir).

Teraz, po kolacji, kiedy już pozmywano naczynia, a dziadkowie spali w swoim pokoju, znów zostałam sama. Aksamitne niebo ozdabiał złoty półksiężyc, nigdzie nie było widać chmur, a kobierzec gwiazd mrugał wszędzie, jak okiem sięgnąć. Delikatny wietrzyk wprawiał w taniec gałązki i listki, przydając tej bajkowej scenie niesamowitości.

Tak jak każdej nocy od czasu, gdy przeprowadziłam się do tego domu, obserwowałam i czekałam, napięta jak struna, która może lada chwila pęknąć, i miałam nadzieję, że dojrzę przelotnie Pannę Niemłodą. Dotąd bezskutecznie.

Siedziałam tak niespełna kilka godzin i już ziewałam ze zmęczenia, ale pragnęłam za wszelką cenę zachować przytomność. Zamierzałam udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że potwory istnieją. Albo i nie.

Kilka rzeczy, jakie zauważyłam podczas tych późnowieczornych posiedzeń: Panna Niemłoda nie pojawiała się każdej nocy, tylko od czasu do czasu, a te interwały obejmowały od siedmiu do czternastu dni. Sporządzałam notatki, sądząc, że musi się pojawiać tylko podczas pewnych faz Księżyca, ale nie. Księżyc nie miał nic wspólnego z jej obecnością. Jednak nawet wtedy, gdy jej nie widziałam, odnosiłam wrażenie, że ona – albo ktoś – mnie obserwuje.

Paranoiczne? Jasne. Nie byłam nawet w stu procentach przekonana, czy Panna Niemłoda jest tam w ogóle, lecz wiedziałam, że pewnej nocy, może nawet jeszcze tej, zyskam pewność. Jeśli będę trzymała się nieugięcie swego planu.

Każdego ranka, ilekroć widziałam ją w nocy, penetrowałam las za podwórkiem na tyłach domu dziadków i znajdowałam różne ślady ludzkich stóp. Na ogół były duże i szerokie, jakby zostawił je mężczyzna noszący wysokie buty. Kilka było mniejszych i węższych; przywodziły na myśl kobietę w tenisówkach.

Te ślady powinny stanowić dowód mojej normalności, ale bałam się w jakimś stopniu, że widzę tylko to, co chcę widzieć, że nawet te odciski są mirażem. A może ślady były dziełem grupy dzieciaków bawiących się w chowanego? Jaką głupotą byłoby zrzucanie winy na jakieś potwory!

Upłynęła następna godzina; obserwowałam i czekałam.

Mijały kolejne godziny. Panie, daj mi siłę, modliłam się. Pomyślałam, że jeśli Panna Niemłoda nie pojawi się tej nocy, to nazajutrz spróbuję ponownie – a potem znowu i znowu, choćby miało to trwać wieki. Nie zamierzałam rezygnować.

Okay, kiedy zbliżała się druga, postanowiłam dać sobie spokój. Zaledwie kilka razy ta zjawa pokazała się po drugiej, zresztą powieki ciążyły mi jak kamienie, a szczęka bolała od ciągłego ziewania. Byłam rozczarowana i zła, ale – jeśli mam być szczerą – odczuwałam niejaką ulgę. Nieobecność potworów oznaczała, że nie ma powodów do konfrontacji.

Tak. Mój plan zakładał bliski kontakt. I osobisty.

Wstałam z parapetu i po raz ostatni obrzuciłam spojrzeniem zarośla. Przyszło mi do głowy, że się położę, poczytam i... Nagle zza któregoś z drzew mignęła biel, prawie niewidoczna. Oddech utkwił mi w gardle, palący oddech, a po plecach przebiegł dreszcz strachu. A więc mimo wszystko dojdzie do konfrontacji, pomyślałam.

Adrenalina, którą czułam w żyłach, przynaglała mnie do działania; wiedziałam, że nie zdołam przekonać samej siebie, by pozostać w ukryciu.

Chwyciłam kij baseballowy, który pożyczyłam od dziadka.

Powinłam była zrobić to już dawno temu, ale powstrzymywały mnie strach i wspomnienia tego, co wydarzyło się po wypadku. Teraz jednak byłam mądrzejsza, silniejsza. Przetrwałam pierwszy dzień w nowej szkole. Miałam dość odwagi, by udać się w pełną grozy ciemność na dworze i odkryć to, co kryło się w lesie.

– Przepraszam, ale muszę złamać twoje zasady, tato – wyszeptałam.

„Potwory łakną twojego ciała, twoich organów – usłyszałam go w wyobraźni i przez chwilę przeszłość paraliżowała moje ruchy. – Jeśli cię zobaczą, ruszą za tobą w pościg. A jeśli cię złapią, to cię pożrą”.

„Skąd wiesz? – przypomniałam sobie, jak go spytałam, nie dlatego, bym mu wierzyła, ale dlatego, że miałam nadzieję go zaskoczyć i sprawić, by zrozumiał, jak bardzo się myli. – Goniły cię kiedykolwiek?”

„Kilka razy, ale nigdy mnie nie dopadły”.

„No cóż, skoro nigdy cię nie dopadły, to skąd wiesz, że chciały cię pożreć?”

„Wyczuwałem, jak ich ciała emanują złem”.

„Tato, nie można...”

„Można. Co więcej, kilka lat temu znalazłem książkę, która wszystko o nich mówi”.

„I wierzysz w to, co tam napisano?” Bez wątpienia fikcja literacka.

Zastanawiał się przez chwilę.

„No cóż, nie. Napisano, że broń palna nie może zrobić potworom krzywdy, ale broń ma moc rażenia wszystkiego. I rozmawiałem z innymi, takimi jak ja...”

„Na czacie” – odparłam sucho. Gdzie czterdziestoletni mężczyźni lubią udawać siedemnastoletnie dziewczęta. Super.

„Tak, i wszyscy mówią to samo. Potwory chcą nas pożreć”.

Zepchnęłam to wspomnienie w zakamarki umysłu, gdzie kłębią się zwykle poczucie winy, smutek i milion innych rzeczy, i przekradłam się po cichu na dół. Wyszłam na zewnątrz przez tylne drzwi i stanęłam na ganku, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Noc była skąpana w ciepłe,

powietrze przypominało gruby koc, którego nie mogłam z siebie zrzucić. Cykały świerszcze, śpiewała szarańcza. Liście ocierały się o siebie w pogwizdywaniach wiatru.

Wciągnęłam w płuca powietrze, odetchnęłam – i wyczułam najbardziej odrażającą woń. Zmarszczyłam odruchowo nos i skrzywiłam się. Słowo daję, gdyby ktoś wetknął głowę w odbyt zdechłego konia, to nie poczułby takiego zapachu (nigdy tego nie robiłam, tak na marginesie. Tylko sobie wyobrażałam). Przypominało to zepsute jaja w połączeniu z psimi bąkami, przyprawione dodatkowo wydzieliną skunksa.

Zacisnęłam dłoń na kiju, penetrując wzrokiem podwórze. Świerszcze skakały to tu, to tam. Płowy blask księżycy i ruchliwe, poskręcane cienie tańczyły tango, drzewa się kołysały, ale nic nie wyskoczyło na mnie z ciemności.

Okay. Dobra. Czuję, że jestem do tego zdolna. Jeden krok, drugi... Zaczęłam się zbliżać do drewnianego ogrodzenia. Drżałam gwałtownie, nogom zagrażał paraliż, ale szłam twardo do przodu.

W końcu stanęłam przy furtce prowadzącej do lasu. Po plecach spływały mi maleńkie kropelki potu i pragnęłam jedynie popędzić z powrotem do swojego pokoju. Znowu nasłuchiwałam, wdychając ten koszmarny zapach rozkładu. Był teraz silniejszy, gęstniał w powietrzu coraz bardziej i palił mnie w gardle. Zakrztusiłam się.

Wyciągnęłam drżącą rękę i odsunęłam rygiel. Gdy furtka otworzyła się ze skrzypieniem zawiasów, uniosłam kij i przyjęłam pozycję spod znaku: „Zatłukę cię na śmierć – nie żartuję!”. Upłynęła minuta, która zdawała się wiecznością, ale nic się nie stało. Nikt nie próbował mnie zaatakować.

No dalej, Bell. Możesz to zrobić, pamiętasz? Przesuwałam się centymetr za centymetrem – przekroczyłam ogrodzenie, potem linię krzewów i wreszcie zagłębiłam się w las. Wodziłam wzrokiem w lewo i prawo. Wcześniej dostrzegłam to mignięcie bieli... przygotuj się... w tamtym miejscu.

Zamach...

Nic. Trafiłam w nicość.

Znieruchomiałam, drżały mi ręce. Promienie księżycowego blasku tłumili gęsty baldachim liści, które zwieszały się nade mną, zaciemniając cały teren, nie widziałam więc, czy na ziemi są jakieś ślady. Serce zaczęło mi walić, potem przeszła mnie błyskawica – nieznaczne elektryczne impulsy w piersi.

Za moimi plecami trzasnęła gałązka.

Obróciłam się na pięcie, machnęłam kijem – i znów trafiłam tylko w powietrze. Przełknęłam, próbując uwolnić się od węzła, który dławił mi krtań.

Nigdy nie rozumiałam tych głupich dziewczyn w horrorach – dziewczyn, które słyszą jakiś budzący grozę dźwięk i wychodzą z domu, żeby to sprawdzić, zupełnie same, a potem obrywają nożem albo zostają poddane torturom. Myślałam sobie w takich chwilach: gdyby tylko wezwała policję, zaczekała na pomoc, na cokolwiek, uniknęłaby tak straszliwego losu.

Teraz je doskonale rozumiałam. Komu mogłabym o tym powiedzieć? Każdy uznałby, że jestem obłąkana jak mój tata. Niewykluczone, że zostałabym umieszczona w zakładzie, nafaszerowana lekami, zapomniana.

Postanowiłam stawić temu czoło, tak jak te głupie dziewczęta z horrorów, i wkroczyłam głębiej w las. Jeszcze głębiej...

Za moimi plecami znów trzasnęła gałązka. I znów obróciłam się błyskawicznie, wymachując kijem. I znów nic mi nie stało na drodze, tym razem jednak coś zobaczyłam.

Zataczając się, zdołałam wykrztusić:

– Emma?

Unosiła się kilka kroków ode mnie, ciemne włosy związane miała w kucyki, różowa spódniczka baletowa marszczyła się wokół jej talii.

Policzek, ten kontuzjowany podczas wypadku, był nietknięty. Ani śladu strupa, blizny. Zdrowa, leciutko opalona skóra.

Jej różane usta ściągnął grymas.

– Musisz wejść z powrotem do domu – powiedziała głosem, w którym pobrzmiwał niekłamany strach. – Natychmiast, Alicjo.

Jej realność zdumiała mnie. Wyczuwałam nawet jej zapach, typowy dla małej dziewczynki, tak słodki, że niemal tłumiał tamten smród rozkładu. Potykając się niemal o własne nogi, pokonałam przestrzeń między nami i wyciągnęłam do niej rękę.

– Alicjo – powtórzyła zniecierpliwionym tonem.

Moja dłoń przeniknęła ją na wskroś.

Chciałam krzyknąć z rozpacz i frustracji. Była tylko halucynacją. Czy miało to w gruncie rzeczy znaczenie? Była tutaj, ze mną, a ja za nią tak tęskniłam. No dobrze, jeśli mój umysł pragnął stwarzać jej obraz, to nie zamierzałam z tym walczyć. Najważniejsze, że ją widziałam.

– Jak się masz, siostrzyczko?

– Musisz wracać do domu, Alicjo. Za chwilę będzie za późno.

– Za późno na co?

Dałabym wszystko, by wziąć ją w ramiona, przytulić mocno i nigdy nie wypuścić z objęć.

Jej bursztynowe oczy napotkały mój wzrok i załśniły łzami.

– Błagam!

Zgodziłabym się na wszystko, czego by zapragnęła – tylko nie na rozstanie.

– Pójdiesz ze mną?

– Alicjo! Błagam, musisz... – Jej obraz zadrgał i zaczął nikać w takt jej głosu... nikać... – Proszę.

– Nie! – krzyknęłam. Ujrzeć na chwilę ukochaną siostrę, by zaraz potem ją utracić. Czy mogło być coś okrutniejszego? – Nie odchodź.

Potrzebuję cię. Realną czy też nie. Ale ona już zniknęła, rozplynęła się też słodczy przepajająca powietrze. Obracałam się gorączkowo wokół własnej osi, wypatrując najdrobniejszego śladu siostry.

Po druzgocącym rozczarowaniu pojawiła się nadzieja, niczym ostatnia deska ratunku. Może Emma nie zniknęła na dobre. Może chciała z jakiegoś powodu, bym poszła do swojego pokoju – żeby na przykład porozmawiać tam ze mną.

Rzuciłam się biegiem przed siebie, zatrzasnęłam furtkę i wpadłam do domu. Popędziłam schodami na górę, nie dbając o to, czy usłyszą mnie dziadkowie. Wydawało mi się, że upłynęła wieczność, nim dotarłam do sypialni i wpadłam do środka.

– Emma?

Cisza. Przeszukałam każdy kąt, każdy zakamarek, ale nigdzie jej nie było.

Czekałam. Pięć minut, dziesięć, ale nie pojawiła się ponownie.

Czy było w tym coś dziwnego?

Nadzieja zamarła, powróciło rozczarowanie.

– Emma – powiedziałam i poczułam, jak trzęsie mi się broda. Pod sufitem obracał się wentylator, który szumiał nieznacznie, ale był to jedyny słyszalny dźwięk.

Uświadomiłam sobie mgliście, że nie zaciągnęłam zasłon, więc podeszłam do okna.

W chwili gdy moje palce dotknęły materiału, zamarłam.

Panna Niemłoda i osobnik, który mógł być tylko jej wybrankiem, stali tuż za ogrodzeniem, w kręgu księżycowego blasku. Patrzyli na mnie, rozciągnięte wargi odsłaniały zęby – bardzo ostre zęby.

Suknię miała podartą, brudną, oczy zapadnięte. Skóra była dziobata i pokryta plackami czegoś czarnego, co sączyło się z porów. Nie miała na głowie welonu, ale i niewiele włosów, tylko długie strąki, w które zaplątały się liście.

Towarzyszący jej mężczyzna nosił równie podarty i brudny smoking. Miał tak samo zapadnięte oczy, dziobatą skórę i rzadkie włosy. Identyczna czarna maź pokrywała mu brodę i skapywała na ziemię... kap, kap.

Panna Niemłoda wyciągnęła rękę, jakby w moją stronę.

Cofnęłam się gwałtownie, potknęłam i wylądowałam na tyłku. Impet uderzenia sprawił, że zakręciło mi się w głowie i chyba na moment straciłam świadomość. Potwory zaatakowałyby mnie wcześniej, kiedy miałam szansę, więc musiał to być żart. Tych dwoje było prawdopodobnie ludźmi w przebraniach. Zaaplikowali sobie ten groteskowy makijaż. Tylko... kto zdobyłby się na taki kawał? Kto zadawałby sobie tyle trudu, i to przez tak długi czas? Kto wiedziałby o tym, że to najlepszy sposób, żeby mi dokuczyć?

Nikt, ot co.

Pomyślałam, że moja teoria wymaga sprawdzenia. Zdobywając się na odwagę, wstałam z podłogi i podeszłam do okna. Wyjrzałam na zewnątrz i okazało się, że... koszmarne para zniknęła. Po prostu zniknęła.

Prawie krzyknęłam pod wpływem frustracji.

Co się działo, u licha? Co widziałam? I w jaki sposób mogłam rozmawiać z młodszą siostrą?

Osunęłam się na kolana i ukryłam twarz w dłoniach. Było ze mną gorzej niż z ojcem. Nie mogłam temu dłużej zaprzeczać. Nie mogłam

żyć nadziei, że jest inaczej.

Och, tato! Powinam była okazywać mu więcej serdeczności. Spędzać z nim więcej czasu. Okazywać więcej zrozumienia dla jego psychozy, więcej sympatii. Powinam była go pocieszać, zamiast narzekać.

„Powinam” – słowo udręki, nie zaś pocieszenia.

Nazajutrz rano oczy piekły mnie ze zmęczenia, kiedy przemierzałam korytarze Asher High (górami Tygrysy!). Było więcej plakatów na ścianach, teraz przystrojonych serpentynami. Przesiedziałam całą noc przy oknie, pragnąc rozpaczliwie ujrzeć Emmę jeszcze raz, przerażona myślą o tych wymyślonych potworach.

Słowo daję, byłam żalosna.

Nie mogłabym funkcjonować dłużej bez snu i wiedziałam o tym. Mój umysł zamieniał się w papkę – najwyraźniej – a ciało ważyło chyba z tonę; powłóczyłam nogami. To ostatnie zostało dobitnie potwierdzone, kiedy wpadłam na kogoś z nienacką. Na jakąś dziewczynę, której nie poznałam. Wymamrotałam przeprosiny, a ona czmychnęła bez słowa komentarza.

Potem pomyślisz o Emmie, dziwadłach i swoim obłądnie. Teraz staraj się przetrwać ten dzień. Dobra rada. Chętnie bym jej posłuchała, przysięgam. Prawdę mówiąc, był sposób, bym okazała posłuszeństwo. Kat. Stanowiła doskonałą odskocznnię. Tyle że kiedy przeciskałam się przez tłum uczniów, przyłapałam się na tym, że szukam nie jej, lecz Cole'a Hollanda.

Poczułam, że pocał mi się dłonie, kiedy zbliżałam się do korytarza, w którym widziałam go poprzedniego dnia. Gdzieś z dali dobiegał mnie dźwięk otwieranych i zamykanych szafek szkolnych, gwar rozmów i śmiech, tupot i stukot butów. Coraz bliżej... Czy i dziś tam był? Przygarbiłam się, pokonując narożnik korytarza i przygotowując się na spotkanie, tak na wszelki wypadek.

Świetnie. Był.

Zachowaj spokój, Bell. Opierał się o szafkę, ręce wsunął do kieszeni

dżinsów. Miał na głowie inną czapkę, tym razem niebieską. Jego twarz była skąpana w cieniu, który zakrywał te niesamowite liliowe oczy, ale mogłam dostrzec świeży siniak na brodzie i pęknięcie na dolnej wardze.

Wdał się w bójkę.

Nosił czarny podkoszulek, który opinał w nieprzyzwoity sposób wyćwiczone mięśnie. W pasie spiął się łańcuchem i mogłabym przysiąc, że na jego końcu widnieją plamki zaschniętej krwi. Buty miał świeżo wypolerowane, ale mocno porysowane.

Otaczali go przyjaciele, choć tym razem nie tak wielu. Każdy z nich był posiniaczony – na twarzy, szyi, rękach, kłykciach – niektórzy bardziej niż pozostali. Szron miał dłonie obwiązane bandażami, które zakrywały tatuaże.

Słowo daję, musieli należeć do jakiegoś klubu fighterów.

– Hej, Ali. – Kiepsko. Szron zauważył, że się mu przyglądam. Zamiast zafundować mi upomnienie, obdarzył mnie słonecznie promiennym uśmiechem. – Nieźle dziś wyglądasz.

– Dzięki – odparłam, starając się nie przestępować nerwowo z nogi na nogę. Okay, wygrzebałam swoje najlepsze dżinsy i luźny szaro-biały top z koronką, w którym mój biust wydawał się większy, niż był w rzeczywistości. Co z tego. Nic to nie znaczyło.

– Może pozwolisz nam spełnić nasze marzenia i pogadasz z nami? – dodał. Sam czar i słodycz.

Skupiłam ponownie uwagę na Cole'u, zastanawiając się, czy i on mnie zachęci, bym podeszła bliżej. On także przewiercał mnie wzrokiem, ale się nie uśmiechał. Patrzył wilkiem.

W chwili, gdy spotkały się nasze spojrzenia, reszta świata gdzieś się rozplynęła...

...staliśmy teraz pośrodku pustego korytarza. Otaczał mnie mocnymi ramionami i przyciągał do siebie. Poczułam zewsząd żar, a potem zapach

wyschniętego na słońcu prania i drzewa sandałowego. Żadnych truskawkowych lizaków tym razem, ale to było nieważne. Wciąż działał na mnie tak, że nie mogłam mu się oprzeć.

Pochłaniały mnie jego liliowe oczy, jakbym była najpiękniejszą istotą na całym świecie.

„Przytul się do mnie”.

Posłuchałam od razu, przesuwając palcami po jego piersi, szyi i włosach. Nie miał czapki na głowie. Żadnych ran ani siniaków.

„Tak?”

„Tak, właśnie”.

A potem przywarł wargami do moich ust, jego język poruszał się w moich ustach i przejmował kontrolę.

Nasze głowy przechyliły się w przeciwne strony, umożliwiając głębszy kontakt. Krótki zarost na jego brodzie drapał mi skórę, ale nawet to było podniecające, wspaniałe i kuszące.

Mój drugi pocałunek, pomyślałam mgliście, i nawet lepszy niż pierwszy. Cole smakował jak mięta i cynamon, ja zaś pomyślałam, że ta kombinacja stanowi mój ulubiony smak. Konieczny początek każdego bez wyjątku dnia. A jego dłonie... Och, co on robił dłońmi!

Nie ulegało wątpliwości, że miał doświadczenie, mnóstwo doświadczenia, i że potrafił grać na dziewczynie jak na fortepianie.

Grać... Słowo to wibrowało w moim umyśle. Czy była to dla niego gra? Czy coś więcej? Na przykład związek? Czy będzie ze mną rozmawiał, kiedy pocałunek się skończy? – zadawałam sobie pytanie. Czy nie będzie chciał mieć ze mną nic wspólnego? Czy jego przyjaciele pomyślą, że jestem łatwa? Patrzcie, jak szybko wpadła mu w ramiona. Czy stałabym się znana jako zdzira z Asher High, całująca się z każdym, kto by miał na to ochotę?

Wspaniale. Takie już miałam szczęście. Moje myśli mogły teraz zakłócać te zwariowane halucynacje i...

– Hej, Ali!

...zamrugałam, sen-pocałunek zniknął, a świat znów przybrał dawny kształt. Zobaczyłam rzednący tłum, usłyszałam trzask zamykanych szafek i pospieszny tupot. Wyczułam mieszaninę różnych woni, niektóre były słodkie, inne korzenne.

Przede mną stała Kat, marszcząc czoło.

– Tu jesteś – powiedziała. – Po powrocie z mentalnych wakacji. Stoisz tu, pośrodku towarzyskiej Syberii, że się tak wyrażę, i blokujesz ruch.

– Przepraszam – odparłam.

Z jej ust wyrwało się westchnienie.

– Wiem, co ludzie mówią: że przepraszanie to oznaka słabości, ale myślę, że to oznaka siły, kiedy mnie przepraszają. Wyświadcz mi po prostu przysługę i wsłuchaj się w to, co ci teraz powiem; moje słowa to piękne motyle, których nie powinnaś wypuszczać. Jeśli nie wybijesz sobie z głowy Cole'a Hollanda, to wylądujesz ze mną na pokładzie Titanica.

Nie mogłam się w żaden sposób powstrzymać. Zerknęłam jej przez ramię. Cole właśnie...

Szedł w moją stronę, w każdym jego kroku wyczuwało się determinację. Rysy wykrzywiał mu zawzięty grymas. Dłonie zaciśnięte były w pięści, na kostkach dostrzegłam strupy. Musiał kogoś zdrowo walnąć zeszłego wieczoru. Współczułam temu, z kim się bił.

Stoisz tu jak kołek! Chcesz, żeby podszedł do ciebie? Wiedziałam, że zapragnie się dowiedzieć, dlaczego prześladuję go wzrokiem.

Myślałam, że będę dziś zgrywać twardą dziewczynę, ale okazało się, że nic z tego. Wycofałam się niczym tchórz.

– Dzięki za radę. Nie zapomnę jej, ale teraz muszę pędzić. –
Dosłownie. – Zobaczymy się na lunchu, okay?

Zanim Kat miała szansę zasypać mnie pytaniami jak ogniem broni maszynowej, odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w przeciwnym kierunku, pokonując bardzo, bardzo długą drogę do żeńskiej toalety naprzeciwko mojej klasy. Na szczęście Cole mnie nie dogonił. Albo nawet nie próbował, co wydawało się bardziej prawdopodobne. Mogłabym się założyć, że ze swoimi mięśniami potrafiłby prześcignąć geparda.

Spryskałam sobie twarz nad umywalką, wytarłam się ręcznikiem papierowym, zanim choć jedna kropla wody zdążyła mi zmoczyć top, i przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Policzki miałam zaróżowione, dolna warga była czerwona i nabrzmiała. Musiałam ją zagryzać w czasie tej wizji.

Lepiej, niż gdyby zagryzał ją Cole, prawda?

Nie zdążyłam sformułować wiarygodnej odpowiedzi. Do toalety przyzeglowała Mackenzie Love, niewątpliwie w konkretnym celu. Tego dnia ciemne loki miała zebrane na czubku głowy, tylko kilka kosmyków opadało jej na twarz. Była nieskazitelnie umalowana, z wyjątkiem błękitno-żółtej smugi na lewym policzku. Smugi, która podejrzenie przypominała siniec. Nosila zapiętą pod szyję bluzkę z długimi rękawami i luźne spodnie z miękkiego materiału. Strój stylowy i wygodny, ale całkowicie nieodpowiedni na upalną pogodę.

W każdym calu drapieznik, zmrużyła oczy i zbliżyła się do mnie. Była to zapewne ta taktyka, o której wspominała Kat: „Przyprzeć do muru i zagrozić”.

– Nie wiem, za kogo się uważasz albo co knujesz – warknęła – ale pogrzebię cię, jeśli skrzywdzisz któregoś z moich przyjaciół.

Tak. Nie myliłam się.

– Nazywam się, jak sądzę, Ali Bell, i wydaje mi się, że stoję tutaj, pilnując własnego interesu. Też powinnaś tego spróbować.

Ponieważ Mackenzie była o kilka centymetrów niższa ode mnie, musiała przechylać do tyłu głowę, żeby patrzeć mi w oczy. Przynajmniej ten jeden raz mój wzrost przyprawił mnie o deliryczne wręcz zadowolenie.

Skrzywiła się, błyskając doskonale równymi zębami.

– Lepiej na siebie uważaj. Nie chciałabyś mnie widzieć, kiedy jestem wkurzona.

– Bo co? Urośniesz o kilka centymetrów, rozwiniesz mięśnie i zzieleniejesz?

Sorry, ale nie jestem kimś, kto daje się łatwo zastraszyć. Z wyjątkiem kogoś, kto ma czarne włosy i fioletowe oczy, ma się rozumieć.

Mackenzie zaczęła prychać nerwowo, obmyślając jakąś celną ripostę. Mogłam się założyć, że byłam pierwszą osobą, która jej się kiedykolwiek sprzeciwiła, choć z trudem sobie wyobrażałam, by Kat tchórzyła albo się cofała, bez względu na to, z jakim przeciwnikiem miała do czynienia.

– Nie chcę się spóźnić na lekcję – oznajmiłam, postanowiwszy zakończyć konfrontację tu i teraz. – Więc może odszukaj mnie trochę później i rzuć obelgę, która przyjdzie ci w tym czasie do głowy.

Przemknęłam pospiesznie obok niej – wciąż prychała – i zobaczyłam Cole'a na końcu korytarza. Cuda nad cudami, jednak szedł za mną.

Zauważył mnie i ruszył zdecydowanie. Nie mogłam zwać z lekcji, prawda? Rozdarł się dzwonek, kiedy popędziłam w jego stronę. Tak, w jego stronę. Na szczęście nie musiałam mieć z nim do czynienia. Zanim zdążył mnie dopaść, dotarłam do swojej sali i wpadłam do środka, po czym zamknęłam za sobą drzwi.

Oczywiście, znów się spóźniłam. Pan Dupek kazał mi stanąć przed całą klasą i przeproszać. Nie byłoby to takie straszne, ale widziałam przez szybkę w drzwiach Cole'a, który patrzył na mnie ze złością. Albo było to jego firmowe spojrzenie, albo mogłam się spodziewać niemałych

kłopotów.

Dopiero gdy usiadłam na swoim miejscu, straciłam go z oczu. Co za ulga! Dotąd dwa razy udało mi się uniknąć konfrontacji z tym chłopakiem. A teraz musiałam go unikać do końca życia. Nie było mowy, żebym mogła kiedykolwiek wyjaśnić to, co wydarzyło się dwukrotnie na korytarzu. W każdym razie nie zdołałabym tego dokonać, nie stając jednocześnie w płomieniach wstydu i zakłopotania. Nigdy nie potrafiłabym wytłumaczyć, dlaczego tak się stało ani nawet w jaki sposób.

Nie spotkałam go, idąc na drugą i trzecią lekcję i w jakiś niezrozumiały, niepojęty sposób zdołałam dotrzymać obietnicy danej pani Meyers. Sukces! Kiedy odezwał się dzwonek, dając sygnał do lunchu, niemal się spodziewałam, że Szron i Bronx będą na mnie czekać. Nie czekali. Podwójny sukces! Niemal się spodziewałam, że Cole wynurzy się nagle znikąd i mnie zatrzyma, jednak nie zrobił tego. Znowu zwycięstwo! Chyba już o mnie zapomniał, jak przypuszczałam.

Schowałam książkę i zeszyty do szafki i powlokłam się do stołówki. Wiedziałam, że Kat będzie się domagała wyjaśnień dotyczących mojego porannego zachowania, a tłumaczenia w rodzaju „wyobrażałam sobie, jak się obściskuję z kumplem twojego byłego” raczej nie wchodziły w rachubę. Zarzuciłaby mnie pytaniami, na które wciąż nie miałam odpowiedzi. No cóż, z wyjątkiem tego, że byłam całkowicie popaprana.

Zanim zdążyłam dotrzeć do otwartych podwójnych drzwi, na mojej drodze stanęła Mackenzie. Niewiele brakowało, żebym na nią wpadła.

– Nigdzie nie idziesz – oznajmiła. – Nie tym razem.

– Naprawdę musimy się wdawać w kolejną dyskusję? – spytałam z westchnieniem. Mądrałam się tylko – tak, przerobiłam już przymiotnik „mądralińska” na czasownik – kiedy jej poradziłam w toalecie, żeby odszukała mnie później.

– Tak. Musimy „wdawać się w kolejną dyskusję” – zapewniła, parodiując mnie przenikliwym głosem. – Widziałam, jak Cole gonił cię pod toaletą. Uciekłaś przed nim. Dlaczego? – Nie próbowała nawet ukryć furii. – Zgrywasz nietykalską? Bo trochę na to za późno. Z tego, co słyszę,

nie możesz oderwać od niego wzroku.

Poczułam palący żar w krtani i na policzkach. Cole powiedział coś swoim przyjaciołom albo sami zdążyli już coś zauważyć.

– A co cię to obchodzi? – odwarknęłam, uciekając się do brawury. – Bo z tego co ja słyszę, już z nim nie chodzisz.

W jej oczach wybuchła bomba, można było niemal usłyszeć trzask płomieni.

– Nie masz pojęcia, co dzieje się między mną a Cole’em.

– Masz rację. I nie obchodzi mnie to – odparłam, bez względu na to, że być może chciałam poznać prawdę.

Ciemne rzęsy zakryły gniewne zielone tęczęwki o jadeitowym odcieniu.

– Powiedziałam ci wcześniej, że jeśli go skrzywdzisz, to ja cię skrzywdzę. To wciąż aktualne. Ale teraz ci mówię, żebyś trzymała się od niego z daleka, albo wytrę twoją twarzą podłogę, a dopiero potem się tobą zajmę.

Okay, to przeważyło. Wyczerpała zasoby mojej cierpliwości.

– Jeśli chcesz, żebym zaczęła płakać i obiecała, że zrobię wszystko, co zechcesz, spróbuj jakiejś oryginalniejszej groźby.

Normalniejsza, bardziej racjonalna osoba wspomniałaby o tym, że Cole i ja ani razu nie zamieniliśmy ze sobą słowa – i najwyraźniej nie zamierzaliśmy tego robić.

Ale ostatnimi czasy nie byłam zupełnie normalna i racjonalna.

Chcąc za wszelką cenę mnie zastraszyć, wspięła się na palce, tak że nasze nosy niemal się stykały.

– Jestem zdolna do rzeczy, których nie potrafisz sobie nawet

wyobrazić.

– Ja też.

– Masz gadane. Przekonajmy się, czy potrafisz temu sprostać.

– Przekonajmy się, czy ty potrafisz temu sprostać, zanim trafi cię szlag – usłyszałam za jej plecami znajomy głos.

Dostrzegłam grymas złości, zanim Mackenzie się odwróciła.

– Napalona Kat. Spieszysz ratować bezpańskiego kocura?

Uśmiechając się szeroko, Kat podeszła do mnie i stanęła u mego boku.

– Owszem. Spieszę ratować ciebie, żeby wszystko było jasne. Moja Ali potrafi sobie radzić. Kiedy ją po raz pierwszy zobaczyłam, otaczali ją ludzie, którzy stękali i jęczeli z bólu. Szczera prawda. Poza tym nie chcę, żeby ją zawiesili po dwóch dniach w szkole tylko za to, że wyświadczyła wszystkim przysługę i nakarmiła cię twoimi własnymi zębami. Nie wspominając już o tym, że to z Cole'em powinnaś uciąć sobie pogawędkę. Na dobrą sprawę pożerał Ali wzrokiem. Dziwię się, że nie ma śladów po ugryzieniach.

Mackenzie zacisnęła dłonie w pięści. Zasłoniłam Kat własnym ciałem, tak na wszelki wypadek. Nikt nie mógł uderzyć bezkarnie mojej przyjaciółki. To była moja nowa dewiza, której zamierzałam się zawsze trzymać.

– Kiepsko z tobą – zauważyła śpiwnie Kat.

Mackenzie rozprostowała z wolna palce.

– Nie jesteś tego warta – warknęła.

– Naprawdę? Idź i spytaj Szrona – poradziłam. – Jest warta wszystkiego.

Śmiejąc się, Kat pokiwała Mackenzie małym palcem, wzięła mnie pod rękę, po czym obróciłyśmy się zgodnym ruchem i ruszyłyśmy w stronę wolnego stolika w głębi sali. Tym bardziej zadowolone, że Mackenzie znowu parskła z wściekłości.

– Jak już się prawdopodobnie zorientowałaś, są tylko dwie osoby w tym miejscu, które mają babskie jaja i potrafią się jej sprzeciwić. Jestem jedną z nich, ale nie mam pojęcia, kto jest drugą – oznajmiła Kat głosem, który wręcz ociekał radością. – Tak się cieszę, że poznałyśmy się w tym nieujawnionym miejscu podczas wakacji.

– Ja też.

Zauważyłam, że wszyscy obecni w stołówce obserwują nas w milczeniu, nawet się gapią. Potarłam się ze zdenerwowania po udach, jakby ten gest miał mnie zatrzymać w miejscu. Czyżby podsłuchali naszą rozmowę z Mackenzie?

Ruch moich dłoni przyspieszył, kiedy dostrzegłam Cole'a. Zajmował ten sam stolik co wczoraj i siedział w otoczeniu tych samych przyjaciół. Patrzyliśmy sobie w oczy przez kilka chwil. Wstrzymałam oddech, spodziewając się kolejnej wizji. Ale... nic się nie stało.

Nie wiem, czego się spodziewał – albo czy w ogóle się czegoś spodziewał; miał obojętny wyraz twarzy, dopóki do jego stolika nie podeszła Mackenzie i nie usadowiła się obok niego. Ujęła go za brodę, jej palce pieściły mu policzki. Marszcząc czoło, uwolnił się z uścisku, po czym oboje zaczęli prowadzić przyciszoną i gniewną konwersację. W każdym razie wydawało mi się, że była gniewna. Przestał marszczyć czoło i teraz patrzył wilkiem. Pocierał dłonią kark, jakby próbując nad sobą zapanować i nie udusić dziewczyny gołymi rękami.

– No i Ali znów wybiera się na mentalne wakacje – zauważyła Kat.

Weź się w garść, Bell.

– Przepraszam – powiedziałam.

Wren siedząca po drugiej stronie stołu oznajmiła:

– Nie możesz już zaprzeczać, że interesujesz się Cole’em.

No wspaniale. Byłam tak rozkojarzona, że nie zauważyłam, jak się pojawiła. Nie wydawała się już przynajmniej taka ostra; sama miękkość i zadowolenie. Ale... czy nie miała na sobie koszuli z frędzlami?

Reeve i Poppy siedziały obok niej, otaczała mnie teraz cała grupa. One też nosiły koszule z frędzlami. Czyżbym zapoczątkowała jakąś (koszmarną) modę?

– Nie – odparłam. – Nie interesuję się nim.

Moja obsesja związana z tym chłopakiem narastała w zastraszającym tempie.

– Och – mruknęła Wren, a jej ramiona opadły nagle, jakby była kwiatem pozostawionym w wazonie bez wody.

– Mówiłaś chyba, że powinnam trzymać się od niego z daleka.

– Zmieniłam zdanie – oświadczyła pogodnie, bawiąc się lokami włosów. – Byłaby z was niesamowita para. Po prostu niesamowita.

No, teraz zabrzmiało to zbyt pogodnie. Nie byłam pewna, jak to rozumieć, skoro wiedziałam, że miała o nim jak najgorsze zdanie.

– Ali, Ali, Ali – powiedziała Kat, cmokając przy tym. – Nie bądź taka przygnębiona. Podjęłaś właściwą decyzję. Cole zjadł kiedyś pół kilograma zardzewiałych gwoździ i twierdził, że smakowały jak łzy jednoroźca zmieszane z czarodziejskim pyłem. Szczera prawda. Byłam przy tym.

Reeve skinęła zachęcająco głową.

– Mnie przy tym nie było, ale mogę w to uwierzyć. Widziałam raz, jak założył nauczycielowi nelsona, bo ten odważył się go spytać, co to znaczy x minus y .

– Posłał faceta na trzy miesiące do szpitala – wtrąciła Poppy, stukając się paznokciem po brodzie. – A może to był jakiś uczeń, któremu założył nelsona, bo tamten podał inną odpowiedź niż on?

– Pewnie jedno i drugie. Powalił na ziemię tylu ludzi, że starczyłoby ich za cały kraj. A ci, których załatwił ciosem w krtań, mogliby utworzyć całe miasto. – Reeve przysunęła delikatne palce do swojej szyi, jakby w odruchu współczucia wobec tych nieszczęśników. Potem dodała: – To było niesamowite, jak zrobił to ostatnim razem. W życiu czegoś takiego nie widziałam. – Uśmiechnęła się szeroko. – No tak. – Klasnęła w dłonie. – Wciąż jest na YouTube, jak mi się zdaje. Daj mi numer swojej komórki, a prześlę ci linka.

– Może Ali będzie miała farta i Cole nie założy jej nelsona – zauważyła Wren.

Pozostałe dziewczęta parsknęły śmiechem, a policzki Wren zaczerwieniły się wyraźnie.

– Jest pierwszą osobą, z którą to robi – oznajmiła Kat, chichocząc. – Pewnie wyobrażał to sobie już z tysiąc razy.

Też poczułam, jak moje policzki przybierają krwiste czerwona barwę; zakonotowałam sobie w pamięci: sprawdzić po powrocie do domu, co napisano w internecie o Cole’u Hollandzie. Nie znaczy to, bym wierzyła choć odrobinę w opowieści tych dziewczyn. Mimo wszystko moja ciekawość została pobudzona.

Choć nie wiedziałam, jak długo jeszcze będę miała komórkę, podałam dziewczynom swój numer i wzięłam ich numery. Chodziło o to, że dziadkowie nie zamierzali dłużej płacić za mnie rachunku. Bardzo lubili powtarzać: „Po co ci komórka, skoro mamy telefon w domu?”. Wiedziałam, że bulili forszę podczas wakacji, ponieważ komórka była ostatnią rzeczą, jaką dostałam od rodziców, i bez niej zaczęłabym świrować.

Przechowywałam w niej zdjęcia Emmy, także jej esemesy. Choć bardzo młoda, miała własną komórkę, ponieważ tata chciał, żebyśmy byli w kontakcie cały czas, tak na wszelki wypadek. I jeśli chcecie wiedzieć, to

nie, nie obejrzałam dotąd ani jednego zdjęcia i nie przeczytałam ani jednej wiadomości; nie miałam po prostu odwagi. Jeszcze nie. Może pewnego dnia... Taką w każdym razie żywiłam nadzieję.

– Trzymaj i jedz. – Kat dała mi połowę kanapki z masłem orzechowym i dżemem. – Jeśli znam dobrze swoją Ali, a podejrzewam, że tak, to wiem, że zignorujesz moją cenną radę i postarasz się zdobyć Cole’a. A jeśli zamierzasz uganiać się za kimś takim, to musisz zachować kondycję.

– Nie uganiam się za nim. – Nie byłam aż tak szalona, prawda? – Ale dzięki za kanapkę. – Zapomniałam wcześniej o lunchu i teraz zaczęłam wsuwać sandwicza niczym mannę z nieba. – No a wy, dziewczyny... chodzicie z kimś?

– Ja chodzę – odparła Wren i łyknęła wody mineralnej. – Skończył rok temu tę szkołę i teraz studiuje na uniwersytecie. Widuję go zwykle w weekendy. Jest na wstępnym kursie medycyny, a ja zamierzam zostać pielęgniarką. Kiedy zdobędzie wykształcenie, pobierzemy się i nasze życie będzie doskonałe.

Poppy wzruszyła ramionami.

– Postanowiłam przez pierwszy miesiąc w szkole wstrzymać się z decyzją. Będę się rozglądać, przebierać w towarze, aż znajdę kogoś, kogo zechcę. Niestety, nie ma w tym roku wielkiej konkurencji.

Reeve przerzuciła za ramię długi koński ogon.

– W moim przypadku nie ma nikogo.

– Nie okłamuj Ali. – Kat pogroziła jej palcem. – Kiedy ona i Cole pobiorą się podczas pięknej ceremonii w więzieniu, ponieważ wiemy wszystkie, że właśnie tam Cole wylądował, będzie mogła ci pomóc. – Przygwoździła mnie spojrzeniem orzechowych oczu. – Od dwóch lat durzy się na zabój w Bronksie.

Ta informacja walnęła mnie z siłą, powiedzmy, kija baseballowego. Nigdy bym się nie domyśliła.

– Ale on jest taki...

– Seryjny zabójczy? – podsunęła Kat, unosząc brwi.

No cóż, owszem. Z drugiej strony czy mogłam to oceniać? Bronx mógł sprawiać wrażenie seryjnego zabójcy, ale moją obsesją był facet, którego uważał za swego przywódcę.

– Próbowałam ją ostrzec – oznajmiła Wren.

– Wielokrotnie – potwierdziła Poppy, kiwając głową.

Reeve jako trzecia oblała się rumieńcem. Uniosła brodę i wyznała:

– Bronx dał mi jasno do zrozumienia, że go nie interesuję, więc moje odczucia nie mają znaczenia.

Wren zakręciła butelkę z wodą.

– Ile razy mówiłam, że lepiej będzie ci bez niego?

– Jest ci lepiej. Naprawdę – potwierdziła Poppy.

– Poza tym – ciągnęła Reeve – postanowiłam skorzystać z propozycji Johna Clary’ego i umówić się z nim na randkę.

– John Clary! – wykrzyknęły zgodnie Kat, Poppy i Wren.

– Jest dla ciebie idealny!

– Laleczka!

– Może dawać ci korepetycje z matematyki. Dostaniesz lepszą ocenę!

Nie mogłam nic zaproponować. Nie miałam bladego pojęcia, kto to jest John Clary.

Podczas gdy dziewczęta zasypywały Reeve pytaniami, odezwał się dzwonek na lekcję. Biedna Reeve. Patrząc na nią, można by pomyśleć, że stoi naga przed klasą na lekcji historii i opowiada o procesie czarownic z Salem, prezentując własne ciało jako obiekt tortur.

Pożegnałam się i wstałam od stolika. Odwróciłam się i wpadłam na kogoś. Wymamrotałam przeprosiny, a moje dłonie oparły się o twardą pierś, co pomogło mi zachować równowagę.

Cokolwiek zamierzałam jeszcze powiedzieć, umarło gwałtowną śmiercią w chwili, gdy sobie uzmysłowiłam, że moje dłonie spoczywają na Cole'u Hollandzie.

Moje dłonie naprawdę spoczywały na Cole'u Hollandzie.

Podnosiłam powoli wzrok... powoli... powoli... i oto był. Wciągnęłam głęboko powietrze w płuca, wyczułam woń drewna sandałowego i prawie jęknęłam. Pachniał tak jak podczas... O, słodkie niebios! Czy i to było halucynacją? Tutaj, teraz? Wbiłam palce w jego pierś. Jego ciało było twarde i ciepłe. Co oznaczało, że... wszystko było rzeczywiste. To się działo naprawdę.

Z ust wyrwało mi się westchnienie; próbowałam cofnąć się gwałtownie i wpadłam na ławkę przy stoliku. Nie mogłam ruszyć przed siebie. Był zbyt wielki, zagradzał mi skutecznie drogę.

Żołądek zaczął wyprawiać idiotyczne koziołki do tyłu, po chwili uznał, że to nie wystarczy, i wykonał pełne salto na trapezie.

– No, no – oznajmiła Kat z nieco przesadną radością. Pozostałe dziewczyny popatrzyły ze zmarszczonymi czołami na Cole'a i czmychnęły. – Zjawileś się, żeby odprowadzić mnie i Ali do klasy? Czy chodzi o coś innego?

Dostrzegłam drgnienie mięśnia na szczęce Cole'a – nieomylny znak narastającego gniewu, oczywistej agresji i – być może tylko to sobie wyobrażałam – nadziei, że pewnego dnia zostanie mistrzem wagi ciężkiej, pokonawszy czempiona tej kategorii.

– No? – nie ustępowała Kat.

– Ali. – Ani na chwilę nie oderwał wzroku od mojej twarzy.

Jedno słowo, a jednak jego głos... przyprawił mnie o dreszcz – był głęboki, bogaty w odcienie, chrapliwy, jakby moje imię zostało przepuszczone przez maszynkę do mięsa. Dlaczego wydawało się to takie sexy? I jakim cudem ten głos, który słyszałam teraz, brzmiał tak samo jak w moich wizjach?

– Ja? – zdołałam pisnąć. – Dlaczego?

Głupie pytanie. Wiedziałam dlaczego.

Zignorował mnie, chwala Bogu, i zwrócił się do Kat.

– Popuść Szronowi smyczy. Zadusisz go na śmierć.

Jej oczy zwęziły się w szparki – nieomylny znak wściekłości.

– Zasłużył na to, żeby się dusić. Nie potrafił utrzymać w spodniach swojego Małego Szrona.

Te słowa cięły jak batem.

– Potrafił – odwarknął Cole z niezachwianą pewnością siebie.

– Nie.

– Tak.

– Nie!

– Tak – powtórzył, spokojny pomimo jej narastającej zawziętości.

W innej sytuacji poruszałabym głową tam i z powrotem, jak na meczu tenisowym, ale Cole ani na chwilę nie oderwał ode mnie wzroku, a ja nie miałam siły uwolnić się od niego.

– Nie, nie, nie! – krzyknęła, tupiąc przy tym nogą.

W końcu zwrócił się do niej, uwalniając mnie od tego niesamowitego spojrzenia.

– Co jest, mamy wciąż pięć lat?

– Sześć. – Kat oparła dłonie na biodrach. – Powiedz mi coś. Wiesz, że Szron dochował mi wierności, ponieważ spędzałeś z nim każdą minutę każdego dnia?

Milczenie.

– Tak właśnie myślałam. Ali? – spytała, a ja wiedziałam, o co jej chodzi. Chciała, żebym z nią została.

– Wszystko w porządku – zapewniłam, wciąż tym samym piskliwym głosem.

No dalej, pokaż, że masz babskie jaja, tak jak uważa Kat. Wciąż możesz odnieść zwycięstwo. Przecież to betka. Wcześniej przeżyłaś piekło na ziemi.

Cole znów skupił na mnie uwagę, pełen wyczekiwania.

– Wszystko w porządku – powtórzyłam, bardziej ze względu na siebie niż Kat. Przynajmniej zabrzmiało to w miarę normalnie. Chciałam rozmówić się z Cole'em i uzyskać odpowiedzi na swoje pytania; wierzyłam, że potem wszystko wróci do normy.

– Pamiętaj tylko, co ci powiedziałam – przypomniała i oddaliła się, zostawiając mnie samą z Cole'em.

Co mi powiedziała? Że jest niebezpieczny – odhaczyć. Że wciąż zadaje się ze swoją byłą – odhaczyć. Że lubił zwałać ludzi z nóg i walić ich w krtań – podwójnie odhaczyć.

– Masz następną lekcję z panią Heldermon – oznajmił. Było to stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak. – Byłam zaskoczona, i nie dlatego, że nie zaklął, jak sobie wcześniej wyobrażałam. – Skąd wiesz?

Zaczął pocierać ręką kark, tak jak podczas rozmowy z Mackenzie. Błagałam Boga, by nie była to oznaka irytacji.

– Mam zajęcia w tym samym budynku. Widziałem wczoraj, jak wchodzisz do klasy.

Nie widziałam go, choć rozglądałam się bardzo dokładnie. Och, jeszcze jak. Albo brakowało mi spostrzegawczości, albo potrafił się w niebywały sposób kamuflować.

– Chodźmy – powiedział.

Ruszyliśmy przed siebie. Wszyscy się na nas gapili. Jeden trącał drugiego, w naszą stronę odwracały się głowy. Jakbyśmy brali udział w najnowszym reality show „Przetrwać w szkole”, a pozostali byli widzami.

Kiedy oddaliliśmy się na tyle, że nikt nie mógł nas usłyszeć, Cole oznajmił:

– Cokolwiek robisz ze mną każdego ranka... – dosłyszałam w jego głosie gniewną nutę – ...musisz z tym skończyć.

Spojrzałam na niego tak gwałtownie, że niemal nadwyrężyłam sobie kark.

– A co ja ci takiego robię? Może pomówimy o tym, co ty robisz mnie?

– A co ci robię?

Jakbym naprawdę zamierzała wspomnieć o swoim szaleństwie na jego punkcie, nie przyznając się jednocześnie do niczego.

– Ty mi powiedz.

Bo tak naprawdę mógł mieć na myśli coś zupełnie innego. Może chciał, żebym przestała prześladować go wzrokiem, jak w pierwszej chwili przyszło mi do głowy. Może chciał, żebym przestała rozmawiać z jego przyjaciółmi, nawet jeśli polowali na mnie jak na królika.

Szliśmy dalej, żadne z nas już się nie odzywało. Chciałam go przeczekać, ale brakowało mi siły woli, i w końcu się zламаłam:

– Więc... z kim się biłeś?

Dostrzegłam tylko cień wahania, nim odparł:

– Z nikim, kogo znasz.

Znowu milczenie.

Okay. Zaaranżował to małe spotkanie, zadał mi dwa pytania i teraz nie miał nic do powiedzenia. To była... ulga. Tak, ulga, nie zaś wielkie rozczarowanie.

Zbyt szybko – to znaczy całą koszmarną wieczność później – dotarliśmy do mojej sali i przystanęliśmy.

– Dzięki za opiekę, ale ten jeden raz wystarczy – mruknęłam. Dać sobie spokój z odpowiedziami. Mogłam się bez nich obejść.

Rozpostarł ramiona, stojąc przede mną, i oparł dłonie na przeciwległych framugach drzwi, co uniemożliwiło mi ucieczkę do klasy.

– Przykro mi z powodu Mackenzie – powiedział. – Nie będzie cię więcej niepokoić.

No, to przynajmniej było coś.

– Nie byłam tym szczególnie zmartwiona – odparłam szczerze.

Usta drgnęły mu w kącikach, jakby próbował powstrzymać się od uśmiechu.

– Powinno cię to martwić. Mackenzie potrafi być... wredna. Bardzo wredna.

Co go powstrzymało przed właściwym określeniem dziewczyny? Chciał powiedzieć, że jest i tu słowo wykropkowane? (Kat byłaby ze mnie taka dumna. Nie potrafiłam przeklinać nawet w myślach).

– Wciąż mnie to nie martwi.

Teraz uśmiechnął się naprawdę.

– Biłaś się kiedykolwiek? – Ujął kosmyk moich włosów i potarł między palcami. – Bo wyglądasz jak ktoś z bajki.

– Na przykład zła czarownica? – Nie mogłam się powstrzymać od tego pytania.

– Daj spokój. Na przykład księżniczka.

Hm, czy obdarzył mnie właśnie komplementem? Niemożliwe. W tonie jego głosu dosłyszałam coś ostrego.

Zauważyłam dwoje uczniów stojących z boku; chcieli wejść do klasy, ale wyraźnie nie mieli ochoty przeciskać się między mną a Cole'em. Ujęłam palcami nadgarstek Cole'a i odsunęłam jego rękę. Tych dwoje nas wyminęło, ale ja nie poszłam w ich ślady. Stałam blisko Cole'a, czułam bicie jego serca i nie mogłam się zmusić do jakiegokolwiek ruchu.

– Tak, biłam się – powiedziałam, przypominając sobie, o co mnie pytał. Biłam się z ojcem, podczas szkolenia, którego mi udzielał.

Przechylił na bok głowę, liliowe oczy obrzucały mnie intensywnym spojrzeniem.

– Na pięści?

Hm. Zauważyłam, jak na mnie patrzy. Byłam teraz naprawdę uwięziona i przygwożdżona. Takie piękne oczy.

- A jest jakiś inny rodzaj walki?
- Wiele rodzajów. Z kim się biłaś?
- Z nikim, kogo byś znał – odparłam, naśladowując jego odpowiedź.

Gdybym wyznała mu prawdę, pomyślałby, że tata pozwalał mi wygrywać albo gorzej, że byłam prawdziwą wiedźmą, walcząc z własnym ojcem. Bez jakiegokolwiek bronii!

Znowu drgnęły mu kąciki ust. Bawiłam go, jak mi się zdawało, i nie miałam pojęcia dlaczego. No cóż, wprowadził mnie w zakłopotanie. Czemu miałby ostrzegać mnie przed bezwzględnością swojej bylej? Czemu próbował mnie pocieszać? Czemu nie robił niczego innego?

Przyglądałam się badawczo jego twarzy, szukając w niej odpowiedzi. Bezskutecznie.

- Ali?
- Tak.

Skupiłam uwagę na jego dolnej wardze. Teraz, z bliska, widać było na rozcięciu świeżą kropelkę krwi. Mogłam się założyć, że zdołałby pokonać mojego tatę i wciąż starczałoby mu energii, by zamienić tamte dwie wizje w rzeczywistość.

- Masz na nazwisko Bell?

Ta nagła zmiana tematu zbiła mnie z tropu, ale opanowałam się szybko, nie umierając ze wstydu, że ulegam tak głupim myślom.

- Tak, Bell. Dlaczego pytasz?
- Twój tata nazywał się Philips Bell. Twoja mama nazywała się Miranda Bradley.

Nazywał się. Nazywała się. Nie użył czasu teraźniejszego.

Orientował się w sytuacji. Powstrzymałam się od krzyku i powiedziałam tylko przez zaciśnięte zęby:

– Masz rację, ale skąd o tym wiesz?

Nigdy nie zdradziłam ich imion nawet w rozmowie z Kat.

– Mój tata chodził z nimi do szkoły.

Znał ich ktoś jeszcze i być może opłakiwał. Dziwnie było odkrywać, że ludzie towarzyszący mi przez większość czasu, który spędziłam na świecie, mieli jakieś życie przede mną, beze mnie. Oczywiście, zdawałam sobie z tego sprawę, ale wyglądało to zupełnie inaczej, kiedy ktoś mówił o tym wprost.

– Twój tata chodził do tej szkoły?

Skinął sztywno głową.

Miałam teraz o tysiąc pytań więcej. Czy nasi rodzice trzymali ze sobą? Byli przyjaciółmi? Wrogami? Czy jego ojciec mówił coś o moim ojcu i matce? Skąd jego tata wiedział o mnie – czy Cole coś mu wspominał? Ale nie zadałam żadnego z tych pytań. Gdybym to zrobiła, sprowokowałabym pytania, poza tym nie byłam gotowa rozmawiać o tym, co stało się w lecie.

– Mój tata chce wiedzieć...

– Dzięki za ostrzeżenie przed twoją dziewczyną – przerwałam mu pospiesznie, dając jasno do zrozumienia, że moi rodzice to nie jest temat do rozmów. Nie byłam pewna swojej reakcji i nie zamierzałam ryzykować.
– Powinniśmy się już chyba pożegnać.

Znaczące milczenie, potem znów sztywne skiniecie głową.

– Świetnie. Ale tak do twojej wiadomości, Mackenzie nie jest moją dziewczyną.

Nie dodał nic więcej, a ja nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć na

jego słowa, więc wkroczyłam zdecydowanym krokiem do klasy. Zasłużyłam na wielkie brawa – nie spojrzałam po raz ostatni przez ramię. Sądzę jednak, że patrzył w ślad za mną, ponieważ czułam na plecach dwa palące ostrza jego oczu.

*

Dotrwałam do ostatniej tego dnia lekcji bez jakichkolwiek problemów i zmusiłam się do wysłuchania końcowego wykładu o równaniach i o tym, jak je rozgryzać przy minimalnych jedynie spazmach mózgowych – nie dopuszczając jakichkolwiek myśli o Cole’u Hollandzie. Brawa dla mnie. Wreszcie, dzięki Bogu, odezwał się dzwonek, ja zaś uświadomiłam sobie z niejakim smutkiem, że nie jestem wiele mądrzejsza.

Kat, która zarezerwowała mi miejsce w stołówce i dawała znak brwiami, ilekroć spojrzałam w jej stronę, złapała mnie, zanim zdążyłam uciec, i zażądała, bym powtórzyła jej każde słowo, która padło między mną i Cole’em.

Dobrowolnie narzucone sobie embargo pod hasłem CH zostało zniesione, jak sądzę, i nawet byłam zadowolona, że mnie pyta. Potrzebowałam rady. Zrelacjonowałam jej całą rozmowę słowo w słowo; początkowa ekscytacja wyraźnie ją opuściła.

– Okay, nie wiem, co rozumieją przez „super” i „kiepsko” w tej beznadziejnej Carver Academy. Och, wspominałam o tym, że w tamtym roku skopaliśmy wam tyłki na boisku i na parkiecie? Ale tutaj, w Asher, sprawa jest jasna. Kiepsko ci to poszło.

Nie czułam się urażona. Podobała mi się jej szczerłość.

– A co powinnam była mu powiedzieć?

Zatrzepotała rzęsami i zniżyła głos do chrapliwego szeptu.

– Cole, ty wielki, silny zwierzaku. Wiem, że masz o sobie bardzo wysokie mniemanie, ale sądzę, że... Hej, podsłuchujesz prywatną rozmowę, Marcus? – niemal wrzasnęła pod adresem jakiegoś chłopaka. –

Tak, zgadza się, ty. Spadaj.

Mogłam tylko zamrużyć ze zdumienia. Nigdy, absolutnie nigdy, nie nazwałabym Cole'a zwierzątkiem.

– Na czym to skończyłam? – spytała Kat. – Mniejsza z tym. Sądząc po twojej minie, nie jesteś jeszcze gotowa na lekcje flirtowania. Ograniczę się do zaproponowania czegoś, co poprawi ci samopoczucie. Chodź. Wybierzmy się do Cafe Bella i tak się opijmy latte, że będziemy sikać kawą przez cały tydzień.

Usłyszałam nagle śpiew aniołów.

– Z wielką przyjemnością.

Uśmiechnęła się.

– Zawsze mam doskonale pomysły, no nie?

Niebo na zewnątrz przykrywała szara warstwa. Grube ciemne chmury groziły lada chwila wybuchem deszczu... z wyjątkiem jednej. Była biała i puszysta, doskonała pod każdym względem – i wypisz wymaluj, wyglądała jak królik uchwycony w podskoku.

Poczułam kryształki lodu w żyłach i przystanąłam gwałtownie. Ostatnim razem, kiedy widziałam taką chmurę, straciłam wszystkich i wszystko, co kochałam.

Logicznie rzecz biorąc, wiedziałam, że chmura nie może określać mojej przyszłości, nawet jej zwiastować, ale...

Świat zaczął się nagle obracać – wirował i wirował, w kółko i w kółko. Obok przemykał samochód za samochodem, parking kołysał się i kipiał od niewyraźnych kształtów i stłumionych odgłosów. Ktoś zatrąbił. Ktoś warknął pod nosem. Nie potrafiłam zdobyć się na jakikolwiek ruch. Mogłam tylko patrzeć z przerażeniem.

– Ali?

Głos Kat dobiegał gdzieś z daleka, jakby stała na końcu długiego i wąskiego tunelu. Czy tego dnia doprowadziłabym do kraksy jej samochodu? Umarłaby na moich oczach? Wyszłabym z tego bez szwanku?

W końcu drgnęłam. Zaczęłam się od niej odsuwać.

– Ali? – powtórzyła.

Popatrzyłam na nią raptownie. Zdziwienie malujące się na jej twarzy omal nie powaliło mnie na ziemię.

– Nie mogę – powiedziałam, kręcąc głową. – Po prostu nie mogę. Przepraszam.

Umysł spowijała mi mgła, przyprawiając o zawrót głowy. Obróciłam się na pięcie i uciekłam, pędząc jak strzała w stronę budynku szkolnego.

Słyszałam, jak woła za mną, wiedziałam, że mnie goni. Wiatr otworzył gwałtownie tylne drzwi, a potem je zatrzaskał. Gdy znów się rozwarły, wpadłam do środka i pognałam korytarzem. Nie widziałam doktor Wright, ale słyszałam, że krzyczy coś do mnie. Ją też zignorowałam i odszukałam toaletę (dla chłopców), gdzie zamknęłam się w jednej z kabin. Zziajana, usiadłam na muszli klozetowej, podciągnęłam kolana pod brodę i starałam się zapanować nad łzami.

Mijały minuty, może godziny, lecz ani Kat, ani doktor Wright nie znalazły mnie.

Co miałam zrobić? Co, do diabła, miałam zrobić? Spóźniłam się już na autobus i nie chciałam dzwonić do babci, żeby przyjechała po mnie. Po prostu... nie zdołałabym wsiąść tego dnia do samochodu. Z kimkolwiek. Gdyby ktoś zginął przeze mnie, nigdy bym się nie uwolniła od poczucia winy.

Zdajesz sobie sprawę, że zachowujesz się irracjonalnie, prawda?

Tak, zdawałam sobie sprawę. Ale czy mi to pomagało? Nie.

Od domu dzieliło mnie tylko kilka kilometrów. Tak, to było

doskonale rozwiązanie. Nie potrzebowałam żadnego samochodu, poza tym uważałam, że przyda mi się trochę ruchu. W końcu się uspokoiłam.

Wiedziałam, że lada chwila może rozpętać się burza i że zmoknę do suchej nitki, nim dotrę do domu, ale nikomu nic by nie groziło. Tylko to miało tak naprawdę znaczenie.

Jak się okazało, kolacja tego wieczoru przerodziła się w pełen napięcia koszmar. Babcia wróciła do domu wcześniej, a mnie tam nie było. Martwiła się. Zadzwoiła ze dwanaście razy na moją komórkę, ale nie odbierałam. Wiedziałam, że chciałyby po mnie przyjechać, a moje protesty nie zdałyby się na nic. Odsyłałam ją więc bezustannie do poczty głosowej, odsłuchiwałam jej wiadomości i odpisywałam za każdym razem, że już wracam i że nic mi się nie stało.

– Po co komórka, skoro nie zamierzasz z niej korzystać? – mruknęła teraz.

– Korzystałam z niej – odparłam przez nos, który był zimny, wilgotny i zapchany. Gdybym kichnęła jeszcze raz, odpadłby mi od twarzy, z czego bardzo bym się ucieszyła. – Przesyłałam ci esemesy.

Wielokrotnie.

Jej poznaczona zmarszczkami twarz skrzywiła się z odrazy, co przydało jej lat.

– I nie miałam pojęcia, jak ci odpowiedzieć! Nigdy nie wystukiwałam niczego na swoim telefonie z wyjątkiem numerów.

– Nauczę cię podstawowych zasad – odparłam, a już sama ta myśl mnie zdenerwowała. Mogłam to sobie wyobrazić: będzie bezustannie poprawiała okulary do czytania, powtarzała moje polecenia, jakbym zwracała się do niej po grecku, aż w końcu poprosi, żebym spisała wszystko w języku, który potrafi zrozumieć. Nie istniał jednak język, który by rozumiała, więc i tak nic byśmy nie wskórały.

– Nauczysz mnie? – spytała babcia.

Widzicie? Już po mnie powtarzała.

– Tak.

– Ty, dziewczyna, która nie miała dość rozsądku, żeby nie wychodzić na deszcz i poczekać, aż po nią przyjadę i zawiozę ją do domu?

Kichnęłam, jakby na potwierdzenie własnej głupoty.

– Tak.

– Koniec. Zabieram cię do lekarza. – Rzuciła serwetkę na stół. – Zafundowałaś sobie pewnie zapalenie płuc!

– Nie jestem chora, babciu. Słowo daję.

Jakbym wybrała się do laboratorium medycznego, poprosiła o najsmaczniejsze wirusy i urządziła sobie ucztę.

Wciągnęła głęboko w płuca powietrze, odetchnęła i znów wzięła do ręki serwetkę.

– W porządku. Jeśli jutro nie będziesz miała gorączki, pozwolę, żebyś mnie nauczyła, jak pisze się esemesy.

Jezu. Dzięki.

– Co robiłaś, kiedy mama się spóźniała? – Bawiłam się groszkiem, który przesuwiałam widelcem tam i z powrotem po talerzu. – Nigdy nie miała komórki.

Dziadek popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

– O to ci dzisiaj chodziło? Wystraszyć nas tak, żebyśmy ci nigdy nie zabrali komórki? Doprawdy, Ali. To było naprawdę niepotrzebne. Nie zrobilibyśmy ci czegoś takiego.

– Nie o to chodziło. Absolutnie – zapewniłam. – Miałam po prostu ochotę się przejść. – I była to stuprocentowa prawda. – A biorąc pod

uwagę, że grzmiało, wiało i padało, wiedziałam, że nie będziesz w stanie zrozumieć, co do ciebie mówię. Bałam się też, że jeśli będę trzymała telefon przy uchu, to uderzy mnie piorun. Że mnie porazi. Wysłanie esemesów wydawało mi się najrozsądniejsze.

Znowu wyłącznie prawda – tyle że nieco naciągana, zważywszy na kilka pominiętych szczegółów.

– No cóż, nie wracaj więcej do domu na piechotę – oznajmił dziadek tym swoim karcącym tonem. Karcącym i pełnym troski. W ciągu kilku ostatnich dni stracił trochę włosów, które zaczesywał do tyłu. Przeze mnie? – Nie próbuję... jak to mówią teraz nastolatki? – zwrócił się z tym pytaniem do babci.

– Wcinać się w jej sprawy – wyjaśniła, i to bez cienia uśmiechu.

– Właśnie – odparł. – Nie próbujemy wcinać się w twoje sprawy, Ali.

Rany. Okay. Starali się mnie zrozumieć. Oglądali pewnie jakiś program o tym, jak porozumiewać się z nastolatkami czy coś w tym rodzaju i mogłabym się założyć, że ślęczeli potem godzinami przy komputerze, studiując slang i pomrukując zgodnie, kiedy rozszyfrowywali znacznie słów i dyskutowali o tym, jak najlepiej się nimi posłużyć.

Ależ to... słodkie.

Niech mnie diabli! Ich dobroć przyprawiła mnie o najgłębsze poczucie winy.

– Zarośla wokół domu są niebezpieczne – ciągnął dziadek. – Czworonożne drapieżniki biegają tam sobie na wolności. Cały czas ktoś znajduje padlinę.

Przypomniałam sobie Pannę Niemłodą i Pana Niemłodego, których widziałam. Albo których nie widziałam. Nieważne. Byli dwunożnymi drapieżnikami, i to zdecydowanie, a ja nigdy bym nie chciała się spotkać z nimi oko w oko, nie trzymając w ręku kija do baseballu.

– Przepraszam – powiedziałam po kolejnym kichnięciu. – Naprawdę.

Babcia wymamrotała coś o zapaleniu płuc.

– Uciekł mi autobus – dodałam. – I nie chciałam sprawić wam kłopotów. – Znowu nagięłam trochę fakty. – To się nie powtórzy. Obiecuję.

I była to szczerza prawda, bez żadnych uników. Postanowiłam, że nigdy więcej nie narażę ich na takie nerwy.

– Nie sprawiasz nam kłopotów. – Babcia poklepała mnie po ręku. – Kochamy cię i chcemy po prostu... – Za bardzo drżała jej broda, by mogła dalej mówić. Zauważyłam, że ma wilgotne oczy, ale szybko je wytarła wierzchem dłoni. Odchrząknęła. – No dobrze. – Pociągnięcie nosem. – Pytałaś o matkę. Kiedy zaczęła się umawiać z twoim ojcem, większość nocy spędzała w domu. A jeśli wychodzili razem, zawsze odprowadzał ją przed zmrokiem do domu. Byliśmy pod wrażeniem i nie zdawaliśmy sobie sprawy, że... No cóż, mniejsza z tym.

Wiedzieli dlaczego? Czy wiedziała o tym mama? Czy tata wyjawiał jej to dopiero wtedy, gdy się z nią w końcu przespał?

Boże. Tak myśleć o swoich rodzicach... Paskudztwo.

– Czy mama wspominała kiedykolwiek o koledze, który nazywał się Holland? – spytałam, przypominając sobie to, co powiedział mi Cole. Albo próbował mi powiedzieć?

Babcia wysunęła w zamyśleniu wargi.

– Holland... Holland... Nie, nic mi to nie mówi.

– Twoja mama była bardzo nieśmiała. Nie zawierała łatwo przyjaźni, prawdę mówiąc. Rzadko też umawiała się z chłopcami – oznajmił dziadek, połknąwszy kawałek pieczeni. – Na dobrą sprawę twój tata był pierwszym chłopakiem, z którym się spotykała.

Moja mama? Nieśmiała? Zawsze wydawała mi się radosna, pełna życia. Jak Emma.

– Twój tata ją rozśmieszał i zawsze udawało mu się ją namówić na różne wygłupy – dodała babcia z czułym uśmiechem. – Pewnego dnia ubrali się w najbardziej koszmarnie rzeczy, jakie kiedykolwiek widziałam, i poszli do restauracji. Jestem pewna, że ludzie gapili się na nich, ale kiedy wrócili, tak bardzo się śmiali, że twój tata zwymiotował.

Trudno mi było to sobie wyobrazić. Ojciec zawsze wydawał mi się poważny, zawsze kierował się określonymi motywami, nawet w swoim pijaństwie.

Dokończyliśmy kolację w milczeniu, potem poszłam do sypialni. Był to jedyny pokój na piętrze, miałam więc łazienkę wyłącznie dla siebie. Moja mama spędziła tu swoje młode lata. Jak ozdobiła to miejsce? – zastanawiałam się. Kiedy się wyprowadziła, babcia powkładała wszystkie rzeczy do pudełek i urządziła tu najpierw pokój zabaw dla dzieci, potem szwalnię, a teraz pokój gościnny.

Nie wprowadziłam żadnych modyfikacji. Ściany były tak samo nagie jak wtedy, kiedy się tu wprowadziłam. Pudełko ze zdjęciami rodzinnymi, które dostałam od babci, schowałam do garderoby. Nie otworzyłam go, nie powiesiłam ani jednej oprawionej fotografii. Do diabła, nawet na nie nie spojrzałam. Zdobyłam się tylko na to, by przejrzeć stare rzeczy należące do mamy, i tylko dlatego, że babcia je wygrzebała. Myślę, że starała się przywołać dziecko, które straciła.

Przywołać. Coś, czego nigdy nie próbowałam zrobić, ponieważ ogarniał mnie i powstrzymywał nieubłagany w takich chwilach smutek. Musiałam go jednak pokonać. W przeciwnym razie na zawsze pozostałabym złą córką i koszmarną siostrą. Innymi słowy, stworzyłabym sobie nowe życie, wmawiając sobie, że mama, tata i siostra nigdy nie istnieli, a przecież zasługiwali na więcej. W każdym razie na uznanie, na honorowe miejsce.

Czas dorosnąć i stać się dużą dziewczyną.

Uklękłam przed garderobą i zamknawszy oczy, zanurzyłam dłonie, nad którymi już nie panowałam, w pudle na samym wierzchu. Wyciągnęłam kilka oprawionych zdjęć; wzbił się z nich kurz i znów

zaczęłam kichać. Nie, nie miałam zapalenia płuc, nie byłam nawet przeziębiona. Tak, owszem, z każdą upływającą chwilą robiło mi się coraz goręcej, jak przy gorączce, ale powodem nie był wirus, tylko wzruszenie.

Nie zauważyłam nawet, kiedy po moich policzkach zaczęły spływać łzy; w końcu odzyskałam ostrość wzroku. Zobaczyłam matkę, wyglądała cudownie w metalicznie złotej sukience, z włosami upiętymi w niemodnie wysoki kok. Jakże promienny uśmiech miała na twarzy! I mój tata, elegancki i szczupły w czarnym smokingu, ze złotym kwiatem w klapie marynarki, obejmujący mamę w talii. Marszczył zawzięcie czoło, jakby chciał powiedzieć: „Zabierz mnie stąd jak najszybciej”.

Byli tacy młodzi. Czy chodziło o zdjęcie z balu maturalnego? Jeśli tak, to tata wyszedł z domu wieczorem. Nic dziwnego, że marszczył czoło. Z drugiej strony babcia powiedziała, że nigdy nie wychodził z moją mamą po zmroku. Może więc nie zgodził się zabrać jej na bal maturalny, ale wziął gdzie indziej, podczas dnia, żeby wynagrodzić stratę?

Dlaczego nigdy ich nie spytałam o te wczesne lata? Teraz było na to za późno.

Kontynuowałam poszukiwania i w końcu znalazłam zdjęcie Emmy. Ta burza ciemnych włosów spływała jedwabistymi falami, ponieważ przez całe godziny zakręcałam każdy lok; jak mówiła, „zawsze chciałam mieć włosy takie jak ty, Alicjo”. Zdołała przekonać jakoś matkę, żeby kupiła jej sukienkę dla dziewczynki w orszaku weselnym, takiej, która rzuca kwiatki, choć Emma nigdy tego nie robiła. To był puszysty koszmar, biały i ściągany w talii, i miał więcej koronki, falbanek i wstążek, niż można znaleźć pod choinką bożonarodzeniową. Emma potrafiła postawić na swoim.

Uśmiechając się, przesuwałam palcem po szkle. Tak bardzo za tobą tęsknię, Em. Wzrok rozmazał mi się po raz drugi, popłynęły nowe łzy i spadły na kokardę przy jej talii.

Tak bardzo pragnęłam, by się pojawiła. Tylko jeden raz.

– Wiesz, poznałam chłopaka – zwróciłam się do jej fotografii. – Udało mi się z nim nawet porozmawiać, nie sprawiając wrażenia

kompletnej idiotki. Jest piękny, twardy i... i wyobraziłam sobie, że... go całuję.

Wiem, że powiedziałaaby coś w rodzaju: „Rany, ohyda. Wsunął ci język?”. A ja bym się roześmiała i odparła, że tak, zrobił to, i że mi się to niesamowicie podobało, a ona wykrzyknęłaby: „Podwójna ohyda!”, a ja znów bym się roześmiała.

Pomyślałam, że nigdy już sama nie doświadczy pierwszego pocałunku. Nigdy nie pójdzie na randkę. Nigdy nie poprowadzi samochodu. Nigdy nie spyta mnie o seks. Nigdy nie będę jej pouczała tak, jak mnie pouczała mama: „Upewnij się, że wybrałaś sobie kogoś szczególnego. Kogoś, kogo będziesz kochać i kto ciebie będzie kochał. Twoje dziewictwo jest darem, nie możesz ofiarować go dwukrotnie. I jeszcze jedno, słoneczko: pamiętaj, żeby poczekać z tym, aż będziesz absolutnie gotowa, nie rób tego tylko dlatego, że jesteś ciekawa, albo dlatego, że chłopiec zostawi cię dla kogoś innego, jeśli się nie zgodzisz. A teraz najważniejsze. Jeśli miałby cię porzucić z takiego powodu, to cię wykorzystuje i prędzej czy później i tak cię porzuci”.

W następnym pudle znalazłam dziennik oprawiony w porysowaną czarną skórę. Nie nosił żadnego tytułu, ale wiedziałam, że należał do mojej matki, ponieważ pachniał jej perfumami. Czy skrywał jej sekrety? Otworzyłam go z czią i zaczęłam czytać pierwszą stronę.

„Bitwa się zaczęła. – Charakter pisma był staranny, ale zupełnie mi obcy. Może mimo wszystko nie był to dziennik mamy. – Zło jest tutaj, jest rzeczywiste, i jeśli nie będziemy ostrożni, pochłonie nas. Ale nie musi tak być. Możemy wygrać. Powinniśmy wygrać. Jednak zbyt wielu ludzi nie zna prawdy, a bez niej zginiemy.

Co jest prawdą? Jesteśmy istotami ducha, ten duch to nasze źródło mocy, mamy też duszę... czy też logikę i emocje, żyjemy w ciele. Zło czai się w sferze ducha. Niektórzy ludzie potrafią je dostrzec, kiedy wciąż zamieszkują swe ciała. Większość nie potrafi”.

Rany. Nie chciałam wnikać w mechanizmy otaczającego mnie świata, nie w sytuacji, kiedy w moim własnym było dość złośliwości. I dlaczego moja wiecznie dobrotliwa matka była w posiadaniu czegoś

takiego jak ten dziennik? Zamknęłam książkę gwałtownym ruchem.

Gdy sięgnęłam do pudełka po coś innego, zabrzączała moja komórka. Oparłam dziennik i zdjęcie Emmy o ścianę, posłałam jej jeszcze jeden uśmiech i zbliżyłam się do biurka. Nadeszła wiadomość od Kat. Którą w myślach nazywałam „Miau”. Przeczytałam: „Co cię dziś opętało? Szamaństwo, ot co”. Odpisałam: „Szamaństwo?”.

Nadszedł kolejny esemes: „Głupi błąd. Szaleństwo”. W innej sytuacji poczułabym się rozbawiona. Przetykając z trudem, usiadłam na krześle i wystukałam: „Przepraszam. Dostałam świra”. „Ba! Ale dlaczego?” Jak miałam na to odpowiedzieć? Nie było sposobu, by wyjaśnić historię z chmurą-królikiem albo moją paranoję i nie wydać się jednocześnie... paranoiczną. „Nie miałam ochoty znaleźć się w samochodzie”.

Upłynęło kilka sekund, zanim przyszła odpowiedź: „Ach, samochody... twoja rodzina. Kapuję. Wszystko OK?”.

Po rozmowie z babcią i dziadkiem? „Już lepiej”. I jak wspaniale było mieć taką przyjaciółkę. Potrafiła widzieć głębiej i wciąż mnie lubiła. Wiedziała trochę o tym, co się stało, ale nie zamierzała tego drażnić. Nie udawała, że nic się nie stało, i nie uciekała się do serdeczności.

„Dobra. A teraz posłuchaj. Wpadłam na Cole’a, kiedy już zwiłaś”.

Co?!

„I?”

„Poszedł za tobą. Zakładam, że też cię nie znalazł”.

Poszedł za mną? Dlaczego? Wstałam oszołomiona, podeszłam do okna i usadowiłam się na poduszce, która zawsze leżała na parapecie. Burza przeszła i niebo się przejaśniło. Słońce zachodziło z wolna, niebo pokrywało się odcieniami różu, złota i fioletu – mojego nowego ulubionego koloru. Ponieważ Panna Niemłoda pokazała się zeszłej nocy, wiedziałam, że tej się nie zjawi. Nigdy nie robiła tego dwie noce pod rząd; czasem upływało trzy, cztery albo nawet pięć dni po tym, jak ją widziałam.

„Nie znalazł” – odpisałam Kat.

„Kiepsko. Myślę, że zaproponowałby ci podwózkę. Założę się, że rzuciłabyś się na OKAZJE”.

Może. Tak. Nie. Zdecydowanie nie. Odrzuciłabym jego propozycję. Może i był twardy jak stal, ale i tak nie chciałam narażać go na niebezpieczeństwo. Głupia chmura w kształcie królika, która prawdopodobnie nic nie znaczyła.

Jak ktoś obdarzony przemożną i silną osobowością w rodzaju Cole’a zareagowałby na odmowę? Był przyzwyczajony do tego, że wszystko przebiega po jego myśli. Wystarczyło na niego spojrzeć i każdy, kto miał choć trochę rozumu, od razu się w tym orientował (z trudem zaliczałam się do tych, którzy mają odrobinę rozumu). Czy starałby się mnie przekonać? Czy też przerzuciłby mnie przez ramię w stylu strażackim i zabrał do swojego samochodu?

Lepsze pytanie: dlaczego ta druga możliwość przyprawiła mnie niemal o uśmiech?

Znowu pisk komórki. „Czy może powinnam powiedzieć: rzuciłabyś się na NIEGO?” – wystukała Kat.

„Nie ma mowy” – odpisałam. Nawet gdybym chciała się na niego rzucić, oparłabym się temu.

„Dobra dziewczyna. Spraw, żeby się trochę wysilił. Och! Mecz w piątek i przyjęcie w sobotę. Podejrzewam, że Cole przyjdzie na obie imprezy, żeby cię zobaczyć. Cześć!”.

Odpisałam szybko: „Naprawdę?”.

Nic. Żadnej odpowiedzi.

„Kat? BĘDZIE TAM?”

Znowu nic.

„Jeśli nie odpowiesz, powiem wszystkim, że masz przydomek PUSZYSTA KSIĘŻNICZKA”.

Wciąż nic.

„Jutro porozmawiamy sobie poważnie” – uprzedziłam ją.

I... i... i... nadal nic.

Będąc bystrą dziewczyną, uświadomiła sobie zapewne, że groźby w rodzaju „poważna rozmowa” to czcza gadanina. Zamieniałam się przy niej w potulnego baranka.

Pomyślałam, że czas się odprężyć. Wzdychając, zalogowałam się, żeby poszukać jakichkolwiek wzmianek o Cole’u Hollandzie.

W ciągu następnej godziny dowiedziałam się, że Cole nie ma strony na Facebooku ani na Twitterze. Albo, jeśli miał, to nie występował pod swoim nazwiskiem. Żadna z dziewcząt nie przesłała mi linka do YouTube’a, więc mogłam się tylko domyślać, że ta sprawa z nelsonem to kolejna „szczerą prawdą”. Jedyne artykuły, w których o nim wspomiano, dotyczyły śmierci jego przyjaciół. Tych, którzy zmarli na chorobę wspomnianą przez Kat. Zespół gnilny, tak się to nazywało. Żadnych wzmianek na jego temat na szkolnej stronie internetowej. Nie należał do żadnego klubu, zespołu ani komitetu.

O jego byłej też nic. A próbowałam wszystkiego, żeby coś znaleźć. Cokolwiek.

Nie znałam nazwiska Szrona ani Bronxa, więc poszukiwania nie wchodziły w tym wypadku w rachubę.

Pod wpływem jakiegoś odruchu wyszukałam swoje nazwisko, żeby zobaczyć, czego inni mogliby się o mnie dowiedzieć, gdyby zechcieli przeprowadzić rekonesans. Pierwsze, co wyskoczyło? Artykuły o wypadku i tragicznym losie nastoletniej dziewczyny, która straciła wszystko.

Zamknęłam laptopa z większą zajadłością, niż było to usprawiedliwione. Nie mogłam znieść myśli, że ktokolwiek na świecie

mógł to przeczytać i litować się nade mną.

Chciałam się odprężyć? Teraz musiałam zrobić to znowu. Wzięłam prysznic, włożyłam top i bawełniane szorty, wysuszyłam włosy. Dziewczyna, którą zobaczyłam w lustrze, zaskoczyła mnie.

Miała cienie pod zbyt jasnymi niebieskimi oczami. Jej policzki były zapadnięte, choć zarumienione. Wargi nabrzmiałe od częstego zagryzania. Wyglądała tak krucho. Delikatnie. To, co Cole powiedział o bajce, nabrało nagle sensu. Nie sprawił mi komplementów. Uważał, że jestem Kopciuszkiem, który potrzebuje dobrej wróżki, i że nie poradzę sobie sama z Mackenzie. Może miał rację. Wystarczyłby silniejszy wiatr, żeby złamać mnie na pół.

Pomyślałam, że muszę zacząć ćwiczyć. Że muszę zacząć normalnie sypiać. Zacząć robić cokolwiek. Mama byłaby przerażona, gdyby zobaczyła mnie w takim stanie. Tata niczego by nie zauważył, dopóki ktoś by mu nie powiedział – byłby zbyt pijany – ale posadziłby mnie przy stole w kuchni i zrobił mi wykład. „Jeśli nie będziesz dbała o kondycję, jak się zdołasz obronić przed potworami?” – pierwsze słowa, jakie padłyby z jego ust. Emma martwiłaby się – martwiła się, kiedy ją zobaczyłam – a ja nienawidziłam, kiedy się martwi.

Podeszłam do okna, żeby zaciągnąć zasłony. Koniec z obserwacją lasu tej nocy, obiecałam sobie. Nie będę podskakiwała przy każdym zawodzeniu wiatru, na widok każdego ruchliwego cienia. Postanowiłam, że się pomodłę i spróbuję zasnąć. A jeśli pojawią się koszmary, zacznę czytać.

Nim zaciągnęłam dwa kawałki czarnego materiału, poczułam mrowienie i pieczenie skóry, a włoski na karku podniosły się gwałtownie – jakby ktoś mnie obserwował. Serce waliło mi nierównym rytmem, kiedy wyrztałam na zewnątrz, szukając czegoś gorączkowo.

Nie było śladu Panny Niemłodej ani Pana Niemłodego. Na dobrą sprawę jakiegokolwiek śladu. Trzęsąc się teraz, zaciągnęłam zasłony do końca, zamykając szczelinę między nimi i odgradzając się od nocy. Ale nie odeszłam od okna. Stałam tam przez całe dwie minuty i starałam się odzyskać nad sobą panowanie.

Zaciskając zęby, rozsunęłam gwałtownie zasłony. Dostrzegłam jakiś ruch po lewej stronie. Skupiłam wzrok na tym miejscu i dostrzegłam wysoką muskularną sylwetkę w czerni. Wydawało mi się, że ta sylwetka przystanęła, odwróciła się – i błyszczące fioletowe oczy napotkały mój wzrok.

*

Czy przytrafi mi się kiedykolwiek coś zwyczajnego? – zastanawiałam się nazajutrz rano, kiedy gramoliłam się do autobusu. Po tym, jak może zobaczyłam albo nie zobaczyłam Cole'a, położyłam się do łóżka, ale obudziły mnie koszmary. Próbowałam czytać, ale koniec końców zaczęłam krążyć po pokoju, myśląc o tych fioletowych oczach.

Widziałam je czy tylko sobie wyobraziłam?

Wyobraziłam, na pewno. Cole nigdy nie wystawałby pod moim domem, żeby mnie po prostu obserwować. Zresztą nie wiedział, gdzie mieszkam. Nie powiedziałam tego nawet Kat.

Zagłębiona w myślach, nie pamiętałam o tym, żeby trzymać głowę zwieszoną i odwracać wzrok. Na końcu autobusu dostrzegłam Justina Silverstone'a z tymi jego ciemnymi włosami i piwnymi oczami szczenięcia.

Uśmiechnął się do mnie ciepło i przywołał ruchem dłoni. Nie mogłam go zignorować; uraziłabym jego uczucia. A nie mogłam tego zrobić, bo w pewnym sensie byłam mu winna przysługę. Kiedy wlokłam swój pięćsetkilowy plecak przez cały autobus, zauważyłam, że jakaś ciemnowłosa dziewczyna siedząca naprzeciwko niego patrzy na mnie ze złością. Nie znałam jej i bez trudu ją zignorowałam.

Justin przysunął się do okna, robiąc mi miejsce. Usiadłam obok niego.

– Cześć – przywitał mnie.

Ładnie pachniał, jakimś owocowym muesli albo pastą do zębów.

– Cześć.

Jego włosy nie były brązowe, jak mi się wcześniej wydawało. Poranne słońce rzucało przez szybę jasne promienie i padało wprost na jego kosmyki. Był rudy. Prawdę mówiąc, te kosmyki wyglądały tak, jakby płonęły.

– Jestem Justin.

– Wiem. Zrobiłeś niejakie wrażenie w stołówce, a dziewczyny mi powiedziały o tobie. Dziwię się jednak, że nie jesteś znany jako As albo Zabójca.

Dostrzegłam w jego oczach błysk irytacji.

– Dlaczego? Co ci o mnie powiedziały?

Nie bardzo wiedziałam, czym go uraziłam, więc pospieszyłam z wyjaśnieniem:

– Tylko to, jak masz na imię, i że chodzisz własnymi drogami, ale wydaje się, że wszyscy w szkole mają ksywki. Kat, Szron, Bronx. – A ponieważ nie chciałam wyróżniać grupy Cole’a, zmyśliłam kilka: – Boo Bear, Nelly Bean, Freckles.

Irytacja zniknęła; roześmiał się.

– Rzeczywiście, masz rację. A ty?

– Jestem Ali.

– Tylko Ali? Nie Anioł albo Śnieżny Puch?

Rozbawiło mnie to.

– Śnieżny Puch? Naprawdę? Takie przydomko mi wybrałeś?

Wyciągnął rękę i ujął między palce kosmyk moich włosów, co

przypomniało mi identyczny gest Cole'a.

– Tak. Nie miej pretensji do posłańca, ale to miano pasuje do ciebie.

– Może go trochę sponiewieram.

Uświadomiłam sobie, że czuję się przy nim swobodnie. I, co było dobrą wiadomością, musiał mieszkać niedaleko mnie, bo jechaliśmy tym samym autobusem. Może, nie wiem, warto było się spotkać po szkole? Nie ulegało wątpliwości, że muszę przerwać dotychczasowy tryb życia.

– Tak przy okazji, nigdy ci nie podziękowałam – dorzuciłam. –
Przepraszam.

– Za co mi nie podziękowałaś?

– Za pomoc w przypadku pana Dupka, pamiętasz, pierwszego dnia.
I za wskazówkę dotyczącą Mackenzie.

Uniósł brew, choć roześmiał się jednocześnie. Ciepło i naturalnie, jakby bawiło go wiele rzeczy, a on nie bał się tego okazywać.

– Dupek? Potrafisz wymyślać ksywki, co?

Wzruszyłam ramionami.

– Tak przy okazji, sztuczka z Buttle'em, pseudo Dupek, polega na tym, żeby się podlizywać. Jeśli powiesz mu, że jest najmądrzejszym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek miałaś, będzie ci przez cały rok jadł z ręki.

Buttle. Jak mogłam zapomnieć, że tak się właśnie nazywa.

– To właśnie zrobiłeś? Podlizaleś się?

– Dodałem trochę mocy słowom, ale owszem, podlizalem się.

– Dodałeś mocy – prychnęłam – czyli mruknąłeś groźnie i wbiłeś mu kłyckie w ramię.

– To prymitywna wersja podlizywania. Poznaj różnicę.

Teraz to ja uniosłam brwi.

– Pokaż.

– Dobra. Tak wygląda dodanie mocy. – Na jego twarzy pojawił się niekłamanym podziw. – Cholera, panie Buttle. Aż mózg mnie boli od nadmiaru informacji. Dobra robota, facet.

Autobus najechał na jakiś wybój; podskoczyliśmy na swoich miejscach.

– Zatem zapewnianie, że jego lekcje nie przypominają pogrzebu, raczej odpada? – W chwili gdy to powiedziałam, zapragnęłam cofnąć te słowa. Nie miałam najmniejszej ochoty mówić o pogrzebach.

– Proszę, proszę, proszę, powiedz mu to. Odprowadzę cię nawet do jego pokoju, jak tylko dojedziemy do szkoły – odparł Justin, ale musiał chyba dostrzec moje zdenerwowanie, bo szybko zmienił temat. – Słuchaj... zauważyłem, że kumplujesz się z Kat.

– Tak.

– Dawno ją znasz?

– Poznałam ją podczas wakacji. Dlaczego pytasz?

Długa, ciężka pauza; wzruszenie ramion.

– W zeszłym roku kumplowała się z grupą Cole’a Hollanda i z pewnością wróci do nich. Jak już ktoś naruszy ich wewnętrzny krąg zaufania, to nie uchodzi mu to na sucho. Na twoim miejscu byłbym ostrożniejszy, bo w przeciwnym razie twoja przyjaciółka pociągnie cię z sobą.

Lubiłam Kat. Bardzo. Nie obchodziło mnie, z kim się kumpluje albo umawia, nawet jeśli ten „ktoś” miał numer Cole’a w swojej komórce. Jeśli

chodzi o drugie ostrzeżenie Justina, nie byłam pewna, co działo się między mną a Cole'em – coś? Cokolwiek? Nic? Nie zamierzałam jednak z nim o tym rozmawiać. Ledwie mogłam porozmawiać o tym z sobą.

– Znasz go? To znaczy Cole'a – spytałam, nie zmieniając tematu, ale dając jasno do zrozumienia, że dyskusja o związkach nie wchodzi w rachubę.

Justin przestał się uśmiechać.

– Tak.

– Wielu ludzi załapało się do tego kręgu zaufania?

– Nie. Hej, jesteśmy na miejscu.

Rozejrzałam się, i rzeczywiście, autobus zatrzymał się przed szkołą; jedni uczniowie podnosili się z miejsc, inni już wychodzili. Jeszcze nigdy droga do szkoły nie wydawała się taka krótka.

Wstałam i ruszyłam między rzędami siedzeń, Justin tuż za mną. Odruchowo spojrzałam w niebo. Długie pasmo jasnego błękitu, przesuwające się wolniutko obfite chmury, ale żadnych królików. Dzięki, Boże.

Justin wciąż trzymał się mego boku, kiedy weszłam do masywnego i przepastnego budynku.

– Powinniśmy się spotkać w najbliższy weekend – powiedział.

– Tak, ja... – Obiecałam przyjść na imprezę organizowaną przez Reeve, przypomniałam sobie. No cóż, Kat obiecała za mnie. Ponieważ ją uwielbiałam, nie chciałam z tego tak od razu rezygnować. Na wszelki wypadek. Rany, ile może się zmienić przez kilka dni. Wcześniej szukałam wymówki, jakiegokolwiek wymówki, by nigdzie nie chodzić. Teraz naprawdę się zastanawiałam, czy nie pójść. – Zaczekaj. Nie jestem pewna...

– Nieważne – mruknął Justin, a w jego głosie wyczuwało się

zakłopotanie. – Nie przejmuj się tym.

– Nie, nie! – rzuciłam pospiesznie. – Żadne tam „nieważne”. Wcale nie myślałam o tym, jak ci odmówić ani nic takiego. Zastanawiałam się, kiedy będzie najlepiej się spotkać.

Znowu uśmiechnął się do mnie ciepło, odsłaniając proste białe zęby – cały szczęśliwy.

– Tak?

Musiałam zrewanżować mu się uśmiechem.

– Tak.

I, oczywiście, właśnie w tym momencie wpadłam na Cole’a. Dosłownie. Patrzyłam na Justina, nie zwracając uwagi na to, co znajduje się przede mną, i wpakowałam się wprost na twardą pierś wiadomego osobnika.

Jego ręce niczym węże objęły mnie w talii, dzięki czemu nie odbiłam się od niego rykoszetem. Chwyciłam go odruchowo za koszulę, zaciskając palce na materiale. Był tak silny, tak niewzruszony, że nie przesunął się nawet o centymetr.

– Przepra... – Nasze spojrzenia zwały się, moje niebieskie oczy z jego fioletowymi, i znowu świat gdzieś zniknął. Tyle że tym razem nie całowaliśmy się. My...

...walczyliśmy?

Zapanowała noc, księżyc w pełni krwawił na wysokościach, zalewając niebo szkarłatem. Otaczały nas drzewa. Cole przywierał plecami do moich pleców. Byliśmy sami... z wyjątkiem około dwudziestu potworów zbliżających się z wolna w naszą stronę.

Każdy miał splątane i pozlepiane włosy, które wypadały garściami, i obwisłą, dziobatą skórę. Zapadnięte oczy. Skrwawione policzki. Brudne podarte odzienia. Każdy bez wyjątku zawodził – upiorny chór zła.

Czułam gwałtowne dreszcze, które ścisnęły mi płuca jak w imadle. Cole trzymał dwa pałasze. Skąd wiedziałam, że to właśnie pałasze, choć nigdy wcześniej nie słyszałam tego określenia, nie mam pojęcia. Wiedziałam tylko tyle, że jestem przerażona. Te ostrza były długie, grube i ostre – i poplamione czarną mazią, tak jak potwory.

„Kiedy policzę, schyl się” – rozkazał.

„Do ilu? Do trzech?” – mój głos był piskliwy od hysterii. Potwory, potwory, tak wiele potworów, tu, tam, wszędzie. Te same, które pożarły moich rodziców? Czy ja miałam być następną? Może Cole?

„Raz” – zaczął odliczać.

Bliżej... coraz bliżej...

„Dwa”.

O, słodkie niebiosy. To było to. Koniec – mnie, nas obojga. Nigdy byśmy nie zdołali pokonać ich tak wielu.

„Trzy!”

Rzuciłam się do przodu, schylając się tak nisko, jak było to tylko możliwe. Patrzyłam w swej wizji, jak Cole wywinął tymi mieczami, przecinając dwóm potworom gardła. Ani kropla krwi nie spłynęła, gdy te ciała drgały na ziemi. Drgały... i znów się podniosły.

Powinam wstać. Powinam mu pomagać. Nie mógł walczyć z nimi w pojedynkę. Nie z wszystkimi naraz. Powinam...

– ...Ali!

Świat znowu powrócił, nabierając ostrych konturów. Stałam na korytarzu, otaczali mnie uczniowie, nie potwory. Miałam przed sobą Cole'a, wciąż mnie przytrzymywał, a w jego pięknych oczach malowało się przerażenie. Na czoło opadały mu czarne włosy, jakby przeczesywał je bezustannie dłonią. Nie nosił tego dnia czapki. Policzki pałały gorączkową

czerwienią i stanowiły zapewne zwierciadlane odbicie moich.

Wystraszeni nie na żarty, odsunęliśmy się gwałtownie od siebie; dyszeliliśmy jak po wyczerpującym biegu. Poczułam na skórze lepką warstwę potu, a w żołądku na dobre zagościła mieszanka kwasu i kawałków szkła. Dlaczego nie, właściwie? – zastanawiałam się ze śmiechem graniczącym z histerią, taką samą, jaka ogarnęła mnie w trakcie wizji. Wciąż przytrafiały mi się jakieś koszmarnie bzdury. Każdego dnia pojawiała się coś nowego. Coś gorszego.

Cole odsunął się ode mnie o krok, o dwa. Wtedy zauważyłam Mackenzie. Pojawiła się za nim i objęła go w pasie. Odciągała go... odciągała ode mnie.

Jakże była oszałamiająca – ciemne loki opadające swobodną kaskadą, oczy błyszczące furją, kiedy przesywała mnie wzrokiem. Pomimo upału nosiła sweter i spodnie. Biznesowy styl, profesjonalizm w każdym calu jak u kogoś, kto występuje w telewizji i mówi o najnowszym kryzysie światowym.

Justin położył mi dłoń na ramieniu, zaciskając palce tak mocno, że mógłby mi zostawić siniec.

– Dobrze się czujesz?

Nie mogłam oderwać wzroku od Cole'a. Dlaczego przyglądał mi się z tak głęboko zmarszczonym czołem i taką uwagą? On też widział tę walkę? Jeśli tak... to jak? Dlaczego? Co to wszystko znaczyło?

Cole dostrzegł jednak gest Justina i przestał się ode mnie odsuwać. Krzywiąc się teraz, ruszył w stronę Silverstone'a z zaciśniętymi pięściami. Czyżby zamierzał rzucić chłopakowi wyzwanie?

Nie mogłam do tego dopuścić. Chwyciłam Justina za nadgarstek, obróciłam się razem z nim i pobiegłam za najbliższy narożnik korytarza, zostawiając Cole'a z tyłu.

– Chodzisz z Cole'em czy coś w tym rodzaju? – spytał mnie Justin, a jego głos zdradzał jakieś mroczne emocje.

– Nie.

– Jesteś tego pewna? Bo on...

– Jestem pewna. Posłuchaj, nie idę na pierwszą lekcję. – Nie dałabym rady wysiedzieć przez całą godzinę. Po prostu nie dałabym rady. I tak już byłam bliska paniki. Te potwory... Cole... – Muszę lecieć.

Podaliśmy mu szybko numer swojej komórki, powiedziałam, żeby zadzwonił w najbliższy weekend, a potem zostawiłam go czym prędzej. Zaczęłam szukać Kat. Liczyłam na to, że powie coś zabawnego, a ja się uspokoję. Potrzebowałam tego. Nie mogłam tak funkcjonować; załamałabym się prawdopodobnie – i Bóg jeden wie, czym by się to skończyło.

A może... Może opowiedziałabym jej o wizjach? Niewykluczone, że by mnie wyśmiała, nie chciała ze mną więcej gadać, ale musiałam zaryzykować. Było zbyt wiele pytań bez odpowiedzi. Poza tym znała Cole'a o wiele lepiej ode mnie. Mogła mieć informacje, które, jak wierzyłam, pomogłyby mi. Tak, pragnęłam się uspokoić, ale tak samo pragnęłam czyjejs pomocy.

Kilka minut później znalazłam Reeve i niemal zawylałam z nadziei i ulgi.

– Gdzie jest Kat? Muszę z nią pogadać.

– Nie ma jej dzisiaj w szkole – odparła Reeve, zatraskując drzwi szafki.

Nadzieja ulotniła się jak powietrze z balonika.

– Dlaczego? Coś jej się stało?

Zarzuciła sobie włosy na ramię, co było u niej tak naturalne jak oddychanie.

– Nie powiedziała. Tylko tyle, że spotkamy się jutro na imprezie.

Przyjdiesz, prawda?

– Tak. Nie. Może.

Po tej wizji nie byłam już pewna niczego. Czy była ostrzeżeniem? Jak ten królik na niebie? Że jeśli wyjdę z domu wieczorem, to zobaczę więcej potworów?

– A co z dzisiejszym meczem? – spytała.

– Muszę lecieć – odparłam bezwiednie.

Nie czekałam na jej odpowiedź, tylko ruszyłam przed siebie. Nie miałam samochodu, żeby dokądkolwiek pojechać. Nie znałam dobrze budynku szkolnego i nie wiedziałam, gdzie znajduje się pomieszczenie dozorca albo jakaś pusta klasa. Nie mogłam zadzwonić do babci i poprosić, żeby mnie zabrała, bo musiałabym udawać chorą – jak miałam to zrobić? – a ona oświadczyłaby z troską, że miała rację – „wiedziała, że nabawiłaś się zapalenia płuc” – i uparłaby się, żeby zawieźć mnie do szpitala.

Usłyszałam kroki za plecami. Poczułam, jak obejmuje mnie w talii mocne ramię. Zacisnęłam obie dłonie w pięści, zdecydowana uszkodzić winowajcę, kimkolwiek był. Okazało się, że to Cole, i z jakiegoś dziwnego powodu jego obecność mnie uspokoiła – nawet jeśli była źródłem mojej paniki.

Zmusił mnie do zmiany kierunku.

– Tędy. Musimy porozmawiać.

Cole wyprowadził mnie na zewnątrz, przez słoneczny parking, na którym nie było teraz żadnych uczniów – świadków – i posadził mnie w brązowym jeepie wranglerze. A może był to biały jeep wrangler. Trudno powiedzieć, ponieważ błoto oblepiało go ze wszystkich stron.

Nie miał dachu ani drzwi. W środku na podłodze leżały uschnięte liście i drobinki czegoś ciemnego. Tylnie siedzenie też usunięto; została po nim pusta przestrzeń.

Usadowiłam się na fotelu pasażera, a on usiadł za kierownicą. Szybka penetracja nieba wykazała – dzięki Bogu – że wciąż nie ma na nim chmury w kształcie królika.

– Doktor Wright będzie... – zaczęłam.

– Nie przejmie się naszą nieobecnością – przerwał mi.

– Skąd wiesz? Pytałeś ją?

Milczenie.

Uznałam, że to oznacza jedno wielkie „nie”.

– Dokąd mnie zabierasz?

Bez względu na jego odpowiedź nie bałabym się. Nawet gdyby powiedział: „do rzeźni” albo, co gorsza, do „baru karaoke” (byłam koszmarną piosenkarką). Mieliśmy rozmawiać!

Włączył radio. Z głośników dobiegły ogłuszające takty Since October. Wcisnął pedał gazu, spod opon poszedł dym i owionął otwarte wnętrze samochodu. Okay. Jasny przekaz. Kto się pierwszy złamie

i odezwie. Przygotuj się na przegraną, Cole'u Hollandzie!

Wiatr smagał mi włosy, a ja studiowałam profil swojego kierowcy. Na grzbiecie nosa miał lekkie wybrzuszenie, jakby był nie jeden raz złamany. Rana na wardze zagoiła się trochę, a siniak na brodzie przyblakł. Dostrzegłam mocny, zdecydowany zarys szczęki; współczułam każdemu, kto kiedykolwiek rzucił mu wyzwanie.

Po dziesięciu minutach jazdy, gdy z obu stron zaczęły śmigać góry i drzewa, wyłączył muzykę i rzucił mi szybkie spojrzenie.

– Co jest?

Widzicie? Wygrałam.

– Tylko patrzę.

Jeszcze bardziej wysunął szczękę.

– Ten chłopak. Justin.

Kiedy nic więcej nie powiedział, przynagliłam go:

– O co chodzi?

– Umawiasz się z nim?

Szaleństwo! Justin spytał mnie dokładnie o to samo w odniesieniu do Cole'a. Jeśli wziąć jeszcze pod uwagę reakcję Kat, Reeve, Poppy i Wren dotyczącą moich związków z Cole'em i Justinem, to jedno stawało się absolutnie, krystalicznie jasne: rozmowa z chłopakiem w Asher High oznaczała wymianę ślubnych obrączek.

– Nie, nie umawiam się z nim. Dlaczego cię to w ogóle obchodzi?

Dosłyszałam w swoim głosie żarliwość i skuliłam się odruchowo. W męskim rozumieniu, powiedziałam właśnie coś w rodzaju: „Proszę, powiedz mi, jak bardzo SAM chcesz się ze mną umówić. Błagam cię”.

Na szczęście zignorował to i spytał:

– Jak wczoraj wróciłaś do domu?

– Na piechotę.

Rzucił mi spojrzenie, które było pod każdym względem nieprzychylnie.

– Nigdy więcej tego nie rób, słyszysz? Ten las jest niebezpieczny.

Przez chwilę mogłam tylko prychnąć.

– Po pierwsze, mówisz jak mój dziadek. Po drugie, to naprawdę urocze, że wydaje ci się, iż możesz mną dyrygować. – Do diabła ze współczuciem wobec kogokolwiek, kto śmiał mu się sprzeciwić. Sam się o to prosił! – Po trzecie, skąd wiesz, że szłam przez las? O ile się nie mylę, mieszkam za szkołą.

– Wcale nie – odparł z niezachwianą pewnością siebie.

Musiałam go spytać, po prostu nie mogłam się powstrzymać:

– Byłeś zeszłej nocy na moim podwórzu?

No! Lepiej dowiedzieć się brutalnej prawdy i mieć z tym spokój, niż stchórzyć i zastanawiać się obsesyjnie nad odpowiedzią.

Chwila milczenia. Wreszcie:

– Tak.

Zaraz. Co?!

– Dlaczego?

Znowu włączył muzykę. Zastanawiałam się, czy jej nie ściszyć, ale ostatecznie zachowałam się jak miss dobrych obyczajów, tak jak życzyłaby sobie tego moja matka, i trzymałam ręce przy sobie. To był jego

samochód. Mógł w nim robić, co mu się żywnie podobało. Poza samochodem jednak...

Chwilę później wjechał na parking całodobowego sklepu spożywczego. Stało tam już kilka innych samochodów, obok budynku kręcili się klienci. Cole wyjął kluczyk ze stacyjki, uciszając muzykę na dobre.

Myślał o czymś przez moment, potem powiedział:

– Dam ci swój numer telefonu. – Patrzył przez przednią szybę z tak mrocznym wyrazem twarzy, że, jak podejrzewałam, był gotów zamordować wszystko, co zwróciłoby jego uwagę. – Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała transportu ze szkoły do domu, zadzwoń do mnie albo prześlij mi esemesa, a ja dopilnuję, żebyś nie musiała wracać na piechotę.

Hm, co to było? Zły chłopak z Asher High nie proponował mi chyba, że będzie mnie woził. Mnie. Dziwaczną dziewczynę cierpiącą na halucynacje.

– Okay? – spytał nieustępliwie. – Zrozumiałaś?

Proponował. Naprawdę proponował.

– Mógł mnie wtedy ktoś podwieźć – wyjaśniłam. – Po prostu zrezygnowałam.

Mroczne spojrzenie skupiło się teraz na mojej osobie, przyprawiając mnie o dreszcz.

– Po pierwsze... tylko tyle masz mi do powiedzenia?

– No, tak.

Czego się spodziewał? „To najśłodszy gest, jak świat długi i szeroki, a ja w tej chwili czuję się tak, jakbym tańczyła pośród gwiazd”. Nigdy w życiu nie mogłabym powiedzieć czegoś takiego. Już samo to, że takie słowa przysły mi do głowy, przyprawiało mnie o bezgraniczny wstyd.

– Po drugie, dlaczego nie skorzystałaś z propozycji?

– Chciałam się przejść – wyjaśniłam, racząc go tą samą półprawdą co dziadków.

– Lepiej, żebyś następnym razem nie chciała się przejść.

– Bo co? – spytałam. Nie zrobiłam tego żartobliwie. Pragnęłam się szczerze dowiedzieć.

Był zwierzęciem w każdym calu – zwierzakiem – kiedy warknął:

– Powiedział ci już ktoś, że jesteś najbardziej irytującą osobą pod słońcem albo że wszyscy ludzie w twoim życiu byli dla ciebie zbyt grzeczni?

– Hej...

Podał mi szybko numer swojej komórki i musiałam się naprawdę spieszyć, żeby wprowadzić go do pamięci swojego telefonu.

– A teraz ty mi daj swój numer – zażądał.

Upłynęła dobra chwila, zanim uświadomiłam sobie sens jego słów. W jakże dziwnym świecie się nagle znalazłam?

– Ależ Cole, nigdy nie mogłabym cię podwieźć. Nie mam samochodu, więc...

– Próbujesz zbyć mnie byle czym? Daj mi swój numer.

Byłam rozdarta między uczuciem zachwytu wywołanym jego uporem a wkurzeniem. Wkurzenie zwyciężyło.

– Poproś ładnie – powiedziałam i w moim umyśle pojawiło się nagle wspomnienie dnia spędzonego z mamą.

„Nie zasługujesz na razie na tytuł matki roku, mamó. Musisz jeszcze

upiec moje ulubione ciasto czekoladowe”. „Czekałam, aż mnie ładnie poprosisz, kochanie”.

Porwała mnie fala tęsknoty za domem.

– Ładnie – wyrzucił Cole przez zaciśnięte zęby.

– Czyż mogłabym się temu oprzeć? – mruknęłam. Kusiło mnie, żeby podać mu zmyślony numer, tak dla zasady. Wtedy jednak nie mógłby do mnie zadzwonić, a ja, no cóż, naprawdę chciałam, żeby do mnie zadzwonił – choć nie miałam pojęcia, o czym byśmy rozmawiali.

– Wciąż czekam – rzucił z naciskiem.

Wyklepałam swój numer.

– Dzięki – powiedział, a ja, jeśli się nie myliłam, dosłyszałam ulgę w jego głosie.

Musiałam się mylić. Albo to, albo jego fioletowe oczy zredukowały poziom mojego IQ.

– Zostań na miejscu – nakazał i wysiadł z samochodu. Obszedł maskę i... pomógł mi wysiąść. Rany. Nigdy bym nie pomyślała, że był zdolny wykazać się znajomością zasad etykiety. – Obiecuj, że przez resztę dnia nie będziesz sprawiała kłopotów.

– Przekonamy się o tym, jak sądzę.

Czułam jego ciepłą skórę, zrogowaciałe i szorstkie dłonie. Podobało mi się to, przyprawiało mnie nawet o dreszcz.

– Zmarzłaś? – spytał i przycisnął mnie do karoserii jeepa, biorąc w ramiona jak w kleszcze.

– Nie. To znaczy tak. To znaczy może. Nie wiem!

Zamierzał mnie pocałować? Tak naprawdę? Tutaj, teraz, w obecności obcych ludzi? Wiedziałam, że go powstrzymam. Prawda? (Przedtem, nie

potem).

– Nie wydaje mi się, byś zmarzła – zauważył chrapliwym głosem. – Myślę, że się boisz. I masz powody.

Przełknęłam z wysiłkiem.

– Nie boję się.

– Sprawdźmy, co mogę zrobić, żeby to zmienić, dobra? Zafundujemy sobie małą przygodę, ty i ja. Kiedy wydam ci polecenie, posłuchasz go. I nikt nie będzie grzecznie prosił, choćbyś nie wiem jak trzepotała tymi swoimi rzęsami.

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. Nigdy na nikogo nie trzepotałam rzęsami!

Pokręcił głową, nie dopuszczając mnie do słowa.

– To dla twojego bezpieczeństwa.

I znów chciałam zaprotestować.

I znów pokręcił głową.

– To jest warunek. Zgadzasz się albo zawożę cię z powrotem do szkoły i nie uzyskasz odpowiedzi na żadne pytania.

Ponownie wkurzona, przesunęłam językiem po zębach. Był podstępny, przebiegły i skłonny do manipulacji, to pewne. Fatalnie, że wciąż mi się podobał.

– Jakie pytania, według ciebie?

– Prawdopodobnie te same, które sam sobie stawiam.

Nie da rady. Niemożliwe.

– Dobrze, posłucham twoich poleceń. – Wszystko, byle uzyskać

odpowiedzi na pytania. – Dopóki będziesz sobie uświadamiał, że za każdym razem biję cię w myślach.

– Uświadamiam sobie – odparł, nie kryjąc rozbawienia. – Powstrzymaj się tylko od tego, żeby mnie walić mentalnie po mojej pięknej twarzy. Lubię ją taką, jaka jest.

Teraz to ja starałam się zapanować nad rozbawieniem. Ktoś tak egoistyczny nie powinien być tak czarujący. No, ale uwielbiałam Kat, więc trudno.

Jego spojrzenie skupiło się na moich drżących wargach. Nachylił się bliżej... tak blisko, że czułam ciepło jego oddechu na swojej skórze.

– O czym teraz myślisz? – spytał, a jego wargi znalazły się tuż przy moich.

Nie śmiej mu mówić! Szukałam gorączkowo jakiejś celnej odpowiedzi.

– Mackenzie będzie zła, że jesteś ze mną? To znaczy nie ze mną. Chodzi mi o to, że... – Zamknij się, idiotko! Wystarczy.

Wyprostował się gwałtownie, chwila domniemanego pocałunku minęła bezpowrotnie.

– Nie ma powodów. Nie chodzimy już ze sobą. – Nie dał mi szansy na replikę. – Chodź. Czas na naszą przygodę. Chcę ci coś pokazać.

Na tyłach budynku rósł gęsty, bujny las, który ciągnął się aż do osiedla, na którym mieszkali moi dziadkowie. Zmarszczyłam czoło. A więc jazda do sklepu trwała dłużej, niż powinna. Odtworzyłam w pamięci trasę i uzmysłowiłam sobie, że Cole zawracał kilka razy, skręcał tam, gdzie nie musiał. Nie było powodu, by to robić, chyba że zdradzał taką samą paranoję jak ja i sądził, że możemy być śledzeni.

– Odprowadzasz mnie do domu? – spytałam, nie bardzo wiedząc, co mam o tym myśleć.

Okazując jeszcze większą uprzejmość niż wcześniej, odsuwał gałęzie, które zagradzały mi drogę.

– Tak i nie. A teraz ani słowa, dopóki nie powiem, że jest w porządku. Nie chcę, żebyś mnie rozpraszała. Muszę pilnować, żebyśmy się nie przewrócili o druty rozciągnięte przy ziemi.

Cudowna nie-odpowiedź przyprawiona odrobiną kurtuazji. Zaraz, chwileczkę.

– Powiedziałeś: „druty”?

– Rozpraszasz mnie – oświadczył śpiewnie.

– Irytujesz mnie – odparłam tym samym tonem.

Ugryzłam się jednak w język i milczałam, kiedy przedzieraliśmy się przez zarośla, między grubymi korzeniami drzew i głązami, pokonując pagórki.

Nim dotarliśmy do ogrodzenia wokół mojego podwórza, paliły mnie uda, a serce waliło w piersi.

Uwaga pod własnym adresem: zacznij ćwiczyć już dzisiaj. Przynajmniej powietrze, którym oddychałam tak ciężko, pachniało sosnami i kwiatami leśnymi; woń tamtej paskudnej zgnilizny zniknęła całkowicie.

– Widzisz to? – spytał, wskazując ziemię.

Poczułam przypływ strachu, widząc te same ślady, które zauważyłam dwie noce wcześniej. Mogłam nawet dostrzec odciski własnych tenisówek... ale nie pantofli Emmy.

– Tak, widzę.

Spojrzał na mnie gwałtownie i zmrużył oczy.

– Wiesz, skąd te ślady? Prócz tych, które sama zostawiłaś,

oczywiście.

– Nie. – Może. Oblizalam wargi. – A ty wiesz? I jak się zorientowałeś, że w ogóle tu byłam?

– Docen mnie. Masz rozmiar stopy trzydzieści dziewięć. Jest dość wąska. A podeszwy butów mają wyraźny zygzakowaty wzór.

Nie było to coś, co zauważyłby normalny chłopak. Jak i dlaczego on to zauważył?

Skrzyżował ręce na piersi.

– Niczego tu nie widziałas?

– Poza tobą? – spytałam, starając się zorientować, do czego dokładnie zmierza.

– Tak, poza mną.

Nie mogłam tego powiedzieć. Po prostu nie mogłam.

– Chcę, żebyś sam mi coś najpierw wyjaśnił. Wiesz, skąd wzięły się te ślady?

– Tak. – Nawet śladu wahania.

Przysunęłam się do niego odruchowo.

– Skąd?

– Ty mi powiedz.

Wbiłam stopy mocno w ziemię, bojąc się, że przywrę do niego i potrząsnę nim.

– Nigdy nie twierdziłam, że wiem, skąd się wzięły.

– Zbladłaś. To dość wymowna odpowiedź.

– Ja... ja...

– Ale muszę usłyszeć, jak o tym mówisz.

Uparcie, nerwowo pokręciłam głową.

– Nie, nie zrobię tego.

Cole przyglądał mi się ze zmarszczonym czołem, gdzieś w głębi tego spojrzenia dostrzegłam niewyraźną groźbę.

– Utrudniasz mi to, Ali. Nie powinienem z tobą o tym rozmawiać. I absolutnie, pod żadnym pozorem, nie mogę wspomnieć o czymkolwiek wprost. Ty musisz mi powiedzieć to, co ja próbuję ci przekazać.

Do diabła! Czyżby sugerował to, co mi się wydawało? Że też widział potwory, ale nie mógł tego przyznać, dopóki ja nie przyznam? Ale gdybym przyznała, a okazałoby się, że miał co innego na myśli...

– Spróbujmy z innej strony – zaproponował. – Twój tata nie żyje, prawda? Zginął w lecie.

Odwróciłam się natychmiast, pokazując mu plecy.

– O tym też nie będę rozmawiać – oświadczyłam. Zorientowałam się, że szukał o mnie informacji w internecie, tak jak ja o nim.

– Zginął w wypadku samochodowym, obok cmentarza – ciągnął Cole nieubłaganie. – Byłaś z nim. Czy widziałaś coś... dziwnego?

– Nie będę o tym rozmawiać – powtórzyłam, odsuwając się od niego. Gdybym zaczęła mówić, rozplakałabym się przed nim, a tego absolutnie nie chciałam.

Z moich ust wyrwał się krzyk, gdy poczułam, że tracę grunt pod nogami.

Coś mocnego owinęło mi się wokół kostki i zaczęło podnosić...

wyżej... coraz wyżej... aż zawisłam na gałęzi drzewa, nie dotykając ziemi. Do głowy napłynęła mi krew, przyprawiając o gwałtowne oszołomienie.

– Co do cholery?! – wrzasnęłam. Kołysząc się tam i z powrotem, spjrzałam w górę. Moją kostkę oplatała gruba lina – lina, którą pomalowano tak, że przypominała korę.

Ktoś zastawił pułapki na terenie za moim podwórkiem. Czy może był to jeden z tych drutów, o których wcześniej wspominał Cole?

Podszedł bliżej i przykucnął przede mną. Nagle znaleźliśmy się oko w oko – do góry nogami.

– Uwolnij mnie! – zażądałam.

Jego uśmiech nie miał w sobie nic przyjemnego.

– Te twoje rozkazy... Poproś ładnie.

Jak śmiał rzucać mi w twarz moje słowa!

– Czy zechcesz... łaskawie... mnie... uwolnić?

Niestety, anulowałam tę przesłodzoną jak sacharyna prośbę, próbując walnąć go pięścią.

Ze śmiechem, zaskakując mnie szczerym rozbawieniem, odsunął się poza zasięg moich rąk.

– No, no, spokojnie. Nie ma potrzeby tak się zachowywać. Z chęcią ci pomogę. Potem – dodał.

– Potem? Co znaczy: „potem”? Zrób to natychmiast!

– Jak już pogadamy.

Och, doprawdy? Wygięłam się, potem skuliłam, powtarzając ten ruch raz za razem, aż w końcu rozhuśtałam się na całego. Był wyprostowany na całą wysokość swojego wzrostu -idealny cel ataku.

– Co ty... auuu! – wrzasnął i zgiął się wpół, dysząc chrapliwie.

Właśnie trafiłam go głową w bebechy. Spytałam z satysfakcją:

– I co teraz powiesz?

Kiedy już przestał ziajać jak staruszek podłączony do respiratora, przysunął się do mnie; moje czoło znalazło się dokładnie na wysokości jego pępka. Odważny chłopak. Położył mi dłonie na biodrach, żebym się nie huśtała. Na moich nagich biodrach, jak sobie uświadomiłam w przypiływie paniki. Mój podkoszulek opadł i zaczepił się o pasek stanika.

– Kretyńska grawitacja! – Sięgnęłam pospiesznie za plecy, chwyciłam za brzeg i pociągnęłam do góry.

– Uspokój się, zanim uszkodzisz ulubioną cześć mojego ciała. Naprawdę cenię swój... brzuch. – Odsunął mi ręce na bok, a podkoszulek znów opadł i zaczepił się o stanik. – Pozwól. – Wsunął materiał za pasek dzinsów. – I jak, lepiej?

– Tak, a teraz uwolnij mnie! Komu strzeliłoby coś takiego do głowy?!

– Mnie – oświadczył po prostu.

Próbowałam spojrzeć mu w oczy, ale jego głowa znajdowała się zbyt wysoko.

– Ty to zrobiłeś?

– Tak właśnie powiedziałem, prawda?

– Ale dlaczego?

– Ty mi powiedz.

Nie, tylko nie te bzdury.

– Cole, proszę. Zachowuj się tak, jakbyś nigdy nie był w poprawczaku, i puść mnie.

Westchnął i nie było w tym ani odrobiny cierpliwości.

– Ali potrafi być niemiła. Dobrze wiedzieć. Tak jak obiecałem. Puszczę cię... jak sobie pogadamy. No więc pogadajmy. Czy tata mówił ci kiedykolwiek o czymś dziwnym?

Poczułam strach, który niczym wąż oplótł mi serce i ścisnął je boleśnie.

– Na przykład?

– Ty mi powiedz.

Jezu!

– Nie znam cię. Nie ufam ci. Nie będę z tobą o tym rozmawiała.

Znów wyrwało mu się westchnienie.

– Wobec tego odpowiedź jest prosta. Musisz poznać mnie bliżej. Idziesz na mecz? Na przyjęcie do Reeve?

Zabawne, że nad tym nie musiałam się w ogóle zastanawiać.

– Na mecz nie, ale przyjęcie to inna sprawa.

– Okay, pozwól, że spytam inaczej. Idziesz na przyjęcie. Ale czy z kimś?

– Nie.

Zaraz, chwileczkę. Tak, miałam z kimś pójść. Z Kat, prawda?

– Dobrze. Spotkamy się tam.

Zrobiłam wielkie oczy; przez chwilę się bałam, że mi wypadną z głowy. Umawiał się ze mną... na randkę?

– Nie – odparł, kręcąc głową. – Nie na randkę. Nie lubisz dzielić się swoją historią z ludźmi, których nie znasz, a ja nie lubię się umawiać z dziewczynami, których nie znam.

Wspaniale. Nie zamierzałam tego robić, nie zdawałam sobie sprawy, że to zrobiłam, ale zadałam głośno to pytanie dotyczące randki.

– Doskonale się więc rozumiemy – oznajmiłam, by trochę ochłonąć.
– Ale tak dla ścisłości, spędzimy razem czas na przyjęciu, rozmawiając o czymś innym niż ślady na ziemi i dziwactwa?

Na oczach naszych rówieśników, jak uświadomiłam sobie z jękiem.

– Tak. Jakiś problem?

Ogromny. Odparłam jednak:

– Doskonale. Zrobię tak, jeśli nalegasz, ale tylko dlatego, że musimy kontynuować tę rozmowę, jak mi się zdaje. Na przykład w dniu, kiedy będziesz bardziej skłonny do współpracy. Uwolnij mnie teraz. Zaraz zwymiotuję.

– Nie zwymiotujesz. Jeśli jednak odpowiesz na jeszcze jedno pytanie, dam ci to, co zechcesz.

Ta idiotyczna lina zmuszała mnie do odsłonięcia kart.

– Pytaj.

– Czy dzieje się z tobą coś niezwykłego każdego ranka, kiedy widzisz mnie po raz pierwszy? Coś, co nie dzieje się już potem? Wyłącznie rano, jak tylko mnie widzisz w szkole?

Nie mógł w żaden sposób wiedzieć. Po prostu nie mógł... chyba że i on czegoś doznawał. Już wcześniej to sugerował, ale sądziłam, że chodzi mu o coś innego. Och, błagam, błagam, błagam, oby to były te wizje.

– Dla... dlaczego pytasz?

– Dzieje się? – powtórzył z uporem.

– Tak. – Na tyle mogłam się zdobyć. – No... no a z tobą?

Słowo daję, pomyślałam, że muszę zapanować nad tym jękiem.
Coś poniżającego!

– Tak.

A zatem porozumienie. O wiele więcej, niż się spodziewałam.

– Co wtedy widzisz? – wyszeptałam, zżerana przez ciekawość.
Musiałam wiedzieć.

– Powiem ci, ale nie tutaj i nie teraz. Spisz to, co widzisz, a ja zrobię to samo. Po szkole wymienimy się notatkami. W ten sposób żadne z nas nie będzie mogło twierdzić, że to drugie kłamie. I jeśli dasz mi pustą kartkę, to pożałujesz tego.

– Już się boję – odparłam kpiąco, choć tak naprawdę bałam się go. – Ale to samo dotyczy ciebie.

– Zgoda.

No dobrze, skoro już to ustaliliśmy...

– Wracamy do szkoły? Uwolnisz mnie wreszcie?

– Przecież powiedziałem, że to zrobię, prawda?

Schylił się i wyjął małą... O Boże, miałam zostać zamordowana.
Trzymał teraz kuszę.

Wyciągnął rękę i wycelował broń w górną część liny. Jego palec lekko dotknął spustu. Krzyknęłam z siłą mrozącą krew w żyłach, a po chwili runęłam w stronę ziemi, kiedy strzała przebiła sznur zamiast mojej

stopy.

Zamachałam gwałtownie rękami, ale nie uderzyłam o ziemię. Cole chwycił mnie tuż przed upadkiem i postawił na nogi, jakbym ważyła tyle co piórko; zachwiałam się. Upłynęła długa chwila, nim odzyskałam równowagę na tyle, by stać o własnych siłach. Czy odsunęłam się jednak od niego? Nie. I tak by mi nie pozwolił; trzymał mnie mocno.

– Dlaczego nosisz taką broń? – spytałam. Broń, z którą niewątpliwie przychodził do szkoły i którą przemycał przez szczelny pierścień ochrony.

– Ty mi powiedz.

Dosyć!

– Mniejsza z tym. – Doszłam do wniosku, że nienawidzę tych trzech słów w jego ustach. Absolutnie nienawidzę. – Nie ma to chwilowo znaczenia.

Jego palce zacisnęły się na mojej talii.

– Mam ci wyjaśnić, że o tej rozmowie nikt nie może się dowiedzieć, nawet Kat, czy też zdążyłaś się już zorientować?

Tak, zdecydowałam wcześniej, że pogadam z Kat o wizjach. Jednak to, czego tu doświadczyłam, przypominało dzwonek alarmowy. Żadnego gadania. Ani teraz, ani kiedykolwiek. Nawet o drobnostkach. Dziwne – nazywać wizje drobnostkami. Ale w porównaniu z tym, co się przed chwilą stało, wszystko wydawało się drobnostką.

– Zdążyłam się już zorientować – przyznałam.

– Dobrze. Na razie wystarczy.

Nim wróciłam ze szkoły do domu, nerwy miałam w rozsypce. Cole odwiózł mnie na zajęcia, tak jak obiecał, ale z miejsca wpadłam na panią Meyers, która spytała mnie, dlaczego nie byłam na jej lekcji.

– No... miałam... pewne problemy – zdołałam wydukać.

– Wymówki to wisienka na torcie pełnym bakterii coli, panno Bell.

Zakrztusiłam się, kiedy odchodziła.

Po tym uroczym spotkaniu Cole ignorował mnie podczas przerwy na lunch.

Co? Spodziewałaś się, że będzie ci nadskakiwał?

No cóż, owszem. Trochę. Uprowadził mnie, związał jak indyka na Święto Dziękczynienia, wspominał aluzyjnie o sekretnych sprawach, obiecał podzielić się ze mną tym, co działo się z nim rankami, zaprosił na randkę-nie-randkę, a skończyło się na tym, że uraczył mnie na dobrą sprawę niczym. Niejednoznaczne sygnały, jak to się mówi. Ale nie przejmowałam się tym zbytnio. Nie potrzebowałam go. Miałam swoje plany, zanim się pojawił, i mogłam je mieć, kiedy zniknął.

Tyle że czekał na mnie po ostatnim dzwonku.

Wręczył mi karteczkę, a ja wręczyłam karteczkę jemu. Nie padło przy tym ani jedno słowo. Był absolutnie niewzruszony podczas tej wymiany. A ja? Trzęsłam się, jakbym cierpiała na zaawansowanego Parkinsona.

Teraz popędziłam do swojego pokoju, zamknęłam drzwi na klucz i rzuciłam się na łóżko, po czym zaczęłam wygrzebywać z kieszeni małą

karteczkę. Chciałam przeczytać ją już w autobusie, i to bardzo, ale zdołałam się powstrzymać. Nie chciałam, by czyjś ciekawski wzrok dostrzegł cokolwiek.

I nie było żadnych wątpliwości, że Justin zdradzałby ciekawość. Znowu siedzieliśmy obok siebie i rozmawialiśmy, a on, no cóż, raz za razem ostrzegał mnie przed Cole'em.

To nieciekawcy osobnik.

Zrani ci serce – a może nawet twarz!

Wszyscy się go boją, i nie bez powodu. Posłał setki ludzi na oddział urazowy!

Czy wszyscy w tej szkole musieli przesadzać z tymi opowieściami?

Kiedy Justin zorientował się, że nie mam ochoty rozmawiać o Cole'u, zaskoczył mnie, proponując, żebym poszła z nim na przyjęcie do Reeve. Niemal odmówiłam. To znaczy zamierzałam porozmawiać z Cole'em podczas imprezy, ale dał mi jasno do zrozumienia, że nie jesteśmy parą. Z drugiej jednak strony mogło się zdarzyć, że nie miałby mnie kto podwieźć. Niewykluczone, że Kat byłaby zbyt chora, by mnie tam zabrać.

Justin musiał wyczuć moją niechęć, ponieważ dodał: „Tylko jako przyjaciele. Będzie fajnie”.

W końcu się zgodziłam.

Teraz rozłożyłam karteczkę, którą dał mi Cole, spodziewając się niemal, że będzie pusta wbrew mojej groźbie. Ale nie. Widniały na niej słowa. Zanim je przeczytałam, zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech... Przytrzymałam powietrze w płucach... Pomyślałam, że bez względu na odpowiedź Cole'a nie spanikuję. Odetchnęłam. Uniosłam nieznacznie powieki.

Na karteczce było napisane: „Robiliśmy różne rzeczy. Całowaliśmy się. Walczyliśmy”.

Och, dzięki Bogu. Przywarłam całym ciałem do materaca, przyciskając karteczkę do piersi. Poczułam ogromną falę ulgi. On też doznawał tych wizji, co oznaczało, przynajmniej w tym aspekcie mojego życia, że jestem całkowicie normalna.

Ulga jednak ustąpiła szybko zmieszaniu i niepewności. Dlaczego wyobrażaliśmy sobie, że się całujemy? Dlaczego wyobrażaliśmy sobie, że walczymy z tymi potworami?

Jak to w ogóle było możliwe?

Czy istniała między nami jakaś mentalna więź? A może potrafiliśmy dostrzec przelotnie przyszłość? Czy to w ogóle było prawdopodobne? Nigdy nie doświadczyłam niczego...

Chwileczkę. Królicza Chmura Nadchodzącej Śmierci.

Zeskoczyłam z łóżka i włączyłam komputer. Krótka analiza kwestii chmur – dwie godziny z okładem – i dowiedziałam się o ich barwie, wpływie na klimat, globalnym rozjaśnieniu i bakteriach wywołujących deszcz, ale o niczym więcej. Cholera.

Pukanie do drzwi.

– Ali? – usłyszałam babcie.

– Tak? – spytałam, zamykając laptopa. Nie chciałam tłumaczyć się ze swoich poszukiwań, gdyby zajrzała do pokoju.

– Masz gościa.

Podeszłam ze zmarszczonym czołem do drzwi i otworzyłam je. Do mojej sypialni wkroczyła uśmiechnięta Kat.

– Zgadnij, czyj to szczęśliwy dzień? Twój!

Pomimo uśmiechu i buńczucznych słów wyglądała na zmęczoną; była blada i miała podkrążone oczy.

Miała na sobie podkoszulek z długimi rękawami i wąskie dżinsy. Dlaczego tyle dziewcząt z Asher High nosiło podczas lata zimowe rzeczy? Kat musiała albo się pocić, albo gorączkować.

– Dobrze się czujesz? – spytałam, ściskając ją. Nie wyczułam przynajmniej, żeby była rozpalona. – Słyszałam, że chorujesz.

– Chorować? Ja? Nigdy! Potrzebowałam trochę czasu dla siebie, jak to kot. – Zwróciła się do mojej babki. – Miło było panią poznać, pani Bradley. Uroczy dom.

Jakże uprzejmie z jej strony.

Jakże osobliwie.

Babcia promieniała.

– Mnie też jest bardzo miło, kochanie. I dziękuję za komplement. Bawcie się dobrze, dziewczyny.

– Na pewno – odrzekłam.

Babcia podniosła kciuk, tak dumna, że w końcu znalazłam sobie przyjaciółkę, a potem zostawiła mnie samą z Kat.

– Rodzice pozwolili ci po prostu nie pójść do szkoły?

– Pewnie. Mój tata i, hm, moja mama twierdzą, że dzieciaki też potrzebują czasem wolnego.

Moja mama powiedziałaaby jej mamie, żeby nie gadała podobnych głupot. Nigdy nie powinno się robić przerwy w nauce.

– Na pewno czujesz się dobrze? Bo ja...

– Chyba nie będziemy się nad sobą użalać.

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Gdybym potrzebowała

potwierdzenia, że jesteśmy przyjaciółkami, to właśnie je uzyskałam.

– Nie jesteś ciekawa, jak się dowiedziałam, gdzie mieszkasz, skoro nigdy nie podałaś mi swojego adresu? – Pokazała kciukiem i palcem wskazującym odrobinę. – Nawet trochę?

– No cóż, owszem. Jak się więc dowiedziałas?

Klasnęła w dłonie.

– Szron przesyłał mi przez cały dzień wiadomości, chcąc sprawdzić, co robię. Powiedziałam mu, żeby się na coś przydał i dowiedział się czegoś o tobie. Sama bym do ciebie napisała i spytała, ale krążyły plotki, że jesteś z Cole'em, więc nie chciałam wam przeszkadzać w czymś nielegalnym. Tak przy okazji, masz mi wszystko opowiedzieć, jak już skończę. W każdym razie Cole znał twój adres, niegrzeczny chłopak, więc i Szron go znał, i bum! Oto jestem. – Rozłożyła ręce. – W całej olśniewającej krasie.

– Zaraz. Nie tak prędko. Ty i Szron znowu jesteście razem? – spytałam zdziwiona. To przesyłanie wiadomości musiało oznaczać...

– Nie! Tak. Och, nie wiem. – Rzuciła się na moje łóżko z takim impetem, że aż odbiła się od materaca. – To znaczy wierzę niezachwianie w to, że jeśli chłopak cię rzuca, to musi przypełznąć z powrotem. Szron nie przypełzł jeszcze w zadowalający sposób.

Zastanawiałam się przez chwilę.

– A jeśli Cole mówił prawdę i Szron nigdy cię nie oszukiwał?

Zważywszy na to, jak twardzi wydawali się ci faceci, nie mogłam sobie wyobrazić, by kłamali – no cóż – w jakiegokolwiek sprawie. Nie dbaliby o konsekwencje. Mogłam sobie za to wyobrazić, jak obaj patrzą w twarz każdemu i mówią: „Zrobiłem to. Zgadza się. Tak, ja. I co ty na to?”.

– Mała lekcja życia. Chłopcy zawsze kryją innych chłopców. Będą ci kłamać, zarówno w żywe oczy, jak i za twoimi plecami. – Poprawiła

poduszki i usadowiła się wygodnie. – Teraz twoja kolej. Mów, co się dzisiaj wydarzyło!

Chodząc tam i z powrotem obok łóżka, powiedziałam jej, że wybrałam się z Cole’em na przejażdżkę. Że poprosił, byśmy spotkali się na przyjęciu u Reeve na nie-randce. Słuchała zauroczona, jakbym ogłaszała, że zbliża się koniec świata i że istnieje tylko jeden sposób, by mogła się ocalić. Nie wspomniałam jednak o lesie ani o pułapce na drzewie, ani o wizjach. Jak stwierdził Cole, były to sprawy prywatne.

– Nigdy nie przychodzi na imprezy, zwłaszcza po to, żeby spotkać się kimś na nie-randce – oznajmiła, gapiąc się na mnie z podziwem. – Chyba naprawdę, podkreślam: naprawdę mu się podobasz.

– Naprawdę? – Okay. Jak bardzo byłam żalosna? – No cóż, to bez znaczenia, bo idę z Justinem Silverstone’em. Jako przyjaciółka.

W kącikach jej ust pojawił się uśmiech.

– Justin. Ten sam Justin, który rozmawiał z tobą podczas lunchu?

– Tak.

– Kiedy mieliście czas się spiknąć?

– Nie spiknęliśmy się. Jeździmy tym samym autobusem i zaczęliśmy ze sobą rozmawiać.

– Och, kotku... nie mogę się doczekać... To się zapowiada niezwykle interesująco i choć nie wiesz dlaczego, a ja ci nie powiem, bo to by wszystko zepsuło, właśnie uczyniłaś mnie najszczęśliwszą dziewczyną na świecie. A teraz ja uczynię cię niemal równie szczęśliwą. Zabieram cię, żeby szpiegować Cole’a. – Uszczęśliwiona, zatarła ręce. – Lekcja życia numer dwa. Szpiegowanie jest najlepszym i jedynym sposobem poznania prawdy.

Byłam już gotowa rozpytać ją o Justina, kiedy moją uwagę zwróciły dwa słowa. Cole i szpiegowanie. Nie ma mowy. Po prostu nie ma mowy. Przyłapałby nas na tym bez trudu.

– Założę się, że zobaczymy go bez podkoszulka – powiedziała.

– Jestem za – odparłam bezwiednie.

– Super! Zrobimy to dziś wieczorem!

Po zmroku? Prawie krzyknęłam.

– O... okay.

– Nie widać po tobie entuzjazmu – zauważyła kwaśno.

Tyle rzeczy mogło nie wypalić. A jeśli zobaczę potwory gdzieś w miejscu publicznym? Jak zareaguję? No i była jeszcze ta mała kusza, którą Cole trzymał w kaburze przy kostce u nogi. Zaskoczyć go... to nie był dobry pomysł.

– Może powinniśmy się nad tym zastanowić? Nie jestem pewna, czy...

Zerwała się na równe nogi i chwyciła mnie za rękę.

– Nie ma mowy. Żadnych wykrętów. Podziękujesz mi jeszcze za to. Obiecuję.

– Ale...

– La, la, la, nie słyszę, co mówisz.

Emma też by tak zrobiła; parsknęłam śmiechem.

– Dobra dziewczyna – oznajmiła Kat, wyciągając mnie z pokoju. – Zobaczysz, jakie cuda potrafię sprawiać.

Po kolacji znalazłam się przypięta pasami w jej dziewczynskim różowym mustangu, po czym pomknęłyśmy po autostradzie. Zdołała jakoś przekonać babcię i dziadka, żeby pozwolili mi zostać u niej na noc. Po raz pierwszy miałam spać poza domem.

Przez chwilę drżała mi broda i musiałam kilka razy przełknąć ślinę, żeby powstrzymać się od płaczu. Emma zawsze chciała u kogoś nocować.

– Denerwujesz się? – spytała Kat.

– Troszeczkę – odparłam, jeśli „troszeczkę” zaczęło właśnie oznaczać „bardzo”. Przynajmniej królik się jeszcze nie pokazał.

– Dlaczego?

Ponieważ od wypadku nie wybrałam się na wieczorną przejażdżkę samochodem, ponieważ trzymałam się kurczowo fotela i ponieważ żołądek przypominał wielki wijący się worek z wymiocinami, gotów lada chwila eksplodować.

– Samochody – oznajmiłam zwięźle.

– Ach, tak. No cóż, nie masz się czego bać, bo nie spotkasz lepszego kierowcy ode mnie. Przysięgam, z ręką na sercu, że miałam tylko, zaraz... no tak, trzy wypadki i tylko dwa były z mojej winy.

Pocieszające.

– Cole miał ich z milion – dodała. – A jechałaś z nim, zgadza się?

– Zgadza się – przyznałam, tyle że wtedy czułam się bezpieczna, chroniona. A teraz? Nie za bardzo.

Słońce wciąż widniało na niebie, ale zniżało się szybko, dając niewiele światła. Ale mimo wszystko było jasno, a to oznaczało, że jest okay. Takie w każdym razie słowa rozbrzmiewały w mojej głowie niczym mantra. Odprężałam się stopniowo.

– Dokąd jedziemy? – spytałam. – Na mecz?

– Nie. Cole nigdy nie chodzi na mecze.

– Wobec tego dokąd?

– Zauważyłam kilka rzeczy dotyczących naszych chłopców, kiedy chodziłam ze Szronem. Mniej więcej raz na dwa tygodnie nie można się z żadnym z nich skontaktować. Cokolwiek robią, jest brutalne i stanowi absolutną tajemnicę. – Ostatnie słowa wypowiedziała z niejakim szyderstwem. – To było dwa dni temu, co oznacza, że przez minioną noc lizali się z ran. A dzisiaj będą świętować ten swój sekret, jak zwykle dwa dni po zniknięciu i dzień po powrocie do zdrowia. Zjawią się w Hearts, najbardziej ekskluzywnym klubie, jaki widział świat.

Poruszyłam się niespokojnie. Raz na dwa tygodnie. Ta sama częstotliwość, z jaką pojawiały się potwory, co zdążyłam już ustalić. Mógł to być zwykły przypadek, ale... Cole próbował mi powiedzieć dziś coś o śladach i pułapkach. Zauważyłam, że miał obrażenia po tej nocy, kiedy to widziałam Pannę Niemłodą. I wyobrażaliśmy sobie, że walczymy ramię w ramię z potworami.

On też musiał je widzieć w rzeczywistości. Po prostu musiał.

– Kiedy ich nie ma... – zaczęłam, starając się nie ulegać ekscytacji. – Wiesz, gdzie wtedy są?

– Nie, ale tak jak mówiłam, następnego dnia są zawsze pokiereszowani. Niektórzy nawet nie przychodzą do szkoły przez kilka dni albo i tygodni. Dziwne, ale doktor Wright nigdy nie suszy im o to głowy, więc dlaczego ja miałabym to robić?

Kolejny maleńki element układanki-dowodu. Czas rekonwalescencji. Poważne obrażenia zadane przez poważne istoty. Czyżby Cole wyruszał z przyjaciółmi na poszukiwania tych potworów i toczył z nimi wojnę?

Jeśli tak, to oznaczałoby to, że potwory rzeczywiście istnieją. Że mój tata był najnormalniejszym człowiekiem w naszym domu. Że wszystko, co mówił, było prawdą, a ja niesłusznie oskarżałam go o paranoję.

– Mam nadzieję, że jesteś podekscytowana, bo ten klub to naprawdę coś! – oznajmiła Kat. – Ludzie w naszym wieku nie są tam wpuszczani, ale nie dotyczy to Cole'a i jego kompanów. Podejrzewam, że jest to związane z ich groźnym charakterem. W każdym razie Szron załatwił mi

wejście, a ponieważ w skrytości ducha liczy na to, że przyjdę i będę go szpiegować, jestem pewna, że nie wykreślił mnie z listy wybrańców.

Mniejsza o szpiegowanie. Chciałam porozmawiać z Cole'em. Chciałam go spytać o potwory i wizje, zbadać jego reakcję. Pewnie nie powiedziałby mi niczego wprost, a ja nie spytałabym wprost, ale może udałoby mi się go podejść i coś z niego wyciągnąć. Och, nie wiem, zaczęłabym z nim flirtować, aż w końcu nie mógłby się dłużej opierać. Popatrzyłam na swój T-shirt i dzinsy. Jak już się zdążyłam przekonać, taki strój nie mógł go nakłonić do wyjawienia jakichkolwiek sekretów.

– Hm... Kat?

– Nie martw się – odparła ze śmiechem, wiedząc doskonale, co nie daje mi spokoju. – Najpierw zrobimy sobie krótki postój. Wierz mi, zanim dotrzemy do klubu, będziemy dymić jak wulkany. Masz moje słowo.

*

„Dymić” było eufemistycznym określeniem. Kat zawiozła nas do domu Reeve i zanim ta uporała się z nami, świeciłyśmy tak jaskrawym płomieniem, że powinno się nas prawdopodobnie ugasić.

Najwidoczniej Reeve podczas wakacji uczęszczała do szkoły urody i makijażu – co prowadziło do następnego „najwidoczniej”. Najwidoczniej Reeve była niezłe dziana.

Mieszkała w wysokiej i rozległej rezydencji – białe kolumny, kopulaste sufity, żyrandole wręcz ociekające tysiącem kryształów, kręcone schody i luksusowe dywany o najbardziej wyszukanych wzorach. Na tyłach znajdował się basen wielkości boiska futbolowego. Och, i była jeszcze osobna część domu, w której mieszkała służba.

Tak. Służba.

Reeve ubrała nas w zbyt obcisłe stroje i buty na wysokim obcasie. Krótko mówiąc, przypominałyśmy panie spod latarni. Mój „strój” albo – jak go nazwałam – plaster, składał się z gorsetowego niebieskiego topu, ciemnoniebieskiej mikrominispódniczki uszytej z falbanek i podartych

legginsów. Do tego sznurowane aż do kolan czarne kozaki.

Przy swojej bladej cerze nigdy nie kwalifikowałam się do makijażu, ale Reeve wiedziała, jak mnie umalować, żeby oczy dosłownie wyskakiwały mi z głowy, policzki wydawały się różowe, a wargi wyglądały jak „soczyste kandyzowane jabłko, które chcą ugryźć wszyscy chłopcy”. Jej słowa, nie moje.

Kat włożyła top z długimi rękawami, sięgający samego pępka, co „zmusiło” ją do rezygnacji ze stanika. Przynajmniej nogi miała zakryte przez cienkie dżinsy, szczęściara. Zamiast biżuterii Reeve dała jej męski krawat, który mógłby się bawić w chowanego z jej piersiami.

Sama ubrała się w czarno-białą sukienkę w groszki, która rozszerzała się na wysokości bioder i sięgała kolan. Przypominała seksowną gospodynię domową z lat siedemdziesiątych.

W trakcie mojej transformacji zjawily się Wren i Poppy.

– Nie mogę uwierzyć, że z takiego powodu rezygnujemy z meczu – oznajmiła Poppy, która wyglądała bosko w podkoszulku bez rękawów, dżinsowych szortach i butach kowbojskich.

– Lepiej wspierać przyjaciółki niż naszą drużynę – powiedziała Wren. – Dopóki przysięgniecie, że nie idziemy do klubu tylko po to, żeby Ali mogła spiknąć się z Cole’em i jego bandą wyrzutków społeczeństwa.

Kat podniosła rękę.

– Przysięgamy.

Poppy, studiując swoje odbicie w wielkim lustrze, spytała:

– Wyrzutki społeczeństwa? Tak, to nieudacznicy, ale czy naprawdę musisz się zachowywać jak wiedźma?

– Nie jestem wiedźmą! – oznajmiła Wren, tupiąc nogą.

– Owszem, jesteś. Facet w Starbucksie przystawiał się do mnie, nie

do ciebie, i teraz się wściekasz.

– Przystawiał się do mnie.

– Nieprawda.

– Prawda!

Wciąż się kłóciły, kiedy ruszyłyśmy w stronę SUV-a, którym jeździła Reeve. Noc zapadła już na dobre, pogrążając dom i podjazd w cieniu. Światła ganku zapewniały trochę bezpieczeństwa i podtrzymywały mnie na duchu. Postanowiłam, że nie dam się tej nocy lękowi. Że nie pozwolę, by nade mną zapanował. Wieczór był zbyt ważny, moja misja miała zbyt duże znaczenie.

Po drodze dostrzegłam coś, co przypominało chmurę w kształcie królika. Powiedziałam Reeve, żeby zwolniła, przekonana przez chwilę, że się rozbijemy. Ale, o dziwo, musiałam się mylić. Dotarłyśmy do klubu bezpiecznie. Żadnej katastrofy, nikt nie zginął.

Kat przedstawiła się dwóm ogromniastym bramkarzom, przed którymi zwiłabym z wrzaskiem w każdej innej sytuacji, a oni wpuścili nas do środka poza nieskończenie długą kolejką chętnych. Wkroczyłyśmy do klubu i od razu moje uszy zaatakowała głośna, skrzekliwa muzyka.

– Czyż nie jest tu wspaniale? – Kat musiała krzyczeć, żebym mogła ją słyszeć.

„Wspaniale” nie było właściwym określeniem. Oczywiście, widywałam takie miejsca w telewizji. Czytałam o nich w książkach. Od mamy też się nasłuchałam. Ale to, co tu zobaczyłam, wywołało mieszankę ekscytacji i strachu, przyprawioną obficie czymś w rodzaju: to niemożliwe.

Na parkiecie wili się mężczyźni i kobiety z giętkością godną tancerzy z Cirque du Soleil. Przy barze chłopcy zlizywali drinki z odsłoniętych miejsc na ciałach dziewcząt. Migdalono się po kątach na całego. Czulałam woń perfum i inne zapachy, których nie potrafiłam zidentyfikować.

Architektonicznie lokal składał się z dwóch kondygnacji. Dół był przeznaczony na tańce i kontakty towarzyskie, góra należała być może do VIP-ów. Wyższe piętro otaczała żelazna balustrada, co pozwalało widzieć wyraźnie tych siedzących na samym brzegu. Dostrzegłam czarne skórzane kanapy i fotele, żelazne stoliki i...

Cole'a.

Och, niesamowite, był tam. Siedział na jednej z kanap, twarzą do mnie, ze Szronem u boku. Rozmawiał z kimś naprzeciwko i śmiał się. Rozbawienie łagodziło mu rysy, wyglądał mniej groźnie, a bardziej hollywoodzko. Nie miał czapki. Ubrany w czarny podkoszulek, który przypominał warstwę farby na jego torsie, emanował zwierzęcym seksem. Żałowałam, że nie widzę jego dolnej połowy.

Trąciłam Kat i wskazałam wyższą kondygnację. Podążyła wzrokiem za moim palcem i klasnęła.

– Super! – Wspięła się na palce, żeby dosięgnąć mi do ucha, i powiedziała: – Czas zacząć operację „Chłopcy Będą Płakać”. Etap pierwszy: niech nas zauważą.

– Co?! – wrzasnęła Wren. – Przyszliśmy tu chyba potańczyć.

– I będziemy – odparła Kat.

– A szpiegowanie? – spytałam. Moja przepustka do Cole'a.

– Nie możemy tak naprawdę ich szpiegować, jeśli oni nie szpiegują nas, no nie?

Pokrętna logika, ale okay. Chciałam porozmawiać z Cole'em, za wszelką cenę, i nagle byłam w stanie myśleć tylko o jednym: cholera, nic dobrego z tego nie wyjdzie.

Okay. Dobra. OCBP. Operacja „Chłopcy Będą Płakać”. Etap pierwszy, część A: Kat zwędziła z tacy przechodzącej obok kelnerki piwo, łyknęła, następnie podała butelkę Reeve, która też łyknęła i przekazała z kolei butelkę mnie. „To cię odpręży” – wypowiedziała bezgłośnie ruchem warg.

Nie napiłam się, tylko od razu oddałam butelkę Poppy, która skrzywiła się i przekazała trunek Wren; ta też się skrzywiła i odstawiła piwo na stolik. Cuchnęło jak kwas z akumulatora i spleśniały chleb, poza tym bez trudu przypomniałam sobie problemy, jakie mój tata miał z powodu alkoholu. Nie zamierzałam iść w jego ślady.

Etap pierwszy, część B: wywijanie na parkiecie. Uformowałyśmy szereg i ruszyłyśmy na środek. Tam Kat w jakiś sposób zmusiła innych, by cofnęli się o kilka kroków i umożliwili nam utworzenie własnego prywatnego kółka. Każdy, kto patrzył z wyższej kondygnacji, musiałby nas zauważyć.

W przeciwieństwie do Emmy nie miałam pojęcia, jak tańczyć z wdziękiem. Albo atrakcyjnie. Obserwowałam jednak inne dziewczyny, jak poruszają ramionami i biodrami, i naśladowałam je. Chyba nieźle mi to wychodziło, bo moje cztery towarzysзки uśmiechały się zachęcająco, i to bez wyjątku.

Zdawało mi się, że trwa to całą wieczność; skinęłam w końcu na Kat, a kiedy zbliżyła się do mnie, powiedziałam:

– Nie chcę tak naprawdę, żeby Cole mnie szpiegował. Chcę, żeby ze mną pogadał.

– Och, zrobi to. Ale posłuchaj, cokolwiek zrobisz – przesunęła się za mnie i położyła mi dłonie na biodrach – nie patrz w górę. Zamierzam

wprowadzić w życie etap drugi. Etap trzeci nastąpi zaraz potem, bez szczególnej aktywności z naszej strony, więc bądź gotowa.

Kierując się siłą woli, o jaką się nie posądzałam, zerknęłam na nią przez ramię, a nie na chłopców.

– Nie mam nic przeciwko temu, ale boję się o to, co z tego wyjdzie.

– Dobra. Wiem, że jestem na właściwej drodze. Jazda!

Niczym seksowny kociak, do którego się coraz bardziej upodabniała, Kat zawirowała wokół mnie i skinęła zakrzywionym palcem na przypadkową grupę ultrasuperchłopaków.

Etap drugi: rozniecić płomienie zazdrości.

Ci faceci przyłączyli się gorliwie do naszego kółka. Po kilku minutach zaczęły się wykazywać aktywnością męskie ręce, a miękkie ciała uderzały o twarde ciała. Czułam się niezręcznie i nieswojo, prawdę mówiąc, musiałam nawet strzepnąć palce jakiegoś chłopaka ze swojego tyłka, ale tańczyłam wytrwale, zdecydowana ujrzeć realizację planu Kat. Ani razu nie spojrzałam w stronę Cole'a.

Kiedy zauważyłam, że rysy Reeve są tak ściągnięte, jak prawdopodobnie moje, przybliżyłam się do niej – tak, jestem niezgrabna – abyśmy mogły skupić się wyłącznie na sobie.

Choć jeden z chłopców wciąż trwał na posterunku za jej plecami, uśmiechnęła się do mnie z ulgą.

W końcu zaczęłam się zatracać w muzyce. Uniosłam bezwiednie ręce nad głowę, oczy miałam zamknięte. Kołysałam się, wirowałam – i wpadłam na czyjąś twardą pierś.

– Chłopcy! – mruknęłam ze złością. Zerknęłam w górę, gotowa powiedzieć facetowi, który ruszył za mną, żeby się odwalił. Wtedy...

Nigdy nie powinnam wątpić w zdolności Kat.

Spoglądały na mnie z gniewem fioletowe oczy, w ich głębi kryła się z trudem tłumiona agresja. Na moich biodrach spoczęły twarde dłonie, przyciągając mnie do siebie bliżej, bliżej... aż rozdzielał nas tylko szept.

Słowa „odwal się” nigdy nie nabrały kształtu. Ani też wizja, co mnie zszokowało.

– Zatańczmy – powiedział.

– Ty tańczysz? – pisałam.

Weź się w garść, Bell. W moich żyłach buzowała adrenalina. Ten chłopak wprowadził mnie w nastrój, jakiego dotąd nie znałam.

Zauważyłam kątem oka, że Szron wkroczył w prywatną przestrzeń Kat. Spierali się i całowali, całowali i spierali. Reeve miała przed sobą chłopca, którego nigdy wcześniej nie widziałam; gdy nie patrzył na nią ze złością, patrzył ze złością na Bronxa, który z kolei przepędzał tych przypadkowych ultrasuperkolesi. Wyglądał na człowieka gotowego zamordować każdego, kto śmiałby zaprotestować.

Nikt nie zaprotestował.

Inni chłopcy z grupy Cole’a próbowali tańczyć z Poppy i Wren, ale dziewczyny ich zignorowały, odwracając się ostentacyjnie.

Cole położył mi dłonie na policzkach i zmusił, żebym na niego spojrzała.

– Dlaczego nie miałbym tańczyć?

Hm, może dlatego, że na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka, który na śniadanie zjada szczeniaki, a na obiad kocięta. Jeśli chodzi o to, co je na kolację – nie można było o tym dyskutować w przyzwoitym towarzystwie.

– Bo uważasz, że to głupie? – Zabrzmiało to w moich ustach bardziej jak pytanie niż zamierzone stwierdzenie faktu.

– Coś, co pozwala chłopakowi dotykać wszędzie dziewczyny, nie jest głupie. To genialne.

Kiedy przyciągnął mnie bliżej, mruknęłam:

– Nie powiedziałałabym.

– Przekonam cię. Obejmij mnie.

– Znowu polecenie.

Ale wiecie co? Posłuchałam go. Przesunęłam nawet palcami po jego kręgosłupie i zanurzyłam je w jego miękkich, jedwabistych włosach. Po prostu nie mogłam się powstrzymać. Dotykanie go było dla mnie przymusem.

Jego źrenice rozszerzyły się wyraźnie, czerń przykryła swym cieniem cały ten piękny fiolet.

– Większość ludzi tak bardzo się mnie boi, że od razu robią to, co mówię.

To był tylko domysł, ale przypuszczałam, że większość ludzi nie wyobrażała sobie, jak to jest mieć jego język w swoich ustach.

– Ja to nie większość ludzi.

– Wiem. Nie wiem tylko, dlaczego tu jesteś.

Jego gryzący ton powiedział mi o wiele więcej, niż mogły to zrobić słowa. Moja bytność w tym miejscu nie była mile widziana.

– Chciałam spróbować czegoś nowego – wyjaśniłam, podnosząc dumnie brodę.

Nie zamierzałam wspominać mu o tym, że planuję z nim porozmawiać. Na razie. Chwilowo musiałam go przekonać, że są trzy rzeczy, których nie pozwoliłabym mu zrobić: wprawić mnie w zakłopotanie, zastraszyć i zmusić do ucieczki.

Jego twarz nie była już taka mroczna, raczej zmieszana.

– Co jest dla ciebie nowe? Taniec?

I wiele innych rzeczy, ale odparłam tylko:

– Tak.

– I pozwoliłaś, żeby jakiś chłopak z college’u dotykał cię od razu za pierwszym razem? To głupie, Ali.

Nie ulec zakłopotaniu, nie ulec zakłopotaniu.

– Po pierwsze, nie dotykał mnie, a po drugie, nie jesteś lepszy od niego.

Minuta zawziętego milczenia, a potem:

– Działasz koszmarnie na moje ego, wiesz o tym?

To samo mogłabym powiedzieć jemu.

– Ale jakoś nie potrafię trzymać się od ciebie z daleka – dodał.

Mogłabym w tym momencie roztopić się jak wosk.

– Znam to uczucie – przyznałam.

Jego spojrzenie zatrzymało się na moich ustach, spoczywało na nich przez chwilę, potem powędrowało gwałtownie w górę. Nachylił się jednak, przysunął usta do mojego ucha i powiedział:

– Więc wyobrażałaś sobie, jak mnie całujesz?

W jego głosie pojawiła się chrapliwa nuta. Coś jakby intymnego, przeznaczonego tylko dla mnie, a ja poczułam rumieniec na policzkach.

Między innymi o tym chciałam z nim tego wieczoru porozmawiać,

a jednak to on pierwszy poruszył ten temat. Punkt dla Ali.

– Tak samo jak ty sobie wyobrażałeś, że całujesz mnie – odparłam.

– Wiem. Jak to robisz, że nakłaniasz mnie do tego?

– Ja? Chyba żartujesz.

– Tak, ty. Nigdy nie żartuję. – Chwycił mnie jeszcze mocniej, jakby mu przyszło do głowy, że mogę uciec. – To musisz być ty. Nic takiego nie przytrafiło mi się wcześniej.

– No, mnie też nic takiego się wcześniej nie przytrafiło, więc uważam, że to twoja wina!

Uniół głowę i zaczął mi się przyglądać, a ja nie bardzo wiedziałam, czy mam kochać, czy też nienawidzić to, co kryło się za intensywnością tego spojrzenia.

– Spróbujmy rozważyć to na bardziej konkretnej płaszczyźnie. Zastanawiałaś się, jak by to było, gdyby działa się naprawdę?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Wciąż się ruszaliśmy w tańcu, kołysaliśmy, kiwaliśmy. Poczułam, jak jego palce rozluźniają się trochę, jak zsuwają niżej, zatrzymują na moich pośladkach, ale nie miałam najmniejszego zamiaru trzepnąć go po dłoni; była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam.

– No? – nalegał.

Doszłam do wniosku, że należy wyznać prawdę.

– Tak.

– Ja też – rzucił chrapliwym głosem.

Niemal ugięły się pode mną kolana.

– Chcesz powiedzieć...

– Że zamierzam odkryć, czy rzeczywistość dorównuje wyobraźni?
Tak.

Tutaj? Teraz? Moją pierwszą reakcją była panika. Drugą reakcją była jeszcze większa panika.

– Albo nie – dodał sucho, a ja poczułam, jak uścisk jego ramion zelżał. – Jestem przyzwyczajony do tego, że przerażam ludzi, ale nie w takiej sprawie.

Ja z kolei objęłam go mocniej, zmuszając, by został ze mną.

– Chodzi tylko o to, że... no, nigdy...

Siedź cicho! Spojrzał na mnie z odrobiną zmieszania i mnóstwem niedowierzania.

– Chcesz mi powiedzieć, że nikt cię nigdy nie całował?

Przycisnęłam język do podniebienia. Na jego twarzy malowało się głębokie powątpiewanie, a ton był niemal obraźliwy.

– Nie. Więc?

– Więc jestem zszokowany, to wszystko. Jesteś... Ty to ty.

Obrażliwe.

– Ja? – spytałam sztywno.

– Tak. Gorąca – odparł.

Chwileczkę. Ja? Gorąca?

Roześmiał się.

– Tego też ci nikt nie mówił, prawda?

Mogłam tylko pokręcić głową.

– Najwidoczniej obracałaś się wśród samych idiotów. – Jego spojrzenie zjechało w dół i zatrzymało się na moich ustach. Rozbawienie, które dotychczas zdradzał, ulotniło się bez śladu. – Zamierzam cię pocałować, Ali.

Tutaj? Teraz? – pomyślałam znowu. Panika powróciła, a mój mózg doznał krótkiego zwarcia.

– Ale mogę być w tym kiepska, poza tym nie znamy się za dobrze, a ty nie... ja nie... i nie możemy... – Słowa wylewały się ze mnie niepowstrzymanym strumieniem, tyle że nie układały się w nic sensownego.

– Ja najwidoczniej tak. I ty tak. I możemy. – Powiedziawszy to, pochylił się, przywarł wargami do moich ust i skradł mi oddech.

Nagle, w ułamku sekundy, był tylko Cole, ta chwila, jego usta... jego smak. Mięta i czereśnie. Jego żar, który mnie ogarniał. Jego moc, która mnie otaczała. Zamykając w klatce, jak wtedy na parkingu pod sklepem, kiedy opierałam się o jeepa. Oddałam się cała temu doznaniu, straciłam świadomość wszystkiego z wyjątkiem Cole'a.

On też musiał stracić świadomość wszystkiego z wyjątkiem mnie, ponieważ jego pocałunek, z pełnego skwapliwości i ciekawości, przerodził się w coś absolutnie i bez reszty drapieżnego. Pochłaniał mnie dosłownie, a ja jego. Moje dłonie błądziły po jego plecach, paznokcie drapały mu skórę. Byłam niedoświadczona, owszem, ale tak jak w tych wizjach wiedział dokładnie, co robić.

Było to wszechogarniające... narkotyzujące. Sprawiał, że czułam to niepowstrzymanie, całkowicie. Tak długo pragnęłam, aby moje życie było jedynie snem, niczym więcej. Teraz, zalewana falą wrażeń i emocji, pragnęłam tej rzeczywistości. I pragnęłam pozostać w bezpiecznym i intensywnym uścisku jego ramion. Pragnęłam dać mu wszystko. Tutaj, teraz. Chciałam go dotykać, chciałam więcej jego. Chciałam zdjąć mu koszulę. Sięgnęłam do jej brzegu.

On sięgnął do brzegu mojej koszuli.

I wtedy, nagle, Cole zniknął.

Zaczekaj.

– Wróc – zażądałam, czując w głowie dziwną mgłę.

Głosy, gdzieś w dali. Nie potrafiłam ich rozszyfrować.

Uzmysłowiłam sobie, że dzwoni mi w uszach. Drżąc i dysząc, próbowałam skupić się na tym, co się dzieje wokół mnie. Pierwszą osobą, jaką zauważyłam, był Szron. To on musiał oderwać ode mnie Cole'a, ponieważ stał teraz między nami, rozkładając szeroko ramiona, żeby nas rozdzielić. Poruszał ustami. Mówił coś, ale nie mogłam go zrozumieć.

Jeden z tańczących wpadł na mnie; zatoczyłam się w bok. Skrzywiona gniewnie dziewczyna pchnęła mnie na kogoś innego. Potknęłam się i upadłam. Na ten widok Cole'a ogarnęła wściekłość. Próbował dotrzeć do mnie, ale Szron go powstrzymał. Oczywiście, skutek był taki, że Cole na nim skupił teraz swoją złość. Cofnął łokieć i zacisnął dłoń w pięść, gotów walnąć przyjaciela w twarz.

Bronx przysunął się od tyłu, chwycił Cole'a i objął mu pierś w niedźwiedzim uścisku, unieruchamiając skutecznie. Cole próbował się oswobodzić i udałoby mu się to, ponieważ był najsilniejszy z nich trzech, ale do akcji włączył się inny chłopak, ten, który tańczył z Reeve.

Mgła, która spowijała mi umysł, przeredziła się na szczęście, a dzwonienie w uszach ustało. Świat znowu nabrał wyraźnych konturów. Poczulałam, jak moje ciało staje niemal w płomieniach, zalane gwałtowną falą żaru. Właśnie całowałam się z chłopakiem na oczach wszystkich obecnych w klubie. I nie tylko całowałam. Po prostu go pożerałam.

Jeszcze jedna cecha, którą odziedziczyłam po ojcu. Kilka razy, kiedy rodzice myśleli, że ja i Emma jesteśmy w swoich pokojach, kochali się tak samo intensywnie, a ja się modliłam, żeby ktoś wypalił mi rogówki i wyjąłowił mózg.

U mojego boku pojawiła się Kat, która pomogła mi wstać.

– Co się dzieje? – spytała, równie ogłupiała jak ja.

– Nie wiem. – Zamierzałam tylko oddać mu pocałunek, porównać wizję z rzeczywistością. Przerwać to po minucie... może dwóch. A teraz Szron ciskał we mnie gromy wzrokiem, jakbym dźgnęła Cole'a w serce i śmiała się na widok jego krwi. – Przepraszam. Nie chciałam, żeby tak się stało.

Zaczęłam się odsuwać od niego powolutku. Pytania i odpowiedzi mogły zaczekać. Zamierzałam udawać, że nie wprowadziłam w życie trzech zasad i uciekłam.

– Ali. – Cole skupił na mnie uwagę, i to bez reszty. Nagle stałam się celem, niczym kulawa gazela dla wygłodniałego lwa. – Nie waż się wychodzić.

– Przepraszam – powtórzyłam. Musiałam stąd wyjść. Natychmiast.

Uwolniłam się z objęć Kat, obróciłam na pięcie i przepchnęłam przez ciżbę wciąż wyginających się ciał na parkiecie. Lampy stroboskopowe rzuciły różowe, niebieskie i żółte promienie. Dokąd miałabym pójść i jak miałabym tam dotrzeć – nie bardzo wiedziałam. Od domu dzieliły mnie kilometry; nie było mowy, bym szła po ciemku.

– To przeradza się w bardzo zły obyczaj – warknął Cole, pojawiwszy się nagle u mojego boku. Objął mnie w pól. – Ty uciekasz, ja cię gonię.

Nie mogłam zdobyć się na to, by na niego spojrzeć. Wyraz jego twarzy mógł mi złamać serce.

– Nie wolno nam zrobić tego ponownie – oznajmiłam. – Nigdy.

– Dlaczego?

Zauważyłam, że nie musiał pytać, o czym mówię.

– Jak elokwentnie wyjaśniłeś w lesie, nie znam cię, a ty nie znasz

mnie, ale prawie... wiesz... publicznie, na oczach wszystkich.

– „Wiesz”? Tak to nazywasz?

Czyżbym dosłyszała rozbawienie w jego głosie?

– Chcesz, żebym cię walnęła w twarz?

– Nie, chcę, żebyś siedziała cicho i mnie wysłuchała.

– Nie ma mowy.

Westchnął zniechęcony.

– Nawet jeśli obiecuję, że więcej nie będę „wiesz” publicznie?

– Nie – odwarknęłam. Trudno było mi powiedzieć, czy jestem uszczęśliwiona, czy raczej wkurzona jego gładkim zapewnieniem.

– Chodź, zawiozę cię do domu.

Splótł palce z moimi i ruszył przodem. Wszyscy się rozstępowali, jakby Cole był samym Mojżeszem, a oni rekinami w Morzu Czerwonym.

– Nie jadę do domu.

– To jeszcze lepiej.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, ciepłe nocne powietrze przyniosło mi odprężenie. Nie tyle sam upał, ile świeży, czysty zapach. W powiewach nie wyczuwało się woni perfum ani potu; mogłam głęboko oddychać, delectować się tym, co mnie otacza. Cole nie zwolnił kroku ani na chwilę. Szedł zdecydowanie przed siebie, w stronę... swojego jeepa. Zostawił go na skraju parkingu, pod latarnią, i ustawił maską do ulicy. W wozie wciąż nie było dachu i drzwi.

– Pojadę z tobą – powiedziałam. – Ale nie mogę długo zostać.

– Świetnie.

– Dlaczego Szron był na mnie zły?

Chwila milczenia.

– Jesteś enigmą. Nie wiemy, co o tobie sądzić. Nie wspominając już o tym, że mam zachowywać ostrożność w twoim towarzystwie, a mimo to kilka razy zachowałem się nietypowo i naraziłem się na niebezpieczeństwo.

Prawda, nie żaden unik, ale jego słowa nie przyniosły mi pociechy. Razem z przyjaciółmi gadał o mnie. I w oczywisty sposób uważali, że – rzecz trochę dziwna na pierwszy rzut oka – jestem podejrzana.

– Może nie powinniśmy się spotkać jutro. – Słowa były ostre, rzucone wprost. – Będzie lepiej, jeśli...

– Och, zobaczymy się jutro. Nawet nie próbuj wykręcić się od randki.

– Randka! Powiedziałaś, że to nie randka.

Jeśli mam być szczerą, nie bardzo wiedziałam, czy chcę umawiać się z nim dłużej. Nie byłam gotowa na takiego faceta. Nie mogłam go kontrolować.

– Nieważne. Musimy się lepiej poznać.

– I może się poznamy – odparłam. – Ale tak naprawdę idę na przyjęcie z innym chłopakiem. – Nie byłam mu winna żadnych wyjaśnień, ale nie mogłam się powstrzymać, by nie dodać: – To też nie randka, jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale...

Cole przystanął gwałtownie, po prostu się zatrzymał i obrócił gwałtownie w moją stronę. Zmrużył oczy.

– Kto to?

Nie. Wykluczone, bym mogła mu powiedzieć. Może nie miałam

doświadczenia, jeśli chodzi o chłopców, ale wiedziałam, że zagroziłby Justinowi tylko po to, by potwierdzić swój status Twardego Faceta z Ashton. Problem w tym, że nie poprzestałby na tym.

– Nic mu nie zrobisz. Obiecuj mi.

Jeszcze bardziej zmrużył oczy.

– Obiecuję, że go nie zabiję. I co?

Okay, uznałam, że to lekka przesada.

– Dlaczego chciałbyś go zabić?

– Nie wiem. Po prostu chcę.

Jakże wyczerpujące wyjaśnienie. Moja pierwsza myśl: powinnam odwołać spotkanie z Justinem, na wypadek gdyby nastrój Cole'a nie zmienił się nazajutrz. Druga myśl: nie mogłam pozwolić, by nastroje Cole'a wpływały na moje życie.

– Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? – spytał.

Uniosłam buńczucznie brodę – najnowszy nawyk, który sobie wyrobiłam.

– Nie.

– Jeszcze się przekonamy.

Znowu ruszył przed siebie, ciągnąc mnie za sobą. Dotarliśmy do jeepa, a on położył mi dłonie na biodrach, żeby pomóc mi wsiąść do wozu. Ale zanim zdążył mnie podnieść choć o centymetr, cały się sprężył. I pociągnął nosem, wężąc w powietrzu.

Odruchowo zrobiłam to samo.

Woń rozkładu.

Ogarnęła mnie bezgraniczna panika. Ten sam smród przenikał moje podwórze dwie noce wcześniej, kiedy wyszłam z kijem baseballowym, chcąc zmierzyć się z Panną Niemłodą.

Tylko dwie noce. Zbyt wcześnie.

– Cole, musimy się stąd zabierać.

– Ty się zabierasz. Ja zostaję.

Zamrugałam, a Cole wyjął kuszę. Poczułam zimny pot na skórze.

– Cole?

– Wracaj do klubu, Ali.

Doskonały plan, zważywszy, że nie miałam broni, ale nie ruszyłam się z miejsca.

– Chodź ze mną.

Gdyby tu został zupełnie sam... nie! Nie mogłam mu na to pozwolić, nigdy nie dopuściłabym do tego, żeby zmierzył się w pojedynkę z jakimkolwiek niebezpieczeństwem, które się tam czaiło. Może wiedział, co to takiego, może wraz z przyjaciółmi nawet tego szukał, ale nie zamierzałam patrzeć, jak ktoś pada ofiarą potworów.

– Błagam.

– Przekaż chłopcom, że ich potrzebuję – odparł, ignorując moją prośbę.

W tym momencie przypominał mi tatę, spoglądając w każdą stronę, naprężony, czujny, gotów przystąpić do bitwy.

– Ta wizja walki... – wyjąkałam, nie mogąc myśleć o niczym innym. Nasz pocałunek wydarzył się naprawdę. Dlaczego i to nie miałyby się wydarzyć?

Musiałam powiedzieć mu wszystko ze szczegółami, których nie miałam odwagi przekazać wcześniej. Gdybym siedziała cicho, zostałyby tutaj. Był zbyt uparty, nie zważając na własne dobro.

– Nie wiem, co stało się w twojej wizji, ale w mojej otaczały nas ze wszystkich stron potwory, chcąc nas pożreć. – Wyrzucałam z siebie słowa niepowstrzymanym strumieniem. – I pewnej nocy zobaczyłam dwa z nich, pod swoim oknem, to była rzeczywistość, nie jakaś wizja. Wydawało mi się wtedy, że oszalałam. – Teraz nie byłam już taka pewna. – Obserwowały mnie i kiedy poszłam spenetrować okolicę, znalazłam ślady. Te, które sam mi pokazywałeś.

Odetchnął chrapliwie, co dowodziło, że mnie słyszał, ale ani razu nie spojrzał w moją stronę. Cały czas patrzył z uwagą przed siebie, czekając najwidoczniej, aż zagrożenie się zmaterializuje. Gdyby tak się stało, to czy ujrzałby potwory? Czy ja bym je ujrzała?

– Masz pojęcie, co właśnie...

Gdzieś w oddali trzasnęła gałązka i Cole urwał raptownie.

W blasku księżyca pojawiło się czterech ludzi, ich odzienie było brudne i podarte. Oczy mieli zapadnięte, skórę znaczyły plamy, kości palców wykręcały się i zakrzywiały jak szpony. Włosy opadały im z niemal łysych czaszek strąkami.

Poczułam takie mdłości, że prawie zgięłam się w pół.

– Chodź ze mną, Cole. Proszę!

– Wracaj do klubu! – wrzasnął na mnie i rzucił się pędem w stronę potworów.

*

Nie było czasu analizować tej surrealistycznej sytuacji, po prostu przyjąłam, że Cole rzeczywiście zobaczył potwory, że to nie jest halucynacja, że mój tata zawsze miał rację, że monstra naprawdę pożarły jego i moją mamę. Wiedziałam, że nadejdzie odpowiedni moment na

rozważania; podejrzewałam, że będę wtedy krzyczeć, płakać i szaleć.

Teraz musiałam walczyć, wykorzystać umiejętności, które wpoił mi tata. Nie mogłam pozwolić, by Cole stawiał czoło potworom w pojedynkę, bez względu na to, czy byłam uzbrojona, czy nie.

Wdech... wydech... Jakbym grała w filmie i ktoś kontrolował scenę; świat wokół mnie zwolnił nagle. Patrzyłam, jak Cole biegnie i jego... O Boże. Cole się zwielokrotnił. Jeden zamienił się w dwóch.

Nagle w moim umyśle rozbrzmiał ogłuszająco fragment, który wyczytałam w tamtym dzienniku: „Jesteśmy istotami ducha, ten duch to nasze źródło mocy, mamy też duszę... czy też logikę i emocje, żyjemy w ciele”.

Niemożliwe. Z pewnością nie... ale czy istniało inne wyjaśnienie? Duch Cole'a opuścił właśnie jego ciało.

Były teraz dwie jego wersje i obie nosiły to samo ubranie. Cole Pierwszy – jego doczesna powłoka najprawdopodobniej – sprawiał wrażenie fizycznie zwarte, podczas gdy Cole Drugi był spowity czymś w rodzaju połyskliwej mgły. Jego duch, mogłabym się założyć.

Jego duch.

Rzecz tak nieprawdopodobna, że wymykająca się zmysłom. Jego ciało tkwiło w całkowitym bezruchu, podczas gdy duch wciąż parł do przodu. Patrzyłam, jak wysuwa przed siebie kuszę i zakłada bełt. Już w powietrzu ze strzały wyrosły ostre małe ramiona i to one przecięły jednemu z tych stworów krtań.

Nie chlusnęła krew, ale pojawiła się otwarta rana. Ciało ogarnęły gwałtowne drgawki, potem znieruchomiało; głowa oderwała się od korpusu i po chwili jedno i drugie runęło na ziemię. A jednak ciało potwora wciąż się poruszało. Oczy wciąż mrugały, a zęby kłapały na Cole'a.

Monstrum żyło, nawet w dwóch kawałkach.

Jak to możliwe?

Cole założył na kuszę drugi belt, trafił kolejną istotę, kilka sekund później uderzał pięściami dwie pozostałe. Walił i uchylał się, potem odskoczył, przykucnął i sięgnął po jeszcze jedną broń ukrytą w bucie. Nóż.

Gdzieś zza moich pleców dobiegł jęk. Obróciłam się błyskawicznie. Trzy inne potwory postanowiły przyłączyć się do Tanecznej Masakry. Dwaj osobnicy rodzaju męskiego, jeden żeńskiego. Mogłam rozpoznać ich płęć tylko dlatego, że faceci nosili smokingi, a kobieta koronkową różową suknię, która przybierała w talii kształt dzwonu. Choć nie była to moja para prześladowczych nowożeńców, emanowali tą samą naznaczoną głodem grozą.

Miałam wrażenie, że moja panika dostała skrzydeł i trzepoce się teraz po całym moim ciele. Te istoty zabiły moich rodziców. Te istoty zabiły mojego dziadka. Nie mogłam pozwolić, by zaatakowały Cole'a, kiedy był zajęty walką z innymi. Przegrałby.

Poczułam płomień wściekłości, który wypalił panikę do szczętu. Te istoty zabiły rodziców. Zabiły dziadka. Chciały zabić Cole'a.

Musiały umrzeć.

Jeszcze jeden głęboki oddech i ja także rzuciłam się do przodu. Zadanie miałam ułatwione, po obu stronach parkowały samochody, tworząc prostą i pozbawioną przeszkód ścieżkę. Z każdej ospowatej twarzy wyciekała czerń; z bliska dostrzegłam, że ich oczy też są czarne i że w ich szklistym, połyskliwym spojrzeniu kryje się dzikie łaknienie. I choć jeden z nich był przygarbiony i kuśtykał na połamanych – jak się zdawało – kostkach, a drugiemu brakowało stopy, obaj poruszali się z zadziwiającą szybkością.

Tak jak Cole, zaczęłam wymierzać ciosy, gdy tylko ich dopadłam, lecz moja pięść przeszła przez ich ciała. Poczułam tylko powietrze i obrzydzenie, które zalało mnie niepowstrzymaną falą.

Istoty też ruszyły na mnie i też mnie nie trafiły, ale ta fala obrzydzenia przemieniła moją krew w żrący kwas. Zatoczyłam się do tyłu

i wpadłam na samochód. Potwory nie spuszczały ze mnie wzroku i zbliżały się coraz bardziej.

Wściekłość eksplodowała w gwiazdnym wybuchu energii, który pchnął mnie do przodu. Wierzyłam, że dosięgnę ich tym razem. Nic mnie nie mogło powstrzymać.

I wiecie co? Miałam rację. Uderzałam i dosięgałam celu. Fale obrzydzenia zostały stłumione przez lodowate zimno. Nigdy jeszcze nie odczuwałam takiego chłodu. Wstrząsały mną niepowstrzymane dreszcze, raz za razem, kiedy potwory wyciągały ku mnie ręce, próbując wczepić mi się w ramiona, drapiąc mnie. Umknęłam im, czując sztywność mięśni, jakbym nigdy wcześniej nimi nie poruszała. I właśnie wtedy ujrzałam samą siebie opartą o samochód.

Ale byłam przecież tutaj i walczyłam. Czyż nie? A może stało się ze mną to samo co z Cole'em? Czy mój duch działał w jakiś sposób poza ciałem? Ale jakim cudem? Tego też nie potrafiłam przeanalizować...

Chwilowe zmieszanie drogo mnie kosztowało. W moje włosy wplotły się palce i szarpnęły ku ziemi.

W myślach rozbrzmiała mi rada ojca. „Jeśli upadniesz, walcz dalej”.

Tak! Trenowałam na taki wypadek. Wygięłam plecy w łuk, by mieć więcej miejsca na zadanie ciosu. Moja dłoń walnęła potwora w nos; poleciał do tyłu. Straciłam kilka kosmyków, ale się uwolniłam.

Wyprostowałam się, wykręciłam i wierzgnęłam nogą, trafiając kolejną istotę – rodzaju żeńskiego – w brzuch; też poleciała do tyłu. Przeniknęła niczym duch przez samochód i stanęła po drugiej stronie, otrząsając się z chwilowego oszołomienia i dezorientacji. Wlepiała we mnie wzrok, a ja wiedziałam, że sobie nie odpuści.

Musiała jednak poczekać na swoją kolej. Ten, którego rzuciłam na ziemię, zdążył się już obrócić i teraz siedział, wyciągając ręce w moją stronę. Zęby mi zazgrzytały, kiedy kopnęłam go w ramię, potem w szczękę, i choć impet uderzenia zrobił swoje, ten osobnik wciąż skupiał na mnie uwagę.

Jak miałam unieszkodliwić te istoty na dobre? I gdzie była ta trzecia?

Nigdy nie trać z oczu przeciwnika. W przeciwnym razie pożałujesz tego. To też powiedział mi tata.

Jak w każdym innym przypadku miał rację.

Oplotły mnie od tyłu ręce przypominające konary. Poczułam na karku wilgotne tchnienie oddechu. Cholera! Szarpnęłam głową, waląc przeciwnika potylicą tak mocno, jak tylko zdołałam. Uścisk jego ramion zelżał, mój mózg przeszła błyskawica bólu. Obróciłam się w mgnieniu oka i przywaliłam mu dwa razy w szczękę z taką siłą, że chyba uszkodziłam mu kręgosłup.

Kiedy padał, z ust wysypały się zęby jak kawałki cukierka. Zdawało się jednak, że i on, leżąc już na ziemi, nie doznał poważniejszych obrażeń. Wstał z przekrzywioną pod dziwacznym kątem głową i ruszył na mnie.

Świtało mi, że coś dziwnego dzieje się poza naszym małym klubem pięściarskim, ale nie mogłam się zorientować, co to takiego. Coś, co należało rozważyć później, jak przypuszczałam. Gdybym przeżyła.

Musiałam przeżyć.

Moi trzej przeciwnicy zwarli szyki.

Walnęłam jednego, potem drugiego, kopiąc jednocześnie trzeciego. Wszyscy troje wyciągali ku mnie ręce, a ja im umykałam, wciąż zadając ciosy, wciąż kopiąc. Im zażarciej walczyliśmy, tym mocniej waliło mi serce i tym większe podniecenie ich ogarniało. A im większe podniecenie ich ogarniało, tym szybciej się poruszali.

Kiedy jeden z męskich osobników zdołał w końcu zakleszczyć palce na moim nadgarstku, uścisk jego dłoni był tak mocny, że nie mogłam się wyswobodzić. Pociągnął mnie na ziemię. Runęłam, wymachując rękami i nogami, tak jak przedtem, ale nie puszczał, błyskając na mnie zębami.

Nie mogłam dopuścić, by mnie ugryzł. Nie mogłam umrzeć w ten sposób.

Jednak bez względu na to, jak się wykręcałam albo szarpałam, nie dawałam rady się uwolnić.

Kobieta i drugi potwór osunęli się obok mnie na kolana. Było ich tylko troje, ale wydawało się, że mają tysiące rąk; trzymali mnie, darli moje ubranie, ich twarze zniżały się... zniżały... Kiedy mnie ugryzli, krzyknęłam.

Poczułam oślepiający, palący ból, choć nie zdołał on roztopić lodu, który mnie oblepiał jak skorupa. Stanowiłam toksyczną mieszaninę nadmiernego żaru i nadmiernego zimna; umierałam... chciałam umrzeć. Ich zęby przebijały moją skórę, ich twarze zdawały się znikać we mnie. Można było odnieść wrażenie, że naprawdę wgryzają się w moje kości, nie rozlewając nawet kropli krwi.

Walczyłam, walczyłam, walczyłam... Na próżno. Jeden z nich przestał w końcu mnie pożerać, potem drugi, potem trzeci. Choć wciąż mnie mocno trzymali, patrzyli na mnie z przerażeniem, jakby poczuli smak czegoś odrażającego.

Nagle jeden z mężczyzn wyprostował się gwałtownie, a z jego szyi sterczało drzewce. Zamachał ręką, próbując uwolnić się od bełtu, po czym runął na twarz i upadł obok mnie. Dzięki temu, że przestał trzymać mnie za kostki, mogłam wymierzyć kobiecie kopniaka w brodę. Zachwiała się do tyłu. Trzeci potwór puścił mnie z własnej woli.

Sekundę później za plecami kobiety pojawił się Cole; sięgnął przez jej ramię i przyłożył dłoń do jej serca. Na płask. Pojawiło się między nimi znieczulające białe światło, oślepiające w swej intensywności. Trwało tylko przez chwilę, równie długą jak pstryknięcie palcami, ale kiedy zniknęło, Cole miał w ramionach pustkę, a kobieta rozplynęła się w powietrzu.

Rzucił się w stronę jednego z mężczyzn, potem drugiego, wywołując to samo oślepiające światło. Sekundę później pochylał się nade mną; nasze spojrzenia się spotkały. Oboje dyszeliliśmy spoceni.

– Ja... ja... – Nie mogłam mówić. Za bardzo mnie bolało. Z trudem oddychałam. Pochłonęła mnie bez reszty ciemność i przestałam go widzieć.

Ranić... Słowo to rozbrzmiało szeptem w mojej głowie, a po nim pojawiło się inne, równie złe.

Zabijać...

Poczułam, jak ogarnia mnie pragnienie, by robić jedno i drugie. Ranić. Zabijać.

Niszczyć.

– Nie mów nic, ani słowa – wychrypiał Cole. – Nie ruszaj się, dopóki nie doprowadzę cię do porządku.

Chciałam mu powiedzieć, żeby mi pomógł, zabrał do szpitala, proszę, proszę, proszę, ale bez względu na to, jak bardzo się starałam, nie mogłam dobyć z siebie głosu.

Ranićzabijaćniszczyć.

Tak, pomyślałam w następnej chwili. Tak. Zrobię to. Muszę. Dzięki temu wszystko się polepszy.

Ranić...

Coś ukłuło mnie w szyję, paląc skórę.

– To pomoże – powiedział.

Zabijać...

Spadło na mnie coś ciężkiego.

Nisz...

Wciągnęłam gwałtownie powietrze; mój umysł przejaśniał,

a powieki uniosły się odruchowo. Cole wciąż pochylał się nade mną – wydawał się zatroskany, piękny i tak cudownie żywy. Jednak ból, choć przygasał, nie zniknął do końca. Wciąż cierpiałam.

– Załatwiliśmy ich, ale mogą nadchodzić inni.

Chwycił mnie za ramiona i podniósł na nogi. Kolana odmówiły mi posłuszeństwa, więc złapał mnie i zaczął nieść w stronę jeepa.

– Moje ciało – zdołałam wyszeptać. Spojrzałam na samochód, o który się wcześniej opierałam. Cóż za dziwna myśl. Tyle że już tam mnie nie było. Jak... kiedy...

Zerknęłam na swoje ręce. Moje nadgarstki były podrapane i posiniaczone. Krwawiły, jakbym naprawdę została pogryziona.

Spojrzałam na Cole'a. On też był podrapany i posiniaczony.

– Nic... ci nie jest?

– Wszystko w porządku. – Usadowił mnie w wozie, potem usiadł za kierownicą i uruchomił silnik. Ruszając z piskiem opon na drogę, zadzwonił do kogoś z komórki. – Parking – powiedział. – Dziesięciu załatwionych. Sprawdziłem, ale innych nie widać w pobliżu. Na razie. Mam Ali, została pogryziona, więc będziecie musieli się tym zająć.

To wszystko. Cała rozmowa.

– Co z Kat i pozostałymi? – spytałam. Głos miałam już silniejszy, nie tak chrapliwy. I pomijając kilka pomniejszych dolegliwości, znów czułam się normalnie.

– Zostaną wyprowadzeni w bezpieczne miejsce.

Kiedy jechał ulicą, odwróciłam się, żeby ocenić rozmiary masakry, którą musieliśmy pozostawić na parkingu. Ale... nie zobaczyłam żadnych ciał. Żadnej krwi. Byli jednak ludzie. Wielu żywych, oddychających ludzi.

Poczułam dreszcz na plecach, gdy to, co nie dawało mi spokoju

w trakcie walki, skryzalizowało się ostatecznie. W pobliżu krążyło mnóstwo osób, rozmawiały i śmiały się, szukały swoich samochodów, całkowicie nieświadome tego, co się wydarzyło.

– Nie widzieli nas – powiedziałam.

Jak to możliwe? Byliśmy tam, na ich oczach, stękaliśmy, jęczeliśmy – i zabijaliśmy!

To ostatnie słowo odbijało się echem w mojej głowie. Zabijaliśmy. Zabity. Zabijać. Pomogłam mu zabić te potwory. I cieszyłam się, że nie żyją, owszem, ale...

– Pójdziemy za to do więzienia?

– Ludzie widzieli nasze ciała, nie samą walkę. Możesz być spokojna, nie zamkną cię w więzieniu ani w zakładzie dla psychicznie chorych. Poza tym nie zachowały się żadne dowody.

Postanowiłam mu wierzyć. W przeciwnym razie ześwirowałabym. Ześwirowałabym? Tryb przypuszczający? – pomyślałam, czując jednocześnie, jak wzbiera we mnie histeryczny śmiech. Miałam wcześniej nadzieję porozmawiać o tym z Cole'em, ale przecież nie w ten sposób.

– Nie rozumiem, co się właśnie stało. Opuściliśmy swoje ciała.

– Tak.

– Jak?

Popatrzył na mnie, potem znów skupił uwagę na drodze.

– Nigdy wcześniej ci się to nie przytrafiło?

– Nie! – krzyknęłam. – Oczywiście, że nie.

– No cóż, w końcu odpowiedziałś mi na jedno pytanie. Widzisz ich. Więc i ja ci odpowiem na pytanie. – Jakże spokojny się wydawał. – Nie możesz zwalczać zła w jego naturalnej postaci. To, co kryje się w sferze

ducha, musi być pokonane w sferze ducha.

Zło. Sfera ducha. A zatem potwory były duchami? To by wyjaśniało, w jaki sposób potrafiły zniknąć w ciele taty i mamy. To by wyjaśniało, dlaczego potrafiły się poruszać, nawet po otrzymaniu śmiertelnego ciosu. To by wyjaśniało, dlaczego nie widział ich nikt inny, ale nie wyjaśniało, dlaczego ja je widziałam.

– Jeśli są duchami, to w jaki sposób zostawiają ślady w lesie? – spytałam.

– Nigdy nie mówiłem, że to właśnie one zostawiają ślady.

– Ale...

– Nie powiedziałem też, że tego nie robią. Potrafią zostawiać ślady. Tylko że nie zawsze możesz stwierdzić, że to one. Zawsze ktoś je ściga. Jacyś ludzie.

Zaraz. Co?

– Ty?

– Plus grupa innych, ale to wszystko, co zamierzam ci na ten temat powiedzieć.

Frustrujące! Nie widział, jak rozpaczliwie pragnęłam uzyskać tę informację?

– W porządku – oznajmiłam mimo wszystko. – Pominę tę „grupę innych”. Powiedz mi przynajmniej jedno. Jeśli walczyłam z potworami, kiedy byłam w... postaci duchowej, to dlaczego jestem posiniaczona? I w jaki sposób mogłeś je zranić z tej swojej kuszy?

– Duch i ciało są ze sobą złączone. To, czego doświadczasz na zewnątrz, zawsze manifestuje się wewnątrz. Jeśli chodzi o kuszę, zabrałem ją ze sobą, tak jak ubranie. Cokolwiek miałem na sobie, było dostępne dla mojego ducha.

Postanowiłam, że nigdy więcej nie ruszę się nigdzie bez jakiejś broni.

– Czym... czym były te istoty?

– Wciąż nie wiesz? – odpowiedział pytaniem.

– Nie.

No cóż, zdążyłam już przyznać, że ojciec miał rację. Zło czaiło się w świecie. Zło było realne. Moje głupie przekonanie, że jesteśmy w jakiś sposób od niego odseparowani, zostało rozwiane na dobre, tak; wiedziałam teraz, że już nigdy się to nie zmieni.

– A jednak wiesz, jak z nimi walczyć – zauważył.

– Nie dość dobrze – odwarknęłam.

To, czego tata nauczył mnie w kwestii walki wręcz, pomogło, owszem, ale nie miał pojęcia, z czym przyszłoby mu się naprawdę zmierzyć, ponieważ nigdy naprawdę nie walczył. Zawsze uciekał.

– Powiedz mi wszystko, Ali. Już najwyższy czas.

Tak, był już najwyższy czas. W końcu, wreszcie, wszystko to, co skrywałam przed innymi, nawet przed sobą, wypłynęło ze mnie. Może dlatego, że nigdy wcześniej nie czułam się taka bezbronna. Może dlatego, że wiedziałam, że Cole mi uwierzy. Musiałam komuś zaufać, a tym kimś, na dobre i złe, był właśnie Cole.

– Mój tata je widział. Bał się ich, próbował uczyć moją siostrę i mnie, jak z nimi walczyć, na wypadek gdybyśmy kiedykolwiek zostały przyparte do muru. Ale nigdy ich nie widziałyśmy i wydawało się nam, że jest nienormalny, więc nie zwracałyśmy szczególnej uwagi na jego rady. Zresztą sam nie był niczego pewien. Myślał, że może je unieszkodliwić za pomocą broni palnej. Potem zginął pewnej nocy, cała moja rodzina zginęła, a ja zobaczyłam potwory po raz pierwszy. One... pożarły moich rodziców.

Cole słuchał; zauważyłam, że kostki jego dłoni zaciśniętych na kierownicy straciły wszelką barwę.

– Dlaczego zaczęłam je widzieć dopiero tamtej nocy? Od jak dawna ty je widzisz? Czy inni też o nich wiedzą? Jeśli tak, to czy potrafią robić to, co my?

– Tak wiele pytań – skomentował. – Daj mi chwilę. Muszę się zastanowić, jak to wszystko wyjaśnić.

Powiedz mi od razu – miałam ochotę zawołać. Milczałam jednak. Pragnęłam poznać odpowiedzi, ale bałam się ich jednocześnie. Wiedziałam, że zmienię moje życie.

Ponownie.

Czy byłam gotowa na kolejną zmianę?

Co powiedziała by na to ojciec? Przez myśl przemknął mi obraz jego twarzy, blond włosy w nieładzie, szkliste niebieskie oczy. Mówiłam o nim przez lata okropne rzeczy, wielokrotnie go nie słuchałam, a teraz się okazało, że tylko on i matka mieli rację.

Tato – zwróciłam się w myślach ku niebu, mając nadzieję, że mnie słyszy. – Przepraszam, że w ciebie wątpiłam. Przepraszam za to, że tak źle myślałam o tobie, i za to, że tyle razy chciałam, by mama cię zostawiła i wyszła za kogoś innego. Gdybym mogła odwrócić bieg czasu, traktowałabym cię poważnie. Kochałabym cię, akceptowała cię i pomagała ci.

– Ustalmy przede wszystkim jedno – odezwał się w końcu Cole. – Nie możesz powiedzieć nikomu o tym, co się dzisiaj wydarzyło.

– Wiem.

– Nawet Kat.

– Wiem!

Jeśli traktowałam własnego ojca jak kandydata do zakładu psychiatrycznego, to jak mnie potraktowaliby moi nowi przyjaciele? Tak, nie trzeba się było nad tym długo zastanawiać. Unikano by mnie, wyśmiewano i poniżano publicznie. Nie, dzięki.

Cole zaklął pod nosem.

– Chwyć kierownicę i jedź wprost na tych w kombinezonach. Teraz!

– Co... – zaczęłam, sądząc, że to mnie przeklina. Błąd! Na drogę wkroczyły dwa potwory i zmierzały wprost na nas. Tuż za nimi dostrzegłam pięciu osobników w kombinezonach ochronnych.

– Ali!

Tak jak kazał, chwyciłam kierownicę. Cole wyjął ostrze i chwytając się drugą ręką za stalowy pręt do mocowania dachu, wychylił się z wozu. Dłoń trzymająca ostrze wysunęła się na zewnątrz... i wysuwała się dalej, nieubłaganie; ta część jego ducha oderwała się od ciała.

Ostrze przecięło kilka kombinezonów, a powietrze wypełnił syczący dźwięk.

Chyba krzyknęłam. Nie byłam pewna, bo mój umysł za bardzo skupiał się na tym, co się wydarzyło.

– To prawdziwi żywi ludzie, Cole!

Tak mi się przynajmniej wydawało.

Sekundę później osunął się na swój fotel i znów prowadził, odłożywszy ostrze, jakby nic się nie stało.

– Nie zraniłem ich, tylko uszkodziłem im kombinezony, żeby dali sobie spokój.

Okay, mogłam przyjąć to tłumaczenie.

– Następnym razem wyświadczyć mi przysługę i skup się na

potworach.

Chwila. Następnym razem? O nie, nie, nie! Nie miałam ochoty robić tego po raz drugi. Jedna lekcja wystarczała mi aż nadto.

– Nie stanowiły największego zagrożenia.

– Ale...

– Gdyby Szron i pozostali natknęli się na tych w kombinezonach, znaleźliby się w tarapatkach; ich uwaga byłaby podzielona między ludzi i... jak ich nazywasz? Potwory. Więc żeby odpowiedzieć na jedno z twoich wcześniejszych pytań: tak, moi przyjaciele je widzą. – Rzucił mi szybkie spojrzenie. – A teraz ciśnie ci się na usta kolejnych tysiąc pytań, prawda?

– Oczywiście, że nie. Ale jak je nazywasz, jeśli nie potworami? Dlaczego ci ludzie nosili kombinezony ochronne? To znaczy, jeśli ta odzież pomaga, to dlaczego jej nie nosicie? Ty i twoi przyjaciele? A może nosicie?

Widzicie, tylko cztery pytania, nie tysiąc.

– Nie nosimy. Kombinezony chronią przed ugryzieniem, ale nie pozwalają także zabijać. Co do pierwszego pytania...

Nastawił głośniejszą muzykę.

Zrozumiałam. Chwilę później zjechał z drogi, a ja pomyślałam, że chce się zatrzymać. Nie zrobił tego jednak. Skręcił w las, podążając niewidocznym traktem. Serce zaczęło mi walić młotem, jakby ten głupi organ chciał wyskoczyć z piersi. Cole jednak wiedział, dokąd zmierza, i ani razu się nie zawahał. W końcu zatrzymał się przed odludną chatą z bali. Światło reflektorów rozpraszało mrok.

Stały tam jeszcze dwa samochody – SUV-y. Domek miał dwa okna zakryte grubymi ciemnymi zasłonami ze szczeliną pośrodku. Wizjery, jak się domyślałam.

Wyjął kluczyki ze stacyjki i muzyka umilkła.

– Co to za miejsce i dlaczego tu jesteśmy?

Gdyby oświadczył, że jesteśmy poza miastem i że zamierza mnie zamordować, ponieważ wiem za dużo, to sądzę, że przystałabym na to bez wahania. Dopóki ponownie nie musiałabym wchodzić w bliski kontakt z tymi potworami – albo czymkolwiek były.

– Jesteś tu, ponieważ nie możesz wrócić w takim stanie do domu – wyjaśnił Cole, wskazując ruchem brody moje ubranie. – Musisz wziąć prysznic i przebrać się. Trzeba ci też opatrzyć rany.

Popatrzyłam po sobie i skrzywiłam się. Miał rację, jeśli chodzi o prysznic. Moje ubranie było podarte i brudne, w kilku miejscach oblepiała je czarna maź. Na nogach miałam zadrapania i sińce, a kostki dłoni były tak spuchnięte, że przypominały piłeczki golfowe.

– To nasza kryjówka. Zjawiamy się tutaj, kiedy potrzebujemy relaksu.

Nie musiałam pytać, o kim mówi. O swoich przyjaciółach.

– Więc to nie jest twój dom? Ten, w którym mieszkasz?

– Nie, tamten jest bliżej szkoły. Lubimy to miejsce, bo znajduje się na odludziu i jest monitorowane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie ma tu niczego, czego bym sobie nie życzył, co sprawia, że jest to dla ciebie najbezpieczniejsze lokum na ziemi.

Myśl o bezpiecznym miejscu naprawdę mnie zaintrygowała. W tej chwili tak mi się przewracało w żołądku, że musiałabym zwymiotować, żeby nie zatruć się na dobre. A może przemieniłabym się w nowego superbohatera pokroju Petera Parkera i radioaktywnego pająka. Tyle że byłabym Rzygającą Dziewczyną, zdolną przyprawić każdego o obrzydzenie.

– Powiedziałaś ci, że nie wracam dzisiaj do domu. Miałam spędzić noc z Kat – mruknęłam. – Mogę tu zostać? Jeśli tak... – nie było powodu się narzucać – ...to czy odwieziesz mnie rano?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi: owszem.

Okay. Poszło łatwiej, niż przypuszczałam.

– Dzięki. – Otrzymawszy pozwolenie, wyjęłam komórkę, żeby zadzwonić do Kat. – Powiem jej, że się spiknęliśmy, ty i ja. – Nie zamierzałam wspominać, że doszło do tego nad ciałami potworów. – W porządku?

– Tak. Świetnie. Sprytnie. Jeśli będzie chciała wyciągnąć ze mnie jakieś szczegóły, a na pewno będzie chciała, to powiem jej, żeby pogadała z tobą, więc uracz ją historyjką, jaką uznasz za stosowną.

– Dzięki. Dokąd według niej pojechaliśmy?

– Nie wiadomo. Dwaj moi chłopcy mieli powiedzieć wszystkim czterem dziewczynom, że nie są już mile widziane w klubie, i odwieźć je do domu Reeve. Ci sami chłopcy będą trzymać tam straż przez resztę nocy. Dyskretnie.

– Dobra. – Jedno zmartwienie mniej. – No to jazda.

Skomponowanie odpowiedniego tekstu zabrało mi prawie dziesięć minut – „Jestem z Cole’em. Przepraszam za ucieczkę! Nie gniewaj się, ale spędzę z nim noc. Nie dzwoń do moich dziadków” – ale w końcu przesłałam wiadomość.

Choć wiedziałam, że nie dojdzie do niczego między mną i Cole’em – nie pozwoliłabym na to, a on, jak się wydawało, nie zamierzał próbować – czułam się tak, jakbym miała na czole wypisane wielkimi literami:
PUSZCZALSKA.

Dwie sekundy później nadeszła odpowiedź: „Do dzieła, niegrzeczna dziewczynko! Podasz mi szczegóły jutro. PS: jeśli zobaczysz się ze Szronem, przekaż mu, że go nienawidzę!”.

Tak ochocza aprobata wywołała we mnie wyrzuty sumienia. Zawsze była dla mnie miła, zaakceptowała od pierwszego dnia znajomości. Tyle

byłam jej winna – nawet prawdę, bez względu na jej domniemaną reakcję.

– Postąpiłaś słusznie – oznajmił Cole, wyczuwając mój nastrój.

Wsadziłam komórkę do kieszeni i zacisnęłam dłonie na kolanach.

– Wiem.

Ale to zapewnienie nie poprawiło mi humoru.

Ujął moje palce, podniósł je do ust i ucałował.

– Nie martw się. Jesteś teraz częścią mojego świata. Nauczę cię, jak w nim przetrwać.

Część jego świata. Co to konkretnie znaczyło?

– Chcę przede wszystkim wiedzieć, czym są te istoty. Pytałam cię o to już dwukrotnie, ale nie wyjaśniłeś tego. Więc powiedz mi teraz. Oświeć mnie. Kim byli ci, z którymi walczyliśmy?

Tym razem milczenie trwało tylko chwilę. Potem wypowiedział jedno słowo. Tylko jedno. Ale zmieniło ono na zawsze moje życie – tak jak się tego obawiałam.

– Zombi.

Zombi. To złowieszcze słowo rozbrzmiewało raz po raz w moich myślach, kiedy stałam pod strumieniami gorącej i parującej wody w kabinie prysznicowej. Zmyłam z siebie krew i czarną maź, które mieszały się ze sobą i wirowały w kratce odpływowej. Bolał mnie dosłownie każdy mięsień. I teraz, kiedy adrenalina przestała krążyć, miałam wrażenie, że moje kości przybrały płynną postać.

Tylko siłą woli trzymałam się jeszcze na nogach. Potrzebowałam więcej informacji.

Zombi. Czym były właściwie?

Och, wiedziałam, co pisano w książkach i pokazywano w filmach. Żywe trupy, bezmyślne i łaknące ludzkiego ciała. Ale... wiedziałam teraz, że są nieludzkie. Człowiek nie mógł ich dotknąć. Były duchami – tak jak ja byłam duchem.

Właściwie jak stworzono duchy odznaczające się taką wrogością i złośliwością?

Czy byłam tu naprawdę bezpieczna? Czy zombi mogły w każdej chwili przeniknąć ściany łazienki i mnie zaatakować? Innymi słowy, jak trudno byłoby im podążyć za brudnym jeepem z dwoma smakowitymi sandwichami w środku?

Zanim uległam panice, przypomniałam sobie, że zombi podchodziły od czasu do czasu pod dom moich dziadków, a mimo to nigdy nie weszły do środka – co rodziło kolejne pytanie. Czy nie potrafiły wkroczyć do domu jakiejś osoby? Bądź co bądź, nigdy też nie weszły do mojego dawnego domu. Gdyby to zrobiły, na całej ulicy usłyszano by strzały oddane przez mojego ojca.

Jaka była rola Cole'a w tym wszystkim? On i jego przyjaciele walczyli z zombi, wiedziałam to. Ale co jeszcze? Byli tak biegli w temacie, że musieli robić znacznie więcej.

Pukanie do drzwi przerwało tok moich myśli.

– Ali? Nic ci nie jest?

Jego głęboki głos przyprawił mnie o dreszcz.

– Nie.

Uratował mi dziś wieczorem życie. Gdyby nie on, stałabym się pokarmem dla zombi.

– Pospiesz się, dobrze? Nie trzymałaś się pewnie na nogach i jeśli zemdlejesz, wtargnę tam i odstawię doktora.

I zobaczyłby mnie naga. Zakręciłam z miejsca wodę i wytarłam się ręcznikiem. Na pokrywie sedesu leżały różowe spodnie od dresu i biały top. Jakim cudem... Przeszukałam całą łazienkę, co nie było trudne, zważywszy na niewielką przestrzeń, gdzie mieściła się tylko toaleta, umywalka i prysznic. Nie było tych rzeczy, kiedy się rozbierałam.

Zaciskając zęby, sprawdziłam zamek, który przekręciłam, gdy tylko weszłam do łazienki. Drzwi były zamknięte.

Ktoś poradził sobie z zamkiem, zostawił mi ubranie, a potem znów zamknął drzwi jak należy. Nie trzeba było szczególnej przenikliwości, żeby rozwikłać tę zagadkę. Któż inny mógł być winowajcą, jeśli nie Cole? I nie chodziło tylko o przypuszczenie. Przez cały czas nosił przy sobie istny arsenał, przesiadywał w klubach przeznaczonych dla dorosłych i co noc walczył z potworami. Nie ulegało wątpliwości, że potrafi poradzić sobie z zamkiem przy drzwiach.

Ubrałam się, wysuszyłam włosy w miarę możliwości i dokonałam szybkiej inspekcji swojego odbicia w lustrze. Mogłam się tylko skrzywić. Zawsze byłam blada, ale teraz moja skóra wydawała się przezroczysta. Miałam podkrążone oczy – oczy, które były większe niż zwykle i pod

którymi widniały sińce. Szczeka po jednej stronie pokryta była szerokim zaczerwienieniem – pozostałość po upadku na beton, na który rzuciły mnie potwory.

Choć nie miałabym nic przeciwko kilogramom makijażu, suszarce i lokówce, plus profesjonalnemu styliście, który poradziłby mi, jak posługiwać się odpowiednio tym wszystkim, opuściłam w końcu względnie bezpieczne schronienie łazienki. Ruszyłam do przydzielonej mi sypialni, ciągnąc za sobą chmurę zapachu mydła. Pokój był mały, ale wygodny – czysta niebieska pościel, mnóstwo poduszek i...

Kto dbał o ten pokój? Cole stał jakiś metr ode mnie, ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Najwidoczniej i on się umył, na co wskazywały wilgotne i zaczesane do tyłu włosy. Zrezygnował z T-shirta i został tylko w czystych dżinsach. Nie miał nawet butów. Ale to nie jego stopy interesowały mnie w tej chwili.

Jego pierś była opalona na idealny brąz, pełna wzniesień mięśni i poznaczona labiryntem blizn. Niektóre wyglądały jak ślady zębów, inne jak ślady szponów.

Nosił też mnóstwo pięknych tatuaży, kilka miało postać wzorów, ale większość to były słowa wyklute pod obojczykami. Na każdej ręce widniała kosa, taka, którą trzyma zwykle kostucha – rękojeść narzędzia zaczynała się przy nadgarstku i sięgała aż do ramienia, ostrze zaś kończyło się na piersi, tuż nad imionami. Dostrzegłam też pasmo ciemnych włosów, które biegły od pępka i znikwały pod paskiem nisko noszonych dżinsów.

– Mam włożyć koszulę? – spytał z cieniem rozbawienia w głosie.

Nie będę się rumienić.

– Nie. – Wyświadczyłbyś światu przysługę, gdyby nigdy więcej nie wkładał koszuli, ale nie zamierzałam mu o tym wspominać. – Wyglądasz okay.

– Cieszę się, że tak uważasz.

No dobra, zaczerwieniłam się.

– To chciałam... to znaczy... Och, nieważne! – wyjąkałam. Byłam zbyt zmordowana, by silić się na błyskotliwość.

Parsknął śmiechem.

– Co znaczą te słowa? – spytałam, wskazując głową jego tors.

– To imiona – wyjaśnił, przesuwając palcami po linii tuszu. – Przyjaciół, których straciłem w walce z zombi.

Pomyślałam, że to dość niezwykły sposób, żeby uczcić czyjąś pamięć, i w tym momencie wiedziałam, że pewnego dnia każę sobie wytatuować gdzieś na ciele imiona moich bliskich.

– Pierwszego dnia w szkole Kat wspomniała, że dwaj chłopcy z twojej grupy zmarli w zeszłym roku na jakąś chorobę. Miało to związek z zombi?

Skinął głową.

– Zostali pogryzieni i nie mogli zwalczyć infekcji.

Poczułam w gardle lodowatą kulę.

– Ja też zostałam pogryziona.

– Tak, ale zdążyłem ci w odpowiedniej chwili zaaplikować antidotum, dzięki czemu nie musiałaś sama radzić sobie z toksyną. Pamiętasz to ukłucie w szyję, zaraz po tym, jak cię znalazłem? Nic ci nie będzie.

Rzeczywiście, pamiętałam ukłucie. Poczułam, jak gula w moim gardle rozpląta się stopniowo; zrobiło mi się cieplej.

– Jesteś pewien?

– Tak.

No to w porządku.

– Chodź. – Wyciągnął rękę. – Nie wątpię, że chcesz usłyszeć odpowiedzi na resztę swoich pytań.

Niezwykle zadowolona z takiego obrotu sprawy podeszłam do niego; spleliśmy palce. Dotyk odcisków i nagniotków na jego dłoni był uspokajający; przypominał mi o jego sile i umiejętności pokonywania wszystkich i wszystkiego, co mogłoby nam zagrażać.

Zaprowadził mnie do salonu, gdzie czekali już Szron, Mackenzie, Bronx i dwóch ludzi, których nigdy wcześniej nie spotkałam. Przerwali to, co akurat robili, i umilkli na mój widok jak zakłęci. Kiedy ich wzrok powędrował ku mojej dłoni, wciąż zamkniętej w uścisku ręki Cole'a, na ich twarzach pojawił się wyraz, jaki zapewne przybierają ludzie chorzy na wściekliznę.

Próbowałam wyswobodzić dłoń, ale Cole trzymał ją mocno. Uniósł brodę w odruchu nieudawanego uporu, co przypomniało mi... no cóż, mnie samą.

– Macie coś do powiedzenia? – rzucił wyzywająco pod adresem przyjaciół.

Bez wątpienia mieli. Rozmowa zaczęła przypominać szybką wymianę ognia.

Szron: Nie powinno jej tu być.

Cole: Może i nie, ale tu jest.

Nieznany chłopak numer dwa: Nic o niej nie wiemy.

Postanowiłam, że nazwę go „Szpikulcem”. Jego ciemne brązowe włosy sterczały na wszystkie strony, jakby wsadził palce w wyjątkowo złośliwy kontakt elektryczny.

Cole: Dowiemy się.

Mackenzie: Stanowi problem. Będzie paplać.

Cole: Daj spokój. Na dobrą sprawę musiałem wyciągać z niej torturami informacje, które i tak już posiadam.

Nieznany chłopak numer jeden: A co z tym pieprzeniem umysłu, który uskuteczniła w twoim przypadku?

Postanowiłam, że będę nazywać go Gnojkiem. Wyjaśnienia zbędne.

Cole: Okazuje się, że z nią zrobiłem to samo. Nie wiemy, co wywołuje te wizje ani dlaczego, ale oboje ich doświadczamy.

Szpikulec: I wierzysz we wszystko, co mówi?

Cole: Posłuchajcie, zostaje z nami i koniec.

Wszyscy pozostali: zrzęczenia i pomruki.

Zauważyłam, że Cole zignorował pytanie dotyczące wiary w to, co mówię.

– Dzięki za miłe przyjęcie – powiedziałam. – Naprawdę. Dużo to dla mnie znaczy.

Przysporzyło mi to kilka (więcej) gniewnych spojrzeń. Cole ścisnął mi dłoń, ale czy chodziło o pociechę czy ostrzeżenie, mogłam się tylko domyślać – i domyśliłam się, że chodzi o ostrzeżenie. Przyjaciele byli dla niego ważni; nie chciał, żebym się wymądrzała.

Jeszcze raz spróbowałam wyswobodzić dłoń z jego uścisku i jeszcze raz przytrzymał ją siłą godną imadła.

– Spróbuj tylko zwać – mruknął. – Ani mi się waż.

– Nie próbowałam zwać – odmruknęłam. – Chciałam tylko uwolnić rękę, żeby dać ci w twarz.

Starał się zapanować nad uśmiechem.

– Możesz zrobić to drugą ręką. Nikt jej nie trzyma.

– No cóż, już mi przeszło.

– No to mam szczęście.

– Nie wiesz nawet, jak wielkie.

– Właśnie uświadomiłem sobie pewien problem – oznajmił sucho Gnojek.

Problem ze mną? Och, wkurzyło mnie to.

– Niekoniecznie – odparłam, siląc się na spokój. – Albo mu ufacie, albo nie. – Ci ludzie byli jego przyjaciółmi, ale zgodzili się na jego przywódczą rolę. To oznaczało, że jego zdanie jest najważniejsze, koniec kropka. – Poza tym, czego się konkretnie obawiacie z mojej strony?

– Że powiesz ludziom, do czego jesteśmy zdolni – odparła Mackenzie.

Szron dodał jednocześnie:

– Że pokażesz im, gdzie chowamy broń, i doprowadzisz do jeszcze jednej gównianej sytuacji.

Gównianej?

– Owszem, plus to, że wpakuje nas w kłopoty natury prawnej – oznajmił Szpikulec.

Ktoś inny dodał:

– Wyjdziemy przez nią na wariatów i zamkną nas na dobre.

Ktoś inny dodał:

– Narazi nas na kpiny.

I wreszcie:

– Spieprzy sprawę i sprowadzi na nas całą bandę zombi.

Okay. Jak widać, cokolwiek bym powiedziała, nie rozwiałabym ich wątpliwości. Nie było nawet sensu próbować.

– Może się wyszkolić – oświadczył Cole. – I naprawdę jest już całkiem niezłym wojownikiem. Możemy ją wykorzystać.

Całkiem niezłym? Wykorzystać? Miłe. Wiedział, jak sprawić, by dziewczyna poczuła się wyjątkowa, co?

– Niedługo będę jeszcze lepsza. Zobaczycie. Szybko się uczę i jestem pełna zapału. Dajcie mi tylko szansę.

Hm, co właśnie powiedziałam? – zastanawiałam się zszokowana.

Jadąc do chaty, chciałam ukryć się raz na zawsze i nigdy więcej nie stawiać czoła zombi. Teraz jednak, kiedy zaczęłam się uspokajać, uświadomiłam sobie, że to, co przed chwilą padło z moich ust, było szczere. Patrząc na tych młodych ludzi, wiedząc, że chcą zrobić coś pożytecznego i że ja chcę zrobić coś pożytecznego, zapragnęłam do nich przystać. Byłam to winna swojej rodzinie.

Zewsząd dobiegły pomruki zwątpienia.

– Nie nadajesz się na zabójczynię – zauważyła Mackenzie.

– Nadaję się. – Może. – Nie widziałas mnie w akcji, to wszystko.

Cała grupa potrzebowała czasu, żeby to przemyśleć, bo w przeciwnym razie jedno z nich – albo wszyscy – powiedziałoby coś, czego nie dałoby się cofnąć. To samo dotyczyło i mnie. Zmieniłam pospiesznie temat. – Żeby nie zapomniała. Kat prosiła, żebym ci przekazała, że cię nienawidzi – zwróciłam się do Szrona.

Jego ciemne oczy przygwoździły mnie nieugiętym spojrzeniem.

Zniknęła gdzieś przyjacielska osobowość, do jakiej przywykłam w szkole.

– Co zamierzasz jej powiedzieć o dzisiejszym wieczorze?

Wspaniale. Otworzyłam właśnie puszkę Pandory.

– Nie zamierza wspomnieć ani słowem o zombi. To wszystko, co powinieneś wiedzieć – oznajmił Cole i pomimo protestów Szrona dodał: – Jeśli ma ci to poprawić humor, to oświadczam, że biorę całkowitą odpowiedzialność za Ali. A teraz dajcie nam trochę czasu. Muszę pogadać z nią na osobności.

– Na osobności? Nie bądź głupi – warknęła Mackenzie.

Ignorując ją, Cole pociągnął mnie za sobą, zmuszając wszystkich, by ustąpili nam z drogi. Potem posadził mnie na kanapie. Łagodnie, oczywiście, ale na tyle zdecydowanie, by mieć pewność, że nie pójdę sobie, dopóki mi na to nie pozwoli.

Przysunął stolik do kawy, potem usiadł na nim jak na krześle, unieruchamiając mi nogi między swoimi kolanami, i wlepił we mnie spojrzenie fioletowych oczu.

– Czego chcesz się na początek dowiedzieć?

Zaczekałam, aż Szron i Mackenzie pójdą razem do jednego z pokoi na tyłach chaty, a dwaj pozostali chłopcy opuszczą dom. Drzwi zatrzęsnęły się za nimi.

Udowodnię swoją wartość, obiecałam sobie. Przecież nie będą mnie tak traktować wiecznie.

– Ali... – przynaglił.

Pytania. Słusznie.

– Dlaczego nikt prócz nas nie widzi zombi? Dlaczego zombi nie widzą nikogo prócz nas?

Po parkingu kręciło się mnóstwo ludzi, a jednak potwory chciały dopaść tylko Cole'a i mnie.

Prócz... zaraz. Widziały moją matkę. Powiedziała mi kiedyś, że nigdy ich nie widziała, tylko skutki ich zła, a mimo to zauważyły ją i wyciągnęły z samochodu.

– Zombi są złe – stwierdził Cole. – Złe do szpiku kości. Nie ma w nich nawet odrobiny dobra, które chcą zniszczyć całkowicie. Pewnie dlatego, że przypomina im to, co straciły.

Zmarszczyłam brwi.

– Więc to my jesteśmy dobrzy?

– W każdym razie jesteśmy zdolni do dobra.

– Ale znam tysiąc innych ludzi, którzy są lepsi od nas... – To niemożliwe, że te słowa padły właśnie z moich ust. – ...to znaczy tysiąc innych ludzi, którzy są bardziej od nas zdolni do czynienia dobra, a mimo to zombi atakują właśnie nas.

– Ludzie tacy jak my, którzy je widzą, są dla nich jak magnesy. Wyczuwają nas, ulegają głosowi instynktu i zaczynają nas tropić.

– Ale polują też na zwykłych ludzi – zauważyłam.

– Tak. Wyczuwają strach równie łatwo jak nas, bez względu na to, kto tego strachu doznaje. Wyczuwają też inne negatywne doznania, choć nie tak skutecznie jak strach.

– Ale strach nie jest czymś dobrym, a powiedziałaś, że zombi chcą niszczyć tylko to, co dobre.

Potrząsnął głową, jakby litował się nad moją ignorancją.

– Chcą niszczyć dobro, ale przyciąga je to, co złe. Nie znaczy to, że nie zaatakują tego, co je przyciąga. Ma sens? Co więcej, dobro nie zawsze łatwo zniszczyć, czego dowiedliśmy dziś wieczorem. Zastanawiałaś się

kiedyś nad tym, w jaki sposób zombi zachowują siłę? Zjadając tych, których się tylko da, dobrych czy złych, tych, którzy je widzą i nie widzą, swoich zabójców i tych, którzy nimi nie są.

Ilekoć odpowiadał na jakieś pytanie, pojawiała się nowe.

– Ale nie mogą dostać się do naszych ciał, więc co dokładnie zjadają?

– Są duchami, zjadają cząstki ducha. Cokolwiek robią z duchem, manifestuje się w ciele, wywołując infekcję.

Ugryzienia znowu zaczęły mnie boleć, jakby chcąc przypomnieć o swoim istnieniu i o tym, że byłam bliska śmierci.

– Czy tak powstają inne zombi? I gdzie mieszkają? Dlaczego pojawiają się tylko w nocy?

Zastanawiał się przez chwilę, potem skinął głową, jakby podjął jakąś decyzję.

– Po kolei. Pierwsze pytanie, pierwsza odpowiedź. Tak, w ten sposób powstają. Infekcja u jednych ludzi rozwija się szybciej, u innych wolniej. Niektórzy potrafią ją zwalczyć sami i przeżywają. Większość umiera. Jeśli umierają, ich duch się uwalnia i z upływem każdej nocy będzie się wdrażał do nowego życia po śmierci.

– I nic nie można zrobić, by ich uratować?

– Po przekroczeniu pewnego punktu... nie.

– A to antidotum, o którym mówiłeś? – spytałam.

– Nie pomoże w pełni ukształtowanemu zombi, ale jeśli zaaplikuje się je dostatecznie szybko ludzkiemu duchowi, infekcja nie będzie mogła się rozwinąć i po prostu zaniknie.

– I jesteś pewien, że zaaplikowałeś mi to antidotum dostatecznie szybko?

– Mówiliśmy już o tym.

– I prawdopodobnie będziemy mówić o tym jeszcze z tysiąc razy!
Załatwmy to od razu.

Parsknął śmiechem, a na jego twarzy pojawiło się rozbawienie.

– Bliskie spotkania ze śmiercią przyprawiają cię o rozdrażnienie.
Dobrze wiedzieć.

– Cole! Bądź poważny!

Wciąż się uśmiechając, odparł:

– Tak. Jestem pewien, że zaaplikowałem ci antidotum
w odpowiedniej chwili. Nigdy nie robię niczego na pół gwizdka i nigdy
nie popełniam błędu.

Tak, naprawdę potrzebowałam podobnego zapewnienia. Przestałam
zaciskać palce na udach.

– Okay, więc jak naturalny lek wnika w nasze duchy, tam gdzie
zaczyna się infekcja?

– To nie jest naturalny lek, to duchowy lek i został on zaaplikowany
twojemu duchowi. Dopiero gdy zrobiłem ci zastrzyk, umożliwiłem ci
powrót do twojego ciała. I zanim zaczniesz mnie zasypywać kolejnymi
pytaniami dotyczącymi tego, co by się stało, gdybyś dostała lek po tym,
jak twój duch znów znalazłby się w twoim ciele, powiem tylko tyle, że jest
pewien sposób. To wszystko, co powinnaś w tej chwili wiedzieć.

– Wspaniale, ale nic z tego nie rozumiem.

Westchnął.

– Powiedziałem ci, że to, co manifestuje się w twoim duchu,
manifestuje się też w twoim ciele, prawda? Dlatego twoje ciało wygląda
tak, a nie inaczej, choć samo nigdy nie zadało ani nie otrzymało ciosu.

Dlatego to, co wstrzyknąłem w twojego ducha, przedostało się do twojego ciała.

Już lepiej.

– W porządku. Jak stworzono to duchowe lekarstwo?

Co krążyło teraz w moich żyłach?

– Mogę to opisać tylko w ten sposób, że jest ono rodzajem świętej wody. Jak powiedziałem, nie leczy zombi i nie zabija ich, ale rani. Jednak jest zbyt cenne, by marnować je w ten sposób, chyba że jest to absolutnie konieczne.

Oszołomiona, potarłam ramiona. Nie zdawałam sobie sprawy, że będę musiała się nauczyć tak wielu rzeczy. Skąd miałam wiedzieć, że obłąd, o który się podejrzewałam, byłby znacznie prostszy?

– Wracając do kwestii czasu – ciągnął. – Duch musi otrzymać odpowiednią dawkę w ciągu pierwszej godziny zakażenia. W jeepie są fiolki i strzykawki, noszę też jedną stale przy sobie, w kieszeni, wygląda jak ampułko-strzykawka. Też będziesz musiała taką nosić. Nigdy bez niej nie wychodź z domu.

– Nigdzie się bez niej nie ruszę – obiecałam solennie.

– Jeśli chodzi o to, gdzie zombi przebywają... no cóż, tworzą gniazda. Gnieźdzą się w jaskiniach, piwnicach, wszędzie tam, gdzie nie ma światła. Śpią w ciągu dnia, ponieważ ich oczy i skóra są zbyt wrażliwe na blask słoneczny. Twój duch lepiej sobie radzi w blasku dnia, ale nie nauczyłaś się jeszcze kryć przed ciekawskim wzrokiem, więc tego nie próbuj. Poza tym nie wyszkoliłaś odpowiednio zmysłów.

– Nie wiem nawet, jak mi się to udało dziś wieczorem!

– Popracujemy nad tym, obiecuję.

Nad tym i tysiącem innych rzeczy, jak miałam nadzieję. Chwilowo czułam się poważnie ułomna.

– Co od razu zauważyłaś, przebywając w tej postaci?

– To, jak bardzo było mi zimno – odparłam, drżąc na samo wspomnienie tego doznania.

– Właśnie. Bez ochronnej tarczy ciała doświadczamy skrajnego chłodu. Jesteśmy wrażliwsi. I nie wolno ci nigdy, podkreślam: nigdy, mówić, będąc w tej postaci, jeśli nie chcesz doprowadzić do tego, o czym mówisz.

Znowu mogłam tylko wymamrotać:

– Nie rozumiem.

– Tak jak istnieją zasady w sferze naturalnej, tak też istnieją w duchowej. Zorientowaliśmy się, że cokolwiek wypowiadamy, znajdując się w postaci duchowej, staje się dobre czy złe, dopóki nie narusza czyjejś wolnej woli i dopóki w to wierzymy. Jeśli powiesz na przykład „ten zombi mnie zabija” i będziesz przekonana, że faktycznie cię zabija, to bezwzględnie mu się to uda, a ty nie zdołasz go w żaden sposób powstrzymać.

Po tym wszystkim, co dotąd widziałam, nie powinnam wątpić w jego słowa, ale wydało mi się to trochę zbyt dziwaczne.

– Po prostu mówimy coś i to się dzieje?

– Tak. Czasem trochę to trwa, ale owszem. – Jego dłoń zacisnęła się na moim kolanie. – Zaufaj mi do czasu, aż ci to udowodnię, okay?

Zamiast powiedzieć mu, że musiałby się bardzo postarać, by mnie przekonać, skinęłam głową.

– Dobrze. Jeszcze jakieś pytania?

Jak miło. Oczywiście, że miałam pytania!

– Jak ich zabijałeś? Czym było to światło w twojej dłoni?

– Czysty ogień. Zombi ulegają dezintegracji, kiedy wchodzą z nim w przedłużony kontakt.

Przedłużony?

– Wydawało się, że trwa tylko kilka sekund.

– Stałaś z boku, więc nie miałaś właściwego poczucia czasu. Dlatego robimy wszystko, żeby najpierw pozbawić zombi mocy. Im mniej są zdolne do walki, tym łatwiej dotknąć ich piersi bez obawy, że pożą nam nadgarstki.

Poczułam podskórny dreszcz podniecenia.

– Czy będę zdolna wytworzyć taki ogień? – spytałam. Sama myśl o dysponowaniu podobnie skuteczną bronią przeciwko potworom... O, tak! Ali była zachwycona.

– Owszem, z czasem. No dobrze, odpowiem na jeszcze jedno pytanie – oznajmił. – Nie chcę cię za bardzo męczyć.

Za późno. Zastanawiałam się jednak przez chwilę, starając się wybrać coś odpowiedniego z nieskończonej listy potencjalnie ważnych kwestii.

– Dlaczego zombi nie wchodzą do naszych domów? Dlaczego ujawniają się raz na dwa tygodnie, mniej więcej? Albo, tak jak dzisiaj, co kilka dni?

– Komuś przydałyby się także lekcje z matematyki. To były trzy pytania.

Wzruszyłam ramionami.

– Lubię zaokrąglać.

Parsknął śmiechem, jakby od bardzo długiego czasu nie słyszał nic równie zabawnego.

– Jeśli wciąż nie straciłaś poczucia humoru, to jesteś w znacznie lepszym stanie, niż przypuszczałem. – Tym razem poklepał moje kolano w miły braterski sposób, co trochę mnie zirytowało. – Nie wchodzi do naszych domów, ponieważ tworzymy coś, co się nazywa Linia Krwi.

– A co to takiego?

– Kiedy rozlejemy wokół fundamentów domu mieszaninę chemikaliów, zombi nie mogą się przedostać do środka, bez względu na to, jak bardzo się starają.

Doskonale.

– Chcę...

– Mieszanina została już rozlana wokół twojego domu.

– Kiedy? – spytałam zdumiona. Zombi trzymały się z dala od domu moich dziadków przez całe lato, jeszcze nim spotkałam Cole'a.

– Od dnia, w którym cię poznałem.

Widzicie. Czas się nie zgadzał – nie zamierzałam też zastanawiać się nad tym, że Cole szukał mnie od pierwszego dnia w szkole. Zatem to ojciec musiał rozlać mieszaninę wokół domu dziadków w dniach, kiedy sam chodził do szkoły. Ale skąd o niej wiedział, czymkolwiek była?

– Co? – spytał Cole.

– Nic – odparłam, nie chcąc jeszcze ujawniać swoich myśli.

Przyglądał mi się podejrzliwie, ale nie poruszył więcej tematu.

– No dobra, wracając do twoich odwiecznych pytań. Myślę, że pozostało tylko jedno. Zombi wychodzą na świat tak rzadko, ponieważ muszą odpocząć i odnowić energię. Poza tym potrzebują trochę czasu, by mogły strawić to, co zjadły.

Trawiły dobro. Cóż za uroczy obraz.

– Teraz ja mam pytanie. – Zaczekał, aż skinęłam głową. – Chcesz z nimi walczyć? Wydaje się, że tak, ale muszę mieć pewność.

– Tak, chcę.

Bardzo chciałam. Im więcej się dowiadywałam, tym większą żywiłam pewność.

– Dobrze. Zamierzam cię jak najszybciej zaangażować. Każdej nocy kilkoro z nas patroluje miasto, na wypadek gdyby pojawiły się zombi. Inni w tym czasie trenują. Inni odpoczywają. Kiedy zombi wychodzą, wszyscy walczymy.

Byli tacy zorganizowani, tacy precyzyjni. Nie mogłam jednak sobie wyobrazić, by dziadkowie pozwolili mi na coś takiego.

– Zombi rosną w siłę, a nas jest coraz mniej, potrzebujemy więc każdej pomocy.

– I ufasz, że wam pomogę?

Żaden z jego przyjaciół mi nie ufał, a on unikał odpowiedzi na to pytanie, kiedy je postawili.

– Jestem gotów dać ci szansę.

Kolejny unik. Nieważne. Chciałam tego. Byłam gotowa.

– Spróbuję zrobić wszystko, by się sprawdzić – obiecałam.

– Jeśli masz problemy...

Wywaliłby mnie, bez względu na to, czy by mnie potrzebował, czy nie. No cóż, pora na drobne przypomnienie.

– W tych naszych wizjach widzieliśmy, jak się całujemy, i potem się całowaliśmy. Widzieliśmy, jak walczymy razem z zombi, i potem

walczyliśmy. To musi coś znaczyć.

Przestał mnie dotykać i odsunął się ode mnie możliwie daleko.

– Chcesz powiedzieć, że ujrzelśmy przelotnie przyszłość? Nawet jeśli to, co zobaczyliśmy, nie do końca odpowiadało temu, co się z nami stało?

Skąd ta nagła rezerwa?

– Dlaczego nie? Dziwniejsze rzeczy już się zdarzały.

Przeszył mnie spojrzeniem fioletowych oczu, sięgając samej duszy (albo ducha) i powiedział:

– Myślę, że przekonamy się z czasem. Sądzę, że masz się nad czym chwilowo zastanawiać. Może się trochę prześpisz, a rano znowu pogadamy.

*

Zła wiadomość: nie mogliśmy pogadać rano, ponieważ Cole zdążył już wyjechać. Nikt nie chciał mi powiedzieć dlaczego. Gorsza wiadomość: do domu odwiózł mnie Szron Nienawistnik. Jezu, miał na co narzekać.

Podróż zaczęła się w milczeniu. Powinnam była się nią cieszyć, dopóki jeszcze mogłam, ale przez cały czas studiowałam niebo. Zobaczyłam długie pasmo błękitu, miękko lśniące słońce, jedną chmurę, która przypominała kształtem czajnik, drugą, przypominającą kształtem fotel bujany, i trzecią, przypominającą kształtem...

Nie. Nie, nie, nie! Nie teraz. Nie dzisiaj. Nie z najlepszym przyjacielem Cole'a i sporadycznym chłopakiem Kat. Nie mogłam jednak zaprzeczać prawdzie. Z góry spoglądał na mnie tłusty biały królik.

Logika nakazywała zachować spokój, ale strach podpowiadał, że Szron spowoduje wypadek i zginie.

– Jedź wolniej! – wrzasnęłam, a w duchu zaczęłam się modlić:

„Drogi niebiański Ojczy, wiem, że nie zawsze wiodłam przyzwoite życie”.

– Wrzeszczysz mi do ucha. Bębenki mi pękna – mruknął.

„I bardzo mi przykro z tego powodu, Boże. Naprawdę”.

– Mówię poważnie. Zwolnij albo wyskoczę z samochodu. Przysięgam, że to zrobię.

„Ocal nas dzisiaj, a obiecuję poprawę”.

– Strasznie się przejmuję.

– Będę więc gadać bez przerwy, aż uszy ci odpadną, bo będą miały dość mojego głosu. I jest to jak najbardziej możliwe. Moje uszy kiedyś tego próbowały.

„Będę dozgonnie wdzięczna, Boże. Nikt nie będzie tak wdzięczny jak ja. Amen”.

Szron rzucił mi spojrzenie całkowicie pasujące do jego przydomku, ale też zwolnił.

– Zadowolona?

– Dzięki – odparłam, choć trudno mi się było odprężyć.

I wiecie co? Chwilę później dotarliśmy do mojego domu. Żywi.

„Dzięki Ci, Boże. Dzięki, dzięki”.

Szron zaparkował kawałek od domu moich dziadków i spojrzał na mnie.

– Cole mówi, że nie możemy się na ciebie wydzierać, więc mam nadzieję, że nie uszedł twojej uwadze spokój w moim głosie.

– Żartujesz?

– Nie żartuję.

Jakbym słyszała Cole'a. Rany. Nie mogłam uwierzyć, że zadał sobie dla mnie tyle trudu. Umknął bez słowa, prawdopodobnie po to, by uniknąć kolejnych pytań; jakby naprawdę przejmował się moim stanem. Musiałam jednak przyznać, że jestem bardzo ciekawa, co zrobiłby swoim przyjaciołom, gdyby naprawdę na mnie nawrzeszczeli... i pełna podziwu, że jego przyjaciele darzą go takim szacunkiem.

– Czy uświadomiłaś sobie, jak spokojnie z tobą rozmawiam? – spytał nieustępliwie Szron.

– Uświadomiłam.

Następnie zaczęły się groźby, że jeśli powiem komukolwiek o tym, co się stało, nawet Kat, to zostanę upieczona żywcem. Ziewnęłam z nudów. Właśnie przeżyłam jazdę samochodem, ujrzawszy złowieszczygo królika. Nie wspominając już o tym, że Szron był człowiekiem, nie zombi, i musiał słuchać Cole'a. Nie wierzyłam, by mógł wprowadzić te groźby w czyn.

– Już mi to mówiłeś – przypomniałam.

– To pozwól, że powiem ci jeszcze raz.

I tak też zrobił. Jeszcze trzykrotnie, a jego ton zmieniał się, przechodząc od ledwie tłumionej furii do protekcyjności.

Kiedy skończył trzecią rundę gróźb, spytałam:

– Dlaczego mi nie powiesz, co cię tak naprawdę dręczy? Najpierw wszystko było w porządku, a teraz nie możesz mnie znieść.

Przesunął dłonią po ciemnych blond włosach.

– Nie wiem, co mu zrobiłaś. To znaczy jesteś gorąca, owszem, i wydajesz się dość miła, ale on zwykle nie broni tak bardzo kogoś nowego. A te wizje, których wspólnie doznajecie, są dziwne. Chcę powiedzieć, że ci nie ufam. Mam złe doświadczenia z ludźmi takimi jak ty.

– Lepiej, żebyś przez „ludzi jak ty” rozumiał „wspaniałych i troskliwych”.

Szron parsknął w odpowiedzi, wreszcie spytał:

– To wszystko, co masz do powiedzenia? Po tym, jak ci nawrzucałem?

Nie bardzo wiedziałam, co mam sądzić o tym, że obaj, on i Cole, reagowali na mnie z takim samym sceptycyzmem.

– Tak.

– Ale z ciebie grzeczna dziewczynka.

Zrobiłam wielkie oczy w udawanym zdumieniu.

– Niemożliwe. Jesteś pewien?

Wzdychając ponownie, potarł się po nadgarstkach pokrytych tatuażami.

– Mackenzie miała rację. Nie nadajesz się na zabójczynię.

Nim zdążył zorientować się w moich zamiarach, wymierzyłam mu cios. Moje obtarte, spuchnięte kłykcie walnęły go w kość policzkową, a głowa poleciała na bok. Rękę przeszyła mi błyskawica bólu, ale ugryzłam się w język, by stłumić jęk.

– Czyżby?

Wysunął szczękę, potarł się po zaczerwienionej skórze i uśmiechnął się z wolna.

– Okay, rozumiem, dlaczego Cole cię lubi. Jesteś gorsza niż Kat. I nie śmiej pytać, czy uważam, że Cole lubi cię bardziej niż Mackenzie. Powinnaś wiedzieć, że nie mówię o jego uczuciach, jej uczuciach, twoich uczuciach ani o niczym, co miałyby związek z tymi bzdurami. Kapujesz?

Wiedziałam już, że daleko mi do normalności, ale ta sytuacja tylko to potwierdziła. Kiedy mówił, przeskoczyłam od „Kat” do „uczuć”, a potem do „bzdur” i poskładałam w całość zagadkę pod nazwą „Kat kontra Szron i Trina”.

– Domyślam się, że nigdy nie oszukiwałeś Kat. Byłeś... ranny tamtej nocy, kiedy do niej zadzwoniłeś?

– Tak. Ranny – powiedział tylko.

Przez przyciemniane szyby wpadały jasne promienie słońca, w których jego oczy migotały ogniem, podkreślając brąz i tłumiąc błękit. Dostrzegłam w ich kącikach zmarszczki świadczące o napięciu i zastanawiałam się, czy spał choć trochę minionej nocy. Pewnie nie. Miał włosy w nieładzie, i to nie tylko od przesuwania po nich dłonią, ubranie zmięte, jakby nie zmieniał go od dłuższego czasu.

Ja też nie zmrużyłam oka. Choć Cole zapewnił mnie, że chata jest dobrze strzeżona, każdy powiew wiatru szarpał mi nerwy. Chodziłam tam i z powrotem obok jedyne okna w mojej (prywatnej) sypialni i oczywiście nasłuchiwałam pod drzwiami. Co nie znaczy, bym cokolwiek usłyszała.

– Zadzwoniłeś do Triny zaraz po telefonie do Kat, ponieważ... – drążyłam.

Wydał z siebie cichy pomruk.

– Ponieważ ja i Trina walczyliśmy tamtej nocy z zombi. Ocalała mi życie i odniosła rany. Znacznie poważniejsze niż moje. Opiekowałam się nią, to wszystko.

Zaczęłam rozumieć. Szron był gotów pozwolić na to, by Kat myślała o nim jak najgorzej, był nawet gotów ją stracić, byle zachować sekrety grupy. Od tej chwili oczekiwano takiej samej lojalności ode mnie.

– No cóż, zeszłej nocy Kat prosiła mnie, bym ci przekazała, że cię nienawidzi. Nie kłamałam.

Nie powiedziałam tego, by go zranić, tylko dlatego, ponieważ miałam nadzieję, że w jakiś sposób się z nią dogada.

Drgnęły mu mięśnie szczęki.

– Kiedy Cole zadzwonił, żeby nas poinformować, co się dzieje, musiałem zostawić ją w samym środku naszej rozmowy. Nie była zadowolona.

Byłam pewna, że to niedomówienie. Kat wystroiła się dla niego, tańczyła z nim, całowała go. A to, co zrobił, było równoznaczne z porzuceniem dziewczyny w restauracji, jakby oczekiwał, że zapłaci za niego rachunek.

– Powiem jej, że musiałeś pomóc mnie i Cole'owi przy samochodzie.

Była to prawda, nie będąc jednocześnie prawdą. Zombi rzeczywiście sprawiły kłopoty z samochodem. Powinniśmy wsiąść do niego i zwiać natychmiast.

– Dobra, okay. – Przygarbił się z ulgą. – Możesz powiedzieć Kat, że ci pomogłem zeszłego wieczoru. Dzięki.

Nie był do końca zadowolony z mojej obecności w grupie, nie zamierzał cofać swoich gróźb, ale mimo wszystko pozwolił, żebym stanęła w jego obronie. Przypomniałam sobie nagle z satysfakcją, że nie zaprzyjaźniłam się z żadnymi chłopakami w swojej dawnej szkole. Sprawiali tyle kłopotu, że nie byli warci zachodu.

– Co więc stało się zeszłej nocy? Z... zombi? – Zająknęłam się przy tym słowie. Słyszając je w swoich ustach, poczułam strach. Dowodziło to, jak bardzo zmienił się mój świat. – Cole wspomniał, że nie należało się ich spodziewać.

Skąd na przykład wiedziały, że jesteśmy w klubie? Wiem, że potrafiły nas widzieć – tylko nas – ale przebywaliśmy wewnątrz budynku. Nie mogły przecież przeniknąć wzrokiem cegieł, prawda? Czy może

wykorzystały inne zmysły? Wyczuwały nasz zapach?

– I dlaczego my je widzimy? – dodałam.

– Z Cole'em też się tak zachowywałaś, panno Ciekawska? Jezu. – Wzruszył wielkimi ramionami. – Kazał mi odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania, więc dobrze, odpowiem, ale nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Spróbuj.

– Dlaczego je widzimy? No cóż, a dlaczego Cole urodził się z fioletowymi oczami? Dlaczego masz włosy o tak bladym odcieniu? Po prostu tacy się rodzimy.

– Ale nie widziałam zombi, dopóki nie umarł mój ojciec.

– Czasem potrzeba jakiegoś traumatycznego wydarzenia, by ta umiejętność przebudziła się w człowieku. Inni potrafią wejrzeć w sferę ducha od urodzenia. Nie wiemy, dlaczego tak się dzieje.

– A jak było w twoim przypadku?

Milczał przez chwilę z zaciśniętymi zębami, dając mi do zrozumienia, że nie chce w gruncie rzeczy odpowiadać. Ale czy odpowiedział? Tak.

– Od urodzenia. Jednak Bronx jest taki jak ty. Jego matka była narkomanką i kiedy miał osiem lat, zmęczyła się opieką nad synem i porzuciła go na poboczu drogi. Musiał iść sam w zimnie i ciemności. Strach przełamał wszelkie bariery, które nie pozwalały mu widzieć zombi.

Ogarnęło mnie tak bolesne współczucie, że aż ścisnęło mi się serce. Szron musiał zmagać się z tym szaleństwem przez całe życie, a Bronx zaczął widzieć potwory jako ośmiolatek. Był w wieku Emmy, gdy matka zrzekła się wszelkiej odpowiedzialności wobec niego. Nic dziwnego, że obaj chłopcy sprawiali wrażenie twardych jak stal. Nic dziwnego, że Szron nie chciał mi ufać, a Bronx nigdy nie odezwał się do mnie słowem.

– A co z rodzicami Cole’a? Czy oboje widzą zombi?

W jego oczach błysnęło coś zagadkowego.

– Jego tata.

A więc jego tata widział... i mój tata też widział... ale różnice w naszym wychowaniu były zadziwiające. Jego ojciec odznaczał się zapewne mocą, autorytetem. Mój poddał się strachowi, porażce.

– Jak się wszyscy odszukaliście? Zombi to nie jest temat, który porusza się na pierwszym spotkaniu.

Przesunął językiem po wargach.

– Tak jak zombi ciągnie do nas, tak i nas ciągnie jedno do drugiego. Po tym, co Cole powiedział mi o waszym pierwszym spotkaniu w szkole, wiesz dokładnie, o czym mówię.

– Ale powiedział też, że nikt inny nie doświadczył czegoś takiego.

– Nie do tego stopnia. – Zerknął na zegarek, którego nie nosił. – Rany. Zobacz, która godzina. Muszę lecieć.

Och, nie. No dobra, niech będzie. Zrozumiałam aluzję.

– Idziesz dziś wieczór na przyjęcie do Reeve? – spytałam, odpinając pas.

– Może. Ktoś musi chronić Cole’a.

Ostro.

– Ostatnie pytanie. – Wsiadłam z samochodu na słoneczny blask. Nachylając się do okna i uśmiechając słodko, rzuciłam: – Chcesz, żebym pomogła Kat znaleźć nowego chłopaka?

Zatrzasnęłam drzwi, uniemożliwiając mu skutecznie odpowiedź.

Ruszył z piskiem opon i zniknął w głębi ulicy. Mógł się zachować gorzej.

Zadowolona, że to do mnie należało ostatnie słowo, weszłam do domu. Ku jeszcze większemu zadowoleniu stwierdziłam, że moi dziadkowie zajmują się ogródkiem, i przedostałam się do pokoju niezauważona. Oznaczało to, że mogę przespać się kilka godzin dla urody, zanim zaczęliby mnie grillować w sprawie czasu spędzonego poza domem. Napisałam im karteczkę, że nie zmrużyłam oka przez całą noc – prawda! – i poszłam na górę zdrzemnąć się trochę.

W połowie odpoczynku zabręczczała moja komórka, sygnalizując wiadomość. W spodniach od dresu była kieszeń i tam właśnie schowałam telefon. Spojrzałam na ekran i poczułam, jak drżą mi nogi.

C. Holland oznajmiał: „Zobaczymy się dziś wieczorem. Ukryj broń w swoim pokoju. Nigdy nie wiadomo, kiedy się może przydać”.

Broń. Wątpiłam, czy chodziło mu o kij do baseballu, który trzymałam pod ręką. Biorąc pod uwagę to, jak rozprawiał się z zombi, mógł mieć na myśli tylko noże.

To całkiem nowy świat, Bell. Lepiej przywyknij do tego. Poczłapałam do kuchni, wzięłam po cichu dwa największe ostrza, plus dwa mniejsze i zaczęłam się modlić, by babcia nie zauważyła ich braku albo nie znalazła ich w mojej sypialni. Bóg wie, co mogłaby sobie pomyśleć.

Zastanawiałam się pół godziny, gdzie je ukryć, i w końcu jeden schowałam pod poduszkę, gdzie mogłam łatwo sięgnąć, drugi w garderobie, trzeci przy drzwiach, czwarty pod stosem książek obok okna.

Zbyt rozbudzona, by oddać się drzemce, usiadłam do komputera, zamierzając poszukać czegoś o zombi, ale drobne obrażenia i zadrapania nie pozwoliły mi siedzieć nieruchomo. Rozbudzona czy nie, odczuwałam mimo wszystko wyczerpanie. Słowa na ekranie monitora zaczęły zlewać się ze sobą.

W tym momencie przypominałam sobie, co zwykle mówiła mi mama. Bez względu na stan umysłu, musisz znaleźć sposób, by się naładować.

Ziewając, położyłam komórkę na stoliku nocnym, wgramoliłam się na łóżko i okryłam kołdrą. Stwierdziłam ku swemu zdumieniu, że mój umysł uspokaja się z miejsca, i zapadłam w głęboki, głęboki sen, którego nie nawiedzały żadne koszmary. Może sam fakt, że w końcu odnalazłam jakiś cel, pomógł mi odzyskać spokój. Może uwolnił mnie w jakimś stopniu od poczucia winy, które prześladowało mnie bezustannie od wypadku. Bądź co bądź przeżyłam, podczas gdy reszta mojej rodziny zginęła, a ja marnowałam życie, nic nie robiąc, tylko się zamartwiając. Aż do teraz.

A teraz miałam się nauczyć, jak zamieniać zombi w popiół. Miałam robić coś istotnego. Miałam ratować inne rodziny przed cierpieniem, jakiego sama doznałam.

Było mi niemal żal zombi. Niemal. Nigdy wcześniej nie odczuwałam takiej determinacji. Nie miały ze mną żadnych szans.

*

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – wychrypiałam, starając się unieść sklezione powieki. Trudno powiedzieć, jak długo spałam, ale wiedziałam, że potrzebuję jeszcze ze stu godzin, by chociaż pomyśleć o opuszczeniu przytuliska, jakim było moje łóżko.

Do pokoju zajrzała babcia. Lśniące ciemne włosy spięta w luźny koński ogon, makijaż też był bardzo delikatny, ale nawet w tym wieku niewiele potrzebowała. Wydawało się, że jej skóra promienieje tego dnia, a ona sama pulsuje żywotnością. Po raz pierwszy dostrzegłam w niej swoją matkę. Bezczasowe piękno, łagodność.

– Kocham cię, babciu – wyznałam, uwalniając słowa, których odmawiałam matce.

Jej oczy od razu rozbłysły łzami, a rzęsy pokryły się wilgocią.

– Ja też cię kocham. Bardzo. – Odchrząknęła, jakby się bała, że rozklei się na dobre. – Więc ty i Kat przesiedziałyście całą noc, tak?

– Tak – odparłam, mając ochotę powiedzieć coś, co wywołałoby uśmiech na jej twarzy. – Przesiedziałyśmy całą noc, walcząc na poduszki!

– Może następnym razem położysz się o przyzwoitej godzinie.

– Wątpliwe – mruknęłam. Pomyślałam, że prawdopodobnie nie będzie następnego razu. Od tej pory miałam poświęcać wieczory Cole'owi i walce z zombi.

– Pamiętam te czasy – oznajmiła z tęsknym westchnieniem. – No dalej, dzieciaku. Czas wstawać. Obiad na stole.

– Zejdę za minutę na dół, obiecuję.

– Nie później niż za dziesięć – zastrzegła, a surowa zmarszczka na jej czole zniknęła pod blaskiem szczęścia, które z niej biło. Zamknęła za sobą drzwi, zostawiając mnie samą.

Przeciągnęłam się, skrzywiłam, kiedy moje obolałe mięśnie i obrażenia zaprotestowały, i chwyciłam telefon. Czekały na mnie trzy wiadomości.

Przetarłam zaspane oczy i zobaczyłam, że pierwsza jest od Kat, alias Miau. „Obiecałaś szczegóły!”

Druga też była od Kat. „Gdzie moje szczegóły?”

Trzecia była od Justina. Nie wklepałam wcześniej jego numeru, więc nie rozpoznałam nadawcy, ale wiedziałam, że to on – za sprawą pytania: „O której mam cię zabrać?”.

Spytał mnie raz, czy umawiam się z Cole'em, a ja powiedziałam, że nie. Odpowiedź wciąż brzmiała tak samo. Ale... Zawsze jest jakieś „ale”, nieprawdaż? Zeszłego wieczoru niemal kochałam się z Cole'em na

parkiecie. Walczyliśmy ramię w ramię z zombi, poza tym wprowadził mnie do swojej grupy. Odpowiedział na kilka moich pytań i zamierzał odpowiedzieć na jeszcze więcej (lub tak twierdził). Ochronił mnie przed gniewem swoich przyjaciół. Może był gotowy chodzić ze mną.

Czy zgodziłabym się, gdyby spytał mnie o to? Lepsze pytanie: czy byłam gotowa na związek z facetem takim jak on?

Przed tą historią z zombi zdecydowałam: nie. Potem... Musiałam zmienić zdanie, jak sobie uświadomiłam. Omal nie umarłam. Nie wiedziałam, ile mi jeszcze czasu pozostało. Musiałam przeżywać życie w pełni, dopóki jeszcze miałam szansę.

Odznaczał się większym doświadczeniem i władczą osobowością, przed którą powinnam mieć się bezustannie na baczności. Myśl o tym, że z nim będę, przerażała mnie w takim samym stopniu, co fascynowała, ale gdybym mu się podobała, to bym się zgodziła. Miałam dość sytuacji, w której strach określał moje życie.

Nie zamierzałam dać zombi powodów do radości.

Ale gdyby Cole mnie nie chciał, to trudno. Przeżyłabym. Pewnie, płakałabym z tego powodu przez kilka dni (no, może tygodni), ale dałabym sobie radę. Świat się na nim nie kończył. Zgadza się?

Stękając, zwlokłam się z łóżka, uczesałam i włożyłam świeże ubranie. Posłałam Kat krótką wiadomość: „Szczegóły później. Obiecuję”.

A Justinowi: „Co powiesz na 8?”.

Pozostało mi zbyt mało czasu z wyznaczonych dziesięciu minut, by czekać na ich odpowiedź, więc zeszłam do kuchni na obiad. Tego dnia babcia podała chleb żytni z indykiem i frytki. Wystarczyło, że tego powąchałam, a zmieniłam się w wygłodniałą bestię; napływała mi ślina do ust, a w brzuchu burczało.

Pochłonęłam swoją porcję bez tchu.

– Rany! – Dziadek patrzył na mnie z drugiego końca stołu takim

wzrokiem, jakby mi nagle wyrosły na głowie rogi. – Nigdy nam nie mówiłaś, że tak bardzo lubisz kanapki.

– Mogę robić na śniadanie sandwicze z szynką i serem szwajcarskim – zaproponowała babcia, po czym zmarszczyła brwi. – Co się stało z twoimi nadgarstkami i dłońmi?

Wytarłam musztardę z górnej wargi, starając się zrobić to jak prawdziwa dama.

– Z moimi dłońmi? – Przyjrzałam się zadrapaniom, sińcom i opuchliznom i miałam głęboką nadzieję, że wyglądam spokojniej, niż się w rzeczywistości czułam. – Ach, to. Upadłam.

Znowu prawda, która nie była do końca prawdą.

– Można by pomyśleć, że komuś przyłożyłaś – oznajmił dziadek, też marszcząc brwi.

– Zna się na tym – dorzuciła babcia, kiwając głową. – Twój dziadek był za młodu bokserem. Najbardziej seksowna rzecz, jaką w życiu widziałam, mówię ci. Nosił te krótkie spodenki, a po jego owłosionej piersi spływał pot.

Obrzydliwość!

Wymienili pełne czułości spojrzenia, nim dziadek zwrócił się do mnie:

– Ali? Jak było naprawdę?

– No, hm, upadłam, słowo daję. I mam dzisiaj wieczorem randkę. No cóż, może nie randkę, ale spotkanie z przyjacielem. – Pomyślałam, że jeśli nie złapię ich na tę zmianę tematu, to nie wiem, co zrobić. – Z chłopakiem ze szkoły.

– Randka? – Dziadek skubał brzeg swojej gęstej, srebrzystej brwi. – Dokąd cię zabiera? O której wrócisz do domu?

– A jeśli zechce uprawiać z tobą seks? – wtrąciła zniecierpliwiona babcia. – Czy matka rozmawiała z tobą o seksie?

O nie. Tylko nie pogadanka o seksie. Błagam, tylko nie to.

– Tak, mama rozmawiała ze mną. – Dalej. – Dziewczyna ze szkoły, Reeve, ma basen, spotkamy się tam całą grupą. Kat mnie jej przedstawiła i obiecuje wam, nie będę z nikim uprawiać seksu.

Samo wymawianie tego słowa w ich obecności wprawiało mnie w głębokie zażenowanie. I wiecie co jeszcze? Po tym wszystkim, co wydarzyło się ostatniej nocy, było to dziwne siedzieć tutaj, jeść obiad z rodziną i prowadzić rozmowę, jaką prowadziły zapewne tysiące innych nastolatków.

– Reeve. – Dziadek wysunął ironicznie wargi. – Brzmi jak wymyślone imię. Co ma być właściwie grane na tym przyjęciu? Jej rodzice tam będą?

„Grane”. Znowu slang u tego uroczego człowieka.

– Będziemy pływać, rozmawiać, prawdopodobnie grać na komputerze i w ping-ponga – wyjaśniłam, pomijając tę część dotyczącą rodziców. Nic jeszcze nie powiedzieli, ale spodziewałam się zdecydowanego „nie”.

Popatrzył na mnie przenikliwie.

– Chyba nie padniesz tam trupem?

Nie miałam pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Trupem?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz, młoda damo – powiedziała babcia. – Nie padniesz trupem. Nie nawalisz się. Nie ubzdryngolisz.

– To znaczy, że się nie upiję? – Błagam, żeby to właśnie mieli na myśli. Ta rozmowa i tak już przybierała zbyt często koszmarne zwroty.

Dziadkowie skinęli zgodnie głowami, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Nie – zapewniłam. – Obiecuję. Żadnego picia.

Jeśli o mnie chodzi, dodałam w myślach. Bóg jeden wie, co zamierzali robić inni, kiedy już napiją się tequili z czyjegoś pępka.

– Wobec tego w porządku. Zaufamy ci. Chyba że dasz nam powody do czegoś przeciwnego – dorzuciła babcia surowym matczynym tonem. – Ale będziemy chcieli poznać tego chłopca i porozmawiać z nim, zanim cię zabierze na przyjęcie. Rozumiesz.

Powstrzymałam się od tego, żeby dać wyraz wyrzutom sumienia i przełknąć niezręcznie ślinę, choć bardzo chciałam.

– Dziękuję. Jest miły, wierzcie mi. Ale nie jesteśmy sobą zainteresowani w ten sposób.

– To dlaczego z nim wychodzisz? – spytała babcia, najwyraźniej zmęczona moją nieustępliwością.

– Bo mnie poprosił.

– Manipulujesz nim?

– Nie!

– Pytamy, bo się martwimy. – Otrzeпаła dłonie, okruchy poleciały na wszystkie strony. – No dobrze. Ile prezydentów potrzebujesz?

Dopiero po chwili zdołałam to rozszyfrować.

– Może kilka... Waszyngtonów? – odparłam w tym samym stylu, żeby sprawić im przyjemność. Byli tacy dobrzy. Przyjęli mnie pod swój dach. Ofiarowali mi dom i dali utrzymanie. I pozwolili opłakiwać rodzinę na własny, indywidualny sposób.

Dziadek wyjął portfel.

– A jeśli chłopak zostawi cię samą w restauracji? Przecież wybieriecie się do jakiegoś lokalu, prawda? Dam ci kilka Lincolnów.

Wyjął z portfela trzy pięciodolarowe banknoty, wsunął mi je w dłoń i zacisnął na nich moje palce.

– Nie idziemy na kolację.

– Co to za chłopak, który zaprasza dziewczynę na przyjęcie i nie funduje jej wcześniej kolacji? Nie chciałabym się z takim umawiać, wierz mi – oświadczyła babcia.

Niech ktoś mi pomoże.

– Nie umawiamy się na randkę!

Mieli jeszcze kilka pytań dotyczących przyjęcia – czy zamierzam pływać w basenie na golasa, grać w rozbieranego albo nago w ping-ponga – przyprawiając mnie tym samym o palący wstyd i zażenowanie. W końcu zdołałam ich jakoś przekonać, że jestem zdecydowana pozostać w ubraniu, ustaliliśmy też godzinę powrotu, czyli wpół do pierwszej. Umówiliśmy się też, że zadzwonię, jeśli Justin będzie zbyt „natarczywy”.

Podobało mi się, że myślą o mnie i się martwią, ale do diabła, było to też w pewnym sensie bolesne. Nigdy nie doświadczyłam tego z rodzicami, ponieważ nigdy nie wychodziłam z domu. Nie uświadamiałam sobie, jak cenne są takie rozmowy, dopóki nie było za późno.

Po powrocie do pokoju miałam wreszcie okazję zająć się tematem zombi, nie bojąc się, że zasnę. Większość informacji, jakie znalazłam, pochodziły z filmów, literatury pięknej, magazynu o randkach z ożywionymi trupami i scenek, które mnie zbrzydziły do reszty, zwłaszcza że wciąż miałam w myślach tego nieszczęsnego ping-ponga. Nie było tam niczego, co mogłabym potraktować poważnie, ale znalazłam kilka for, na których ludzie zastanawiali się, czy zombi istnieją, czy też nie, co należy zrobić, kiedy się je spotka, i czy wstanie z grobu jest możliwe.

Nic nie odpowiadało temu, o czym powiedzieli mi Szron i Cole, a to dowodziło dwóch rzeczy. Albo skrywaliśmy najpilniej strzeżony sekret na świecie, albo nie znalazłam właściwych stron w internecie. Skłaniałam się ku tej drugiej możliwości. Nawet mój tata zdołał wyszukać stronę z okrucami prawidłowych informacji. Przeczytał, że broń palna nie może zaszkodzić zombi; tyle że w to nie uwierzył.

Zamykając laptopa, zauważyłam zdjęcie Emmy i dziennik, który zostawiłam wcześniej na podłodze garderoby. Babcia robiła pewnie porządki i położyła jedno i drugie na biurku. Posłałam Emmie całusa, a potem wzięłam do ręki oprawiony w skórę notatnik.

Jak mogłam o nim zapomnieć, choćby na chwilę? Właśnie z niego dowiedziałam się o duchu, duszy i ciele, jeszcze zanim Cole mi o tym powiedział. Może to było właśnie źródło, z którego ojciec czerpał informacje.

Pełna niespokojnego wyczekiwania, otworzyłam książeczkę i zaczęłam czytać w miejscu, w którym przerwałam poprzednio lekturę.

„Przez całe życie potrafiłem dostrzegać wśród nas zło, ale nauczyłem się je zwalczać znacznie później, i stało się to przez przypadek. Próbowałem posługiwać się nożem – nic. Próbowałem strzelać – nic. W końcu, kiedy potwory mnie otoczyły, tak bardzo chciałem je zniszczyć i w głębi duszy wiedziałem, że mogę tego dokonać. Nie wiedziałem po prostu jak. Po krótkiej chwili jednak duch opuścił moje ciało (później miałem się dowiedzieć, że to cud zwany wiarą jest przyczyną tego rozdzielenia. Można odnaleźć ją przypadkowo i przekonać się o tym dopiero potem). Nagle byłem w stanie dotknąć złych istot, które wcześniej tylko widziałem, a one mogły dotknąć mnie.

Potem stały się jeszcze bardziej zdeterminowane, by się ze mną rozprawić. Polowały na mnie jak na zwierzynę łowną. Uciekałem przez jakiś czas. Ale one zawsze podążały za mną, moje światło przyciągało ich ciemność.

Musiałem się nauczyć, jak zastawiać na nie pułapki”.

Naucz mnie! – pomyślałam z dreszczem podniecenia.

„Jeśli posiadasz zdolność ich widzenia, to powinieneś posiadać też inne zdolności. Znacznie rozwinięty zmysł powonienia. Wewnętrzny sygnał, kiedy zbliża się zło. Ognistą dłoń”.

– Pierwsze: zgadza się. Drugie: może się zgadza. Trzecie: jeszcze nie wiem – mruknięłam.

„Wszyscy powinniśmy posiadać te umiejętności, ale niektórzy zabójcy nie chcą poddać się mocy, która w nich krąży. Dlaczego? – zastanawiam się zawsze. Strach?”

Możliwe, że się zgadza.

„Och, gdybyśmy tylko wszyscy poddali się tej mocy! Jest jeszcze więcej umiejętności, którymi można się odznaczać, o wiele więcej”.

Jak wizje, które dzieliłam z Cole’em, być może.

„Ale w porządku. Teraz cię słyszę. Chcesz zrobić coś łatwego. No dobrze. Mów. Jest w naszych słowach siła, kiedy całkowicie wierzymy w to, co wypowiadamy, a siła ta jest dostępna nawet w tym rzeczywistym świecie. Istnieje energia, która tworzy wszystko, co jest wypowiedziane bez najmniejszych wątpliwości, dzięki czemu nasze słowa stają się naszą bronią, ale jeśli nie będziemy ostrożni, staną się bronią wymierzoną w nas samych.

Jak wszystko inne, nauka ta drogo mnie kosztowała.

Ale teraz cię słyszę. Jeśli jest tyle mocy w naszych słowach, to powinniśmy za ich sprawą zniszczyć zombi, prawda? Błąd! Zakres siły, jaką dysponujemy dzięki słowom, wyrasta z mocy naszej wiary. Czy możesz mi szczerze powiedzieć, że wierzysz, i to z całego serca, że kiedy mówisz na przykład: »Wszystkie zombi zostały pokonane, nie ma ich« – to tak się właśnie stanie? Nie, nie możesz. Nie wierzysz, by było to możliwe”.

Cole wspomniał już o tej kwestii z mówieniem i choć w pierwszej chwili wzbudziło to we mnie wątpliwości, zyskałam teraz potwierdzenie.

Pomyślałam, że muszę bardziej otworzyć umysł na tę kwestię.

„Co więcej, możemy wierzyć tylko za siebie. Nie możemy wierzyć za innych. Możemy strzec samych siebie, ale nie zawsze możemy strzec innych. I czasem to, co mówimy, potrzebuje czasu, by się zmanifestować. Ile masz w sobie cierpliwości? Jak długo potrafisz wierzyć, zanim zaczniesz wątpić? Wątpij, choćby odrobinę, a sprawisz, że twoje słowa zostaną pozbawione mocy.

Co do innych umiejętności...”

Próbowałam czytać dalej, tylko że dalszy tekst został napisany jakimś szyfrem. Mruknęłam niezadowolona; z trudem się powstrzymałam, by nie cisnąć dziennikiem o ścianę. Nic nie wiedziałam o szyfrach, nie mogłam też uwierzyć, że matka cokolwiek o nich wiedziała. Kto więc napisał ten dziennik i jak matka go zdobyła?

Może Cole potrafiłby to rozgryźć, ale z drugiej strony niekoniecznie. Nie zamierzałam go pytać.

On i jego przyjaciele nie ufali mi jeszcze w pełni, nie wiedziałam zresztą, co pomyśleliby o moim znalezisku. Doszliby do wniosku, że to jakiś falsyfikat? Coś, co ma ich wprowadzić w błąd? Zdekoncentrować? A może próbowaliby mi odebrać dziennik?

Okay, ja także nie ufałam im w pełni.

Wciąż zamierzasz się zgodzić, jeśli Cole cię dokądś zaprosi, tak?

No cóż, owszem. Coś, czego już się nauczyłam: prawdziwe życie wymaga ryzyka.

Odezwała się moja komórka. Zrobiłam to, co w takiej sytuacji robi każdy bez wyjątku człowiek na świecie: uznałam, że wszystko inne może poczekać, odłożyłam dziennik na bok, i wzięłam telefon do ręki.

Kat: „Chyba uwielbiasz dręczyć ludzi. POWIEDZ MI TERAZ!”.

Zauważyłam, że umknęła mi poprzednia wiadomość.

Justin: „W porządku. Będę na czas”.

Najpierw zajęłam się Kat. Napisałam jej, że owszem, spędziłam noc z Cole’em, ale tylko rozmawialiśmy. Tym razem była to prawda i tylko prawda. Kat sprawiała wrażenie rozczarowanej, mówiąc delikatnie. A kiedy dodałam, że miał kłopoty z samochodem i że Szron musiał nam pomóc, przestała esemesować.

Justinowi przekazałam, że bardzo się cieszę na spotkanie, co także było prawdą, z drugiej jednak strony musiałam się modlić, by nie zrozumiał moich słów opacznie. Dziadkowie zaszczepili mi paranoiczny strach, że rzeczywiście nim manipuluję.

Potem musiałam rozważyć to, co Cole i jego chłopcy i dziewczęta z piekła rodem pomyślą o moim związku z Justinem. Stanowili tak zamkniętą grupę. Ludzie z zewnątrz nie byli mile widziani i wszyscy o tym wiedzieli. Łącznie ze mną! Przyłączając się do nich, musiałabym zapewne wykluczyć wszystkich innych ze swego życia. Lubiłam Justina, ale nie opłakiwałabym jego straty. A co z Kat? Czy i ona zniknęłaby ostatecznie z mojego życia? Zniknęła z życia Szrona.

Naprawdę ją lubiłam, i to bardzo. Była zabawna, pyskata, ekscytująca. Znała swoją wartość i nie bała się o tym mówić innym.

Nie martw się o to teraz. Postanowiłam, że tego wieczoru będę się bawić, jakbym była normalną, przeciętną dziewczyną. Ostatecznie nie musiałam już zadawać Cole’owi pytań; znałam odpowiedzi. Mogłam pobyć trochę z Justinem i poznać go lepiej. Mogłam spotkać się z Kat i pośmiać razem z nią. Spotkałabym się też z Cole’em i... kto wie? Czułam, że nazajutrz wszystko się zmieni.

Wtedy zmierzę się z konsekwencjami, pomyślałam.

Justin zjawił się punktualnie. Na czas. Innymi słowy, na czas grillowania. Ku memu najwyższemu zażenowaniu dziadkowie zaczęli go przesłuchiwać, jakby byli policjantami, a on zatwardziałym kryminalistą. Mogłam się tylko przyglądać z przerażeniem i przepraszać z całego serca.

Tak to przebiegało:

Dziadek: Plany na przyszłość?

Justin: Jeszcze niesprecyzowane.

Dziadek: Niby dlaczego? Niedługo koniec szkoły, chłopcze. Teraz jest pora, by się zdecydować, nie później. Nikt ci nie powiedział, że tak ważnej sprawy nie należy odkładać na później?

Justin: Proszę mi wierzyć, robię wszystko, co w mojej mocy, by się zdecydować.

Dziadek: „Robię wszystko, co w mojej mocy” to ulubione powiedzenie nieudaczników. Może trzeba stać się mężczyzną i wreszcie zdecydować?

Ja: Dziadku! To niegrzecznie tak mówić. Przepraszam, Justin.

Wiedziałam, że to wszystko dla mojego dobra, że dziadkowie martwili się o mnie i nie chcieli, bym skończyła z kimś takim jak mój tata, że próbowali zastraszyć Justina, by ten nie próbował robić tego, czego nie powinien robić, ale mój Boże, to była gruba przesada.

Dziadek: Co? Jakim cudem istotne pytanie może być niegrzeczne? No dobra, świetnie, zmienię temat, jeśli chłopczyk nie potrafi znieść krytyki. Jak dokończysz za mnie to zdanie, Jason? Kiedy dziewczyna mówi „nie”, to ma na myśli...

Justin, patrząc na mnie rozpaczliwie: Nie?

Babcia: Nie jesteś pewien?

Justin, przestępując nerwowo z nogi na nogę: Jestem pewien. Nie znaczy nie.

Babcia: No, popatrz tylko. Na jedno pytanie odpowiedziałeś prawidłowo. A teraz następne, które jeszcze trudniej będzie ci dokończyć. Seks przedmałżeński jest...

Ja: Babciu! Przepraszam, Justin.

Babcia: W przeciwieństwie do dziadka nie zamierzam zmieniać tematu. Justin?

Dziadek: On ma na imię Jason.

Justin: Hm... hm...

Dziadek: Jeśli się nad tym zastanawiasz, to powiedz mi tymczasem, co sądzisz o picciu i prowadzeniu samochodu.

Justin: Jestem absolutnie przeciw, przysięgam!

Babcia: Coś mi się zdaje, że zaprzecza zbyt żarliwie.

W końcu dali nam spokój, a ja bezustannie przepraszałam.

– To było brutalne – rzucił przez zaciśnięte zęby Justin.

– Wiem, przepraszam. Zwykle tacy nie są, wierz mi. Chcą się po prostu upewnić, że nic mi przy tobie nie grozi.

– Nie przejmuj się – powiedział, siadając za kierownicą swojego pikapa, ale głos miał tak stłumiony jak podczas tamtej nieszczęsnej rozmowy. Wiedziałałam, że to on będzie się przejmował tygodniami.

Penetrowałam wzrokiem niebo, zapinając pasy. Było ciemno, w górze widniało jeszcze parę chmur. Błagam, zniknij. Błagam, nie bądź...

Dostrzegłam królika.

Poczułam na plecach lodowate palce strachu.

– Jedź powoli, dobrze? – zwróciłam się do Justina.

Szron zwolnił i przeżył. Przyszło mi do głowy, że Justin też powinien to zrobić. Na pewno. Błagam.

– Cokolwiek ci nagadali dziadkowie, nie jestem pijany!

No tak. Wciąż się przejmował.

– Mam fobię samochodową, to wszystko.

Nie spieszył się. Wystarczyło, bym nie wyskoczyła z krzykiem z jego auta.

Zamknęłam oczy i zagłębiłam się w myślach. Nie musiałam się przynajmniej przejmować zombi. Ponieważ wyszły na świat zeszłej nocy, teraz potrzebowały czasu, żeby odpocząć i – rzecz niezwykle odrażająca – przetrwać pożywienie.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Justin.

– Jak? Przecież jechaliśmy tylko kilka minut... – Zamrugałam i zobaczyłam, że zdążył już zaparkować. Wzdłuż podjazdu prowadzącego do domu Reeve stały samochody, na trawie i na ulicy. – Rany. Naprawdę dojechaliśmy.

Musiałam stracić poczucie czasu.

Przeżył. Ja przeżyłam. Co za fantastyczny dzień! Strzeżonego Pan Bóg strzeże. I wiecie co? Mogłam z tym żyć. Dosłownie.

Podeszliśmy do drzwi, ramię w ramię. Księżyc był teraz tylko pasemkiem złota, chmury zniknęły, a niebo pociemniało, choć pokrywały je setki świetlnych punkcików.

Zauważyłam zaskoczona, że Justin przygląda się uważnie krzewom, samochodom i drzewom, kiedy zbliżaliśmy się do ganku. Ja robiłam to samo.

Potknął się na stopniu, wyprostował i warknął:

– Cole.

– Co? Gdzie?

Dostrzegłam go sekundę później. Stał na ganku, opierając się o ceglana ścianę obok drzwi w blasku zewnętrznej lampy. Wysunął szczękę, kiedy zauważył Justina.

Nie zaszczylił mnie nawet spojrzeniem, cały czas patrzył gniewnie na mojego towarzysza. Czekał na mnie?

– Z kimś takim postanowiłaś przyjść? – spytał Cole, nie kryjąc obrzydzenia.

– Od razu wie, kto jest dobry – odparł sztywno Justin.

Wargi, które całowałam, wysunęły się ironicznie.

– Muszę pogadać z Ali. Sam.

– Nie ma mowy, żebym cię z nią zostawił. Nie jesteś kimś, kto...

Nim Justin zdążył dokończyć zdanie, Cole był już przy nim.

– Jeśli nie wejdiesz do środka, to połkniesz własne zęby. Wiesz, że mogę ci to załatwić. Już raz to zrobiłem.

– Dosyć! – Stałam między nimi i rozdzieliłam ich czym prędzej, odpychając jednego od drugiego. Cole wciąż na mnie nie patrzył. – Mówię poważnie, dosyć.

Najwidoczniej mieli ze sobą na pieńku, ale popsuć zabawę, zanim się jeszcze rozpoczęła, to była gruba przesada.

– Może Ali sama zdecyduje? – spytał Justin z nutą zarozumiałości, a ja zazgrzytałam z irytacji zębami.

– Czekałem na ciebie z konkretnego powodu, Ali – warknął Cole. – Domyślasz się, co to takiego.

– Ja... – Mogłam doznać wizji, jak sobie uświadomiłam. Było to moje pierwsze spotkanie z Cole’em tego dnia.

Żadne z nas nie wiedziało, co mogłoby się stać, gdyby nasze spojrzenia się spotkały.

– Zobaczymy się w środku – zwróciłam się do Justina.

Skierował na mnie wzrok i czuł się wyraźnie zraniony.

– Mówiłaś, że się z nim nie spotykasz.

– Nie spotykam się. – W każdym razie jeszcze nie. – Jest moim przyjacielem.

Tak jakby.

– Jego przyjaciele umierają.

Tak, ale Justin nie miał pojęcia dlaczego.

– Dobra. Nieważne – rzucił opryskliwie, a ja sobie uświadomiłam, że zapewne utracę jego przyjaźń raczej prędzej niż później. – Mam nadzieję, że lubisz obrywać nożem w plecy, bo tylko to potrafi robić.

Wszedł do domu, zostawiając nas samych na ganku. Cole chwycił mnie za nadgarstek i wciągnął w zacienione miejsce.

– Masz pojęcie, co to za żmija? – spytał, przyciskając mnie do zimnej ściany. – Pracujesz z nim?

– Nie! – Cały czas kierowałam spojrzenie w dół, na jego buty. – Nie

wiem nawet, gdzie pracuje.

Cole wymamrotał coś w rodzaju: „Żartujesz?”, a potem rzucił:

– Więc chodzisz z nim.

– Nie chodzę z nim. – Chcę chodzić z tobą, dodałam w myślach. – Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Mniej więcej.

– Tak jak my jesteśmy tylko przyjaciółmi?

Zacisnęłam dłonie w pięści.

– Nie całowałam go, jeśli o to ci chodzi.

Milczenie. Gwałtowny oddech.

– Tak dla twojej wiadomości: to przyjaciel, który dobierze ci się do gardła. Jak będziesz spała.

Zdecydowanie mieli ze sobą na pieńku.

– Na dobrą sprawę to samo powiedział o tobie. Co między wami zaszło?

– Nie twoja sprawa.

Jego głos podnosił się z każdym słowem. Bałam się, że za kilka sekund będzie wrzeszczał i z domu wysypią się ludzie, żeby zobaczyć, kogo Cole morduje.

– Dajmy już sobie z tym spokój, okay? Popatrz na mnie.

– Żadne okay. Nie chcesz wiedzieć, gdzie byłem dziś rano? – spytał, kładąc mi dłonie na biodrach.

Takie ciepłe, takie mocne. Takie absorbujące. Odchrząknęłam.

– Powiesz mi, jeśli zechcę wiedzieć?

– Wzmacniałem ochronę twojego domu. Dostrzegłem troskę w twoich oczach, kiedy wspomniałem, że przyciągamy... wiesz i nie chodzi o „wiesz”, o którym mówiłaś zeszłego wieczoru. Chciałem się upewnić, że twoim dziadkom nic nie grozi.

Była to najśłodsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie w życiu zrobił.

– Dziękuję.

– A potem znajduję cię tutaj z Justinem Silverstone’em. – Emanował gniewem, każda jego fala uderzała we mnie. Ujął mnie dwoma palcami pod brodę i podniósł mi głowę. – Więc dobrze, damy sobie z tym spokój i rozejdziemy się.

Musiałam zacisnąć wargi, żeby powstrzymać się od głośnego protestu. Czy chodziło mu o to, by rozejść się na stałe, czy tylko tego wieczoru?

W chwili, gdy napotkałam spojrzenie tych cudownych liliowych oczu, świat zniknął, a mój umysł ogarnęła pustka. Nie staliśmy już...

...leżeliśmy, on na mnie. Byliśmy ubrani, choć bluzka podjechała mi aż do stanika. Czułam pod sobą miękkość trawy. Znajdowaliśmy się na jakimś podwórzu za domem, ale to nie było moje podwórze. Padał na nas blask słońca, ale nie zwracaliśmy na to uwagi. Trzymał jedną dłoń na moim brzuchu, a drugą na twarzy.

– Jest ci przykro? – spytał.

– Nie. A tobie?

– Skąd. Żałuję tylko, że nie możemy...

Ktoś roześmiał się w głębi domu i ta zbyt krótka wizja zniknęła jak dym.

Uderzyłam delikatnie w pierś Cole'a. Byliśmy chyba skazani na to, że przerywano nam za każdym razem.

Przyjął to bez słowa komentarza. Kiedy się uspokoiłam, wymamrotałam przeprosiny, nie wiedząc, ile jeszcze razy będę musiała to robić tego wieczoru, i oparłam o niego czoło, choć nie wiedziałam, jak zareaguje na taki gest. Serce waliło mu dziko, tak jak mnie. Czerpałam z tego pociechę.

– Dlaczego uważałeś, że jest mi przykro? – spytałam.

– Z powodu twojej randki z Justinem?

Znowu go uderzyłam.

– O co chodzi? Zgadywałem tylko.

Przynajmniej przestał się gniewać.

Była to, jak muszę przyznać bez bicia, moja ulubiona wizja, choć w rzeczywistości nic tak naprawdę nie robiliśmy. Warto by wiedzieć, co się działo przed tamtą rozmową – i do czego zmierzaliśmy.

Bez względu na odpowiedzi, zaczęła mnie zalewać fala szczęścia. Wszystko, co widzieliśmy w wizjach, działo się potem w takiej czy innej postaci. Zatem Cole nie rozstawał się ze mną na stałe. Pomyślałam, że będziemy leżeć na czyimś podwórzu, dotykać się, rozmawiać i... cokolwiek.

– Wejźmy do środka, zanim zrobię coś, czego mógłbym potem żałować – mruknął, prowadząc mnie w stronę drzwi.

– Co na przykład?

– Na przykład nie mogę powiedzieć. Jak cię znam, to byś uciekła.

Nim zdążył otworzyć oszklone drzwi, na zewnątrz wyrzeli dwaj chłopcy, których nigdy wcześniej nie widziałam. Uśmiechnęli się lubieżnie na mój widok, czyniąc mi nieprzyzwoite propozycje. Umilkli,

zauważywszy Cole'a. Zmarszczyli czoła i wycofali się w głąb domu, blednąc przy tym niewątpliwie.

– Nie kłamałeś, kiedy mówiłeś, że wszyscy się ciebie boją – zauważyłam.

– Wiem i bardzo mi się to podoba. Nikt mnie nie pyta, do czego jestem zdolny, oczekują po mnie najgorszego i trzymają się z daleka. Powinnaś skorzystać z tej lekcji.

– Ha! Nie boję się ciebie i nigdy nie będę się bała.

Nie zamierzałam wspominać, że parę razy bałam się go, jeśli mam być szczerą.

– Mów, co chcesz. Ale zmienisz zdanie, zobaczysz.

Cole przytrzymał mi drzwi, a ja wkroczyłam do środka, mrucząc:

– Za sprawą twoich zabójczych manier? Powodzenia.

– Bardzo śmieszne.

Z głośników na suficie dobiegał łoskot muzyki, głosy mieszały się ze śmiechem, tworząc dysharmonijną ścieżkę dźwiękową chaosu.

Wszędzie krążyli młodzi ludzie, niektórzy popijali z plastikowych kubków, inni skandowali „Tygrysy górą!”, jeszcze inni przejawiali większe zainteresowanie rozmową, ale parę osób przejawiało zainteresowanie migdaleniem się pod ścianą. Nie mogłam zlokalizować Justina w tym tłumie, mogę tylko zauważyć, że było tu więcej piersi i zadków niż w największym kubelku z KFC. Bluzki bardziej przypominały staniki, a spódniczki i szorty opinały pośladki do granic możliwości. W swoim różowym topie i džinsach wyglądałam jak zapięta pod szyję, ale nie był to chyba dostatecznie dobry powód, by wszystkie dziewczęta patrzyły na mnie z odrazą.

Z pewnością tylko tak mi się zdawało. Tyle że, co równie dziwne, chłopcy też nie mogli oderwać ode mnie oczu, większość łypała na mnie

pożądliwie, jak tamtych dwóch przy drzwiach. Dwa razy sprawdziłam zamek błyskawiczny przy spodniach, by się upewnić, że nie widać mi majtek (nie było widać).

– Wystrzegaj się węży – powiedział Cole i odwrócił się ode mnie, próbując odejść.

Chwycałam go za nadgarstek i zatrzymałam.

– Powiedz mi przynajmniej, co Justin zrobił...

– Nie, nie zamierzam o tym tutaj mówić – odparł i spojrzał znacząco na moją rękę.

– Okay. – Puściłam go. – I kto teraz ucieka?

Przytyk podziałał; Cole nie ruszył się z miejsca. Przez długą chwilę staliśmy po prostu, nie odzywając się. W końcu potarł kark i warknął:

– Chcesz zatańczyć?

– Przy takim nastawieniu z twojej strony? – I po tym, co się stało, kiedy ostatni raz tańczyliśmy publicznie? Nie. Ale z moich ust dobyło się inne słowo. – Tak.

Powinnam była kontynuować poszukiwania Justina, nie zaś pozwalać, by Cole przejął pałeczkę, i to na całego, ale tak właśnie zrobiłam. Wszyscy inni podrygiwali w szybkim tempie, ale on przytulił mnie i zaczął kołysać się wolno.

To była moja noc udawania, że nie mam żadnych kłopotów. I zamierzałam udawać na całego.

– O której musisz być w domu? – spytał.

– O wpół do pierwszej. A o co chodzi?

– O nic.

Zastanawiałam się przez długą chwilę, czy nie oprzeć głowy na ramieniu Cole'a. Czy zapleść dłonie na jego karku, pobawić się koniuszkami jego włosów, spoglądać głęboko i znacząco w jego oczy. Nie bardzo wiem, co właściwie robiłam, kiedy się tak zastanawiałam.

– Odpręż się. Nie zamierzam cię ugryźć – powiedział. – W każdym razie nie dzisiaj.

– Zabawne.

– A kto żartuje?

Żartował. Musiało tak być. Oparłam mu jednak głowę na ramieniu, choćby po to, by ukryć twarz, na której – nie wątpiłam w to – malowało się rozbawienie. Potem pomyślałam sobie, co tam, dlaczego nie pójść na całość? Jesteś normalna, pamiętasz? Objęłam go za szyję i zaczęłam się bawić końcami włosów. Przesunął opuszkami palców po moich plecach, potem po biodrach.

Mogłabym tak trwać w nieskończoność, ale po kilku piosenkach zaczęliśmy oboje przysuwać się do siebie coraz bardziej, ocierać się jedno o drugie; pociliśmy się od żaru panującego w pokoju, próbowaliśmy zapanować nad oddechem. Wyprostowałam się. Napotkałam jego spojrzenie. Nachylił się ku mnie.

Chyba w tym samym momencie zdaliśmy sobie sprawę z konsekwencji pocałunku na oczach wszystkich, ponieważ rozdzieliliśmy się gwałtownie na ułamek sekundy przed ostatecznym kontaktem.

– Chodź – wymamrotał, wyciągając mnie z tanecznego kręgu. – Nie chcę zostawiać cię tu samej, ale nie mogę też z tobą zostać.

Zrozumiałam. Na szczęście zauważyłam Kat, która wyglądała pięknie jak zawsze, choć była jeszcze bledsza niż w dniu udawanej choroby.

– Nie masz się co martwić, będę z Kat.

Ruszyłam z niepokojem w jej stronę.

Przyciągnęłam jeszcze więcej niechętnych spojrzeń dziewcząt i mnóstwo pożądlivych łypnięć chłopców. Cholera? Dlaczego?

– Może się zrobić nieprzyjemnie – dobiegły mnie słowa Cole’a.

Ponieważ zamierzał wcisnąć w dywan twarz każdego chłopaka, który ośmieliłby się spojrzeć na mnie, jakbym była... och, mniejsza z tym. I ponieważ Szron stał kilka kroków za Kat i każdy facet, który próbował się do niej zbliżyć, spotykał się z jego strony z groźbami i niezbyt parlamentarnymi zwrotami. Kat pokazywała mu za każdym razem środkowy palec, ale gdy tylko odwracał się do niej plecami, uśmiechała się z zadowoleniem.

– Hej, ty – zawołałam, podchodząc do niej. – Coś nie tak?

– Ali! – Zarzuciła mi ramiona na szyję i obdarzyła uściskiem, który był zadziwiająco słaby. – Tak się cieszę, że przyszedłeś. No więc gdzie się podziewałeś, niegrzeczna dziewczynko? Jeśli dobrze pamiętam, a zawsze tak jest, chłopak, z którym jesteś, to nie ten sam, z którym zgodziłaś się tu przyjść.

Zignorowałam to pytanie.

– Najwyraźniej Cole i Justin są wrogami. Nie mogę rozmawiać z jednym, nie doprowadzając drugiego do szału.

– Oczywiście, że nie – odparła, mrugając przy tym ze zdziwienia, jakbym właśnie opowiedziała dowcip, którego nie zrozumiała. – Wszyscy to wiedzą.

– Nikt mi nic nie powiedział!

– A niby dlaczego ktoś miał ci mówić? Ta historia między chłopakami jest jak oddychanie. Nie trzeba ci mówić, że się dzieje. Po prostu o tym wiesz.

– Warto, by ktoś mnie jednak uprzedził.

– Nie byłoby takiej frajdy. – Obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, nie przestając się uśmiechać. – Wszyscy chłopcy mają ochotę na moją Ali. Czy można się dziwić? No, no, cała odpicowana. Podoba mi się – dodała śpiewnie.

Okay, popracowałam trochę nad wyglądem. Musiałam, zważywszy na to, że trzeba się było uzbroić. Nie dlatego, że miałam się spotkać z Cole'em. Naprawdę. Nosiałam trzy srebrne naszyjniki, każdy innej długości, żeby... no... udusić zombi, gdyby zaszła taka potrzeba. Choć chciałam włożyć nabijane cekinami japonki, zdecydowałam się na długie buty i zamieniłam białe sznurowadła na różowe, ponieważ... no... te różowe były mocniejsze. Wiecie, żeby dusić nimi zombi, gdyby zaszła taka konieczność. W lewym kozaku trzymałam ostrze. Miałam też pasek z torebką, w której skrywałam nóż.

Poranione nadgarstki i dłonie zakryłam rękawiczkami. Owszem, rękawiczki nie były w modzie, ale pomyślałam, że może dzięki mnie znów wrócą do łask. W końcu to ja sprawiłam, że dziewczyny zaczęły nosić frędzle.

– Też wyglądasz olśniewająco – zauważyłam.

Szkarłatna sukienka mini przylegała do jej krągłości i kończyła się kilka centymetrów pod pośladkami. Ramiona zakrywał ładny sweter z cieniutkiej koronki. Część włosów upięła na czubku głowy, reszta spływała lśniącymi ciemnymi falami.

– Tak, tak, wiem. Zachowywanie piękna przez cały czas jest jednak pewnym ciężarem – wyznała beztrąsko.

Zbliżyły się do nas Poppy i Wren, obie z jakimś widocznym zamiarem. Ich poważne miny nieco mnie zaniepokoiły.

– Co się stało? – spytałam.

Dziewczyny wymieniły się mrocznymi spojrzeniami. Stanowiły niezwykle uderzającą parę, jedna rudowłosa, druga perfekcyjna jak modelka Afroamerykanka, obie zabójczo ubrane. Poppy cała w bieli, niczym anioł, a Wren miała na sobie top od bikini i błyszczące szorty.

Wren popatrzyła na mnie złym wzrokiem.

– Mówiłam ci, że stanie się coś strasznego, jeśli będziesz łązić za Cole'em. Krąży teraz plotka, że z nim spałaś.

Obróciłam pełne zdumienia oczy na Kat.

Odpowiedziała mi gniewnym spojrzeniem, a ja od razu zorientowałam się, o co chodzi – poczuła się obrażona, że to o niej pomyślałam od razu jako o winowajczyni.

– Hej! Nigdy bym nie powiedziała słowa.

– Wiedziałaś? – wysapały jednocześnie Poppy i Wren.

Zignorowałam je.

– Przepraszam – zwróciłam się do Kat. Powinnam być mądrzejsza. Popatrzyłam na dziewczyny. – To, że wszyscy myślą, że spałam z Cole'em, nie jest takie straszne, ale tak gwoli ścisłości tylko rozmawialiśmy.

– No cóż, to jeszcze nie wszystko – wtrąciła Poppy. Podobnie jak Kat była blada, co podkreślało jej piegi. – Mówi się też, że spałaś z Bronxem i Szronem... tej samej nocy!

Wren przez cały czas przytakiwała przyjaciółce.

– Zasadniczo ludzie mówią, że jesteś wielką zdziwą i że facet, który ma na ciebie ochotę, musi się tylko do ciebie uśmiechnąć, a dostanie to, czego chce. Mówiłam ci, żebyś za nim nie łąziła. Mówiłam – oznajmiła z naciskiem.

– Ja nie... nigdy bym... Cholera! – Słowa utknęły mi w krtani.

Była tylko jedna osoba, która nienawidziła mnie dostatecznie mocno, by oskarżyć mnie o coś tak obrzydliwego. Mackenzie Love. Choć czy była aż tak wredna? W końcu widziałam w jej oczach swoją towarzyską śmierć,

spodziewałam się czegoś z jej strony. Jednak coś takiego to było stanowczo za dużo, zwłaszcza że jak twierdził Szron, Cole nakazał swoim przyjaciółom, by byli dla mnie mili.

Czując, że furia buzuje mi w piersi jak kwas, zaczęłam wypatrywać Mackenzie w tłumie. Chciałam ją grzecznie spytać, czy rzeczywiście to zrobiła. Gdyby odpowiedziała bezczelnie, że tak, zamierzałam wytrzeć jej głupią gębą podłogę!

Niestety, nigdzie jej nie zauważyłam.

– Dzięki za cynk, dziewczyny. Spróbujcie ograniczyć straty i powiedzcie ludziom, że są idiotami. – Kat wzięła mnie za rękę i zaczęła mnie odciągać, mimo że protestowałam. – Jeśli o mnie chodzi, idę do łazienki i zabieram Ali ze sobą! – zawołała przez ramię.

Zerknęłam na Cole'a. Rozmawiał ze Szronem, ale patrzył na mnie. Niespodzianka, niespodzianka – spoglądał ze złością. I wyraźnie sztywniał, z każdym moim krokiem. On też słyszał plotki? Zastanawiałam się, czy zrobi coś swojej byłej, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Jeśli wyjdzie.

Kiedy Kat minęła łazienki, zmarszczyłam czoło.

– Dokąd idziemy?

– Do miejsca, które Reeve pokazała mi zeszłego wieczoru, i to w tajemnicy, bo nawet ona oficjalnie o nim nie wie – wyszeptała teatralnie. – Ale tobie mogę powiedzieć, bo jesteś jedną z nas. Poza tym potrzebujesz trochę czasu, żeby się uspokoić, zresztą musimy pogadać na osobności. Tylko przygotuj się na szok!

Przepchnęła się przez tłum, potem skręciła kilkakrotnie w ten czy inny korytarz i ruszyła w dół schodami; w końcu byłyśmy same. Gdziekolwiek obróciłam wzrok, widziałam pluszowe meble i błyszczące bibeloty. Ściany pokrywała tapeta w cherubiny, były nawet marmurowe kolumny przy wejściu do każdego pokoju.

– Co robią rodzice Reeve? – spytałam.

Kat westchnęła ze smutkiem.

– Jej mama nie żyje. Tata to genialny chirurg plastyczny o rękach anioła, w każdym razie tak lubi mówić. Co tydzień umawia się z kim innym. I jeszcze jedno, nie nazywaj go doktorem. Upiera się, żeby zwracać się do niego „panie Ankh”.

Kolejne schody; w powietrzu wyczułam stęchliznę o miedzianym zabarwieniu. Zmarszczyłam nos. Rozpoznałam woń krwi. Chciałam wstrzymać oddech, ale wyłapałam jeszcze jeden zapach, który zwrócił moją uwagę. Czyżby... odór rozkładu?

– Kat – powiedziałam, próbując wyswobodzić się z uścisku jej dłoni.
– Nie powinnyśmy iść dalej.

– Daj spokój. To już niedaleko.

Serce waliło mi młotem; bałam się, że pękną mi żebra. Jesteś uzbrojona po zęby, pamiętasz? Nic ci nie będzie. A Cole’a nie byłoby tutaj, gdyby nie nakreślił wcześniej – jak on to nazwał? – Linii Krwi. Dom musi być chroniony.

Dotarliśmy do końca długiego, wąskiego korytarza. Kat zatrzymała się, a ja zobaczyłam osłupiała, jak wyjmuje zza stanika wytrych i wsuwa do zapadki.

– Zawsze nosisz przy sobie coś takiego?

– Oczywiście. Szron powiedział mi kiedyś, żebym była przygotowana na wszystko. Spytałam: „A jeśli zostanę porwana, zamknięta w jakimś pokoju i przetrzymywana w charakterze ideału kobiecego jakiegoś świra?”. A on pokazał mi, jak się uwolnić, gdyby tak się stało. Choć nie wspomniał o tym, jak sam się tego nauczył. – Wykonała szybki ruch nadgarstkiem i po chwili rozległ się metaliczny dźwięk. – Oho!

Jeszcze tylko lekkie pchnięcie i drzwi otworzyły się, jakby zapraszając nas do środka.

Pozwoliłam jej wciągnąć się do pomieszczenia. Postanowiłam, że dowiem się, co było źródłem tego odoru, upewnię się, że nie ma tu nic złego, i zmuszę Kat, by zwiła ze mną.

Po kilku krokach puściła mnie, rozłożyła ramiona i zakreśliła się w miejscu.

– No i co myślisz?

Rozejrzałam się po tym pomieszczeniu. Podłoga nie była już pokryta grubym, miękkim materiałem, tylko ciemnymi, wilgotnymi płytkami. Znajdowało się tu kilka metalowych stołów, niektóre z zatraskami na nadgarstki i kostki u nóg, a pod każdym blatem zainstalowano odpływ.

Pomyślałam... pomyślałam, że przyprowadziła mnie do jakiegoś... lochu tortur.

Drżąc, sięgnęłam do swojej torebki i ujęłam ostrze. Nim zdołałam wyperswadować sobie szukanie jakichś śladów i wskazówek, prześliznęłam się obok Kat, starając się za wszelką cenę ukryć stal w dłoni.

– Myślisz o tym, co ja? – wyszeptała. Tak, wyszeptała, ale jej głos wciąż odbijał się tu echem.

– Prawdopodobnie nie – mruknęłam.

– Sądzisz więc, że tata Reeve nie musi kupować odświeżacza powietrza? Wobec tego uważasz, że przeprowadza tu jakieś sekretne operacje?

– Myślę, że to nie wasz interes – zagrzmiał męski głos za moimi plecami.

O... cholera.

Obróciłam się błyskawicznie, stając twarzą w twarz z intruzem. Był tylko odrobinę wyższy ode mnie, miał trochę ponad sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Jego prążkowany garnitur nie przypominał

w niczym tego, który wkładał mój tata, gdy szedł do kościoła, co zdarzało się bardzo rzadko. Miał włosy koloru soli z pieprzem, skórę opaloną na głęboki brąz i kilka cieniutkich zmarszczek, które przydawały mu jednak atrakcyjności.

Jak na starszego faceta był całkiem przystojny – i przyglądał się nam jak szczirom w klatce.

Chwyciłam Kat za ramię i przesunęłam ją za siebie; być może zrobiłam to zbyt mocno, ponieważ zachwiała się i stęknęła.

– Kim pan jest? – rzuciłam buńczucznie. Na nic więcej nie było mnie stać.

– Jestem właścicielem tego domu – odparł.

Kat mruknęła jednocześnie: „Przywitaj się z tatą naszej koleżanki”, po czym wyjrzała zza moich pleców i pomachała.

– Hej, panie Ankh.

Zacisnął szczęki, kiwając przy tym głową.

– Kathryn. – Potem zwrócił się do mnie i warknął: – A ty kim jesteś?

Stawiałaś czoło zombi. A to jest pestka.

– Przyjaciółką Reeve.

– Tak, już się domyśliłem. Jak się nazywasz i co tu robisz razem z Kathryn?

– Szukałyśmy tylko spokojnego miejsca, żeby porozmawiać, słowo daję – wyjaśniła Kat i nawet ja chciałam jej wierzyć. Niewinność w jej głosie wydawała się absolutnie szczerą.

Rozległy się kroki i po chwili ujrzałam zszokowana, jak do pomieszczenia wchodzi doktor Wright.

– Nie powinieneś pozwalać córce... – Jej lśniąca czerwone wargi zamknęły się gwałtownie na mój widok. – Alicjo Bell, co ty tu robisz?

Kat trzymała mnie za bluzkę i wykręcała nerwowo materiał.

– To doktor Wright? – wyszeptała.

Żadne z dorosłych nie spojrzało nawet na nią; wciąż skupiali uwagę na mnie.

– Na imię mam Ali – sprostowałam.

– Wciąż czekam na wyjaśnienia – powiedział pan Ankh i uśmiechnął się złośliwie. – To ty zjawiałaś się u mnie w domu z Justinem Silverstone'em, prawda?

– Justin Silverstone? – spytała doktor Wright z niekłamana odrazą. Każdego dnia jej szczupłą sylwetkę okrywał sztywny w charakterze, profesjonalny strój, ale tego wieczoru miała na sobie miękką, luźną sukienkę, całkowicie niepasującą do jej kierowniczej funkcji. Czy była dla pana Ankha nową dziewczyną tygodnia? – Cole nie będzie tym zachwycony.

Kat uszczypnęła mnie w ramię. Nie bardzo mogłam się zorientować, czego chce. Byłam zbyt zmieszana. Doktor Wright, dyrektorka Asher High, przebywała z ojcem Reeve w pokoju pełnym zaschniętej krwi i metalowych stołów, ale jej największym zmartwieniem była moja eskorta?

Okay, może i bardziej się przejmowała uczniami niż swoim życiem towarzyskim, nawet jeśli to życie mogło ją przyprawić o śmierć. Chyba że... pan Ankh trzymał w tym pomieszczeniu zombi?

Tak, doszłam po chwili do wniosku. Zapach wyczuwało się zbyt wyraźnie; z pewnością jego źródłem nie były odpadki ani pleśń.

Czy Cole wiedział o tym?

Nad tym też nie musiałam się długo zastanawiać. Tak, Cole wiedział.

W przeciwnym razie nie wzięłyby ze sobą całej swej drużyny i nie zjawiał się tutaj, nawet zważywszy na Linie Krwi. Musiało to być bezpieczne miejsce dla zabójców zombi. Co oznaczało, że ojciec Reeve jest po naszej stronie. I co oznaczało, że doktor Wright też jest po naszej stronie, ponieważ mu towarzyszyła, tutaj, w tym pomieszczeniu.

I jeśli wszyscy zabójcy nienawidzili Justina – musiało tak być, biorąc pod uwagę ich reakcję na samą wzmiankę o nim – to zaczęłam się siłą rzeczy zastanawiać, czy nie jest przypadkiem prozombiczny czy coś takiego.

Co właściwie pan Ankh robił w tym pomieszczeniu? Badał zombi? Eksperymentował na nich? Czy było to w ogóle możliwe?

– Ali, musisz się wytłumaczyć, a nie będę tolerowała kłamstw, milczenia czy wykrętów – oznajmiła doktor Wright, której mroczne spojrzenie próbowało przeświecić mi mózg. – Czy to Justin kazał ci zejść tu na dół?

No, no. Uzyskałam potwierdzenie swoich podejrzeń.

– Nie, nie zrobił tego. A teraz chcę wrócić z Kat na przyjęcie. – Nie było powodu, by mieszać w to wszystko moją przyjaciółkę. Cole i jego drużyna miałiby o to do mnie pretensje. – Bardzo nam przykro, że sprawiliśmy kłopoty.

– Nie wykręcisz się tak łatwo – powiedziała, a pan Ankh niemal natychmiast dodał:

– Doskonale, możecie iść. Ale jeśli coś takiego powtórzy się jeszcze raz, to...

Pożałujesz tego, dokończyłam w myślach.

– Nie powtórzy się.

Doktor Wright zeszywniała, gdy pan Ankh uchylił jej decyzję, ale nie zaprotestowała.

Sięgnęłam za siebie i chwyciłam Kat za rękę. Nie odezwała się, kiedy wyciągałam ją z pomieszczenia. Pan Ankh i doktor Wright odsunęli się na bok, przepuszczając nas. Trzymałam mocno sztylet i zachowywałam w miarę możliwości odpowiedni dystans, na wypadek gdybym myliła się co do nich i została przez któreś zaatakowana.

– Super – oznajmiła Kat z chichotem, gdy tylko dotarliśmy na szczyt schodów. – To było niesamowite! Poszłaś na całość, wiesz: „nie obchodzi mnie, co z nami zrobicie, jestem silniejsza od was”. A oni też poszli na całość, wiesz: „możemy zrobić, co nam się tylko podoba, jesteśmy silniejsi”.

Podejrzywałam, że gdy nazajutrz zrelacjonuje wszystkim tę historię – a byłam pewna, że tak będzie – to się okaże, że walnęłam tatę Reeve pięścią w twarz, a doktor Wright przywiązałam do krzesła.

– Jak myślisz, co tam razem robili? No bo przecież doktor Wright za cholere nie jest w jego typie.

Omawiali aktywność zombi? Planowali na nie atak?

– Chciałabym wiedzieć – odparłam szczerze.

Usłyszałam w dali przeraźliwe skandowanie; nadstawiłam uszu. Czyżby brzmiało to jak... „walczyć, walczyć, walczyć”?

Kat też musiała to usłyszeć, ponieważ przystanęła i klasnęła.

– Mogę się założyć, że to Cole.

– Niemożliwe – odparłam, choć podejrzewałam najgorsze. „Jeśli nie wejdiesz do środka, to połkniesz własne zęby. Wiesz, że mogę ci to załatwić. Już raz to zrobiłem”.

– Żartujesz. To zawsze jest Cole.

Pobiegłyśmy przez cały dom. Kiedy dotarliśmy do salonu, wrzawa była tak ogłuszająca, że niemal się skuliłam. Przepchnęłam się przez tłum i okazało się, że owszem, Kat miała rację. To zawsze był Cole.

Walka dnia? Cole przeciwko Justinowi. Ciosy pięścią i przewracane meble, a ci dwaj tarzali się i zmagali w kręgu skandujących nastolatków. Justin miał po swojej stronie wściekłość, a Cole – doświadczenie i brutalną siłę.

– Walczyć, walczyć, walczyć! – darli się wszyscy.

Cole mógł przygwoździć Justina w ciągu kilku sekund, mógł od razu zakończyć to starcie, ale dał się walić po twarzy wielokrotnie, jeszcze częściej po brzuchu i w pachwinę – no, może trochę przesadzam. Dopiero gdy Justin wpadł w prawdziwy amok, Cole zaczął mu się odpłacać i tłuc go na całego.

Szron przecisnął się do Kat i stanął przed nią, osłaniając ją na wszelki wypadek, gdyby walczący za bardzo się do niej zbliżyli. Zauważyłam Mackenzie – wreszcie! – i nawet Trinę; wymachiwały pięściami i rozciągały usta w szerokim uśmiechu. Były zachwycone.

– Dosyć! – zawołałam, próbując przekrzyczeć wrzawę.

Żaden z chłopców nie spojrzał w moją stronę ani nie zrobił niczego, co by dowodziło, że mnie usłyszał. Cole wymierzył jeszcze dwa ciosy, tylko dwa, ale to wystarczyło. To mocne podwójne uderzenie rzuciło Justina na plecy; nie podniósł się już i znieruchomiał.

Ruszyłam w jego stronę, chcąc sprawdzić, czy nic mu się nie stało, ale uprzedziła mnie ciemnowłosa dziewczyna, która uwielbiała patrzeć na mnie złym wzrokiem w autobusie. Uklękła u boku Justina, sprawdziła mu puls, a potem poklepała po policzku, próbując go ocucić. Jęknął, ale nie odzyskał do końca przytomności.

– Nic mu nie jest? – spytałam.

Spojrzała na mnie skrzywiona wściekle.

– Trzymaj się od niego z daleka. Ty i twój chłopak zrobiliście już swoje.

– Nic mu nie jest? – powtórzyłam z uporem.

– Jakby cię to cokolwiek obchodziło.

Znów skupiła uwagę na Justinie i przesunęła palcami po jego policzku; nie miała ochoty więcej ze mną rozmawiać.

Nie miałam pojęcia, kim jest, ale nie próbowałam przejmować inicjatywy. Nie ulegało wątpliwości, że zajmie się chłopakiem odpowiednio. Odwróciłam się i zaczęłam szukać wzrokiem Cole'a. Wciąż stał na środku pokoju. Czoło zraszał mu pot. Dyszał, pod nosem i na brodzie miał rozmazaną krew, dłonie zaciśnięte w pięści. Tuż obok stały Mackenzie i Trina i poklepywały go po ramionach w dowód uznania.

Musiał wyczuć moje spojrzenie, bo od razu na mnie popatrzył.

– Wszystko w porządku? – rzuciłam.

– Co? – odpowiedział pytaniem.

Zrozumiałam go tylko po ruchu warg. Panowała zbyt wielka wrzawa i dzielił nas zbyt duży dystans, byśmy mogli się nawzajem słyszeć. Wskazał ruchem brody kuchnię, a ja skinęłam głową.

Zwróciłam się do Kat, żeby jej powiedzieć, że znikam na chwilę, ale obejmowała właśnie Szrona i obydwójce całowali się tak, jakby potrzebowali nawzajem swojego tlenu, by utrzymać się przy życiu.

Okay. Koniec waśni? Wszystko wybaczone? Miałam nadzieję. Lubiłam oboje. I może wtedy Szron stanąłby po stronie Ali. Może zdobyłby się na szczerść i powiedział Kat, co jest grane z zombi, ja zaś nie musiałabym niczego przed nią ukrywać. Mogłybyśmy pozostać przyjaciółkami.

Cole był już w kuchni. Opierał się o szafkę i czekał na mnie, przytupując niecierpliwie wysokim butem.

– Doprowadzimy cię do porządku – zaproponowałam.

– Nie.

Wziął mnie za rękę i pociągnął do obszernej spiżarni – już zajętej. Kiedy do wnętrza wtargnęło światło i przegoniło cienie, które czmychnęły po kątach, ukazała się Reeve i... o rany, Bronx. Odskoczyli od siebie, jakby właśnie zdetonowano między nimi bombę.

Mieli nabrzmiałe, czerwone i wilgotne wargi. Na policzkach Reeve wykwitły bliźniacze różowe krążki, kiedy na mnie spojrzała. Było mi jej żal.

– Nic nie widziałam, pomijając to, że powiem o wszystkim Kat. Wiesz, że muszę to zrobić, bo w przeciwnym razie nam nie daruje. Tymczasem zechcesz może zajrzeć do salonu – powiedziałam. – Cole i Justin mieli właśnie... hm... drobną sprzeczkę i zniszczyli trochę sprzętów. Aha, jeszcze jedno, twój tata jest na dole.

Głęboko na dole.

Jej usta otwierały się szerzej przy każdym słowie, jakie wypowiadałam. W końcu precyzyjnie przesuwała się obok nas i wyszła ze spiżarni. Bronx ruszył za nią, ale Cole zastąpił mu drogę.

– Wiesz, że nie powinieneś z nią kręcić.

Zauważyłam, że przyjacielowi Cole'a drgnął mięsień pod okiem. Milczał.

– A jednak sądziłeś, że możesz wsadzić jej język w gardło? I że jest to w porządku wobec jej ojca? – dorzucił Cole.

Wciąż odmawiając odpowiedzi, Bronx wyszedł z pomieszczenia.

– Dlaczego nie może kręcić z...

– Nie będę z tobą o tym rozmawiał.

Cole zatrzasnął drzwi i do wnętrza spiżarni znów powrócił mrok. Czekałam, by trochę ochłonął, chciałam też przyzwyczaić wzrok do

ciemności. Stałam bez ruchu, nie odzywając się słowem. Zaczęłam jednocześnie dostrzegać zakamarki tego pomieszczenia. Było większe od mojej sypialni. Na półkach stały puszki z jedzeniem, na podłodze wolnowary i tostery. Była tam też drabina i inne sprzęty, których zwykle potrzebują faceci.

– Tata Reeve przesłał mi wiadomość na komórkę – powiedział Cole.
– Stąd wiem, że byłaś na dole.

– Jest jednym z was?

Upłynęło kilka chwil, nim przyznał:

– Tak. Przyjaźni się z moim tatą i wspiera finansowo nasze działania. Nie widzi zombi, ale zna skutki ich działań i pomaga nam, kiedy zostajemy pogryzieni, jednak pod warunkiem że nie wciągamy w to jego córki.

Cenna informacja.

– A doktor Wright?

– Wie. Musieliśmy mieć po naszej stronie kogoś ze szkoły. Wypadło na nią.

Tak jak podejrzewałam. Czas zmienić temat.

– O co była ta bójka?

– Justin spytał mnie, gdzie jesteś. Odparłem, że nie wiem. Powiedział, żebym poszedł do diabła i trzymał się od ciebie z daleka. A ja na to, że dokonałaś wyboru i że musi się z tym pogodzić.

– Więc cię uderzył?

– Nie. Oznajmił, że należysz do jego drużyny i że jeśli spróbuję cię zwerbować, to zginiesz.

– Więc to ty go uderzyłeś?

– Tak. Złamałem mu też nos.

Przesunęłam odruchowo dłonią po twarzy.

– Cofnijmy się trochę. On ma swoją drużynę?

Parsknął.

– To znaczy, że cię nie prosił, żebyś mu pomogła?

– W czym?

Tak jak w przypadku pana Ankha i doktor Wright miałam swoje podejrzenia.

– W kwestii zombi.

– Nie. Dopiero przed chwilą się dowiedziałam, że jest w to wszystko zaangażowany.

– Nie jest. Stanowi zagrożenie.

Nie mogłam ni w ząb pojąć, o co mu chodzi.

– To, co mówisz, nie ma w ogóle sensu. Jest zaangażowany albo nie jest. Tak albo nie.

Cole uderzył się głową o półkę, westchnął i odparł:

– Posłuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. Nie powinienem o tym teraz mówić, zwłaszcza że z nim chodzisz.

Tupnęłam nogą.

– Wcale z nim...

– Justin był kiedyś jednym z nas – przerwał mi, zmuszając do milczenia. – Potem związał się z grupą ludzi, którzy twierdzili, że chcą

niszczyć zombi, ale w rzeczywistości próbowali tylko przenosić złe duchy w żywe ciała. Pomyśl o władzy, jaką by to dało – dodał, wyczuwając prawdopodobnie moją dezorientację. – Pamiętasz, jak powróciłaś do swojego ciała?

– Nie, raczej nie – odparłam. Za bardzo mnie wtedy bolało.

Roześmiał się bez humoru.

– Zgadza się. Musiałem zrobić to za ciebie. W każdym razie ci ludzie twierdzą, że starają się odkryć metody walki z infekcją, której źródłem są zombi, ale jak możemy im wierzyć, skoro są gotowi krzywdzić niewinnych ludzi w imię swoich doświadczeń?

– Skąd o tym wiesz?

– Kiedy Justin mi o tym powiedział, odwiedziłem ich laboratorium i widziałem ludzi w klatkach, każda z żywych osób w odmiennym stanie rozkładu. I jesteśmy całkowicie przekonani, że ci niby badacze spalili mój dawny dom.

Laboratoria. Klatki. Rozkład. Płonące domy!

– Justin pracuje dla ludzi w kombinezonach ochronnych?

Którzy, jak wszystko na to wskazuje, byli równie źli jak zombi.

– Tak.

– No cóż, nie wspominał mi o nich, wierz mi.

I nie zamierzałam mu dawać szansy wspomnienia o nich. Nie chciałam mieć do czynienia z nikim, kto liczył na to, że uda mu się skazać czymś złym coś dobrego.

Cole potarł się po grzbiecie nosa.

– Justin powie im, że się tobą interesuję, więc skontaktują się z tobą prędzej czy później, w taki czy inny sposób. Kontaktowali się z nami

wszystkimi. Jeśli odmówisz współpracy, będą próbowali cię przekonać, a to nie będzie przyjemne doświadczenie.

– Nie obchodzi mnie to.

Chwila pełnego napięcia milczenia. Potem:

– Ale będzie obchodziło twoich dziadków. – Westchnął. – Może będzie lepiej, jeśli ze mną zerwiesz, Ali.

Co?

– Nie!

– Twoje życie się zmieni. Będziesz poza domem niemal każdej nocy. Twoi dziadkowie przyłapią cię prawdopodobnie, spodziewaj się bezustannych kłopotów. Koniec z wolnym czasem, zaczniesz dostawać gorsze stopnie. Przygotuj się na fizyczne obrażenia, łącznie z połamanymi kośćmi. Zdarzy się nawet, że będziesz pragnęła umrzeć.

Miałam walczyć z tymi samymi istotami, które zniszczyły moją rodzinę – miałam powstrzymać je przed zniszczeniem innych rodzin. Uczciwe i jasne postawienie sprawy.

– Nie chcę, byś doświadczyła czegoś takiego. Jeśli nie będziesz ostrożna, do domu twoich dziadków zapuka opieka społeczna. Oskarży ich o to, że cię biją. Zdarzyło się w przypadku kilkorga z nas.

– Będę ostrożna – powiedziałam drżącym głosem.

– Ale nigdy dość. Poza tym wyszkolenie zajmie zbyt dużo czasu i zanim pojdziesz, o co chodzi, będziesz nam kulą u nogi.

Mówił to, żeby się przekonać, czy potrafi mnie zniechęcić. Zgadza się? Musiał wiedzieć, czy jestem dostatecznie silna, by się obronić. Zgadza się?

– Ty też byłeś w pewnym momencie kulą u nogi. Tak jak Szron i tak jak Mackenzie. Ale się nauczyłeś i dałeś sobie radę. Ja też mogę to zrobić.

– Poza wszystkim innym – ciągnął, jakby mnie nie słyszał – narobisz sobie wrogów oprócz Justina, jeśli będziesz dalej ze mną przestawać, a oni będą cię atakować przy każdej sposobności.

Okay, no tak. Już dotarły do niego plotki.

– Nie obchodzi mnie to – powtórzyłam.

Żałowałam, że nie widzę jego twarzy, kiedy powiedział:

– Łatwo to mówić teraz, ale pewnego dnia się załamiesz. Widziałem to zbyt wiele razy.

– No cóż, to nie jest jeszcze ten dzień – wypaliłam, próbując nie zwracać uwagi na wewnętrzny ból. Ból, który mnie palił. Cole wcale mnie nie sprawdzał. Chciał, żebym odeszła.

– Kiedy ten dzień nadejdzie, a nadejdzie, nie chcę przy tym być. Sprawa zamknięta.

Powiedział to. Bez ogródek, wprost. Nie chciał mieć ze mną więcej do czynienia. No cóż, doskonale. Okay. Trzeba odejść.

Ale... ja nie chciałam odejść.

– Czy to Mackenzie poinormowała wszystkich, że przespałam się z tobą? I z wszystkimi twoimi przyjaciółmi? – spytałam, oczekując odpowiedzi. Przynajmniej tyle był mi winien.

Pokręcił głową, a ciemność trochę się rozproszyła, gdy przez szczelinę w drzwiach przeniknął strumyczek światła. Jak groźny się teraz wydawał; twarz, którą chciałam wcześniej zobaczyć, była udręczona... i taka niepokojąca.

– To nie w jej stylu. Jest prostolinijna. Kiedy kogoś nie lubi, nie czai mu się za plecami. Staje twarzą w twarz.

Niezbyt przekonana, rozłożyłam ręce.

– Kto inny mógł wszystkim powiedzieć, że spałam z tobą i pozostałymi w ciągu tej samej nocy? Kto jeszcze wiedział, że byłam z twoimi przyjaciółmi?

– Nie wiem kto, ale się dowiem i zajmę się nim. Albo nią.

To, czego nie powiedział: zło zostało już wyrządzone i żadne z nas nie mogło zrobić nic, by je naprawić.

– Nie musisz walczyć za mnie jak lew, ale odrobina wsparcia byłaby mile widziana – oznajmiłam. Przyszły mi też do głowy inne określenia: troska, współczucie, gniew.

Usłyszałam, jak zaciska zęby.

– Gdybym choćby przez sekundę sądził, że to sprawka Mackenzie, to wierz mi, błagałaby cię tu na kolanach o wybaczenie. Możesz być pewna. Nie jest taka zła, jak sądzisz.

– Wciąż ci się podoba? – spytałam, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

– Nie w taki sposób, jaki masz na myśli. – Przynajmniej powiedział to bez wahania. – Kiedy zamieszkała ze mną i moim tatą, przerwałam wszystko.

Mój umysł zarejestrował gwałtownie dwie rzeczy. Pierwsza wyrwała mi się z ust odruchowo, piskliwym głosem: „Mieszkasz ze swoją byłą dziewczyną?”. O tej drugiej rzeczy nie chciałam wspominać. Jeśli zerwał ze swoją dziewczyną tylko dlatego, że wprowadziła się do niego, to wciąż mógł coś wobec niej odczuwać – i mógł wykorzystywać moją osobę.

– Mogę cię ponownie zapewnić, że nie wygląda to tak, jak sugerujesz. Nie dzielimy jednego pokoju ani nic w tym rodzaju. Nie spałam z nią od...

– Od kiedy? – przerwałam mu natarczywie.

Zamknij się! To nie twoja sprawa. Próbuje się od ciebie odciąć. Próbuje? Ha! Już to zrobił. Okaż trochę dumy i odpuść sobie.

Potarł kark.

– Ostatni raz to było... kilka tygodni przed początkiem roku szkolnego. I nie należy nikomu tego powtarzać. Nie rozmawiam o tych sprawach z nikim – oznajmił z naciskiem.

A więc niespełna miesiąc. Tyle co nic.

– Dlaczego z tym skończyłeś?

Dosyć!

Zamiast powiedzieć coś opryskliwego, oznajmił:

– Bo nie potrzebowałem komplikacji z dziewczyną, z którą się mieszka pod jednym dachem.

Nie dlatego, że przestała mu się podobać. Miałam ochotę zwymiotować.

Tuż przed siódmą klasą i tylko kilka tygodni po naszej rozmowie o dziewictwie, mama znowu posadziła mnie przy stole i oświadczyła: „Alicjo, pewien fakt życia nigdy się nie zmienia. Chłopcy dużo myślą o seksie (to znaczy bezustannie). Zrobią i powiedzą wszystko, żeby zaciągnąć cię do łóżka, a nawet połowa z tego nie będzie prawdą. Bądź ostrożna i nie zapominaj o jeszcze jednym niezmiennym fakcie. Jesteś skarbem i zasługujesz na to, by cię kochano, a nie wykorzystywano”.

Przez cały ten czas mogłam być tylko substytutem, kimś, z kim Cole mógł spędzać czas, dopóki Mackenzie by się nie wyprowadziła.

– Jak to się stało, że wylądowaliście w tym samym domu?

Wzruszył szerokimi ramionami.

– Jej tata i macocha mieli jej dość i wykopali ją.

Mackenzie, odrzucona przez ludzi, którym najbardziej powinno na niej zależeć. Tak bardzo nie chciałam jej żałować, zwłaszcza teraz, kiedy wiedziałam, że mieszka z Cole'em, ale... no cóż. Trochę złagodniałam.

– No dobrze. Koniec z nami – oznajmił. – Nie będziemy się lepiej poznawać. Nie będziemy się spotykać i nie zamierzam cię szkolić.

Z trudem powstrzymałam krzyk zaprzeczenia... bólu. Straciłam już tak wiele, że nie mogłam znieść myśli o kolejnej stracie. Nic dziwnego, że nie chciałam mu odpuścić, zapominając o dumie.

– Dlaczego powiedziałeś mi to wszystko, skoro zamierzałeś wywalić mnie ze swojego życia?! – krzyknęłam.

– Nie wiem – mruknął. – Wiem tylko, że to dla twojego dobra. Może mi nawet podziękujesz pewnego dnia.

Postanowiłam spróbować jeszcze raz. Tylko raz.

– A co z wizjami?

Błagam. Zmień zdanie. Zapragnij mnie.

– O ile się orientuję, pokazują przelotnie to, czego powinniśmy unikać.

Wzdrygnęłam się na dźwięk jego słów, które odbiły się głuchym echem w mojej głowie; załamalam się w końcu. Nie, nie zamierzał zmieniać zdania. I nie chciałam, by je zmieniał. Skończył ze mną, a ja skończyłam z nim. Przynajmniej próbowałam. Nie mógł tego samego powiedzieć o sobie.

– Przykro mi. Nie powinienem był...

– Nie. Powinieneś był. Ale nie podziękuję ci później. Podziękuję ci teraz. – Mógł mnie złamać, ale postanowiłam, że nigdy nie dam mu tego po sobie poznać. Wzięłam się w garść. Byłam silna. – Miałeś rację. Nie pasujemy do siebie. Do zobaczenia, Cole.

Zawiasy jęknęły, kiedy pchnęłam drzwi. Nie patrząc za siebie, odeszłam od niego. Choć miałam rozmazany wzrok, widziałam tłoczących się wokół kuchni ludzi z drinkami w dłoniach.

Ktoś chwycił mnie od tyłu za ramię i zatrzymał.

– Odwiozą cię do domu?

To był Cole. Dogonił mnie.

– Tak – odparłam, a mój głos zabrzmiał tak, jak się czułam. No cóż, przypuszczałam, że ktoś mnie odwiezie. Zamierzałam poprosić Kat.

– Wobec tego w porządku.

Cofnął rękę, odsunął się ode mnie i zniknął za najbliższym narożnikiem korytarza.

Nie ruszyłam się z miejsca. Przyszło mi do głowy, że w końcu znalazłam cel w życiu, sposób, by poradzić sobie ze stratą, jakiej doznałam, a on chciał mi to zabrać. Wiadomość z ostatniej chwili, Cole’u Hollandzie. Nie będę walczyć z zombi u twego boku – i co z tego. Nie będę uczyć się od ciebie sekretów wojowniczego fachu – i co z tego, do diabła. Będę robić wszystko sama, bez pomocy.

Weszłam do salonu. Zauważyłam od razu, że Justin zniknął, tak jak ciemnowłosa dziewczyna, która się nim zajmowała. Nie było też Mackenzie, Szrona i Bronxa. Znalazłam Kat na kanapie, w obu dłoniach trzymała butelki piwa. Była bledsza niż zwykle, drżała nawet.

Mając niegdyś do czynienia z własnym ojcem we wszystkich stadiach jego alkoholizmu, wiedziałam doskonale, jak sobie z nią poradzić – siłą. Wyrwałam butelki z jej uścisku godnego kung-fu i pokiwałam na nią.

– Kluczyki.

– Dlaczego?

– Zawiozę cię do domu – wyjaśniłam. Nie zamierzałam jej mówić, że dotąd odbyłam tylko kilka lekcji i nie miałam jeszcze prawa jazdy.

– Och, w porządku. On to zawsze robi, wiesz? – mruknęła i zaczęła grzebać w jakiejś sekretnej kieszeni swojej sukienki. – Biegnie na każdy rozkaz Cole’a. Idziemy, mówi Cole, i idzie. Musisz coś z tym zrobić. To znaczy miałam nadzieję, że zajmiesz trochę swoją osobą Pana Władcę, przyciągniesz jego uwagę, żeby Szron mógł odpowiednio za mną pęłzać.

– Myślę, że Cole właśnie mnie rzucił – odmruknęłam. Nie, nie myślałam; wiedziałam. Przynajmniej ból trochę zelżał. Zaczęłam nawet odczuwać obojętność. – Zresztą nie chodziliśmy ze sobą tak naprawdę.

– Co?! Rzucił cię? Justin musiał mu chyba zdrowo dołożyć i przy okazji pozbawił rozumu. – Wyciągnęła w moją stronę połyskliwy breloczek w kształcie kota. – Nie ma innego powodu, który tłumaczyłby coś tak głupiego. Związek z tobą... nigdy w życiu nie przytrafiło mu się nic lepszego!

– Dzięki za wotum zaufania, ale nie był do końca przekonany, jeśli chodzi o mnie.

Wzięłam kluczyki i pomogłam jej wstać. Zachwiała się, więc otoczyłam ją ramieniem i poprowadziłam do drzwi. Nikt nie wysuwał pod moim adresem jakichkolwiek propozycji seksualnych. Gdyby tak było, rozkwaśiłabym mu nos.

– Pobierzmy się, ty i ja, i zafundujmy sobie setkę dzieci – powiedziała Kat. – Pokażemy wszystkim!

– Fantastyczny pomysł. Pogadamy o tym rano.

Chłodne nocne powietrze na zewnątrz głaskało mnie po ramionach i twarzy. Pojawiły się chmury, zakrywając księżyc – zatrzymałam się gwałtownie. Mój królik. Był większy niż przedtem, nawet jaśniejszy, i trzymał w łapach coś małego i okrągłego.

– Co się stało? – spytała Kat. – Znowu masz atak fobii

samochodowej?

– Coś w tym rodzaju.

– Dasz sobie radę. Mój samochód lubi sam się prowadzić, stąd przyczyna moich stłuczek. Ale tak poważnie, nie będziesz miała żadnych kłopotów.

– Powinnyśmy... – Dostrzegłam błysk ruchu za odległym drzewem... tren brudnej sukni ślubnej... wyczułam woń rozkładu.

Za wcześnie, pomyślałam, czując w żyłach kryształki lodu. Zombi nie powinny wychodzić tej nocy. Powinny wypoczywać.

– Ta chmura wiruje czy to mnie kręci się w głowie? – spytała Kat.

Zerknęłam na królika. Okrągły przedmiot w jego łapach miał teraz własne kończyny – wskazówki zegara, odmierzające czas, cyk, cyk. Pojawił się, by mnie ostrzec, uświadomiłam sobie. Nie przed kraksą, ale przed zombi. Nadeszła pora; były tutaj.

– Wejdź do domu, Kat. Nie wypuszczaj nikogo na zewnątrz, okay?

Pchnęłam ją w stronę drzwi. Wyobrażałam sobie – miałam nadzieję, modliłam się o to – że Cole, tata Reeve, ktokolwiek pogrubiał Linie Krwi wokół posesji. Nie bardzo wiedziałam, jak ona działa albo jak długo, ale zakładałam, że im większa, tym lepsza.

– Ale dlaczego?

– Nie pytaj o nic. Proszę, zaufaj mi.

Mrucząc coś pod nosem, posłuchała i zniknęła niepewnym krokiem za drzwiami wejściowymi, by ich strzec, jak miałam nadzieję. Wpatrując się w cienie wokół drzew – teraz roztańczone, zwielokrotnione – wyjęłam komórkę z kieszeni i zadzwoniłam do Cole'a.

Brak odpowiedzi. Zostałam odesłana do poczty głosowej. Unikał mnie? Nieważne. Zostawiłam mu wiadomość: „Wydaje mi się, że pod

domem Reeve pojawiły się zombi”. Mówiąc to, sięgnęłam drugą ręką do ostrza w torebce.

W cienki promień księżycowego blasku wkroczyła ciężko jakaś postać – po niej druga, i jeszcze jedna. Przełknęłam z wysiłkiem ślinę, czując dojmujące ukłucie strachu. „Poprawka” nagrałam się i zobaczyłam po niewczasie, jak obok zombi pojawia się moja młodsza siostra. Była blada, wciąż miała na sobie różową spódniczkę baletnicy i zaciskała nerwowo dłonie. „Są tu naprawdę”. Rozłączyłam się.

– Emma?

– Wejdź do środka, Ali – powiedziała i zniknęła.

– Nie mogę – odparłam mimo wszystko.

W tej chwili byłam jedyną osobą zdolną widzieć zombi, jedyną zdolną je pokonać – tak, byłam żałośnie niedoświadczona. Ale tego właśnie chciałam, tego pragnęłam. Mieć szansę ratowania świata.

Postanowiłam ją podjąć, bez względu na koszty.

Pierwsze problemy pojawiły się dość szybko. Przede wszystkim nie miałam pojęcia, jak uwolnić ducha od ciała. W dzienniku wspominało o „wierze” jako przyczynie takiej separacji, owszem, ale jak miałam wzbudzić w sobie tę wiarę? Czy też miałam odwołać się do wewnętrznej siły – siły, której nie potrafiłam odczuć?

Po drugie nie miałam pojęcia, co by było, gdyby mi się udało, ale Kat zawiodła, i ktoś wyszedłby na zewnątrz i spróbował rozmawiać z moim pozbawionym jakichkolwiek reakcji ciałem. I nie należało zapominać, że Kat mogło się powieść, a ja mogłam zawieść, i ktoś mógł wyjść przez niestrzeżone drzwi od tyłu w samą porę, by zginąć.

Przynajmniej rozwiązanie w obu przypadkach było identyczne: musiałam odciągnąć zombi od domu tak daleko, jak to tylko możliwe.

Będąc istnym kłębkim odsłoniętych nerwów, zaczerpnęłam z bijącego źródła odwagi i rzuciłam się do działania, ściskając w dłoni ostrze i biegnąc w stronę wroga. „Panie – modliłam się – daj mi siłę, szybkość i może jeszcze jeden z tych kombinezonów ochronnych”.

Zanim dotarłam do dwóch pierwszych zombi – i och, słodkie nieba, ośmiu innych wyłaniało się zza linii drzew, oddzielającej posesję od lasu – wrzasnęłam: „Obiad gotowy! Chodźcie i dorwijcie mnie!”, po czym skręciłam gwałtownie w lewo.

Rozbrzmiał nagle chór pomrukiwań i powarkiwań, a każdy bez wyjątku potwór ruszył w tę samą stronę co ja, tak jak na to liczyłam. Biegnąc, zerknęłam przez ramię – potem musiałam zrobić to jeszcze raz. Panna Niemłoda zbliżała się do mnie, poruszając się coraz szybciej z każdym krokiem. Jej Pan Niemłody Upiornej Urody nie zostawał zapewne daleko w tyle. Nigdy nie zostawał.

Wyteżyłam wzrok – i bum, już był. Innymi słowy, „jeśli to kupisz, drugie dostaniesz za darmo”. Choć jedną kostkę miał wykrzywioną pod dziwnym kątem, odznaczał się zaskakująco płynnym chodem; praktycznie unosił się nad ziemią.

Albo uszkodzenia ciała doznane przed śmiercią przeniosły się do jego ducha, albo Cole i jego przyjaciele walczyli z nim przedtem i zranili go, ale zdołał umknąć, nim pogrążył się w płomiennym blasku.

Jeśli im nie udało się go pokonać, jakie szanse miałam ja, nowicjuszka?

Nie możesz tak myśleć.

Ponieważ obserwowałam głównie to, co działo się za moimi plecami, i nie patrzyłam pod nogi, wpadłam na drzewo i odbiłam się od niego rykoszetem. Ze wszystkich stron zamigotały gwiazdy, kiedy próbowałam złapać choć jedną molekułę powietrza. Pojawiła się groźba paralizującej paniki. Wstawaj! Obejrzałam kilka programów na Animal Planet i wiedziałam doskonale, co się dzieje ze zwierzyną, która tkwi w miejscu.

Dźwignęłam się na nogi. Znów szybkie spojrzenie przez ramię; wrzasnęłam. Za blisko, za blisko, byli o wiele za blisko. Popędziłam przed siebie, omijając skutecznie drzewo.

Dalej, Bell. Dasz radę. Mogłam poprowadzić zombi przez las, wykorzystując kamuflującą osłonę zarośli i czekając (z nadzieją), aż nadejdzie wsparcie. Z jednym zastrzeżeniem – Cole wspominał, że las za moim podwórkiem roi się od drutów-pułapek. Mogłam się założyć, że i tu było ich pełno, choć w jaki sposób nietykalny duch mógł się potknąć o dotykalny drut, nie bardzo jeszcze wiedziałam. Ja natomiast z pewnością mogłam się o niego potknąć. Żaden problem.

Las nie wchodził w rachubę.

Może należało wybrać drogę, modląc się przy okazji, by jakiś samochód stanął, zabrał mnie i popędził dalej. Z drugiej jednak strony angażowanie niewinnych ludzi w samochodach oznaczałoby zniweczenie zamiaru nieangażowania niewinnych ludzi w domu Reeve.

Droga też nie wchodziła w rachubę.

Wspaniale. Nie miałam dokąd uciekać.

Okay, zastanów się. Ojciec Reeve był podejrzliwym typem. Musiał zamontować kamery w domu i na zewnątrz, a także wzdłuż granic posesji, monitorując wszystko, a ktoś wtajemniczony oglądał nagrany materiał. Pan Ankh bardzo szybko zlokalizował mnie i Kat.

Musiałam więc zaryzykować z lasem, bez względu na pułapki. Gdybym trzymała się w odległości kilkuset metrów od domu, uniknęłabym, jak miałam nadzieję, drutów w dużych ilościach. Mogłabym spróbować zapędzić zombi w jedno miejsce i, jeśli to możliwe, spalić je swoją dłonią, tak jak zrobił to Cole.

Byłam pewna, że w którymś momencie pan Ankh mnie zlokalizuje.

Przyspieszyłam; liście i gałęzie chłostały mnie po policzkach. Bujne korony drzew nie dopuszczały tak potrzebnego mi blasku księżyca, światło domu też zniknęło. Otoczyła mnie ciemność, podsycając strach. Mimo wszystko wlepiłam wzrok w ziemię – tym razem przed sobą – szukając czegoś sporządzonego ludzką ręką, czegoś, co wyrastałoby znienacka z grubszych korzeni. Nie chciałam stwierdzić nagle, że zwisam głową w dół z gałęzi pod postacią szwedzkiego bufetu dla wszystkich okolicznych zombi.

Zauważyłam przed sobą wzgórek uschniętych liści i zaczęłam się zastanawiać, czy zgromadzono je celowo, by coś pod nimi ukryć, ponieważ pozostała część terenu wyglądała nieskazitelnie, jak pozamiatana. Przeskoczyłam przez przeszkodę. Dwie sekundy później usłyszałam świst powietrza, pomruk. Spojrzałam za siebie. No i oczywiście, Pan Niemłody został schwytyany i teraz dyndał do góry nogami, nie mogąc się w żaden sposób uwolnić. Super!

Gdyby tylko innych spotkał ten sam los, ale nie, deptali mi już po piętach. Biegłam coraz szybciej, coraz szybciej, serce waliło mi jak młot pneumatyczny. Czułam w sobie potężną falę adrenaliny, a na plecach strużki potu. Dawne obrażenia przypominały o sobie.

Powtarzałam sobie, że pomimo mojej słabości zombi mnie nie pokonają. Nie pozwolę im na to. Będę z nimi walczyć, bez względu na ból czy ostateczny wynik. Będę...

Żar, który we mnie buzował, przerodził się w przenikliwy chłód. Nie zwolniłam ani na chwilę, nie zmieniłam kierunku, ale nagle poczułam się lżejsza, swobodniejsza, mój bieg wydał się pewniejszy. Zerknęłam przez ramię i zobaczyłam swoje ciało zastygłe w miejscu, jedna stopa przed drugą, jakbym znieruchomiała w pół kroku.

Zombi zignorowały moją cielesną powłokę, jakby to było tylko jedno z licznych drzew.

Wiara. W jakiś sposób wykazałam się wiarą i teraz przybrałam duchową postać. Tak!

Rzuciłam się w prawo, zbyt blisko grubego pnia, ale nie martwiłam się tym, zakładając, że przeniknę przez niego... aż do chwili, gdy chropowata kora otarła mi ramię. Co u licha? Choć byłam pozbawiona fizycznej powłoki ciała, odczuwałam dotyk czegoś tak zwartej jak drewno? To nie było logiczne.

Rozgryziesz to potem. Teraz się skoncentruj. Penetrowałam wzrokiem noc, szukając najlepszego miejsca, w które mogłabym zwabić zombi.

Moją uwagę przykuły migoczące światełka w dali. Kiedy zbliżyłam się do nich, stały się rozżarzonymi smugami... czegoś. Zmarszczyłam czoło. Przede mną majaczył wielki kamień, świecąc tak jasno, jakby był kawałkiem słońca spadłym z nieba.

Poczułam na karku tchnienie cuchnącego oddechu. Bojąc się, że zostanę złapana albo, co gorsza, ugryziona, krzyknęłam i przeskoczyłam kamień.

Zza moich pleców dobiegł łoskot.

Wciąż utrzymując się na nogach, niedrażnięta, ponownie spojrzałam

za siebie. Zombi, który zbliżał się do mnie, przewrócił się o kamień. Tuż za pierwszym biegł drugi i on też runął na ziemię. Inne wykazały się większym sprytem i pokonały przeszkodę tak jak ja; mnożyły się dosłownie. Były jak rój much. Gdy tylko pozbywałam się jednego, w to miejsce pojawiały się trzy inne.

Oby wsparcie pojawiło się szybko!

Mając nadzieję, że te świetliste smugi stanowią pomoc, że są strzałkami wskazującymi właściwy kierunek, ruszyłam w tamtą stronę. Metr dalej natknęłam się na ślepy zaułek – konary i liście tworzyły zwartą ścianę. Nie miałam dokąd uciekać. Skoczyłam do przodu, przedarłam się przez ten leśny mur i znalazłam się na otwartej przestrzeni.

Odwróciłam się błyskawicznie. Panna Niemłoda i wysoki, krzepki osobnik rodzaju męskiego przebili się przez tę samą ścianę, ścigając mnie bez wytchnienia. Ona miała na sobie brudną suknię. On był półnagi, ręce blade, pierś czarna, pokryta bąblami i strupami.

Pomrukując, rzucili się na mnie. Zęby brudne od ciemnej mazi kłapnęły, gotowe kąsać.

„Pozbaw ich władzy w nogach – mówił mi tata. – Jeśli zostaniesz otoczona, pozbaw władzy w nogach tylu przeciwników, ilu tylko zdołasz, żeby nie mogli cię ścigać wszyscy, kiedy będziesz uciekać”.

Teraz, kiedy byłam dotykalna dla zombi, a one dla mnie, ojcowska rada mogła się sprawdzić. Pochyliłam się i jednym płynnym ruchem cięłam nożem napastników w uda. Przelecieli nade mną, upadli na ziemię, ale szybko się pozbierali i znów dźwignęli na nogi. Panna Niemłoda znów przypuściła atak – chwyciła mnie za włosy i szarpnęła. Ostre pulsowanie w mojej czaszce przypominało rytm staccato, gdy się wyswobodziłam. Co było do przewidzenia, oboje natychmiast rzucili się na mnie.

Skoczyłam w stronę jednego z pni na obrzeżu polany, sądząc – mając nadzieję – że u podstawy drzewa zamontowano pułapkę i że zombi zostanie porwany w górę. Coś, cokolwiek. Tylko że ich nie porwało. Nie pochłonęła ich ukryta dziura w ziemi. Nic ich nawet nie powstrzymało. Wyciągnęły się w moją stronę chwytnie rozcapierzone dłonie...

Obróciłam się i kopnęłam męskiego osobnika w brzuch; poleciał do tyłu. Jednocześnie chwyciłam Pannę Niemłodą za włosy. Kłaki się oderwały, ale pod wpływem mojego szarpnięcia jej twarz poleciała do przodu i walnęła o pień drzewa. Nos odpadł pod wpływem uderzenia i spadł na ziemię. Wiedziałam jednak, że moja przewaga jest tylko chwilowa.

Zjawiała się reszta zombicznego gangu. Kopnęłam pierwszego, który mnie dopadł; tak jak jego towarzysz, poleciał do tyłu. Pozostałe zacieśniły krąg. Walłam pięściami, dźgałam nożem. Wymierzałam ciosy nogą, uskakując na boki, by mnie nie pochwyciły.

Moje postępy były mizerne.

Sama chętnie wpadłabym w pułapkę zastawioną przez Cole'a. Porwałoby mnie w górę, stałabym się dla nich niedostępna.

Niedostępna... Do diabła, może powinnam wspiąć się na drzewo – przyszło mi nagle do głowy.

Wspiąć się. Tak. Wsunęłam but w zagłębienie w pniu drzewa i podniosłam rękę. Moja dłoń natrafiła na gładki występ. Żarzący się występ, co zauważyłam, spojrzawszy w górę. Napięłam biceps i podciągnęłam się, unosząc wysoko nad ziemię. Wierzgając nogą, podniosłam drugą rękę i znalazłam jeszcze jeden żarzący się występ na korze; mój but natrafił nawet na drugie wgłębienie. Zyskałam kilka centymetrów... kilka kolejnych... kilka kolejnych.

Im wyżej się wspinałam, tym jaśniejszy blask mi towarzyszył, aż w końcu dostrzegłam szczeble drabiny przybitej do drzewa. To nie był zbieg okoliczności. Musiał to zrobić pan Ankh.

Jeden z zombi chwycił mnie za kostkę i szarpnął; przytrzymując się z całej siły drabiny, walnęłam go stopą w twarz. Gdy tylko mnie puścił, zaczęłam się błyskawicznie wspinać, pokonując resztę drogi ku górze.

Kiedy dotarłam na sam szczyt, byłam zdyszana, powietrze dobywało się ze świstem z mojego ściśniętego gardła. Zombi próbowały ruszyć

moim śladem, ale nie wiedziały, jak to zrobić.

Alleluja, właśnie zapewniłam sobie odroczenie wyroku.

Rozejrzałam się, licząc przeciwników. Szesnastu. Żeby wygrać, musiałam tylko obezwładnić każdego z nich, dotknąć ich serc i zamienić dłoń w miotacz ognia. Łatwe.

Tak. Owszem.

Panna Niemłoda otrząsnęła się już z lobotomii i przyłączyła do pozostałych, drapiąc zakrzywionymi palcami korę – i w końcu ruszyła po drabinie. Ogarnęło mnie przerażenie. I to wszystko, jeśli chodzi o odroczenie wyroku.

Wiedziałam, co muszę zrobić, i wyciągnęłam drugie ostrze. Załatw tyłu, ilu zdołasz, i uciekaj, tak jak mówił tata. Nie zastanawiaj się dłużej. Po prostu działaj. Skoczyłam, wykonując salto nad głowami zombi. Kiedy wylądowałam na ziemi, moje kolana walnęły o siebie; poczułam koszmarny wstrząs, mózg załomotał mi w czaszce, ale odwróciłam się szybko, ramiona zatoczyły łuk, oba ostrza cięły. Uderzyłam męskiego osobnika w gardło, tak głęboko, że jego kręgosłup zapoznał się z rękojęścią noża. Z krtani dobył mu się ryk, kiedy runął w bok.

Nie miałam czasu położyć mu dłoni na piersi i przysmażyć go płomieniem. Kobieta rzuciła się na mnie i uderzyła mnie w policzek. Zachwiałam się, potknęłam o coś twardego i upadłam. Chciałam się podnieść, naprawdę. Chciałam wspiąć się z powrotem na drzewo i powtórzyć tę małą sztuczkę ze skokiem i przecinaniem gardła. Wspaniale, tylko że za moimi plecami wyciągnęły się błyskawicznym ruchem ręce, chwyciły mnie w talii i przytrzymały.

Poczułam w barku ostre zęby. Krzyknęłam pod wpływem obezwładniającego bólu, zdawało mi się, że liżą mnie płomienie, tłumiąc we mnie chłód. Oczy zaszyły mi mgłą, a mięśnie zacisnęły się w twarde węzły.

– Ankh! – wrzasnęłam. – Cole!

Nie usłyszałam tupotu, żaden wielki i silny mężczyzna nie przybył mi na ratunek.

To nie mógł być mój koniec. Stawiałam śmierci czoło już kilkakrotnie i zawsze wychodziłam z tego starcia obronną ręką. Wiedziałam, że mi się uda.

– Zabiję was! – krzyknęłam, wściekła, że pozwoliłam sobie na taką bezradność. – Jesteście martwi!

Stwierdziłam z bezbrzeżnym szokiem, że moja prawa ręka rozpałała się w mgnieniu oka, jarząc się tym samym skoncentrowanym białym światłem co smugi. Próbowałam chwycić zombi, który wciąż grzebał mi zębami w ramieniu, ale zdołałam tylko przesunąć opuszkami palców po jego czole.

To wystarczyło.

Zamienił się w popiół.

Ciemne drobinki opadły jak deszcz, blask w mojej dłoni przygasł. Szok, którego wcześniej doznałam, spotęgował się. Dlaczego... Jak... „Dowiedzieliśmy się, że cokolwiek mówimy w postaci duchowej, dzieje się, dopóki nie narusza to czyjejś wolnej woli i dopóki w to wierzymy”.

Słowa Cole’a pojawiły się nagle w moich myślach.

Próbowałam wstać, ale nie miałam siły. Zombi... wszędzie... z wszystkich stron...

– Nie zbliżajcie się! – krzyknęłam.

Spojrzały na moją dłoń, zauważyły, że blask przygasa... znika... i skoczyły na mnie, przygważdżając do ziemi. Sezon polowań na Ali, ot co. Próbowałam odepchnąć Pannę Niemłodą, ale nachyliła się i ugryzła mnie. Wszystkie mnie gryzły, gryzły, gryzły.

– Puszczajcie! Zabiję...

Żaden nie posłuchał, a moja dłoń nie rozpałała się na nowo. Ból znów rozgorzał, niczym gwiazdny wybuch. Z moich ust dobył się przeraźliwy krzyk; byłam pewna, że bębenki uszne będą krwawić mi przez całą wieczność.

Bardzo krótką wieczność.

Byłam sama, pokąsana niezliczoną ilość razy. Zombi przypominały zwierzęta – pomrukiwały z ekstazy, zatapiały we mnie zęby, szarpały mnie jak psy, które dorwały ulubioną kość. Koniec ze mną.

Kaleczyć... zabijać... niszczyć...

Te słowa wypełniały mi umysł, wydawało się, że w moich żyłach płynie jakiś kleisty, siarczany olej i że oblepia moje ciało.

Ranić... Powinnam kogoś zranić, pomyślałam mgliście.

Zabijać... powinnam kogoś zabić.

Niszczyc... powinnam zniszczyć WSZYSTKO.

Uścisk szczęk Panny Niemłodej nagle zelżał. Moja ręka opadła na ziemię, całkowicie bezwładna, bezużyteczna. Szelest liści, głuche kroki. Zombi przeżuujące głośno moje ramię nagle mnie porzuciły. Znowu szelest, świst powietrza, okropny ryk. Próbowałam usiąść, ale nie byłam w stanie. Palenie, które odczuwałam, nie zelżało. Nasiliło się tylko.

Nagle w powietrzu pojawiła się woń czegoś boskiego. Napłynęła mi ślina do ust. Smak. Chciałam poczuć ten smak. Mogłabym dla niego ranić, zabijać i niszczyć.

Szyję przeszył mi piekący ból. Przygniótł mnie ogromny ciężar.

Mroczne pragnienia przygasły. „Coś boskiego” przerodziło się w coś okropnego. Poczułam, jak do gardła napływa gorzka i paląca żółć; zakrztusiłam się.

– Och, Ali – usłyszałam głos Cole’a, nabrzmiały od przerażenia. Po

twarzy musnęły mnie delikatne palce, podniosły i obróciły rękę, by zbadać obrażenia. – Tak mi przykro. Nie powinienem był cię zostawiać. Przepraszam. Dotarłem tu jak najszybciej.

– Nie wiem, skąd o tym wiedziała – rzucił pospiesznie jakiś mężczyzna. – Ale udało jej się schwytać kilku w nasze pułapki.

Nie mogłam rozpoznać jego głosu.

Znów poczułam na twarzy te delikatne palce.

– Każdy zombi, który cię zaatakował, jest martwy, Ali. Przysięgam. Wszystkie zapłaciły.

– Musimy ją stąd zabrać. – Powiedział to Szron, jak mi się wydawało.

– Ja ją wezmę – oświadczył Cole, a te słowa miały w sobie tak ostry ton, że wiedziałam jedno: nikt nie śmiałby mu się sprzeciwić. – Wy zajmijcie się jej dziadkami.

Zająć się dziadkami... jak? Wsunęły się przede mnie ręce i uniosły. Ten ruch sprawił, że rany pozostawione przez zombiczne zęby zapłonęły żywszym ogniem; zakwiliłam.

– Trzymam cię – zapewnił Cole. – Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało.

Wydawało się, że upłynęły godziny, zanim wydostaliśmy się z lasu. Nagle dotarły do mnie odgłosy przyjęcia: stłumione głosy, śmiech, szybka łomocząca muzyka, nawet plusk wody. Kapali się pewnie w basenie.

Próbowałam się wyrwać Cole'owi, sprawiając sobie jeszcze większy ból, ale nie dbałam o to. Nie chciałam, by ktokolwiek mnie zobaczył. Na próżno – był za silny.

– Spokojnie – powiedział cicho. – Do pomieszczenia, które odkryłaś razem z Kat, prowadzi podziemne przejście. Będziemy mogli się tam opatrzyć. Nikt cię nie zobaczy, przysięgam. I wyzdrowiejesz, słyszysz

mnie? Podalem ci antidotum. Potrzebujesz tez innych lekow, ale najgorsze, co cie czeka, to zbyt pozny powrot do domu. Bdziesz na kilka tygodni uziemiona.

Moze i tak, ale wiedzialam, ze moi dziadkowie beda sie zamartwiac przez kazda minute mojego spoznienia. Nie moglam do tego dopuscic.

– Musze... zadzwonic... – zdoalam wydusic przez zaciśnięte zęby. Ból... zbyt silny... zbyt silny... – Nie moge... pozwolic...

– Szron poda im srodek odurzajacy, okay? Nie wystrasza sie – dodal, wiedzac prawdopodobnie, ze mam zamiar zaprotestowac. – Nawet sie nie zorientuja, ze byl u nich. Przeapia cala noc i obudza sie rano wypoceci jak nowo narodzone dzieci. Oczywiscie, beda wiedzieli, ze nie wrocilas o wyznaczonej porze, nic sie nie da tu zrobic, bo jest juz dwadzieścia pięć minut po północy, a Szron nie dotrze tam wczesniej niz za kwadrans, ale nie beda wiedziec, o ktorej tak naprawde pojawilas sie w domu.

Jego głos zaczął odbijać się echem. Znajdowaliśmy się w jakimś tunelu. Prawdopodobnie w podziemnym przejściu. Gdybym krzyknęła – a naprawde miałam ochote krzyknac – głos mojego bólu odbijałby się nieskończonym echem i Cole już na zawsze zapamiętałby mnie jako ofermę. Przyszło mi do głowy, że nie moge do tego dopuscic.

Nie wiedzialam jednak, co jest gorsze. Potencjalny uszczerbek ego czy to, ze czulam sie tak, jakbym runela w ogien piekielny.

Kiedy Cole przystanal, z trudem zdoalam przemienic wzbierajacy we mnie krzyk w chrapliwe westchnienie. Uslyszalam kroki, potem jek zawiasow. Cole znów ruszył i po chwili poczulam, jak kladzie mnie na zimnej twardej powierzchni. Nagle otoczyły mnie głosy, męskie i kobiece.

– Ilu ją dorwało?

– Ośmiu, których widziałem. Niewykluczone, że więcej. Gonilo ją całe ich gniazdo.

– Jak długo mogli się nią żywić?

– Nie wiem. Ale nie widzieliśmy się niespełna godzinę, więc obrabiały ją zapewne krócej.

– Któryś przeżył?

– Nie, sir. – Duma w głosie, potem krótka pauza. – Jak poważne są jej obrażenia?

Następna chwila milczenia była brutalna, szarpiąc resztki moich nerwów.

– Bardzo poważne. To, co przedostało się do jej ducha, jest teraz w jej mięśniach. Jeśli przeniknie do kości...

Z ust Cole'a dobył się wianuszek przekleństw.

Musiało być ze mną naprawdę kiepsko.

– Pomóżcie... mi – zdołałam z siebie wydusić. Przestańcie gadać ze sobą i pomóżcie mi! Każda kolejna sekunda była gorsza od poprzedniej.

Rozcięto na mnie bluzkę, może nawet stanik. Za bardzo mnie bolało, żebym miała się przejmować swoim darmowym peepshow. Za bardzo mnie bolało, żebym miała się przejmować swoją reputacją. Krzyknęłam, dając wyraz czystemu, absolutnemu cierpieniu. Ten, kto mnie rozbierał, nie przerwał tej czynności nawet na chwilę. Pozbawiono mnie w pośpiechu dżinsów i butów.

Coś zimnego sondowało ranę w mojej szyi; wygięłam się cała w łuk i znów krzyknęłam. Ból... wcześniej tylko mi się wydawało, czym jest. Teraz był prawdziwy. Ból w swej najczystszej formie. Ból, ból, ból.

– Niech pan ją uśpi! – wrzasnął Cole.

Gdzieś na obrzeżach mojego umysłu majaczyło coś jeszcze, ale nie mogło się skryształizować. Nie dawało mi spokoju, przyprowadzało o niepokój, nawet mdłości. A może to była zombiczna toksyna albo antidotum, albo coś innego.

Poczułam ukłucie w przedramieniu i zaczęło się po mnie rozlewać jakieś ciepło. Zamroczenie stłumiło tamtą świadomość bólu, ogarniało mnie bez reszty i oto płynęłam nagle po morzu miękkich chmur.

Płynęłam...

Coraz dalej...

*

...płynęłam...

...z powrotem....

Opierałam się wnikanii w ciało. Chciałam pozostać w tym niezmiernym królestwie nicości, gdzie wszelkie kłopoty i problemy pochłonęła przeszłość i gdzie nie istniał ból. Ale przegrałam tę walkę, tak samo jak przegrałam walkę z zombi.

Zombi.

Słowo to było jak postronek przyciągający mnie bezlitośnie. Opadłam... utknęłam w dole... niezdolna do ucieczki.

Poczułam, jak ściska mi się żołądek, jak przeszywa mnie w górę i w dół palące żądło. Z mojej krtani wyrwał się jęk. Miałam wrażenie, że mój umysł to wielka, kopiasta miska galarety i że mam sklezione powieki. Musiałam zamrużyć szybko, żeby je rozewrzeć. Próbowałam odzyskać ostrość wzroku. Gdzieś w tle słyszałam cichy pisk: bip, bip. Czułam silną woń środka czyszczącego zmieszana z paskudnym zapachem rozkładu.

Wisiła nade mną zbyt jasna lampa, kołysząc się tam i z powrotem. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętałam, było przyjęcie, potem walka. Zęby zatapiające się w moim ciele. Jak się tutaj dostałam? I, przy okazji, gdzie było owo tutaj?

Serce zabiło mi szybciej, a wraz z nim przyspieszył tamten piskliwy dźwięk. Próbowałam się podnieść, ale coś trzymało mnie za nadgarstki, nie pozwalając wstać. Obróciłam głowę, by zobaczyć, co to takiego,

i krzyknęłam. Skóra na szyi i ręku napięła się, wywołując w każdej cząstce mojego ciała ból, który przypominał dźgnięcia nożem.

– Uspokój się – powiedział ktoś.

Nie byłam sama. Sztywniejąc, rozejrzałam się po pokoju. Mężczyzna, który mówił, znajdował się poza zasięgiem mojego wzroku.

– Kto tu jest?

– I nie ruszaj się – dodał ktoś inny. – Bo pozrywasz sobie szwy.

– Nie możesz się zresztą uwolnić. – Kobięcy głos, który kogoś mi przypominał, ale nie wiedziałam kogo. – Jesteś przywiązana.

Przywiązana? W końcu skupiłam wzrok na nadgarstkach. Spoczywały po moich bokach, przytwierdzone do stołu. Uspokoić się? Jeszcze czego!

– Puśćcie mnie! Natychmiast! – Słowa drapały mnie w gardło jak ostre kawałki szkła.

– Jeśli nie uspokoisz się dobrowolnie, znowu podam ci odpowiedni środek i będziesz całkowicie bezradna. Chcesz być całkowicie bezradna, panno Bell?

Zza zasłony wyłonił się ojciec Reeve, pan Ankh. Garnitur zamienił na poplamiony krwią strój chirurgiczny i kitel laboratoryjny. Na szyi miał stetoskop. Ciemne włosy były nastroszone, oczy zaczerwienione.

U jego boku stanął wyższy mężczyzna o ciemnych, choć równie rozczochranych włosach. Rysy miał bardziej toporne, brodę znaczył cień zarostu. Oczy przypominały barwą metaliczny błękit, nos był lekko wybrzuszony pośrodku. Twarz i ramiona nosiły ślady brudu, ale dłonie odznaczały się nieskazitelną czystością.

Obok niego z kolei pojawiła się doktor Wright. Miała cienkie okulary w rogowej oprawie, ręce skrzyżowała na piersi. Sukienkę zastąpiła obszerną koszulą zapinaną na guziki i spodniami od dresu, tak długimi, że

musiała spać je na wysokości kostek. Jakimś cudem ten nieformalny strój nie ujmował jej autorytetu.

– Jak się czujesz, Ali? – spytała. – Byłaś nieprzytomna przez większość nocy.

– Czuję się tak, jakbym chciała, żeby ktoś mnie uwolnił. Powiem jasno. Tym kimś jest pani!

Tym razem odezwał się nieznajomy:

– Zamierzają ci zadać kilka pytań. Im prędzej im na to pozwolisz, tym prędzej zostaniesz uwolniona.

Napinając się, zobaczyłam, że do pomieszczenia wchodzi Cole. Nie przebrał się, choć jego T-shirt i dżinsy były ubrudzone krwią. Moją krwią, pomyślałam. Na głowie miał białą bejsbolówkę, spod spodu sterczały niesforne ciemne włosy. Jego twarz pogrążona była w cieniu; nie mogłam dostrzec, co maluje się w jego wzroku.

– Kto to jest? – spytałam, wskazując ruchem brody jednego człowieka, którego nie znałam.

– Mój ojciec. Na imię ma Tyler.

Otworzyłam szeroko oczy i skupiłam wzrok na mężczyźnie o topornych rysach. Teraz, kiedy wiedziałam, kim jest, dostrzegłam podobieństwo do Cole'a. Te same wysoko osadzone oczy, ta sama wyraźnie zaznaczona i świadcząca o uporze broda.

Chcąc, nie chcąc, wyciągnęłam się na twardej powierzchni metalowego łoża i skinęłam sztywno głową.

– Dobrze. Pytajcie.

Pan Holland zaczął jako pierwszy. Nie potrafiłam myśleć o nim jako o Tylerze. To brzmiało zbyt nieformalnie, zbyt przyjacielsko, podczas gdy on się taki nie wydawał, i to w najmniejszym stopniu.

– Jak się dowiedziałaś, gdzie znajdują się te pułapki? Ponieważ, jak sądzę, nie mogłaś się zorientować, gdzie są, chyba że nas szpiegowałaś.

Powiedzieć prawdę czy nie powiedzieć? Może zdolność dostrzegania świetlistych smug była znakiem, że nadaję się na zabójczynię zombi – jedną z tych „wielu” umiejętności, o których wspomniano w dzienniku. A może nie. Może zakończyłoby to cały ten antagonizm naznaczający teraz moje życie. A może nie. Może antagonizm pogłębiłby się jeszcze bardziej.

Tak czy inaczej, zrobiłam to; opowiedziałam o świetlistych smugach. Twarze otaczających mnie ludzi pozostały sztywne i surowe, nawet kiedy patrzyli na siebie, jakby ciekawi, co myślą inni.

Kazali mi opisać te smugi, a ja starałam się unikać tonu w rodzaju: a jak miały wyglądać, idioci? Kazali mi wskazać właściwy kolor z palety barw na ekranie laptopa. Kto by pomyślał, że biel ma tyle odcieni? Pytali o ojca, o to, co mówił i robił, a potem o dziadka, którego nigdy nie poznałam.

– Myślę, że wiem, co widziałaś – oznajmił pan Ankh. – Czy raczej co wywołało blask.

Kiedy nie powiedział nic więcej, warknęłam:

– No co?

Wymienił z panem Hollandem ponure spojrzenie. Potem pan Holland skinął głową, a pan Ankh wyjaśnił:

– Linie Krwi.

Cole wspominał o rozlaniu jakichś chemikaliów wokół domu, powstrzymujących zombi. Ale dlaczego mieliby znaczyć drzewa?

Pan Holland cmoknął.

– Zombi wychodzą wtedy, kiedy nie powinny tego robić, chodzi im po prostu o ciebie. Dlaczego tak się dzieje?

– Nie wiem – odparłam. – Może wy mi powiecie. Nie ulega wątpliwości, że wiecie o tym wszystkim więcej ode mnie.

Przestał cmokać i zaczął pomrukiwać.

– Musisz coś wiedzieć. Jak inaczej zdołałabyś przeżyć tyle ataków?

Poczułam, jak wzbiera we mnie gniew, rozpalony do białości ogień, który pochłania wszystko na swojej drodze.

– Sugerujecie, że współpracuję z zombi? Że im zapłaciłam, by sfingowały ten atak i bym mogła przeniknąć do was?

– A zrobiłaś to? – spytał pan Holland.

– Tak, rzeczywiście – odparłam głosem słodkim jak miód – macie rację. Poszłam pewnego wieczoru na obiad z zombi Carlem. Wiecie, krwiste steki i butelka dobrego wina. Zdradził mi wszystkie swoje sekrety, ale na nieszczęście dla was obiecałam mu, że nikomu ich nie przekażę. W zamian poprosiłam go, żeby zebrał swoich najlepszych, nie do końca zmarłych kumpli i ścigał mnie na podwórku mojej przyjaciółki. I och, tak, nie miałam nic przeciwko temu, gdyby zechcieli wykorzystać mnie jako całonocny bufet, ponieważ świeże organy to przebój sezonu.

Cole odwrócił się, a ja usłyszałam, że parska dziwnie. Czy... śmiał się ze mnie?

Jakim prawem! Przecież mówiliśmy o moim życiu.

Powinnam była zasznurować usta, żeby nie dawać mu powodu do rozbawienia, ale nie mogłam opanować gniewu.

– Wiecie co, nie można wykluczyć, że jestem najlepszym zabójcą w tym pokoju. Przyszło wam to kiedykolwiek do głowy? – Mniejsza o to, że o mało nie zginęłam. – Może, gdybyście byli inteligentniejsi, nie okazywalibyście takiego zdziwienia, kiedy ktoś zdradza nadzwyczajne zdolności.

Troje dorosłych gapiło się na mnie.

– Tak dla jasności – zwróciłam się do ojca Cole’a. – O co dokładnie mnie pan podejrzewa? I co według pana już zrobiłam? Nie powiedział pan. Myśli pan, że wypaple wszystko ludziom, z którymi współpracuje Justin Silverstone? No cóż, nie zrobię tego. Ich motywy są wątpliwe, jak twierdzi Cole, a ja mam zbyt dużo do stracenia.

Czekałam, ale nie spieszyli się z odpowiedzią. Patrzyli tylko na mnie, czekając. Moja mama posługiwała się tą samą taktyką; liczyli na to, że przerwę milczenie i zacznę zdradzać sekrety.

– Wszystkich nowych traktujecie w ten sposób? – spytałam. – Czy zakuliście Mackenzie w łańcuchy i przesłuchaliście ją, zanim uznaliście, że jest was godna?

– Oho – mruknął Cole. – Znowu pytania. I to na całego.

Zignorowałam go.

– Cole twierdzi, że jesteś najbardziej zagadkową osobą, jaką w życiu spotkał. – Pan Holland masował sobie kark; gest, który wielokrotnie już zauważyłam u jego syna. – Ale jeśli sądzisz, że będziemy odpowiadać na twoje pytania, dopóki nie uzyskamy dowodu świadczącego o twoich dobrych intencjach, to jesteś beznadziejnie głupia. Justin nas zdradził. Nauczył tych ludzi, jak polować na zombi i jak polować na nas. Nie znoszą sprzeciwu i z pewnością bez wahania podsunęliby nam dziewczynę, by niszczyć nas od wewnątrz. Chcą się pozbyć nas, nie zombi.

– Dlaczego?

– A dlaczego nie? Walczymy z nimi, przeszkadzamy im w badaniach.

Nie wspomniałam, że sam jest beznadziejnie głupi. Właśnie odpowiedział na jedno z moich pytań, i to bez dowodu, którego tak oczekiwał.

– Nie sądzi pan chyba, że jestem tu po to, by sabotować wasze działania. Oznaczałoby to, że celowo spowodowałam wypadek samochodowy, który zniszczył mi życie. – Próbowałam wziąć palcami w cudzysłów słowo „zniszczył”, ale zaciski na nadgarstkach uniemożliwiały to skutecznie. – Może nawet zamordowałam własną rodzinę, żeby przyciągnąć zombi i ich zwierzchników i móc zasilić ich szeregi.

Pan Holland nie okazał nawet cienia litości.

– Zapewniam cię, że to możliwe.

A to oznaczało, że mi nie uwierzą, cokolwiek bym powiedziała.

– W porządku. Załóżmy, że z nimi pracuję. Co takiego miałabym badać?

Z jakiegoś powodu Cole wybuchnął śmiechem, nie mogąc już dłużej ukrywać rozbawienia. Pan Holland posłał mu spojrzenie, które krzychało wręcz: „przymknij się” i było głośniejsze od słów, oszczędzając mi tym samym kłopotu.

– Co? – rzucił Cole. – Nie uda się wam jej zastraszyć. Wierzcie mi, próbowałem.

– Jeśli chodzi o zombi, chcą się dowiedzieć, jak osiągnąć nieśmiertelność. Jeśli chodzi o nas, chcą poznać duchowe siły, które wykraczają poza wszelkie wyobrażenie. O cóż innego by im chodziło?

Może wierzyli mi mimo wszystko. Odpowiedzi przychodziły im teraz znacznie łatwiej. A może nie ujawniał żadnych rewelacji, może była to kwestia powszechnej wiedzy pośród zabójców i tych w kombinezonach ochronnych. Tak czy owak, nie obchodziło mnie to za bardzo. Miałam problemy, by przetrwać to, co właśnie powiedział. Nadzieja na znalezienie sposobu, który pozwalałby wszystkim spędzić całą wieczność jako gnijący i chodzący duch-trup? Kiepskie. Jeśli chodzi o badania nad ludźmi zdolnymi widzieć zombi – to rozumiałam. Nienawidziłam, ale rozumiałam.

– Jak zombi zostały w ogóle stworzone?

Panowie wymienili spojrzenia, nim ojciec Cole'a odparł:

– Zombi istnieją, ponieważ zło istnieje. Nie wiemy dokładnie, jak do tego doszło, możemy się tylko domyślać.

– Sądzymy, że źródło zła istniało tu przed nami i zdołało przedostać się do ludzkiego życia – dodała doktor Wright. – Jak każda nieleczone choroba, rozprzestrzeniało się i stawało groźniejsze, silniejsze.

Obaj mężczyźni popatrzyli na nią ze zmarszczonym czołem, ale nie skarcili jej.

Byłam skłonna się z nią zgodzić.

– Jak już wam mówiłam, zombi spowodowały wypadek, w którym zginęła moja rodzina. Nigdy nie będę z nimi współpracowała ani z nikim, kto im pomaga.

Przyglądając mi się z uwagą, pan Holland przysunął się do stołu.

– Pewnej letniej nocy wraz z kilkoma kolegami wyciągnęliśmy twojego ojca z domu, tak dla żartu. Zombi albo podążały za mną, albo polowały na niego, ponieważ pojawiły się znikąd i zaatakowały. Tylko my dwaj zareagowaliśmy. Był to pierwszy raz, kiedy coś takiego mi się przytrafiło. Nazajutrz poszedłem z nim porozmawiać, ale zdążył już zabrać twoją matkę i się wyprowadzić.

Napłynęły mi do oczu łzy, kiedy pomyślałam o tym, co mój tata musiał przecierpieć tamtej nocy. Chciałam znienawidzić za to pana Hollanda, naprawdę, ale sama traktowałam ojca niewiele lepiej, czyż nie?

– Przykro mi z powodu tego, co zrobiłem – powiedział szorstko pan Holland. – I przykro mi z powodu twojej rodziny.

Miałam mokre policzki; zdołałam wykrztusić chrapliwie:

– Dziękuję.

Chyba pan Ankh poczuł się w tej sytuacji nieswojo, ponieważ zmienił czym prędzej temat.

– Dlaczego węszyłaś w moim domu, panno Bell?

– I dlaczego Kat była z tobą? – dodała doktor Wright. – Jest w to wszystko zamieszana?

Nie zamierzałam pod żadnym pozorem donosić na Kat.

– Nie, nie jest zamieszana. Szukałyśmy ustronnego miejsca, żeby pogadać, to wszystko. Poza tym nie możecie mieć pretensji o to, że włóczyłyśmy się po domu. Wiedzieliście, że odbywa się przyjęcie. I wiedzieliście, że uczestnicy będą pili i pałętali się wszędzie. Trzeba było ustawić barykady.

– Ustawiliśmy.

– No to ktoś je usunął!

Troje dorosłych nachyliło się ku sobie i niebawem dało się słyszeć szeptaną rozmowę. Decydowali o moim losie? O tym, czy zasługuję na to, by się do nich przyłączyć, czy też nie? Może nie wiedzieli o tym, że Cole zdążył już mnie wykluczyć.

Co ty robisz, siedząc tu beczynnienie? Masz teraz szansę działania.

Choć Cole obserwował mnie – czułam żar jego spojrzenia – zaczęłam ukradkiem zmagać się z więzami. Moje ruchy, co prawda nieznaczne, naciągnęły szwy i przyprawiły mnie o grymas bólu. Zacisnęłam zęby i dalej robiłam swoje. Nie miałam zamiaru dłużej akceptować bezradności. Nigdy więcej.

Sukces! Udało mi się wyswobodzić dłonie. Wystarczyło jedno spojrzenie na stopy, by się przekonać, że otworzyłam sobie rany; skórę miałam pokrytą paciorkami krwi. Gra warta świeczki.

– Postanowiliśmy ci zaufać, panno Bell – oznajmił pan Ankh. –

Proszę tylko pamiętać, że będziemy cię obserwować.

– Niesamowite – odparłam sucho. – Ale pewnie nie rozmawialiście z Cole’em. Ma inne zdanie.

– Wiemy, że cię wtajemniczył, a potem wywalił. Jedno i drugie zrobił bez naszej wiedzy i pozwolenia. Tym samym nie ma to znaczenia – wyjaśniła doktor Wright.

Pan Holland zwrócił się do syna.

– Jest twoja, Cole. Powodzenia.

Po czym trójka dorosłych opuściła pokój.

Cole podszedł do stołu, na którym leżałam, i usiadł obok. Przyglądałam mu się ukradkiem. Zdjął czapkę, odłożył ją i przesunął palcami po włosach.

– Możesz spojrzeć mi w oczy – powiedział. – Jest prawie ranek, a ty obudziłaś się raz w ciągu nocy. Doznaliśmy już dzisiejszej wizji.

– Naprawdę?

– Okay, ja doznałem.

– I co widziałeś?

– Powtórkę tej pierwszej.

Pocałunek.

– No cóż, możesz o tym zapomnieć.

Odsunęłam się nieznacznie od niego, żebyśmy nie mogli się stykać jakkolwiek częścią ciała. Zauważył to – i przysunął się jeszcze bliżej.

A więc nie doznałam tej wizji. Przestałam się ruszać. Chciał mnie dotykać, to proszę bardzo, ale nie miałyby to żadnego znaczenia.

Postarałabym się o to.

– Dokąd poszło Koszmarne Trio? I co cię tak bawiło?

Skrzywił powoli usta w uśmiechu.

– To, że jesteś urocza, kiedy zadajesz zbyt wiele pytań jak na jedną osobę. Ale spróbuję na nie odpowiedzieć. Tamci poszli powiedzieć innym, żeby traktowali cię odpowiednio. – Podniósł mój nadgarstek i zaczął mu się przyglądać, nawet słowem nie komentując faktu, że zdołałam się uwolnić. – O to mi właśnie chodziło. Żebyś uniknęła czegoś takiego.

– Powiedziałaś ci. Mogłabym umrzeć za sprawę.

– Niewykluczone, że tak się stanie – rzucił gniewnie.

Odpowiedziałam mu milczeniem, tak jak on wielokrotnie mi odpowiadał... aż do chwili, gdy jego kciuk zahaczył o jedną z moich ran, a ja jęknęłam.

Nagle wszystko w nim złagodniało.

– Przepraszam, że mnie tam nie było. – Miałam wrażenie, że jego głos załamał się na ostatnim słowie. – No tak. Nie ma dla ciebie wyjścia. Jesteś na nas skazana.

Jak złowieszco zabrzmiały te słowa.

– Dla Justina było wyjście.

– Tak, tylko dokąd nas to zaprowadziło? – Cole wstał, podszedł do stolika na kółkach z mnóstwem różnych przedmiotów i przyciągnął go do stołu. – Nie popełnimy tego samego błędu dwa razy. Jeśli nie jesteś z nami, to jesteś z nimi, a zważywszy na twoją umiejętność postrzegania Krwawych Linii w sferze ducha, nie możemy dopuścić, żebyś była z nimi.

W porządku, a więc przeszliśmy od złowieszczej prognozy do jawnej groźby.

– Pozbyłbyś się mnie?

Drgnął mu mięsień w szczęce.

– Nie. Nie zrobiłbym tego.

Inni najwidoczniej by zrobili.

– Muszę szczerze wyznać, że jak na razie niespecjalnie mi się podoba moja nowa drużyna.

Nie podjęłam jeszcze formalnej decyzji, jeśli chodzi o przystąpienie do ich grupy, ale uświadomiłam sobie, że ta decyzja została podjęta za mnie. Nie mogłam zrobić tego sama; było to poza wszelką dyskusją.

Cole zajął się moimi ranami.

– Pokochasz ich z czasem. Będą stać na twojej straży.

A ja będę stać na ich straży.

– Więc nikt inny, będąc w postaci duchowej, nie widzi tych Krwawych Linii?

– Nikt z obecnie żyjących, ale kilka lat temu był jeden człowiek, który to potrafił. To on przewodził mojemu ojcu i jego przyjaciółom.

Pomyślałam o dzienniku, który znalazłam. Może napisał go ten niegdysiejszy przywódca.

– Lubił pisać szyfrem?

Cole spojrzał na mnie ze zmarszczonym czołem.

– Dlaczego o to pytasz?

– Hm, powiem ci później – odparłam. – Może. Jeśli ci jeszcze kiedykolwiek zaufam.

Otworzył usta, jakby chciał wyciągnąć ode mnie coś więcej, ale w końcu skinął tylko głową.

– W porządku. A ponieważ wiem, jak bardzo uwielbiasz szczegóły, powiem ci, zanim zapytasz, że nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego ten człowiek widzi Linie Krwi, skoro nikt inny nie mógł ich zobaczyć.

– Co się z nim stało? – spytałam, po czym skrzywiłam się zirytowana. Już kilkakrotnie wspomniał o mojej ciekawskiej naturze. Musiałam bardziej panować nad językiem.

– Zginął podczas ataku. To wszystko.

Skończył opatrywać mi rany i zabandażował oba nadgarstki.

A zatem były tylko dwa znane przypadki ludzi obdarzonych tą umiejętnością. W dzienniku wspomniano, że każdy z nas powinien posługiwać się wszelkimi umiejętnościami, jeśli tylko zdoła poddać się wewnętrznej sile. Może tamten facet i ja byliśmy jedynymi, którzy się jej poddali.

– Zostałaś ugryziona wielokrotnie i głęboko, ale antidotum zneutralizowało w końcu toksynę – oświadczył Cole. – Będziesz przez kilka najbliższych dni odczuwała zmęczenie, nie będziesz taka silna ani szybka, ale powinnaś całkowicie wyzdrowieć.

Powiedział to tak, jakby istniało ryzyko, że antidotum nie zadziała, i nie bardzo wiedziałam, jak mam na to zareagować. Ulgą, że mi się udało, czy przerażeniem, że mogłam umrzeć.

– Czy ty... chodzi mi o to, że byłeś ugryziony wcześniej. Jestem tego pewna.

– Częściej, niż pamiętam. Im dłużej zombi żyją – mówię „żyją” z braku lepszego określenia – tym większym się wykazują sprytem. Uczą się, jak omijać pułapki, choć nigdy to nie dotyczy Linii Krwi. Współpracują. Urządzają zasadzki. Tropią.

To ostatnie słowo przykuło moją uwagę. Byłam tropiona. Panna

Niemłoda i jej towarzysz pojawiali się w lesie za moim podwórkiem przez wiele nocy, a potem u Reeve. Nie ulegało wątpliwości, że stanowiłam ich cel.

– A te Linie Krwi... – drążyłam, nie zadając konkretnego pytania.

– Chcesz wiedzieć o nich więcej?

Skinęłam głową i dostrzegłam błysk w jego oku, kiedy odparł:

– Tworzą energię, która powoduje, że przedmioty w strefie duchowej nabierają cech fizycznych, co sprawia, że zombi nie mogą przez nie przenikać. Ta energia wydziela również zapach, który jest dla nich odrażający. Dlatego pierzemy ubrania w rozcieńczonej mieszance chemikaliów. Tylko ludzkie ciało nie manifestuje się poprzez tę energię.

Fascynujące.

– Chcę tego trochę.

– Dostaniesz dopiero wtedy, kiedy nauczysz się właściwie tym posługiwać.

– To znaczy kiedy?

– Wkrótce.

Trudno było się z tym spierać, ale jakże chciałam.

– Czy twój tata walczy? – Cholera. Znowu pytanie.

– Nie. Pojawiła się u niego alergia na antidotum i musiał się wycofać.

Jego ton sugerował, że wszyscy się pewnego dnia nabawimy alergii, ale nie zamierzałam się teraz o to martwić.

– I co dalej?

Spojrzenie, jakim mnie obrzucił, było równie pocieszające, co wzrok bazyliuszka.

– Pojedziesz do domu i odpoczniesz. Zastanowisz się nad kłamstwami, którymi będziesz musiała uraczyć swoich dziadków. Jak tylko wyzdrowiejesz, zaczniesz się twoje szkolenie.

Kiedy wróciłam do domu późnym rankiem w niedzielę, stwierdziłam ku swemu zdumieniu, że moi dziadkowie śpią najspokojniej w świecie, tak jak obiecano (nie było królika na niebie. Sprawdziłam. Tak, owszem, wiedziałam teraz, że chmura ma związek z zombi, nie z samochodami, ale dziewczyna zawsze musi się wykazywać ostrożnością). Cole podrzucił mnie ze zwiędłym „Przyjadę rano zabrać cię do szkoły. Siódma piętnaście. Bądź gotowa”.

Powiedziałam mu, żeby nie zawracał sobie głowy i że pojedę autobusem. Musiałam się ostatecznie rozmówić z Justinem i uznałam, że należy to zrobić jak najszybciej. Spojrzenie, które posłał mi Cole, mogłoby skuć Pacyfik lodem.

Nie ustąpiłam. Nie zamierzałam podskakiwać na każde jego polecenie. Już bardziej prawdopodobne, że pokazałabym mu palec w wiadomy sposób. Odrzucił mnie, obraził i pozwolił, by jego tata mnie przesłuchiwał. Byłam gotowa pomagać mu w walce z zombi, oczywiście, że tak, i chciałam się szkolić pod jego kierunkiem, i robić wszystko, by być lepszym zabójcą. Chciałam zaznaczać swoją obecność w tym nowym świecie, chciałam pomagać ludziom, ale nie zamierzałam być jego niewolnicą.

Odjechał bez słowa. Czułam, że pomimo moich protestów będzie na mnie rano czekał. Domyślałam się, że i on nie zamierza skakać na każde moje polecenie.

Przez następne pół godziny obchodziłam dom, szukając jakiegoś śladu Linii Krwi, która okazała się tak skuteczna w walce z zombi. Nic nie znalazłam, nie wyczułam też zapachu, tak dla nich wstrętnego.

Nim skończyłam, bolało mnie tysiąc razy bardziej niż wtedy, kiedy zaczęłam. Powlokłam się z westchnieniem do swojego pokoju

i wśliznęłam do łóżka, żeby uciąć sobie krótką drzemkę przed pójściem do kościoła.

Cztery „szybkie” godziny później obudził mnie wysoki śmiech. Pewnie na dworze bawiły się dzieci sąsiadów, a moi dziadkowie musieli postanowić, że pójda do kościoła później. Wysunęłam się z ciepłego kokonu pościeli, umyłam się starannie, uważając jednocześnie na szwy, i włożyłam koszulę z długimi rękawami i obszerne spodnie od dresu, by ukryć obrażenia. Strój odpowiedni na zimową porę; wciąż panował letni upał, ale co innego mogłam zrobić?

Zrozumiałam w końcu, dlaczego Mackenzie ubierała się tak, a nie inaczej.

Moje spojrzenie przyciągnął dziennik wciąż leżący na biurku. Wiedziałam, że w pewnym momencie będę musiała powiedzieć o nim Cole’owi. Zresztą może zdołałby go odszyfrować. Podeszłam do biurka, otworzyłam na zaznaczonej stronie – i zamrugalam ze zdumienia.

Kartka nie była już pokryta zaszyfrowanym pismem.

Oszołomiona i zbita z tropu osunęłam się niemal na krzesło i zaczęłam czytać: „Te umiejętności, o których wspominałem? Niektórzy zabójcy potrafią dostrzec przelotnie przyszłość. Niektórzy widzą Linie Krwi i dostrzegają nasze sanktuaria. Niektórzy, ugryzieni jeden raz, potrafią niszczyć zombi pojedynczo, potem parami. Coś, co zawiera się w ich duchu, infekuje zombi i przechodzi na kolejne jak choroba zakaźna, bez jakiegokolwiek działania zabójcy.

Niektórzy tego nie potrafią. Niektórzy potrafią wszystko.

Uległem sile całkowicie. Potrafię wszystko.

Dlatego wiem o wojnie, która nadchodzi. Dlatego wiem, że ani jeden zabójca – czy cywil – nie przeżyje, chyba że zrobi się coś więcej.

Dlatego wiem, co należy zrobić.

Muszę umrzeć”.

Kolejne słowa miały postać tego samego szyfru co wcześniej. Walnęłam pięścią w biurko, aż podskoczył laptop. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Jak, jak, jak? Tekst angielski, potem szyfr, tekst angielski, potem znowu szyfr. Dlaczego się zmieniał? W jaki sposób?

To, czego byłam pewna: Cole i ja widzieliśmy przelotnie przyszłość. Widziałam Linie Krwi. Nie miałam pojęcia, czy mój duch jest trucizną dla zombi, czy też nie. I czy chcę się dowiedzieć. Biorąc wszystko pod uwagę, było to więcej, niż wiedziałam kiedykolwiek – ale wciąż za mało. Jak ulegałam czemukolwiek? Jak mogłam ulec czemuś jeszcze?

Potałam oczy, odłożyłam dziennik. Postanowiłam, że spróbuję poczytać jutro; może otworzy się przede mną kolejny paragraf, może nie. Tymczasem musiałam poradzić sobie z dziadkami.

Przeczuwałam, że zrobią jedną z dwóch rzeczy, kiedy mnie zobaczą: zakażą mi wszystkiego z wyjątkiem oddychania albo zakażą mi wszystkiego włącznie z oddychaniem.

Byłam tylko zaskoczona, że jeszcze nie wpadli do mojej sypialni, żądając wyjaśnień.

Powlokłam się do kuchni. Babcia stała przy szafce, przygotowując kanapkę.

Ładna jak jaskier w swojej żółtej bluzce, uśmiechnęła się do mnie miękko.

– Coś musi wisieć w powietrzu. Też zaspaliśmy, więc przyszło nam do głowy, że pójdziemy do kościoła wieczorem.

– Ja też pójdę.

– Świetnie. Jesteś głodna?

Okay, to musiało być podstępne pytanie. Gdybym odpowiedziała twierdząco, odparłaby zapewne: „No cóż, nigdy więcej nie będziesz jeść!”.

– Hm... tak? – mimo wszystko zaryzykowałam.

– Może być szynka i ser szwajcarski?

– Tak? – Znowu intonacja pytająca. Przełknęłam, by stłumić w sobie nerwowość, i zaczęłam: – Jeśli chodzi o ostatnią noc...

Zasłony za jej plecami były rozsunięte, do kuchni wpadało poranne światło. Nad głową babci wisiały garnki i patelnie, rzucając cienie na jej policzki. Przechyliła głowę i westchnęła.

– Słyszeliśmy, jak wróciłaś. Dziesięć minut po wyznaczonej godzinie to jeszcze nie dramat, ale naprawdę mam nadzieję, że następnym razem zadzwonisz, jeśli zamierzasz się spóźnić choćby o minutę. Dziadek się martwił.

Dzięki, Szron!

– Oczywiście, tak – oznajmiłam pospiesznie. – Przepraszam, że tego nie zrobiłam. Straciłam poczucie czasu. Przepraszam – powtórzyłam.

– Jest ci wybaczone. – Założyła kosmyk włosów za ucho. – Mam teraz dwa pytania. Dlaczego tak się ubrałaś i jak ci się udała randka?

– Nowy styl.

Nie mogłam jej powiedzieć, że obudziłam się zmarznięta, ponieważ czoło zraszały mi kropelki potu, a ona pomyślałaby, że mam gorączkę i że muszę iść do lekarza.

Zmarszczyła brwi, odwijając chleb z plastikowego opakowania.

– Kochanie, to pewnie najgorsza moda od dziesięcioleci. W domu jest na dobrą sprawę ponad dwadzieścia pięć stopni, a ja, kobieta, która jest koszmarnym zmarzluchem, nie mogę się ochłodzić. Nic nie jest warte takich cierpień.

Coś jednak było warte takich cierpień.

– Jeśli chodzi o twoje pytanie, nie byłam na randce z Justinem, pamiętasz? Nic szczególnego nas nie łączy.

– No cóż, to chyba dobrze. Każdy chłopak, który nie potrafi dostrzec, jaka z ciebie wspaniała dziewczyna, jest w moim przekonaniu durniem. – Pokroiła szynkę i zaczęła kłaść plastry na kawałek bułki. – Jesteś bystra, ładna, nie jakaś tam ściemniaczka.

Gdybym miała jedzenie w ustach, tobym nim teraz parsknęła. Ściemniaczka? Miała chyba na myśli ściemniarę. No dobra, mogłam to przeżyć. Przyzwyczajam się już do jej zabawnego kaleczenia slangu.

– Mama opowiadała ci kiedykolwiek o tym, jak romansowała z ojcem?

Babcia uśmiechnęła się ciepło, ale po chwili spoważniała; niechęć wobec mojego ojca wzięła górę.

– Z początku tak. Poznała go w szkole. Byli w jednym wieku, ale w różnych klasach, nie mieli wspólnych zajęć. – Odwinęła ser z opakowania. – Jeśli dobrze sobie przypominam, wpadli kiedyś na siebie w korytarzu. Przewrócił ją, a jej książki rozsypały się na wszystkie strony. Był taki zakłopotany, ciągle ją przeproszał, pomagając zbierać rzeczy z podłogi. Potem ich spojrzenia się spotkały i to było to. Przepadł z kretesem.

Uchwyciłam w jej głosie cień żalu, ale też radość i podziw.

– Ich spojrzenia się spotkały? Miłość od pierwszego wejrzenia.

Albo może coś więcej. Może mieli wizję wspólnego życia.

– Chyba tak. Potem już ciągle się spotykali, a resztę już znasz. – Rozsmarowała po wierzchniej stronie kanapki jakiś sos pomarańczowy. – No, może nie wszystko. Uciekli, żeby się pobrać w tajemnicy. To było kilka tygodni po ukończeniu szkoły.

Zrozumiałam, dlaczego nie mieli żadnych zdjęć ze ślubu.

– Chcę ich odwiedzić. – Powiedziałam to odruchowo, bez namysłu, pod wpływem instynktu. – Tęsknię za nimi.

Babcia i dziadek byli kilkakrotnie na grobie, ale ja zawsze odmawiałam.

Przestała mieć pieprz, a na jej twarzy znów pojawił się ciepły uśmiech.

– Myślę, że byłoby wspaniale.

Jadłyśmy kanapki w niezobowiązującym milczeniu i kiedy poszła obudzić dziadka, wsadziłam do torby bluzkę i szorty, plus komórkę, nóż i filtr przeciwsłoneczny. Potem wysłałam Justinowi wiadomość; spytałam, czy wszystko u niego w porządku, i dodałam, że musimy pogadać. Chciałam wiedzieć, dlaczego współpracuje z tak niebezpiecznymi ludźmi. I chciałam, żeby wiedział, że nigdy nie zrobię nic, co pomogłoby w utrzymaniu zombi przy życiu. Pragnęłam poznać jego wersję. Kiedy po dziesięciu minutach nie dostałam żadnej odpowiedzi, zaczęłam podejrzewać, że nigdy się to nie stanie.

Wysłałam wiadomość Kat, pytając ją o zdrowie i dostałam natychmiast odpowiedź: „Zdrowie nieprzyzwoicie dobrze! A u ciebie?”.

„Dobrze”.

„S powiedział, że C wrócił na przyjęcie, żeby się z tobą spotkać i że nawet zabrał cię do domu”.

„Tak”. Nie było powodu, by temu zaprzeczać.

Spytała błyskawicznie: „Spiknęliście się na nowo?”.

„Nie! No, tak. Może. Nie. Cholera, nie wiem”. Nie byłam w tej chwili największą fanką Cole’a i nie miałam pojęcia o jego prawdziwych uczuciach wobec Mackenzie.

„Kupa śmiechu – odpisała. – Dla mnie to tak, tak, 1000 razy tak”.

Cole i ja mieliśmy od tej pory przebywać ze sobą bardzo często po szkole, więc może byłoby lepiej, gdyby wszyscy sądzili, że jesteśmy parą. Plus, takie przekonanie oznaczałoby dodatkową korzyść – faceci trzymaliby się z daleka od moich zdirowatych majtek. Nikt nie chciałby wzbudzić gniewu Cole'a, obrażając jego dziewczynę.

Przyszła następna wiadomość. Osoba o pseudonimie Miau napisała: „Tak przy okazji, S jest znowu na mojej liście śmierci”.

„Po tym, jak wessałaś mu twarz? – odpowiedziałam. – Dlaczego?”.

„Jak zawsze, zostawił mnie, żeby być z C”.

Poczułam ukłucie winy. Nie, nie zrobił tego. Wiedziałałam, co zrobił, ale nie mogłam jej powiedzieć, nie mogłam ulżyć jej w cierpieniu.

Miau dodała: „Poza tym, penetrując językiem jego migdałki, dawałam mu przedsmak tego, czego nigdy więcej nie doświadczy!”.

„Dobra robota! PS Jestem przekonana, że to ML rozpuściła plotki na mój temat”.

„Myślisz o tym, co ja? Ciemna uliczka, kastety i prawo dżungli”.

Wiedziałałam. Po prostu. Nigdy nie miałam lepszej przyjaciółki niż Kat. Wspierała mnie i wierzyła we mnie bez względu na okoliczności. A ja chciałam być najlepszą przyjaciółką dla niej. Chciałam, żeby pozostało tak na zawsze.

„Rządzisz!”

„Wiem. Muszę lecieć, więc pogadamy jutro, OK? Całusy”.

– Ali! – zawołała z dołu babcia. – Jesteś gotowa?

Szybkie spojrzenie w lustro ujawniło, że moje włosy są już suche, ale splątane. Policzki miałam zbyt czerwone, a strój śmieszny. Och, mniejsza z tym. Popędziłam do samochodu.

– Naprawdę musisz zrobić prawo jazdy – zauważył dziadek, wjeżdżając na autostradę. – Nie mam nic przeciwko temu, żeby cię wozić, ale nie musiałybyś więcej chodzić na piechotę, gdybyś się spóźniła na autobus.

Na niebie wciąż nie było królika; mogłam się odprężyć.

– Wiem – odparłam, wyobrażając sobie, jak uczy mnie jeździć. Jak łapie się za pierś, bo przypadkowo skręciłam wprost pod pędzącą z naprzeciwka ciężarówkę. Jak umiera na fotelu pasażera, zanim zdążyłabym zawieźć go do szpitala.

– Nie mielibyście nic przeciwko temu, żebym uczyła się jeździć po lekcjach?

Nie wspomniałam o tożsamości instruktora. Tę rolę mógłby pełnić Cole albo jeden z jego przyjaciół po godzinach poświęconych na szkolenie antyzombiczne. Postanowiłam, że będę się przy tym upierała.

– Dobry pomysł – oświadczyła babcia. Obróciła się i poklepała mnie po dłoni. – Jestem z ciebie dumna. Próbujesz robić coś nowego, poznajesz nowych przyjaciół, takich jak Kathryn.

Już chciałam odpowiedzieć, ale w tym momencie dostrzegłam zarys cmentarza. Czekałam, aż pojawi się Wiadome Miejsce, i oblewałam się zimnym potem. I oto się pojawiło. Żadnych śladów bieżnika, nawet skrawka wgniezionej trawy; nic. Upłynęło trochę czasu i natura się odrodziła, skrywając dowody zbrodni.

Dziadek zatrzymał się na zwirowej ścieżce.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Ja też.

– Nie macie nic przeciwko temu, żebym pobyła tu przez chwilę sama? Chcę spędzić z nimi trochę czasu, wiecie... porozmawiać.

Babcia odpinała już pas. Po krótkim wahaniu skinęła głową i znów

się rozsiadła.

– Oczywiście, że nie. Masz przy sobie komórkę?

– Tak.

– Zadzwoń, jak już będziesz chciała, żebyśmy cię zabrali.

– Dziękuję – powiedziałam, a potem zrobiłam coś, czego nie robiłam nigdy przedtem. Nachyliłam się i pocałowałam oboje w policzek.

Babcia wzruszyła się do łez, a dziadek zaczął mówić niezbornie o tym, że powinnam na siebie uważać.

– Babcia będzie się martwić – dodał.

Przez chwilę spacerowałam po cmentarzu, a piekące promienie słońca przenikały mi ubranie. Znalazłam zacienione, odosobnione miejsce za rzędem krzewów i przebrałam się szybko, wkładając bluzkę i szorty. No, teraz o wiele lepiej. Pot wysychał w powiewach wiatorku; przestałam odczuwać gorąco. Pomijając martwych, którzy tu spoczywali, cmentarz był ładnym miejscem – drzewa, połyskujące w słońcu nagrobki i nawet kilka marmurowych aniołów. Przed jednym z nich klęczał jakiś mężczyzna i szlochał cicho.

Chodziłam sobie, odczytując nazwiska i zastanawiając się, czy którykolwiek z tych ludzi jest – albo był – zombi. Wspiąłam się na pagórki, schodziłam z pagórków, omijałam kupki liści. W końcu dotarłam na miejsce.

Drżąc, usiadłam przed nagrobkiem ojca i przesunęłam opuszkami palców po literach. Srebrzysty kamień lśnił w słońcu. „Ukochany mąż i ojciec”.

Po raz pierwszy od jego śmierci pomyślałam – naprawdę pomyślałam – o ostatnich kilku minutach, kiedy jeszcze żył. Wypadł przez przednią szybę. Gdyby żył przez choćby kilka sekund dłużej, mógłby zobaczyć bez trudu samochód, w którym siedziały jego dziewczyny – ranne i zakrwawione, wszystkie trzy. Czy widział, jak zbliżają się do niego

zombi? Czy zdawał sobie sprawę, że umrze, tak jak jego własny ojciec?

Czy patrzył teraz na mnie z góry?

– Kocham cię, tato. Żałuję, że nie byłam bardziej wyrozumiała, że ci nie wierzyłam. Przykro mi z powodu każdej okropnej rzeczy, jaką mówiłam za twoimi plecami, i jestem ci taka wdzięczna za wszystko, czego mnie nauczyłeś. Zamierzam pewnego dnia zniszczyć tyle zombi, ile to będzie tylko możliwe, i nikt nie będzie musiał więcej żyć w strachu. Obiecuję.

Chciałabym powiedzieć, że ogarnął mnie spokój, ale nie, czułam to samo co wcześniej. Zwróciłam się ku mogile matki. Błysk identycznego nagrobka. Tym razem oczy wezbrały mi łzami; z trudem widziałam. „Ukochana żona i matka”.

– Kocham cię, mamo. Nigdy nie powinnam była rozmawiać z tobą tak, jak tamtego dnia w kuchni.

Moje urodziny, uzmysłowiłam sobie. Straciłam najbliższych w dniu urodzin. Nie wiem dlaczego, ale nigdy wcześniej nie uświadamiałam sobie tego.

Teraz i przez resztę życia ten dzień miał być naznaczony smutkiem straty, jaką poniosłam. Dołowało mnie to w każdy możliwy sposób. Ale wiecie co? To było coś, na co zasłużyłam, i tak zamierzałam to traktować. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę cenić swojej rodziny.

– Robiłaś wszystko, co w twojej mocy, by nas wychować, i wbrew wszystkiemu wiem, że mnie kochałaś. I miałaś rację. O wiele lepiej kochać, niż nienawidzić. – Umilkłam, rozmyślając. – Czasem, kiedy zamykam oczy, wciąż widzę, jak się uśmiechasz. Albo próbujesz się nie krzywić. Pamiętam, jak próbowałaś pomóc mi w lekcjach, ale miałaś z tym jeszcze większe problemy ode mnie. Pamiętam, jak odwracałaś się od aparatu, ilekroć próbowaliśmy zrobić ci zdjęcie.

Moje myśli były chaotyczne. Przeskakiwałam od wspomnienia do wspomnienia, ale nic nie mogłam na to poradzić.

– Wciąż pamiętam ten dzień, kiedy wybrałaś się na spotkanie z moją wychowawczynią i włożyłaś czarną sukienkę, ponieważ chciałaś, żebym była z ciebie dumna, a nie zawstydzona. O tak, byłam dumna. I mogłam przysiąc, że cały świat zwolnił wtedy swój bieg, a Bóg zagrał mały tusz na twoje wejście. Nawet wiatr wiał wtedy odpowiednio, by wprawić twoje włosy w taniec wokół ramion. Tego dnia wszyscy się rozdziawili i każda dziewczyna, która cię widziała, chciała być tobą.

Słowa utkwily mi w krtani. Po policzku spłynęła ciepła łza. Zacerpnęłam powietrze w płuca – przytrzymałam... przytrzymałam – a potem odetchnęłam powoli i zwróciłam się w lewo, gdzie znajdował się trzeci i ostatni grób.

„Emmaline Lily Bell. Ukochana córka i siostra”.

Zadrzała mi broda, a łzy popłynęły niepowstrzymaną strugą. Jej nagrobek nie był tak duży jak u rodziców, ale i on był wykonany ze srebrzystego kamienia. Pośrodku wyryto nawet jej podobiznę.

– Od czasu twojej śmierci widziałam cię przy dwóch różnych okazjach – wyszeptalam. – Pod domem dziadków, a potem jeszcze raz, pod domem mojej nowej przyjaciółki Reeve. Za pierwszym razem ostrzegłaś mnie i poradziłaś, żebym schowała się w domu. Za drugim razem pojawiłaś się na mgnienie oka i powiedziałaś to samo. Czy... to byłaś naprawdę ty?

Dlaczego nie? Istniał świat, o którym nic nie wiedziałam.

Gdzieś z dali dobiegło cykanie świerszcza. Potem śpiew szarańczy. Na drżących konarach zaszeleściły liście. Piękny chór, ale ani śladu Emmy. Rozczarowanie przemieniło się w uporczywy brzęk dzwonka w moich uszach.

Pochyliłam głowę, płacząc cicho. Miałam wcześniej nadzieję... Och, nieważne.

– Tak mi przykro, że nie potrafiłam cię ustrzec, Emmo. Tak bardzo cię kocham, na zawsze pozostaniesz najdroższą mi osobą na świecie. Nie powtarzałam ci tego dostatecznie często. Uszczęśliwiałaś wszystkich,

którzy żyli blisko ciebie. Zaslugiwałaś na każde przyjęcie z nocowaniem, każdego dnia twojego życia. A gdybyś dorosła, uczyłabym cię prowadzić samochód. Może sama zdążyłabym się tego nauczyć – dodałam, śmiejąc się cicho przez łzy. – Chodziłabyś na randki, a ja wlokłabym się za tobą, by mieć pewność, że chłopak zachowuje się właściwie.

– Och, to takie słodkie.

Podniosłam raptownie głowę. Uśmiechnięta Emma siedziała na swoim nagrobku, huśtała skrzyżowanymi nogami, na stopach miała baletki. Jej włosy były związane w kucyki, a złote oczy migotały figlarnością, którą wspominałam z takim ciepłem.

– Przepraszam, że się nie odzywałam – dodała. – Ale naprawdę chciałam usłyszeć twoją przemowę.

– Ja... ja...

– Pomogę ci. Ty... ty... tak się cieszysz, że tu jestem, i zastanawiasz się, czy to wszystko dzieje się naprawdę. No cóż, dzieje się! Twoje modlitwy zostały wysłuchane.

– Ja...

– „Jestem taka szczęśliwa”, wiem.

Zalała mnie fala nadziei, jedyne światełko w koszmarnej ciemności.

– Jesteś... duchem?

Pokręciła głową.

– Nie ma czegoś takiego jak duchy. Poza tym określenie „anioł” jest w tym wypadku trafniejsze, choć też nie do końca trafne. Ale pasuje, nie sądzisz?

Odpowiedź tak typowa dla Emmy; nie mogłabym sama jej wymyślić. Była tutaj. Była rzeczywista.

– Dlaczego nie pojawiaasz się częściej? Czy mama i tata są tacy jak ty?

Uśmiech i figlarność zniknęły.

– Jestem świadkiem i nie mam dużo czasu. Musisz mnie wysłuchać, Alicjo. Okay?

Świadkiem?

– Zawsze cię wysłucham. – Sięgnęłam do jej dłoni, żeby ją pocieszyć, ale moje palce przeniknęły przez nią i nagle moja skóra zetknęła się z zimnym kamieniem. – Tak bardzo chciałabym cię dotknąć.

– I pewnego dnia dotkniesz. A teraz słuchaj. Istnieje dobro i istnieje zło, i nie ma niczego pośredniego, bez względu na to, co ktokolwiek sądzi. To, co robisz, jest niebezpieczne i nie skończy się dobrze, a to wyjątkowo wkurza, ponieważ koniec jest bliski!

– Skąd...

– Cicho sza, Emma mówi. Próbowałam cię ostrzec i nakazałam ci zostać w środku. Pamiętałam króliczą chmurę, którą mi pokazałaś tamtego wieczoru, a ja nadawałam chmurom ten kształt za każdym razem, gdy potwory przychodziły po ciebie, ale ostatnio go ignorowałaś i wychodziłaś z domu.

– Ty to robiłaś?

– Tak. Drobna umiejętność, którą opanowałam – powiedziała, potrząsając głową. – Tak czy inaczej, chcę, żebyś była bezpieczna, Alicjo. Kocham cię.

– Tak jak ja ciebie – wyszeptałam.

– Nie chcę, żebyś walczyła z zombi. Chcę, żebyś trzymała się od nich z daleka.

– Em...

– Nie. Posłuchaj mnie. – Znieruchomiła w promieniu słońca, a jej postać zamigotała. – Jeśli będziesz walczyć, zostaniesz zraniona. Bardziej, niż to sobie wyobrażasz.

– Jeśli umrę w walce z zombi, to umrę. – Doszłam już do wniosku, że jest to sprawa warta najwyższego poświęcenia, i nie zamierzałam zmieniać zdania.

Pokręciła głową, kuczki musnęły jej policzki.

– Nie mówię o śmierci. Mówię o ranach.

– Poradzę sobie z bólem. – Tak jak już tego dowiodłam.

– Nie rozumiesz! – zawołała.

Zeskoczyła z kamiennego nagrobka, a jej spódniczka znalazła się tak blisko, że wystarczyło podnieść rękę, żeby przesunąć palcami po brzegu. Tak zrobiłam. Wyciągnęłam dłoń. I znowu moje palce przeniknęły powietrze, co natchnęło mnie smutkiem.

Jej widmowa postać znowu zadrgała, jakby była mgiełką rozwiewaną przez wiatr.

– Zombi... chcą ciebie i zrobią wszystko, by cię dopaść.

– Dlaczego? – spytałam. – I skąd to wiesz?

Jej twarz wykrzywił grymas troski.

– Alicjo, proszę. Jest niemal za późno. Masz coraz mniej czasu. Proszę. Polują na ciebie, a ja nie chcę, by cię dopadły.

– Mówisz o nich tak, jakby były inteligentne, zorganizowane. Skupione na swoim celu.

Jakbyś je znała.

– Są takie – wyszeptała z nutą przerażenia w głosie. – Coraz bardziej.

– Skąd to wiesz? Śledzisz je? – Sama myśl przyprawiała mnie o mdłości. – Emmo, nie podążaj za nimi. Nie obchodzi mnie, czy jesteś świadkiem, cokolwiek to znaczy, i że nie mogą cię dotknąć... na pewno?

– Nie mogą.

Panika, która zaczęła mnie ogarniać, przygasła.

– Dobrze. Ale mimo wszystko nie chcę, żebyś się do nich zbliżała.

– Alicjo, nie zniosłabym, gdybyś cierpiała jak... – Otworzyła oczy szerzej i zacisnęła usta. – Mniejsza z tym.

Zerwałam się na równe nogi.

– Dokończ to zdanie, Emmaline Lily!

Jej postać znów zadrgała niczym miraż. Zerknęła przez ramię, a z jej ust wyrwało się westchnienie.

– Wspaniale! Zauważyli mnie. Po prostu... weź sobie moją radę do serca – powiedziała, odwracając się do mnie. – Pewnego dnia mi podziękujesz.

Potem zniknęła na dobre.

*

Cole przyjechał po mnie o siódmej piętnaście w poniedziałek rano, tak jak obiecał. Postanowiłam mu ustąpić (skakać, skakać), ale tylko przez wzgląd na nasze wspólne wizje. Nie chciałam doznać kolejnej w szkole. Tak więc, kiedy skręcił w mój podjazd i uświadomił sobie, że stoję na ganku i patrzę wszędzie, tylko nie w jego stronę, zaparkował, wysiadł z wozu i podszedł do mnie.

Niebo było czyste – rozległe pasmo bladego błękitu, bez śladu

chmur. Innymi słowy przesłanie od Emmy – żadnych zombi tego wieczoru.

Emma. Przez całą noc próbowałam z nią rozmawiać, ale nie pojawiła się ponownie.

Chciała słuchać czy nie, powiedziałam jej, że nie mogę zostawić zombi w spokoju. Po prostu nie mogę. Znalazłam się w końcu na właściwej drodze. Chciałam, by za moją sprawą to miasto stało się bezpiecznym miejscem, tak aby nikt więcej nie musiał patrzeć, jak umiera ktoś bliski, ponieważ jakaś zła i niezbyt martwa istota zapragnęła nocnej przekąski. Miałam nadzieję, że Emma zrozumie.

– W porządku? – spytał Cole. Miał na głowie czarną czapkę, której daszek rzucał cień na jego twarz. – Wyglądasz na zmęczoną.

– Wielkie dzięki – odparłam. Jak zawsze pachniał tak cudownie, że śliska napływała do ust. – To właśnie pragnie usłyszeć z samego rana każda dziewczyna.

Ale tak naprawdę trafił w sedno. Byłam nieludzko zmęczona.

– Nie powiedziałem, że wyglądasz kiepsko, tylko że wydajesz się zmęczona. – Wręczył mi strzykawkę w niewielkiej czarnej saszetce. – Twój sprzęt.

Moje antidotum na zombiczną toksynę.

– Dziękuję. – Umieściłam opakowanie w tylnej kieszeni spodni.

– Jakież problemy z zombi zeszłej nocy?

– Nie.

– Świetnie. To oznacza, że żaden nie umknął moim pułapkom.

Z pewnością nie miał na myśli tego, że walczył z nimi. Nie widziałam królika.

– Czyli...

– Tak. Wykryliśmy gniazdo. Jego mieszkańcy zmierzali w stronę twojego domu.

Emma miała rację. Zombi polowały na mnie. Ale dlaczego? I czemu nie sformowała chmury?

– Udało nam się powstrzymać większość z nich, zanim zdążyły do ciebie dotrzeć – dodał. – Te, które zdołały się przedrzeć, musiały zawisnąć na drzewach.

Nie widziałam ich, nie miałam pojęcia, że ktokolwiek tam był. Albo ukrywały się coraz lepiej, albo byłam zbyt rozkojarzona. Ani jedno, ani drugie nie wróżyło mi dobrze.

– Kiedy właściwie sypiacie? – spytałam, po czym wyciągnęłam bezwiednie rękę i zaczęłam bawić się guzikiem przy jego koszuli.

Nie powinnaś go dotykać. To prowadzi do poufałości, której nie chcesz z nim dzielić. Zaciskając zęby, opuściłam rękę po bokach.

– Nie słyszałaś? – Jego ciepły oddech musnął mi czoło, przypominając, jak niesamowicie jest wysoki. – Śpimy podczas lekcji.

Nie potrafiłam wyczuć choćby cienia sarkazmu.

– Wspaniale. Po prostu wspaniale. Następnym razem mi powiesz, żebym rozłożyła sobie namiot w gabinecie dyrektorki, ponieważ wszystko wskazuje na to, że będę tam spędzać dużo czasu.

– Zapewne.

Fantastycznie.

– Dobra wiadomość jest taka, że doktor Wright stoi po naszej stronie, więc będzie ci odpuszczać w miarę możliwości. – Chwila krępującego milczenia. – No dobrze. – Odchrząknął. – Tak naprawdę sypiamy na zmianę. Przywykniesz do tego. Zeszłej nocy nikt nie zmrużył oka,

ponieważ podejrzewaliśmy, że zombi ruszą tam, gdzie jesteś, i że będziemy musieli walczyć z nimi zacieklej i dłużej niż zwykle.

– Walczyły. I wy także.

– Tak.

– Moi dziadkowie... – Chwyciłam się odruchowo za gardło. Chciałam spojrzeć na niego, by zorientować się, co myśli, ale nie mogłam się na to zdobyć.

– Owszem, znajdą się w niebezpieczeństwie, jeśli będą wychodzić wieczorem z domu. Zastawimy pułapki i zrobimy, co się da, ale będzie lepiej, jeśli się do kogoś wprowadzisz.

Starłam się nie okazywać przerażenia, ale jestem pewna, że mi się nie udało.

– Do kogo?

– Do mnie – odparł zwyczajnie.

Wykluczone. Nie dlatego, że porzucił Mackenzie, kiedy się do niego wprowadziła, ale dlatego, że... po prostu dlatego!

– Jak możesz coś takiego w ogóle sugerować?

– Bo chcę, żebyś była odpowiednio strzeżona.

– Nie.

Zraniłabym w ten sposób dziadków. Z drugiej strony nie mogłam dopuścić do tego, by zombi zrobiły im krzywdę, prawda?

Mój plan ratowania innych z tego rodzaju sytuacji komplikował się z każdą chwilą. Wiedziałam, że coś wymyślę. Po prostu musiałam coś wymyślić. Tymczasem zamierzałam strzec babci i dziadka z wszystkich sił.

– Możecie wysłać tam strażnika, może dwóch – zaproponowałam. – Dopilnuję, żeby dziadkowie nie ruszali się z domu. Nie zostawię ich.

– To oznacza wycofanie żołnierzy z frontu, ale okay – odparł. – Chwilowo.

– Dziękuję.

– Wyglądasz pięknie, tak przy okazji – powiedział, wprawiając mnie w osłupienie. Ładne słowa, które miały złagodzić wymowę tego „chwilowo”, jak podejrzewałam.

– Wydawało mi się, że wyglądam na zmęczoną.

– Pięknie zmęczoną.

– W tej bluzce zapinanej pod szyję? Wątpię.

– Nie chodzi mi o twoje ubranie. Chodzi mi o ciebie. – Przesunął palcami po kosmykach moich włosów, a ja poczułam łaskotanie na skórze głowy. – Masz coś w sobie. Coś, co odróżnia cię od wszystkich innych.

Cofnęłam się, przerywając kontakt z jego dłonią – i starałam się przy okazji nie roztopić na miejscu.

– Raz ci się nie podobam, potem znowu ci się podobam. Potem znowu ci się nie podobam, potem znowu podobam. Zdecyduj się wreszcie.

Z jego krtani dobył się głuchy pomruk.

– Nie bądź taka. Narozrabiałem, okay? Wiem, że jesteś wkurw... to znaczy zła na mnie. Przepraszam za to, co powiedziałem na przyjęciu. Inni czepiali się mnie o twoje motywy, a potem pojawiłaś się z Justinem, który nie chciał się zamknąć. Zareagowałem.

– A to jest moja reakcja. Będzie tak, jak postanowię. Dobrowolnie.

– Naprawdę? – spytał cicho.

– Owszem.

– Nawet jeśli cię ochraniałem?

– Nawet.

– Ali – mruknął.

Cole.

Był niedźwiedziem w klatce, a ja małym dzieciakiem uzbrojonym w kijek. Może znajdował się pod kluczem, ale w żaden sposób nie dawał się okiełznać. Był zabójcą. Zbyt młodym na służbę w armii, ale o cechach przywódczych. Walczył i zabijał. A ja celowo go prowokowałam.

Kogoś innego ukarałby za coś takiego, ale wiedziałam, że mnie nie skrzywdzi. Nie pozwalał nawet swoim przyjaciołom wydzierać się na mnie. Ale ból był nie tylko fizyczny, a ja nie byłam pewna, czy o tym wie. Zranił mnie swoim odrzuceniem, bez względu na to, czy miał na myśli moje dobro, i to wtedy, kiedy dopiero zaczęłam się wygrzebywać z innych ran.

– Powiem na swoją obronę, że straciłem już wielu przyjaciół, a ty wyglądasz tak delikatnie. Tak... krucho. Wybacz mi. – Zniżył głos niemal do chrapliwego szeptu. – Proszę. Uwielbiam, kiedy zadajesz tysiąc pytań jednego dnia, i nie wiem, co zrobię, jeśli nie będziesz blisko.

Topniałam...

– Ja... – Byłam koszmarną frajerką. Ale powiedział „proszę”, a ja stwierdziłam, że nie potrafię się temu oprzeć. – Doskonale. Jest ci wybaczone. Tylko nigdy więcej nie próbuj mnie odepchnąć, nawet dla mojego własnego dobra.

– Nie zrobię tego – zapewnił. – Ale musisz obiecać, że wciąż będziesz starała się mnie poznać.

Chodzić z nim? Nie, niemożliwe. Po wszystkim, co się stało, mogliśmy być przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi.

– Umowa stoi.

– Dobrze. Chcesz wiedzieć, czego się o tobie dotąd dowiedziałem?

Nie mogłam się powstrzymać i szepnęłam: „Tak”. Głupia ciekawość.

– Dowiedziałem się, że jesteś uparta, samowolna, zabawna i...

Walnęłam go pięścią w pierś.

– Hej!

– No, jesteś. – Przykrył moją dłoń swoją, powstrzymując przed następnym ciosem. – I mściwa.

– Dlaczego chciałbyś wiedzieć jeszcze więcej o takiej osobie jak ja?
– spytałam, a właściwie odwarknęłam.

– Bo może to są moje ulubione cechy.

Akurat.

– Powinieneś więc zejść się na powrót z Mackenzie.

Wobec której wciąż mógł żywić uczucia, jak sobie przypomniałam.

– Celny cios. Znowu odezwała się mściwa natura. Ale jesteś też słodka. Nie uśmiechasz się często, ale kiedy już to robisz... – Nachylił się, nasze nosy potarły o siebie. – Łapię się na tym, że mam bardzo niegrzeczne myśli.

Przełknęłam z wysiłkiem ślinę. Trudno to było uznać za uwagę z rodzaju przyjacielskich.

– Ja... jakiego rodzaju niegrzeczne myśli?

– Nie mogę ich ujawnić, nie naruszając kilku paragrafów. – Przesunął palcami po wierzchu mojej dłoni. – Dlaczego nigdy wcześniej

się nie całowałaś? Jak to możliwe?

Studiowałam z uwagą jego buty – błoto po bokach, nowiutkie sznurowadła.

– Mój tata nigdy nie pozwalał nam wychodzić po zmroku, co wykluczało kolację czy randkę i kino. Nie chciałam, by ktokolwiek zjawiał się w domu, żeby zabrać mnie gdzieś w ciągu dnia, bo nie życzyłam sobie, by chłopak spotkał się z moim ojcem i pomyślał, że ma do czynienia z nienormalnym człowiekiem. I że sama go za takiego uważam.

– No cóż, wiem już wszystko o twoim szalonym życiu, więc to żaden problem.

– Wiem. – Zaraz. Próbował mi powiedzieć, że jest teraz gotów ze mną chodzić? – To wcale nie oznacza, że jesteś dla mnie odpowiedni. Myślałam, że mogę sobie z tobą poradzić, ale szybko się przekonałam, w jakim byłam błędzie.

– Daj spokój. Chciałbym spotkać faceta, z którym nie potrafiłabyś sobie poradzić, i dać mu nagrodę – odparł złowrogo. – No dobra, jesteś gotowa na wizję czy nie?

Wizja. No tak, słusznie. Nic innego się w tej chwili nie liczyło. Wyprostowałam ramiona, uwolniłam umysł od stanu zakłopotania i oznajmiłam:

– Jestem gotowa.

Podniosłam głowę. On zdjął czapkę. Cienie z twarzy zniknęły. Nasze oczy spotkały się. I... i... i... nic się nie stało.

Zamrugalam, potrząsnęłam głową. Wciąż nic. Marszcząc czoło, ujęłam jego policzki mocniej, niż było to konieczne, i tym razem potrząsnęłam jego głową. Znowu nic.

– Nie rozumiem – oznajmił i tak jak ja zmarszczył czoło. – Nawet gdy byłaś zatruta toksynami i znieczulona, widziałem coś.

Owszem. Jak się całujemy. Tak powiedział.

– To dziwne. – Nigdy bym nie pomyślała, że brak wizji uznałabym za rzecz dziwną. Opuściłam dłonie wzdłuż boków i klepnęłam się po udach. – Chyba że... może nie musimy dzisiaj niczego unikać.

Krzywiąc się, oznajmił:

– Musiałaś to zrobić, co? Rzucić mi w twarz moje słowa?

– Wcale nie... – No cóż, cholera. Zrobiłam to, prawda? – Możesz mieć pretensje wyłącznie do siebie. Myślałam, że lubisz moją mściwą naturę.

Otworzyły się drzwi wejściowe i na zewnątrz wyjrzała babcia. Zauważyła Cole'a i obrzuciła go uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

– Wydawało mi się, że słyszę dwa głosy.

Odskokczyłam od Cole'a, jakby ktoś obwiązał mnie w talii sznurem i szarpnął mocno.

– Hm, cześć, babciu. To jest Cole.

– Kolejny przyjaciel?

– Tak. Ze szkoły. Odwiezie mnie na lekcje.

– Najpierw porozmawia ze mną i twoim dziadkiem. – Oho. Posługiwała się takim samym surowym tonem jak w przypadku Justina. – Do domu, obydwójce. Natychmiast.

Drzwi się zatrzasnęły, a dźwięk, jaki wydały – bang – odbił się głośnym echem w mojej głowie. Cole próbował ruszyć w ślad za babcią, ale chwyciłam go za nadgarstek.

– Przepraszam – powiedziałam i nie byłam wcale pewna, czy chodzi mi o to, co się stanie, czy o to, co się już stało.

Uwolnił się ode mnie, potem otoczył mnie ramieniem i znów przyciągnął do siebie.

– Daj spokój. Zasłużyłem na to. Tak gwoli ścisłości, nie uważam, by wizje dotyczyły czegoś, czego powinniśmy unikać.

Przypomniałam sobie dziennik.

– Twierdzę, że to przebłyski przyszłości.

– Może. Prawdopodobnie.

Jakimś cudem dosłyszałam słowa, których nie wypowiedział: że oznaczałoby to, że dziś nie było przed nami przyszłości. Wbiłam mu paznokcie w pierś i popatrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami.

– Nie martw się – dodał. – Wszystko będzie dobrze. Wciąż dochodzisz do siebie, a to jedyny problem.

– W porządku. – Byłam gotowa mu uwierzyć.

Pocałował mnie w skroń, oznaka pociechy, potem ujął mnie za ramiona i obrócił.

– Wejźmy do środka, zanim twoi dziadkowie wyjdą na zewnątrz i wciągną mnie siłą, a ciebie zamkną w twoim pokoju, tak na wszelki wypadek.

Pomodliłam się w duchu, by nikt nie posługiwał się slangiem, nie rzucał oskarżeń dotyczących picia alkoholu i seksu i żeby wszyscy rozeszli się z uśmiechem.

Babcia i dziadek czekali w salonie. Podsunęli fotele do kanapy, jedyne miejsca, na którym mogliśmy usiąść. Gdy tylko to zrobiliśmy, zaczęło się przesłuchanie.

Dziadek: Plany na przyszłość?

Jęknęłam i ukryłam twarz w dłoniach. Tak samo zaczął z Justinem.

I można było się założyć, że tak samo skończy.

Cole: College, potem organy porządku publicznego.

Babcia: Och, podoba mi się bardziej niż ten drugi chłopiec.

Dziadek: Dobrze, doskonale. A teraz dokończ zdanie. Kiedy dziewczyna mówi „nie”, to ma na myśli...

No tak. Dokładnie to samo.

Cole: Nie. Koniec, kropka. Nigdy niczego nie wymuszam.

Babcia: Znowu doskonała odpowiedź. Ale oto jeszcze jedno zdanie, które musisz dokończyć, tym razem trudniejsze. Seks przedmałżeński jest...

Żałowałam, że zombi nie załatwiły mnie na dobre.

Cole: Zależy od dwojga ludzi. To, co się między nimi dzieje, nie powinno nikogo obchodzić. Przepraszam, nawet was.

Oboje, dziadek i babcia czerwienili się przez minutę, ale potem szybko się uspokoili. Ja, oczywiście, czerwieniłam się najbardziej, przybierając odcień homara (tak mi się zdawało). Odpowiedź Cole'a wydała mi się jednak wyjątkowa.

Dziadek: Uczciwe postawienie sprawy, jak sądzę. Co myślisz o picciu alkoholu i prowadzeniu samochodu?

Cole: Myślę, że to głupie. Jedyne, o jaką nie musicie się martwić, jeśli chodzi o mnie i Ali. Nie piję, a jeśli ona to zrobi, nie skorzystam z okazji. Przywiozę ją do domu. Zawsze będę miał na względzie jej bezpieczeństwo. Daję wam słowo.

– Ja też nie będę piła – obiecałam. – Nigdy.

Babcia: Czy nie masz wrażenia, że ten chłopak jest jak świeży powiew powietrza?

Dziadek: Tak. Rzeczywiście.

Myślę, że Cole zrobił na mnie równie duże wrażenie co na moich dziadkach. Pod mięśniami, bliznami i tatuażami (których dziadkowie nie widzieli, ponieważ Cole nosił tego dnia koszulę z długimi rękawami) krył się w gruncie rzeczy dobry facet. I dzięki temu wrażeniu pozwolili nam odejść bez dalszych indagacji!

Zatrzymaliśmy się na kawę, która miała mnie trochę ożywić, a mimo to dojechaliśmy do szkoły ze sporym zapasem. Zaparkował na tym samym miejscu co poprzednio – nikt chyba nie chciał kłócić się z nim o nie – rzucił czapkę na tylne siedzenie, ściągnął z siebie koszulę, odsłaniając T-shirt, a potem pomógł mi wysiąść z jeepa.

Szwy piły mnie tego dnia szczególnie, każdy ruch wywoływał swędzenie.

– Nie mogę uwierzyć, że to przeżyliśmy.

– Twoi dziadkowie kochają cię, i to bezwarunkowo. Martwiłbym się, gdyby nie byli tacy twardzi.

Jego słowa uderzyły mnie z taką mocą, że prawie potknęłam się o krawężnik. Oczywiście, wierzyłam w ich miłość, mówili mi o niej, ale nie uważałam jej za bezwarunkową. W głębi duszy wciąż żywiłam przekonanie, że w ich oczach za bardzo przypominam ojca. Może jednak Cole miał rację. Tyle dla mnie zrobili, a jego grillowali naprawdę mocno.

– Co? – Spojrzał na mnie. – Nie zdawałaś sobie z tego sprawy?

– Nie. Tak bardzo się od nich... różnię. Nie jestem taka miękka jak moja siostra ani szczęśliwa jak moja matka, która na wszystko patrzyła optymistycznie. Jestem jak tata, którego nienawidzili.

– Uwierz mi na słowo. Nie czują do ciebie nienawiści. I tak dla twojej wiadomości, jesteś wspaniała taka, jaka jesteś.

Nie miałam czasu zareagować na jego słowa – zresztą nie

wiedziałabym jak. Na nasz widok milkły rozmowy w każdej grupie, którą akurat mijaliśmy, i przykuwaliśmy wszystkie spojrzenia.

Widzieli, jak tańczyłam na przyjęciu z Cole'em, więc dlaczego... Aha. Skapowałam. Potwierdzenie, że z nim sypiam. Z powodu tego wszystkiego, co wydarzyło się ostatniej nocy i rano, zapomniałam o plotkach i swoim statusie puszczalskiej. Poczułam, jak ogarnia mnie gniew.

– Wciąż uważasz, że Mackenzie jest niewinna? – spytałam.

– Tak. Rozmawiałem z nią o tych plotkach. Twierdzi, że nic nikomu o tobie nie mówiła.

Czy mógł być bardziej bezmyślny?

– Wobec tego w porządku. To musi być prawda.

Kłapnął na mnie zębami, co przypomniało mi pierwszy dzień w szkole, po tej inicjacyjnej wizji. Wiedziałam teraz ponad wszelką wątpliwość, że był to u niego odruch irytacji.

– Dowiem się, kto to rozpuścił. Zaufaj mi. Potrzebuję tylko trochę czasu. – Objął mnie dla okazania wsparcia. – Tymczasem, jeśli ktoś ci coś powie, przekaz mi. Pożałuje, że się kiedykolwiek urodził.

Nie mogło mnie to ocalić przed śmiesznością. Bo tak naprawdę nie zawsze trzeba było słów, żeby komuś dogryźć. Równie skuteczne były spojrzenia i wyraz twarzy.

Kiedy skręciliśmy w inny korytarz, natknęliśmy się na Szrona, Bronxa i wszystkich pozostałych przyjaciół Cole'a. Podeszli do nas. Cole'a powitali uśmiechami i dobrodusznym poklepywaniem, na mnie patrzyli co najwyżej ze zmarszczonym czołem. Nieważne.

Podeszłam do Mackenzie.

– Pogadajmy po szkole, okay?

– To nie jest konieczne – zawołał Cole.

Odpowiedziała mimo wszystko: „Z przyjemnością” i błysnęła uśmiechem, innymi słowy obnażyła swe perłowo jasne zęby.

Już miałam się odezwać, gdy uświadomiłam sobie, że za moimi plecami zapadła cisza. Chłopcy przysłuchiwali się naszej rozmowie. Odeszłam bez słowa. Cole nie próbował mnie zatrzymać. Nie dostrzegłam nigdzie Kat ani pozostałych dziewcząt, więc poszłam do swojej klasy. Justin nie patrzył na mnie, ale i tak obok niego usiadłam. Miał podbite oczy, spuchnięty nos i strupy na górnej wardze.

– Opowiedz mi o swoich zajęciach pozaszkolnych – powiedziałam, bo tylko to mi przychodziło do głowy.

Milczał przez chwilę, potem odparł z niechęcią:

– Jestem pewien, że Cole ci mnóstwo nagadał.

– Chciałabym usłyszeć to od ciebie.

Rzucił mi złe spojrzenie.

– Kiedyś, dawno temu, chętnie bym ci to wyjaśnił. Ale teraz... jak sobie pościeliłaś, tak też się wyśpisz. Z Cole'em. Zastanawiam się tylko, czy wiesz, że jego łóżko pełne jest pcheł.

Posłużył się tym powiedzeniem celowo, w sposób okrutny.

– Jeśli przez pchły rozumiesz zwłoki zombi – wyszeptałam, żeby nikt inny nie mógł nas usłyszeć – to tak. Nie mam pojęcia, czy wiesz, ale uwielbiam zwłoki zombi.

Długopis, który ścisnął w dłoni, pękł na pół.

– Och, wiem to teraz. Podejrzewałem, że dlatego zwrócił na ciebie uwagę.

Dawał mi jasno do zrozumienia, że nigdy nie mogłabym zdobyć

chłopaka w normalny sposób. Urocze. Jak mogłam myśleć kiedykolwiek, że ten chłopak jest miły?

– Co ty kombinujesz? Jaki jest twój cel? Przekonaj mnie, że stoisz po właściwej stronie.

Parsknął.

– Nie muszę cię o niczym przekonywać. Ale powiedz swojemu chłopakowi, że nie podoba się nam to, jak pociął nasze kombinezony. Tak, mój szef złożył mu następnego ranka wizytę i zostawił wiadomość, ale nie wiem, czy Cole dobrze pojął lekcję.

To musiał być ten poranek, kiedy Cole miał mnie odwiedzić do domu i kiedy Szron pałał do mnie niechęcią. Cole wspominał, że wzmocnił Linie Krwi wokół domostwa dziadków, i byłam pewna, że mówi prawdę, ale była to część prawdy, co dowodziło, że jest równie biegły w niedomówieniach jak ja. Pomyślałam, że musimy o tym pogadać. Od tej pory miała obowiązywać tylko szczerłość.

– Co twój szef mu zrobił? – spytałam.

– Dlaczego nie spytasz mojej siostry bliźniaczki, Jaclyn? – Uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją. – Poznałaś ją już? To ta, która zabrała mnie do domu po przyjęciu. Wiesz, kiedy mnie zostawiłaś.

– Zaraz, chwila.

Riposta zamarła mi na ustach, kiedy uświadomiłam sobie, o czym mówi. Brunetka, która obrzuciła mnie zabójczym spojrzeniem, kiedy próbowałam go ocucić, ta, która lubiła patrzeć na mnie gniewnie w autobusie, miała takie same rysy co Justin. Musiała być jego bliźniaczą siostrą.

– Nigdy nie była fanką Cole'a i miała przecucie co do ciebie. Że będziesz sprawiać wyłącznie kłopoty. Zignorowałam ją.

Nie dlatego, że mu się podobałam, ale dlatego, że chciał wiedzieć, co mogę zrobić dla zombi albo przeciwko nim.

– Nie chcę cię martwić, ale wszystkie dziewczyny są fankami Cole’a. Każdy, kto twierdzi inaczej, jest kłamcą.

Nawet gdy byłam na niego wściekła, pociągał mnie jak diabli.

– Po tym, co mi zrobił, Jaclyn chce zetrzeć go na proch.

– A więc wie, czym się zajmujesz?

– Kto mnie zwerbował? Jak myślisz?

Rozległ się dzwonek i zaczęła się lekcja, co przeszkodziło mi w dalszych indagacjach. Uczniowie wsunęli plecaki pod ławki i pochylili się nad blatami.

Przekazano informację o meczu futbolu – wygraliśmy – i rozległ się aplauz. Na najbliższy piątek zapowiedziano wiec dopingujący, co wzbudziło kolejną falę entuzjazmu.

Pan Dupek potrzebował dobrych dziesięciu minut, żeby uspokoić wszystkich, nim mógł zacząć lekcję (jak on się naprawdę nazywał?). Za bardzo byłam pogrążona w myślach, żeby słuchać. Chciałam się dowiedzieć więcej o ludziach, dla których pracowali Justin i jego siostra, i o celu, jaki im przyświecał. Nie mogło to być zniszczenie zombi, jak – według tego, co mówił Cole – twierdzili. W przeciwnym razie pracowaliby razem z nim.

Tuż przed dzwonkiem na przerwę zostałam wezwana do gabinetu doktor Wright. Wiedziałam, dlaczego chce mnie widzieć, i nie byłam z tego powodu szczęśliwa. Wlokłam się korytarzem. Sekretarka kazała mi wejść do dyrektorki.

Doktor Wright siedziała za biurkiem, sztywna i poważna jak zwykle, ubrana w ciemny profesjonalny kostium; włosy zebrała w kok.

– Jak się czujesz? – spytała, trzymając dłonie na jakiejś teczce.

– Znacznie lepiej, dziękuję.

– Doskonale. Zmierzyłaś się już z tym, czego się dowiedziałaś?

– Z grubsza.

– I nie będziesz rozmawiać o tym z innymi dziećmiakami?

Nie jestem dziećmiakiem.

– Nie.

Kółka przy jej fotelu zaskrzypiały, kiedy się odchyliła.

– Ciekawi mnie ta twoja zdolność.

Bingo. Dokładnie to, czego się obawiałam.

– Zastanawiałaś się głębiej nad tym, w jaki sposób jesteś w stanie widzieć te żarzące się smugi?

– No, owszem.

Kto by się nie zastanawiał.

– I?

– Niektórzy ludzie odznaczają się takimi zdolnościami, podczas gdy inni nie – odparłam.

W jej oczach pojawił się błysk zniecierpliwienia.

– Tyle to i ja wiem. Myślisz, że to u ciebie wrodzone?

– Nie mam pojęcia.

– Twój ojciec też je widział?

– Nie wiem.

Zabębniła palcami o oparcie fotela.

– Przypuszczam, że to u ciebie wrodzone. Ale z drugiej strony zastanawiam się, dlaczego nic takiego wcześniej ci się nie przytrafiło.

Dwie osoby mogły się bawić w zgadywanke.

– Dlaczego u niektórych ludzi guz mózgu rozwija się w późniejszym życiu, ale nie w dzieciństwie? Dlaczego wszystkie dzieci rodzą się z niebieskimi oczami, ale u większości kolor zmienia się po kilku miesiącach? – spytałam, a w moim głosie też ujawniło się zniecierpliwienie. Albo należałam do drużyny, albo nie. Bezustanna podejrzliwość dorosłych sprawiłaby, że rówieśnicy również zaczęliby żywić wobec mnie wątpliwości.

Poprawiła okulary, zastanawiając się, co ze mną zrobić. Byłam tego pewna.

– Możesz mi zaufać, Ali. Zdolność dostrzegania zombi wykształciła się u mnie w wieku dwunastu lat, po wypadku samochodowym, tak jak w twoim przypadku. Przeżyłam szok, jak się zapewne domyślasz, ale starałam się za wszelką cenę żyć dalej. Dopiero kiedy objęłam dyrekturę tej szkoły i zauważyłam dziwne zachowanie grupy Cole'a, uświadomiłam sobie, że inni też widzą zombi. Potem pojawił się jego ojciec, mając nadzieję, że znajdzie kogoś, kto mu pomoże, a ja byłam całym sercem za. Pewnie poczujesz się lepiej, kiedy ci powiem, że choć byłam im bardzo potrzebna, trzymali mnie bardzo długo na dystans. A teraz? Sama widzisz.

– Rozumiem, o co pani chodzi.

Nie podobało mi się to za bardzo, ale owszem, rozumiałam.

– Tymczasem przychodź do mnie, jeśli będziesz miała jakiegokolwiek problemy. Jestem tu po to, żeby ci pomóc.

– Obiecuję – powiedziałam, i to szczerze. Była twarda jak stal, ale chciała dobrze. I, podobnie jak ja, była ciekawa. Pragnęła odpowiedzi.

– No dobrze. Zmykaj do klasy.

Odczuwając ulgę, wyszłam z gabinetu. Na korytarzach było tłoczno, zdawało się, że lada chwila eksplodują. Szron czekał przy mojej szafce. Próbowałam go ominąć, ale tak jak wcześniej przystąpił do działania i już po chwili dotrzymał mi kroku.

– Zawiesili Cole’a – oznajmił. – Na jeden dzień.

Słyszając tę nieoczekiwaną wiadomość, omal nie potknęłam się o własne stopy i spojrzałam na niego.

– Dlaczego?

I czemu doktor Wright o tym nie wspomniała?

Wzruszył zdawkowo tymi swoimi wielkimi ramionami.

– Nic wielkiego. Potarł kilka osób, bo nie trzymały gęby na kłódkę.

W kwestii mojego puszczalstwa, bez wątpienia.

– Doktor Wright powinna mu darować.

Wiedziałam jednak, dlaczego o tym nie wspomniała. Zaprotestowałabym – i to głośno.

– Nic nie może zrobić, kiedy do przewinienia dochodzi na oczach całego tłumu. Tak czy inaczej, mam ci powiedzieć, że zamierza zabrać cię po szkole.

Dobrze. Czekają nas szkolenie.

– Okay. Dzięki.

– Jeśli chodzi o lunch...

– Jeśli mi powiesz, że nie mogę więcej spotykać się z przyjaciółkami, to oberwiesz!

– Bez sensu mówić ci coś takiego. Prędzej czy później wykluczą cię ze swojego kręgu. Zrobiły tak z Kat. Wróciła do nich dopiero wtedy, kiedy się rozstaliśmy.

– Poppy, Wren i Reeve nie wykluczyłyby jej. – Przyszło mi do głowy, że miała kiedyś innych przyjaciół i że to oni ją wykluczyli.

– Nie Reeve, ale Poppy i Wren. Chodziła ze mną, a ja pakowałem ją w kłopoty. Uważały, że pociągnie je za sobą.

Jak śmiały tak ją traktować!

Hm, może się zdarzyć, że i ty będziesz musiała się od niej odsunąć.

Och, tak. Zżerało mnie poczucie winy, niczym rak.

– Ali, posłuchaj, ja... – zaczął Szron.

– Nie teraz – przerwałam mu. Nie miałam pojęcia, co zamierza powiedzieć, wiedziałam tylko, że nie zniosę kolejnego zmartwienia.

– W porządku. Ale później pogadamy.

– Niech będzie.

Rozstaliśmy się, każde skrzyło w swoją stronę.

Po przeżyciu drugiej i trzeciej lekcji, zadowolony panią Meyers całkowitą uwagą z mojej strony, znalazłam Kat w stołówce, przy tym samym stoliku co zawsze. Siedziała sama i kręciła bączka zielonym jabłkiem na blacie. Miała na sobie podkoszulek bez rękawów i obcisłe dzinsy. Chyba nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim podkoszulku. Po raz pierwszy dostrzegłam blizny po wewnętrznej stronie łokci.

Blizny, które przypominały tamte ślady z lasu.

Było wykluczone, by Kat brała narkotyki. Po prostu wykluczone. Nigdy bym w to nie uwierzyła.

Skórę miała bledszą niż w czasie weekendu, wokół oczu ciemne obwódki, a wargi spierzchnięte. Przysiadłam się do niej.

– Cześć. Jak się czujesz?

Drgnęła zaskoczona i złapała się odruchowo za serce. Potem uśmiechnęła się do mnie. To był ten jej doskonały, chytry uśmiech, który zawsze mnie przyciągał, witał i uspokajał.

– Trochę zmęczona. Szron chyba wyssał ze mnie życie, kiedy przypiął się do mojego języka. Albo zaraził mnie jakąś bakterią, która pożera ciało.

– Fuj!

– Nie. Super. – Nakreśliła znak serca wokół jabłka. – Zdażył już przesłać mi trzy wiadomości. Chce, żebym wybrała się z nim gdzieś w najbliższy weekend. Ślubował nawet wytatuować sobie moje imię na pośladku, jeśli się zgodzę.

– Zeszliście się na nowo? Oficjalnie?

– Nie ma mowy. Nie dość się jeszcze wycierpiał.

Miałam wrażenie, że chodzi jej nie tyle o jego cierpienie, ile o własne serce.

– Gdzie są dziewczyny?

Postanowiłam, że będę miła. Poszły po rozum do głowy i wróciły do łask Kat. Tylko to się liczyło.

– Reeve jest chyba z Bronxem. – Machnęła ręką w stronę stolika Cole'a. – Zauważ, że brakuje go w ich załodze.

– Mógł pojechać do domu z Cole'em. – Nie wierzyłam, by tata Reeve uchylił zakaz umawiania się z zabójcami. – Ale... – Nachyliłam się do niej i wyszeptałam: – Widziałam, jak się całowali na przyjęciu.

– Co? – pisnęła, klaszcząc podekscytowana. – I mówisz mi o tym dopiero teraz? Powinnam cię znienawidzić na zawsze!

– Przepraszam. Zamierzałam ci powiedzieć. – Niewiele mogłam jej zdradzić, ale to akurat stanowiło wyjątek. – Cole mnie rozkojarzył.

– Będziemy jej bezlitośnie dokuczać. Oczywiście.

– Oczywiście. Już ją uprzedziłam.

– Jak myślisz, podobało jej się? Jak myślisz, wiedział, co robi?

– Widziałam ich tylko przelotnie.

Kat wlepiła spojrzenie w coś albo w kogoś za moimi plecami i zagryzła dolną wargę; na jej oblicze, niczym zasłona, spłynęła ekscytacja.

– Idzie Reeve. Bez Bronxa. Z dziewczynami.

Gdy tylko usiadły, rzucając torby na podłogę i rozkładając jedzenie na stole, Kat zaczęła się nerwowo wiercić; widać było, że nie jest w stanie dochować sekretu.

– Gdzie byliście, dziewczyny? – spytałam.

Reeve unikała starannie mojego wzroku.

– Nigdzie.

– Ganiała za Bronxem – wyjaśniła Poppy, wstrząsając rudą czupryną.

Wren dodała:

– Rozdarła sobie serce na strzępy. Czy ktoś zechce mi wyjaśnić, co jest takiego wyjątkowego w nieudacznikach, którzy uczęszczają do tej szkoły? Albo dlaczego wszystkie moje przyjaciółki ganiają za nimi, wiedząc, że narazi to na szwank ich przyszłość?

- A może ty zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego bywasz taka irytująca?
- spytała Kat, której ekscytacja wyraźnie osłabła. – Co on zrobił, Reeve?

Wren prychnęła pogardliwie.

- Dowiedział się, że spotykałam się z Johnem, dostał szału, podpuścił mnie, a potem powiedział, żebym spadała. – Reeve rzuciła torbę na stół i zaczęła w niej grzebać, aż w końcu znalazła baton czekoladowy. – Nie rozumiem go.

Przynajmniej z nią rozmawiał.

- Chłopcy – westchnęła Poppy.

Czyżby i ona miała swoje kłopoty?

- Wybrałaś już godnego uwagi kandydata? – spytałam, przypominając sobie, jak to lubi odczekać kilka tygodni, żeby wybrać właściwego spośród nieprzebranego tłumu. Widzicie. Potrafię być miła.

Wren polerowała sobie paznokcie, wciąż zła na Kat.

- Owszem, i z miejsca została odprawiona z kwitkiem.
- Nieprawda! Nikomu nie dałam takiej szansy. To ciebie odprawiono z kwitkiem.
- Ostatnim razem to ja go odprawiłam z kwitkiem.

Kat wyrzuciła w górę rękę.

- Czy nikt nie informuje mnie już na bieżąco? Jestem nie tylko piękna. Mam też uszy. Lubię słuchać. Wiem, że trudno w to uwierzyć, zważywszy na klejnoty, które zawsze padają z moich ust, ale bez przesady. Mogłybyście przynajmniej spróbować.

Gdyby nie błysk jej orzechowych oczu, pomyślałabym, że mówi absolutnie szczerze. Pozostałe dziewczyny spuściły głowy, wyraźnie zawstydzone.

– Przepraszam – powiedziała Poppy. – Zadzwoń do ciebie później i przekażę ci wszystkie szczegóły.

– Ja też – obiecała Wren.

Mogłabym się uczyć od Kat sztuki manipulacji; była mistrzynią.

– Naprawdę sędzę, że mogłabym cię pokochać.

Zadarła głowę i przyklepała sobie włosy.

– Słowo daję, moje przyjaciółki zamieniają się w lesbijki, ale czy mogę coś na to poradzić? Wszystko przez mój zwierzęcy magnetyzm.

Zakryłam sobie usta, żeby nie parsknąć śmiechem.

Wren rzuciła w Kat serwetką i trafiła ją w ramię.

– Lepiej zapanuj nad swoim ego.

– Dlaczego. Wszystko z nim w porządku. – Zanim Wren miała czas odpowiedzieć, Kat nachyliła się do mnie. – Zapomniałam ci powiedzieć. Zaczęłam układać drzewo plotkarsko-genealogiczne. Popatrz.

Wyjęła z kieszeni złożoną kartkę i podała mi. Kiedy ją rozwinęłam, mogłam się tylko gapić w zdumieniu. Całą stronę zapełniały imiona, strzałki, ramki i uwagi.

– Wiem, że według ciebie wszystko zaczęło się od Mackenzie, ale wiem też, jaką lojalnością darzą się Cole i jego gang. Nie uwierzą, że Mała Miss, Którą Uwielbiamy Nienawidzić zrobiła coś złego, dopóki tego nie udowodnimy. Postanowiłam więc przeprowadzić małe śledztwo. Usłyszałam tę plotkę od Poppy – oznajmiła, wskazując palcem przyjaciółkę.

Poppy skinęła gorliwie głową, wstrząsając rudą czupryną.

– Ja usłyszałam od Wren.

Wren podniosła się i wskazała stolik cztery rzędy dalej.

– A ja usłyszałam to od Tiffany Chang. Hej, Tiffany! Pomachaj!

Wszyscy na nią spojrzeli.

– Powiedziałam: pomachaj.

Przysadzista dziewczyna o ciemnych włosach i zdziwionej minie pomachała, a Wren usiadła.

– To ona – oświadczyła.

Kat ciągnęła:

– Spytałam Tiffany i tak dalej. Wiem, wiem. Jestem geniuszem i z pewnością zostanę najlepszym reporterem śledczym na świecie. Niestety, chcę jednocześnie być żoną na pokaz. Tak czy inaczej... nie wiem, czy uda mi się dotrzeć do pierwotnego źródła, ale muszę spróbować.

Biorąc pod uwagę czas i wysiłek, jakich wymagało to zadanie, i jej bezwarunkową chęć pomocy, byłam pod niekłamanym wrażeniem.

– Dziękuję – powiedziałam, choć zdawałam sobie sprawę, jak nieadekwatne jest to jedno słowo.

– Dla mnie zrobiłabyś to samo.

Tak. Z chęcią.

– Okay, w zgodzie z atmosferą szczerości powiem, że jadę po szkole do Cole'a – oznajmiłam to z wahaniem, obserwując reakcje dziewcząt. Kat skinęła zachęcająco głową. Poppy przechyliła swoją na bok, jej wzrok pociemniał. Reeve westchnęła tęsknie, a Wren uśmiechnęła się z ulgą i... czymś jeszcze, czego nie potrafiłam zidentyfikować. Nie tego się jednak spodziewałam, zważywszy na to, jak kiedyś potraktowały Kat. – Ja i Mackenzie zamierzamy pogadać. Może coś z niej wyciągnę

i zaoszczędzę wam kłopotu związanego ze śledztwem.

– To znaczy, że Justin nie jest oficjalnym kandydatem na randki? – spytała Wren, wodząc palcem po krążku, który pozostawiła szklanka Poppy z napojem.

– Nigdy nie był kandydatem. Przyjaźniliśmy się tylko, to wszystko.

– Ale już się nie przyjaźnicie? – nie ustępowała.

– Nie.

Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy we wrogich obozach.

– Dostyc o Justinie! Chcę usłyszeć więcej o Mackenzie. – Kat klasnęła podniecona. – Powiedz mi, że wasza rozmowa będzie wymagała użycia pięści. Powiedz mi, że wytrzesz podłogę jej twarzą!

– No cóż, z pewnością spróbuję.

Postuchajmy bolesnego chóru

Zgodnie z obietnicą Cole czekał na mnie po szkole. Opierał się o bok jeepa ze skrzyżowanymi ramionami. Czarna czapka zacieniała mu twarz, okulary przeciwsłoneczne zakrywały oczy. Miał na sobie obcisły podkoszulek odsłaniający masywne bicepsy i tatuaże z motywem śmierci.

Podeszłam do niego, wsparłam dłonie na biodrach i spojrzałam ze złością.

– Nie wdawaj się więcej w bójki z mojego powodu. – Nie chciałam, żeby go zawieszano albo jeszcze gorzej. – A teraz daj mi kluczyki.

Musnął mi delikatnie czubek nosa.

– Nie słyszałaś? Robię, co chcę, kiedy chcę i nikt nie może mnie powstrzymać.

Mogłam wymierzyć mu kopniaka między nogi i po prostu zabrać kluczyki, ale powiedziałam tylko:

– Wierz mi, widziałam to na własne oczy. – Wyciągnęłam do niego rękę. – A teraz bądź dobrym chłopcem i zrób to, czego ja z kolei chcę od ciebie.

Uniósł okulary, a ja dostrzegłam błysk w tych fioletowych oczach.

– A czego dokładnie chce mała Ali?

Mała Ali. No, no.

– Oddaj mi kluczyki. – Nie było powodu zachowywać się miło. On z pewnością się tak nie zachowywał. – I jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie małą Ali, walnę cię w tchawicę, tak jak sam robisz to z innymi, jak

słyszałam.

Nabrał nagle podejrzeń i rzucił pospiesznie:

– Dlaczego?

– Bo mi się to bardzo nie podoba.

– Nie mam na myśli imienia, tylko kluczyki.

– Aha. Bo chcę cię nimi dźgnąć, a po co by innego?

– Dlaczego? – powtórzył uparcie.

Doskonale.

– Bo chcę poćwiczyć jazdę, a obiecałam dziadkom, że to zrobię.

– Chcesz powiedzieć... – Okulary znowu opadły mu na oczy, kiedy ujął mnie od tyłu za szyję, przyciągnął do siebie i popatrzył na mnie surowo. – ...że nie umiesz prowadzić samochodu?

– Oczywiście, że umiem. Jeśli mnie spytasz, czy wiem, jak dobrze prowadzić, odpowiedź będzie brzmiała inaczej.

Parsknął śmiechem, ale cofnął się i rzucił mi kluczyki.

– Zaczekaj tylko, aż na parkingu zrobi się pusto, zanim narazisz moje cenne życie.

Gramoląc się na siedzenie kierowcy, przesunęłam spojrzeniem po bezkresie nieba. Wciąż pokrywał je uroczy błady błękit i pierzaste chmury, które splatały się ze sobą i rozdzielały. Okazało się jednak, że nie powinnam była patrzeć.

Królik powrócił.

Poczułam, jak przenika mnie strach, ponieważ wiedziałam teraz, co to oznacza.

– Zombi wyjdą dziś w nocy – oświadczyłam bezbarwnym tonem.

A to, że miały wyjść tej nocy, której nie poprzedziła wizja przyszłości z Cole'em...

– Bardzo wątpię. Wychodziły już zbyt często i muszą odpocząć.

– Zaufaj mi. Pojawią się.

– Skąd wiesz?

Nie bardzo wiedziałam, jak wyjaśnić sprawę z Emmą, więc powiedziałam tylko:

– Po prostu wiem.

Potarł się energicznie po udzie.

– Dobra. Cała grupa wyjdzie dziś na łowy, tak na wszelki wypadek.

– Wezmę w tym udział?

Otworzył usta, popatrzył na mnie, zamknął usta. Skinął głową.

– Chyba tak.

– Świetnie.

Dodatkowa korzyść: miałam być poza domem i tym samym nie przyciągałabym zombi pod drzwi dziadków.

Zapięłam pasy i uruchomiłam silnik. Ten dźwięk wystraszył mnie nie na żarty, przypominając o innym zmartwieniu. Siedziałam za kierownicą samochodu. Niebawem miałam jechać w strumieniu innych wozów, odpowiedzialna za życie Cole'a.

Na płaszczyźnie racjonalnej wiedziałam teraz z niezachwianą pewnością, że królik nie miał nic wspólnego z wypadkami drogowymi, ale

ta świadomość nie uspokoiła mnie zbyt. Trzęsłam się, na całym ciele wystąpił nagle pot, a oddech palił gardło i płuca.

– Pójdzie ci świetnie – zapewnił Cole.

– Jeśli nie...

– Wypchnę cię z wozu i sam poprowadzę. Nic mi nie będzie.

Jego żart podziałał; roześmiałam się niepewnie.

– Zabawne.

– Dasz radę, Ali – mówił całkiem poważnie. – Wierzę w ciebie i... okay, jeszcze bardziej w siebie. Będę cały czas udzielał ci instrukcji.

Ta dopingująca przemowa podziałała. Mogłam to zrobić. Mogłam. Nie byłam tą samą dziewczyną, która uciekła od Kat, by w deszczu wracać do domu na piechotę. Byłam silniejsza. Stawiłam kilka razy czoło zombi i przeżyłam.

W końcu na parkingu zrobiło się luźno i zaczęłam powoli cofać. Hej, Panie Boże, pamiętasz mnie? Twoja pomoc znowu mi się przyda. Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy zmieniałam biegi. Cole okazywał mi cierpliwość, nawet kiedy ledwie osiągałam szybkość dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę i inne samochody trąbiły, a potem wyprzedzały nas pospiesznie. Kilku kierowców poczęstowało mnie wiadomym gestem i Cole za każdym razem prawie wyskakiwał ze swojego fotela. Jednak jakiś ciemny SUV podążał za nami uparcie, skręcając tam, gdzie my, i zadowolając się ślimaczym tempem.

– Ludzie Justina – odezwał się Cole, zauważając prawdopodobnie, że zerkam co chwila w lusterko wsteczne.

– Wspaniale. Na ogonie siedzą mi podpalacze. – Tego mi było trzeba. Kolejnego czynnika stresu. – Spróbują czegoś?

Przednia szyba SUV-a była tak przyciemniana, że nie widziałam nikogo w środku.

– Nie. Lubią zaznaczać swoją obecność. Znikną na następnym zakręcie.

Miał rację. Westchnęłam z ulgą.

– Justin powiedział mi, że jego szef złożył ci wizytę.

– Po co rozmawiasz z Justinem? – spytał, kręcąc gałką radia.

– Próbuję uzyskać odpowiedzi.

– Od tej pory uzyskuj je ode mnie.

– Jest w mojej klasie. Nie chciałam go ignorować i...

– Ali, nie znasz go. Nie wiesz, co może zrobić, powiedzieć czy wykreśćić. Wszyscy na tym skorzystamy, jeśli mnie posłuchasz.

– Okay, okay. Będę go ignorować.

Cała jazda trwała czterdzieści minut, podczas gdy powinna zabrać nie więcej niż dziesięć. Mieszkał w okolicy, gdzie domy stały daleko od siebie, na kilkakrowych posesjach, i przypominały farmy. Każdy był kryty czerwonym i białym drewnem; dostrzegłam przy każdym stodołę, druciane ogrodzenie i pole pszenicy zamiast drzew.

Dopiero gdy się zatrzymałam i wrzuciłam na luz, byłam w stanie odprężyć się w pełni. Byliśmy bezpieczni. Zdrowi i cali. Dzięki jeszcze raz, Boże! Poważnie!

– Nie mogę obiecać, że wykorzystamy kiedykolwiek twoje umiejętności, jeśli trzeba będzie szybko uciekać – oznajmił Cole. – Ale przy odrobinie praktyki dasz radę ścigać się z moją babcią... jeśli wsiądziesz na swój skuter.

– Zwykle nie idzie mi tak kiepsko. Przepraszam. Tylko że... wypadek... i jeszcze ten królik.

– Jaki królik?

Cholera. Byłam emocjonalnie wypompowana i w końcu zaczęłam opowiadać bezwiednie o chmurze, pokazałam mu ją nawet. I o tym, jak widziałam ją każdego dnia przed pojawieniem się zombi, i o tym, jak za pierwszym razem straciłam wszystkich, których kochałam. I o tym, jak ukazała mi się moja mała siostra i powiedziała, że sama w jakiś sposób tworzy tę chmurę jako znak ostrzegawczy. Cole w pewnym momencie wyciągnął rękę i zaczął masować mi kark, tak jak niejednokrotnie robił to sobie. Chciał mnie uspokoić.

– Myślisz, że jestem nienormalna? – spytałam z wahaniem.

– Nie mnie osądzać, czy ktoś jest nienormalny, czy normalny.

– To nie jest odpowiedź.

– Okay, wcale nie myślę, że jesteś nienormalna. I co ty na to?

Postanowiłam mu wierzyć.

– Widziałeś kiedykolwiek świadka? Tak nazywała siebie Emma. Nie mówiła, że jest duchem, bo duchów nie ma, ani też aniołem, choć anioły istnieją, ale właśnie świadkiem.

Może tak nazywali się jego przyjaciele zabójcy.

– Nie.

– Nigdy nie słyszałeś tego określenia?

– Tylko w kontekście prawniczym.

– A ktoś inny słyszał?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Och – powiedziałam tylko, garbiąc ramiona w odruchu rezygnacji.

– Wszystko z tobą w porządku, Ali. Widzisz zombi, tak jak niewielu innych. To, że widzisz świadków czy jakkolwiek ich nazwiesz, jest prawdopodobnie tym samym. – Zmierzył mi włosy, a ja poczułam się jak trzylatka. – Chodźmy, robota czeka.

Rzuciłam mu kluczyki, wysiadłam z jeepa i skierowałam się w stronę domu. Dogonił mnie w połowie drogi, wziął za rękę i pociągnął ku stodołę na tyłach.

– Tędy – oznajmił i ścisnął mocno moją dłoń.

Trzymaliśmy się za ręce jak para.

Im bliżej byliśmy wrót stodoły, tym wyraźniej słyszałam dochodzące ze środka postękiwania i jęki. Zamrugałam zdziwiona; brzmiało to tak, jakby wewnątrz torturowano ludzi.

Okazało się, że tortury zadają sobie sami. Stodoła wypełniona była sprzętem do ćwiczeń, zobaczyłam matę i nawet ring boksinowy, a także wszystkich chłopców, którzy kręcili się przy Cole’u tego pierwszego dnia w szkole, plus paru, których wtedy nie było.

Cole przedstawił nas sobie. Poznałam Lucasa, olśniewającego i czarnoskórego; trenował właśnie wyciskanie na ławce, a sztanga ważyła chyba tyle co autobus. Miał na kostce obręcz elektroniczną; byłam pewna, że widziałam go na przyjęciu u Reeve.

Derek, także czarny, ćwiczył na prowizorycznej strzelnicy; celem był manekin ubrany jak zombi. Bronx walił w worek treningowy trzymany przez Brenta, blondyna. Collins, chłopak z ogoloną głową i też z obręczą elektroniczną, fechtował się z Haunem (Szpiculec), ciemnowłosym i ciemnokim chłopakiem azjatyckiego pochodzenia. Dźwięk, jaki towarzyszył ich pojedynkowi, dowodził, że ćwiczą prawdziwymi ostrzami.

Mnogość gorących, spoconych facetów i ostra broń. Właśnie wkroczyłam w fantazję każdej dziewczyny.

Szron i Maceknie ćwiczyli na ruchomej bieżni. Trina i Cruz (Gnojek), latynoski chłopak o kasztanowych włosach i z blizną

przecinającą policzek, mierzyli się na ringu, walcząc bez rękawic. Innymi słowy okładali się bezlitośnie.

Kiedy tak stałam, chłonąc to wszystko wzrokiem, mogłam wyczuć mnóstwo woni. Coś kwiatowego (Mackenzie), coś piżmowego (Haun), coś owocowego (Collins).

– Robicie to każdego dnia po lekcjach? – spytałam, starając się ukryć zdenerwowanie.

– Na ogół. Siła i wytrwałość mogą ocalić ci życie. Poza tym możemy zabrać naszą broń do sfery duchowej i za jej pomocą okulać zombi. Tym łatwiej je eliminować.

– Będziecie mnie uczyć, jak się nią posługiwać?

– Tak, ale ze względu na twoje obrażenia dzisiaj będziesz ćwiczyła tylko uwalnianie ducha, potrenujesz też na bieżni i postrzelasz. Kiedy już wyzdrowiejesz, zaczniesz szkolić się w pozostałych umiejętnościach.

– Okay.

– Gotowa?

– Tak.

– Świetnie. – Obrzucił mnie uważnym spojrzeniem, a ja poczułam się jak robak pod mikroskopem. Wydawało się, że jego wzrok niczego nie pomija. – Opuść swoje ciało.

Dopiero po chwili zrozumiałam, o co mu chodzi.

– Tak po prostu? – Strzeliłam palcami i rozejrzałam się zakłopotana.
– Tutaj? Teraz?

Skinął głową bez cienia współczucia.

– Tak po prostu. Tutaj i teraz.

Próbowałam przez długą chwilę, przysięgam, że próbowałam, ale na próżno. Bez względu na to, jak bardzo starałam się uwolnić ducha z ciała, pozostawały ze sobą nierozzerwalnie związane.

– Robiłaś to przedtem – przypomniał mi Cole.

– Tak, ale przyparta do muru przez zombi.

– A co powiesz na to? Opuść swoje ciało, bo jak nie, to przełożę cię przez kolano i dam ci w tyłek na oczach wszystkich.

Sapnęłam jak lokomotywa.

– Tylko spróbuj!

Wyciągnął do mnie ręce, a ja trzepnęłam go z piskiem po dłoni i umknęłam czym prędzej.

– Pięć – powiedział ze stalowym błyskiem w oku.

Zdobyłam się na zuchwałość.

– Co, odliczasz, jakbyś był moją matką?

– Cztery.

Odliczał, bez dwóch zdań. Wspaniale. Zaczerpnęłam powietrza i odetchnęłam, powoli i miarowo; czułam w sobie coraz większą determinację.

– Trzy.

Zamknęłam oczy, wyobraziłam sobie zombi z cmentarza, te, które pochylały się nad moim ojcem. Determinacja zamieniła się w mojej piersi w żywy palący ogień. Wiara. Potrzebowałam wiary. Mogłam to zrobić.

– Dwa.

Zrobię to, pomyślałam. Zrobię. Nic mnie nie powstrzyma.

Z łatwością, z jaką się oddycha, opuściłam ciało.

Jeszcze przed chwilą oblewałam się potem, a teraz przenikał mnie do szpiku kości chłód. Dzwoniły mi zęby, kiedy rozglądałam się po stodole. Widziałam świetlistość Linii Krwi, smugi na każdym oknie. I innych, którzy poruszali się teraz wolniej, niż sobie początkowo uświadamiałam, po ich skroniach spływał pot, a jasne światło – energia? – dobywało się miękko z porów ich ciał.

Cole świecił najjaśniej.

Zapachy wewnątrz stodoły nabrały mocy, tak bardzo, że poczułam palenie w nozdrzach.

– Wróc – nakazał Cole, a jego głos osiągnął najwyższe możliwe napięcie.

Skulona, odwróciłam się i zobaczyłam swoje ciało zastygłe w miejscu, tuż obok niego. Twarz miałam ściągniętą z koncentracji.

– Jak...

– Siedź cicho! – krzyknął, a ja znów się skuliłam.

– Sam siedź cicho! – odkrzyknęłam.

Cole wyciągnął rękę, żeby zakryć mi usta, ale jego dłoń przeniknęła przeze mnie. Przez chwilę czułam się tak, jakby była zanurzona w ciepłym miodzie.

– Co? – spytałam.

Blednąc, wskazał swoje usta. Szczeka mu się poruszała, mięśnie drgały, ale wargi pozostały złączone.

Przypomniałam sobie w ułamku sekundy. Cokolwiek wypowiadałam w sferze ducha, wierząc, że to się spełni, spełniało się.

– Możesz mówić, możesz mówić – oznajmiłam natychmiast.

Jego usta rozwarły się od razu.

– Ani słowa więcej – warknął.

Zmrużył oczy i przyłożył palce do moich, tych cielesnych, następnie skinął na mnie, żebym zrobiła to samo. Naśladując go, przyłożyłam duchowe palce do cielesnych. W chwili kontaktu pozostała część mojej istoty wśliznęła się na miejsce, jakby szarpnięta za pomocą sznura.

– Przepraszam – powiedziałam pospiesznie. – Przepraszam, ale wydawało mi się, że nie mogę naruszyć wolnej woli bez względu na to, co powiem.

– Mówiłem ci, że są zasady, a wraz z nimi pojawiają się wyjątki. Czasem, kiedy wypowiada się właściwy rozkaz, zwłaszcza w obronie własnej, żeby się ratować, wolna wola jest słabsza z dwojga i przyćmiona.

– Jak? Rozkazałam zombi, żeby mnie zostawiły, ale one upierały się przy dokładce. Wierz mi, wydałam to polecenie, żeby się ratować.

– Mówiłaś do nich wszystkich jednocześnie, jak mi się zdaje, i osłabiłaś moc rozkazu. Każdy zombi doświadczał tylko częściowo przymusu posłuszeństwa zamiast pełnej jego siły.

– Och. – Najwidoczniej musiałam się nauczyć znacznie więcej, niż sobie uświadamiałam.

– A teraz ponownie opuść swoje ciało.

Przez kolejne czterdzieści pięć minut zdołałam to zrobić tylko cztery razy.

– Wystarczy – oświadczył w końcu Cole. – Ćwicz to w domu, w zamkniętym pokoju. Po cichu. Musisz to opanować i robić na zawołanie.

– Dobrze, będę ćwiczyć. Ale jak mam wywołać w swojej dłoni

ogień, tak jak ty, kiedy zamieniłeś zombi w popiół?

Raz mi się to udało, ale nie bardzo wiedziałam jak i czy w ogóle zrobię to ponownie.

– Podczas walki, kiedy wiem, że mam zadać śmiertelny cios, to dzieje się samo.

– Nie musisz nawet o tym myśleć?

Rany.

– Już nie. A teraz posłuchaj uważnie. – W jego głosie pojawił się głęboki ton surowości, która nie znosi sprzeciwu. Prawdopodobnie powód, dla którego to Cole był przywódcą grupy. – Nie ćwicz tego w domu. Spalisz niechcący dom swoich dziadków. Tymczasem jeden z nas zajmie się zabijaniem zombi, które unieszkodliwisz. Ale jeśli twoja dłoń rozpali się sama z siebie, kiedy będziesz walczyć, nie próbuj tego powstrzymać. Idź na całość. Będziemy trzymać się z daleka.

Podtekst: mogłam przypadkowo zranić każdego z jego przyjaciół.
Groza.

– Poza tym – ciągnął – w trakcie ćwiczeń nigdy nie opuszczaj ciała w miejscu, gdzie mogą cię znaleźć ludzie. W trakcie walki trzeba czasem iść na ustępstwa. Staraj się tego unikać, ale jeśli trzeba, rób to. Ale nigdy się nie odzywaj, kiedy już znajdujesz się poza ciałem. Możesz wyrządzić mnóstwo szkód i lepiej nie ryzykować.

– Rozumiem.

Chociaż przypuszczałam, że przy odpowiedniej dawce ćwiczeń moglibyśmy nabrać wprawy i mówić tylko właściwe rzeczy. Nie było potrzeby wyjawiać tej złotej myśli teraz, kiedy Cole czuł prawdopodobnie, jak świerzbią go wargi po moim przypadkowym nakazie milczenia.

– Szron! – zawołał.

Szron wiedział, czego Cole chce; nikt nie musiał mu nic mówić.

Zatrzymał urządzenie, na którym trenował, zeskoczył z niego i chwycił butelkę wody, po czym opróżnił jej zawartość w ciągu kilku sekund.

– Twoja kolej – zwrócił się do mnie Cole.

I co wy na to? Miałam biegać sobie obok najmniej ulubionej osoby na świecie.

– Wzięłaś ze sobą strój do ćwiczeń? – spytał Cole.

Oblizalam nerwowo wargi, przyglądając się swojej koszuli i džinsom. Przypuszczałam, że w takim stroju obleję się potem w ciągu kilku minut i zacznę wyglądać jak ciężko chora, nie zaś tryskająca zdrowiem jak Mackenzie.

– Nie.

– Żaden problem. Kupiłem ci coś. – Wyczułam w jego tonie nutę zadowolenia. – Łazienka jest tam. Schowałem wszystko do twojej szafki.

Miałam swoją szafkę?

Łazienka przypominała każde tego rodzaju pomieszczenie w każdej amerykańskiej szkole średniej. Mój schowek był wysoki i czerwony i sąsiadował ze schowkiem Cole'a. W środku znalazłam niebieski stanik sportowy i najkrótsze, najbardziej obcisłe szorty ze spandeksu, jakie kiedykolwiek widziałam, do tego parę skarpet i butów do biegania.

Palily mnie policzki, kiedy się przebierałam. Przynajmniej nie kupił mi majtek.

Kiedy wróciłam na salę, czułam się naga. Brzuch miałam odsłonięty, podobnie jak nogi na niemal całej długości. Byłam też pewnie odrobinę zarumieniona. Cole, który czekał na mnie obok pojemnika z wodą, obejrzał mnie od stóp do głów i gwizdnął z uznaniem. I znowu poczułam się jak robak pod mikroskopem, tyle że tym razem jak robak w stringach, z ledwie zakrytymi sutkami.

– Nieźle – ocenił, a prócz zadowolenia pojawiła się w jego głosie

chrapliwa nuta aprobaty.

– Twoja wersja przebieranek jest dołująca – mruknęłam, obciągając szorty.

Parsknął śmiechem.

– Nie zgadzam się. Ale jeśli ma ci to poprawić humor, to powiem, że też zamierzam się rozebrać.

– Nie poprawi – odparłam, choć zapewne przypominało to niezrozumiały i ociekający śliną bełkot.

Jego lubieżny uśmiech sugerował, że wie dokładnie, co myślę.

– Chodź, wdrożymy cię.

Zaprowadził mnie do mechanicznej bieżni.

Choć Mackenzie dotąd ani razu nie spojrzała w moją stronę, wyraźnie zeszywniała, nawet się potknęła. Sprawdziłam jej czas. Biegała już od półtorej godziny. Sprawdziłam też szybkość i kąt nachylenia i nastawiłam swoją bieżnię odpowiednio, ale zwlekałam z naciśnięciem guzika „start”. Chciałam, żeby Cole się najpierw oddalił. Oczywiście zwlekał.

– Ignorujcie się nawzajem – nakazał surowym tonem.

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Tak, tato.

Zmrużył oczy, ale wciąż patrzył tylko na mnie.

– Bądź ostrożna. Nie przesadzaj z ćwiczeniami.

Już zamierzałam odpowiedzieć, ale uprzedziła mnie Mackenzie.

– To naprawdę żałosne. Oboje powinniście się wstydzić.

– Mam z tobą porozmawiać na zewnątrz, Kenz?

Nosiła nawet przezwisko, którym się posługiwał. Wspaniale.

– Nie – odwarknęła.

– To świetnie.

– Gdybym musiała wysłuchać twojego kolejnego wykładu o tym, jak powinnam zaprzyjaźnić się z nową dziewczyną w naszej grupie, to wolałabym stać się pożywką dla zombi.

– Sam to załatwię. Uderzę w dzwon wzywający na posiłki i podam cię na tacy.

Powiedziawszy to, zostawił nas same.

Weź się w garść, Bell.

Przez pierwsze dziesięć minut moich ćwiczeń obie wykazywałyśmy posłuszeństwo szefowi. Nie wiem, dlaczego ona to robiła, ale ja nie mogłam oderwać wzroku od Cole'a. Zdjął podkoszulek i zamienił dzinsy na siatkowe szorty, noszone nisko na biodrach i odsłaniające pasemko ciemnych włosów począwszy od pępka, a potem przyłączył się do Lucasa wyciskającego ciężary.

Napiął mięśnie, kiedy podniósł sztangę. Opuścił. Podniósł. Na jego skórze pojawił się pot, który zaczął z niego ściekać... ściekać...

– Mam nadzieję, że bawi cię jego zainteresowanie – powiedziała Mackenzie. Najwidoczniej okres właściwego zachowania dobiegł końca. – Jej koński ogon kołysał się przy każdym kroku na bieżni. – Nie potrwa już długo.

Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle darzył mnie zainteresowaniem, w każdym razie takim, jakie miała na myśli.

– Tylko dlatego, że nie potrafiłaś zatrzymać go przy sobie, nie

oznacza, że ktoś inny będzie miał z tym jakikolwiek problem.

Odważne słowa z ust dziewczyny, która nigdy nie była z nim na prawdziwej randce.

– Tak ma wyglądać nasza pogawędka? – Otarła czoło wierzchem dłoni. – Jestem rozczarowana. Spodziewałam się, że przyłożysz mi co najmniej, ale powinnam chyba wiedzieć, że zachowasz się tchórzliwie.

– Przyłożę ci, obiecuję. – Uda pały mnie już od wysiłku, a po plecach i piersiach spływał mi pot. Pozwoliłam sobie na to, by zwolnić tempo? Do diabła, nie. – Więc dlaczego rozpuszczałaś plotki?

– Nie rozpuszczałam.

– Och, daj spokój. W przeciwieństwie do twoich chłopaków nie głupieję, widząc ładną buzię.

– Uważasz, że mam ładną buzię? Podejrzewam, że nawet śniłaś o mnie.

Uwielbiałam rozbuchane ego Kat. Jeśli chodzi o ego Mackenzie, miałam ochotę je zmiażdżyć.

– Zanim z tobą skończę, będziesz dziękować Bogu, że zostały ci jeszcze jakieś zęby.

– Jakie to oryginalne. Dlaczego nie pomyślisz, zanim się odezwiesz? Nie ukrywałam awersji wobec twojej osoby. Nie robiłam tajemnicy z tego, że nie chcę cię tu widzieć. Tak jak teraz. Ale uciekać się do plotek na temat twojego życia seksualnego? Żartujesz? Nie mam dwunastu lat.

Podczas całej tej przemowy nawet się nie zasapała, zdzira jedna. Ja ledwo trzymałam się na nogach.

– Nikt inny nie mógł tego zrobić.

– Z przyjemnością cię poinformuję, laleczko, że kandydatów jest multum. Mnóstwo dziewcząt z Asher sądzi, że są na tyle odważne, by

pójść na całość i przygruchać sobie jednego z moich chłopców, ale mnóstwo dziewcząt spotyka się z odmową. Ty nie spotkałaś się z odmową. Mogę się założyć, że wzbudziłaś tym zazdrość.

– Jest drobny błąd w twojej logice. Nikt nie plotkuje o Kat, a przecież chodziła ze Szronem.

– Prawdę mówiąc, zakochała się we mnie – zawołał Szron z ringu, nie wstydząc się w najmniejszym stopniu, że cały czas podsłuchiwał. – Mówiłem ci chyba, że jej przyjaciółki odwróciły się od niej na jakiś czas. Plus, zgodnie z wszelkimi plotkami byłem fantastyczny.

Zacisnęłam pięści.

– To jakaś prawidłowość? – zwróciłam się do Mackenzie, znizywszy głos. – Dziewczyna umawia się z jednym z twoich chłopaków i od razu pojawiają się plotki.

– Po pierwsze, nie słuchaj Szrona. Przyjaciółki Kat może i odwróciły się od niej, ale nikt nie rozpuszczał plotek o jej życiu seksualnym. Nikogo to nie obchodziło. Po drugie nie zrobiłam tego. Słyszysz? Nie zrobiłam.

Coś, o czym wiedziałam dzięki naukom ojca: emocje sprawiają, że ludzie stają się lekkomyślni. A kiedy są lekkomyślni, popełniają błędy. Nie tylko fizycznie, ale i werbalnie. Już teraz Mackenzie znalazła się na granicy furii. Gdybym zdołała pchnąć ją poza tę granicę, mogłaby niechcący przyznać się do tego, czego byłam już pewna. Może zaczęłyby się nawet przechwalać.

Pokonałam jeszcze jedną milę i uwolniłam w sobie tygrysię.

– Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, co mówi się o tobie za twoimi plecami? Mieszkasz z chłopakami, z którymi przypuszczalnie sypiam. Grozisz każdemu, komu ci chłopcy okażą jakiegokolwiek zainteresowanie. To też pachnie zazdrością, nie sądzisz? Nie musisz odpowiadać. To zbędne. Domyślałam się, że wciąż jesteś zakochana w Cole'u. Założę się, że nawet...

Zeskoczyła z wrzaskiem ze swojej bieżni i rzuciła się na mnie.

Runęłyśmy na podłogę, ona była na wierzchu. Wzięłam na siebie cały impet uderzenia, które wybiło mi całe powietrze z płuc i przyprawiło o zawrót głowy. Walnęłam głową o beton i przed oczami zamigotały mi gwiazdy.

Smutne, że moją pierwszą myślą było: „Dzięki Bogu, nie jestem już na bieżni!”.

Usiadła okrakiem na moich biodrach i wymierzyła pierwszy cios; jej kłykcie rąbnęły mnie w policzek. Kolejny gwiazdny rozbłysk, jaśniejszy tym razem; miałam wrażenie, że mózg zakołysał mi się wewnątrz czaszki.

Nie czekałam, aż odzyskam ostrość wzroku. Sama zadałam cios, prosto w jej usta, rozcinając wciąż niezagojoną wargę. Głowa poleciała jej na bok, a podłogę zrosiła krew. Wyciągnęłam rękę i chwyciłam ją za kark, zrzuciłam ją z siebie i wylądowałam na niej. Łup, łup, twarde podwójne uderzenie.

Więcej krwi, która teraz spływała jej po brodzie. Próbowwała walczyć w pozycji horyzontalnej, ale kosmyki włosów przysłaniały jej oczy, więc uderzenia były niecelne.

Przypomniałam sobie, co o niej mówił Justin: że nie potrafi się bić, leżąc na ziemi. Mogłam jej dołożyć, tutaj i teraz. Ale wówczas nie dostałabym odpowiedzi na swoje pytania. Podniosłam rękę i oznajmiłam:

– Nie musimy tego robić. Powiedz mi tylko...

– Argh! – wycharczała, zrywając się gwałtownym ruchem z podłogi, po czym walnęła mnie w brzuch, a ja poleciałam na bok.

Łapałam spazmatycznie powietrze, podnosząc się z podłogi.

– Chcę...

Twarde ręce – ciepłe, silne, znajome – otoczyły mnie od tyłu i przyciągnęły do jeszcze twardszego ciała.

– Dostyc – warknął Cole, a grzmot jego głosu sprawił, że się

skuliłam.

Tymczasem Bronx i Szron chwycili Mackenzie.

Szarpała się, chcąc za wszelką cenę mnie dorwać.

– Myślisz, że nie wiem, co ludzie o mnie gadają? Myślisz, że naraziłabym kogoś innego na coś takiego, nawet gdybym go nienawidziła?

Każde słowo było jak splunięcie w twarz.

Dziwna rzecz. Zaczęłam jej wierzyć. Bił z niej nieklamany ból. Nie od ciosów, które jej zadałam, ale gdzieś z jej wnętrza. Cierpiała w przeszłości. I wciąż cierpiała.

Oparłam się o Cole'a.

– Przepraszam za to, co powiedziałam. Przepraszam.

– Nieważne.

Chłopcy puścili ją w końcu. Wyszła ze stodoły, trzasnąwszy drzwiami.

Poczułam na barkach ciężar winy. Jak mogłam być tak ślepa?

No cóż, miałam swoją odpowiedź. Oskarżyłam ją o zazdrość, ale to ja uległam emocjom. Była dawną dziewczyną Cole'a. Mieszkała z nim. Nie miałam pojęcia, czy on wciąż żywi do niej jakieś uczucie. Po prostu nie zapanowałam nad gniewem.

– Trzeba cię doprowadzić do porządku – zauważył Cole. Wziął mnie za rękę i zaprowadził do łazienki, gdzie posadził mnie na półce obok zlewu. Zniknął na chwilę i wrócił z apteczką.

Och, wspaniale. Szwy na ręku pękły. Krew spływała w dół, zbierając się na dłoni. Teraz, kiedy to zauważyłam, poczułam pieczenie. Jakby tego było mało, rwały mnie koszmarnie policzki. Na szczęście nie pośladki.

– Próbowaleś mi powiedzieć. Powinnam cię była słuchać.

Oczy zapiekły mnie od łez; spuściłam wzrok, żeby tego nie zauważył. Na rzęsach osiadły kropelki. Otarłam je drżącą dłonią – i nagle miałam przed sobą kolczyk w sutku Cole’a.

Hm, cześć. Dlaczego nie zauważyłam tego wcześniej?

– Tak, powinnaś była mnie słuchać.

Usunął kawałki nici, oczyścił mi skórę, przyłożył jakąś maść znieczulającą i zaszył ranę. Do diabła z maścią, miałam wrażenie, że setka pszczoł bawi się z moją ręką w coś, co można by nazwać: „Gdzie Cię Boli Najbardziej?”, ale zagryzłam wargę i wytrzymałam.

– Musiałeś robić to już wcześniej – zauważyłam.

Miał pewną dłoń, wiedział, gdzie przeciągnąć igłę, kiedy zawiązać końce.

– Tak – potwierdził. – Nawet na sobie. Wszyscy to robiliśmy.

Kiedy skończył, owinął mi rękę gazą. A kiedy i to skończył, oparł się dłońmi o blat obok moich bioder, stanął między moimi nogami i nachylił się, patrząc mi głęboko w oczy.

– W porządku? Naprawdę?

– Tak.

– To dobrze.

Potem mnie pocałował.

I było tak jak przedtem. Całkowicie zatraciłam świadomość otoczenia i skupiłam się bez reszty na Cole’u. Na jego ustach, które przywierały do moich. Na jego języku, który toczył pojedynek z moim językiem. Na jego smaku, tak słodkim i uwodzicielskim, jak truskawki i czekolada. Na jego zapachu, nieokreślonym i bogatym. Na jego ciele,

ciepłym i silnym, które otaczało mnie ze wszystkich stron i brało w niewolę.

Nie przyszło mi do głowy, żeby mu się opierać. Przywieraliśmy do siebie i byłam tym zachwycona. Objęłam go nawet nogami i splotłam kostki na jego plecach, przytrzymując przy sobie.

Domyślałam się, że był mną zainteresowany romantycznie.

Jego palce zaplątały się w moje włosy, przechylił mi głowę, by było mu łatwiej mnie całować.

– Przyjemnie smakujesz.

– Potem będziesz mówił. Teraz całuj.

– Tak, do diabła...

W naszych słowach było coś znajomego, ale w tym momencie nie mogłam się zorientować co. Nie zwracałam sobie tym głowy. Tutaj, teraz i on – tylko to istniało. Nie miał na sobie podkoszulka i och, chwala niebiosom, wyczuwałam każdy wzgórek jego mięśni, każde zgrubienie blizn, nawet zimny metal w jego sutku.

– Chcesz, żebym przestał? – wymamrotał gardłowo.

– Nie. Tak. Ja...

Objął mnie jeszcze mocniej, a ja...

– Okay – odezwał się gdzieś obok poirytowany głos. – Jestem trochę zaskoczony.

Cole uwolnił mnie z objęć i obrócił się błyskawicznie w stronę intruza, osłaniając mnie sobą, gotów stawić czoło zagrożeniu.

W drzwiach stał jego tata.

– Słyszałem, że doszło do pyskówki – oznajmił pan Holland.

Wysoki, groźny i... czyżby rozbawiony?

Niech ktoś mnie zabije! I to szybko!

– Nic się nikomu nie stało – odparł bez zająknięcia Cole.

Pan Holland otarł czubek buta o ścianę.

– Widzę.

Błagam, błagam, niech ktoś mnie zabije.

– Właśnie wychodziliśmy – dodał Cole, odchrząknawszy.

Pan Holland machnął w stronę drzwi.

– No cóż, nie chcę was zatrzymywać. Proszę.

Zsunęłam się z blatu szafki, wyminęłam Cole'a i dałam nogę, ani razu się nie odwracając.

*

Jedna wielka różnica między mieszkaniem pod jednym dachem z wszystkowiedzącym ojcem a nieświadomymi niczego dziadkami: pora spania. Tata kładł się, kiedy chciał, a babcia i dziadek leżeli w łóżkach już przed dziewiątą. „Zasada porannego ptaszka”, jak to nazywali. Oszczędziło mi to kłopotu ich usypiania, pomimo wcześniejszych ostrzeżeń Cole'a, że być może będę do tego zmuszona, by się wymykać z domu.

O wpół do dziesiątej pojawił się na moim podwórzu. Cole, który mnie całował. Cole, który nie chciał potem o tym rozmawiać. Okay, niech będzie. Ja nie chciałam rozmawiać.

Cole, który doprowadzał mnie do cholernego szału.

Trzy po wpół do dziesiątej byłam poza domem i stałam obok niego – w powietrzu zaś unosiła się obrzydliwa woń rozkładu.

Tak jak uprzedziła Emma, zombi już nadchodzili.

Nerwowość mieszała się z niecierpliwym wyczekiwaniem. Przez kilka ładnych godzin ćwiczyłam uwalnianie ducha od ciała i szło mi całkiem nieźle. Nie zamierzałam tej nocy sprzedać łatwo skóry.

– Przykro mi, ale nie mogę postawić tu nikogo na straży, wszyscy są potrzebni, więc zamontowałam tak dużo pułapek, że nic nie przedostanie się poza twoją furtkę, okay? – Chwycił mnie za ramię i wystartował do sprintu, a ja nie miałam wyjścia, musiałam dotrzymać mu kroku albo pozwolić, by włókł mnie za sobą. – Nie oddalaj się ode mnie na krok.

– Myślałam, że będziemy walczyć tutaj – wysapałam.

Księżyc był w pełni, wielki złoty krąg otoczony zewsząd długim pasmem czarnego nieba. Widziałam chmury, ale ani jednej gwiazdy.

– Szron zlokalizował już pierwszą ich falę i podążył za nimi. Kierowali się w stronę twojego domu, ale chcemy się przekonać, czy ruszą za tobą.

Pozostawało pytanie, na które też pragnęłam usłyszeć odpowiedź.

– A jeśli nie?

– Dadzą mi znać i wtedy zawrócimy.

Wypadliśmy z leśnej ścieżki; jego jeep stał przy krawężniku. Za kierownicą siedział Bronx, włosy ukrył pod ciemną bandaną, tak jak ja. Cole wepchnął mnie na dobrą sprawę do wozu, potem wśliznął się za mną. Opony wydały cichy pisk; ruszyliśmy.

Trochę za bardzo przypominało mi to tamten wieczór, kiedy zginęła moja rodzina. Moment, kiedy tata wrzucił mnie niemal do samochodu, a ja z trudem zapięłam pasy. Zachowam spokój, obiecałam sobie. Ta noc była inna. I miała się skończyć inaczej. Choć w wozie panowała smolista ciemność, mogłam dostrzec arsenał broni palnej, kusz i mieczy.

To zombi miały dziś umrzeć, nie my.

– Jesteś uzbrojona? – spytał mnie Cole.

– Tak.

Zanim odwiózł mnie po ćwiczeniach do domu, dał mi nóż sprężynowy i sztylet obosieczny. Nazajutrz miałam opanować podstawy posługiwania się krótkim mieczem i kuszą. Nie mogłam się już doczekać. Tymczasem musiałam polegać na tym, co wiedziałam.

Jeepem zarzuciło; niemal otarł się o jakiś narożnik, a ja podskoczyłam.

– Ostrożnie – rzucił Cole.

Bronx był rozmowny jak zwykle – to znaczy nic nie mówił. Kilka ostrych zakrętów, krótka jazda poza granice mojego osiedla i sąsiedniego, po czym jeep zatrzymał się gwałtownie przy krawężniku. Cole wyskoczył z wozu, wyciągając mnie i przy okazji – dwa miecze.

Wspięliśmy się pospiesznie na wzgórze, pokonując zagajnik, i znaleźliśmy się na polanie. Bronx deptał mi po piętach.

– Co mam robić?

Choć nie widziałam jego przyjaciół, podejrzewałam, że są w pobliżu, obserwując i czekając. Wyczuwałam kwiatowy zapach szamponu Mackenzie, piżmową nutę wody kolońskiej Hauna i wszystko, czym oddychałam w domu Cole'a.

Księżyc przysłoniła ciemna zbitka chmur; całe otoczenie tonęło w stonowanym, niemal czerwonym kolorze. Idealny kamuflaż. Byliśmy ubrani od stóp do głów w czerń, oczy też podmalowaliśmy sobie na czarno. Nie wiedziałam, dlaczego Cole mnie do tego zmusił, ale obaj zrobili to samo, więc okay.

– Dziś w nocy obserwujesz i się uczysz. – Rzucił miecze na ziemię, wziął mnie za ramię i pociągnął w stronę najbliższego drzewa. Schylił się

i zrobił z dłoni mostek. – Do góry.

Postawiłam stopę na tej prowizorycznej podpórce, wspięłam się na jeden z konarów i przycupnęłam tam, z oboma ostrzami w rękach.

– Pozwól, żebym wam pomogła – poprosiłam. – Na pewno się przydam.

Pozostał na ziemi, a spojrzenie jego fioletowych oczu przykuwało mnie do miejsca.

– Jesteśmy dzisiaj ostatnią linią obrony, więc nie będziemy musieli walczyć z wieloma przeciwnikami. Jeśli w ogóle do tego dojdzie – oznajmił. – Zostań tam, dopóki nie będziesz absolutnie potrzebna. Wciąż się kurujesz, a ja powinienem poradzić sobie z wszelkimi maruderami, którzy tu dotrą.

– Ale...

– Ponieważ posługujesz się sztyletami, musiałabyś zbliżyć się do nich bezpośrednio, żeby któregoś obezwładnić. Jeśli się zbliżysz, a oni otworzą ci rany, to wykrwawisz się i osłabiesz; rozedrą cię na strzępy.

Okay, więc zasadniczo stanowiałam przynętę.

– Po co mnie uzbrajałeś, skoro chcesz, żebym tylko obserwowała?

Pokusa działania była zbyt wielka.

– Musimy być przygotowani na wszystko. Zawsze.

Westchnęłam. Może i nie podobała mi się jego logika, ale ją pojmowałam.

– Nie jestem zachwycony, że włączamy cię do akcji właśnie teraz, kiedy nie poddaliśmy cię żadnym symulacjom czy próbom. Będziesz zaskoczona tym, jak to wszystko wygląda. Ale musimy ustalić ponad wszelką wątpliwość, że zombi polują właśnie na ciebie, a to jest najlepszy i najszybszy sposób, żeby się o tym przekonać.

Ciszę nocną rozdarł skowyt, tłumiąc moją zuchwałość. Nie skowyt wilka, tylko człowieka. Przycupnąwszy pod moim drzewem, Cole położył przed sobą miecze.

– Zwykle zostawiamy nasze ciała u jednego z nas, więc nikt nie może wyrządzić nam szkody, kiedy nie jesteśmy się w stanie bronić. – Wyciągnął małą kuszę z kabury przy kostce, a z drugiej broń palną. – Ja i Bronx nie mogliśmy tego zrobić, bo musieliśmy cię tu przywieźć. I tu zostawimy nasze ciała, z tobą. Nie martw się, jeśli zbliżą się zombi. Naszym fizycznym powłokom nic się nie stanie. Wypatruj ludzi, a jeśli jacyś się pojawią, odstrasż ich.

– W porządku – odparłam, nie mogąc zapanować nad drzeniem.

– Mówiłem ci, że zombi nie odczuwają żadnego bólu? – spytał, wciąż tym nauczycielskim tonem. – Jeśli będziesz zmuszona walczyć, nie próbuj ich zranić. Nic ci to nie da. Wydają dźwięki, kiedy je uderzasz, bo wytrącasz je z morderczego działania. Tym samym twoim jedynym celem musi być ich chwilowe unieszkodliwienie.

– Okay.

Zdażyłam już postanowić, że będzie, co będzie. Nie zamierzałam zmieniać zdania.

Jeszcze jeden skowyt. Krzyk. Pomruki i jęki. Dźwięki dochodziły zewsząd. Nie byłam pewna, kto je wydaje, zombi czy przyjaciele Cole'a. Potem dał się słyszeć szelest liści, tupot stóp.

– Tak, ścigają cię, bez dwóch zdań – zauważył Cole. – Bronx?

Bronx skinął głową.

Obaj chłopcy mieli okulary przeciwsłoneczne na rzemykach wokół głowy. Cole rzucił mi parę, ale je upuściłam. Wspaniale!

– Teraz – powiedział Cole.

Opuścili jednocześnie swoje ciała.

Wydało się, że ktoś nacisnął kontakt, bo całą polanę oświetliły jasne halogeny, rzucając w moją stronę oślepiające promienie i odganiając wszelką ciemność. Zmrużyłam powieki, żeby przysłonić łzawiące nagle oczy.

Zrozumiałam teraz, do czego potrzebne były okulary, tak jak ciemne półksiężycy pod oczami. Czerń pochłaniała światło i odbijała zbyt jasny blask, zapewniając mi optymalne widzenie. Bardzo sprytne posunięcie.

Była to moja ostatnia racjonalna myśl.

Z gęstwiny zielonych zarośli wypadł Szron, na twarzy miał rozmazaną czarną farbę. Nie nosił okularów. Rzucił się na ziemię i przetoczył kilka razy.

– Teraz, teraz, teraz!

Gdy tylko znieruchomiał, w jego dłoniach pojawiły się pistolety; wycelował.

I chwała Bogu. Zjawiły się zombi – nie paru maruderów, ale cała horda.

Trach, trach! Świst, świst. Łup, łup. Cole i Bronx pociągali za spust swojej broni; w powietrzu gwizdały kule i bełty. Zombi przewracały się i padały przy akompaniamencie pomrukiwań i jęków. Woń rozkładu nabrała mocy; zaczęłam się krztusić.

Przez zarośla przedzierały się kolejne, niektóre potykały się o swych towarzyszy, innym udawało się utrzymać na nogach, lecz gdy tylko znalazły się w kręgu światła, podnosiły ręce, by zakryć oczy. Nigdy wcześniej nie widziałam ich w pełnym blasku. Teraz żałowałam, że je widzę. Tak, cuchnęły rozkładem, co podkreślało jeszcze ich podarte odzienie, koszmarne rysy i porozrywana, obwisła skóra, ale miały w sobie teraz coś dziwnie... pięknego.

Ich skóra była jak pokruszony lód, połyskując odcieniami onyksu

i szafiru. Oczy, które wydawały się czarne w ciemności, w świetle migotały rubinowo i głęboko hipnotycznie.

Zombi, których nie trafiły pociski z broni Cole'a czy Szrona, ruszyły w stronę drzew, uświadomiwszy sobie, że nie mogą dotrzeć do chłopców, nie narażając się na oślepiający blask światła. Szczęśliwe zrządenie losu – dopóki za moimi plecami nie zerwał się wiatr i nie zaniósł im mojego zapachu. Zombi zastygły, wciągnęły w nozdrza powietrze, a ich rubinowe spojrzenia skupiły się na mojej osobie. Nagle zapomniały o swojej awersji wobec światła.

Ruszyły do przodu.

– Roją się – usłyszałam, jak Szron mówi do Cole'a między jednym strzałem a drugim. – Wszędzie. Nadchodzą z każdej strony.

Szron był obrócony twarzą do przodu, Cole krył tyły, a Bronx wyciągał ręce w lewo i prawo. Bum, bum, bum. Kule świstały we wszystkich kierunkach.

Cole odrzucił pusty magazynek, potem szybko i z łatwością wsunął do broni zapasowy, który trzymał za paskiem. Wszyscy chłopcy celowali w szyje, starając się za wszelką cenę uszkodzić przeciwnikom kręgosłupy.

Trafili tak wielu, że zaczął rosnać stos ciał. Mimo to liczba napastników nie malała. Kiedy padał jeden zombi, na jego miejscu pojawiała się dwóch kolejnych. Po prostu nadchodziły bez końca. Gdy Cole wyczerpał zapas bełtów i kul, chwycił miecze i zaczął ciąć tę niepowstrzymaną masę. Głowy odpadały od ciał, które waliły się na ziemię, ale tak jak przedtem – ani głowy, ani ciała nie umierały.

Poruszał się z płynną szybkością, cofał się, gdy któryś z zombi sięgał ku niemu, potem brał zamach, by ciąć każdego, kto się przed nim znalazł, i jednocześnie wymierzał kopniaka każdemu, kto znalazł się za nim.

Tupot.

– Nadchodzą! – ktoś krzyknął.

Szron i Bronx przestali strzelać. Zobaczyłam, że przez nawałnicę zombi, w obręb światła, przedarli się Trina i Cruz. Ich dłonie promieniały. Zaatakowali ciżbę, zamieniając w popiół jednego przeciwnika za drugim.

Znowu rozległo się: „Nadchodzą!”.

Pojawili się Mackenzie, Derek i Haun, potem Lucas i Collins. Uświadomiłam sobie, że gdy przybrali postać duchową, ich elektroniczne obręcze na kostkach nie mają znaczenia. Nigdzie nie dostrzegłam Brenta.

Niektórzy chłopcy byli zakrwawieni. Wszyscy oblewali się potem i mieli twarze czerwone ze zmęczenia i wysiłku. A ja siedziałam sobie na drzewie, nic nie robiąc i godząc się na to, by narażali swoje życie.

Pieprzyć to siedzenie na drzewie.

Widzicie? Wiedziałam, że nie oprę się pokusie.

Zombi ruszyły ku każdemu z wojowników i niebawem zostaliśmy całkowicie otoczeni. Wszyscy wciąż strzelali, walczyli i próbowali dosięgnąć ognistymi dłońmi tych gnijących piersi. Większość potworów syczała, gdy żar blasku zalewał je bez końca, niebieskie fragmenty ich skóry ciemniały... ciemniały... i zamieniały się w gęstą czarną parę, która dobywała się z ich porów. Zdawało się, że nie dostrzegają już tego. Może dlatego, że nie odczuwały bólu. Czy nie to powiedział Cole? I wydawało się, że zombi rzeczywiście działają w zorganizowanych grupach; wybierały konkretnych przeciwników i oddzielały ich od pozostałych, by zaatakować z tym większą siłą.

Rozległo się echo krzyku. Mackenzie zatoczyła się do tyłu, wrywając rękę z ust któregoś zombi. Zamiast śladów po zębach zobaczyłam czarną gęstą ciecz wypływającą spod jej skóry i wiedziałam, że zło przedostało się prosto w jej żyły.

Wciąż walczyła, jej ruchy były coraz wolniejsze... coraz wolniejsze... jak u ślimaka. Inny zombi zdołał wgryźć się w tę samą zranioną rękę, czarna maź rozlewała się bez końca. Znowu krzyknęła, a potem jej głos roztrzaskał się na tysiące kawałków ciszy. Dorwała ją kolejna chmara zombi, znikając w jej wnętrzu, unosząc ją w górę, ciągnąc w dół. Żaden

z pozostałych zabójców nie zauważył, co się z nią dzieje; byli za bardzo zajęci własną obroną.

Wzięłam głęboki wdech... Wstrzymywałam go przez chwilę... Mogę to zrobić. Zrobię to... Potem odetchnęłam, uwalniając jednocześnie ciało od ducha, tak jak to ćwiczyłam. Tutaj i teraz, kiedy adrenalina buzowała w moich żyłach, było to znacznie łatwiejsze.

Zeskoczyłam z drzewa na ziemię z ugiętymi nogami, wyprostowałam się, ściskając w obu dłoniach ostrza. Błysk tu, błysk tam. Zabójcy, Linie Krwi. Wszystko, co trzeba omijać. Od razu ruszyłam przed siebie, ku grupie otaczającej Mackenzie.

Cięłam jakiegoś zombi w kark. Zatoczył się w bok. Obróciłam się błyskawicznie i dźgnęłam drugiego w brzuch. Jeszcze jeden obrót, jeszcze jeden cios. Dostrzegłam kątem oka ciało Mackenzie naznaczone czernią i podrygujące, już pozbawione blasku, palce zaciśnięte z bólu. Przynajmniej ci, którzy ją otaczali, zapomnieli o gotowym posiłku i skupili całą swą uwagę na mnie.

Jeden pojawił się obok mnie, tuż przy ziemi, i zdołał chwycić mnie za nadgarstek i pociągnąć w dół. Dźgnęłam go w oczy, jeden raz, drugi, i oślepiłam. Potem niemal stanęłam na rękach, żeby wymierzyć kopniaka zombi, który pojawił się za mną. Moje zmęczone mięśnie ud napięły się boleśnie, ale zdołałam go odepchnąć.

– Zombi nie zwyciężą dzisiaj – oświadczyłam, kiedy zaczął mnie otaczać zwarty tłum przeciwników. Była to deklaracja, w którą chciałam wierzyć. Modliłam się o to.

Skoczyłam na równe nogi, kiedy ruszyły na mnie, i zdołałam ciąć ostrzem jednego w szyję, potem drugiego. Poczułam, jak coś twardego napiera na moje plecy, ale nie panikowałam. Wyczułam znajomy zapach drewna sandałowego. Cole.

– Świetnie ci idzie.

Walczył za moimi plecami, osłaniając martwe pole.

Owionął mnie ciepły powiew wiatru, skrząc się mocą i dodając mi odwagi. Cole wierzył w to, co powiedział, i ja też w to wierzyłam. Szło mi świetnie, ale teraz miałam radzić sobie jeszcze lepiej.

– Tobie też.

Wyciągałam ręce w różne strony, tnąc jedną wysoko, a drugą nisko.

– Rób dokładnie to, co dotychczas, tyle że spokojnie.

Szybciej... szybciej... Zombi próbowały mnie zablokować, ale były zbyt powolne. Cięłam, cięłam, cięłam – barki, ręce, tułowie, brzuchy, uda – wokół mnie rósł stos podrygujących ciał.

Doskoczył do nas Bronx – jego dłonie jaśniały oślepiającą bielą – i zaczął zadawać ostateczne ciosy.

Cole i ja nadal walczyliśmy, ale blask nie dobył się z moich dłoni. Kiedy uporaliśmy się z tłumem otaczającym Mackenzie, zabraliśmy się do tego, który skupiał wokół siebie Szron, a potem Collins. Zostałam kilkakrotnie ugryziona, przelotnie, nie tak jak wcześniej, ale piekący ból spowolnił w końcu moje ruchy. Za każdym razem sprawcy odskakiwali ode mnie przerażeni, jakby uświadamiając sobie, że moje ostrza okażą im szczególną czułość.

Kiedy bitwa dobiegła końca, kiedy nie było już z kim walczyć, utraciłam każdą cząstkę energii. Nie mogłam się oprzeć, gdy niewidzialny łańcuch wciągał mnie w górę... w górę... w górę... na drzewo. Wcześniej musiałam zawsze wysunąć rękę i dotknąć ciała. Teraz po raz pierwszy doświadczyłam takiego przyciągania.

Nabrałam powietrza w płuca i świat znów nabrał ostrych konturów.

Nawet funkcjonując w rzeczywistej sferze, byłam zbyt słaba, by utrzymać pozycję pionową i zsunęłam się z konara. Walnęłam o ziemię i przetoczyłam się, gubiąc gdzieś po drodze ostrza. Czulałam dojmujące klucie w ręce; nie musiałam się jej przyglądać, by wiedzieć, że znowu zerwałam sobie szwy.

Otaczały mnie niezliczone ciała – zombi przypominały muchy złapane na lep, który wisiał pod sufitem długie tygodnie.

– Szron, zabierz Mackenzie do Ankha! – zawołał Cole. Zbliżył się do swojego ciała, wciąż wspartego o drzewo, i dotknął go. Połączenie nastąpiło w mgnieniu oka.

– Już się robi – odparł Szron, który wziął Mackenzie na ręce i ruszył przed siebie.

– Trina, Haun, poszukajcie Brenta.

– Już go nie ma – odparła Trina.

– Reszta niech się zajmie niszczeniem pozostałych zombi.

– To nie będzie konieczne – odezwał się w zmroku nieznany głos.

Ktoś wyłączył halogeny i nagle cały las zalała fala mroku. Zamigotały mi przed oczami plamy. Usłyszałam liczne kroki, trzask... W końcu pojawiło się mnóstwo ludzi w kombinezonach ochronnych.

– My zabierzemy zombi – oświadczył ten sam człowiek.

Cole doskoczył do niego, ale jego ręka przeszła na wylot tamtego. Najwidoczniej kombinezon miał postać duchową.

– Tchórz! Powinienem być się domyślić, że przyjdziecie.

Musieli obserwować bitwę gdzieś z obrzeży lasu, nie przychodząc nam na pomoc i czekając na okazję, by włączyć się do akcji. I czy był lepszy moment niż ten, kiedy Cole i ja znajdowaliśmy się na powrót w swoich ciałach, pokiereszowani i zbyt słabi, by walczyć?

– Idźcie – rzucił Cole do swoich przyjaciół.

Wszyscy z wyjątkiem Bronxa wykonali pospiesznie jego polecenie. Wciąż znajdowali się w postaci duchowej, a tym samym byli narażeni na obrażenia ze strony tych w kombinezonach. Byłam pewna, że w normalnej

sytuacji nie musieliby się niczego obawiać; Cole i jego towarzysze przewyższali ich umiejętnościami. Teraz byliśmy zbyt słabi.

Jeden z tamtych podszedł do mnie i schylił się. Zmrużyłam oczy i dostrzegłam za szybką wizjera rysy Justina.

– Wybrałaś niewłaściwy zespół – oznajmił.

Owionął mnie ciepły wiatr i pomyślałam, że ten powiew jest skutkiem siły jego słów, jakby była w nich moc, którą nawet ja mogłam odczuwać w tej naturalnej rzeczywistości.

– Należę do właściwego zespołu – rzuciłam przez zaciśnięte zęby. Wierzyłam, że jego wola nie przewyższy mojej.

Pojawiła się przy nim jego siostra, uśmiechając się z wyższością przez maskę. Biel zębów nadawała jej niesamowity wygląd. Nie powiedziała słowa, ale w końcu nie było to potrzebne. Potem się roześmiała.

Patrzyłam bezradnie, jak ludzie w kombinezonach zbierają to, co pozostało z wciąż podrygujących zombi, i odciągają je.

Dwie sekundy po ich zniknięciu jakieś zakrwawione ręce wsunęły się pod moje plecy i kolana i uniosły mnie. Przywarłam do piersi Cole'a, czując uderzenia jego serca.

– Spokojnie, trzymam cię – zapewnił.

– Nie boli mnie tak jak zwykle. Mogę iść.

Nie widać było po nim wysiłku, ale wiedziałam, że i on odczuwa skutki walki.

– Mogę albo być przy tobie, albo gonić za tymi w kombinezonach. Zdecydowałam się na ciebie.

– To chyba dobry wybór.

Kiedy tak niósł mnie przez las, przywarłam spojrzeniem do swojej siostry, która zmaterializowała się w odległości kilku kroków od Cole'a; drobna postać Emmy migotała, a na jej twarzy malował się głęboki smutek.

– Jest już za późno – wyszeptała. – Przykro mi, Alicjo, tak bardzo przykro. On przyjdzie po ciebie.

Słowa mojej siostry prześladowały mnie przez całą drogę do domu Cole'a. „On przyjdzie po ciebie”. Kto? Dlaczego?

W chwili gdy przybyliśmy na miejsce, moją uwagę przykuło jednak coś innego. Wewnątrz stodoły zobaczyłam wszystkich zabójców na szpitalnych łózkach. Większość była podłączona do kroplówek, podczas gdy pan Ankh krążył między nimi, sprawdzając ich stan. Niektórzy spali, inni cierpieli za bardzo, by się zdrzemnąć. Lecz Brent... leżał całkowicie nieruchomo, a ciało było jednym wielkim zbiorowiskiem czarnych ropni.

On najbardziej potrzebował pomocy medycznej, a mimo to pan Ankh ani razu nie zbliżył się do jego łóżka. Doktor Wright, która opatrywała i bandażowała tych z mniejszymi obrażeniami, nawet na niego nie zerknęła. Mogło to tylko oznaczać...

Cole rzucił paskudne przekleństwo, pełne jadu i smutku. Położył mnie na łóżku i zwrócił się do pana Ankha:

– Trina i Haun wciąż tam są i szukają... – Kiedy poczuł, że głos mu się łamie, zacisnął wargi.

Jednak Trina i Haun leżeli na łózkach i... och, nie. Tak naprawdę nie leżeli. Ich ciała były tu, ale w rzeczywistości przebywali w lesie w postaci duchowej.

– Już wysłałem po nich twojego ojca – poinformował pan Ankh.

Choć surowa jak zawsze, doktor Wright położyła sobie dłoń w gumowej rękawiczce na sercu.

– Przykro mi, Cole. Był wspaniałym chłopcem.

Cole pochylił głowę.

– Nie jest... nie może być... – jękałam się.

– Jest. Może. – Nigdy jeszcze nie słyszałam u niego tak zdecydowanego tonu. – Dowiemy się za kilka dni, czy jego duch zdołał ocaleć, czy też przemienił się w zombi.

Nie było sposobu, by zorientować się teraz i tutaj. I czy w ogóle istniała taka możliwość? Bez względu na cokolwiek, nie chciałam obudzić się pewnego dnia jako nie do końca martwy duch-trup.

– Będziemy musieli przemyścić ciało do domu Brenta. To jego dziewczyna poinformuje rano o jego śmierci. Rozniesie się, że umarł na tę samą chorobę co Boots i Ducky. – Roześmiał się gorzko. – Może nie zostanie już określona jako rzadka, co?

– Tak mi przykro – wyszeptałam, wiedząc, jakiego spustoszenia dokonuje strata bliskich osób, znając to koszmarnie uczucie, jakie przynosi świadomość, że ktoś ukochany cierpiał straszliwie.

– Do łóżka, Cole – powiedział stanowczym tonem pan Ankh. – Zajmiemy się tobą.

Po kilku minutach oboje, ja i Cole, leżeliśmy pod kroplówkami. Pogrzyżył się w milczeniu, ale wyczuwałam ból, który bił z niego niepowstrzymanymi falami. Nie znałam Brenta zbyt dobrze, ale nawet ja go opłakiwałam.

– Nie chciałby umrzeć w inny sposób – odezwał się Collins.

Cole wstrząsnął głową. Doktor Wright podeszła do niego i poklepała go po dłoni.

Drżała mi broda.

– Nie będziesz płakać – zwróciła się do mnie i choć jej słowa wydawały się okrutne, były w gruncie rzeczy przepełnione serdecznością i dodały mi sił. – Nie tego teraz potrzebujemy.

– Wiem.

Ale... ilu przyjaciół Cole utracił w ten sposób? Ilu jeszcze miał utracić. A ja? Zdawałam sobie sprawę, że poznam tych wszystkich ludzi lepiej, prawdopodobnie ich pokocham, a potem też stracę.

Kiedy do stodoły przeniknęli Trina i Haun, oboje próbowali powstrzymać łzy. Patrzyłam, jak wciąż bliscy płaczu wchodzą w swoje ciała, które otaczały ich niczym migotliwy koc.

– Nie mogę uwierzyć, że nie żyje – oznajmiła chrapliwie Trina. Jej nagie bicepsy pokrywała czerwień i czerń. Włosy, upstrzone teraz zaschniętą krwią, sterczały na wszystkie strony. Miała rozciętą górną wargę, siniec na policzku i wielki guz na brodzie.

Poczułam na policzku ciepłą łzę.

Patrzyłam, jak pan Ankh obejmuje Trinę i tuli mocno do siebie.

Bronx, który zjawił się z Cole'em i ze mną, zajął sąsiednie łóżko. Nie odzywając się słowem, zakrył ramieniem spuchnięte, podkrążone oczy. On też był pokryty czerwienią i czernią, jego niebieskie włosy były w koszmarnym nieładzie.

W stodole pojawił się pan Holland. Podeszedł szybko do syna.

– Przykro mi. Był dobrym dzieciakiem. Uczcimy go, tak jak uczciliśmy wszystkich innych.

Cole skinął sztywno głową, a po moim policzku spłynęła jeszcze jedna łza.

– Zaopiekuj się Ali – powiedział, a pustka w jego głosie złamała mi serce do reszty. – Sporo przeżyła. – Po chwili poklepał syna po ramieniu. – W porządku. – Odwrócił się do mnie, obmył mi rany i zabandażował jak najdelikatniej. – Słyszałem, że wzięłaś dziś sprawy w swoje ręce.

– Wszyscy to zrobiliśmy.

– Skromna? Naprawdę? Nie spodziewałem się tego po tobie. –
Wrzucił zakrwawione bandaże do kosza stojącego obok mojego łóżka. –
Więc Mackenzie sama się uwolniła? I Szron?

– Zrobiłam to, co musiałam. To, co inni zrobiliby dla mnie.

– Tak, ale zrobiłaś to bez specjalnego wykszolenia.

Westchnęłam.

– Czyżbym słyszała nutę oskarżenia? Że współpracuję
z niewłaściwymi ludźmi?

Moje słowa go rozbawiły; drgnęły mu kąciki ust. To samo
zaobserwowałam wcześniej u Cole'a, i to nie jeden raz.

– Nie. Nie wiedziałaś, gdzie ma być urządzona zasadzka, więc nie
mogłaś im powiedzieć, dokąd mają się udać. Ci w kombinezonach ruszyli
za zombi, tak jak zombi ruszyły za tobą.

Skoro o tym mowa...

– Co zamierzają z nimi zrobić?

– Prócz tego, że wypchają nimi ludzkie ciała? Też chciałbym
wiedzieć.

Potem się oddalił. Wszyscy pograżyli się w drażliwym milczeniu,
każdy zajmował się własnymi myślami. Gdybym tylko mogła powiedzieć
coś, co by ich pocieszyło, ale pamiętałam doskonale swoją pogardę wobec
lekarzy, pielęgniarek, przyjaciół i członków rodziny, którzy raczyli mnie
po wypadku śmiesznymi serdecznościami.

Wyjdziecie z tego. Wiedziałam, że będą dalej robili swoje, ale że
nigdy nie zapomną o własnej śmiertelności.

Czas zagoi wasze rany. Strata ukochanej osoby była jak strata
kończyny. Człowiek zawsze miał świadomość tego, czego mu brakuje i co

miał niegdyś.

Przykro mi. Owszem, było mi przykro, ale te słowa tak naprawdę nic by dla nich nie znaczyły. Odszedł ich przyjaciel; wiedzieli, że nigdy więcej go nie zobaczą, dopóki sami nie umrą. Ta myśl nie mogła ich pocieszyć tego wieczoru.

– Zombi stały się bardziej odporne – zauważył Szron, przerywając milczenie. Powiedział to z ostrością, którą zwykle rezerwował dla mnie. – Halogeny je kiedyś odstraszały. Ale nie dzisiaj.

– Nie wydaje mi się, by były bardziej odporne – odparł Cole mrocznym i twardym tonem. – Myślę, że były zdecydowane dopaść Ali.

– Tylko dlaczego? – spytałam zbита z tropu.

Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć.

*

Kilka następnych miesięcy upłynęło jak we mgle. Brent nie uczęszczał do Asher. Już wcześniej ukończył szkołę i mieszkał sam, z dala od swojej rodziny, więc nikt nie wiedział, że zginął. Nikt nie rozumiał, dlaczego Cole i jego przyjaciele są nerwowi i skłonni przy byle okazji tracić nad sobą panowanie.

Cole odprawił niewielkie, prywatne nabożeństwo za Brenta. Kiedy zobaczyłam, jak wszyscy oni, odznaczający się takim stoicyzmem, opłakują śmierć przyjaciela, poczułam się do głębi poruszona. Szlochałam jak dziecko.

Czasem myślałam tylko o tym, kto będzie następny. Cole? Nie przytrafiła się nam następna wizja i wciąż nie bardzo wiedzieliśmy, co to dla nas oznacza. A Szron? Jak Kat zniosłaby jego stratę? Niezbyt dobrze, to pewne.

Jak się jednak już przekonałam, bez względu na to, co się wokół nas działo, życie toczy się dalej. Każdego dnia po szkole ćwiczyłam i trenowałam z Cole'em. Na ringu i na macie nie byłam nigdy tak dobra

jak w terenie. Nie potrafiłam udawać przyływu adrenaliny czy bojowego zapachu, nieważne, co akurat ćwiczyliśmy.

Stanowiłam bez wątpienia słabe ogniwo.

Cole rzucał mnie na tyłek niezliczoną ilość razy, zadawał mi draśnięcia mieczami i sztyletami, ale nie pocałował mnie ponownie. Co nie znaczy, bym o tym myślała. Naprawdę.

Czuwałam niemal każdej nocy. Jeśli akurat nie patrolowałam z Cole'em lasu wokół swojego domu, zastawiałam pułapki na zombi. Jeśli nie zastawiałam pułapek, tropiłam ich gniazda. Jeśli nie tropiłam gniazd, wypatrywałam potworów przez okno sypialni albo próbowałam rozszyfrować pozostałą część dziennika.

Rozgryzłam dwa kolejne fragmenty, jeden o pierwszych zombi, co doktor Wright zdążyła mi już wyjaśnić, i jeden o pierwszych zabójcach, czego nie wyjaśniła. Ci pierwsi wojownicy nie potrafili opuszczać swoich ciał i musieli uczyć się walki z potworami, pozostając w naturalnej postaci. Jednak śmierć jednego z nich ich ocaliła. Zombi pożarły jego ducha wprost z ciała i doszło do rozprzestrzenienia się jakiejś infekcji, która wybiła je niemal do szczętu. Niemal. Tylko tyle potrafiłam rozszyfrować, ale może tak było lepiej. Wszystko, czego się dowiadywałam, wydawało się coraz bardziej zagadkowe.

W końcu się zламаłam i pokazałam dziennik Cole'owi, ale okazało się, że strony są dla jego oczu zaszyfrowane – wszystkie, bez wyjątku. To oznaczało, że potrafię rozszyfrować słowa wyłącznie o własnych siłach.

Cole nie miał pojęcia, jak tego dokonałam albo kim mógł być autor, i poprosił, żebym przekazała manuskrypt jego ojcu do dalszych badań, ale odmówiłam. Nie mogłam się z nim rozstać.

Cole spierał się ze mną, ale w końcu sobie odpuścił. Owszem, sfotografował stronicę, ale sobie odpuścił.

Nie miałam ani jednej chwili wytchnienia – to pewne – pomimo tego, że zombi przestały się pojawiać. Nie pokazały się ani razu od tamtej nocy, kiedy na mnie polowały; Cole twierdził, że w końcu uległy potrzebie

odpoczynku. Ja spekulowałam, że ma z tym coś wspólnego zespół w kombinezonach, ale dowiedziałam się, że pan Holland i pan Ankh obserwowali tamtych z ukrycia i nie zauważyli u nich żadnego ruchu.

Jeśli chodzi o front domowy, moi dziadkowie nie byli ze mnie zadowoleni. Zasypiałam bezustannie na lekcjach, a moje oceny pogorszyły się znacząco. Dwa razy wysłano mnie do gabinetu dyrektora; dostawałam nagany, zawieszano mnie i posyłano do terapeuty.

Kiedy po raz pierwszy poszłam do dyrektorki – i zostałam odesłana przez doktor Wright bez żadnej kary, bardzo pani dziękuję – Wren i Poppy odsunęły się ode mnie jak od odpadów radioaktywnych.

– Nie możemy narażać się na żadne kłopoty – oświadczyła Poppy. – Wszystko, co robimy, może się znaleźć na Twitterze. Żaden college nas nie przyjmie.

– Ostrzegaliśmy cię, że tak właśnie będzie – dodała Wren.

Tak, i tamtego dnia w stołówce, kiedy to zrobiła, uśmiechnęła się też do mnie, zachęcając bez słowa, bym zainteresowała się Cole'em. Dlatego – wiedziałam o tym teraz – że chciała Justina Silverstone'a dla siebie. Widziałam ich na korytarzu, trzymających się za ręce. Najwidoczniej stanowili nową parę w Asher High.

Kat stanęła bezwarunkowo po mojej stronie, a ja tak bardzo ją za to kochałam. Nigdy bym teraz nie pozwoliła jej odejść. Nigdy. Nie dbałam o to, co mówił Cole.

– Podczas naszego pierwszego spotkania powiedziałam ci, że będziesz moim numerem jeden. A ja nigdy nie kłamię ani nie przesadzam.

– Szczera prawda – odparłam ze śmiechem.

– Poza tym jak mogłabym dać sobie z tobą spokój, skoro jestem tak bliska ukończenia drzewa plotkarsko-genealogicznego?

No tak. Drzewo. Przestałam się nim przejmować, jeśli mam być szczerą. Próbowałam jakoś wynagrodzić Mackenzie niesłuszne oskarżenia,

ale ona odplącała mi się pogardliwym spojrzeniem.

Pewnego dnia, podczas przerwy na lunch, uznałam, że dosyć tego.

– Jaki masz problem? – spytałam, siedząc po drugiej stronie stolika. Tak, siedziałam akurat z grupą Cole’a. – Przecież cię przeprosiłam.

Kat, którą zaciągnęłam ze sobą, nachyliła się do Mackenzie.

– Właśnie. Jaki masz problem?

Spojrzenie szmaragdowych oczu przeniosło się ze mnie na Cole’a, który siedział obok mnie.

– Anuluj zakaz i pozwól mi się tym zająć.

– Nie. Zakaz obowiązuje – odparł Cole, kręcąc głową.

Zakaz dokuczania Ali?

– No śmiało – rzuciłam ostro. – Anuluj go.

Mackenzie wstała, pochyliła się i położyła dłonie na stole, który zadygotał.

– Po pierwsze, nie potrzebuję twojej protekcji, laseczko. Po drugie – tu spojrzała złym wzrokiem na Cole’a – nie możesz ciągnąć tego wiecznie.

– W rzeczywistości potrzebujesz mojej protekcji, dzwoneczku – powiedziałam.

Zignorowała mnie.

– Jeśli nie chcesz, żebym darła się na twoją ulubienicę, to może powiem jej o tym, co od ciebie usłyszałam? – W końcu jej uwaga skupiła się na mnie. – Za każdym razem, gdy go pytam, czy z tobą chodzi, zaprzecza. Ale potem kręci się obok ciebie, a ty sama wiesz, jak się przy tobie zachowuje.

Wiedziałam, owszem. Przyjaźnie. Nic więcej.

– O co ci konkretnie chodzi?

– Myślę, że cię wykorzystuje. Albo to, albo oszukuje mnie i przy okazji siebie. Zastanawiam się tylko, co mówi tobie.

Wyszła ze stołówki, odsuwając innych na bok.

Ścigały ją pełne oburzenia głosy: „Hej!”.

Nie ruszyłam się z miejsca, uświadamiając sobie jeden koszmarne fakt. Mackenzie i Cole rozmawiali o mnie, i to bardzo często, zważywszy na jej określenie „za każdym razem”.

O czym jeszcze mówili?

Czy poprosiła go, żeby do niej wrócił? Nie ulegało wątpliwości, że wciąż go kocha. Ale co on czuł do niej?

Czy robili coś razem od chwili, gdy pojawiłam się na scenie... Nie wiedziałam i nie powinno mnie to nic obchodzić, ale... tak, obchodziło mnie.

– Wypadałoby, żebyś poszła za nią – zwróciła się Kat do Triny, a ja wiedziałam, że zrobiła to po to, by odwrócić uwagę od mojej osoby. Ilekroć sądziłam, że już bardziej nie mogę jej kochać, zaskakiwała mnie i zdobywała kolejną część mojego serca.

Trina jadła kanapkę i ani razu nie zaszczyciła Kat spojrzeniem.

– Musisz się zawsze pakować w każdą awanturę? – spytał Szron, patrząc na Kat. Siedział wcześniej obok Mackenzie i teraz jego sąsiadką była Trina. Próbował się od niej odsunąć, jakby nie mógł znieść myśli, że Kat widzi go obok jego domniemanej dziewczyny. – Ali potrafi sobie poradzić.

– Słyszysz nieznośne bzyczenie? – spytała mnie, ignorując jego słowa.

Pokręcił głową.

– Ale z ciebie dzieciak, Kitty Kat.

– Bzz, bzz.

– Nie mam pojęcia, co w tobie kiedykolwiek widziałem – oznajmił.

Sapnęła i rzuciła pomarańczą, celując w jego głowę. Uchylił się bez trudu.

– Widziałeś wszystkie moje wspaniałe przymioty, ty dupku.

Roześmiał się gromko.

– A jesteś pewna, że masz jakieś?

– Mam ich mnóstwo, i ty o tym wiesz!

Oficjalnie nie chodzili ze sobą, ale każdy, kto widział ich razem, mógł bez trudu dostrzec, że pasują do siebie. Bawiła go, co zostało właśnie udowodnione, wyciągała go z depresji wywołanej odejściem Brenta, a on pozwalał jej uwolnić się od tego, co ją dręczyło. Ostatnio zbyt często była błada i przygaszona, ale ilekroć ją o to pytałam, zbywała mnie byle czym i zmieniała temat.

Nie bardzo wiedziałam, co z nią robić. Do diabła, nie wiedziałam, co robić z czymkolwiek.

*

Później tego samego dnia zmagalam się na ringu bokserskim z Cole'em, oboje w postaci duchowej, a nasze ciała spoczywały spokojnie na łózkach, ale byłam zbyt rozkojarzona, by się czegokolwiek nauczyć. Skupiałam się na Kat i wciąż odtwarzałam w pamięci niektóre nasze rozmowy, próbując zrozumieć, co się z nią dzieje.

Dezercja Wren i Poppy nie zrobiła na niej wrażenia. „Szczерze?

Spodziewałam się tego – wyznała. – Miałam tylko nadzieję, że pojęły, jak koszmarne jest ich życie beze mnie”.

Opuściła kilka dni w szkole, ale gdy ją spytałam dlaczego, odparła: „Mama uznała, że byłoby super spędzić trochę czasu razem” i znowu zmieniła czym prędzej temat.

– Ali!

Ostry ton głosu Cole’a wyrwał mnie z zamyślenia. W samą porę, żebym mogła dostrzec – niezdolna do reakcji – że wymierzył mi cios nogą, trafił mnie w stopy i zwałił na matę ringu.

Musisz się skoncentrować, mówiła jego mina. Było ustalone, że nie rozmawiamy w trakcie ćwiczeń.

„Moja wina” – odparłam bezgłośnie.

Nie pomógł mi wstać. Nigdy tego nie robił. Dźwignęłam się na nogi o własnych siłach.

Każda sekunda spędzona w tym miejscu miała uczynić mnie silniejszą. I wiecie co? Jeszcze bardziej go za to lubiłam. Musiałam, chciałam być silniejsza. Zombi...

– Ali.

Jego obuta stopa znowu trafiła mnie bezbłędnie i zwałiłam się po raz drugi, lądując płasko na plecach, pozbawiona tchu. Rozpostarł ramiona, a ja zrozumiałam, że daje mi do zrozumienia: „Co ci przed chwilą mówiłem?”.

„Przepraszam” – poruszyłam wargami.

Pokiwał na mnie palcem: „Teraz ty mnie atakujesz”.

Skinęłam głową, dając mu znak, że rozumiem. Znając jego szybkość, nie zastanawiałam się nawet przez chwilę, jak zaatakować go najskuteczniej. Po prostu go zaatakowałam. Ale i tak miał przewagę.

Uderzałam pięściami, a on mnie blokował. Kopałam, a on robił uniki. Gdy parę razy udało mu się chwycić moją pięść, powinien był mnie odepchnąć, wykręcić mi rękę za plecami, cokolwiek. Ale nie zrobił tego. Puszczal mnie i pozwalał, bym znów ruszała na niego.

Wkurzyło mnie to. Po raz pierwszy od chwili, gdy zaczęliśmy razem trenować, nie korzystałam z jego nauk i doświadczenia. Cackał się ze mną.

Kolejne ciosy, kolejne blokady. Kolejne kopniaki, kolejne uniki.

– Rany. Bądź tak łaskaw i wyjmij tampon, Holland, a potem przyłóż jej jak mężczyzna – zawołał Szron.

Skuliłam się na dźwięk jego głosu, ale tylko trochę. Przyzwyczajałam się do wyostrzenia swoich zmysłów, nawet do intensywności powonienia.

Lucas i Collins – którzy zostawili swoje ciała w domu, dezaktywując skutecznie obręcze elektroniczne na kostkach, stanęli u boku Szrona, uśmiechnięci złośliwie.

Cole spojrzał gniewnie na Szrona.

Powinien się zorientować. Cofnęłam już łokieć, nie mogłam się powstrzymać i nie pomyślałam nawet o tym, żeby zmienić kierunek uderzenia. Więc w końcu zadałam celny cios. Jego duch zachwiał się na ringu.

Na łóżku, tam gdzie leżało jego ciało, głowa wykręciła się gwałtownym ruchem na bok, a z nosa trysnęła krew.

Okay, nic na to nie mogłam poradzić. Parsknęłam śmiechem. Śmiałam się tak serdecznie, że omal się nie posusiałam; schylona trzymałam się za brzuch. I było to wspaniałe uczucie. Niesamowite. Nie sądzę, bym kiedykolwiek tak się śmiała.

Cole pozełgował przez całe pomieszczenie i wśliznął się w swoje ciało. Usiadł na łóżku, wciąż krwawiąc z nosa, i mruknął: „To nie było takie zabawne”, ale dosłyszałam w jego głosie rozbawienie.

Poszłam w jego ślady i gdy tylko mój duch dotknął ciała, stałam się na powrót jednością; powietrze znów było ciepłe, dźwięki i zapachy odzyskały normalną intensywność.

– Było zabawne. Cholernie zabawne – Powiedziałam i znów dostałam ataku śmiechu. Uspokoiliam się wreszcie i spytałam: – Złamałam ci nos?

– Nie. Potrzeba młota kowalskiego, żeby zrobić na mnie wrażenie. Nie gniewaj się, laseczko, ale nie jesteś młotem kowalskim.

Chwycił się za nos, poruszył nim tam i z powrotem, po czym otarł krew wierzchem nadgarstka.

– Chciałabym mieć jeszcze jedną szansę, dzięki której zmieniłbyś zdanie – oznajmiłam słodkim głosem.

– Daj spokój, nie jestem głupi. Dostyc walki wręcz. Moja twarz mogłaby nie przetrwać. Czas na miecze. Przekonajmy się, czy zrobiłaś jakieś postępy.

Podeszłam do „Ściany Uzbrojenia” na drugim końcu stodoły, podczas gdy Cole ustawił na środku ringu manekina. Nie, nie swojego ducha czy ducha któregoś ze swych przyjaciół, ale prawdziwego manekina naturalnej wielkości.

Na ogół ćwiczyłam z ludźmi, nie z manekinami, ale poprzedniego dnia omal nie odcięłam głowy Cruzowi. Nie z powodu niesamowitych umiejętności, ale dlatego, że się potknęłam i wpadłam na niego. Więc tego dnia skoncentrowaliśmy się na podstawach, które ćwiczyłam już tysiąc razy.

Wybrałam jeden z krótszych mieczy o lżejszej rękojeści.

– Gdybyś wyciskała na ławce tyle, ile ci mówiłam... – z łazienki wyłoniła się Trina ubrana w czarny podkoszulek i spodnie, z białym ręcznikiem na szyi – ...nie musiałybyś wybierać tak badziewiastego miecza.

Od czasu tej nocy w lesie przyjęła mnie w grupie z otwartymi ramionami. Podchodziła do mnie i rozmawiała o wszystkim i niczym, kiedy byłam z Kat, co doprowadzało moją przyjaciółkę do szału. Muszę jednak oddać jej sprawiedliwość – nigdy mi nie powiedziała, żebym dała sobie spokój z Triną. Choć... czy to właśnie ją martwiło? Że sama tego nie zrobiłam?

Metal świstał w powietrzu, kiedy wywijałam swoją broń z udawaną zawziętością.

– Ten badziewiasty miecz zabija tak samo skutecznie jak każdy inny.

Przesunęła dłonią po krótko ostrzyżonych włosach i uśmiechnęła się.

– Może. Ale nie będziesz wyglądać tak niesamowicie jak ja, zabijając nim.

– Z powrotem na ring, Ali – zawołał Cole.

– Tak jest, sir – odparłam po żołniersku, czym doprowadziłam kilka osób do śmiechu.

Przyjęłam pozycję. Nim zdążyłam wykonać pierwszy ruch, dostrzegłam Mackenzie, która wyszła właśnie z łazienki. Była ubrana w strój maskujący i uzbrojona jak do walki. Tego dnia wypadała jej kolej szukania gniazd. Skinęła mi sztywno głową – bez nienawiści w oczach.

No, no. Coś nowego.

– Rozmawiałem z nią – oznajmił Cole, czym mnie zaskoczył.

Wiem. Uderzyłam manekina z większą siłą, niż zamierzałam.

– Co powiedziałaś jej tym razem? – Dwa ostatnie słowa miały w sobie złośliwość, przyznaję.

– Że cokolwiek wydarzy się z tobą, nic więcej nie wydarzy się z nią. Przypomniałem jej też, że zawdzięcza ci życie.

Cokolwiek wydarzy się z tobą... Miecz wyśliznął mi się z dłoni w chwili, gdy uderzyłam manekina. Odwróciłam się szybko, chcąc stanąć twarzą w twarz z Cole'em, i tak się stało, ale zadrapałam go w szyję, wymachując rękami dla utrzymania równowagi.

– Przepraszam. Tak mi przykro!

Otarł smugę krwi.

– I słusznie. Potrafisz człowieka wkur... to znaczy zaleźć mu za skórę. Do krwi.

– Hej!

– Co? Próbuję wyrażać się elegancko.

Podniósł mój miecz i stanął za mną, po czym zacisnął odpowiednio moje palce na rękojeści, a w drugą dłoń wsunął mi sztylet. Kiedy tylko mnie dotknął, poczułam dreszcz przebiegający po plecach.

– Trina ma topór – zauważyłam, żeby pokryć zmieszanie. Co rozumiał przez słowa „cokolwiek wydarzy się z tobą”? Raz był namiętny, raz zimny jak lód. Nie mogłam się w tym rozeznąć. – Czy nie powinnam poćwiczyć z cięższą bronią?

– Trina jest silniejsza od ciebie. Potrafi przecinać kości, bez względu na to, czym walczy. – Jego oddech łaskotał mi kark. – Chwilowo bardziej pasuje ci sztylet.

Czułam gęsią skórę na każdym centymetrze ciała.

– Skoro tak twierdzisz.

Poruszając się powoli i z rozmysłem, Cole poprowadził moją dłoń ze sztyletem w stronę torsu manekina.

– Zombi może nie czują bólu, ale czują siłę. Dźgnij go tutaj – zatopiliśmy ostrze w boku kukły – a ciało przechyli się w tę stronę,

odsłaniając drugi bok.

Poprowadził moją dłoń z mieczem i udał, że ścinam zombi głowę. Moje ramiona się skrzyżowały.

– Jak wiesz, podczas prawdziwej bitwy masz zombi po lewej i prawej – ciągnął. – Wykorzystaj własny ruch i obróć się.

Obrócił siebie i mnie, rozprostował mi ręce płynnym ruchem o kształcie łuku; wyciągały się coraz bardziej, aż moje ciało przybrało postać krzyża.

Gdyby zombi naprawdę zmierzały w naszą stronę, dźgnęłabym jednego, a drugiego pozbawiła głowy. Tak po prostu. Cole odsunął się ode mnie, a potem kazał powtarzać tę sekwencję raz po raz, aż mogłam to robić z zamkniętymi oczami.

– Jakie są zasady walki? – spytał, kiedy ćwiczyłam.

W znacznej mierze jego zasady pokrywały się z zasadami mojego ojca. Gdy dochodziło do rozbieżności, zawsze przychylałam się do tego, co mówił Cole. Miał więcej doświadczenia.

– Nigdy nie stoję nieruchomo.

– I?

– Jeśli mój sztylet utkwi w ciele zombi, puszczam rękojeść. Nie próbuję wyszarpnąć ostrza. W przeciwnym razie narażam się na atak i tracę cenne sekundy.

– I?

– Jeśli stracę całą broń przed unieszkodliwieniem większości przeciwników, nie powinnam próbować ich spalić, bo nie zdołam dotykać ich dostatecznie długo, by przyniosło to pożądany rezultat. Powinnam uciec i się ukryć.

– Nie, nie „powinnaś”. Po prostu masz to zrobić.

W końcu zabrano manekina, a ja mogłam wywijać swobodnie ostrzem. Metal świstał groźnie. Uczylałam się, jak operować nadgarstkiem, a tym samym mieczem, wykonując szybki ruch, który nie pozwoliłby przeciwnikowi śledzić i blokować ostrza.

Gdy Cole uznał, że idzie mi dobrze, a mnie zaczęły boleć i tak już nadwyrężone mięśnie, przeszliśmy na strzelnicę. Wybrał pistolet kaliber . 22 i kilka magazynków. Nauczyłam się już, jak rozkładać tę broń, składać i ładować magazynek. W ciemności.

Oczywiście, ten rodzaj oręża nie mógł uczynić zombi znaczniejszej szkody, a zatem nie powstrzymałby go, ale był w sam raz dla nowicjusza ze względu na słabą siłę odrzutu.

Z zatyczkami w uszach wycelowałam w papierową tarczę, a potem naciskałam spust, aż wystrzelałam wszystkie naboje. Zabezpieczyłam broń, położyłam pistolet na kontuarze i wyjęłam zatyczki z uszu.

– Już lepiej – oświadczył Cole. – Tym razem drasnęłabyś go w rękę i biodro, zamiast walić w powietrze.

Popatrzyłam na niego wilkiem.

– Robię, co mogę.

Zanim miał czas odpowiedzieć, poczułam wibracje komórki w kieszeni. Poprosiłam, żeby zaczekał i sięgnęłam po telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Babcia. Nauczyła się przysyłać wiadomości.

„Chcę, żebyś wróciła do domu na kolację”.

Odpowiedziałam szybko: „OK”.

„TERAZ”.

Westchnęłam.

– Muszę wracać do domu.

Mogłam się założyć, że znów zadzwonił do niej jakiś nauczyciel i poskarżył się na moje zachowanie.

– W porządku. Za minutę. – Przyciągnął mnie do siebie i oparł czubek brody na mojej głowie. Naprawdę podobało mi się, że jest taki wysoki. W porównaniu z nim czułam się mała. – Znasz mnie już dość dobrze? Ufasz mi?

– Ja... ja... – Byłam całkowicie zbita z tropu, pomimo aluzji, jaką przed chwilą uczynił albo jakiej nie uczynił. „Cokolwiek wydarzy się z tobą...” – Jestem trochę zakłopotana – przyznałam. – Dlaczego pytasz?

– Powiedzieliśmy sobie, że musimy się poznać lepiej, nim stanie się to poważniejsze.

Opadła mi szczęka.

– Więc to właśnie robiliśmy ostatnio?

Odchylił się, zmrużył oczy i skupił wzrok na pojedynczym celu. Na mnie.

– Chcesz powiedzieć, że tego nie robiłaś?

– Hm, no, uhm. – Wciąż chciał ze mną chodzić? Zawsze chciał ze mną chodzić? – A to, co powiedziałaś Mackenzie? Nie dzisiaj, ale przedtem?

– Uważałem, że nie powinniśmy jej obchodzić. I widzę, że powściągliwość nie sprawdza się w twoim przypadku – odrzekł sucho. – Pozwól więc, że ci pomogę. Mój ulubiony kolor to... do diabła, nie wiem. Nigdy sobie nie zwracałem tym głowy. Mój ulubiony film – cóż by innego – „Zombieland”. Ale nie dlatego, że dobrzy goście zwyciężają na końcu, choć to oczywiście duży plus, ale dlatego, że Emma Stone jest super.

Prychnęłam. Był tak niezwykłym facetem.

– Mój ulubiony zespół to...

– Niech zgadnę – przerwałam mu. – White Zombie? Slayer?

– Red. I nie dlatego, że chcę, by zombi krwawiły. No a ty? Co lubisz? Bo szczerze mówiąc, jestem zaskoczony, że znasz White Zombie i Slayer.

– Red też lubię, ale mam słabość do Skillet. Słuchałam ich z siostrą. Niby dlaczego nie miałabym znać innych zespołów?

– Wyglądasz tak niewinnie i anielsko.

– I uważasz, że anioły są super? – spytałam sztywno, starając się zachować kamienną twarz i nie ujawniać tego, jak buzowałam w środku. Przez cały ten czas chciał mnie poznać i chodzić ze mną. Co za szaleństwo!

– Są najgorętsze.

Teraz się roześmiałam, szczerze i serdecznie. Rozbawienie przychodziło mi ostatnimi czasy dość łatwo, co wydawało się dość dziwne. Powinnam być bardziej rzeczowa i trzeźwa niż kiedykolwiek. Tyle się działo, tyle było do stracenia, tylu rzeczy należało się obawiać...

– Wobec tego tak, jestem gotowa zaufać twojemu osądowi – odparłam. – Ale... czy od czasu twojego zerwania z Mackenzie wydarzyło się coś między wami?

Musiałam wiedzieć.

– Nie. Jest lepiej, kiedy się tylko przyjaźnimy, i mam wrażenie, że zaczyna to sobie uświadamiać.

– My też jesteśmy przyjaciółmi – przypomniałam mu.

Objął mnie jeszcze mocniej.

– Nie chcę być twoim przyjacielem, Ali. Chcę być czymś więcej. –

Jego palce wsunęły się pod mój T-shirt. – Zostaw dziś wieczorem otwarte okno. Przyjdę do ciebie, żeby to udowodnić.

Nie mogłam przez dobrą chwilę złapać tchu.

– Udowodnić, kontynuując lekcje? – zdołałam wychrypieć. Wiedziałam, co chce zrobić, ale byłam koszmarnie zdenerwowana i nie miałam absolutnie pojęcia, jak odpowiedzieć.

Pocałował mnie w czoło.

– Właśnie. Ale nie chodzi o to, czego cię uczyłem na ringu.

*

Jak taki obiecujący dzień mógł się skończyć tak katastrofalnie, nigdy się nie dowiem.

Cole został wezwany przez ojca, więc Trina zaproponowała, że mnie odwiezie do domu. Nie było na niebie króliczej chmury, z czego się ucieszyłam, ale na ganku czekali dziadkowie, huśtając się na kanapie, co ucieszyło mnie już mniej. Wysiadłam z samochodu wprost na chłód dnia i odesłałam czym prędzej Trinę, żeby nie zdążyli do niej podejść i zasypać pytaniami.

Gdy tylko mnie zobaczyli, wstali z kanapy i weszli sztywnym krokiem do domu. Ruszyłam za nimi, a zachodzące słońce i chaos tego dnia pozostały gdzieś daleko.

– Wszystko w porządku? – spytałam, spoglądając tęsknie na schody, które prowadziły do mojego pokoju.

– Usiądźmy i cieszmy się kolacją, dobrze? – zaproponowała babcia.
– Porozmawiamy później.

Zagryzłam wargę. Wiedziałam, że protesty nie zdadzą się na nic.

– W porządku.

Na kolację były klopsy i tłuczone ziemniaki, do tego mrożona herbata. Ćwiczenia pobudziły we mnie wilczy apetyt i pomimo napiętej atmosfery pochłaniałam jedzenie, tak jak odkurzacz pochłania śmieci.

Gdy tylko skończyłam i oznajmiłam: „To było pyszne, dziękuję”, doszło do eksplozji.

– Zazywasz narkotyki? – spytała ostrym tonem babcia, ledwie tknąwszy jedzenie na swoim talerzu.

Omiał nie spadłam z krzesła.

– Skąd! Oczywiście, że nie.

Dziadek przybrał najsurowszy wyraz twarzy.

– Chcemy ci wierzyć, naprawdę, ale uważam, że zdradzasz klasyczne objawy uzależnienia.

– Jakie objawy? – spytałam, choć mogłam się domyślić.

– Dzwoniła nauczycielka. – Babcia oparła łokcie o stół. Zawsze przestrzegała pewnych zasad i wiedziałam, że brak dobrych manier oznacza w jej przypadku wyjątkowy niepokój. – Masz u niej pałę. Przespałaś jej lekcję. Powiedziała nam też, że przestajesz z niewłaściwymi ludźmi.

Aha! Chodziło o Cole’a.

– Rozmawialiście z dyrektorką, doktor Wright?

Podczas jednej z moich wizyt w jej gabinecie obiecała, że zrobi wszystko, by chronić mnie przed kłopotami.

– Tak – przyznała sztywno babcia.

– I czego się dowiedzieliście?

– Że nie powinniśmy się martwić, że jesteś dobrym dzieciakiem, tak

jak ci, z którymi się przyjaźnisz.

– No cóż, sami widzicie.

– Ale jej nie wierzymy! – oznajmiła babcia, uderzając pięścią w stół.
– Dowody przeczą temu.

– Zróbcie mi test na narkotyki. Udowodnię, że jestem czysta.

Mała uwaga: spytać Cole'a, czy antidotum jest klasyfikowane jako narkotyk.

Trochę ich to udobruchało i przez następnych kilka minut narzekali na moje oceny.

– Czy ktoś cię w szkole prześladowa? – spytała cicho babcia. – Czy na tym polega problem?

– Nie. Łatwo się rozpraszam, to wszystko. Wciąż się uczę, jak sobie radzić po tym, co się stało.

– Będę szczery. – Dziadek wskazał ruchem głowy moją posiniaczoną szczękę. – Zauważyliśmy te obrażenia, Ali.

Cholera. Staralam się za wszelką cenę maskować za pomocą ubrań, makijażu i przeróżnych akcesoriów.

– Okay, chcecie znać prawdę, to powiem wam prawdę. Ćwiczę boks – wyznałam. Lepiej zdradzić im część prawdy, niż uraczyć stekiem kłamstw. – Wiedziałam, że będziecie się martwić, choć nie ma czym, więc postanowiłam nic wam nie mówić.

– Boks? – Babcia zamrugwała szybko, jakby utraciwszy nagle zdolność pojmowania najprostszych rzeczy. – Po co, na litość boską?

– Kwestia sprawności. Chcę wiedzieć, jak mam się bronić przed potencjalnymi napastnikami.

Popatrzyli na siebie. Po chwili dziadek spytał:

– Kto cię tego uczy i dlaczego dowiadujemy się o tym dopiero teraz?

– Trina, ta dziewczyna, która mnie podwiozła. – No, boksowałam się z nią kilka razy. Potem dodałam cicho: – Czasem Cole.

Babcia zrobiła wielkie oczy i złapała się za gardło.

– Boże. Przyznaję to z niechęcią, ale myślałam, że odwiózł cię chłopak. Chciałam zażądać, żebyś przestała się z nim widywać. To znaczy z nią. I nadal żądam – dodała, kiwnąwszy głową. – Najwidoczniej ta historia z boksem przeszkadza ci w nauce i choć szanuję Cole’a, z nim też masz skończyć.

– Nie mów tak. Boks nie przeszkadza, Cole też nie. Wierz mi.

– Nie. Od tej pory masz wracać po szkole do domu.

Poczułam, jak ogarnia mnie panika.

– Nie – odparłam, kręcąc przy tym zdecydowanie głową. Kochałam ich, ale nie mogłam pozwolić, by pozbawili mnie możliwości treningu. Był tak ważny dla mojego przetrwania i dla ostatecznego celu. Całkowitego unicestwienia zombi.

– Tak. – Dziadek patrzył na mnie wzrokiem pełnym determinacji, a ja wiedziałam, że miał już do czynienia z takim oporem, prawdopodobnie ze strony mojej mamy. Nauczył się, jak walczyć nieczysto. – Próbowaliśmy dać ci trochę swobody, żebyś mogła się dostosować. Teraz spróbujemy czegoś innego. Tego, o czym mówimy.

Przez chwilę słyszałam tylko dzwonienie w uszach, potem dołączył do tego mój chrapliwy oddech – istna kakofonia. Cole mnie ostrzegwał. Mówił, że pewnego dnia będę musiała się wyprowadzić. Oboje sądziliśmy błędnie, że powodem będzie bezpieczeństwo moich dziadków, a nie ich upór.

Miałam tylko szesnaście lat. W świetle prawa nie mogłam się wyprowadzić. A może jednak? Jeśli tak, to z czego bym żyła? Kilka dni

wcześniej słyszałam, jak dziadek i babcia rozmawiają o pieniądzach. Tata wykupił dużą polisę na siebie i mamę, a dziadkowie zastanawiali się, ile mi teraz dać, ile przeznaczyć na college, a ile na moje utrzymanie. Gdyby udało mi się już teraz dostać swoją część, to byłoby okay.

– Możesz jutro wybrać się z Kat na zakupy – poinformowała mnie łaskawie babcia. – Nie chcemy ci wszystkiego zakazywać, pragniemy tylko wyznaczyć pewne granice.

No tak. Zaplanowałyśmy z Kat wielki dzień, tylko my dwie. Wciąż byłam z tego powodu podekscytowana, ale teraz moją radość mąciła desperacja. Musiałam porozmawiać z Cole'em o tej zupełnie nowej sytuacji.

Babcia poklepała mnie po dłoni.

– Nie chcemy, żebyś czuła się tu jak w więzieniu, ale musisz pewne rzeczy zmienić, kochanie. Gdyby była tu twoja mama, to dałaby ci zapalić z powodu słabych ocen.

– Popalić – mruknęłam, próbując się nie wściekać i nie ranić ich uczuć. Chcieli dobrze, wiedziałam o tym, ale to, czym się zajmowałam, było zbyt ważne. – Słuchajcie. Zamierzam dalej brać lekcje boksu, a wy musicie się z tym pogodzić. – Moje słowa odznaczały się mocą, nawet w tym naturalnym świetle. Nie mogłam naruszyć ich wolnej woli, ale mogłam spróbować ją zmienić. – To mi służy. Po raz pierwszy w życiu czuję, że żyję.

– Ali...

– Nie. Nie mówcie nic więcej. – Nie chciałam, by ich wyznanie zniweczyło moje. – Idę do swojego pokoju. Po prostu... pomyślcie o tym, okay? Potrzebuję tego bardziej, niż wam się zdaje.

Nie czekałam na ich odpowiedź. Ruszyłam zdecydowanym krokiem po schodach i zamknęłam się w swojej sypialni. Potrzebując wytchnienia, otworzyłam dziennik, żeby sprawdzić, czy jakieś nowe fragmenty nie przybrały postaci normalnego języka. Owszem, jeden, ku mojemu zaskoczeniu.

„Jeśli to czytasz, to jesteś bardzo podobna do mnie. Wyobcowana, inna. I jeśli jesteś gotowa na poświęcenia, to możesz dokonać przełomu w walce dobra i zła. Zadaj sobie tylko pytanie: czemu lepiej poświęcić czas? Jeśli twoja odpowiedź brzmi: uczyć się, jak pokonać wroga zdolnego do zniszczenia wszystkiego, co jest ci drogie, to jesteś na właściwej ścieżce. Jeśli twoja odpowiedź brzmi: bawić się i czekać na koniec – to ów koniec nadejdzie szybciej, niż sobie uświadamiasz”.

Kimkolwiek był autor, zawsze mówił mi to, co powinnam usłyszeć. I robił to w odpowiednim momencie.

„A teraz zadaj sobie drugie pytanie: jesteś gotowa oddać życie, by ocalić innych? Jeśli twoja odpowiedź jest twierdząca, to czas na trzecie pytanie. Czy zdawałaś sobie sprawę, że umieranie to jedyny sposób, by żyć naprawdę?”.

I... znowu szyfr.

Rozmyślałam o tych ostatnich słowach godzinami. Powiedziałam dziadkom, że żyję po raz pierwszy. Dlatego, że część mnie samej umarła we wraku z moją rodziną, by odrodzić się w tym nowym świecie? Czy też sens tego fragmentu był bardziej dosłowny? Autor wspomniał raz o swoim chorym duchu – no cóż, chorym z powodu zombi – i o tym, że musiał umrzeć, by inni mogli żyć. Czyżby pozwolił, by potwory się nim żywiły?

Myślałam o tym, jak to zombi zawsze się odsuwały od mojego ciała, kiedy już mnie ugryzły. Przyszło mi do głowy podczas ostatniej walki, że boją się tego, co mogę im zrobić, tego, jak mogę się na nich odegrać. Teraz się zastanawiałam, czy wyczuły w moim duchu tę samą chorobę. I czy reagowały tak w przypadku pozostałych zabójców.

Wybiła północ, a ja nadal nie dostałam odpowiedzi – i pojawiło się nowe pytanie o zasadniczym znaczeniu. Gdzie był Cole? Zapewniał, że przyjdzie.

Jakby na zawołanie odezwała się moja komórka.

Przeczytałam: „Nie dam rady, przepraszam. B i S znaleźli gniazdo.

Ranni. Pułapki zastawione, straż czuwa, więc zostań w domu. Nic ci nie grozi. Do zobaczenia jutro”.

Serce zabiło mi jak kowalskim młotem, wałąc boleśnie o żebra. Byłam tak bardzo spragniona szczegółów, że niemal wyczuwałam ich smak, ale wiedziałam, że nie należy odpisywać. Mógłby się rozkojarzyć i zginąć. Bronx i Szron byli zapewne opatrywani, a pozostali z grupy wracali do gniazda, żeby zniszczyć wszystko, co chłopcy zostawili. Nie podobało mi się jednak, że nie jestem z nimi.

Przewracałam się tej nocy na łóżku, mózg dosłownie mi się gotował. Ja i drzemka dla urody nie pasowałyśmy chyba do siebie. O ósmej wzięłam prysznic i włożyłam podkoszulek, szorty i klapki, po czym zakryłam posiniaczone nadgarstki kolorowymi „bransoletkami” z materiału. Choć byłam głodna jak wilk, postanowiłam nie schodzić na dół na śniadanie. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć dziadkom albo jak sobie poradzić z tą sytuacją.

W końcu zdecydowałam się wysłać Cole’owi wiadomość. Spytałam, jak czują się Szron i Bronx. Po pięciu minutach wciąż nie było odpowiedzi. Prawdopodobnie spał. Mogliśmy wypoczywać tylko w weekendy. No cóż, wyłącznie niektórzy.

Kat zaparkowała przy krawężniku o dziesiątej, tak jak się umówiłyśmy, a ja chwyciłam torebkę – czy też sekretny zestaw ratunkowy składający się z latarki, małego łomu (do bicia), pilnika do paznokci (do dźgania), antidotum i telefonu komórkowego – i wypadłam z domu na pełnych obrotach. Niepotrzebnie się martwiłam. Babcia i dziadek byli na tyłach domu, w ogrodzie.

Wśliznęłam się na fotel pasażera w mustangu Kat, czując gęsią skórę na całym ciele. Każdy dzień był chłodniejszy od poprzedniego. Chłonełam znajomy zapach – delikatnych, kwiatowych perfum – i jej odwiecznie szelmowski uśmiech.

– Okay, rany – powiedziała. – Tęsknisz za mną, a potem naprawdę tęsknisz. Ten sprint z ganku do samochodu to istny rekord.

Miała tego dnia zarumienione policzki, cienie pod oczami zniknęły.

– No to zasłużyłam na nagrodę.

– Święte słowa. Napijmy się kawy przed wyprawą do centrum handlowego. Ja stawiam.

Kiedy podjeżdżała pod najbliższy lokal Starbucksa, spenetrowałam niebo w poszukiwaniu chmury przeznaczenia. Dobra wiadomość: ani śladu królika. Zła wiadomość: niebo było szare, ciężkie pierzaste bałwany zwiastowały burzę. Jeśli słońce pozostawało ukryte, nie mogło zapobiec pojawieniu się wrażliwych zombi. Zgadza się?

Znów odnotowałam sobie w pamięci: spytać Cole'a. Dopóki się nie dowiem, trzeba zachować czujność. Tak na wszelki wypadek.

– Jakież wiadomości od Cole'a? – spytała.

– W związku z czym? Dlaczego? Słyszałaś coś?

Zamruczała z zadowoleniem.

– Uspokój się. Nic nie słyszałam. Można chyba powiedzieć, że masz go na widelcu. Słowo daję, na dobrą sprawę każdego dnia w szkole pożera cię oczami. Próbowалам tylko dać ci do zrozumienia, że chcę dowiedzieć się czegoś o Szronie. Nie dzwonił ani nie przesłał mi wiadomości od wczorajszego wieczoru, a to do niego niepodobne. Zwykle nie daje mi spokoju.

Aha.

– Cole wspominał, że Szron nie czuje się dobrze. Jestem pewna, że się kuruje, więc pewnie odezwie się jeszcze dzisiaj.

Wiedziałam, że nic mu się nie stało, bo w przeciwnym razie Cole nie dałby rady spać i skontaktowałby się ze mną.

– Prawdopodobnie. Co najmniej dwa razy dziennie próbuje mnie przydybać.

- Przydybać w sensie... – Nie byłam w stanie wymówić tego słowa.
- Seksualnym – oświadczyła bez ogródek.
- No... tak.

Byłyśmy już blisko okienka dla zmotoryzowanych, ale dzieliły nas od niego trzy samochody.

- Więc tak. Był moim pierwszym – dodała. – Jedynym. A ty?
- Uhm, nie. Nigdy...

Te piękne orzechowe oczy zrobiły się wielkie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Szczęściara z ciebie. Żałuję, że to zrobiłam. Nie dlatego, by było to coś złego, ale dlatego, że potem już było inaczej. Tylko o to Szronowi chodziło. No ale dość o mnie. Zastanawiasz się, czy nie pójść z Cole'em na całość, prawda? – spytała, kiwając głową, co miało mnie zachęcić do odpowiedzi.

– Nie. Tak. Może. Och, nie wiem. – Zdenerwowana, przesuwałam pas między palcami. – Nie wiem nawet, czy oficjalnie chodzimy ze sobą, choć powiedział, że chce, bym go poznała dostatecznie dobrze, a kiedy odparłam, że jeszcze nie, zaczął wyrzucać z siebie szczegóły dotyczące jego osoby. Walił we mnie jak w tarczę.

– Dziewczyno, on chce cię zanurzyć w lukrowanych płatkach śniadaniowych i schrupać. To jego ulubiony przysmak, tak na marginesie.

Ja... Zabrakło mi słów.

– Bez względu na wszystko mogę ci powiedzieć, że to bardzo poważny krok. Teraz, kiedy Szron jest moim byłym, muszę żyć ze świadomością, że ktoś, kim być może pogardzam, widział mnie nagą.

Do samochodu przeniknął pojedynczy promień światła, padając wprost na jej oczy i podkreślając zieleń, tłumiąc zaś brąz. Słońce! Cudownie! O jedno zmartwienie mniej. Niestety promyk zniknął sekundę później, jakby go nigdy nie było. Cholera!

Posunęliśmy się w kolejce o kilka centymetrów dalej i Kat powiedziała:

– Wiem, że całowałaś się z Cole’em. Na dobrą sprawę wszyscy w klubie wiedzą o tym. I wszyscy jesteśmy zdziwieni, że ci napompował płuca, a ty przeżyłaś. Więc był taki dobry?

Wyrwało mi się tęskne westchnienie i znalazłam dwa słowa.

– Był niesamowity.

Jej śmiech przypominał dźwięk czarodziejskich dzwoneczków – brzmiał radośnie i czysto.

– Nieźle cię wzięło, przyjaciółko.

– Tak.

Zabębniła palcami o kierownicę.

– No cóż, posłuchaj mojej rady. Jeśli się na to zdecydujesz, upieraj się przy kondomie i zażywaj pigułki. Tak, wiem, wiem, gadam jak nauczycielka wychowania seksualnego. Ale nie chcesz chyba nosić w brzuchu Małego Cole’a, co? I pomyśl o jeszcze jednym. Kto może zaręczyć, czy Mackenzie nie ma jakiegoś świństwa? Nie damy sobie uciąć ręki.

Żeby stosować pigułkę, musiałabym porozmawiać z babcią, a sama myśl, że mogłabym dyskutować z nią na taki temat, napawała mnie przerażeniem.

– Szkoda, że nie widzisz teraz własnej miny – oznajmiła Kat, kręcąc głową. – Okay, więc skoro lekcja z panią profesor wciąż trwa, chcę ci

powiedzieć to, co powiedział mi tata i co, jak mam nadzieję, powstrzyma cię przed ucieczką z tego samochodu. Porozmawiaj z nim, zanim cokolwiek zrobicie. Mówię poważnie, Kat... to znaczy mówię poważnie, Ali. I nie zaczynaj tej rozmowy tuż przed grą wstępną albo w jej trakcie. Posadź go przed sobą, zanim do czegokolwiek dojdzie, czyli wtedy, kiedy nic się nie ma wydarzyć. Jak chłopakowi pada seks na mózg, powie wszystko, żeby dostać swoje. Kathryn... to znaczy Ali, słuchasz mnie? Musisz sama się zorientować, na czym stoisz, jeśli o niego chodzi, ale błagam cię, zdecyduj, że nie jesteś gotowa.

– Okay – odparłam, znowu czując przerażenie. Najpierw musiałam porozmawiać z babcią, a potem z Cole'em? Wolałabym walczyć z zombi!
– Więc tata ci to wszystko powiedział?

Odważny człowiek.

– Tak naprawdę mama, oczywiście. – Znów się roześmiała, tym razem nerwowo. – Tak czy inaczej, najlepiej zacząć od tej kwestii chodzenia ze sobą. Chodzisz z nim czy nie? Co o tym myślisz? Czy będzie się spotykał z innymi ludźmi? No i czas na znacznie ważniejsze pytanie. Czy będzie cię potem tulił? Wierz mi, to bardzo istotne. Pewnego razu Szron zostawił mnie w dwie sekundy po tym, jak skończyliśmy, po prostu ubrał się, wyskakując przez moje okno, a ja na to: „Jaja sobie robisz?!”. Ale oczywiście nie odpowiedział, bo już go nie było!

Dotarliśmy do okienka, zanim miałam czas się odezwać, i złożyłyśmy zamówienie. Co zresztą miałabym odpowiedzieć?

Kat wzięła mrożoną kawę z czekoladą, a ja cynamonową latte z bitą śmietaną.

– I jeszcze jedno – dodała, wychylając się w stronę okienka, żeby zapłacić.

Ledwie stłumiłam jęk.

– Jak widzę, niepokoi cię myśl, że będziesz rozmawiać o tym z Cole'em. Więc spójrz na to z innej strony. Jeśli nie dasz rady z nim rozmawiać, to nie powinnaś pokazywać mu się nago. Koniec, kropka.

„Jak widzę, niepokoi cię myśl...”. Czy zdarzy się kiedykolwiek, że jakaś myśl nie będzie mnie niepokoić?

– Dziewięć dolarów siedemdziesiąt pięć centów – powiedział sprzedawca.

Po zapłaceniu dostałyśmy do ręki napoje. Już dawno nie piłam czegoś takiego. Od pewnego poranka, kiedy to moja mama doszła do wniosku, że nie może żyć bez kofeinowego stymulatora. Mnie kazała zamawiać bezkofeinową, twierdząc, że jestem za młoda, by pić prawdziwą kawę. Wtedy narzekałam, ale teraz uśmiechnęłam się na to wspomnienie. Tylko się o mnie troszczyła.

– Taka kawa jest o niebo lepsza niż oszroniona – zauważyła Kat, zachwycona własnym żartem.

Myślę, że mama polubiłaby Kat. Jestem pewna, że ta dziewczyna potrafiłaby ją rozbawić.

Spędziłyśmy kilka godzin w centrum handlowym, spacerując sobie, rozmawiając o wszystkim i o niczym, przymierzając ubrania; kupiłyśmy nawet kilka. Podczas gdy Kat preferowała rzeczy falbankowate, ja gustowałam raczej w towarze, no cóż, bardziej męskim. Niezbyt sexy, wiedziałam o tym, ale w tym momencie bardziej zależało mi na tym, by zadziwiać świat umiejętnością fechtunku, a nie swoją urodą.

Wychodząc z centrum, natknęłyśmy się na Poppy i Wren, które zmierzały akurat w przeciwną stronę. Wren zadarła nos i zdecydowanym ruchem głowy zarzuciła sobie włosy za ramię, udając, że nas nie widzi. Poppy obdarzyła nas pełnym przygnębienia spojrzeniem i nieznacznym gestem dłoni.

Wren dała jej po łapie.

– Nie zachęcaj ich. Ściągną cię tylko do swojego poziomu.

Poczułam falę gniewu.

– Co ja w nich widziałam? – mruknęła Kat.

Zachowywała się tak, jakby ich lekceważenie nic jej nie obchodziło, ale wyczuwałam prawdę. W jej oczach na ułamek sekundy pojawił się smutek; potem też zarzuciła sobie dumnym ruchem włosy na plecy i ruszyła zdecydowanie przed siebie.

Kiedy siedzieliśmy już w samochodzie, zmierzając w stronę mojego domu, powiedziałam:

– Wiem, że za nimi tęsknisz, i jeśli chcesz znów się z nimi przyjaźnić, nie przejmuj się mną. Wciąż możemy się spotykać, nie powiemy po prostu...

– Uważaj, bo wybiję ci z głowy te głupoty. – Wzięła zakręt trochę za ostro. – Już raz mi to zrobiły, potem Szron i ja zerwaliśmy ze sobą i znów nagle zaczęły do mnie dzwonić. Choć Justin kumplował się kiedyś z Cole'em, Wren umawia się z nim teraz. Są hipokrytkami i wszystkich krytykują, a ja, jak się zapewne już domyśliłaś, jestem uosobieniem miłości.

– Szczera prawda.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Poza tym życie jest zbyt krótkie, żeby udawać cokolwiek i bawić się w takie gierki. Chcę spędzać czas z ludźmi, dzięki którym czuję się dobrze. Z ludźmi, dzięki którym jestem szczęśliwa.

Głębokie słowa, oznaczające coś, czego się nauczyłam dopiero po śmierci bliskich.

– Dziękuję.

– Proszę bardzo. Bo owszem, właśnie uczyniłam cię najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Nim zdążyłyśmy dotrzeć na miejsce, rozszalała się burza. Z nieba lał się deszcz, tłukąc w przednią szybę wozu. Kat zatrzymała się przy

krawężniku, a ja zabrałam swoje torby.

– Wejdz do mnie – zaproponowałam. – Zostań na chwilę. – Nie chciałam się z nią jeszcze rozstawać. – To znaczy jeśli nie masz nic innego do roboty.

– Nie mam. Jesteś pewna, że chcesz mnie dłużej znosić? Tata twierdzi, że jestem niestrawna w większych dawkach.

– Bo cię walnę.

Roześmiała się, a ja nie mogłam się powstrzymać i jej zawtórowałam.

Lunęło na nas, gdy tylko wysiadłyśmy z samochodu, a zanim dobiegłyśmy do drzwi, byłyśmy już przemoczone do suchej nitki. Ale wciąż wstrząsał nami śmiech, więc uznałam, że warto było się narażać na bezlitosny atak deszczu.

– Ali! – zawołała z kuchni babcia.

Poczułam lekkie zdenerwowanie. Uświadomiłam sobie, że trzeba było z nią porozmawiać rano. Gdyby teraz, w obecności Kat, poruszyła kwestię boksu, to nie wiedziałabym, co powiedzieć.

Ociekając wodą, ruszyłyśmy w stronę kuchni, przyciągane coraz silniejszym zapachem pieczonej marchewki. Babcia stała przy blacie roboczym i cięła sałatę na surówkę.

Odprężyłam się, gdy obdarzyła nas wyjątkowo miłym uśmiechem.

– Kathryn, kochanie, możesz zostać na kolacji? Będzie duszona wołowina. Jedna z ulubionych potraw dziadka.

– Mogę? – Kat skierowała to pytanie do mnie.

– Oczywiście – odpowiedziałam, dając jej do zrozumienia tonem głosu, żeby się nie wygłupiała.

Była wyraźnie rozpromieniona.

– Wobec tego dobrze, chętnie zostanę na kolacji.

– Świetnie. – Babcia przełożyła sałatę do miski. – Wszystko będzie gotowe za piętnaście minut. Idźcie dziewczyny na górę i trochę się wysuszcie. Wyglądacie jak zmokłe kury.

Przyprawiło nas to o nowy paroksyzm śmiechu. Wytarłyśmy się w moim pokoju ręcznikami, doszłyśmy do wniosku, że to nie wystarczy, i zmieniłyśmy ubrania. Pożyczyłam jej T-shirt, który wisiał na niej, i spodnie od dresu, które trzeba było podwinąć w pasie i przy kostkach.

Z przyzwyczajenia sprawdziłyśmy wiadomości na komórkach. Miała jedną od Szrona, który pytał, czy chce się później spotkać. Widzicie? Wiedziałam, że wyzdrowieje. Ja miałam jedną od Cole'a; pisał, że przyjedzie po mnie o jedenastej. Uśmiechnęłam się bezwiednie. Szron pytał. Cole informował. Byłam jednak podniecona na myśl o spotkaniu. On...

Łup!

Odwróciłam się błyskawicznie na dźwięk tego łoskotu. Zobaczyłam klęczącą na podłodze Kat, bladą i roztrzęsioną; wyglądało to tak, jakby chciała do mnie podejść, ale w pewnym momencie nogi się pod nią ugięły. Czym prędzej pomogłam jej wstać.

– W porządku?

– Tak, nic mi nie będzie. – Pokuśtykała do mojego łóżka i usiadła na brzegu. Potarła twarz dłońmi. – Niegroźny zawrót głowy, to wszystko.

Niegroźny zawrót głowy, który pojawił się nagle, bez ostrzeżenia. Pomyślałam o bliznach na jej rękach. Pomyślałam o tych innych przypadkach, kiedy była blada i drżała. Pomyślałam o tych wszystkich dniach, kiedy opuszczała lekcje.

– Kat, coś ci jest. Chcę, żebyś mi powiedziała, co to takiego. – Usiadłam przed nią ze skrzyżowanymi nogami. – Koniec z wykrętami.

Możesz mi wyznać wszystko. Nic nie wyjdzie poza ten pokój. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Wzdychając, osunęła się na plecy i zaczęła huśtać na materacu.

– No... pamiętasz, jak ci mówiłam, że moja mama jest lekarką w szpitalu i że opowiedziała mi o tobie? I że dlatego przyszedłam do twojego pokoju?

– Tak.

– Kłamałam. Przepraszam – dodała, zanim zdążyłam otworzyć usta.
– Nie chciałam ci po prostu mówić prawdy. Nie powiedziałam nikomu, nawet Szronowi.

– Co takiego? – Zżerała mnie konsternacja i jednocześnie troska. – Dlaczego byłeś w szpitalu?

Znowu podniosła dłonie do twarzy, zasłaniając ją przed moim wzrokiem.

– Jestem chora. Moje nerki nie funkcjonują prawidłowo. Wymagają dializy, i to często. Właśnie dlatego tam byłam. Podśledzałam, jak dwie pielęgniarki rozmawiają o tobie, i postanowiłam sprawdzić, jak się czujesz.

Troska wzięła górę nad konsternacją i przyprawiła mnie o dreszcz. Jedno słowo odbijało się echem w mojej głowie. Chora, chora, chora.

– Wyzdrowiejesz?

– Moja mama... ona też chorowała na nerki i umarła w bardzo młodym wieku. Tuż po moich narodzinach.

– Kat. – Wzięłam ją za rękę i przytrzymałam, nie chcąc nigdy więcej jej puszczać.

Uniosła głowę, a światło lampy odbiło się od łez w jej oczach, bardziej zielonych niż brązowych.

– Nie chcę, żebyś mnie traktowała inaczej. Wciąż jestem sobą.

Tak, wciąż była jednym z najlepszych ludzi, jakich znałam. Chciałam ją ocalić w jakiś sposób, jakikolwiek, tak jak nie potrafiłam ocalić swojej rodziny i Brenta; jej strata by mnie zniszczyła, a ja o tym wiedziałam.

Każdego dnia zegar tykał – albo nie. Koniec mógł nadejść w ułamku sekundy. Mgnienie oka, oddech, chwila. Nie ma, nie ma, nie ma.

Mojej przyjaciółki Kat, babci, dziadka.

Cole'a.

Trzymałam go na dystans, krążąc wokół niego na paluszkach, jak sobie teraz uświadomiłam. Myślałam: tak, dam mu szansę, potem: nie, nie dam mu szansy. Tak. Nie. Ekscytacja. Nerwowość. Zawsze się powstrzymywałam jakąś częścią siebie.

Nigdy więcej. Koniec ze strachem, który rządził moim życiem. Myślałam już o tym wcześniej, ale tym razem te słowa nabrały mocy. Tym razem nie zamierzałam się cofać.

– Powiedziałaś, że nawet Szron nie wie? – spytałam cicho.

– Nie wie. – Wlepiała we mnie twarde spojrzenie. – Niech tak zostanie. Okay? Nie powinnam go kochać, ale wciąż Kocham. Jeśli się dowie, albo mnie rzuci, albo będzie chciał za wszelką cenę być ze mną przez resztę tego czasu, który mi jeszcze pozostał. Nie chcę, żeby mnie rzucał, ale nie chcę też, by chciał mnie tylko dlatego, że stanowią krótkoterminową ofertę. Chcę, żeby walczył o mnie dlatego, że mnie kocha.

– Nie zauważał twojego wyczerpania? Twoich blizn?

– No, jasne, że tak. Ale gdy jestem zmęczona, mówię mu, że mam okres, i sprawa załatwiona. Dziewczęce sprawy wyraźnie go przerażają. Jeśli chodzi o blizny, powiedziałam mu, że wdałam się w koszmarną bójkę, jeszcze w gimnazjum, i że jedna mała wiedźma drapała jak diabli.

Przynajmniej raz w tygodniu pyta, jak się nazywa i gdzie mieszka. Liczy chyba na to, że popatrzy sobie na rewanż.

Chciało mi się śmiać. Chciało mi się płakać.

– Nie powiem słowa, obiecuję.

Zauważyłam, że napięcie powoli ją opuszcza.

– Dobrze. A teraz, żeby celowo i z rozmysłem zmienić temat... skończyłam kreślić drzewo plotkarsko-genealogiczne. Nie uwierzysz, kto jest sprawcą.

Już dawno przestałam się tym przejmować, ale teraz ciekawość wzięła górę.

– Kto?

– Siostra Justina, Jaclyn.

– Oczywiście – odparłam, a w mojej głowie zapaliło się światełko. Było mi wstyd, że nie wpadłam na to prędeej. Nie rozmawiałam z Justinem od tamtej nocy w lesie, kiedy wraz ze swoją drużyną ukradł „moje” zombi, a Jaclyn odwracała się w inną stronę, ilekroć mnie widziała. – Nienawidzi mnie.

– Nienawidzi to zbyt delikatne określenie. Ale wydaje mi się, że nie ma w tym nic osobistego. Ona nienawidzi wszystkich, którzy są związani w jakiś sposób z Cole’em. Nawet mnie nienawidziła, kiedy chodziłam ze Szronem. Choć nigdy nie wyjaśniła dlaczego.

Ja wiedziałam, ale nie mogłam jej powiedzieć.

– Zamierzasz nagadać jej do słuchu? – spytała Kat.

– Nie – odparłam z westchnieniem. – To już nieaktualne. Nie ma o czym mówić.

Nie zamierzałam ryzykować i pakować się w tego rodzaju kłopoty,

zwłaszcza w sytuacji, kiedy miałam tyle do stracenia. Poza tym Cole znów dorwałby Justina, a w tej chwili musiał się borykać z mnóstwem problemów.

Tak jak my wszyscy.

16

Dobry, zły i naprawdę brzydki

Tej samej nocy, o dwudziestej drugiej pięćdziesiąt dziewięć, zauważyłam migające światło za oknem swojej sypialni. Sygnał Cole'a. Był tutaj.

Burza zostawiła ślady: niebo przypominało bezmiar wypolerowanego onyksu, ziemia była ciemna i błotnista. Wypatrywałam go przez ostatnie pięć – no, powiedzmy sześćdziesiąt siedem – minut i zastanawiałam się, jak będę w stanie go przyciągnąć. No cóż, teraz wiedziałam.

Pełna buzującego poczucia winy, poprawiłam uformowaną z koców postać śpiącej „Ali”, po czym zeszłam na palcach na dół i przemknęłam się do tylnych drzwi. Babcia i dziadek byli o wiele starsi od moich rodziców i nie odznaczali się tak dobrym słuchem jak oni. Wykorzystywałam to bez skrupułów, ale ich nowe zasady nie pozostawiały mi wyboru. Musiałam to zrobić.

Zawiasy wydały z siebie istny chór dźwięków, kiedy otworzyłam drzwi, i skuliłam się odruchowo. Odczekałam kilkanaście sekund, a gdy nic do mnie nie dotarło, zamknęłam za sobą drzwi, klucz zaś schowałam do kieszeni spodni. W nocy było znacznie zimniej niż w dzień i cieszyłam się, że mam na sobie koszulę z długim rękawem, grube skarpety i wysokie buty.

– Hej, ty...

Nasze oczy spotkały się, reszta świata zniknęła...

...opierał mnie o ścianę sypialni, jego ciało podtrzymywało moje. Oplatałam go nogami w pasie. Dłonie trzymał na płask obok moich skroni, a moje palce zanurzone były w jego włosach. Więził mnie swoją siłą i całował do utraty tchu.

– W porządku, księżniczko?

Księżniczko. Już raz mnie tak nazwał, jakbym wyskoczyła nagle z jakiejś bajki. Wtopiłam się w niego.

– Pewnie.

– Więcej?

– Proszę.

Całowanie zaczęło się od nowa, tyle że gorętsze, dziksze.

Po raz pierwszy nikt nam nie przeszkadzał. Wizja mogła się dokonać do samego końca, mnóstwo pocałunków i ciężki oddech rozplywały się powoli w ciemności i ciszy. W tym mroku zawładnęły mną różne uczucia. Podniecenie, tęsknota, nerwowość. Tak długo nie doznawaliśmy żadnej wizji. Myślałam, że przeminęły na dobre.

Oznaczało to dla mnie, że mamy przed sobą przyszłość.

– Dlaczego teraz? – spytał, już w terażniejszości. Za jego plecami majaczyło ogrodzenie, z boku drzewa. Nie było blasku księżycy ani światła latarki, ale widziałam wyraźnie jego twarz. Ciemne włosy były zaczesane do tyłu i wilgotne, fioletowe oczy fosforyzowały. – Co się zmieniło?

– Chyba ja.

Jak już zdążyłam sobie uświadomić, wcześniej w jakiejś mierze go odpychałam, opierałam się. A dzisiaj, po rozmowie z Kat... no cóż, nie wiedziałam, ile czasu z nią jeszcze spędzę, i byłam zazdrosna o jej związek ze Szronem. Pragnęłam takiego samego związku z Cole'em i –

właśnie zdałam sobie z tego sprawę – zdecydowałam już, że ten związek jest możliwy, jeśli tylko dostatecznie się otworzę.

– No cóż, apróbuję. Chcę tego. – Jego głos przypominał chrapliwe tchnienie, smakowite i uwodzicielskie jak czekolada. – Wszystkiego, co widzieliśmy.

– Ja też – przyznałam.

– Znasz mnie już dostatecznie dobrze?

Wiedziałam, że jest silny, zdeterminowany, opiekuńczy i że troszczy się o przyjaciół bardziej niż o siebie. Nie przestrzegał żadnych zasad prócz własnych. Na Dzikim Zachodzie byłby wyjęty spod prawa. I wiedziałam, że jego poczucie humoru mi odpowiada, tak jak moje odpowiadało jemu.

– Tak – wyszeptałam. – Znam. Ale bez seksu – dodałam. – Jeszcze nie. Ale...

– Ale więcej niż to, co robiliśmy w wizjach.

– Tak – powtórzyłam.

– Doskonale. – Wziął mnie za rękę, prowadząc przez ciemność i błoto. Zdawałam sobie sprawę, że wszędzie są rozstawione pułapki, ale ich nie widziałam. Nie dostrzegałam też nigdzie śladu zombi. – Jeden z chłopaków będzie pojawiał się co godzinę pod twoim domem, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Dziękuję.

Jeep Cole'a znowu stał przy krawężniku. Z tą różnicą, że za kierownicą nie siedział Bronx. Jego miejsce zajął Cole.

Zapięłam pasy i obróciłam się ku niemu.

– Wszystko w porządku? – spytałam, kiedy ruszyliśmy.

– Tak. Dochodzą do siebie.

- Gdzie było gniazdo?
- W mauzoleum na cmentarzu.
- A one... co? Spały tam po prostu?

Skinął głową.

– Otworzyliśmy drzwi. Stały tylko, patrząc na nas. Nie podjęły nawet walki, kiedy je zaatakowaliśmy.

- Może było z nimi coś nie tak.

Na przykład... krążyła już w nich esencja zatrutego ducha?

- Może. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy się z czymś takim.
- Bez problemu zamieniliście je w popiół?
- Tak.

I mogłam się założyć, że potem to uczcili. Szkoda, że nie brałam w tym udziału. Obróciłam się w stronę okna i przesunęłam palcem po zakurzonej szybie, zostawiając na niej smugę.

- Jak chłopcy je znaleźli?

Cole przyspieszył, wyprzedził jeden samochód, potem drugi.

– Byli na patrolu i podążyli za zapachem, który był silniejszy niż zwykle.

Zapadło między nami milczenie, dzięki czemu pozostałam sam na sam ze swoimi myślami. Szybko porzuciłam temat zombi i skupiłam się na Cole'u. Wiedziałam, dokąd mnie wiezie. Do swojego domu. Mieliśmy udać się do jego sypialni, a potem co? Obściskować się? Cholera! Pomimo tego, że nie uprawialiśmy jeszcze seksu, nie zainicjowałam z nim „rozmowy”. Sprawy mogły się wymknąć spod kontroli albo mogłam

zmienić zdanie.

– A jakie są wasze poglądy na niebo i piekło? – spytałam, żeby się czymś zająć. – Chodzicie do kościoła?

– Nie chcę się wypowiadać za innych, ale owszem, chodzę do kościoła. Ja i tata, co niedziela. A ty?

– Ja też.

Dotarliśmy na miejsce, zaparkował na podjeździe. Obszedł samochód i pomógł mi wysiąść.

– Nie denerwuj się – powiedział. – Nie zrobimy niczego, na co nie miałabyś ochoty.

Na tym właśnie polegał problem! Nie wiedziałam, co chcę robić. Teraz albo nigdy, jak przyszło mi do głowy.

– Czy to oficjalne? To znaczy, czy jesteśmy razem i chodzimy ze sobą?

Przystanął na ganku, żeby na mnie popatrzeć; jego twarz miała dziwny wyraz.

– Może nie spisałem się specjalnie, nawiązując z tobą znajomość, ale od pewnego czasu przestajemy ze sobą i tylko ze sobą się spotykamy. Musieliśmy wyjaśnić parę rzeczy, to wszystko.

Poczułam uniesienie, dostatecznie mocne, by przyprawiło mnie o dreszcz.

– Och.

W jego oczach pojawił się błysk furii.

– Spotykasz się z kimś?

– Nie!

Furia przygasła, ale to, co widziałam na jego twarzy, nie przynosiło mi szczególnej pociechy. A wydawało mi się wcześniej, że to dziadek wykazuje się prawdziwą determinacją w kwestii boksu. Cole bił go jednak na głowę.

- No dobrze – odparłam. – Musiałam się po prostu upewnić, że my...
- Na drugi raz upewnij się wcześniej.

Kiedy weszliśmy do środka, zdołałam rzucić okiem na salon, zanim Cole pociągnął mnie w stronę korytarza. Byłam tu niezliczoną ilość razy, ale nigdy wewnątrz domu. Tylko w stodole. Zaskoczyła mnie skromność wystroju. Brązowa kanapa, kozetka, stolik do kawy, ale żadnych innych mebli i ani śladu zdjęć na ścianach. Żadnych wazonów czy ozdób jakiegokolwiek rodzaju. Zaraz. Poprawka, jeśli chodzi o brak innych mebli. Był tam jeszcze sejf, wielki, czarny i prawdopodobnie skrywający dostateczną ilość broni, by zrównać z ziemią całe miasto.

- Twój tata... – zaczęłam.
- Nie ma go tutaj.
- A Bronx i Mackenzie?
- Bronx śpi w swoim pokoju, a Kenz wyszła.

Znowu Kenz. Zdrobnienie sugerowało serdeczność. Mogłam dopuścić do siebie wątpliwości, jeśli chodzi o jego uczucia w stosunku do mnie – i w stosunku do niej – i sprawić, by się zakorzeniły na dobre, ale nie zrobiłam tego. Nigdy więcej strachu, upomniałam się w myślach. Poza tym albo mu ufałam, albo nie ufałam. Nie mogłam grać na dwa fronty.

Otrząsnęłam się z zadumy, kiedy weszliśmy do sypialni Cole'a. Zamknął drzwi, które wydały cichy metaliczny brzęk. Rozejrzałam się nerwowo. Duże łóżko, ciemne narzuty i pościel. Stolik nocny z książką na blacie (nie mogłam dostrzec tytułu). Komoda. Bardzo schludnie. Bardzo... samotnie.

Bez słowa obrócił mnie plecami do ściany. Tynk był zimny, aż sapnęłam pod wpływem chłodu, ale on napierał na mnie, tak gorący, że niemal zagotowało mi się w głowie.

– Jesteś pewna, że chcesz?

– Ta... tak.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, nim w końcu przywarł wargami do moich warg, a jego język wśliznął mi się w usta. Pocałunek był początkowo niespieszny, ale niebawem przemienił się w coś dzikiego. Czy zawsze tak by było z nami? – zastanawiałam się oszołomiona.

Jakimś cudem moja nerwowość zniknęła, a ręce znalazły się pod jego koszulą, paznokcie wbijały się w skórę. Nie mogłam się nasycić tym dotykiem. Nie mogłam się nasycić jego bliskością.

Tak jak w wizji, oplotłam go nogami w pasie. Odchylił się, zabierając mnie ze sobą. Ściana nie była już tym, co pozwalało mi utrzymać pozycję pionową. Teraz robił to Cole.

Zbliżył się do łóżka, a ja przywierałam do niego niczym bluszcz. Potem zaczął się przechylać... przechylać... i po chwili miękkość materaca pochłonęła mój ciężar. Cole położył się na mnie, pocałunek wciąż trwał.

Ku mojemu zaskoczeniu nie posunął się dalej. No, nie za bardzo. Całowaliśmy się tylko, nasze dłonie myszkowały to tu, to tam, w górnych partiach, ale nie w dolnych. Wreszcie mruknął i podniósł głowę. Źrenice miał rozszerzone, nikał w nich wszelki fiolet.

– Musimy przestać.

Co? Dlaczego?

– O... okay.

– Oboje się zorientujemy, kiedy będziesz gotowa na więcej.

Położył się obok i przyciągnął mnie do siebie.

– A jeśli zechcę poczekać do chwili, aż wyjdę za mąż?

– Prosisz mnie, żebym się z tobą ożenił? – spytał ze śmiechem.

– Nie!

– Jeśli chcesz czekać, to czekaj. Nigdy nie pozwól sobie tego wyperswadować, nawet mnie. Przykro mi to mówić, ale prawdopodobnie spróbuję.

– A ja prawdopodobnie byłabym rozczarowana, gdybyś nie próbował.

Przytuliłam się do niego, a on przesuwając palcami po moich włosach, bawiąc się ich kosmykami. Zauważyłam z zadowoleniem, że drży tak samo jak ja.

– Tęsknisz za dawnym życiem? – spytał.

Choć zaskoczona nagłą zmianą tematu, nie musiałam się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Tak, ale tylko dlatego, że strasznie tęsknię za swoją rodziną. Chciałabym powiedzieć ojcu, że nie jest szalony. Chciałabym powiedzieć mamie, jak bardzo ją kocham. I chciałabym, by moja siostra była cała i zdrowa. Była światłem mojego świata.

– Czy znowu się pojawiła?

– Nie. – I pomimo jej posępnych przepowiedni żałowałam, że tego nie zrobiła. – Jej ostatnie słowa brzmiały: „On idzie po ciebie”.

– On? Kto?

– Nie potrafiłam się zorientować.

Cole usiadł i zerknął na mnie przez ramię; wzrok miał poważny.

– Opowiesz mi o wypadku? O tym, co się potem stało? Z twoimi rodzicami?

Oblizalam wargi i zmusilam sie do mowienia, nim zdazylybym zamknac sie w skorupie milczenia, jak dzialo sie to za kazdym razem.

– Odzyskalam przytomnosc i zobaczylam tate w swietle reflektorow. Dopadly go trzy zombi, zniknely w jego wnetrzu, potem sie ukazaly, spragnione powietrza. Znowu stracilam przytomnosc, a kiedy sie ocknelam, te same zombi zawlokly mame do miejsca, w ktorym lezal ojciec, i zrobily z nia to samo co z nim.

– Zyl wtedy? Twój ojciec?

– To niemozliwe. Nie wydal zadnego odglosu.

– A twoja mama?

– Tez byla... martwa, jak sadze. Kiedy jeszcze znajdowala sie w samochodzie, byla cala zakrwawiona.

Poczulam, jak dzwonia mi zebry.

– Nie mogla podejsc do zombi i probowac ocalic twojego taty?

– Nie.

Naprawde?

– Nie musimy o tym wiecej mowic – powiedzial Cole, znowu kladac sie obok mnie. – Jesteś trochę zszokowana.

– Wszystko w porzadku. Ale dlaczego spytales o wypadek?

Wlasnie tu i teraz, a nie kiedy indziej.

Przez chwile panowalo dlugie, przygniatajace milczenie.

– Ten „on”, o ktorym wspominala twoja siostra...

– Tak?

– Wysłuchaj mnie, zanim cokolwiek powiesz, okay? Jeśli twój tata żył, zanim zombi go pokąsały, to mogły go zarazić. A on mógłby...

– Nie! – krzyknęłam, a potem dodałam ciszej: – Nie. To niemożliwe.

– Ali...

– Nie.

Wlepiłam wzrok w sufit. Poczułam łzy, które po chwili zaczęły spływać mi po policzkach. Twierdził, że mój ojciec być może stał się złem, którego się nigdy nie obawiał; wykluczone, po prostu wykluczone.

Gdybym była zmuszona walczyć z własnym ojcem... gdybym musiała go unicestwić... Nie! Nie mogłabym tego zrobić. Nie zrobiłabym tego.

Ale ktoś by to zrobił, pomyślałam. O ile się orientowałam, już zrobił.

– Wiem, że trudno to przyjąć do wiadomości, a ty wiesz, że nie wspominałbym o tym, gdybym nie uważał tego za prawdopodobne. Nigdy bym świadomie cię nie zranił, ale chciałem cię przygotować, tak na wszelki wypadek, ponieważ... to właśnie stało się z moją mamą.

Nie byłam w stanie ukryć szoku, który przeszył mnie niczym ostrze.

– Twoja mama była zombi?

– Tak. Widziałem, jak tata ją spopielił – odparł bezbarwnym głosem.

– Ja... ja...

Mogłam tylko przytulić się do niego jeszcze mocniej, starając się przynieść mu pociechę.

– Przyszła po mnie, gotowa uczynić mnie tym, czym była.

Walczyłem z nią, ale nie przychodziło mi to łatwo, bo była moją matką. Zdołała mnie ugryźć. Krzyknąłem na ojca, a kiedy wbiegł do pokoju, rzuciła się na niego. Niemal go pokonała, ale zdobył się na wysiłek i dobył płomień z dłoni. Płakał przy tym.

– Och, Cole, tak mi przykro.

– Zombi nie są początkowo bezrozumne. Pamiętają to, co straciły, i nie mogą się pogodzić z tym, że my wciąż to mamy. Chcą nam to odebrać. Fakt, że jesteś ścigana z taką zawziętością...

Tak. Nie chciałam tego przyznać, ale miał rację. Nie można było wykluczyć, że polował na mnie własny ojciec.

Cole westchnął.

– Chodź, odwiozę cię do domu – powiedział.

– Dobrze – odparłam cicho. Potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć, zaplanować cokolwiek.

Kilka minut później wsiedliśmy do jego samochodu i niebawem parkowaliśmy przy krawężniku. Sprawdził wiadomości, prowadząc mnie przez las, i zmarszczył czoło.

– Coś się dzieje w twoim domu – oznajmił.

– Co? – spytałam, gotowa nagle tropić zombi, i ruszyłam biegiem.

– Nie napisał.

Cole wyprzedził mnie, żebym nie natknęła się na którąś z pułapek. W połowie drogi do domu wciągnęłam w nozdrza woń rozkładu. Przenikała wiatr, tak gęsta, że niemal oblepiała mi skórę.

Spojrzałam w górę, ale nie dostrzegłam na niebie nawet śladu królika. Dlaczego Emma mnie nie ostrzegła?

– Zombi są niedaleko – powiedziałam, wyciągając ostrze. – Widzisz

je?

– Nie, ale rzeczywiście są blisko. Zapach jest niewiarygodnie silny.

Jedną ręką dobył kuszę, drugą połączył się ze Szronem.

Im bliżej byliśmy domu, tym szybciej biegliśmy. Nikt na nas nie wyskoczył. Gdy w końcu dotarliśmy do ogrodzenia – tam też nie czekały na nas zombi, chwała Bogu – i gdy otworzyłam furtkę, dostrzegłam wycofującego się Cruza. Był zbyt zdenerwowany, by chociaż pożegnać się z Cole’em. Pomyślałam, że muszę koniecznie sprawdzić, czy nic się nie stało dziadkom.

– Co u licha... – usłyszałam Cole’a.

Pierwsza rzecz, jaką zauważyłam: w domu paliły się wszystkie światła. Druga rzecz: wszędzie kręcili się policjanci.

– Broń – przypomniał mi Cole.

Rzuciłam ostrze na ziemię, a potem pobiegłam.

– Babciu! Dziadku!

Funkcjonariusz, który stał przy tylnych drzwiach, chwycił mnie i przytrzymał.

– Ty jesteś Ali? – spytał ostrym tonem.

Zalewało nas światło ganku. Był starszym facetem, nieco tęgim, wyraźnie zatroskanym.

– Tak. Gdzie są moi dziadkowie? Nic im nie jest? Co się stało?

– A tobie nic nie jest? – odpowiedział pytaniem.

– Nie. Moi dziadkowie...

Zignorował moje słowa i zawołał: „Mam dziewczynę!”. Jego

spojrzenie powędrowało ponad moim ramieniem i skupiło się na osobie Cole'a, który cały czas deptał mi po piętach.

– Kim jesteś?

– Jej chłopakiem – odparł po prostu Cole.

Na twarzy policjanta, zamiast troski, pojawiło się zrozumienie. Zbliżyli się do nas inni funkcjonariusze; zadawali pytania, ja zadawałam pytania, i w końcu sytuacja się wyklarowała. Do domu włamał się jakiś „wandal” i wystraszył dziadków. Dziadek najpierw ukrył babcię, potem poszedł po mnie. Nie mógł mnie znaleźć. Wandal go zauważył i zaatakował. Tymczasem babcia wezwała policję.

To nie mógł być zombi. Cole mówił, że posesję otacza Linia Krwi. Więc... skąd ten zapach?

– Justin – mruknął Cole.

Zrobiłam wielkie oczy. Nie sądziłam, by Justin mógł to zrobić, ale jego współnicy owszem. Mimo wszystko ten zapach rozkładu...

Postanowiłam, że później się nad tym zastanowię. Dziadek był w szpitalu, na szczęście nic mu się nie stało i miał w pełni wrócić do zdrowia. Babcia była tutaj, w domu, żeby odebrać telefon, gdyby dzwoniли moi porywacze. Tyle że nie zostałam porwana. Po prostu się wymknęłam.

Wiedziałam, że już zawsze będę się czuła winna. To ja sprowadziłam na nich to nieszczęście. Nie mogłam się nawet pocieszać myślą, że w tym czasie prowadziłam gdzieś walkę. Migdaliłam się i miałam radochę, podczas gdy oni martwili się i cierpieli.

– Mogę ją zobaczyć? – spytałam łamiącym się głosem.

– Jasne – odparł funkcjonariusz, ten, który zatrzymał mnie jako pierwszy.

Choć nie skończyli jeszcze przesłuchiwać Cole'a, wszedł za mną do domu, nie chcąc zostawiać mnie samej. Znalazłam babcię w salonie;

siedziała na kanapie i płakała bezgłośnie. Oczy miała zaczerwienione i spuchnięte, nos mokry. Powiedzieli jej, że się znalazłam, ale kazali tu zostać, a sami zajęli się ustalaniem faktów.

Gdy tylko mnie zobaczyła, zerwała się na równe nogi, podbiegła i zarzuciła mi ramiona na szyję. Uściskałam ją z całej siły, płacząc razem z nią.

– Tak mi przykro – powiedziałam.

– Później o tym pomówimy. Cieszę się, że nic ci nie jest.

Po tym wszystkim, co dla mnie zrobili dziadkowie, przydałam im tylko zmartwień. A najgorsze było to, że – jak doskonale wiedziałam – miałam to nadal robić.

*

Dziadek wrócił ze szpitala kilka dni później. Wyglądał tak kiepsko, że miałam ochotę przywalić lekarzowi, który go wypisał, i ubezpieczycielowi, który odmówił płacenia za dalszą opiekę medyczną.

Powiedziałam babci, żeby wzięła pieniądze z mojego konta i zapłaciła za jego pobyt w szpitalu, ale odmówiła. Chciała tylko, żeby wrócił do domu i żeby mogła się nim zająć.

Miał podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Jego skóra była szara i cienka jak papier, stawy spuchnięte. Był kochanym człowiekiem, ten mój dziadek. Jak ktoś mógł tak go skrzywdzić?

Pierwszego dnia w szkole Cole i ja stawiliśmy czoło Justinowi i jego siostrze na parkingu. Cole zauważył ich, jak wysiadali z autobusu. Wyskoczył z samochodu i wrzasnął: „Silverstone!”

Justin obrócił się w jego stronę. Obaj rzucili się na siebie bez dalszych słów i zaczęli okładać pięściami.

Wysiadłam i zbliżyłam się do Jacklyn.

– Spróbuj się wtrącić, a skończysz jak twój brat – rzuciłam przez zaciśnięte zęby. – Mamy ze sobą do pogadania.

Zarzuciła sobie włosy na ramię.

– Pieprz się.

– Jeśli jeszcze raz zbliżysz się do moich dziadków – warknęłam – wytrę twoją gębą podłogę. Słyszysz mnie?

Skrzywiła się, wiatr porwał jej włosy z ramienia.

– O czym ty mówisz? Nic nie zrobiliśmy twoim dziadkom.

– Tak jak nie rozpuszczając plotek o mnie?

Chłopcy byli zajęci – bili się i przeklinali.

Wzruszyła ramionami.

– Tak, to ja. I co z tego?

– Więc jesteś małym wrednym trollem bez zasad moralnych i nie przejmujesz się tym, że krzywdzisz niewinnych ludzi. Wiem, że ty i twoja banda przyszliziecie do mojego domu, żeby mnie prześladować, może nawet obić. Kiedy się zorientowaliście, że mnie nie ma, dobraliście się do mojej babci i dziadka.

– Mówiłam ci! Nic nie zrobiłam twoim dziadkom.

– Wiesz, kto to zrobił, i powiesz mi.

Nie czekałam na jej odpowiedź. Uznałam, że musi pojąć, jak poważnie to traktuję. Walnęłam ją w nos, a ona od razu zalała się krwią. Ugięły się pod nią nogi i po chwili upadła z jękiem na ziemię.

Ze szkoły wybiegła doktor Wright, drzwi trzasnęły za nią.

– Dostyc! – krzyknęła. – Dostyc, chłopcy. Ali! Już!

Chłopaków musieli rozdzielać ochroniarze. Ja uniosłam ręce i oznajmiłam:

– Działalam w samoobronie.

Zawieszono nas, całą czwórkę bez wyjątku.

Kat odwiedziła mnie wieczorem, ale byłam rozkojarzona. Koniec końców też się pokłóciłyśmy.

– Powiedziałam ci o swojej chorobie, a ty nie chcesz mi zdradzić, co się z tobą dzieje? – oznajmiła, wyrzucając ręce w geście desperacji. – A wiem, że coś się dzieje. Spędzasz coraz więcej czasu z Cole'em, bezustannie jesteś posiniaczona i pomyślałabym, że cię bije, gdyby nie to, że posiniaczony jest każdy, z kim się zadajesz. Wiem, że jesteś zamieszana w to samo co Szron i że ukrywasz coś przede mną.

– Tak – przyznałam. – Ale nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

Poznałam po jej minie, że jest dotknięta do żywego.

– Nie ufasz mi?

– Ufam, ale tu chodzi o sprawy pewnych ludzi. Nie mogę ich zdradzić.

– Ale jestem twoją przyjaciółką.

– Pewnie. Oni też są moimi przyjaciółmi.

– Ali...

– Przykro mi, po prostu nie mogę – powtórzyłam.

Wyszła obrażona.

Resztę nocy spędziłam w oszołomieniu – tłukłam się po domu obwieszona bronią, sprawdzając okna i drzwi. Przez tyle lat traktowałam

ojca sceptycznie, a teraz stawałam się jego wiernym odbiciem.

Nie było powodu wymykać się z domu. Cole i chłopcy stali na posterunku; sprawdzali pułapki i patrolowali okolicę. Nie było też powodu włączyć się po nocy, ale nie mogłam się zmusić do spania.

Dziadek i babcia zakazali mi się z nim widywać. Tym razem poważnie, jak się wyrazili. I nie żartowali. Babcia spała na kanapie w salonie.

Coś trzeba było zrobić.

Rano przesłałam Cole'owi wiadomość: „Możesz przyjść dzisiaj na kolację?”. Dziadkowie polubiliby go, gdyby mieli szansę poznać go bliżej.

Odpowiedział bezzwłocznie: „Tak. Wszystko OK?”.

„Potrzebuję cię”.

„Najwyższy czas”.

Uśmiechnęłam się szeroko. Skoro miałam komórkę w ręku, postanowiłam wysłać Kat wiadomość. „PRZEPRASZAM”. Zraniłam jej uczucia i czułam się okropnie.

Nie oczekiwałam szybkiej odpowiedzi, jeśli w ogóle, ale zaledwie po kilku minutach usłyszałam charakterystyczny sygnał. „Nie, to ja przepraszam. Byłam natrętna, a wiesz, że nigdy nie jestem natrętna”.

Parsknęłam śmiechem. Kat odznaczała się pewnym darem. Potrafiła mnie rozbawić, i to bez względu na okoliczności.

„Przyjaciółki?”

„Najlepsze”.

Czując się tak, jakby zdjęto mi z barków ogromny ciężar, rozbroiłam się i zeszłam na śniadanie. Babcia nakryła już do stołu, a dziadek siedział na krześle. Ramiona miał przygarbione, ubranie zmięte. Nie uczesał się

nawet, włosy zwieszały mu się niechlujnie na skroniach. Cienie pod oczami wyraźnie się pogłębiły. Trzymał dłonie płasko na blacie i wlepił w nie wzrok, pogrążony całkowicie w zamyśleniu. Przyszło mi do głowy, że być może zaraził się w szpitalu jakimś wirusem.

– Dziadku – zwróciłam się do niego cicho.

Drgnął, jakbym go uderzyła, i uniósł gwałtownie wzrok; oczy miał przekrwione.

– Tak? – spytał, a w jego głosie była jakaś chrapliwość, której nigdy wcześniej nie słyszałam.

– Dobrze się czujesz? Potrzebujesz czegoś?

– Wszystko w porządku – wymamrotał.

Babcia wniosła dużą patelnię z jajkami; nad naczyniem unosiła się para, powietrze przenikała woń sera i szynki. Zająłam swoje miejsce na lewo od dziadka. Babcia nałożyła każdemu porcję, a potem jedliśmy w milczeniu. W każdym razie ja jadłam i ona. Dziadek bawił się tylko widelcem; nie wziął nawet kęsa, tylko mamrotał pod nosem.

– Musisz coś zjeść – zwróciła się do niego babcia.

Przestał mrużyć i wlepił w nią wzrok. Dosłownie, jakby go hipnotyzowała.

– O co chodzi? – Poruszyła się niespokojnie na krześle. – Mam coś na twarzy?

Nie odezwał się słowem.

Babcia przeniosła spojrzenie na mnie, prosząc bezgłośnie, żebym zadała to samo pytanie. Zaprzeczyłam ruchem głowy, potem popatrzyłam na dziadka. Jego palce wbijały się w blat, kostki naprężyły, jakby próbował się za wszelką cenę powstrzymać od czegoś.

Od... ataku?

Wargi rozsunęły się, obnażając zęby. Z gardła dobył mu się głuchy pomruk. Mięśnie się naprężyły.

Zerwał się gwałtownie z miejsca, a ja zrobiłam to samo. Rzucił się na babcię; ja rzuciłam się na niego. Chwyciłam go w ostatniej chwili i zwaliliśmy się na podłogę, uderzając o nią z całej siły. Babcia krzyknęła.

– Gryźć – warknął dziadek, szarpiąc się ze mną, by dopaść żonę.

Gryźć? Tylko zombi pragnęły... O nie. Nie, nie, nie. Przecież był żywy. Nie mógł być... nie był...

Próbowałam unieruchomić mu rękę, ale nie udało mi się. Okazał się silniejszy, niż się wydawało. A potem mój spokojny, słodki dziadek uderzył mnie w policzek, potem znowu; przestałam z nim walczyć. Poczułam eksplozję bólu i tylko dzięki lekcjom, których udzielał mi Cole, zachowałam przytomność.

– Co ty wyprawiasz, Carl? Przestań! Zrobisz jej krzywdę!

Przyszło mi to z trudem, ale go uderzyłam. Babcia podbiegła do nas, chcąc zapewne mi pomóc, ale tylko go rozsierzdziła; zaczął walczyć ze mną jeszcze zajadlej, byle ją dopaść.

– Weź mój telefon! – krzyknęłam. – Jest w moim pokoju. Zadzwoń do Cole’a. Błagam, babciu. Błagam. Tylko do Cole’a. Pomoże nam. Proszę!

Zawahała się, cofając tylko o kilka kroków, a na jej twarzy malowały się przerażenie i niepewność. Dziadek uderzał mnie raz po raz, waląc pięściami. Zmagałam się z nim, wiedząc, że jeśli go puszczę, sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót. Nie mogłam z nim walczyć i jednocześnie osłaniać babci.

– Teraz! – wrzasnęłam. – I nie wracaj tutaj. Dziadek nie jest sobą. Zrobi ci krzywdę.

– Ali, ja...

– Idź!

W końcu wybiegła z pokoju, znikając za drzwiami. Pod jej nieobecność dziadek całą wściekłość skupił na mnie. Nie zadowalał się już wyłącznie ciosami. Teraz szarpał mnie paznokciami i gryzł. Koniec z tą szarpaniną. Nie było już sensu go przytrzymywać; odskoczyłam od niego.

– Uspokój się, dziadku. Okay? Przecież tego nie chcesz.

Zerwał się na równe nogi, a po chwili zwiotczał, jego ciało runęło na podłogę. Oczy uciekły mu w głąb czaszki. Znieruchomiał.

Patrzyłam z przerażeniem, jak jego duch opuszcza ciało.

Z przerażeniem – bo wiedziałam. Ugryzł go zombi. Zainfekował. Zabił go.

Był martwy.

Ale miał żyć dalej.

Wyglądał tak chorowicie jak w postaci cielesnej, jednak skóra miała teraz głębszy odcień szarości. Przesunął spojrzeniem po pokoju, ani razu nie zatrzymując wzroku na mojej postaci. Pociągnął nosem, oblizał wargi i ruszył w stronę jedynych drzwi.

– Dziadku! – zawołałam cicho i opuściłam swoje ciało.

Natychmiast skupił na mnie uwagę i zapomniał o babci. Zaczął mnie gonić po całym pokoju. Kiedy się na mnie rzucał, uskakiwałam mu z drogi. Po chwili wszystko zaczynało się od nowa. Miałam w bucie sztylet, ale nie mogłam się zdobyć na to, by go ugodzić. Potem musiałabym go spopielić, a nie miałam serca.

Do pokoju wkroczył Cole z gniewnym wyrazem twarzy, za nim pojawili się Mackenzie, Bronx i pan Holland. Ten ostatni spytał, gdzie jest moja babcia, a kiedy mu powiedziałam, wyszedł. Bronx zatrzasnął kopniakiem drzwi. Celowo unikałam wzroku Cole'a. Widziałam go

pierwszy raz tego dnia i nie mogłam pozwolić sobie na wizję.

– Nie zabijajcie go. Proszę. Musi być jakiś sposób.

– Cisza – ostrzegł mnie Cole. – Uważaj na to, co mówisz.

Dziadek wciągnął powietrze nosem i oblizał wargi.

– Gryźć.

Moi przyjaciele opuścili swoje ciała i otoczyli go, po czym szybko obezwładnili; leżał twarzą do podłogi, ręce miał wykręcone na plecach, kostki skrępowane kawałkiem świecącej liny.

– Może udałoby się... – zaczęłam, by zacisnąć po chwili usta, napotkawszy spojrzenie Cole'a. Popatrzyliśmy sobie w oczy...

...Cole stał przede mną, jego dłonie spoczywały na moich ramionach.

– Przepraszam. Tak musi być. Człowiek, którego kochałaś, nigdy by cię nie uderzył. Nie wiem, kiedy został ugryziony, wiem jedynie, że tak się stało. To, co dzisiaj widziałaś, było tylko skorupą. Tylko skorupą.

– Więc jak zdołał wejść do domu? – spytałam, czując łzy na policzkach. – Skoro dom otaczała Linia Krwi?

– Pozwolenie unieważnia Linie Krwi. To jego dom. Jego zasady.

Serce mi się rozdzierało. Powinnam była sprawdzić, czy nie ma śladów po ugryzieniach. Wyczuwałam woń rozkładu tamtej nocy, kiedy dokonano włamania.

– Gdybym miała więcej czasu, mogłabym obmyślić jakiś sposób...

– Nie było innego sposobu – oświadczył zdecydowanie Cole szorstkim tonem. – Musiał umrzeć. O ile wiem, nikt nigdy nie wyszedł z tego cało.

Zdawał sobie sprawę z tego, co mówi. Widział, jak w taki sposób

umiera jego matka...

– ...gryyyyyźć!

Przez zasłonę wizji przedarł się głos mojego dziadka. Świat wrócił do normalnej postaci. Cole stał po drugiej stronie pokoju, przytrzymując leżącego.

– Pozwól mi, Ali – rzucił przez zaciśnięte zęby.

Uświadomiłam sobie, że siła moich słów powstrzymywała go do tej pory – tak jak siła jego słów niemal zmusiła mnie do podjęcia właściwej decyzji. Wciąż się opierałam.

– Co się z nim dzieje? – zza zamkniętych drzwi dobiegł głos mojej babci. – Dlaczego tak się zachował wobec Ali? To do niego niepodobne. Jest dobrym człowiekiem.

– Powiedziałem, że sytuacja jest niebezpieczna, pani Bradley – usłyszałam głos pana Hollanda.

Mackenzie wróciła do swego ciała.

– Potrzebujemy jeszcze kilku minut! – zawołała.

– Ali – rzucił przynaglająco Cole.

Nie mogłam obarczać go takim ciężarem.

– Ja... ja... sama to zrobię.

Przyglądał mi się przez chwilę, potem skinął sztywno głową.

– Potrafisz?

Spuściłam wzrok: moje dłonie były w każdym calu normalne. Bez wątplenia mogłam je rozpalić. Przeszkoda numer jeden: czy potrafiłabym zrobić to na zawołanie?

– Nie chcę sprawić mu bólu – wyznałam i poczułam, jak drży mi broda. Przeszkoda numer dwa: moja miłość do tego człowieka.

Nie, nie człowieka. Już nie.

– Nic nie poczuje, wierz mi.

Dziadek próbował się wyswobodzić, a ja zaczęłam płakać. Chciał zniszczyć babcię; nie mogłam mu na to pozwolić. Tak więc w rzeczywistości nie istniały żadne przeszkody. Zamknęłam oczy, wejrzałam w głąb samej siebie i odkryłam zasoby determinacji.

– Tak – powiedziałam i uwierzyłam w to całym sercem. – Mogę.

Poczułam wewnętrzne drżenie i po chwili moje dłonie eksplodowały żarem, który wspiął się po rękach i rozlał po ramionach. Powieki uniosły się gwałtownie. Obie ręce miałam całkowicie rozpalone, od koniuszków palców po obojczyk.

Cole, Mackenzie i Bronx patrzyli na mnie z niekłamanym szokiem i podziwem.

Ruszyłam niepewnym krokiem w stronę dziadka, dopóki jeszcze miałam odwagę. Kucnęłam przy nim i czekałam, aż Cole obróci leżącego na wznak. Dziadek kłapnął na mnie zębami. Drżąc i unikając jego wzroku, położyłam mu dłoń płasko na piersi.

Serce czasu uderzyło tylko raz, on zaś zniknął; w powietrzu unosiły się drobinki popiołu. Popatrzyłam w zdumieniu na swoje ręce. Cole twierdził wcześniej, że to wymaga trochę czasu.

– Ali! – zawołała babcia. – Ali, nic ci nie jest? Odezwij się do mnie!

Cole wskoczył z powrotem w swoje ciało.

– Ali, nie dotykaj niczego więcej.

– Ali! – W głosie babci można było dosłyszeć teraz panikę. – Jestem twoją opiekunką i żądam, byś się do mnie odezwała.

Musiałam jednak dotknąć swego ciała. Musiałam wrócić do niego, by jej odpowiedzieć.

– Nie! – krzyknął Cole, kiedy wyciągnęłam rękę.

Duchowe palce musnęły te rzeczywiste. Westchnęłam, gdy obie połówki mnie samej złączyły się na powrót. Blask zniknął, ale czułam resztki żaru, drobniutkie błyskawice ognia, trzaskającego i syczącego.

– Wszystko w porządku? – spytał Cole.

– Tak. – Po chwili zawołałam: – Nic mi nie jest, babciu. – W przeciwieństwie do dziadka. Poczułam na policzkach nową kaskadę łez. Zwróciłam się do Cole'a. – Jak tego dokonałam?

– Nie wiem. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Bałem się, że spalisz własne ciało, gdy go dotkniesz. Następnym razem słuchaj tego, co mówię. Wolę nie przeżywać więcej takiego strachu.

– Ali? – spytała drżącym głosem babcia. – Chcę cię zobaczyć.

Popatrzyłam błagalnie na Cole'a, prosząc w milczeniu, bym mogła jej powiedzieć, co się wydarzyło. Zasługiwała na to, by wiedzieć.

Skinął głową.

– Wyznać prawdę? – upewniłam się.

Mackenzie zaprotestowała, ale Cole oznajmił:

– Tak.

Otworzyłam drzwi jadalni i do środka wpadła babcia, tuż za nią pojawił się pan Holland. Oboje rozejrzeli się po pokoju.

– Carl! – rzuciła bez tchu i przypadła do nieruchomego ciała, jakby chcąc je osłonić. – Obudź się! Musisz się obudzić.

Siłą stłumiłam szloch.

– Nie może się obudzić. On... nie żyje.

– Nie. Obudzi się. Na pewno.

W końcu jednak uświadomiła sobie prawdę i zaczęła płakać jeszcze rozpaczliwiej.

Cole pomógł jej wstać i posadził na jednym z krzeseł.

– Ali chce pani coś powiedzieć, zanim zjawi się policja.

Usiadłam obok niej. Trzęsłam się i miałam płytki oddech. Zdawałam sobie sprawę, że grozi mi omdlenie, jeśli się nie uspokoję.

Choć bałam się, że uzna mnie za szaloną, że uzna nas wszystkich za szalonych, opowiedziałam jej o zombi. O tym, czym odznaczał się tata i czym teraz ja się odznaczałam. Powiedziałam jej też, że ludzie próbujący przejąć kontrolę nad zombi włamali się do domu i że jeden z tych potworów pogryzł i zaraził dziadka.

– To zombi go zmieniły. Zabiły jego ciało, a ja musiałam zniszczyć jego ducha.

Z każdym wypowiedzianym przeze mnie zdaniem babcia wydawała z siebie jęk bólu, który rozdzierał mi serce. Pod koniec sama siebie z trudem rozumiałam.

– To jest... to jest... – Nie potrafiła zdobyć się na słowa, które by mnie potępiały, ale wiedziałam, że o to właśnie jej chodzi. Nie mogło być inaczej.

– Niewiarygodne, wiem. – Pan Holland przejął pałeczkę. – Ale ona mówi prawdę. Dlatego tak często nie było jej w domu. Dlatego miała ślady na ciele. Dlatego wymknęła się tamtej nocy.

Cole przykucnął między nami, patrząc z powagą na moją babcie.

– Czas wezwać policję. Nie może pani dłużej zwlekać, bo w przeciwnym razie pojawią się pytania. Proszę im powiedzieć, że stracił przytomność i upadł.

Wiedziałam, dlaczego na to nalega. Władze zleciłyby sekcję zwłok i ustalono by, że zmarł na tę „rzadką” chorobę.

Babci drżała broda, po policzkach wciąż spływały łzy, pozostawiając mokre ślady. Spojrzała na mnie, na moją pełną udręki twarz.

– Tak bardzo się wstydził. Dopiero dziś rano mi powiedział, że ludzie, którzy włamali się do domu, wywlekli go na zewnątrz. Bał się, myślał, że chcą go zabić. Ale oni wyprowadzili go poza ogrodzenie, przytrzymali i zaczęli opowiadać o strasznych rzeczach, jakie zamierzali z nim zrobić. Wyznał mi, że im bardziej się bał, tym mocniej odczuwał ukłucia gorąca w piersi. Myślał, że dostaje ataku serca. Potem usłyszał syreny. Puścili go, a on wbiegł do domu.

Poczułam, jak narasta we mnie wściekłość, rozpalona do białości, obezwładniająca. A więc tak. Odpowiedzialni byli za to ludzie, którzy pracowali z Justinem. Wywlekli dziadka poza Linie Krwi, tchnęli w niego strach, który zawsze stanowił afrodyzjak dla zombi, a potem patrzyli, jak zostaje pożarty.

Może Justin i Jaclyn nie wiedzieli. Może wiedzieli. Tak czy inaczej, ich przywódcy oczekiwali, że dziadek mnie zarazi – zamieni mnie w zombi. Nie byłam tylko pewna, czy chcą na mnie eksperymentować, czy skończyć ze mną.

– Przykro mi, Ali – wyszeptał Cole, a ja się domyśliłam, że doszedł do tych samych wniosków co ja.

Moje życie znów odmieniło się koszmarnie, ja zaś miałam okropne wrażenie, że będzie jeszcze gorzej. I wiecie co? To przeczucie dręczyło mnie kilka razy wcześniej... i nigdy się nie myliłam.

Koszmar o zombicznych rozmiarach

Po raz trzeci w ciągu niespełna sześciu miesięcy uczestniczyłam w pogrzebie. Tego dnia jednak poranek był jasny i piękny. Powietrze przenikał chłód, który zmusił mnie do włożenia płaszcza, a wiatr hulał szaleńczo; mój ojciec kochał takie dni.

Tym razem nie zostałam wyłączona z ceremonii. Nie mogłam. Byłam potrzebna babci, i to bardzo. Siedziałam obok niej i trzymałam jej drżącą dłoń. Wypłakała się na moim ramieniu, a ja na jej.

Cole siedział po mojej drugiej stronie i trzymał mnie za drugą rękę. Był moją opoką. Przyjechał po nas, nie chcąc, by któraś z nas prowadziła w takim stanie samochód. Nie doznaliśmy wizji, co mnie zaskoczyło, ale nie miałam siły się nad tym zastanawiać.

Jeszcze większa niespodzianka – dał mi iPoda z muzyką; uważał, że mi się spodoba. Zauważył, że nie mam takiego sprzętu. Byłam zbyt zapłakana, żeby mu podziękować. Wiem, że czuł się fatalnie w związku z tym, co stało się z dziadkiem, i starał się podnieść mnie na duchu, ale przecież nie ponosił za nic winy.

– Staramy się przeniknąć do Anima Industry – powiedział, kiedy się uspokoiłam. Widząc moje zdziwione spojrzenie, dodał: – Firma, dla której pracuje Justin. Znajdziemy sposób, żeby się z nią rozprawić, raz na zawsze.

– Dobrze.

Im prędyj, tym lepiej.

Patrzyłam, jak ludzie przechodzą obok trumny dziadka, by oddać zmarłemu szacunek, i zobaczyłam wśród nich Emmę, której nie dotykały powiewy wiatru. Nikt inny jej nie widział. Zauważyłam łzy na jej

policzkach. Zatrzymała się przede mną i położyła mi na ramionach filigranowe dłonie.

Poczułam leciutkie tchnienie ciepła.

Cole zeszywniał. Czy i on wyczuł jej obecność? Czy ją zobaczył?

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Myślałam, że jeśli przestanę cię ostrzegać przed atakami, to przestaniesz polować na zombi. A one dopadły dziadka, tak jak dopadły...

– Kogo? – spytałam, a kilka osób spojrzało na mnie.

Postać Emmy przybrała chorobliwy odcień bieli.

– Ali, nie każ mi... nie tutaj.

– Kogo? – powtórzyłam uparcie. Babcia ścisnęła mi rękę, próbując mnie uspokoić.

– Ja... Ali, zastanawiałaś się, co to takiego świadek? To ktoś, kto umarł, żyje w Niebie i czuwa nad życiem tych, których kochał. To właśnie robię. Czuwam nad tobą. Dodaję ci siłę. Cierpię, kiedy ty cierpisz. Zrezygnuj.

– Nie mogę.

Myślałam, że opuści mnie w tym momencie, ale nie uczyniła tego. Westchnęła i oznajmiła:

– Miałam nadzieję, że ci tego oszczędzę, ale widzę, że twoja determinacja jest zbyt wielka. To... tata – wyszeptała. – Krąży tam i chce cię przemienić. Próbowali to zrobić z mamą, ale walczyła ze złem i wygrała. Jest teraz ze mną i też pragnie twojego bezpieczeństwa. Zrezygnuj, Alicjo. Zrób to dla nas.

Uśmiechnęła się ze smutkiem i łagodnością, po czym zniknęła.

Mogłam tylko odczuwać szok. Mój ojciec był zombi. Właśnie o tym

próbowała mi wcześniej powiedzieć – o czymś, co sprawiłoby mi ból jak nic innego. Mój ojciec był zombi i nie mogłam mu w żaden sposób pomóc.

Zresztą i tak by tego nie chciał.

Polował na mnie. Miał nadzieję mnie zabić.

Wciąż byłam zszokowana, kiedy Cole odwiózł mnie i babcię do domu. Wyjaśnił, że tata go potrzebuje; w przeciwnym razie zostałyby ze mną. Powiedział mi, o co chodziło, ale nie słuchałam go. Babcia poszła do siebie, a ja do siebie. Zadzwoiła Kat, ale nie odebrałam. Nagrała wiadomość. Godzinę później zadzwonił Cole. Też nie odebrałam; tak jak Kat, nagrał wiadomość. Leżałam na łóżku pogrążona w koszmarze, w którym dotąd żyłam, nie mając o tym pojęcia.

Mój ojciec był zombi.

Mój ojciec, którego naraziłam na niebezpieczeństwo.

Mój ojciec, którego podałam na srebrnej tacy.

Nie dane mu było zbawienie.

Jak miałam sobie z tym poradzić? Wzięłam drżącą ręką dziennik i zaczęłam przerzucać strony. Kryły się tu odpowiedzi. Wiedziałam o tym. Żeby tylko kolejny fragment przybrał zrozumiałą postać.

Jeszcze nim ta myśl sformułowała się do końca, ujawniło się kilka paragrafów, a hieroglify zamieniły w litery.

„W trakcie walki z zombi będziesz musiała stawić czoło wielu trudnościom. Ludzie będą cię nazywać szaloną. Niektórzy z twoich bliskich i przyjaciół zostaną pogryzieni. Niektórzy umrą.

Nigdy nie zapominaj, że zło jest złem. Nie możesz tego zmienić. Nie możesz poprowadzić go ku światłu. Ale jeśli na to pozwolisz, ono poprowadzi cię ku ciemności.

Zastanawiasz się zapewne, kim jestem, skąd wiem to, co wiem – i w jaki sposób jesteś w stanie to wszystko odczytać. Nie, to nie magia. Napisałem to dla tych, którzy przybierają postać duchową”.

Postać duchowa. Zastanawiałam się, czy to oznacza, że byłabym w stanie odczytać każde słowo, gdybym opuściła swoje ciało. Zastanawiałam się, czy inni byliby w stanie je odczytać, gdyby opuścili swoje. Może, ale w tym momencie byłam zbyt wyczerpana emocjonalnie, by się tym przejmować.

„Jeśli czytasz to, przebywając w świecie rzeczywistym, to jesteś jak ja, bardziej świadoma spraw duchowych. Jeśli masz problemy z odczytaniem, nie przejmuj się. Gdy twój umysł będzie gotowy na pozostałe informacje, okaże się, że potrafisz odczytać kolejne fragmenty.

Chcesz wiedzieć więcej o złu? Nie. Nie, sądzę, że bardziej jesteś zainteresowana miłością. Chcesz wiedzieć, co możesz zrobić, by ocalić ludzi, których kochasz. Wiem, bo sam łaknąłem tej wiedzy. Mów im prawdę. Ucz ich. Niewidoczny, nieznaną wróg wciąż jest wrogiem. Jeśli będą wiedzieć, to będą mogli walczyć. Jeśli nie będą chcieli ci uwierzyć, to i tak uczyniłaś wszystko, co w twojej mocy”.

Wzrok rozmazała mi nowa fala łez. Żałowałam, że nie powiedziałam dziadkowi prawdy. Żałowałam, że nie nauczyłam go walczyć. A teraz było za późno.

*

Musiałam zasnąć, ukołysana do snu płaczem, ponieważ następną rzeczą, jaką sobie uświadomiłam, było pukanie w szybę.

Ocknęłam się, włosy opadały mi na ramiona, a dziennik wylądował na podłodze. Zobaczyłam Cole’a, który podsunął do góry ramę okna i wśliznął się do pokoju. Na ten widok serce zabiło mi jeszcze mocniej. Był uzbrojony po zęby – na wojnę. Ubrany w czerń od stóp do głów, pochłaniające światło smugi pod oczami, noże przytroczone do ramion, rękojeści wystające z wysokich butów.

– Przepraszam, że robię to teraz i w taki sposób, ale ignorowałaś

moje telefony i wiadomości, a my cię potrzebujemy – wyjaśnił. – Odkryliśmy gniazdo zombi w domu około półtora kilometra stąd. Zamierzamy je stamtąd wykurzyć i potrzebujemy twojej pomocy. Nigdy nie widzieliśmy nikogo, kto potrafiłby tak rozgorzeć jak ty albo unicestwić zombi tak szybko. Mamy nadzieję, że zdołasz je pokonać. Wszystkie bez wyjątku.

Walka z wrogiem. Byłam do tego zdolna, i to bez względu na to, jak kiepsko się czułam.

– Muszę się przebrać.

– Pospiesz się.

Kiedy przygotowywałam się w łazience, Cole wyznał z wahaniem:

– Widziałem dziś twoją siostrę.

Znieruchomiałam z koszulą na głowie, którą na siebie właśnie wciągałam.

– Słyszałem też, co mówiła – dodał.

A zatem wiedział, że mój ojciec mógł się znajdować w tym nowym gnieździe.

– Przykro mi, Ali.

Drżąc teraz, ubrałam się do końca i weszłam z powrotem do pokoju. Cole opierał się o ścianę ze skrzyżowanymi rękami.

– Możesz to zrobić? – spytał.

Czy mogłam? Unicestwiłam swojego dziadka. Ojciec zaatakowałby mnie, gdyby miał szansę, tak jak dziadek. W innym życiu nienawidziłby się za to. I, jak sądzę, w tym innym życiu chciałby, żebym unicestwiła go raz na zawsze. Czy potrafiłabym jednak spojrzeć sobie w twarz, gdybym unicestwiła go po raz drugi?

– Muszę powiedzieć babci, że wychodzę. – Zignorowałam jego pytanie. – Ktoś powinien tu przyjechać i chronić ją.

Przyjął zmianę tematu bez słowa komentarza.

– Już o tym pomyślałem. Mój tata jest w drodze.

Okay. Zeszliśmy razem na dół. Pojawiła się babcia, wyglądała staro jak na swój wiek. Spojrzała na nas i od razu się zorientowała, o co chodzi. Ku mojemu zaskoczeniu nie próbowała mnie zatrzymać. Złożyła pocałunek na moim policzku i powiedziała:

– Uważajcie na siebie.

– Bądź spokojna – zapewniłam ją.

– Wzmocniliśmy Linie Krwi wokół domu – wtrącił Cole. – Poza tym mój ojciec powinien być tu lada chwila. Zostanie z panią do rana.

– Dziękuję – odparła niepewnie i zostawiła nas, nie żądając żadnych szczegółów. Pewnie dlatego, że zaczęła płakać.

Chciałam za nią pobiec, ale się powstrzymałam.

– Nienawidzę tego. Wszystkiego.

– Wiem, ale jedyny sposób, by cokolwiek zmienić, to dalej robić to, co robimy.

Położył dłonie na moich policzkach i spojrzał mi w oczy – świat zniknął...

...leżałam na plecach, krztusząc się, z ust chlustała mi krew. Cole pochylał się nade mną, po jego policzkach spływały łzy...

...znowu przed nim stałam, wizja rozplynęła się tak szybko, jak się pojawiła.

– To było... – Pokręcił głową. – Zostajesz tutaj.

– Bo może mi się coś przytrafić? – Po tym, co właśnie powiedział? Że jedyny sposób, by cokolwiek zmienić, to dalej robić to, co robimy? Zaprzeczyłam gwałtownym ruchem głowy. – Nie wiemy, kiedy wizje mają się spełnić. Pierwsza spełniała się bez końca, poza tym nie mogę zostać tu przez resztę życia, mając nadzieję, że uniknę tej, której doznaliśmy przed chwilą.

– Umierałaś!

– Na pewno bym ocalała.

– Trzymałem śmierć w ramionach – krzyknął, potrząsając mną przy tym. – Umierałaś i nigdy byś nie ocalała. Dlatego tu zostajesz. Sami się tym zajmujemy, ja i inni.

– Nie. Powiedziałeś, że mnie potrzebujecie.

– Ali, proszę. Nie chcę cię stracić...

– Dostyc. – Choć zaschło mi w ustach i przepełniał mnie strach, siliłam się na odwagę. – Tracisz czas. – Wyminęłam go, zmierzając do drzwi. – Możesz zostać, jeśli chcesz, ale ja idę.

Wyszłam na zewnątrz. Słońce zachodziło, niebo przypominało mgiełkę lazuru i fioletu.

Wokół mnie zaroili się zamaskowani ludzie.

Cofnęłam się z krzykiem, sądząc, że to iluzja, dalszy ciąg tamtej wizji, ale ktoś zdołał pochwycić mnie w żelazne objęcia i pociągnąć w stronę czekającej w pobliżu furgonetki, podczas gdy pozostali stłoczyli się w drzwiach domu, żeby obezwładnić Cole'a. Słyszałam świst jego ostrzy, chrapliwy syk jego oddechu.

Walczyłam ze swoim prześladowcą, ale nie udało mi się uwolnić z uścisku.

Zza moich pleców dobiegł ogłuszający huk. Uniesiona przez potężny

podmuch gorącego powietrza wraz z człowiekiem, który mnie trzymał, poleciałam wprost na furgonetkę i walnęłam czaszką o stalową karoserię. Pociemniało mi w oczach. Inni cofali się pospiesznie w istnym deszczu drewnianych odłamków.

– Alicjo, moja słodka Alicjo – usłyszałam czyjś głos dobiegający z wnętrza furgonetki. Rozpoznałam go.

Ojciec zjawiał się po mnie.

*

Ocknęłam się przywiązana do krzesła; byłam oszołomiona, wzrok miałam rozmazany, ale z wolna odzyskiwałam ostrość widzenia. Głowę rozsadzał mi ostry ból. Czułam go zresztą w całym ciele. Jakbym cofnęła się w czasie do dnia po wypadku, kiedy to runął cały mój świat.

No cóż, mój świat runął ponownie.

Zalała mnie fala wspomnień. Cole, który zjawiał się u mnie. Wizja mojej śmierci. Wyjście z domu – albo próba wyjścia. Atak zamaskowanych ludzi, którzy mnie złapali i odciągali. Eksplozja. Furgonetka. Mój ojciec.

Cole. Babcia.

Poczułam w gardle piekącą żołąć. Przeżyli. Nie byłam w stanie uwierzyć w nic innego.

Zmagałam się z więzami. Musiałam ich znaleźć, musiałam pospieszyć im z pomocą. Napierając na krępujący mnie sznur, zorientowałam się, że przebywam w jakimś laboratorium. Światło było przygaszone, ale widziałam ludzi w fartuchach kręcących się tu i tam. Wyczuwałam w powietrzu intensywną woń miedzi i ohydny smród rozkładu; zakrztusiłam się.

– Dobrze. Oprzytomniałaś. – Przed moimi oczami pojawiła się kobieta w kombinezonie ochronnym. Uniosła maskę i rozłożyła szeroko ramiona. – Witamy w Anima Industries.

– Doktor Wright – rzuciłam chrapliwie. – Panią też schwytali?

– Jakież to słodkie. Ufasz mi tak bardzo, że jesteś gotowa pomijać wszelkie dowody i wmawiać sobie, że jestem więźniem tak jak ty.

W ciągu kilku sekund ton samozadowolenia w jej głosie rozbił to zaufanie w pył, ujawniając prawdę. Nie chciałam w to uwierzyć, ale zaprzeczanie nie miało sensu. Była szpiegiem. Zdrajczynią.

– No – powiedziała, skinąwszy głową. – Właśnie uświadomiłaś sobie, że wykorzystywałam waszą małą grupę jak źródło informacji, nic więcej. Że to nie moi ludzie podążali za zombi, lecz nadajnik, który umieściłam w waszych butach. Tak bardzo ułatwiło nam to życie.

Zniszczę ją.

– Zapewniała pani, że mogę jej ufać – rzuciłam przez zaciśnięte zęby.

– Kłamię jak najęta. – Parsknęła śmiechem. – Niewykluczone nawet, że kłamię, że kłamię. Nie sposób się w tym rozeznąć.

Szarpnęłam się z jeszcze większą zajadłością.

– Cola'e i moją babcię też tu pani sprowadziła?

– Nie. I uprzedzę twoje drugie pytanie: nie wiem, gdzie są. Nie my podłożyliśmy bombę, a ich nie było, kiedy moi ludzie wrócili, żeby przeszukać to, co zostało z domu.

Prawda? Czy jeszcze jedno z kłamstw w ich długim łańcuchu?

– Dlaczego pani to robi? – spytałam.

Wsparła dłoń na biodrze, przyjmując władcą pozę, w czym nie przeszkadzał jej gruby kombinezon.

– Ojciec Cole'a chce zniszczyć zombi. My chcemy je wykorzystać.

Wykorzystać absolutne zło?

– Do czego?

– A do czegoż by? Chodzi o pieniądze. Stanowią broń. Żadna armia ich nie powstrzyma. Możemy się nimi posłużyć z daleka do zniszczenia każdego, kogo pragnie zniszczyć ten, kto zapłaci najwięcej. Bez żadnego wysiłku z naszej strony.

– Ale one i nas zabijają!

Nie wspominając już o reszcie świata.

– Nie. Nauczyliśmy się je kontrolować. Pokażę ci.

Spojrzała ponad moim ramieniem i kiwnęła palcem. Chwilę później światła zajaśniały silniejszym blaskiem. Zmrużyłam oczy i spróbowałam się odwrócić, ale nie mogłam. Po chwili do moich uszu dotarło szuranie stóp i pojawiła się przede mną Jaclyn. Ona też miała na sobie kombinezon ochronny, a za przezroczystą maską widać było zawstydzoną twarz – z pewnością kolejne kłamstwo. Trzymała za jeden koniec jakąś linę.

Za linę, do której był przywiązany mój ojciec.

Zamrugałam, zamarłam. Był tak wysoki, jak zapamiętałam, ale włosy mu się przerzedziły. Skóra odznaczała się szarawym odcieniem, a na twarzy i szyi miał czarne placki. Nosił garnitur z postrzępionymi mankietami i brzegiem.

Od tak dawna chciałam go zobaczyć, tak bardzo za nim tęskniłam, że doznałam niemal uniesienia. Uniesienia, które zniknęło, gdy przeszło mnie spojrzenie połyskujących rubinową czerwienią oczu.

– Uwolnijcie mnie – powiedziałam, znowu zmagając się z więzami. Sama nie wiem, czy chciałam pomóc ojcu, czy z nim skończyć.

Mój duch zaczął oddzielać się bezwiednie od mojego ciała...

– Och, nie, nie rób tego. Zostań na miejscu – warknęła doktor Wright. – Twój duch też będzie związany, bo zabierzesz więzy ze sobą, ale to tylko doprowadzi do niepokoju wśród zombi. Niepokoju, który będę musiała opanować. Jeśli tak się stanie, to się zirytuję i skończy się na tym, że ściągnę do laboratorium twoją przyjaciółkę Kat. Dostaniesz nauczkę.

Zgrzytając zębami, zmusiłam się, by pozostać na miejscu.

– Przyłącz się... do nas – wychrypiał ojciec.

– Zaskoczyły nas jego kognitywne umiejętności – oznajmiła doktor Wright, i to nie bez dumy. – Zwyczajnie na tym etapie są już bezmyślne i głodne, ale on chce tylko spędzać czas ze swoją jedyną żyjącą córką.

Poczułam w oczach piekące łzy. To nie jest twój tata. Nie jest... tak naprawdę. Po prostu... staraj się teraz nie reagować. Ogarnie cię histeria. Później przyjdzie czas na reakcję.

Z kącika ust spływała mu ślina. Palce zakrzywiały się, jakby szykował się do ataku.

– Razem... znowu. My.

Jeszcze kilka dni wcześniej oddałabym wszystko za taką chwilę. Za szansę, by z nim być, porozmawiać, i teraz taką szansę miałam. Może nie należał już do żywych, ale rozpoznał mnie i chciał, bym została z nim na zawsze. Tęsknił za mną.

Przyznaję, też za nim tęskniłam, tak bardzo, i w jakimś stopniu odczuwałam pokusę, by ulec. Odczuwałam pokusę, owszem, ale wiedziałam, co powinnam zrobić.

– Nie, tato. Nie mogę.

Łzy, które wzbierały już od jakiegoś czasu, popłynęły mi po policzkach.

Chwila ciszy, potem rozległy się jęki i pomruki innych zombi.

– Proszę – powiedział ojciec, a z jego ust znowu spłynęła ślina.

– Nie ma potrzeby ponownie odpowiadać – oznajmiła doktor Wright.
– To bez znaczenia. Oddamy mu ciebie.

Poczułam gwałtowny przyływ strachu i szarpnęłam się gwałtownie; rany i otarcia na mojej skórze otworzyły się ponownie, a po moich palcach spłynęła ciepła ciecz i zaczęła kapać na podłogę. Jęki i postękiwania przeszły w groźny pomruk; zombi ogarnął gwałtowny niepokój.

Wyczuły mój strach.

Zmusiłam się do tego, by znieruchomieć.

– Miałam nadzieję, że uznasz nas za lepszy wybór – powiedziała doktor Wright z westchnieniem. – Intrygują mnie twoje zdolności.

– To fatalnie, bo prędzej bym umarła, niż wam pomogła.

– Spodziewałam się, że to powiesz. – Uśmiechnęła się z lodowatą pewnością siebie. – Ale kiedy staniesz się zombi, to czy naprawdę sądzisz, że będziesz mogła mi się oprzeć? Widzisz, liny są nasączone środkiem, którego Cole używa do swoich Linii Krwi. Zombi nie mogą ich zerwać, co pozwala nam skierować je tam, gdzie chcemy. A gdy napotykają ludzi, instynkt bierze górę.

Tata syknął na nią, a ona rzuciła mu spojrzenie pełne złości.

– Dosyć.

Zaczął się zmagać z własnymi więzami. Jaclyn zachwiała się lekko.

– Doktor Wright...

– Zachowuj się! – warknęła gniewnie, a ja nie mogłam się zorientować, czy mówi do dziewczyny, czy do mojego ojca. – Chcesz, żebym nakarmiła twoją córką inne zombi?

A więc zwracała się do taty. Jeszcze raz się szarpnął, tym razem

znacznie mocniej, i Jaclyn była zmuszona puścić linę, by się nie przewrócić.

– Przestań...

Rzucił się na doktor Wright, szarpiąc ją zakrzywionymi palcami i gryząc, ale nie mógł się przebić przez kombinezon.

Chwyciła koniec liny i pociągnęła, próbując przewrócić tatę.

– Dość tego, panie Bell. Już pan zapracował na karę dla Ali. Teraz pracuje pan na swoją.

– Gryźć! – zawołał mój ojciec.

Usłyszałam za plecami wrzaski i pospieszne kroki.

– Uciekają, doktor Wright! – ktoś krzyknął.

– Postępować zgodnie z regulaminem – oznajmiła ostrym tonem.

Po chwili rozległy się pełne determinacji syki. Znowu kroki. I kolejne, choć lżejsze. Ludzie krzyczeli. Zombi warczały. A potem poczułam w karku i ramionach ukłucia, jak od igły, i wprost w moje żyły zaczął przenikać kwas. Wrzasnęłam i poleciałam z krzesłem do przodu. Próbowałam wydostać się ze swojego ciała, gotowa się bronić i walczyć, ale siłę tłumiła we mnie cała ta trucizna. Przynajmniej więzy się poluzowały i w końcu mogłam wyswobodzić ręce.

Obróciłam się i zaatakowałam istne gniazdo zombi – lecz moje dłonie tylko je przeniknęły. One były duchami, a ja istotą ludzką. Te, które mnie ugryzły, odsunęły się, sapiąc i krztusząc się, ale nie pomogło mi to. Inne, szereg za szeregiem, też chciały dostać swoją porcję i po prostu parły niepowstrzymanie naprzód.

– Tato! – krzyknęłam.

Ranić...

Zabijać...

Niszczyć...

Kłębiły się we mnie myśli, a każdy kolejny kontakt z zombi był niczym dotknięcie ognia. Wkrótce czułam się tak, jakby obdarto mnie ze skóry, odsłaniając mięśnie.

Druga linia napastników cofnęła się, a do uczyty przystąpiła trzecia. Byli jak rekiny, wbijając się głęboko, poza warstwę skóry i mięśni, dotykając kości, niepomne jasnego światła, które padało na nie z góry.

Ranić... zabijać... niszczyć...

Nie, pomyślałam. Nie! Nie poddam się. Ludzie potrafili zwalczać złe popędy, powiedział Cole; stanę do walki. Jeśli zdołam wygrać tę bitwę, to może uda mi się przeżyć infekcję.

Ranićzabijaćniszczyć...

NIE!

– Zatrzymajcie się! – rozkazałam. – Macie się zatrzymać.

Wszystkie linie, jedna za drugą, zaczęły się cofać, niezdolne oprzeć się sile moich słów – bez względu na to, czy wypowiadałam je w świecie rzeczywistym, czy nie. Kiedy już nikogo nie było wokół mnie, wciąż nie mogłam uwolnić swego ducha. Miałam wrażenie, że płonie mi całe ciało.

– Nie... podchodźcie – wysapałam.

Z tego miejsca widziałam całe pomieszczenie. Kilku ludzi w kombinezonach leżało na podłodze; starali się uciec. Zombi, tak wiele zombi, próbowało rozedrzeć ich ochronną odzież. Kłębiły się na podłodze, wspinały po ścianach, zwisały ze sprzętów. Te, które nie zdążyły mnie jeszcze zaatakować, uformowały mur po mojej lewej stronie; widać było, jak drżą ogarnięte pragnieniem, które w nich wzbudzałam.

Może zdołałyby się oprzeć mojemu żądaniu przepelnionemu wiarą,

ale nagle pojawił się przy mnie mój tata, jego duża postać zagroziła im drogę. Jego oczy połyskiwały w sztucznym świetle czerwienią; oblizał wargi... pochylił głowę... „Przyłącz się do mnie. Przyłącz się”.

Jego słowa miały w sobie taką siłę jak moje; wyciągnęłam do niego rękę.

– Tato, kocham cię. Proszę, pomóż mi. Musisz mi pomóc.

Powietrze przeszył skowyt, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Zombi, które tworzyły mur i które pragnęły mnie dorwać, padały, a ich ciałami wstrząsały spazmy.

– Ali! – usłyszałam czyjś krzyk z drugiego końca pomieszczenia.

Cole! Cole tu był!

Ranić...

Nie! – pomyślałam znowu. NIE.

Tata wyprostował się i odwrócił, by stawić czoło nowemu zagrożeniu.

– Ali! – zawołał znowu Cole.

– Cole! Jestem tutaj.

Ponownie rozległy się skowyty, tym razem towarzyszyły im jęki bólu.

Zaczęła się bitwa między zombi a zabójcami.

Mój ojciec walczył u mego boku, rzucając swych towarzyszy ku ścianom, z dala ode mnie. Czułam pulsowanie adrenaliny. Przyszło mi do głowy, że jeśli pozostanę w tym miejscu, on zrobi to samo, i że zabije go jeden z naszych. W sytuacji, gdy tata mi pomagał... nie mogłam do tego dopuścić. On też walczył ze złem!

Zamknęłam oczy i stłumiłam każdy dreszcz bólu. Nie było to łatwe, ale znalazłam sposób; moja determinacja nie pozwalała na nic innego. Z wolna mój duch zaczął unosić się z mojego ciała... unosić się... Mogę tego dokonać... W chwili gdy uwolniłam się całkowicie, doznałam przyływu siły, chłód pokonał gorączkowy żar. Cole rzucił mi dwa sztylety.

Z lewej strony ruszył na mojego ojca zombi, ale on był zajęty walką z dwoma po prawej stronie. Przystąpiłam do działania – skrzyżowałam ręce – cięłam szyję – rozłożyłam ręce, zatoczyłam nimi łuk – cięłam inną. Moje ciało wyginało się do przodu i tyłu, stopy niosły mnie bezustannie przez skłębione masy. Nawet gdyby brakowało mi umiejętności, i tak bym dominowała. Te zombi były słabsze niż wszystkie, z jakimi dotychczas walczyłam.

Straciłam ojca z oczu. Dostrzegłam kątem oka Cole'a, który walczył tak zaciekle jak ja. Był pokryty czarną mazią i poznaczony szramami, ale wciąż walczył. Dla mnie. By mnie ocalić. By zabić tych, którzy zamierzali nas zniszczyć. Za nim dostrzegłam Hauna, ale nie trzymał się już na nogach. Leżał płasko na plecach i się nie ruszał, podczas gdy mój tata – nie, nie, nie – zatopił się w jego ciele, zniknął, potem wyłonił się i ruszył dalej, brodę miał umazaną czarną mazią. Trina walczyła obok Hauna, próbując go desperacko ratować, choć zombi wgryzały się jej w nogę.

Zacząłam przedzierać się w ich stronę. Ktoś zaatakował mnie od tyłu, zwalając z nóg. Uderzyłam o coś czołem – o ciało. Przynajmniej zamortyzowało mój upadek. Sekundę później w mojej nodze tkwiły zęby, a całą istotę przeniknął ogień. Wierzgnęłam drugą nogą, odpychając napastnika.

Cole podbiegł chwilę później, a jego miecz dokończył to starcie.

– Niezła jesteś – rzucił, zmagając się już z kolejnym wrogiem.

– Tak.

Nie mogłam zaprzeczyć. Przypadłam do ziemi i przesunęłam ostrzem po kostkach zombi, rzucając przeciwnika na kolana.

Obróciłam się ku następnemu i znowu dostrzegłam swojego ojca. Ruszył w stronę Cole'a z obnażonymi zębami. Obaj się zwarli. Patrzyłam z przerażeniem, jak tata próbuje raz po raz ugryźć Cole'a.

– Przestańcie – krzyknęłam, nie wierząc, że mnie posłuchają.

Cole umykał przed kłapiącymi zębami mojego ojca, wywijając mieczem. Rzuciłam swe ostrza. Tata może i chciał mnie ocalić, ale w przypadku innych osób nie miałby nad sobą takiej kontroli. W końcu zachowałyby się tak, jak zrobił to dziadek. Uderzyłby mnie, próbował skrzywdzić. Zniszczyłby wszystkich, których przyszło mi kochać.

Nie mogłam do tego dopuścić.

Miałam niespełna sekundę na podjęcie decyzji i uczyniłam to. Popatrzyłam na swe dłonie.

– Rozpalicie się – powiedziałam, a one natychmiast usłuchały. Zapłonęłam od koniuszków palców po ramiona.

Czując łzy na twarzy, wyciągnęłam dłoń. Ręka mi zadrżała. Boże, dodaj mi sił.

– Tato.

Odwrócił się do mnie.

– Przykro mi.

Nie ma innego wyjścia. Trzeba to zrobić.

– Ali – powiedział tylko.

Kontakt.

Zniknął w chmurze popiołu. Chyba... chyba się uśmiechnął.

Ot tak, po prostu, mój tata odszedł.

Martwy na zawsze.

Przeze mnie.

Cole akurat zadawał cios mieczem, cios, który miało przyjąć na siebie ciało mojego ojca. Ale już go nie było. Ja byłam.

W pierwszej chwili nic nie poczułam. Kilka sekund później poczułam wszystko, ból gorszy niż to, co kiedykolwiek mnie ugodziło.

Na twarzy Cole'a pojawiło się przerażenie. Krzyknął rozpaczliwie, jakby chciał zaprzeczyć temu, co się stało. Nagle pojawili się Cruz i Szron i pomogli mi się położyć. Ujrzałam czarne migoczące plamki.

– Ali!

Próbowałam odpowiedzieć, ale tylko się zakrztusiłam; krew wzbierała mi w piersi i zalewała usta.

– Przykro mi, tak mi przykro – powiedział Cole, a ja wiedziałam, że się nade mną pochyla.

Uświadomiłam sobie, że to ta wizja, której doznaliśmy. I wiecie co? Tak szybko się spełniła.

Wziął mnie w ramiona.

– Nie umieraj. Nie umrzesz, słyszysz mnie?

Po wszystkim, co przeszłam, by się tu znaleźć?

– Nie... marzyłam...

Kolejny atak kaszlu stłumił moje słowa. Coś ciągnęło mnie w górę... w górę... w górę... ku bezmiarowi bieli.

Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Otaczały mnie chmury, tyle białych chmur przysłaniających mój wzrok, dopóki...

W tej pierzastej bieli pojawiła się Emma, nie miała już na sobie ładnej różowej spódniczki. Teraz okrywała ją świetlista biała szata spływająca do samych stóp. Włosy były rozpuszczone, długie, lśniące i tak pięknie ciemne. Oczy miała jasne niczym złoto, jak zawsze, obraz różnorodnych emocji i uczuć.

– Czy jestem martwa? – spytałam, pogodzona już z tą myślą.

– Nie na długo – odparła. – Zabiłaś go. Wiesz o tym.

Zalała mnie fala wspomnień. Mój tata, zombi. Mój tata, pragnący zranić Cole'a. Mój tata, martwy – przeze mnie.

– Przykro mi – powiedziałam zdławionym głosem. – Przykro mi.

– Wiem – brzmiała jej smutna odpowiedź. – Chciałabym ci powiedzieć, że to koniec zombi, ale nie mogę. Chciałabym ci powiedzieć, że to koniec Anima Industries, ale nie mogę. Chciałabym ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze między tobą i Cole'em, ale też nie mogę.

Nie. Nie zamierzałam się tym zamartwiać. Miałam w sobie wiarę, a jeśli ją miałam, to nie mogłam się martwić.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Masz w organizmie tyle toksyny, Ali. Naprawdę sądzisz, że zdołają ją zneutralizować? A ludzie są tak rozgniewani. Są rozgniewani i chcą...

– Ali – zawołał jakiś głos.

Postać Emmy zaczęła zanikać.

– Nie odchodź! – krzyknęłam, wyciągając do niej rękę. – Proszę.

– To nie ja odchodzę, Ali. To ty odchodzisz.

Tak rozdzierający serce uśmiech... otulające ją chmury... potem odeszła bez najmniejszego śladu.

– Ali.

Gdzieś w dali usłyszałam pik, pik, pik – popiskiwanie maszyny.

– Do widzenia, Emmo – wyszeptałam. – Na razie.

Wiedziałam, że ją jeszcze zobaczę.

„Chciałabym ci powiedzieć, że wszystko będzie dobrze między tobą i Cole’em, ale też nie mogę”.

– Ali, wiem, że mnie słyszysz. Widzę, jak drgają ci palce.

Zagłuszyłam słowa swojej siostry i skupiłam się na chłopcu, który pomógł wskrzesić mnie z martwych. Wiedziałam, że niezgoda na zmartwienia nie uchroni mnie przed trudami, ale uchroni mnie przed zaprzepaszczeniem tej chwili. Zamierzałam akceptować każdy nadchodzący dzień i radzić sobie z wszelkimi przeszkodami, jakie pojawią się na mojej drodze, ale jednego byłam pewna. Toksyna została całkowicie zneutralizowana. Wiedziałam, ponieważ żyłam, a mój umysł został oczyszczony ze zła.

– No dalej, śpiąca królewno – powiedział Cole. – Byłaś nieprzytomna przez wiele dni. Przestań mnie karać i obudź się. Już najwyższy czas.

Moje powieki zadrgały, uniosły się i opadły, a ja z każdą chwilą widziałam coraz wyraźniej. Cole siedział na krześle obok łóżka, łokcie opierał na metalowej poręczu; przygarbił się jakby w odruchu ulgi. Może

był to skutek leków, ponieważ nie odczuwałam żadnego bólu, ale mogłam patrzeć na niego bez końca. Stanowił piękny widok. Cały w strupach i bandażach, ale czysty i rozkoszny.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy to wizja. Ale nie, ta pojawiła się dopiero po chwili...

...siedzieliśmy na bujanej kanapie, trzymając się za ręce, rozmawiając cicho, śmiejąc się. Opierałam mu głowę na ramieniu. Słońce właśnie wschodziło w przepysznych kolorach, rozsiewając po niebie złoto i róż.

– Nie masz dziś do mnie żadnych pytań? – zainteresował się.

– Oczywiście, że mam. Tysiące, prawdę mówiąc.

– Pozwól, że odpowiem.

– Pierwsze. Dlaczego mnie nie całujesz?

Nie byłam pewna, jak długo ta wizja trwała, ale kiedy rozplynęła się w czerni, popłynęły łzy i wyschły mi na policzkach. Szczęśliwe zakończenie, pomyślałam. Albo jeszcze lepiej, szczęśliwy początek.

Wreszcie.

Widzicie. Wiedziałam, że wszystko będzie dobrze.

Jeśli chodzi o Anima Industries, już wykorzystali swój atut. Mojego ojca. I przegrali. Opłakiwałam jego stratę, a oni nie mogli go wykorzystać przeciwko mnie.

Tak, to, co musiałam zrobić, wciąż mnie bolało. Ojciec próbował walczyć dla mnie, bo tak bardzo mnie kochał. Mimo to zniszczyłam go. Zniszczyłam jego drugą szansę. Ja. Nikt inny.

Wiedziałam, że muszę z tym żyć.

Pocieszałam się tylko myślą, że to, co się stało, było konieczne.

Walczył ze złem, ale zło zwyciężyło. Krzywdziłby bezustannie moich przyjaciół, gdybym pozwoliła mu żyć.

– Podobała mi się ta wizja – powiedział Cole, przesuwając delikatnie palcami po mojej dłoni.

– Tak. – To jedno słowo przypominało chrapliwy skrzek. Wciąż miałam obolałe gardło.

Podniósł moją dłoń i ucałował kostki.

– Prawie cię straciłem, Ali. Dwukrotnie. Zatrzymało ci się serce. Ale powróciłaś.

– Jestem uparta – przypomniałam.

– Dzięki Bogu.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Ile tyłków udało się nam skopać?

Jego twarz spoważniała.

– Większość tych z Anima uciekła, ale wszystkie zombi, które tam były, zginęły. Nie musieliśmy z nimi nawet walczyć. Zaczęły po prostu padać, jeden za drugim. Przestały się ruszać. Mogliśmy je spalać bez żadnych problemów.

Może dlatego, że zatruł je mój duch. Postanowiłam, że powiem mu o swoich podejrzeniach, ale dopiero później. W tej chwili pragnęłam odpowiedzi, a nie byłam pewna, jak długo zachowam przytomność.

– Jak mnie znalazłeś? Jak wydostałeś się z mojego domu? – Bomba! Jak mogłam zapomnieć o babci? Próbował usiąść. – Babcia...

– Nic się jej nie stało. Jest teraz z moim tatą. Nie może się doczekać, kiedy cię zobaczy. – Położył mnie delikatnie. – Ankh musiał cię pozszywać. Nie chcę, żebyś pozrywała sobie szwy. I zanim spytasz o to,

co zostało z twojego domu, musisz wiedzieć, że mój tata i twoja babcia przekopali ruiny i zdołali ocalić trochę rzeczy.

– Co na przykład?

Gdybym straciła zdjęcia swojej rodziny... gdybym straciła dziennik...

– Nie wiem. Nie odstępowałem cię na krok.

– Słodki jesteś.

– Niezupełnie. Byłem gotów walczyć z tobą, gdybyś zdecydowała się umrzeć.

Śmiech sprawiłby mi ból, więc skupiłam się na pozostałych odpowiedziach, które pragnęłam usłyszeć.

– Co się stało?

– W twoim domu?

Skinęłam głową.

– Twoja babcia poszła do swojego pokoju. Jeden z pracowników Anima wrzucił do środka nieduży granat. Zdążyłem się ukryć. Kiedy się ocknąłem, na miejscu był mój tata, a ci w kombinezonach zniknęli. Znaleźliśmy twoją babcie, była nieźle poobijana, ale nie odniosła poważniejszych obrażeń. Potem pojawił się Justin. Powiedział mi, co się dzieje i dokąd się udać.

Doktor Wright kłamała, jeśli chodzi o bombę – wielka niespodzianka – a Justin nam pomógł. Dlaczego? To nie miało sensu, nie pasowało do tego, co wiedziałam o nim i jego paskudnych współpracownikach.

– Wszyscy wyszli z tego cało?

Wbił wzrok w swoje stopy.

– Nie. Haun...

Nie żyje. Drżąc, rozejrzałam się wokoło; potrzebowałam chwili, by się pozbierać. Przebywaliśmy w jakiejś okazałej sypialni. Nad łóżkiem zwieszała się aksamitna draperia. Ściany pokrywała tapeta w kwiaty. Żyrandol migotał tysiącem kryształowych kropelek w kształcie łez.

Pomyślałam o tych wszystkich stratach, które musieliśmy przeżywać. O tym całym bólu i rozpacz. I wiedziałam, że to nie koniec, że nie raz jeszcze przyjdzie nam cierpieć, ponieważ mieliśmy kontynuować łowy i walkę. Musieliśmy. Musieliśmy chronić tych, których kochaliśmy.

W przeciwnym razie wszystko, czego już dokonaliśmy, poszłoby na marne, my zaś nie widzielibyśmy światła w przyszłości – tylko ciemność.

Zapanowałam nad uczuciami, które ścisnęły mi gardło.

– Gdzie jestem?

– W domu pana Ankha.

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzał pan Holland.

– Usłyszeliśmy głosy i pomyśleliśmy, że się obudziłaś. Jest tu tłum ludzi, którzy chcą cię zobaczyć.

Podniosłam dłoń do głowy, żeby poprawić włosy, ale dotknęłam tylko splątanych kosmyków i skrzywiłam się. Nie było mowy, żebym mogła zrobić ze sobą cokolwiek.

– Wyglądasz pięknie – zauważył Cole.

Jasne, ale i tak doceniłam komplement. Był jednak wciąż poważny, więc może naprawdę wierzył w to, co mówi.

– Niech wejdą – powiedziałam, starając się nie wzdychać sennie.

Najpierw zjawiała się babcia.

Cole wstał z miejsca i podszedł do okna, a ona podbiegła do łóżka i objęła mnie, zważając na mój pokiereszowany brzuch; poczułam się znacznie lepiej, kiedy usiadła na krześle Cole'a. Miała sińce na czole, ale żadnych innych widocznych obrażeń.

Potem przyszła kolej na Lucasa, Dereka, Collinsa, Cruza, Szrona i Bronxa, którzy weszli gęsiego do pokoju.

– Dobrze wyglądasz – zauważył Szron.

– Mała Ali potrafi zdrowo przyłożyć – dodał Lucas.

– Mogę z tobą walczyć zawsze i wszędzie – zadeklarował Derek.

– Kiedy zmęczysz się Cole'em, daj mi szansę – zaproponował Collins, a Cole spojrzał na niego ostro.

– Nieźle ci poszło. Jak na nowicjuszkę – powiedział Bronx.

Były to pierwsze słowa, jakie kiedykolwiek do mnie skierował; przypominały pomruk, ale i tak je doceniałam. W jego przypadku stanowiły prawdziwą pochwałę.

– Dzięki, chłopcy – odparłam.

– Ale sobie znalazłaś przyjaciół – oznajmiła babcia, kręcąc głową.

Chłopcy wyszli, a w ich miejsce pojawiły się Trina i Mackenzie.

– Przykro mi to mówić – oświadczyła Mackenzie, przyglądając mi się z uwagą – ale byłaś niesamowita.

– Tak, była – potwierdziła Trina z szerokim uśmiechem. – Zauważyłam, że wykorzystała kilka moich chwytów.

– Nie ma mowy. To były moje chwytty!

Kłóciły się, wychodząc z pokoju.

Potem do sypialni wpadła Kat.

– Najwyższa pora na moją kolej – oświadczyła, podbiegając czym prędzej do mojego łóżka. – Chwyciła mnie za rękę i ścisnęła mocno, jakby czepiała się tratwy ratunkowej. – Jestem twoją najlepszą przyjaciółką, więc powinnam być tu pierwsza. Ktoś poniesie karę za moje nieszczęście, ale nie martw się, to nie będziesz ty, Ali.

Nie kryłam ekscytacji na jej widok, ale zerknęłam na Cole'a.

– Wie – powiedział. – Kiedy nie udało jej się z tobą skontaktować, zadzwoniła do Szrona z tysiąc razy. Zamierzała poinformować cały świat, że zostałam uprowadzona, kiedy mój tata pozwolił nam wtajemniczyć ją we wszystko.

– I trzeba było to zrobić już dawno temu! – zawołała Kat. – Jakbym nie mogła żyć ze świadomością, że istnieją zombi. – Nachyliła się i już bez uśmiechu, trochę pobladła, wyszeptała: – Wcale nie jestem pewna, czy mogę żyć z tą świadomością. Kiedy ci się polepszy, musimy pogadać.

– Zdecydowanie – odpowiedziałam, też szeptem. Potem spytałam głośniej: – Więc ty i Szron znów jesteście razem?

– Tak, jesteśmy – zawołał z korytarza Szron, a Kat niemal jednocześnie oznajmiła:

– Jak już trochę pocierpi. Wiesz, to mój chłopiec do bicia.

„Wie o twojej chorobie?” – spytałam, poruszając bezgłośnie wargami.

Pokręciła głową.

„Nie powiem mu” – zapewniłam.

Chociaż, kiedy się teraz nad tym zastanawiałam, mógł już wiedzieć. Było pewne, że pan Holland i pan Ankh prześwietili ją, kiedy Szron zaczął się z nią umawiać. Ale i to wyznanie mogło poczekać.

– Wszyscy wiedzą, czym dla ciebie jestem, Kitty Kat – oznajmił Szron, stając w drzwiach i opierając się ze skrzyżowanymi ramionami o framugę.

– To nie znaczy, że nie mogą posłużyć się jeszcze innymi porównaniami prócz „chłopca do bicia”. A teraz zmykaj! Dziewczyny rozmawiają.

– Tak, madame.

Wyszedł z powrotem na korytarz, uśmiechając się szeroko.

Gadałyśmy o wszystkim i o niczym, śmiałyśmy się i nadrabiałyśmy zaległości, aż w końcu zaczęły mi opadać powieki.

Pocałowała mnie w dłoń, wyraźnie zatroskana.

– Wiesz, Ali, jak cię zobaczyłam pierwszy raz na łóżku szpitalnym, to nie była żadna rewelacja. Miałaś jakieś maleńkie zadrapanie, mniejszego w życiu nie widziałam. Słowo daję. Bywałam gorzej pogryziona przez komary. Tym razem leżysz w łóżku i wyglądasz jak... – Machnęła ręką. – To cholerna rewelacja. Masz dwa dni, żeby dojść do siebie.

Tak bardzo kochałam tę dziewczynę.

– A jak nie?

– A jak nie, to skończę ze Szronem, i to raz na zawsze – powiedziała specjalnie głośno.

– Hej – zawołał, dając do zrozumienia, że został na korytarzu, by podsłuchiwać.

– Zresztą i tak mogę z nim skończyć – dodała. – Mój sąsiad proponuje mi codziennie randkę. I jest uroczy. Jeśli uroczy to nowy synonim „szokująco seksownego”.

Szron, mruczając groźnie, znów wkroczył do pokoju.

Kat zachichotała.

– No dobrze, wystarczy – oświadczyła zdecydowanie babcia i wygoniła wszystkich z sypialni z wyjątkiem Cole’a. Potem pocałowała mnie w czoło. – A ty powiedz dobranoc swojemu przyjacielowi i prześpij się trochę.

Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

– I co dalej? – spytałam, ziewając przy tym.

– Na początek ty i babcia zostajecie u Ankhów.

W tej rezydencji?

– Mogę z tym żyć – zapewniłam.

– Rzeczywiście, możesz tu mieszkać, dopóki będziesz żyła – powiedział Cole i uśmiechnęliśmy się do siebie. Potem zepsułam wszystko, ziewając ponownie.

Ucałował miękko moje wargi.

– Śpij. Będę tu, kiedy się obudzisz.

– Ty i te twoje rozkazy – mruknęłam, czując, jak oczy mi się zamykają. I nie chciałam, by był inny.

Dzięki niemu nauczyłam się, jak przetrwać w tym nowym świecie. Co więcej, nauczyłam się, jak go przewycięzać.

W głębi duszy wiedziałam, że walka z zombi to jedyna rzecz, jaka mogła mi teraz przynieść satysfakcję, jedyna, dzięki której mogłam czuć się tak, jakbym żyła pełnią życia. I wiedziałam, że gdy nadejdzie koniec, będę mogła spocząć w spokoju ze świadomością, że zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by kroczyć w świetle. I że będę miała Cole’a u swego boku. Byliśmy razem, na dobre i złe.

Potrafiłam poradzić sobie ze wszystkim.

Wywiad z Geną Showalter

Pytanie: Zombi pojawiają się w kilku twoich książkach. Co cię skłania do pisania o nich?

Odpowiedź: Czyż można nie kochać gnijącego ciała i woni rozkładu... Żartuję, żartuję! Po pierwsze, kocham walkę dobra ze złem, we wszystkich jej przejawach. Po drugie matematyka. Tak, powiedziałam: „matematyka”. Jeśli zabójcy = dobro, a zombi = zło, to zabójcy + zombi = cholernie dobra zabawa!

Pytanie: Co jest odmiennego, jeśli chodzi o zombi w „Alicji...”? Jak tworzyłaś ich mitologię?

Odpowiedź: Zombi w „Alicji...” są w zasadzie skażonymi duchami, które opuściły ludzkie ciała, nie zaś rozkładającymi się zwłokami. Widzą je tylko niektórzy ludzie, ale nie mogą z nimi walczyć, dopóki sami nie przybiorą postaci duchowej. Oczywiście, należało ustalić, kto potrafi je widzieć i dlaczego, jak dochodzi do skażenia, czy też infekcji, jak doszło do niej po raz pierwszy, jak ludzie mogą walczyć w postaci duchowej i tysiące innych kwestii. Prosta sprawa.

Pytanie: Skąd pomysł napisania książki o zombi inspirowanej „Przygodami Alicji w krainie czarów” Lewisa Carrolla?

Odpowiedź: Pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła do głowy, był właściwie tytuł. Powiedziałam o tym jednej z najdroższych przyjaciółek-pisarek (Kresley Cole), a ona odparła: „Musisz to napisać”. Usiadłam więc i po raz drugi w życiu sporządziłam plan całej powieści (z reguły wyznaję zasadę: zastanowię się nad tym później). Zaczęły się pojawiać sceny i dialogi, a postaci ożywać. Oczywiście, kiedy zasiadłam na poważnie do pisania, mnóstwo się zmieniło, ale nie moja miłość do tej historii. Ani na moment nie chciałam oderwać się od tych stronic!

Pytanie: Gdybyś kiedykolwiek spotkała zombi w prawdziwym życiu,

to...?

Odpowiedź: Dałabym mu kopniaka w zęby i przybiła z matką piątkę. Za to, że nauczyła mnie, jak wymierzyć takiego kopniaka. Potem, oczywiście, mama też by odstawiła kopa. Byłby z nas zgrany zespół!

Pytanie: Okay, porozmawiajmy o Cole'u, który, bądźmy szczerzy, jest gorącym chłopakiem i obdarzonym licznymi zdolnościami. Możesz nam opowiedzieć o jego pierwszej walce z zombi?

Odpowiedź: Cole... mój kochany Cole... durzę się w nim na zabój! (przykro mi, Ali, ale to prawda – masz szczęście, że pozwoliłam ci przeżyć ten wypadek. Słowo daję). Jeśli chodzi o pierwszą walkę Cole'a, to powiedzmy tylko tyle, że nieźle oberwał. Albo, jeszcze lepiej, że ta scena pojawi się w drugiej części... Och, ta radość, jaką daje YouTube! Nie możesz się przed tym ukryć, Cole. Nie możesz!

Pytanie: Co dalej czeka Alicję i jej przyjaciół?

Odpowiedź: No cóż, ci w kombinezonach są wkurzeni, więc wiadomo, że będą knuli coś złego. Ali i jej babcia mieszkają u Reeve, choć Ankh chce trzymać córkę z dala od walki. Zegar Kat tyka nieubłaganie. Do miasta powraca nowy zabójca, niezwykle gorący. Cole i Ali będą musieli się zmierzyć z czymś okropnym... Zaraz, zaraz. Za dużo mówię! Na tym skończę, zanim zacznę pisać plan powieści, który i tak zmienię. Co? To prawda.

Dzięki, Gena.

